

MARK FROST

Lista siedmiorga

The List of 7

Tłumaczył Robert Lipski



1. KOPERTA

Koperta była welinowa, kremowa. Subtelnie prążkowana, szorstka, bez znaków wodnych. Kosztowna. Rogi pozaginały się i pobrudziły, gdy bezszelestnie wsunięto ją pod drzwiami.

Doktor tego nie usłyszał, a słuch miał wyjątkowo ostry, podobnie zresztą jak wszystkie zmysły. Znajdował się we frontowym pokoju, w którym spędził cały wieczór. Dorzucając polana do kominka, studiował niezbyt przejrzysty tekst. Czterdzieści pięć minut wcześniej uniósł wzrok, gdy po schodach wchodziła Pietrowiczowa. Wyraźne szuranie pazurów jej jamnika i głośnie stąpania rozmyły się wśród odgłosów wieczoru, przesyconego silną wonią gotowanej kapusty. Doktor patrzył, jak pajęczce cienie przemykają po lśniącej, drewnianej podłodze pod drzwiami. Koperty tam wówczas nie było.

Prawie nie pamiętał, że pragnął, by istniał prostszy sposób na spojrzenie na czasomierz, bez konieczności stałego wyjmowania go z kieszonki kamizelki i otwierania koperty. Właśnie dlatego, kiedy spędzał wieczór w pokoju, wykladał otwarty zegarek na blat biurka. Czas, albo raczej jego racjonalne wykorzystanie, było jego obsesją. Spojrzał na zegarek, kiedy szczeropodobna psina i jej chuda, melancholijna, pochodząca z Rosji pani przeszły obok drzwi jego mieszkania – był kwadrans po dziewiątej.

Tekst ponownie go wciągnął. *Izda odsłonięta*. Ta madame Bławacka musiała być niespełna rozumu – pomyślał Doyle. Jeszcze jedna Rosjanka, jak ta nieszczęsna Pietrowiczowa ze swoją śliwowicą. Czy próba przeniesienia poddanych cara na angielski grunt musiała zakończyć się nieodwracalnym obłędem? Zbieg okoliczności – stwierdził. Jedna melancholijna szajbuska i jedna ogarnięta megalomanią, żująca cygara transcendentalistka nie mogą o niczym przesądzać.

Przyjrzał się uważnie zdjęciu Heleny Pietrowny Bławackiej na frontyście – nadprzyrodzony spokój i czyste, przenikliwe spojrzenie.

Większość twarzy instynktownie cofa się przed insektoidalnym obiektywem fotoaparatu. A ona sięgnęła przed siebie i pochłonęła go w całości. Co sądzi na temat tej

osobliwej książki? *Izyda odsłonięta*. Jak na razie osiem tomów, w sumie ponad pięćset stron – a to stanowiło zaledwie jedną czwartą dzieła tej kobiety, którego celem było zjednoczenie i zaćmienie – bez odrobiny wszędobylskiej dotąd ironii – całego znanego duchowo-filozoficznego i naukowego systemu myślenia. Innymi słowy, stanowiło ono rewizjonistyczną teorię wszelkiego stworzenia.

Choć, jak głosiła notka biograficzna pod zdjęciem, H. P. B. spędziła większą część swego pięćdziesięcioletniego życia, krążąc po świecie i kontaktując się z różnymi guru, twierdziła ona, iż książka była dziełem boskiego natchnienia i powstała dzięki Mistrzom, którzy objawili się jej niczym duch ojca Hamleta, a jeden z nich, Najświętszy spośród świętych, wszedł w nią i przez pewien czas kierował jej dłonią. Doświadczenie to określała mianem pisma automatycznego. To fakt, książka napisana była dwoma różnymi stylami – zawahał się, czy nazwać je głosami. Jeśli jednak chodzi o zawartość, stanowiła istny galimatias mniej lub bardziej zrozumiałego belkotu – zaginione kontynenty, promienie kosmiczne, tajemne rasy, złe kabały i praktykujący czarną magię kapłani.

Szczerze mówiąc, w swoich własnych dziełach odnajdywał podobne nawiązania, ale to była bądź co bądź beletrystyka, fantastyka naukowa, podczas gdy ona oferowała swoje mrzonki jako teologię.

Dreńczony tymi myślami uniósł wzrok i dostrzegł kopertę. Czy właśnie została wsunięta? Czy podświadomie zauważył ruch i dlatego popatrzył w tamtą stronę? Nie pamiętał, aby coś usłyszał, nie wychwycił skrzypienia stopni, trzasku zginanego kolana, ani szelestu rękawiczki na drewnie lub papierze – a te stare schody lepiej niż mosiężne trąby oznajmiłyby mu pojawienie się gościa. Czyżby lektura dzieła Bławackiej tak mocno przytępiła jego zmysły? Raczej nie. Nawet w sali operacyjnej, mając przed sobą przywiązanego do łóżka umierającego pacjenta, wyjącego mu prosto do ucha i bryzgającego płynami ustrojowymi, niczym czujny kot wychwytywał odgłosy tego, co działo się wokół.

A jednak koperta tam była. Czy mogła leżeć pod drzwiami przez... już dziesiąta... czterdzieści pięć minut? A może kurier dopiero przybył i wciąż jeszcze stał za drzwiami?

Doktor nasłuchiwał oznak życia, czując jak jego serce bije coraz szybciej, a w ustach pojawia się kwaśny, irracjonalny smak strachu. Nie był mu obcy. Bezszelestnie wysunął ze stojaka na parasole najtwardszą łaskę, zakręcił nią zrećnie w powietrzu i trzymając skierowaną czarną, sękatą gałką ku górze, w pozycji do ciosu, otworzył drzwi.

To co ujrzał, lub raczej czego nie zobaczył w migoczącym gazowym świetle korytarza, przez najbliższy czas będzie nawiedzać jego myśli; przy wtórze ostrego świstu powietrza, drzwi uchyliły się i w tej samej chwili mroczny cień znikł z korytarza z prędkością

zręcznego prestidigitatora zgarniającego z kościanego stolika czarną jedwabną chustkę. A w każdym razie tak mu się wtedy wydawało.

Korytarz był pusty. Nie miał przeczucia, że jeszcze przed chwilą w holu znajdowała się jakaś osoba. Gdzieś niedaleko słychać było rzępolenie źle nastrojonych skrzypiec, nieco dalej kwiliło dziecko, z ulicy dochodził stuk końskich kopyt na kocich łbach.

Bławacka musiała mnie oczarować – pomyślał. Tak to bywa, kiedy czyta się jej dzieła po zmierzchu.

– Jestem podatny na sugestię – mruknął pod nosem, wycofując się do swego mieszkania. Zamknął drzwi na klucz, postawił na swoim miejscu laskę i powrócił do przerwanej zajęcia.

Koperta była prostokątna. Bez napisu. Uniósł ją pod światło – papier był gruby, nie przezeń nie przebijało. Wyglądała zwyczajnie.

Sięgając do lekarskiej torby, wyjął lancet i z chirurgiczną dokładnością, która była jego wizytówką, przebił i przeciął papier. Welinowa kartka, nieco cieńsza niż koperta, ale tego samego rodzaju, gładko wysunęła się na jego dłoń. I choć nie nosiła śladu tłoczenia i nie było na niej żadnego monogramu, z całą pewnością można było powiedzieć, że była dziełem kogoś z wyższych sfer. Złożona wpół, bardzo dokładnie. Rozłożył ją i przeczytał.

Szanowny Panie,

Pilnie potrzebuję Pańskiej pomocy w niecierpiącej zwłoki sprawie związanej z oszustwami dokonywanymi podczas praktyk spirytystycznych. Mówiono mi o sympatii, jaką darzy Pan ofiary podobnych fałszerstw. Pewna osoba, której tożsamości nie mogę tu wyjawić, potrzebuje niezwłocznie Pańskiej pomocy. Jest Pan człowiekiem religii i nauki, toteż oczekuję, iż nie okaże się Pan wobec tej sprawy obojętny. Stawką jest niewinne ludzkie życie, futro wieczorem o 20.00 przy Cheshire Street 13. Czekam z niecierpliwością.

Po pierwsze, pismo – staranne, precyzyjnie nakreślone litery. Pismo osoby wykształconej. Słowa napisane były zdecydowanie, pióro musiało być dzierżone silnie, dłoń mocno przyciśnięta do papieru. Pomimo iż nie pisano pod presją czasu, pośpiech był aż nadto widoczny. List musiał powstać w ciągu godziny.

Nie po raz pierwszy otrzymał podobne zaproszenie. W pewnych kręgach Londynu wiedziano o jego kampanii, mającej na celu zdemaskowanie fałszywych mediów i im podobnych, plugawych oszustów. Nie był człowiekiem publicznym i nie szukał popularności, ale ci, którzy byli w potrzebie, od czasu do czasu zasięgali jego porady i pomocy. Nie pierwszy raz spotykał się z prośbą o pomoc, ale nigdy dotąd nie uczyniono tego w równie tajemniczy sposób.

Papier nie pachniał wonnościami czy perfumami, nie miał żadnych cech charakterystycznych. Był ostentacyjnie bezpłciowy i spokojny. Tak dalece posunięta anonimowość musiała być starannie wyuczona.

Kobieta – skonstruował – zamożna, wykształcona, zagrożona skandalem. Meżatka albo związana z kimś dobrze sytuowanym bądź powszechnie znanym. Na dodatek wpadła na mielizny „spirytyzmu”. Te określenia pasowały zwykle do kogoś, kto niedawno stracił bliską osobę albo obawiał się, że tak wielki i bolesny cios jest nieunikniony i spadnie nań już niebawem. Niewinna osoba, jej małżonek lub dziecko.

Adres, który mu podano, oznaczał East End, w pobliżu Bethnal Green. Podłe miejsce, w każdym razie nieodpowiednie na samotne wędrówki dla panien z dobrego domu.

Przed ponownym pogrążeniem się w lekturze dzieła Bławackiej, doktor Arthur Conan Doyle zanotował sobie w myślach, że ma wyczyścić i naładować swój rewolwer.

Było Boże Narodzenie 1884 roku.

Mieszkanie, a zarazem gabinet doktora Doyle'a, znajdowało się na drugim piętrze starego budynku w robotniczej dzielnicy Londynu. Było raczej marne – ot, pokój dzienny i ciasna sypialnia, zamieszkiwał je zaś skromny mężczyzna o niewygórowanych potrzebach i stonowanych, spokojnych manierach. Lekarz z powołania, a obecnie mający za sobą czteroletnią praktykę, ów prawie dwudziestosześcioletni młodzieniec był bliski wejścia w szeregi bractwa, którego członkowie jakoś sobie radzili pomimo trawiącej ich niezmiennie świadomości kruchości własnego żywota.

Jego lekarska wiara w niezawodność nauki została w nim głęboko zaszczepiona, ale nie należała do najmocniejszych, a jej podwalinę pokryła drobniotka siateczka pęknięć – wywołanych niepowodzeniami.

Pomimo iż dziesięć lat temu odszedł od Kościoła katolickiego, pozostał w jego wnętrzu niezaspokojony głód wiary, który kierował go ku odległym dziedzinom nauki, mającym w jego mniemaniu empirycznie dowieść istnienia duszy.

Był głęboko przekonany, że nauka doprowadzi go w końcu na wyżyny duchowego poznania, ale temu niezłomnemu przekonaniu towarzyszyło nieskrępowane pragnienie oderwania się, porzucenia maski realnej uprzejmości i pogrążenia się w mistycyzmie, śmierci, w życiu prowadzącym ku lepszemu żywotowi.

Ta tęsknota dręczyła jego umysł niczym upiór. Nigdy nikomu się z tego nie zwierzał.

Aby zaspokoić pragnienie złożenia broni, czytał Bławacką, Emanuela Swedenborga i wielu innych, mniej lub bardziej znanych mistyków, przetrząsając podejrzaną antykwariaty i księgarnie w poszukiwaniu racjonalnego potwierdzenia, dowodu, który mógłby wziąć do ręki.

Uczęszczał na spotkania Londyńskiego Przymierza Spirytystycznego. Wyłuskiwał media, wizjonerów i jasnowidzów, urządzając prywatne seanse oraz odwiedzając domy, w których – jak powiadano – zmarli nie zaznawali spokoju.

Doyle w każdym przypadku posługiwał się trzema podstawowymi zasadami – obserwacją, precyzją i dedukcją – to były fundamenty, na których wznosił mury swojego „ja”, a rezultaty traktował z iście klinicznym pietyzmem – zgolał prywatnie i bez wyciągania wniosków, tworząc podstawy większego dzieła, którego kształt miał nadzieję ujrzeć w swoim czasie.

W miarę, jak jego badania pogłębiały się, trwająca w jego wnętrzu walka między nauką a duchem, owymi dwoma przeciwstawnymi biegunami, coraz bardziej przybierała na sile i zaciętości.

Mimo to, robił dalej swoje. Aż nadto dobrze wiedział, co działo się z ludźmi, którzy złożyli broń w tej walce. Z jednej strony znajdowały się samorzutnie wzniesione filary moralności, zdobiące wały obronne Kościoła i Państwa, zagorzałych wrogów przemian – martwe, ale za nic niemogące się z owym faktem pogodzić, z drugiej zaś czereda nieszczęśników przykutych łańcuchami do murów zakładu dla obłąkanych, nurzających się we własnym brudzie i z oczyma pałającymi ekstazą, zjednoczonych wspólnotą złudnej doskonałości. Nie starał się rozgraniczać tych skrajności – wiedział, że ścieżka ludzkiej perfekcji – ta, którą pragnął podążać – leży dokładnie pomiędzy nimi. Miał nadzieję, że w razie gdyby nauka nie była w stanie poprowadzić go ową środkową drogą, zdoła jej pomóc i odnajdzie właściwą ścieżkę.

Ta determinacja zaowocowała dwoma nieoczekiwanymi rezultatami: po pierwsze, kiedy prowadząc swoje badania, natrafił na fałszerza bądź oszusta żerującego na słabościach ludzkich serc i dusz, bez wahania go demaskował. Ci plugawi wyzyskiwacze wywodzący się zazwyczaj z kręgów półświatka rozumieli przemoc tylko w jeden sposób, gdy aż uszy wędły od wulgarnych słów, stoły przewracały się z hukiem, a wszelkie pogrożki dotyczące naruszenia nietykalności cielesnej były natychmiast realizowane. Na usilne żądanie pracownika Scotland Yardu Doyle zaczął od niedawna nosić rewolwer, gdy po zdemaskowaniu pewnej fałszywej Cyganki padł ofiarą napaści i niewiele brakowało, by za sprawą sztyletu poznał osobiście wszystkie tajemnice drugiego świata.

Po drugie – wiedziony sprzecznymi uczuciami – żądzą wiary i pragnieniem udokumentowania wiary przed rzeczywistym jej przyjęciem – Doyle trawiony był zwyczajną, ludzką potrzebą skumulowania swych niezanalizowanych reakcji.

Odpowiedzią stało się dlań pisarstwo, a ściślej mówiąc, pisanie opowiadań i powieści

beletrystycznych. Przekładał swe doświadczenia z mrocznego, innego świata w linijki tekstu pisanego – opowieści o mitycznych krainach, odrażających i przerażających czynach popełnianych przez posępnych, zakochanych w złu spiskowców, których antagonistami byli herosi ze świata światła i wiedzy, podobnie jak on świadomie, choć może niezbyt rozsądnie, wędrujący pośród ciemności. W służbie owej wizji w minionych latach Doyle sporządził cztery manuskrypty. Trzy pierwsze zostały zwrócone przez wydawców i trafiły do niewielkiej szafki, którą Doyle przywiózł niegdyś z Mórzu Południowych. W dalszym ciągu oczekiwał odpowiedzi dotyczącej ostatniej pracy – barwnej powieści przygodowej, zatytułowanej *Mroczne Bractwo*, którą uważał za najlepszą z dotychczas przez siebie napisanych. Włożył w nią wiele pracy, bo – co tu ukrywać – pragnął zmienić swój oplakany bądź co bądź status materialny.

Jeżeli chodzi o jego wygląd, wystarczy powiedzieć, że Doyle był odpowiednim mężczyzną do wykonania zadania, jakie sobie wyznaczył – silny, atletycznie zbudowany, nie odznaczał się próżnością, choć nie miałby nic przeciwko temu, by przestać nosić postrzępione kołnierzyki i szelki, ale na kupno nowych wciąż nie było go stać.

Widział dość występku i zła, by współczuć tym, którzy dali się schwytać na jego haczyki i przynęty, choć sam nigdy nie wplątał się w tarapaty. Nie należał do pyszałków, lubił więcej słuchać niż mówić. Jeżeli chodzi o ludzką naturę, liczył na ogólnie rozumianą przyzwoitość, wszelkie zaś nieuchronne rozczarowania przyjmował bez większego zdziwienia, żalu czy złośliwości.

Płeć piękna budziła w nim naturalne i zdrowe zainteresowanie, ale od czasu do czasu trącała również nieco czulszą strunę, powodując, iż stawał się bezbronny, słaby i niezdecydowany, a w jego pozornie nieprzeniknionej, granitowej fasadzie ukazywały się mniejsze lub większe szczeliny. Młody, poszukujący miłości mężczyzna na dobrą sprawę nigdy nie przejmował się ani nie niepokoił podobnymi sytuacjami. Jak się miał wkrótce przekonać, skutki tego typu zauroczeń mogły okazać się śmiertelnie niebezpieczne.

2. CHESHIRE STREET 13

Dom przy Cheshire Street 13 stał pośrodku szeregu szeregowych budynków wyglądających tak krucho, jak układanka z kart. Do drzwi w wysuniętym prawym frontonie prowadziły cztery stopnie. Domu nie można było jeszcze określić mianem rudery, ale niewiele do tego brakowało. Nie wyglądał złowieszczo. W ogóle nijak nie wyglądał.

Doyle przyjrzał mu się z naprzeciwka. Zjawił się na miejscu godzinę wcześniej, niż proszono go w liście. Oświetlenie było marne, ruch pieszcy i uliczny niewielki. Trzymał się w cieniu i czekał, niezauważony, obserwując dom przez niewielką lornetkę.

Błada poświata gazowego światła okalała zasłony we frontowym saloniku. Dwukrotnie podczas pierwszego kwadransa jego czuwania, pomiędzy światłem a koronkami przemykały cienie. Raz zasłona poruszyła się i smagle, męskie oblicze zlustrowało ulicę, po czym wycofało się.

Dwadzieścia po siódmej nadeszła postać okryta ciemnym szalem, weszła po schodach i precyzyjnie zastukała trzy razy, odczekała chwilę i stuknęła po raz czwarty. Mierzyła pięć stóp wzrostu, ważyła dobrze ponad 190 funtów. Głowa i twarz osłonięta przed zimnem. Buty na wysokim obcasie. Kobieta. Doyle uniósł do oka lornetkę; buty były nowe.

Drzwi otworzyły się i postać weszła. Doyle nie zauważył holu ani osoby wpuszczającej. W pięć minut później pojawił się chłopak, podszedł do drzwi i zastukał w ten sam sposób. Był to obdartus, ulicznik, pod pachą niósł spory pakunek, zawinięty w gazetę i przewiązany sznurkiem. Zanim Doyle zdążył mu się bacznie przyjrzeć, chłopak znalazł się w środku. Między siódmą czterdzieści a siódmą pięćdziesiąt przybyły dwie pary; pierwsza pieszo – typowi robotnicy – kobieta o ziemistej cerze, w ciąży, mężczyzna krępy, krzepki, przywykły do ciężkiej pracy. Wyglądało na to, że w odświętnym ubraniu nie czuli się najlepiej. Oni również zastukali kodem. Doyle patrzył przez lornetkę, jak mężczyzna beszta kobietę, gdy stali pod drzwiami – miała spuszczonego wzrok, wydawała się przybita, pokonana, zgnębiona. Nie słyszał jego słów, a z ruchu warg wyczytał jedynie coś, co brzmiało jak „Dennis” i „ciemnowładca”. Ciemnowładca? Weszli. Drzwi się zamknęły.

Druga para przyjechała powozem. Nie był to keb, ale pojazd prywatny, ciemna skóra, stalowe koła, koń – rasowy kasztan. Sądząc po spienionych bokach konia, musieli jechać ze sporą prędkością od czterdziestu pięciu minut do godziny. Jako że nadjechali od zachodu, można było wnioskować, iż przybyli z Kensington, najdalej z Regents Park.

Woźnica zsiadł z kozła i otworzył drzwiczki. Jego ubranie i manieri świadczyły, iż musiał być służącym – miał około pięćdziesiątki i był wyjątkowo żyłasty. Najpierw z powozu wysiadł młodzieniec – szczupły i blady, flegmatyczny, zmanierowany, uprzywilejowany społecznie student. Doyle za takimi nie przepadał.

Nosił wykwintry krawat, frakową koszulę i melonik – zatem albo przybył prosto z przyjęcia, albo zgoła przesadnie traktował okoliczność, która go tu sprowadziła. Odsunawszy bezceremonialnie woźnicę, podał dłoń damie, która lekko wyszła z powozu.

Była równie wysoka jak młodzieniec, ubrana na czarno. Wydawała się szczupłą i krucha, a strój zdawał się pasować do jej obecnego nastroju. Czepek i szal okalały bladą, pociągłą twarz – dama była podobna do mężczyzny i zapewne była jego siostrą.

Doyle oszacował, że musiała być dwa, trzy lata starsza od młodzieńca, lecz nie zdążył przyjrzeć się jej uważnie, albowiem ten ujął ją za rękę i szybko podprowadził do drzwi. Zapukał zwyczajnie – widać nie znał umówionego kodu. Gdy stali pod drzwiami, młodzieniec zażarcie o czymś perorował – być może zwracał dziewczynie uwagę na fakt, iż znajdowali się w podejrzanym okolicy. Wyglądało na to, iż towarzyszył jej pod pewnym przymusem, ale pomimo fizycznej kruchości, bezwzględny i zdecydowany wyraz jej oczu świadczył, iż psychicznie była od niego silniejsza.

Kobieta trwożliwie zlustrowała ulicę. To autorka liściku i chyba mnie szuka – skonstatował Doyle. Już miał do nich podejść, gdy drzwi się otwały i dom wchłonął oboje.

Na zasłonach w saloniku igrały cienie. Korzystając z lornetki, Doyle dojrzał, że kobietę powitał mężczyzna, którego śniade oblicze ujrzał wcześniej w oknie, w towarzystwie ciężarnej robotnicy. Ta ostatnia wzięła od kobiety szal, a od jej brata kapelusz. Smagłolicy nieznacznym gestem nakazał im przejść do drugiego pokoju i w chwilę potem już ich nie było.

Ona nie zachowuje się jak ktoś, kto jest bliski utraty zmysłów – stwierdził Doyle. Tłumi w sobie żal. To co ją napędza, to strach. A jeśli dom przy Cheshire Street 13 był pułapką, sama weszła w zasadzkę.

Wkładając lornetkę do kieszeni i, dla uspokojenia, dotykając rewolweru, Doyle opuścił swój posterunek i przeszedł przez ulicę do woźnicy, który oparty leniwie o bok powozu, palił fajkę.

– Proszę wybaczyć, przyjacielu – rzekł Doyle z uprzejmym, na wpół żartobliwym uśmiechem. – Czy to nie tu odbywają się te spirytystyczne czary-mary? Mówiono mi, że pod 13. Cheshire Street.

– Nic mi o tym nie wiadomo, proszę pana. Dom to dom. Dla mnie to tylko adres. Ale może to i prawda.

– Ale czy to nie lady... no ta, jak jej tam... i jej brat... Przecież jest pan ich woźnicą, nieprawdaż? Masz na imię Sid, czyż nie?

– Tim, proszę pana.

– Racja, Tim. Odwoziłeś mnie i moją żonę ze stacji, kiedy w tamten weekend bawiliśmy na wsi.

Mężczyzna spojrzał na Doyle'a bez przekonania, choć najwyraźniej skłonny do współpracy.

– Znaczy się, do Topping.

– Zgadza się, do Topping, kiedy wszyscy pojechali do...

– Do opery.

– Tak, do opery... To było chyba w ubiegłym roku latem, zgadza się? A teraz Tim, powiedz uczciwie, nie pamiętasz mnie, co?

– Latem do lady Nicholson przyjeżdża mnóstwo ludzi – rzekł Tim przepraszająco. – Zwłaszcza miłośnicy opery.

– A jest ich niemało. Ale próbuję sobie przypomnieć, czy jej brat był tam wtedy, czy przebywał w Oksfordzie.

– W Cambridge. Wydaje mi się, że tam był, proszę pana.

– Oczywiście, już sobie przypominam – tylko raz byłem w Topping. – To wystarczy, pomyślał Doyle. Żeby nie przedobrzyć.

– Lubisz operę, Tim?

– Ja, proszę pana? Nie, to nie w moim guście. Wolę wyścigi konne.

– Dobry z ciebie człek. – Spojrzenie na zegarek. – Już ósma. Chyba lepiej wejść do środka. Do zobaczenia. Trzymaj się ciepło.

– Dziękuję panu – rzekł Tim, ucieszony tymi słowami, a może odejściem Doyle'a.

Doktor wszedł po schodach. Lady Caroline Nicholson, jej imię przyszło mu nagle na myśl. Teść w rządzie. Majątek – Topping, stara, rodowa posiadłość gdzieś w Sussex.

Jak zapukać? Kodem – trzy stuknięcia, przerwa i jeszcze raz. Ktoś podejdzie do drzwi i wtedy się okaże. Uniósł laskę, ale w tej samej chwili drzwi się uchyliły. Nie przypominał sobie, aby słyszał szcęk zamka. Prawdopodobnie były niedomknięte i uchylił je silniejszy

podmuch wiatru.

Wszedł. W holu było ciemno, pusto i smętnie – gołe deski, które nigdy nie widziały dywanu. Zamknięte drzwi po lewej, prawej i na wprost. Schody pnące się w górę jak zepsute zęby. Deski skrzypiące pod nogami przy byle stąpieniu. Po trzech krokach otwarte drzwi za jego plecami zamknęły się. Tym razem usłyszał szcęk zamka. Doyle stwierdził w duchu, że to znów tylko sztuczka wiatru. Tym razem podmuch musiał być silniejszy, skoro się zatrzasnęły.

Tyle tylko, że wąty płomyk pojedynczej świecy, która odgradzała Doyle'a od zupełnej ciemności, nawet nie zadrżał ani nie zatrzepotał od nagłego przeciągu. Doyle przesunął dłoń nad płomykiem – ten zafalował leciutko – i nagle zauważył, że obok świecznika na stole stoi szklana misa. Na hebanowej powierzchni blatu migotały odbicia słabego płomyka.

Misa miała średnicę dwóch dłoni. Szkło było grube, dymne, bogato zdobione. Finezyjna robota, i przedstawia jakąś scenę – stwierdził Doyle, gdy wyczuł pod palcami parę stożkowatych rogów sterczących z uniesionego ku górze zwierzęcego łba. Powiódł wzrokiem ku ciemnej masie czegoś wilgotnego i zwęglonego na dnie misy, czegoś co było pocerniałe, zniekształcone i wydzielalo osobliwy, drażniący odór. Zwalczając w sobie instynktowny wstręt, miał już włożyć palec do płynu, gdy pod jego powierzchnią coś się poruszyło.

Misa poczęła wirować, jej dno, uderzając o stół, wydawało wysoki, przenikliwy stukot. Cóż, zawsze możemy do tego wrócić – pomyślał, wycofując się.

Zza drzwi na wprost niego dobiegały przyciszone głosy – miękkie, rytmiczne, nieomal melodyjne. Współgrały z wibracją, a może nawet ją wywoływały.

To nie była pieśń, raczej inkantacja – słowa brzmiały niezrozumiale...

Drzwi po prawej stronie otworzyły się. Stał w nich chłopiec, którego już wcześniej widział. Ulicznik nie był zdziwiony jego widokiem.

– Przyszedłem na seans – rzekł Doyle.

Chłopak zmarszczył brwi, przyglądając mu się pytająco i taksująco. Był starszy niż mu się wydawało i za mały jak na swój wiek. Sporo starszy. Miał brudną twarz, czapkę naciśniętą na uszy, ale ani brud, ani czapka nie mogły zatuszować zmarszczek w kącikach oczu i na czole. Była ich cała masa. A jego bezradne oczy nie były oczyma dziecka.

– Lady Nicholson oczekuje mnie – rzekł z naciskiem Doyle.

Chłopak zamyślił się, a jego oczy stały się dziwnie puste, jakby nieobecne. Doyle odczekał dziesięć sekund, spodziewając się w głębi duszy, że chłopak upadnie – ot, nagły atak jakiejś osobliwej choroby – i już miał wyciągnąć rękę w jego stronę, gdy chłopak wrócił do

siebie. Dosłownie. Otworzył drzwi i skłonił się sztywno, machnięciem ręki dając Doyle'owi znak, by wszedł.

Epileptyk, zapewne ofiara przemocy w dzieciństwie, o wzroście zahamowanym przez niewłaściwe odżywianie. Być może niemowa. Ulice East Endu pełne są takich jak on straceńców – skonstatował obojętnie Doyle. Można ich sprzedać i kupić za mniej drobnych niż mam teraz w kieszeni.

Doyle minął chłopaka i wszedł do saloniku – śpiewne głosy wydawały mu się teraz bliższe. Dochodziły zza rozsuwanych, a obecnie zamkniętych, drzwi na wprost niego. Drzwi zatrzasnęły się za nim, chłopak zniknął.

Doyle podszedł miękko do drzwi, a nasłuchując, stwierdził, że głosy umilkły i dobiegał go tylko posępny syk gazowych lamp.

Drzwi rozsunęły się. Po drugiej stronie pojawił się chłopak i dał mu znak, aby wszedł. Z tyłu, za nim, w zdumiewająco dużym pokoju, seans już trwał.

Nowoczesny ruch spirytystyczny rozpoczął się od oszustwa. Dnia 31 marca 1848 roku w domu państwa Fox, w spokojnym Hydesville w stanie Nowy Jork, dały się słyszeć tajemnicze odgłosy. Dźwięki rozlegały się przez wiele miesięcy, gdy w pomieszczeniu znajdowały się dwie dorastające córki Foxów. W latach późniejszych siostry Fox skorzystały z rozgłosu, jaki powstał wokół ich sprawy, i zaczęły zarabiać niezły grosz, pisząc książki, prowadząc wykłady, odbywając liczne spotkania i seanse. Dopiero przed śmiercią Margaret Fox wyznała, iż manifestacje ducha były efektem rozmaitych, coraz wymyślniejszych sztuczek, lecz było już za późno, by uciszyć *vox populi* spragniony doświadczeń ze światem ponadmysłowym: przewaga nauki nad pokrytą lekką patyną religią chrześcijańską stworzyła podwaliny, na których niczym chwast począł się krzewić spirytyzm.

Ruch wyznaczył sobie cel – potwierdzenie istnienia życia po śmierci poprzez komunikowanie się z duchami za pośrednictwem mediów, znanych również jako osoby sensoryczne – czyli te, które odbierają przekazy z innego świata. Odkrywszy i rozwinięwszy w sobie tę umiejętność, medium nawiązywało „współpracę” z duchem-przewodnikiem, który służył jako międzyplaszczynowy interlokutor. Większość klienteli mediów stanowiły osoby cudem uratowane z rozmaitych wypadków, które za wszelką cenę pragnęły dowiedzieć się, że ich drodzy zmarli dotarli bezpiecznie na drugi brzeg Styksu. Zadaniem ducha-przewodnika było nadać kontaktowi wrażenie autentyczności, dzięki wyciągnięciu od cioci Minnie czy braciszka Billa przekonującego dowodu – zazwyczaj w formie jakiejś anegdoty znanej tylko w ściśle określonym kręgu nieutulonych w żalu bliskich.

Odpowiedzi na pytania duch przekazywał poprzez stukanie albo pukanie w stoliki.

Bardziej wprawne media wchodziły w trans, podczas którego przewodnik duchowy „pożyczał” sobie struny głosowe gospodarza, naśladować, skądinąd nader udanie, głos ukochanej osoby. Kilka mediów (było ich raczej niewiele) posiadało znacznie rzadszą umiejętność – wydzielania z ust i porów skóry nosa mlecznobiałej substancji przypominającej wyglądem – choć nie konsystencją – dym. Substancja ta nie rozpraszała się ani nie reagowała na warunki atmosferyczne, zachowując się jak trójwymiarowa *tabula rasa*, zdolna przyjmować kształt wybranej rzeczy lub istoty. Jedną rzeczą było słyszeć, jak ciotunia Minnie puka w stół, ale czym innym ujrzeć jej postać, formującą się wprost na oczach zainteresowanych, z chmury kleistej, ciastowatej mgiełki. Ową dziwną substancję nazywano ektoplazmą. Wielokrotnie robiono jej zdjęcia. Nie istniały żadne naukowe wyjaśnienia jej powstawania.

Poza osobami pogrążonymi w smutku i skonfundowanymi, z usług mediów korzystali klienci dwojakiego rodzaju. Motywowani podobnymi bodźcami, mieli jednak diametralnie różne cele. Byli to poszukiwacze światłości i wyznawcy ciemności. Doyle'em na przykład powodowało przekonanie, że gdyby udało się przebić powłokę właściwej sfery wiedzy, w naszym zasięgu znalazłyby się odwieczne tajemnice zdrowia i chorób. Dokonał skrzętnej analizy przypadku niejakiego Andrew Jacksona Davisa, analfabety z USA, który urodził się w 1826 roku i jako nastolatek posiadał umiejętność diagnozowania chorób za pomocą „duchowych oczu”, postrzegając ludzkie ciało jakby było przezroczyste, a widoczne organy jako źródło światła; ich odcienie i gradacja świadczyły o zdrowiu bądź chorobie. Posiadając taki talent, można stać się geniuszem medycyny – stwierdził Doyle.

Z drugiej strony, czciciele ciemności pragnęli odkryć prastare sekrety, by móc wykorzystać je dla własnych celów – a wyobraźmy sobie pionierów elektromagnetyzmu, decydujących się zachować owo odkrycie dla siebie.

Na nieszczęście, jak stwierdził Doyle, grupa ta była bardziej zwarta i zjednoczona niż jej przeciwnicy, i na dodatek znacznie bliższa osiągnięcia upragnionego celu.

Tej samej nocy, w tym samym czasie, o niecałą milę od domu przy Cheshire Street 13, z pubu przy Mitre Square wytoczyła się nędzna, sterana życiem ulicznica. Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia nie przyniósł jej dobrego zarobku – kilka monet, które zarobiła, wydała, na próżno usiłując zaspokoić swe okrutnie bezlitosne pragnienie.

Jej zarobki zależały od chuci wywołanej tanim dżinem u takich samych jak ona nieszczęśników, którzy byli w stanie wysupłać parę groszy, by pofolgować swym żądom w jakiejś cuchnącej bramie czy pod ścianą, w sąsiedztwie śmierdzącego rynsztoka. Jej uroda należała już do przeszłości. Niczym się nie odróżniała od dziesiątków innych ulicznic

Londynu.

Jej życie rozpoczęło się w jakiejś wiejskiej arkadii, gdzie była niegdyś oczkiem w głowie swych rodziców i najpiękniejszą dziewczyną w całej okolicy. Czy w jej oczach migotały iskierki, a skóra lśniła zdrowiem, gdy rozłożyła nogi przed plugawym przyjezdnym wieprzem, który zawrócił jej w głowie wizją uroków miasta? Czy przybyła tam z nadzieją? Czy jej słodkie sny o szczęściu umierały powoli, w miarę jak alkohol pochłaniał jej komórki – czy jeden potężny cios w samo serce strzaskał jej wolę niczym gliniany dzban?

Zimno przenikało przez jej rozchodzący się w szwach płaszcz. Pomyślała o rodzinach, które widziała przez oszronione okna, spożywających wieczerzę wigilijną. Mogło to być wspomnienie albo rycina na jakiejś na wpół zapomnianej pocztówce. Obraz znikł, zastąpiony myślami o niewielkim pokoiku, który dzieliła z trzema kobietami. Wizja snu i nędznych bądź co bądź wygod klitki ożywiła ją, a nogi poniosły naprzód. Jakby otepiała, postanowiła dotrzeć do Aldgate na skrót, przez pusty plac w pobliżu Commercial Street.

3. PRAWDZIWE OBLICZE

Lady Nicholson pierwsza dostrzegła Doyle'a stojącego w drzwiach. Zauważył, że go poznała, lekko się zaczerwieniła, westchnęła, ale poza tym zachowywała kamienne oblicze. Bystra – stwierdził w myślach. – To najpiękniejsza twarz, jaką widziałem w życiu.

Okrągły stół, nakryty białym obrusem, stał pośrodku pokoju. Światło płynęło z dwóch kandelabrow stojących po wschodniej i zachodniej stronie stołu – ściany tonęły w ciemnościach. Dławiący aromat paczuli wisiał w powietrzu – czuć było również suchą, charakterystyczną woń elektryczności. Kiedy jego źrenice rozszerzyły się, na tle zdobionych gobelinów Doyle ujrzał sześć osób siedzących przy stole i trzymających się za ręce. Po prawej stronie lady Nicholson siedział jej brat, po jego prawicy ciężarna służąca, krąg zaś zamykał mężczyzna, którego Doyle zidentyfikował jako jej męża, ogorzały facet z okna oraz medium. Media czerpały większość swych sztuczek z obrządków religijnych – dym, półmrok i posępne, niezrozumiałe mamrotanie. Zebrani tu ludzie śpiewali, wykonując skomplikowaną inwokację – na którą odpowiadało medium – będącą rytualnym prologiem tworzącym właściwą atmosferę niepokoju i doniosłości.

Oczy medium były zamknięte, odchylona w tył głowa odsłaniała grubą szyję. Była to ta niska, korpulentna kobieta w nowych butach, ale już bez szala. Przez lata Doyle poznał wielu praktyków spirytyzmu z City, zarówno prawdziwe talenty, jak i oszustów – tej kobiety nie znał.

Nosiła czarne, włóczkowe wdzianko z białym kołnierzykiem, ani tanie, ani ekstrawaganckie, a rękawy opinały ciasno jej grube ręce. Oblicze miała blade, jakby pozbawione krwi i pokryte licznymi myszkami. Splot słoneczny kobiety poruszał się w rytm przyspieszonego oddechu. Była o krok od wejścia w trans – lub doskonale udawała.

Lady Nicholson była cała czerwona, a kłykcie jej dłoni lśniły kościstą bielą, uwięzione w mocnym, konwulsyjnym niemal uścisku ręki medium. Częste spojrzenia, którymi obdarzał ją brat, nie pozwalały mu – zdaniem Doyle'a – na osiągnięcie właściwej koncentracji, nie aprobował tego przedstawienia zapewne również ze względu na wrodzony

sceptycyzm. Sposób, w jaki ciężarna kobieta trzymała głowę, zdradzał jej nieomal ślepe oddanie i wiarę. Jej mąż, którego twarz Doyle widział tylko z profilu, zmrużył powieki i poruszając wolno szczękami, wpatrywał się w medium. Co to miało oznaczać – podniecenie czy gniew?

Ciemny Mężczyzna ujrzał Doyle'a następnym. Jego wzrok przeszył przestrzeń pomiędzy nimi. Miał obsydianowo czarne oczy, jak klejnoty osadzone w głębokich, mrocznych jamach. Zapadnięte policzki barwy lakierowanego drewna tekowego, podobnie jak zuchwa i podbródek, pokryte były śladami po ospie. Wargi jak brzytwy. Oczy pałające, ale ich wyraz był niemożliwy do odczytania. Puścił dłoń mężczyzny po lewej i wyciągnął ją do Doyle'a – palce złączone razem, kciuk odciągnięty.

– Przyłącz się do nas. – Ciemny Mężczyzna zdawał się szeptać, ale słowa zabrzmiały wyraźnie.

Mężczyzna przeniósł wzrok na chłopaka, który natychmiast odpowiedział spojrzeniem. Porozumieli się bez słów. Chłopak wyciągnął rękę i ujął dłoń Doyle'a – palce miał szorstkie i nieprzyjemne. Gdy Doyle pozwolił, by chłopak wprowadził go głębiej do pokoju, poczuł na plecach lodowaty dreszcz i nie wiedzieć czemu zapragnął znaleźć się gdzie indziej.

Chłopak podprowadził go do wolnego krzesła pomiędzy dwoma mężczyznami. Brat lady Nicholson spojrzał nań z lekkim zdumieniem, jakby coś w jego wyglądzie wydawało mu się niejasne.

Doyle ujął prawą dłonią dłoń Ciemnego Mężczyzny i siadł na krześle. Mężczyzna po lewej natychmiast zacisnął palce na jego drugiej ręce. Kiedy Doyle odwrócił się do lady Nicholson, siedzącej dokładnie naprzeciw niego, napotkał zarliwe spojrzenie kobiety, której stateczne, dostatnie życie zostało brutalnie przerwane, a przebudzeniu temu towarzyszyła dojmująca świadomość istnienia. Owa witalność podkreślała jej niewysłowioną urodę. W jej oczach barwy akwamaryny tańczyły jaskrawe ogniki, a blade policzki spłonęły się rumieńcem. Doyle, choć mocno zdezorientowany, zauważył, że miała makijaż. Wyszeptała: Dziękuję. W tej samej chwili Doyle poczuł, że serce mocniej zabiło mu w piersi. Adrenalina – stwierdził z zaciekawieniem.

Ostry, beznamiętny głos wyrwał go z chwilowego osłupienia.

– Są tu dziś z nami obcy.

Był to męski głos, tubalny i zimny jak nurt górskiego strumienia, przesycony wszakże urzekającym, zwodniczym tremolo.

– Witamy wszystkich.

Doyle odwrócił się do medium. Kobieta miała otwarte oczy, a głos dobywał się z jej gardła. Doyle miał wrażenie, że od czasu gdy ostatni raz na nią patrzył, oblicze kobiety nieco zmieniło swój kształt – z woskowego na bardziej rumiane, kościste i kanciaste. W oczach pojawiły się gładkie błyski, na wargach wykwitł lubieżny uśmiech.

To zastanawiające – w trakcie swoich badań Doyle napotkał zaledwie dwie relacje dotyczące tego zjawiska, znanego pod nazwą fizjologicznej transmogryfikacji, ale nigdy nie miał okazji oglądać go na własne oczy.

Medium spod wpółprzymkniętych powiek powiodło wzrokiem wokół stolika, omijając przy tym Doyle'a, powodując wyraźne drżenie przewodzone przez dłonie dwojga osób siedzących po jego lewej stronie. Następnie tak długo patrzyło na brata lady Nicholson, że ten, jak zawstydzony psiak, odwrócił głowę.

– Ty... oczekujesz, bym cię poprowadził.

Usta lady Nicholson zadrżały. Doyle nie był pewien, czy kobieta zdoła wydobyć z siebie głos, ale uczynił to za nią Ciemny Mężczyzna.

– My wszyscy pokornie prosimy o to, byś nas poprowadził i dziękujemy, że raczyłeś nas odwiedzić. – Głos miał syczący, najprawdopodobniej wskutek uszkodzenia strun głosowych. Obcy akcent – zdaje się śródziemnomorski – Doyle nie był jeszcze w stanie go zidentyfikować.

A zatem ten człowiek był *amanuensis*, łącznikiem pomiędzy medium a klientem. Zazwyczaj bywali oni również mózgmami całego przedsięwzięcia. Starali się sprawić wrażenie nieprzejednanych, gorliwych wyznawców, co ma się rozumieć służyło ich celom. Obraz ten miał być ich najlepszą wizytówką. Tu zaczynało się oszustwo – oportunistyczny komiwojażer eksploatował media (w tym również prawdziwe) z niewiarygodną łatwością i dwuznaczną wręcz naiwnością względem merkantylizmu współczesnego świata. Jak mówił o tym pewien facet z Gloucester, opisując sensorywne umiejętności swego syna, skądinąd półgłówka: „Kiedy masz możliwość zajrzenia przez okno do innego świata, nie zapomnij zaopatrzyć się wcześniej w parę cegieł”.

To był zespół – medium, łącznik, ulicznik (do wszystkiego), służąca w ciąży – mający zapewnić wiarygodność emocjonalną, jej mąż osiłek i kilku innych niewidocznych, ale z pewnością kryjących się w pobliżu. Wszystko wskazywało, że ich celem była lady Nicholson. Ta kobieta wcale nie była głupia – wysłała Doyle'owi liścik – jednak jej poczynaniami w dużej mierze musiały kierować ból i smutek. Wystarczyło ujrzeć reakcję pozostałych na pojawienie się Doyle'a, ich zaskoczenie, choć w gruncie rzeczy to słowo nie wydawało się adekwatne w tej sytuacji.

– Wszyscy jesteśmy istotami światłości i ducha, zarówno tu, jak i na płaszczyźnie fizycznej. Życie jest życiem, życie jest jednością, życie jest wszelkim stworzeniem. Czycimy życie i światłość w was, tak jak wy czycicie je w nas. Po tej stronie wszyscy stanowimy jedność i pragniemy, byście po tamtej stronie odnaleźli wieczną harmonię, błogosławieństwo i spokój. – Medium wyrzuciło z siebie standardową formułę, po czym odwróciło się do Ciemnego Mężczyzny, a ten skinął głową, dając znak do formalnego rozpoczęcia seansu.

– Duch wita cię. Duch wie o twoim smutku i pragnie ci pomóc, najlepiej jak tylko potrafi. Możesz zwracać się bezpośrednio do Ducha – rzekł Ciemny Mężczyzna do lady Nicholson.

Borykając się z nagłą, dojmującą niepewnością lady Nicholson nie odpowiedziała, jakby wypowiedziane przez nią pierwsze pytanie miało obrócić w perzynę budowany przez lata fundament odziedziczonych wierzeń i przekonań.

– Możemy odejść, moglibyśmy stąd pójść – odezwał się jej brat.

– Zaczynj od twego syna – powiedziało medium. Uniosła wzrok, zaskoczona, i błyskawicznie skupiła go na medium.

– Przyszłaś tu, by spytać mnie o twego syna.

W jej oczach zakręciły się łzy.

– O Boże...

– O co chcesz spytać Ducha? – ciągnęło medium, uśmiechając się, ale efekt był wyjątkowo sztuczny.

– Skąd wiedziałaś? – Łzy płynęły jej po policzkach.

– Czy twój syn przeszedł na drugą stronę? – Uśmiech nie zamarł.

Lady pokręciła głową, nie rozumiejąc pytania.

– Czy ktoś umarł? – spytał Ciemny Mężczyzna.

– Nie jestem pewna. To znaczy... nie wiem... – Znów się zawahała.

– On zniknął. Cztery dni temu. Ma zaledwie trzy latka – dokończył jej brat.

– Ma na imię William – powiedziało bez wahania medium. Zadaniem Ciemnego Mężczyzny było dowiedzieć się tego.

– Willie. – Jej głos drżał z emocji. Chwyliła haczyk. Doyle bacznie rozejrzał się po pokoju, lustrując sufit i gobeliny w poszukiwaniu zwisających sznurków i urządzeń projekcyjnych. Jak dotąd nic.

– Byliśmy już na policji. To nic nie dało...

– Nawet nie wiemy, czy żyje – wybuchnęła tłumionym dotąd smutkiem. – Na litość boską, skoro tyle wiesz, to wiesz również, co mnie tu sprowadza! – Przez moment

wpatrywała się w oczy Doyle'a, sycąc się jego współczuciem. – Proszę, powiedz mi. Bo oszaleję.

Uśmiech medium zniknął. Pokiwała posępnie głową.

– Chwileczkę – powiedziała. Zamknęła oczy i znów odchyliła głowę do tyłu. Krag dłoni pozostał nieprzerwany. Cisza, jaka zapadła, bynajmniej nie była przyjemna.

Cieżarna jęknęła. Wpatrywała się w punkt, jakieś nad stolikiem, gdzie poczęła materializować się kula białej mgły, obracając się, jak miniaturowy glob, wokół osi. Z jej jądra poczęły odrywać się włókniste strzępy i po chwili kula zmieniła się w płaską, prostokątną płaszczyznę. Różnej gęstości fragmenty układały się w rozmaite formy topograficzne – wzgórza, wąwozy, przełęcz, nie wychodząc wszakże poza niewidzialną granicę, równie sztywną jak złocona ramka.

Mapa? Obroty zwolniły tempa i obraz stał się wyraźniejszy, gra światel i cieni, wyblakłe barwy – mniej dokładna niż fotografia, aczkolwiek bardziej żywa, z sugestywnym wrażeniem ruchu i odległymi, choć słyszalnymi dźwiękami, jakby scena ta była oglądana z daleka przez prymitywny, bezosobowy obiektyw.

Widać było chłopca leżącego u podnóża drzewa. Nosił krótkie spodenki, luźną bluzę, rajtuzy. Nie miał butów. Dłonie i stopy miał mocno związane sznurem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że spał, ale po krótkim przyjrzeniu się można było stwierdzić, iż jego pierś porusza się ciężko w ataku kaszlu lub szlochu. Wreszcie wewnątrz pokoju wypełnił upiorny, wyrazisty dźwięk patetycznego, dziecięcego płaczu.

– Na miłość boską, to on, to on! – jęknęła lady Nicholson. Wyraźnie się ożywiła. Była teraz spięta i czujna.

Pojawiły się kolejne szczegóły owego niezemskiego dagerotypu – niewielki strumień, płynący przez las o kilka stóp od miejsca, gdzie na poszyciu z liści spoczywał skrępowany chłopiec. Sznur unieruchamiający kostki i nadgarstki dziecka przywiązany był do nisko zwieszającej się gałęzi drzewa. Z tyłu rozciągał się szpaler mrocznych, skąpanych w zieloności drzew – las. Na ziemi u stóp chłopca leżał jakiś przedmiot – małe, prostokątne blaszane pudełko z napisem... SZKOP...

– Willie! – zawołała.

– Gdzie on jest? Gdzie on jest? – spytał brat, a jego wybuch wściekłości w znacznym stopniu złagodziło zdumienie i zakłopotanie.

Pogrążone w transie medium nie odpowiedziało.

– Powiedz nam! – rzucił brat i chciał powiedzieć coś jeszcze, gdy ciszę w pokoju przeszył przeraźliwy atonalny ryk trąb, szaleńczy jazgot, pozbawiony odrobiny

harmonicznego rytmu. Doyle osłupiał porażony i przytłoczony nieprzyjemną dawką wibracji.

– Róg Gabriela! – wrzasnął mężczyzna siedzący po lewej. W tej samej chwili coś czarnego i posepnego pojawiło się na obrzeżach wiszącego w powietrzu obrazu – cień, bardziej wyczuwalny niż widzialny, złowrogi i groźny. Mroczna masa, stała i lotna zarazem, przesączała się przez widmowy las, zbliżając się do bezbronnego dziecka.

Nieuchronne przeświadczenie, że widział owo widmo poprzedniego wieczoru, w holu przed drzwiami swego mieszkania sprawiło, iż Doyle na próżno poszukiwał racjonalnych wyjaśnień. Głos w jego umyśle krzyczał: To nie oznacza śmierci, lecz kompletne unicestwienie.

Kakofoniczny koszmar przybrał na sile. W powietrzu naprzeciw obrazu pojawił się długi, mosiężny róg, kołyszący się kapryśnie. Nareszcie popełnili pierwszy błąd – pomyślał Doyle. Czy zdoła dostrzec zdradliwy błysk nici u dołu trąbki?

Tworząc wokół chłopca żarłoczną spiralę, widmo wyssało z obrazu resztki światła, pochłonęło odgłos płaczu i znalazło się o krok od wchłonięcia samego malca.

Lady Nicholson krzyczała.

Doyle poderwał się z miejsca i uwolnił ręce. Gwałtownym ruchem podniósł swoje krzesło i cisnął w obraz – ten rozprysnął się jak płynne szkło, rozpraszając się i roztapiając w mrocznej pustce. Kiedy podtrzymujące ją nici zostały zerwane, mosiężna trąba z głośnym brzękiem spadła na stolik.

Turlając się po ziemi, by uniknąć nieuchronnego ciosu, Doyle poczuł jak pięść mężczyzny po lewej trafia go boleśnie poniżej obojczyka. Jednym szybkim ruchem Doyle zgarnął ze stolika trąbę i zamachnąwszy się, zdzielił nią tamtego w bok głowy. Z rany trysnęła krew, a facet stracił równowagę i osunął się na kolana.

– Łajdaki! – ryknął wściekle Doyle. Sięgnął do kieszeni po rewolwer, gdy silny cios z prawej strony w szyję sparaliżował mu całe ramię. Odwrócił się, by ujrzeć Ciemnego Mężczyznę unoszącego ołowianą pałkę do kolejnego ciosu. Wyrzucił w górę lewą rękę, by go zablokować.

– Głupcze! – Głos dobywał się z ust medium. Ze złowieszczym uśmiechem i pałającymi oczyma kobieta płynnie wzbila się w powietrze i zawisła nad stolikiem. Zdezorientowany Ciemny Mężczyzna odwrócił się w jej stronę. Jego pałka zastygła w powietrzu.

Doyle poczuł, jak ranny mężczyzna niezdarnie chwyta go od tyłu.

– Uważasz się za poszukiwacza PRAWDY? – rzuciło drwiąco medium.

Kobieta wyciągnęła ręce przed siebie. Jej skroń marszczyła się pod wpływem

odrażających, podskórnych skurczów. Otworzyła usta – wypłynęła z nich, podobnie jak z dłoni, struga szarej, mglisto-wodnistej substancji. Zawisając w powietrzu, opar przybrał kształt sporego zwierciadła. Gdy jego powierzchnia wygładziła się i znieruchomiła, w widmowym szkłe pojawiło się odbicie twarzy medium.

– Spójrz zatem, oto moje prawdziwe oblicze.

Z pustki za jej odbiciem w lustrze napłynęła inna forma, mglista i niewyraźna, która nałożyła się na wizerunek medium, wlewając się weń jak woda w piasek, dopóki nie powstał całkiem nowy obraz – przypominającej kościotrupa istoty o czerwonych, ociekających ropą bezokich oczodołach, szarej skórze, w wielu miejscach wyżartej aż do kości, której płyty w zgoła nietypowych miejscach porastała czarna, gęsta, falująca obrzydliwie szczecina. Niezależnie od medium, które pozostawało w bezruchu i tylko się uśmiechało, istota spojrzała na Doyle'a i otworzyła gnijącą jamę służącą jej za usta. Głos miała ten sam co dotychczas, ale teraz dobywał się wyłącznie z ust upiora w lustrze.

– Wydaje ci się, że czynisz dobrze. Spójrz, co uczyniło to twoje DOBRO.

Zza gobelinu wyłoniły się dwie zakapturzone sylwetki. Poruszały się tak szybko, że Doyle nie zdążył zareagować. Jeden trzasnął brata lady Nicholson w głowę jakimś matowym, podłużnym przedmiotem. Mężczyzna padł jak ścięty, a z jego głowy chlusnęła krew.

Drugi napastnik w kapturze chwycił lady Nicholson i przeciągnął długim, cienkim ostrzem po jej szyi, sprawnie przecinając obie tętnice. Buchnęła krew. Krzyk rodzący się w gardle lady Nicholson zmienił się w ochryply bełkot, gdy kobieta osunęła się bezwładnie pod stół.

– Boże! Nie! – krzyknął Doyle.

Potwór wiszący w powietrzu zachichotał obłąkańczo i w chwilę potem lustro z ektoplazmą eksplodowało przy wtórce oślepiającego błysku światła.

Jeden z morderców skierował się teraz ku Doyle'owi. Zwinnie wskoczył na stolik, zamierzając rzucić się na doktora i uśmiercić go ciosem młotka, tego samego, którym roztrzaskał czoło brata lady Nicholson – gdy wtem coś świsnęło doktorowi tuż nad uchem, a w gardle zabójcy pojawiła się czarna rękojeść.

Mężczyzna stojący na blacie stolika znieruchomiał, upuścił swą broń i sięgnął niezdarnie obiema dłońmi do gardła – sztylet przebił je na wylot, przyszpilając kaptur tak, że zupełnie przesłonił twarz mordercy.

Mężczyzna zachwiał się i runął.

Z głośnym stęknięciem mężczyzna trzymający Doyle'a upadł i znieruchomiał na podłodze – doktor był wolny.

Nieznajomy męski głos wyszeptał mu wprost do ucha:

– Twój rewolwer, Doyle.

Doyle uniósł wzrok, by ujrzeć Ciemnego Mężczyznę odwracającego się ku niemu z uniesioną pałąką. Wyszarpnął rewolwer z kieszeni i strzelił. Ze strzaskanym lewym kolaniem, Ciemny Mężczyzna, wyjąc przeraźliwie, grzmotnął o ziemię.

Jakiś kształt przemknął obok Doyle'a, kopnięciem zrzucając kandelabr, i cały pokój pograżył się w atramentowej ciemności. Doktor zdążył jeszcze zauważyć, że medium zniknęło, gdy jego uwagę ponownie przykuła rozmyta plama szarości – drugi z zabójców zmierzał w jego stronę.

W dalszym ciągu niewidoczny, wybawiciel Doyle'a przewrócił ciężki stolik, odrzucając zamachowca w tył. Silne dłonie pomogły Doyle'owi wstać.

– Za mną – polecił głos.

– Lady Nicholson...

– Za późno.

Doktor podążył za głosem w ciemność. Minęli drzwi, przeszli przez korytarz. Doyle był zdezorientowany – wszedł do budynku inną drogą.

Drzwi na końcu korytarza otwarły się od solidnego kopniaka, wymierzonego przez sprzymierzeńca Doyle'a, i w korytarzu nieco się rozwidniło.

Wciąż znajdowali się w budynku. Doyle widział obok siebie profil wysokiego, kościstego mężczyzny i parę z jego oddechu, unoszącą się w chłodnym powietrzu. Nic więcej.

– Tędy – rozkazał nieznajomy.

Już mieli przejść przez następne drzwi, gdy z ciemności, przy wtórze zwierzęcego warkotu, wyprysnął jakiś kształt i wpił się w wysuniętą do przodu nogę mężczyzny. Ten zachwiał się i krzyknął, zaskoczony. Doyle wypalił, mierząc w ciemny, niewyraźny kształt atakującego zwierzęcia, które zaskowyczało i odskoczyło, zawodząc z bólu.

Doyle wystrzelił ponownie, uciszając skomlenie.

Mężczyzna barkiem sforsował drzwi. W świetle, które z zewnątrz dotarło do holu, doktor ujrział nieruchome ciało ulicznika – z jego ran płynęła krew, okrwawione szczęki zastygły w grymasie śmierci, zaś w obnażonych, spiczastych jak u wilka kłach tkwił kawałek odgryzionego mięsa.

– O mały włos – rzekł mężczyzna i obaj z Doyle'em wyszli z przerażającego domu.

4. UCIECZKA

Jego wybawiciel przejął prowadzenie w obłąkańczej ucieczce mrocznymi alejkami. Nie znając innej drogi, Doyle nie miał wyboru, jak tylko pilnować, by nie stracić z oczu falującej peleryny nieznajomego. Pokonali jeden, drugi, trzeci zakręt.

Wygląda na to, że wie dokąd biegnie – pomyślał Doyle, widząc otaczające ich z obu stron posępne, zapuszczone rudery i baraki.

Znalazłszy się w brukowanej alejce, mężczyzna przystanął; Doyle, rozpędzony, znalazł się w połowie szerokości ulicy, zanim mężczyzna wciągnął go w dający schronienie mrok. Miał niewiarygodnie silny chwyt. Doyle chciał już coś powiedzieć, ale mężczyzna uciszył go brutalnie i wskazał na narożnik poprzecznej alejki nie opodal.

Zza narożnika wyłonił się ocalały zabójca w szarym kapturze. Skulony, poruszał się wolno i z rozmysłem, wpatrując się uważnie w ziemię – przypominał psa gończego podążającego za tropem. Co mógł wypatrzeć? – spytał sam siebie Doyle i nagle, z jeszcze większym niepokojem, dodał: – i jak mógł tu dotrzeć tak szybko?

Doyle usłyszał delikatny brzęk stali o stal, gdy jego towarzysz, z twarzą wciąż ukrytą wśród cieni, wyjął z trzymanej w ręku laski ukryte ostrze.

Doktor instynktownie sięgnął po rewolwer.

Dłoń jego przyjaciela, zaciskająca się na rękojeści długiego ostrza, była nieruchoma, jakby wykuta z kamienia.

Z lewej nadjechał powóz. W ich polu widzenia ukazały się cztery wielkie, czarne rumaki – ich kopyta załomotały na bruku. Sześciuosobowy powóz był ogromny i czarny jak noc. Nie było widać woźnicy. Człowiek w szarym kapturze podszedł do powozu. Okno uchyliło się, ale z wnętrza nie popłynęło światło. Mężczyzna pokiwał głową, lecz trudno było stwierdzić, czy cokolwiek powiedział – ciszę nocy zakłóciło jedynie nerwowe parsknięcie koni.

Szary kaptur odwrócił się od powozu i spojrzał w głąb alejki, gdzie oparł plecami o mur, ukrywali się Doyle i jego towarzysz. Kaptur ruszył w ich stronę, zatrzymał się i

przechylił głowę jak pies nasłuchujący dźwięków o częstotliwości nieuchwytnej dla człowieka. Stał tak przez pewien czas, a mroząca krew w żyłach pustka odnajdywała idealny wyraz w pozbawionym życia obliczu-masce.

Doyle'owi dech zaparło w piersi. Coś tu jest nie tak – pomyślał i nagle zrozumiał: nie widzi otworów na oczy.

Drzwiczki czarnego powozu otwarły się. Powietrze wypełnił wysoki, krótki, przeraźliwy pisk – coś pomiędzy gwizdem a dźwiękiem rzadko wydawanym przez ludzkie struny głosowe. Szary kaptur odwrócił się gwałtownie i wskoczył do powozu – drzwiczki zatrzasnęły się, a rumaki pociągnęły ciężką karetę w dal. Opary oleistej mgły rozstały się i wchłonęły ją z upiorną żarłocznością.

Kiedy ucichł stukot kopyt, towarzysz Doyle'a wsunął broń na miejsce.

– Ki diabeł – zaczął Doyle, oddychając ciężko.

– Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni – uciął półgłosem mężczyzna.

– Dobra nasza, ale chyba już czas zamienić parę słów...

– To wszystko, co możemy zrobić.

Mężczyzna znowu oddalił się. Doktor nie miał innego wyjścia, jak tylko podążyć za nim. Trzymając się głębokich cieni, zatrzymywali się dwukrotnie, gdy ciszę przeszył wysoki, piskliwy gwizd dobiegający za każdym razem z większej odległości, pozwalając doktorowi snuć przypuszczenia, iż ich tropem podążało kilku zakapturzonych morderców. Doyle chciał już coś powiedzieć, ale skręciwszy za róg, natknął się na czekającą na nich dwukólkę. Na koźle siedział krępy woźnica. Mężczyzna dał znak, a woźnica odwrócił się. Miał paskudną, postrzępioną bliznę, przecinającą ukośnie prawą stronę twarzy. Skinął lekko głową, odwrócił się do koni i strzelił z bicia, gdy mężczyzna otworzył drzwiczki ruszającego keba i wskoczył do środka.

– Wsiadaj, Doyle.

Doktor wskoczył na stopień i odwrócił się, gdy nagle z prawej strony dobiegł go głuchy stukot – długie, zakrzywione ostrze przebiło drzwiczki powozu, a drżący czubek ostrza wyzierał zaledwie o kilka cali od piersi Doyle'a. Powietrze zadrżało pod wpływem przeciągłego, plugawego gwizdu. Doyle odwrócił się – szary kaptur był dwadzieścia jardów za nimi i dobywszy zza pasa drugi, równie paskudnie wyglądający sztylet, gnał z nieprawdopodobną szybkością w stronę powozu. Potężnym susem mroczny prześladowca wskoczył na stopień przyspieszającego keba, chwytając się framugi otwartych drzwiczek. Mocne dłonie wciągnęły Doyle'a do środka – zatoczył się na siedzenie i zaczął szukać swego rewolweru. Usiłował sobie przypomnieć, do której kieszeni go włożył, gdy usłyszał trzask

otwieranych drugich drzwiczek.

Unosząc wzrok, ujrzał powiewające poły surduta; jego przyjaciel uciekł, pozostawiając go uwięzionego w kabinie, sam na sam z bezlitosnym i nieugiętym prześladowcą – gdzie się podział jego rewolwer?

Nagle usłyszał jakieś poruszenie na dachu, a potem przez otwarte okno ujrzał swego przyjaciela ześlizgującego się w dół i kopiaącego obiema nogami w otwarte drzwiczki. Zatrzasnęły się z hukiem, wbijając jednocześnie ostrze sztyletu, aż po rękojeść, w pierś napastnika. Przy wtórze upiornego, zduszonego ni to krzyku, ni to miauknięcia, człowiek w kapturze zaczął wierzgać nogami i szarpać za sztylet, ale mimo iż poharatał sobie obie dłonie, jego wysiłki spełzły na niczym i po chwili zawisł bezwładnie przyszpilony do drzwi, jak owad w kolekcji entomologa.

Doyle podniósł się na kolana, pomimo iż powozem strasznie rzucało, i podpełzł do zakapturzonego mordercy. Proste odzienie. Podkute buty – prawie nowe. Dotykając dłonią jego szyi, aby wyczuć puls – którego nie było – Doyle chciał już zwrócić uwagę na osobliwy jego zdaniem brak krwi, kiedy tajemniczy sprzymierzeniec, sięgnąwszy ręką przez okno, silnym szarpnięciem zdarł kaptur z głowy napastnika.

– Wielkie nieba!

Białe jak płótno oblicze przecinały upiorne, symetryczne blizny. Oczy i usta mężczyzny zostały prymitywnie i nader topornie zaszyte grubą, nawoskowaną, niebieską nicią.

Przytrzymując się dachu, towarzysz Doyle'a ponownie otworzył drzwiczki, które odchyliły się wraz ze zwisającym z nich ciałem. Powóz jechał szybko i bezwładny trup pod wpływem wstrząsów zaczął wykonywać gwałtowne, chaotyczne ruchy.

Silnym szarpnięciem mężczyzna wyciągnął nóż z drzwi, uwalniając zwłoki, które osunęły się i znieruchomiały na bruku. Po chwili stracili je z oczu.

Zwinnym ruchem mężczyzna wślizgnął się do powozu, zatrzasnął za sobą drzwiczki i usiadł naprzeciw wstrząśniętego Doyle'a. Wziął dwa głębokie oddechy i...

– Ma pan ochotę na drinka?

– A konkretnie?

– Koniak. Ze wskazań medycznych – rzekł mężczyzna, podając mu srebrną piersiówkę.

Doyle przyjął ją. Mężczyzna przyglądał mu się uważnie. To faktycznie był koniak, skądinąd wyśmienity. Dopiero teraz w bursztynowym świetle latarni w powozie doktor mógł dokładnie przyjrzeć się swemu wybawcy. Miał pociągłą twarz o lekko zaróżowionych, ostro

zarysowanych policzkach, długie, kruczoczarne włosy skręcające się za uszami. Wysokie czoło. Orli nos. Silne szczęki. Wyraziste oczy, jasne i przenikliwe, przepełnione rozbawieniem, które w ich sytuacji wydawało się Doyle'owi zgoła nie na miejscu.

– Teraz możemy porozmawiać – rzekł mężczyzna.

– Fakt. Proszę zacząć.

– Od czego?

– Wie pan, jak się nazywam.

– Doyle, racja.

– A pan nazywa się...?

– Sacker. Armond Sacker. Miło mi.

– Powiedziałbym, że cała przyjemność po mojej stronie, panie Sacker.

– Może jeszcze...

– Pańskie zdrowie. – Doyle wypił i oddał butelkę. Mężczyzna rozwiązał pelerynę. Od stóp do głów odziany był na czarno. Podciągając jedną nogawkę, odkrył krwawiącą ranę na łydce – ślad po ugryzieniu przez piekielnego chłopaka.

– Paskudna sprawa – rzekł Doyle. – Mogę zerknąć?

– Niech pana o to głowa nie boli. – Mężczyzna wyjął z kieszeni chusteczkę i nasączył koniakiem. – Rana jest niegroźna – najgorsze są rozdarcia spowodowane gwałtownymi ruchami głowy napastnika.

– Widzę, że zna się pan na medycynie.

Sacker uśmiechnął się i skrzywiwszy się, mocno przycisnął chusteczkę do rany. Zamknięcie oczu było jedynym znakiem świadczącym, zdaniem Doyle'a, o dojmującym bólu – kiedy ponownie je otworzył, wyraz cierpienia zniknął.

– Racja. A więc, Doyle, proszę mi powiedzieć, co sprawiło, iż znalazł się pan wówczas w tym domu.

Doyle opowiedział o liście i podjęciu decyzji o przybyciu na spotkanie.

– Racja – rzekł Sacker. – Nie muszę panu tego mówić, ale znalazł się pan w tarapatach.

– Czyżby?

– Można tak to nazwać.

– O co konkretnie chodzi?

– Hmm. To długa historia – rzekł mężczyzna. Było to bardziej ostrzeżenie niż wymówka.

– Mamy dość czasu?

– Wydaje mi się, że na razie tak – rzekł tamten, uchylając nieco zasłony i wyglądając na zewnątrz.

– Chciałbym zatem zadać kilka pytań.

– Lepiej nie, naprawdę.

– Nie, tak będzie lepiej. Muszę je zadać – rzekł Doyle, wyjmując rewolwer z kieszeni i kładąc go na kolanie.

Uśmiech Sackera rozjaśnił się. – Racja. Proszę pytać.

– Kim pan jest?

– Profesorem. Z Cambridge. Zajmuję się starożytnością.

– Czy mógłbym zobaczyć coś, co potwierdziłoby pańskie słowa?

Sacker wyjął stosowną wizytówkę. Wygląda autentycznie – pomyślał Doyle. Ale to trochę za mało.

– Zachowam ją – rzekł Doyle, wkładając kartonik do kieszeni.

– Koniecznie.

– To pański powóz, panie Sacker?

– Tak.

– Dokąd jedziemy?

– A dokąd by pan chciał?

– W jakieś bezpieczne miejsce.

– Trudna sprawa.

– Ponieważ pan nie wie, czy po prostu nie chce mi powiedzieć?

– Ponieważ w tym momencie jest niewiele miejsc, które można by uznać za bezpieczne, Doyle... bezpieczne. Przykro mi to stwierdzić, ale tak właśnie jest. – Ponownie się uśmiechnął.

– To pana bawi.

– Wręcz przeciwnie. Pańska sytuacja jest raczej nieciekawa.

– Moja sytuacja?

– Mam taką zasadę, że niezależnie od przeciwności, które stają na mojej drodze, zawsze staram się działać. Zawsze powinno się tak robić. W każdej sytuacji. Działać.

– A my co teraz robimy, profesorze?

– Właśnie to. Właśnie to. – Sacker uśmiechnął się.

– Poddaję się – rzekł ponuro Doyle. Jego frustrację, wywołaną posępną zagadką, rozjaśniła nieco obecność mężczyzny, który dwukrotnie w ciągu godziny uratował mu życie.

– Jeszcze łyeczka? – zapytał Sacker, podając mu piersiówkę. Doyle pokręcił głową. –

Naprawdę polecam.

Doyle wypił łyk.

– A więc do rzeczy.

– Ostatnio próbował pan opublikować swoje opowiadania.

– Co to ma z tym wspólnego?

– Właśnie staram się panu wyjaśnić. – Sacker znowu się uśmiechnął.

– Odpowiedź brzmi – tak.

– Hmm. Twarda gra to publikowanie. Nieco deprymująca, jak sądzę, ale pan chyba łatwo się nie poddaje. Wytrwałość to klucz do sukcesu.

Doyle ugryzł się w język i odczekał, aż Sacker ponownie zacznie mówić.

– Ostatnio próbował pan sprzedać manuskrypt powieści pod tytułem *Mroczne Bractwo...*

– Zgadza się.

– Niestety, bez powodzenia...

– Nie musi pan sypać soli w otwartą ranę.

– Po prostu ustalam fakty. To wszystko. Nie czytałem tego. O ile mi wiadomo, pańska powieść, skądinąd beletrystyczna, dotyczy czegoś, co można by określić mianem... magicznego spisku.

– Poniekąd. – Skąd on to wie? – pomyślał Doyle.

– Czegoś w rodzaju „kabały magów”.

– Mniej więcej o to chodzi negatywnym bohaterom mego utworu.

– Spisek złych magów współpracujących z jakimiś, powiedzmy sobie szczerze, niezbyt przyjaznymi duchami.

– To w gruncie rzeczy jest powieść przygodowa, nieprawdaż? – rzekł, broniąc się, Doyle.

– Z akcentem paranormalnym.

– Owszem.

– Dobro kontra zło i tak dalej.

– Odwieczna walka.

– Innymi słowy produkcyjniak.

– Mam nadzieję, że jednak coś więcej – rzucił Doyle.

– Nie słuchaj mnie, przyjacielu, nie jestem krytykiem. Wydałeś już coś?

– Kilka opowiadań – odrzekł doktor z nieznaczną tylko przesadą. – Współpracuję z pewnym miesięcznikiem.

– Jakim?

– Dla dzieci. Na pewno nawet o nim nie słyszałeś.

– No, powiedz, jak się nazywa?

– „Chłopięca Gazeta” – odrzekł Doyle.

– Racja, nigdy o niej nie słyszałem. Ale powiem ci, co myślę na ten temat: odrobina rozrywki jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Przecież tego właśnie pragną ludzie – chcą oderwać się od rzeczywistości – potrzebują jakiejś porywającej historii, która pozwoli im zapomnieć o codziennych smutkach i kłopotach.

– A także dać trochę do myślenia – rzekł Doyle.

– Czemu nie, szlachetne aspiracje są przyczyną wielkich osiągnięć.

– Szanuję głębszą uczuciowość, ale może zechciałbyś zdradzić, co moja książka ma wspólnego z tym, co wydarzyło się dziś wieczorem?

Mężczyzna umilkł, po czym skłonił się lekko do przodu.

– Manuskrypt został przekazany.

– Przez kogo?

– Kogoś z koneksjami.

– Do kogo trafił?

– W niewłaściwe ręce.

Doyle umilkł i nieznacznie odchylił się w stronę Sackera.

– Obawiam się, że będziesz musiał powiedzieć mi więcej – rzekł Doyle.

Sacker spojrzał mu prosto w oczy i zniżył głos.

– Wyobraź sobie grupę niezwyklej osobników. To ludzie bezwzględni, inteligentni, ba, wręcz błyskotliwi. Dobrze sytuowani i suto nagradzani przez świat za swe umiejętności i osiągnięcia. Wszystkim im brakuje tego, co ty i ja nazwalibyśmy podstawowymi zasadami moralności. Jednoczy ich jedno: pragnienie zdobycia nieograniczonej władzy. I pragną jeszcze więcej. Mają obsesję na punkcie sekretności i nie sposób powiedzieć, kim właściwie są. Grunt, iż wiadomo powszechnie, że istnieją. Czy to ci coś mówi?

– To moja książka. – Doyle ledwo mógł wydobyć z siebie głos.

– Tak, Doyle. To twoja książka. Napisałeś powieść beletrystyczną, ale dziwnym zrzędzeniem losu udało ci się zdemaskować poczynania istniejącej w rzeczywistości sekty diabelskich magów, których cele, tak w życiu, jak w twoim utworze, całkowicie się pokrywają. A chodziło im o...

– Pozyskanie pomocy złych duchów w celu zniszczenia membrany oddzielającej płaszczynę eteryczną od materialnej.

– W celu...

– Zdobycia władzy nad światem materialnym i jego mieszkańcami.

– Zgadza się. A jeśli dzisiejszy seans może coś znaczyć, udało im się uczynić wyrwę w powłoce i przestąpić próg.

– To niemożliwe.

– A wierzysz w to, co widziałeś w tym pokoju?

Doyle stwierdził, że nie chce usłyszeć odpowiedzi.

– To jest możliwe – stwierdził Sacker.

Doyle poczuł, jakby to wszystko rozgrywało się we śnie. Jego umysł usiłował wydobyć się spod fali szoku i przerażenia. Faktem było, że z dzieł madame Bławackiej zapożyczył nie tylko tytuł, ale i motywy działania negatywnych bohaterów. Kto by pomyślał, że jego drobna kradzież zaowocuje w tak przeraźliwy i upiorny sposób?

– Jeżeli moja książka wpadła w ich ręce...

– Postaw się w ich położeniu: jaki cel ma życie dla tych chorych potworów, bez zagrażającej obecności – faktycznej bądź wymagowanej – potężnych wrogów, których istnienie ma służyć jedynie wzmocnieniu ich obłądnych przekonań i wynaturzeń?

– Wydaje im się, że w jakiś sposób zdemaskowałem ich plan – oburzające!

– Tak, ale to prawda. Gdyby zamierzali cię zabić, nie zadawaliby sobie tyle trudu, a zatem śmiem twierdzić, iż chcą cię dostać żywcem. Choć nie wiem, czy to będzie dla ciebie pocieszeniem.

Doyle spojrział na niego.

– A co to wszystko ma wspólnego z tobą?

– Och, ścigam tych łajdaków dłużej od ciebie.

– Przecież ja ich wcale nie ścigam – w ogóle nie wiedziałem, że istnieją.

– Tak, ale na twoim miejscu nie próbowałbym ich o tym przekonywać.

Doyle'a zamurowało.

– Na szczęście, ścigając ich, dziś wieczór znalazłem się we właściwym miejscu o właściwej porze. Pech chciał, że teraz ja również jestem naznaczony.

Sacker zastukał gwałtownie kłykciami w dach kebu. Powóz zatrzymał się niemal natychmiast.

– Jednego możesz być pewien: włożyliśmy im dzisiaj kij pomiędzy szprychy. Miej się na baczności i nie trać ani chwili. I lepiej, byś nie zawiadamiał policji, bo zostaniesz uznany za szaleńca, a twoje zeznania trafią do kogoś, kto mógłby uczynić ci coś o wiele gorszego.

– Coś gorszego niż morderstwo?

Uśmiech znikł z ust tamtego.

– Są gorsze rzeczy – powiedział i otworzył drzwiczki. – Powodzenia, Doyle. Będziemy w kontakcie.

Sacker wyciągnął rękę. Doyle uściskał ją. Oszolomiony i zdezorientowany, po chwili uświadomił sobie, że stoi na ulicy przed wejściem do swego domu i patrzy, jak woźnica z blizną na twarzy uchyla przed nim kapelusza, odwraca się i smagnięciem bicza pogania konie. Potem powóz znikł wśród zawirowań mgły.

Doyle spuścił wzrok, spoglądając na dłoń, którą podał Sackerowi. Trzymał w niej mały, bogato zdobiony, srebrzysty przedmiot w kształcie ludzkiego oka.

5. LÉBOUX

W umyśle Doyle'a panował chaos. Spojrzał na zegarek – 9.25. Opedał z głośnym klekotem przejechał wózek druciarza. Doyle wzdrygnął się, boleśnie uświadomiwszy sobie, że prozaiczne, codzienne życie, jakie wiódł dotychczas, skończyło się przed dwiema godzinami, jak umierający o zmierzchu dzień. W czasie, jaki zajmuje upieczenie chleba, widział, jak jego życie, a może nawet koncepcja całego wszechświata, zostaje postawione na głowie.

W ciszy, jaka nastąpiła, gdy wózek odjechał, z ciemności poczęły wypływać sylwetki i twarze – każda połać cieni zdawała się pulsować ukrytym, niewypowiedzianym zagrożeniem. Doyle pospieszył do swego mieszkania, gdzie jak się spodziewał, powinien być bezpieczny.

Z wysokiego okna patrzyła nań czyjaś twarz. To jego sąsiadka, Rosjanka – Pietrowiczowa. Zaraz, zaraz, czy obok niej nie pojawiło się na chwilę drugie oblicze? Rzut oka – i obie twarze zniknęły, pozostały tylko falujące firanki.

Czy jego schody, kojarzące mu się nieodparcie z domem i wygodą, nie emanowały obecnie jakąś złowróżbną aurą? Niepewny, czy może wierzyć swemu instynktowi, Doyle wyjął rewolwer, przekonany, iż zawartość komór bębena upora się z każdym zagrożeniem, z jakim mógł się spotkać, i wolno wszedł po dwudziestu jeden stopniach. Ujrzał drzwi do swego pokoju. Były otwarte.

W miejscu, gdzie znajdowała się klamka, drewno zostało rozłupane w drzazgi. Szczątki leżały na podłodze – klamka i zamek nie zostały wybite kopniakiem, lecz brutalnie wyrwane. Doyle oparł się o ścianę i nasłuchiwał. Przekonany, że wewnątrz nic się nie poruszyło, delikatnym ruchem otworzył szerzej drzwi i mimowonie wstrzymał oddech, gdy ujrzał jak wygląda jego mieszkanie. Każdy cal frontowego pokoju zdawał się zalany bądź pokryty przezroczystym, galaretowatym płynem. Jego wygląd, struktura i kierunek układania się pasm zdawał się sugerować nałożenie go, od podłogi po sufit, regularnymi ruchami wielkiego pędzla. W powietrzu unosiła się woń przypominająca swąd spalonego materaca. W miejscach, gdzie warstwa substancji była najgrubsza, leniwie unosiły się smużki dymu.

Wchodząc do środka, poczuł, że płyn lepi mu się do butów, ale gdy uniósł stopę, na podszwie nie pozostała nawet najdrobniejsza plamka czy nitka osobliwej substancji. Tajemnicza galareta ugięła się pod dotknięciem, miała strukturę materialną, ale pozostawała nienaruszoną, zwartą całością.

Doyle dojrzał swój perski dywan, wiszący wewnątrz skrzepłej substancji, jak skarabeusz w kropli bursztynu. Zlustrował uważnie krzesło i sofę. Stolik nocny, lampa naftowa, otomana, świece, kałamarz, filizanka. Powierzchnia wszystkich znajdujących się w pokoju przedmiotów uległa częściowemu stopieniu, po czym została ochłodzona i utwardzona.

Jeśli – co rozumiało się samo przez się – było to ostrzeżenie, jaką wiadomość starał się przekazać mu w ten sposób tajemniczy posłaniec? Może chodziło o odpowiedź na pytanie: Jakie spustoszenia można poczynić w ten sposób w ludzkim ciele? Doyle podniósł jedną z książek, leżącą na biurku. Zdawała się ważyć tyle samo, ale była zmacerowana, jak zbyt długo gotowane warzywa. Przewracał napęczniałe stronicie i mimo iż potrafił odczytać znajdujący się na nich tekst, rzecz spoczywająca wiotko w jego dłoni nie przypominała tego, co zwykł był kojarzyć z książką.

Poruszając się najszybciej jak mógł po śliskiej podłodze, Doyle dotarł do sypialni. Drzwi odchyliły się lekko, gdy je popchnął, i wygięły u góry niczym kartka w książce.

Doyle zauważył, że osobliwy proces żelatynizacji dotarł zaledwie kilka cali w głąb pokoju i niespodziewanie został zahamowany – jego sypialnia uniknęła zniszczenia.

– Dzięki Bogu – mruknął Doyle.

Wyjawszy z szafy torbę lekarską, wrzucił do niej sflaczałą książkę, odzież na zmianę, przybory do golenia i pudełko nabojów.

Przechodząc ponownie przez zdewastowany pokój, Doyle zatrzymał się przy drzwiach – ktoś był na zewnątrz, usłyszał szurnięcie buta. Pochylił się, by zajrzeć przez otwór, gdzie znajdowała się dziurka od klucza, i ujrzał Pietrowiczową opierającą się o balustradę. Rosjanka przyciskała obie dłonie do płaskiego podółka.

– Pani Pietrowiczowa, co się tutaj stało? – zapytał, wychodząc na korytarz.

– Doktorze – powiedziała, ujmując trwożliwie jego wyciągniętą dłoń.

– Widziała pani coś? A może pani coś słyszała?

Pokiwała energicznie głową. Nie wiedział, jak wielkim zasobem angielskich słów dysponowała, ale w tym momencie wydawał się on nader ubogi.

– Wielkie, wielkie – powiedziała. – Pociąg.

– Odgłos pociągu?

Znów skinęła głową, próbując naśladować usłyszany dźwięk i wykonując przy tym całą serię energicznych gestów.

Znów piła dzin – stwierdził Doyle. Nie bez powodu. Spoglądając dalej, ujrzał drugą kobietę stojącą na podeście u szczytu schodów.

Druga twarz, którą widział w oknie – twarz niskiej, krępej kobiety o pyzatej twarzy i przenikliwych oczach. Było w niej coś znajomego.

– Droga pani Pietrowiczowa... czy... pani... widziała... coś?

Jej oczy stały się okrągłe i wielkie, gdy rękoma obrysowała w powietrzu ogromny kształt.

– Duże? Bardzo duże? – spytał zachęcająco Doyle. – Czy to był człowiek?

Pokręciła głową.

– Czarne – rzuciła krótko. – Czarne.

– Pani Pietrowiczowa. Niech pani wraca do siebie. Proszę tam zostać. Niech pani aż do rana nie opuszcza mieszkania. Rozumie pani?

Pokiwała głową, a gdy odwrócił się, by odejść, pociągnęła go za rękaw i wskazała na drugą kobietę.

– Moja przyjaciółka jest...

– Spotkam się z nią innym razem. Proszę zrobić, jak powiedziałem, pani Pietrowiczowa – rzekł, delikatnie uwalniając się z jej uścisku.

– Teraz naprawdę muszę już iść.

– Nie, doktorze nie, ona...

– Proszę odpocząć. Niech pani wypije kielicha. Już wszystko dobrze, pani Pietrowiczowa. No to dobranoc. Dobranoc.

Te słowa towarzyszyły mu, gdy zbiegał po schodach i znikł Rosjance z oczu.

Wybierał najbardziej zatłoczone ulice i szedł tą stroną, po której było najwięcej przechodniów. Zawsze w świetle, zawsze w tłumie. Nikt do niego nie podszedł ani go nie zatrzymywał. Nikomu się nie przyglądał, ale czuł na sobie palący żar tysiąca złowrogich spojrzeń.

Resztę nocy i dzień następny spędził Doyle w szpitalu Świętego Bartłomieja, gdzie go znano. Przespał w sumie godzinę na kozetce i choć gabinet, który wybrał, otaczał tuzin innych pomieszczeń, nie czuł się bezpiecznie. Po namyśle, rozważywszy gruntownie całą sytuację, która bynajmniej nie przedstawiała się różowo, z obawy przed wyśmianiem, nie zwierzył się nikomu ze swych problemów, nawet najbliższym przyjaciołom.

Wraz z nadejściem nowego dnia w jego umyśle pojawiło się pragnienie ujrzenia

wydarzeń ostatniej nocy w nieco bardziej racjonalnym świetle. Musi istnieć jakieś fizyczne wytłumaczenie wszystkiego, co wydarzyło się podczas seansu – powiedział sobie w duchu Doyle – tylko jeszcze na nie nie wpadłem. Nie, wróć; nawet to jest kłamstwem, które sam usiłuję sobie wmówić. Umysł bazuje na równowadze i szuka jej za wszelką cenę. To nie znaczy, że przyjmuję wszystko, co usłyszałem od Sackera za pewnik, niemniej prawdą jest, że przeszedłem przez drzwi, które znikły, gdy tylko znalazły się za moimi plecami i teraz nie mogę już zawrócić – muszę brnąć do przodu.

Kiedy wyszedł w chłód jasnego poranka, stwierdził, że jego niedawny strach i dezorientacja prysły – jedyne, co obecnie odczuwał, to wściekłość wywołana brutalnym zabójstwem lady Nicholson i jej brata. Nie mógł zapomnieć jej twarzy, błagalnego spojrzenia i krzyku, gdy upadała. Szukała u mnie pomocy, a ja ją zawiodłem. Ale już tego nie zrobię – poprzysiągł w duchu.

Pomimo iż Sacker mu to odradzał, pierwszym miejscem, które odwiedził po opuszczeniu szpitala, był Scotland Yard.

W godzinę później Doyle, wraz z inspektorem Claude'em Leboux stał przed budynkiem przy Cheshire Street numer 13. W pochmurny dzień dom wcale nie wyglądał lepiej niż wieczorem. Słabe światło słoneczne jeszcze bardziej podkreślało jego mroczną pospolitość.

– Mówisz, że tam weszli? – spytał Leboux.

Doyle pokiwał głową. Na razie oszczędził przyjacielowi szczegółów. Padło jedynie słowo „morderstwo”; w zupełności to wystarczyło. Pokazał liścik od lady Nicholson. Nie wspominał dotąd o duchach, szarych kapturach ani niebieskiej nici.

Ani o profesorze Armondzie Sackerze.

Leboux wszedł po stopniach i zapukał. Był potężnym, silnie zbudowanym mężczyzną, jego twarz ozdabiał sumiasty, rudy wąs, tak gęsty, dobrze utrzymany i rzucający się w oczy, że w zupełności wystarczał za jego wizytówkę.

Doyle i Leboux spędzili rok na pokładzie kutra, pływającego do Maroka i portów na południu, i przez ten czas zdążyli się zaprzyjaźnić. Doyle pełnił na statku funkcję lekarza. Leboux służył w Marynarce Królewskiej. Ów starszy o piętnaście lat od Doyle'a, słabo wykształcony mężczyzna był tak małomówny i zamknięty w sobie, że niektórzy marynarze poczęli podawać w wątpliwość jego inteligencję. Jednak, o czym Doyle przekonał się podczas licznych karcianych rozgrywek i leniwych pogawędek prowadzonych podczas rejsów wzdłuż tropikalnych wybrzeży, pod powłoką nieśmiałości i wyobcowania Leboux skrywał wrażliwe serce, silny charakter i niezachwiane morale. Jego umysł rzadko zbacał z równoległych

ścieżek faktów i prawdy; Leboux chlubił się kompletnym brakiem wyobraźni. Te ścieżki doprowadziły go z marynarki wprost do policji londyńskiej i pozwoliły na uzyskanie w krótkim czasie zaszczytnej rangi inspektora.

Drzwi otworzyła niska, jasnowłosa Irlandka, której Doyle nigdy wcześniej nie widział.

– Słucham panów?

– Scotland Yard, proszę pani. Chcielibyśmy się tu trochę rozejrzeć.

– A o co chodzi?

Górujący nad nią Leboux pochylił się i powiedział: – Kłopoty, proszę pani.

– Wie pan, ja tu nie mieszkam. Odwiedzam tylko mamę – odparła kobieta, cofając się, aby mogli wejść. – Jest na górze, strasznie chora. Od tygodni leży w łóżku. To nie ma z nią nic wspólnego, prawda?

– Ona wynajmuje tu mieszkanie, zgadza się? – spytał Leboux.

– Zgadza się.

– A kto w takim razie mieszka tutaj? – spytał Leboux, zatrzymując się przy drzwiach po prawej, które otworzył Doyle'owi poprzedniego wieczoru tajemniczy chłopak.

– Nie wiem. Chyba cudzoziemiec. Nie bywa tu często. Ja zresztą też nie, teraz jestem tu tylko ze względu na chorobę mamy.

Doyle skinął na Leboux. Określenie „cudzoziemiec” idealnie pasowało do Ciemnego Mężczyzny, o którym doktor wspomniał inspektorowi.

– Zna pani nazwisko tego pana? – zapytał.

– Nie, proszę pana. Niestety.

– Czy była tu pani wczoraj wieczorem?

– Nie. Byłam u siebie w domu. W Cheapside.

Doyle zauważył, że dziwna, szklana misa zniknęła ze stolika w holu. Kilka kropel rozprysniętego wosku świadczyło, że ktoś, kto zdejmował świecę, musiał się bardzo śpieszyć. Leboux otworzył drzwi i weszli do saloniku.

– To było tutaj, Arthurze? – zapytał Leboux.

– Tak – odrzekł Doyle. – Seans odbył się tutaj.

Doktor otworzył przesuwane drzwi. Pokój wyglądał inaczej niż tamtego przerażającego wieczoru. Stały w nim zakurzone, stare meble. Nie było jednak okrągłego stolika ani wiszących gobelinów. Nawet sufit wydawał się niższy.

– Wyglądał inaczej – rzekł Doyle, wchodząc głębiej do pokoju.

– Czyżby coś się stało z panem, który tu mieszkał?

– Proszę iść na górę, do mamy. Odwiedzimy panią, jeśli to będzie konieczne – rzekł

Leboux, zamykając drzwi przed samym nosem dziewczyny.

– Wnieśli meble. Wtedy pokój był pusty.

– Gdzie dokonano morderstwa, Arthurze?

Doyle podszedł do miejsca, w którym stał stolik. Tam gdzie poprzedniego wieczoru upadła lady Nicholson, stała teraz niewielka kanapa.

– Tutaj – rzekł, klękając. – Nie było dywanu, tylko goła podłoga.

Odsuwając mebel, Doyle ujrzał, że zagłębienia od drewnianych nóżek widniejące w dywanie były głębokie i okolone warstewką kurzu.

Leboux pomógł mu odstawić kanapę, po czym wspólnie zwinęli dywan. Klepka pod spodem była czysta i starta tak, że aż lśniła.

– Sam widzisz, że cały pokój od podłogi po sufit został starannie wysprzątnięty. Usunęli wszystkie ślady – rzekł Doyle z lekkim niepokojem w głosie.

Leboux stał nad nim w milczeniu i w kompletnym bezruchu. Doyle nachylił się, aby uważniej zbadać podłogę. Wyjął z kieszeni przyrząd do czyszczenia fajki i zaczął grzebać nim w szczelinie między klepkami; nagrodą za jego trud były drobne płatki zaschniętej, ciemnej substancji. Doyle włożył je do koperty i przekazał Leboux.

– Sądzę, iż ta substancja okaże się ludzką krwią. Właśnie w tym pokoju ubiegłej nocy zamordowano lady Nicholson i jej brata. Radziłbym natychmiast powiadomić o tym ich rodzinę.

Leboux włożył kopertę do kieszeni, wyjął notes i starannie zapisał nazwisko. Następnie obaj zajęli się gruntownym przeszukaniem pokoju. Nie zdołali jednak natrafić na inne ślady popełnionej w tym pomieszczeniu zbrodni. Nie natrafili również na nic, co pomogłoby w ustaleniu tożsamości właściciela bądź najemcy mieszkania.

Droga przez labirynt korytarzy, którymi Sacker i Doyle wyszli z budynku, okazała się równie bezowocna.

Kiedy stali w alejce, spoglądając na dom, Doyle szczegółowo opowiedział inspektorowi o przebiegu zabójstwa. Nie wspomniał o Sackerze ani o tym, że użył rewolweru, który przed kilkoma miesiącami otrzymał od Leboux.

Inspektor skrzyżował ramiona, sztywny jakby kij połknął, nie zdradzając najdrobniejszym gestem, iż ma pewne wątpliwości co do przedstawionej wersji wydarzeń. Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwał. Doyle przywykł już do wymownego i długotrwałego milczenia przyjaciela – miał wrażenie, że słyszy odgłos pracy jego umysłu, szcęk i trzask, jakby ktoś wolno przesuwiał paciorki wielkiego liczydła.

– Powiadasz, że tę kobietę zaatakowano nożem – rozległy się pierwsze po dłuższej

przerwie słowa Leboux.

– Tak. To była paskudna kosa.

Leboux pokiwał głową i nagle w jego oczach rozbłysły iskierki ożywienia.

– A więc lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną.

Minęli trzy przecznice i dotarli na pusty plac przy skrzyżowaniu Commercial Street i Aldgate. Policja odgrodziła cały ten teren. *Bobbies* stali na rogach, nie dopuszczając przechodniów do zamkniętego obszaru. Leboux przeprowadził Doyle'a przez kordon na środek placu, gdzie poprzedniej nocy, w chwili, gdy doktor wrócił do swego mieszkania, w brutalny sposób przecięta została nić krótkiego, nędznego życia ulicznicy znanej jako Fairy Fay.

Szorstka płachta służąca za całun była uchylona. Kobieta była naga. Z ciała usunięto narządy wewnętrzne. Niektórych organów brakowało – inne leżały ułożone starannie obok trupa, tworząc osobliwy, kabalistyczny kształt. Robota została wykonana szybko, precyzyjnie i – tak przynajmniej ocenił Doyle, nie zauważając, aby rany były postrzępione i nierówne – za pomocą narzędzia ostrego jak brzytwa.

Doyle pokiwał głową. Płócienna płachta ponownie zakryła zwłoki. Leboux oddalił się o kilka kroków. Doyle podążył za nim. Nastąpiła kolejna, typowa dla inspektora, chwila milczenia.

– Czy to jest lady Nicholson, Arthurze? – zapytał w końcu.

– Nie.

– Czy ta kobieta brała udział we wczorajszym seansie?

– Nigdy jej nie widziałem.

Doyle stwierdził z przerażeniem, że Leboux szukał słabych punktów jego opowieści. Jest policjantem w każdym calu, zawsze i wszędzie – stwierdził Doyle w duchu. Wśród gliniarzy panował nader ponury nastrój. Mało który, jeśli w ogóle którykolwiek z nich, miał okazję oglądać ofiary równie brutalnych morderstw popełnionych bezlitośnie, z pełną premedytacją, a już na pewno nie w spokojnym skądinąd Londynie.

– Nikt się nie zgłosił?

Leboux pokręcił głową.

– Najprawdopodobniej prostytutka. Do rzeczy. Czy te rany mogły zostać zadane nożami, o których wspominałeś?

– Tak. Bardzo możliwe.

Leboux zamrugnął.

– Czy mógłbyś opisać napastników?

– Nosili kaptury – rzekł Doyle, nie wspominając jednak, że obaj zabójcy zostali zabici. Biorąc pod uwagę, że mieli zaszyte oczy i usta, a śmiertelne rany, które otrzymali, nie krwawiły, wątpił, aby Leboux miał ochotę głowić się nad odpowiedzią na pytanie: Jak można zabić trupa?

Leboux czuł, że Doyle zataił przed nim istotne fragmenty całej historii, ale z uwagi na łączącą ich przyjaźń i przekonanie, że Doyle faktycznie przeżył okropne, zapadające w pamięć zdarzenie, pozwolił mu odejść.

Patrząc na oddalającego się doktora, Leboux poczuł rodzący się w nim niepokój, wywołany całkiem pokaźną liczbą pytań, na które będzie musiał znaleźć odpowiedź. Zagadek było sporo. Bądź co bądź jednak – jak powtarzał, stawiając czoło równie skomplikowanym sprawom – po to jest właśnie czas.

Od momentu, gdy po raz pierwszy ujrzał potwornie okaleczone zwłoki, poczęła dręczyć go pewna myśl i nawet teraz, jak ćmiący ból zęba, nie dawała mu spokoju – to musiał zrobić lekarz.

6. CAMBRIDGE

Aby prowadzić skomplikowane rozmyślania, należy mieć przede wszystkim pełny żołądek. Doyle nic nie miał w ustach od wydarzeń poprzedniego wieczoru. Wszedł do pierwszej zatłoczonej gospody, na którą natrafił, usiadł przy kominku i zamówił sute śniadanie, zadowolony, że niewielka sumka, którą zostawił w mieszkaniu, nie padła ofiarą galaretowatej substancji.

Po posiłku odstawił talerz na bok, zapalił fajkę, uniósł stopy i poczuł, że zaczyna ogarniać go stan odprężenia, ale i wzmożonej czujności, w którym jego umysł pracował na najwyższych obrotach.

Jeśli, jak sugerował Sacker, za wydarzeniami tymi faktycznie krył się spisek, nie ulegało wątpliwości, iż mogło być weń zamieszanych tylko kilka osób. Spisek wymaga dyskrecji. Im więcej ludzi wie o nim, tym gorzej dla spisku. Sposób, w jaki w ciągu kilku godzin zmieniono wystrój wnętrza mieszkania przy Cheshire Street, z całą pewnością przemawia za spiskiem. Jak można utrzymać w ryzach podwładnych? Strachem. Ich zdolność do wzbudzania grozy zdawała się nie mieć sobie równych. Czarni magowie? Nie znał żadnego, ale to nie oznaczało, iż byli na wymarciu.

Co się tyczy manuskryptu... Fakt, że sam wymyślił tożsamość przestępców i zrobił to całkiem sprawnie – ale ich cele, przekonania, motywy itp. zapożyczył w mniejszym lub większym stopniu z prac Bławackiej. Nasuwało się pytanie, czy ścigali go z powodu książki i jak bliska prawdy co do ich realnych zamierzeń była ta obłąkana Rosjanka? A jeśli miała rację, to do jakiego stopnia można było wierzyć jej przyprawiającemu o zawrót głowy, szaleńczemu dziełu?

Seans. To było nieco bardziej problematyczne. Lewitacja – linki i krążki. Zwierciadło mogło być wykonane z... luster. Głowa bestii – lalka, być może ukryta w zawiniątku, które widział pod pachą ulicznika. Wniosek: istniało logiczne wytłumaczenie tego, co miał okazję zaobserwować, aczkolwiek nigdy dotąd nie miał do czynienia z równie wymyślną i skomplikowaną sztuczką.

Chwileczkę – przechadzał się po tym ogrodzie nieziemskich rozkoszy jak pastor w święta. Pozostawały fakty w postaci niekrwawiących ślepców, uzbrojonych w orientalne sztylety, włóczących się po ulicach Londynu i pragnących pokrajać go jak świąteczną gęś. Widział wszystkie te rzeczy: grubą kobietę unoszącą się w powietrzu, przyprawiające o palpitacje serca czarne cienie, czarnookie istoty w widmowych zwierciadłach, nieszczęsną ulicznicę leżącą wśród chwastów. Młody lord, padający bez życia. Synek lady Nicholson, samotny w ciemnym lesie. Wyraz jej twarzy, kiedy ostrze przesuwano się po jej...

Wzdrygnął się, naciągnął mocniej płaszcz na ramiona i rozejrzał się po sali. Nikt na niego nie patrzył.

Tak, to prawda, był w niej na wpół zakochany, przyznał to w duchu. Może mnie ścigają, ale to, co zrobili z tą biedną kobietą i jej rodziną, zamykając pułapkę, sprawia, że krew kipi mi w żyłach – myślą, że mnie zaszczuli, zmusili do ucieczki. Cóż, zemsta jest daniem, które Irlandczycy od pokoleń mają zwyczaj podawać na zimno. A kimkolwiek są te bezbożne diabły, pożałują, że nie docenili pewnego szczególnego Irlandczyka.

Sacker. Spotkanie w powozie i towarzyszący mu szok – nie było czasu na zadanie przemyślanych pytań. Doyle wyjął wizytówkę Sackera. Musi jak najszybciej się z nim zobaczyć. Do Cambridge są zaledwie dwie godziny drogi pociągiem. Tim, ich woźnica, powiedział mu, że brat lady Nicholson tam studiuje – to mogło być ogniwo łączące. W obecnej sytuacji nie żałował, że nie odniósł większego sukcesu jako lekarz – nie miał ciężko chorych pacjentów, którzy mogliby ucierpieć wskutek jego wyjazdu. Uda się wprost na stację przy Liverpool Street.

Chowając wizytówkę do torby, spostrzegł okładkę zmaltretowanej książki. *Izyda odsłonięta*. Był w takim stanie, że wcześniej tego nie zauważył. Wziął ją do ręki, ukrywając jej uszkodzenia przed osobami znajdującymi się w pomieszczeniu. Bławacka – odpowiednia towarzyszka podróży, w którą zamierzał się udać. Jej zdjęcie wciąż było widoczne pod pofałdowaną warstwą...

Wielkie nieba! Nie, to niemożliwe. Przyjrzał się uważniej. Tak, kobieta, którą widział z Pietrowiczową ostatniego wieczoru na schodach domu, w którym mieszka.

To była ona – Helena Pietrowna Bławacka!

Dorożka zatrzymała się przed budynkiem. Doyle wbiegł do środka.

– Pani Pietrowiczowa!

Kiedy wszedł do mieszkania, wystarczył mu jeden rzut oka, by upewnić się, że od ubiegłego wieczoru nic się nie zmieniło. Przeskakując po trzy stopnie naraz, znalazł się na piętrze, gdzie mieszkała Pietrowiczowa, i energicznie zastukał do drzwi.

– To ja, doktor Doyle, pani Pietrowiczowa! – Zauważył dym wydostający się spod drzwi. – Pani Pietrowiczowa!

Rąbnął barkiem w drzwi, raz i drugi, cofnął się i potężnym kopniakiem sforsował drewnianą przeszkodę.

Pietrowiczowa leżała na podłodze pośrodku pokoju, nieprzytomna. Wewnątrz było pełno dymu, ale ogień nie zaczął się jeszcze rozprzestrzeniać: grube zasłony tliły się, natomiast po firankach zostało już tylko wspomnienie w postaci paru kupek popiołu.

Doyle zerwał zasłony, walcząc z ogniem, by dotrzeć do nieprzytomnej kobiety. Dotknął jej i natychmiast zorientował się, że nie żyje. Podwoił wysiłki i za pomocą zasłon udało mu się w końcu zdusić płomienie. Zamknął oczy zmarłej i usiadł, próbując ustalić, co się wydarzyło.

Spod szafy wypełził jamnik Rosjanki i patetycznie polizał swoją panią po uchu.

Doyle rozejrzał się uważnie po pokoju. Na stole stała otwarta karafka z winem, tuż obok leżał korek, opodal zaś dojrzał tabletki naparstnicy i kilka kropel wosku. Niewielki kryształowy kieliszek leżał na podłodze przy ciele, na dywanie rozszerzała się ciągnąca się od niego karmazynowa plama. Stolik, z którego spadła świeca, spoczywał pomiędzy zwłokami a oknem. Okno było otwarte.

Zapaliła świeczkę. Poczowała ból w piersi – wiedział, że miała kłopoty z sercem. Nalała kieliszek wina, otworzyła blaszane pudełko z pigułkami. Ból nasilał się niepokojąco. Czując objawy klaustrofobii, otworzyła okno, aby wpuścić trochę świeżego powietrza i przewróciła przy tym świecę. Kiedy zasłony zajęły się ogniem, wpadła w panikę. Wysiadło jej serce. Upadła.

Przeciw temu przemawiały dwa fakty. Po pierwsze, na stoliku widniały świeże zacieki. Kieliszek został postawiony na blacie – powinien był spaść, tak jak świeczka, w stronę zasłon. Po drugie, na podłodze przy ciele leżało sporo rozsypanych tabletek.

Właśnie teraz mały, szczeropodobny psiak zlizął jedną z dywanu. Może upuściła pudełko i miała je pozbierać, kiedy... Nie, w rękę nie miała pigulek.

Przyjrzał się pudełeczku. Z pigułkami zmieszane były drobne kłaczki i strzępki nici. A więc tabletki wysypały się, a następnie zostały pozbierane.

Słyszając głośny jęk i kaszlnięcie, odwrócił się, by ujrzeć, jak pies Pietrowiczowej przewraca się, wstrząsają nim gwałtowne konwulsje i w końcu nieruchomieje. Był martwy. Chyba tak jest lepiej – stwierdził Doyle. – Tego psa raczej nikt nie mógłby polubić. Z pyska jamnika pociekła piana. Został otruty.

A więc ktoś otrul Pietrowiczową i być może wcale nie potajemnie. Doyle podniósł ją

nieznacznie – pigułki spoczywały również pod ciałem. Po obu stronach na szczęce kobiety widniały sińce. A więc walczyła, odpychając od siebie pudełko i rozsypując tabletki. Jej napastnik na siłę nafaszerował ją trucizną, po czym pospiesznie pozbiierał pigułki do pudełka i uciekł przez otwarte okno. Tak – na parapecie okna pozostał rozmazany ślad. Świecek została strącona podczas walki lub później zabójca uczynił to celowo, pragnąc zatuszować ślady zbrodni. Ciało było jeszcze ciepłe. Zabójca musiał opuścić pokój zaledwie przed paroma minutami.

Brzemie kolejnej śmierci spoczęło na i tak solidnie obciążonych barkach Doyle'a. Biedna Pietrowiczowa. Nie sposób wyobrazić sobie, że ta kobieta mogła mieć wrogów nienawidzących jej do tego stopnia, że byliby w stanie posunąć się do morderstwa. Ostrożnie, by nie dotknąć pigulek, Doyle zamknął wieczko pudełka i włożył je do torby. Był już przy drzwiach, gdy ujrzał coś białego, wystającego zza niewielkiego lustra na ścianie.

Wyjął złożoną we czworo kartkę papieru i przeczytał:

Doktorze Doyle,

Musimy niezwłocznie porozmawiać. Wyjeżdżam do Cambridge. Pietrowiczowa powie Panu, gdzie można mnie spotkać. Niech Pan nikomu nie ufa. Nic nie jest takie, jak się wydaje.

H. P. B.

Dzisiejsza data. Madame Bławacka była w Cambridge. Zabójca zamknął usta Pietrowiczowej, ale przeoczył tę kartkę. Doyle zostawił Pietrowiczową niebiosom, nie mając najmniejszych wątpliwości co do tego, dokąd sam się wybierze.

Doyle nie miał wrażenia, że ktoś śledził go w drodze na stację lub obserwował, gdy kupował bilet i wsiadał do pociągu. Kiedy zajął miejsce w kącie, by mieć na widoku drzwi, nikt z wchodzących do wagonu nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Gdy pociąg ruszył, Doyle w pliku pism pozostawionych na siedzeniu począł na próżno poszukiwać wiadomości o zaginięciu lady Nicholson. Pióropusz dymu z komina lokomotywy wchłonięty został przez poranny smog wiszący nad miastem. Kiedy patrzył na ruchliwe ulice za oknem, trawiąca Doyle'a tęsknota za spokojnym, prostym życiem ustąpiła miejsca skrajnemu podnieceniu. Pomimo zagrożenia, miał do wykonania pewną misję, a misja oznaczała cel, magnetyt jego wewnętrznego kompasu. Mimo zmęczenia, jego zmysły były czujne – wychwycił słodkawy zapach kanapki, którą kupił na podróż, ciepławeji piany butelkowego piwa i unoszący się w powietrzu aromat mauretańskiego cygara.

Gruba Hinduska zajęła miejsce naprzeciw Doyle'a – jej brązowe oblicze przesłonięte było woalką, zza której przebijały tylko migdałowe oczy i szkarłatna kropka dokładnie na

środku czoła pomiędzy nimi. Fizyczne odzwierciedlenie mistycznego trzeciego oka – Doyle przypomniał sobie to, co wiedział na temat hinduskich wierzeń – okno duszy i pąk lotosu o tysiącu płatków.

Zdał sobie sprawę, że się jej przypatruje, gdy głośny szelest przyniesionego przez kobietę zawiniątka wyrwał go z chwilowego odrętwienia. Zdjął kapelusz i uśmiechnął się przyjaźnie. Reakcja kobiety była tajemnicza. Wyższa kasta – uznał – sądząc po jej ubiorze i zachowaniu. Zastanawiał się leniwie, dlaczego nie podróżowała pierwszą klasą, z rodziną lub osobą towarzyszącą.

Rytmiczny turkot kół pociągu działał na doktora uspokajająco i gdy opuścili Londyn, Doyle począł przysypiać. Budził się sporadycznie, na kilka chwil, i jak przez mgłę widział, że jego subkontynentalna towarzyszka podróży pochyla się nad niewielką książeczką, przesuważąc palcem po widniejących na jej stronicach wersach.

W końcu usnął. Jego sny były gorące, szybkie i brutalne – fantasmagoryczny amalgamat ucieczki, pogoni, ciemnych twarzy i białego światła.

Wagon stanął z silnym szarpnięciem, a doktor, obudziwszy się, stwierdził, że coś musiało się wydarzyć. Zapanowało poruszenie. Podobnie jak reszta pasażerów, Hinduska wyglądała przez okno po lewej stronie.

Znajdowali się na wsi, wzdłuż torów biegła polna droga, opodal której rozciągał się szeroki pas ziemi porośniętej pszenicą ozimą. Wielki wóz, ciągnięty przez dwa konie, przewrócił się i wylądował w rowie przy drodze. Jeden z koni, potężny kasztan, wciąż jeszcze zaprzęgnięty do dyszla, wierzgał dziko, młócąc kopytami powietrze. Drugi, srokosz, leżał w rowie i dogorywał, rżąc, targany konwulsjami. Chłopak, pechowy woźnica, próbował zbliżyć się do rannego zwierzęcia, ale powstrzymało go dwóch krzepkich parobków. Spoglądając wzdłuż drogi, Doyle ujrzał, co mogło być przyczyną wypadku.

Czy to był strach na wróble? Nie, bo choć przypominał go z wyglądu, był dużo większy, mierzył blisko dziesięć stóp wysokości. Nie był zrobiony ze słomy: wydawał się bardziej zbity i wymodelowany.

Może to coś wykonano z wikliny? Ów przedmiot był zawieszony na czymś w rodzaju krzyża – i chyba rzeczywiście sterczało coś na kształt raków, które były przybite do drewna kolejowymi bretnalami. Tak, bez wątplenia tak. Krzyż stał przy drodze, a figura zwrócona była twarzą do torów. I faktycznie wisiała na krzyżu. Na głowie postaci nie było jednak korony cierniowej, lecz olbrzymie rogi – stożkowate, ostre i zakrzywione. W myślach Doyle'a pojawiło się wspomnienie stworzenia, którego wizerunek widział na szklanej misie w domu przy Cheshire Street 13.

Była to – o ile mógł to stwierdzić – ta sama postać.

Gdy fama o figurze rozeszła się po całym pociągu, pasażerowie poczęli szemrać, że należałoby spalić bluźniercze szkaradzieństwo. Nim jednak podjęto zdecydowane kroki, rozległ się przeciągły gwizd i pociąg odjechał, a złowieszczy wizerunek pozostał w tyle. Doyle zauważył jeszcze, jak jeden z parobków, wbrew głośnym protestom chłopaka, podchodzi do zdychającego konia ze strzelbą w dłoni.

Hinduska przez dłuższą chwilę przyglądała się Doyle'owi, ale gdy ten na nią spojrział, natychmiast powróciła do przerwanej lektury. Reszta dwugodzinnej podróży minęła spokojnie.

Na słupie przy stacji Cambridge wisiał plakat – z fotografią oczywiście, by dodać powagi przedsięwzięciu.

„Dziś wieczorem odbędzie się wykład Towarzystwa Teozoficznego. Wygłosi go H. P. Bławacka. Godz. 20.00. Guildhall, przy placu Targowym”.

Wiedząc, gdzie może ją znaleźć i mając cztery godziny wolnego czasu, Doyle wybrał się do Kings College, by złożyć wizytę w gabinecie profesora Armonda Sackera.

Zaczął się ściemniać. Szedł drogą wzdłuż podmokłych brzegów rzeki Cam, a następnie Królewską Promenadą dotarł do Starówki. Zaczął wiać chłodny wiatr, więc doktor, przemierzając rozległą otwartą przestrzeń, opatulił się szczelniej szalikiem.

Tą drogą chodził, będąc studentem, Karol Darwin. Podobnie jak Newton, Byron, Milton, Tennyson i Coleridge. Wytworne college'e przypominały mu jego własną, pełną rozczarowań młodość, gdy ze względu na niezbyt wysokie zarobki rodziców musiał pójść na Uniwersytet Edynburski, gdzie chesne było dużo niższe. Skutki dorastania w systemie klasowym wciąż wzbudzały fale gorzkiego niezadowolenia w jego dumnym sercu.

Po drugiej stronie placu przy kościele Najświętszej Marii Panny wznosiła się klasyczna fasada Kings College. Doyle minął wielką, zdobioną bramę i znalazł się na kompletnie pustym, usłanym mrocznymi cieniami dziedzińcu.

Wchodząc do jedynego budynku, w którym paliło się światło, usłyszał jakieś szuranie i głośne kichnięcie. Dźwięki te zaprowadziły go do drzwi olbrzymiej biblioteki. Wyszuszony na wiór, stary bibliotekarz układał stosy książek w z pozoru przypadkowy sposób, pomiędzy regałami a gigantycznym wózkiem. Miał niemłą twarz, czerwoną i pomarszczoną, a był tak drobny i chudy, że mogło się wydawać, iż lada moment zniknie w fałdach obszernego, burego kitla i źle dopasowanej peruczki.

– Proszę wybaczyć, czy mógłby pan wskazać mi drogę do profesora Sackera?

Bibliotekarz ponownie kichnął, ale w dalszym ciągu go nie zauważał.

– Profesor Armond Sacker. Zajmuje się kulturą antyczną – rzekł Doyle, podnosząc głos. – Głównie egipską i grecką...

– Na miłość boską, człowieku! – Staruszek dostrzegł go kątem oka i zatoczył się na wózek, przerażony, przykładając obie ręce do zapadniętej piersi.

– Bardzo mi przykro. Nie chciałem pana przestraszyć.

– Jest przecież dzwonek! – ryknął bibliotekarz. – Powinieneś być zadzwonić! – Usiłował odzyskać równowagę, opierając się plecami o wózek, ale choć był człowiekiem drobnym i chudym, okazał się dostatecznie ciężki, by wózek począł przesuwać się wstecz. Mężczyzna i wózek zaczęli z wolna oddalać się od Doyle'a, przemieszczając się w głąb długiego, mrocznego korytarza.

– Przepraszam, ale nie widziałem dzwonek – rzekł Doyle.

– Tak to już jest z dzisiejszą młodzieżą. Cała jest zepsuta. Kiedyś studenci szanowali władzę!

Doyle'a kusiło, by odpowiedzieć, iż był to efekt śmiertelnego strachu przed karami cielesnymi. Przesuwając wózek plecami, bibliotekarz nadal się wycofywał, nie mógł jednak wrócić do pionu, gdyż Doyle nieubłaganie szedł za nim krok w krok.

– Może gdyby umieścił pan dzwonek w widocznym miejscu – rzekł łagodnie Doyle.

– Co za bezczelność – rzucił zjadliwie bibliotekarz. – Zobaczysz, jak tylko zaczną się wykłady, zgłoszę twoje nazwisko do komisji dyscyplinarnej.

– Myli się pan. Nie jestem studentem.

– I jeszcze sam przyznajesz, że nie masz tu czego szukać!

Bibliotekarz uniósł kościsty palec w geście źle pojętego triumfu. Widząc jego znużone powieki, Doyle domyślił się, że tamten prócz tego, że ślepy jak kret, musiał być do tego głuchy jak pień. I o ile mógł to stwierdzić, ów zjadliwy, wredny, stary mól książkowy sam był emerytowanym urzędnikiem komisji dyscyplinarnej. Przed laty Doyle zbyt często miał okazję doznawać cierpień z rąk takich jak on, uwielbiających przemoc sadystów.

– Szukam gabinetu profesora Armonda Sackera – rzekł Doyle, wyjmując jego wizytówkę i machając nią bibliotekarzowi przed nosem. Przeszli dwadzieścia jardów w głąb korytarza i Doyle bynajmniej nie miał zamiaru pomagać odrażającemu staruchowi w odzyskaniu równowagi. – Mogę pana zapewnić, że mam tu co szukać i jestem tu jak najbardziej legalnie.

– A o co konkretnie chodzi?

– Nie mogę panu tego wyjawić, sir. Niemniej jest to sprawa niecierpiąca zwłoki. I śmiem twierdzić, że jeśli natychmiast nie zechce mi pan pomóc, mogę się bardzo, ale to

bardzo rozzłościć.

– Trwa przerwa świąteczna. Nie ma go tutaj – rzekł bibliotekarz, a strach lub wyczerpanie uczyniły go nader skorym do współpracy.

– Nareszcie coś wiemy. A więc profesor Sacker rzeczywiście istnieje.

– Przecież chce się pan z nim widzieć!

– Zrozumiałem, że nasz zacny profesor jest nieobecny, toteż gdybyśmy zajęli się teraz ustaleniem, gdzie mógłby obecnie przebywać...

– Wiem, że tego nie wiem.

– Proszę zwrócić szczególną uwagę na dobór słów – nie pytam gdzie JEST, ale gdzie MÓGŁBY BYĆ. Powtórzę – gdzie mógłby obecnie przebywać.

Z silnym stuknięciem wózek uderzył w ścianę na końcu korytarza. Bibliotekarz osunął się na podłogę, siedział rozkraczony, oparty plecami o wózek. Twarz miał czerwoną jak burak. Wskazał ręką ku górze i w prawo na sąsiednie drzwi.

– Ach – rzekł Doyle. – Gabinet profesora?

Bibliotekarz pokiwał głową.

– Bardzo mi pan pomógł. Jeśli podczas mej wizyty będę miał okazję spotkać się z pańskimi przełożonymi, nie omieszkam wspomnieć o pańskiej gorliwej i wydatnej współpracy.

– Będzie mi miło, sir. Doprawdy niezmiernie miło. – Cukierkowy uśmiech bibliotekarza obnażył źle dopasowaną sztuczną szczękę.

Doyle nałożył kapelusz i wszedł do gabinetu Sackera, zamykając za sobą drzwi. Pokój był wysoki, prostokątny, wzdłuż ścian ciągnęły się wykonane z ciemnego drewna regały, wypełnione książkami. Aby sięgnąć wyższych półek, trzeba było wejść na drabinkę stojącą obecnie pod ścianą. Centralne miejsce w pokoju zajmowało biurko, wokół którego piętrzyły się stosy otwartych na chybił trafił woluminów, mapy, kompasy, cyrkle i inne przyrządy kartograficzne.

Z fajki leżącej na popielniczce unosiła się wąziutka smużka dymu. Tytoń jeszcze się tlił. Fajka, wykwintnie wyrzeźbiona z morskiej pianki, była ciepła w dotyku. Użytkownik tego gabinetu opuścił pokój najwyżej przed pięcioma minutami. Czy uczynił to, usłyszawszy głos Doyle'a w korytarzu? Sacker był dziwnym człowiekiem, ale czy celowo unikałby Doyle'a po tym, co wspólnie przeszli? A jeżeli tak, to dlaczego?

Lustrując blat biurka, Doyle wypatrywał kilka standardowych tekstów w starożytnej grece: tom Eurypidesa, monografię Safony i dość zniszczony egzemplarz *Iliady*. Leżały tu również mapy wybrzeża środkowej Turcji, na których naniesiono kropki i zapiski. Doyle

domyślił się, że obiektem studiów była legendarna Troja.

Na wieszaku przy drugich drzwiach wisiał płaszcz i melonik. O ścianę oparta była laska. Trochę za krótka jak na szczupłego, wysokiego Sackera – pomyślał Doyle. Otworzył drugie drzwi, prowadzące do małego przedpokoju, gdzie, jak przypuszczał, prowadzone były seminaria, po czym, pokonawszy następne, znalazł się w rozległym korytarzu.

Na postumentach po obu stronach pnących się w górę schodów stały, jak wartownicy, wpatrzone w siebie dwa gargulce o długich szponach i kłach oraz gądziokształtny bazyliśzek o cielsku pokrytym ostrą łuską.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca, wpadając przez grube, ołowiane okna rzucały upiorny poblask na marmurowe ściany i podłogi. Tylko kilka minut dzieliło go od absolutnych ciemności, a z uwagi na oszczędność, podczas świąt gazowe lampy co do jednej były wygaszone. Doyle nasłuchiwał, ale nie wychwycił odgłosów kroków.

– Profesorze Sacker! Profesorze Sacker!

Bez odpowiedzi. Przeszył go dreszcz. Odwrócił się. Gargulce łypały na niego ze swoich podwyższeń przy schodach.

Doyle zaczął szukać toalety – czy te posągi patrzyły na niego, kiedy tu wszedł? Wspomnienie chimier patrzących na siebie nie dawało mu spokoju – może Sacker poszedł z potrzebą? Okazało się, że drzwi w całym korytarzu są zamknięte. Gdy pokonał kolejny zakręt meandrycznego korytarza, stwierdził, że nie widzi już wyciągniętej przed siebie ręki ani nie jest pewny, gdzie się właściwie znajduje. Otarł spocone dłonie. Powietrze było mroźne i ciężkie, i nieprzeniknione z powodu ciemności. Rzadko ogarniał go lęk przed ciemnością, ale po przeżyciach ostatnich dwóch dni nawet w dziennym świetle czuł się nieswojo.

Próbując wrócić tą samą drogą, którą tu przyszedł – w gabinecie Sackera paliło się światło i pomieszczenie to wydawało się mu oazą ciepła i bezpieczeństwa – przesuwał ręką po chłodnej, marmurowej ścianie i krok za krokiem, ostrożnie brnął naprzód.

Rozwidlenie dróg. Czy skręciłem tu w prawo czy w lewo? Nie był pewny. A więc w prawo.

Strach przed ciemnością jest prymitywnym, instynktownym atawizmem – upomniął sam siebie. Nasi przodkowie przez większą część swego życia szukali na oślep w mroku, a że za każdym rogiem mogły zaiść się wielkie, mięsożerne bestie, pytanie czy skręcić w prawo, czy w lewo wydawało się raczej nie na miejscu. Ale w nowoczesnym świecie takie zagrożenia już przecież nie istnieją. Co to było?

Doyle stanął. Jakiś dźwięk dobiegł z oddali. Co to było? Spokojnie. Może to pomoc, może jakaś przyjazna dusza, kto wie, może nawet sam Sacker. Trzeba poczekać. *Może znów*

to usłyszymy. I może do tego czasu lepiej nie ruszać się z miejsca. Błądzimy z ostrożności i nie tylko dlatego, że znaleźliśmy się w egipskich ciemnościach w zakamarkach bezkresnego labiryntu, a jakaś mroczna, nienazwana groza śledzi nas, Bóg jeden wie, z której strony eterycznej membrany.

Chwileczkę... znowu to słycać.

Spróbuj to zidentyfikować. To nie odgłos kroków, prawda? Nie. Nie stukot obcasa na posadzce ani szuranie podeszwy.

Dalej Doyle, dobrze wiesz, co usłyszałeś.

Skrzydła. Trzepot skrzydeł. Błoniastych, chrząstkowych.

Cóż, może gołąb wleciał przez okno i zgubił się gdzieś w korytarzu. Ejże, ejże, myśl logicznie, dobra? fest koniec grudnia i jeśli były tu jeszcze jakieś ptaki, to raczej małe, o niewielkiej rozpiętości skrzydeł, a gdyby istniał na świecie ptak wydający podobne dźwięki, musiałby mieć rozmiary...

Zbliża się. Pierwsze dwa dźwięki dobiegały z jednego miejsca, jakby coś rozkładało skrzydła i wzbijało się w powietrze, zupełnie jakby... Doyle, myśl logicznie – jeśli dopuścisz do siebie myśl, że te kamienne gargulce przy schodach mogą latać, to ani się obejrzysz, a znajdziesz się przykuty do ściany w Bedlam.*

Z drugiej strony, w powietrzu przemieszcza się coś ogromnego i zbliża się, tak więc, przynajmniej z czystej ostrożności, nie powinienes stać w miejscu. Nie biegnij, Doyle, macaj przed sobą laską tak, właśnie tak – tylko cicho, proszę – znajdź drzwi, doskonale, nieważne jakie są... Zamknięte. Niech to szlag. Następne.

A jeśli chodzi o ptaki – co o nich wiesz – czy widzą w ciemności? To zależy od ptaka, prawda? A jak tam u nich z węchem?

Mają węch? Na pewno, bądź co bądź ich życie składa się z nieprzerwanego poszukiwania pożywienia. Diabło uspokajające. Co ci wiadomo na temat upodobań gargulców? Co jedzą?

To niemożliwe, a jednak skrzydła zdawały zbliżać się ku niemu i oddalać jednocześnie. Chyba że mamy do czynienia z dwoma stworami – po jednym z każdej strony schodów co daje w sumie... dość!

Drzwi, Doyle, i pospiesz się, bo jeden z nich właśnie skręcił za róg, czyli jest jakieś pięćdziesiąt stóp za nami i szybko się zbliża.

Są – chwyć klamkę, przekręć, pchnij, wejdź i zamknij drzwi za sobą. Możesz je zamknąć na klucz? Nie ma zasuwy. Czy ptaki potrafią otwierać drzwi? Spoważnij trochę.

* Popularna nazwa londyńskiego szpitala dla obłąkanych St. Mary of Bethlehem (przyp. red.).

Czy w tych drzwiach jest okienko?

Nie. To solidny dąb. Dobrze, stare, grube drzwi. Niech Bóg błogosławi angielskich cieśli...

Słyszałeś to, prawda? – osiadający na ziemi ciężar, ciche chrobotanie na marmurowej posadzce. Co się wiąże ze skrzydłami? Szpony. I gdyby przeorać szponami po solidnym dębowym drewnie, powstałby właśnie taki dźwięk, jak ten, który obecnie słyszymy.

Pora sprawdzić, gdzie jesteśmy, i co ważniejsze, czy jest stąd jakieś wyjście. Sięgnij do kieszeni, wyjmij zapalniczkę, odsuń się od drzwi i zapal... o Boże!

Doyle upuścił zapalniczkę i cofnął się, oczekując ciosu, który nie nastąpił. Zdziwił się, to bowiem, co ujrzał przez moment w świetle zapalniczki, a co przyglądało mu się z ukosa, było obliczem gura, upióra o pomarszczonej, na wpół wyżartej skórze i pożółkłych zębach obnażonych w złowróżbnym grymasie. Czekał. Z całą pewnością poczuje na twarzy powiew cuchnącego oddechu. Drżącymi dłońmi zapalił zapalniczkę.

Mumia, stojąca w sarkofagu. Obok na stojaku zakrzywiona laska boga Re. Przesuwając dłonią wokół, by móc się rozejrzeć, Doyle stwierdził, iż trafił do sali egipskiej. Amfory, biżuteria, mumie kotów, wyłożone złotem sztylety, tabliczki z hieroglifami. Egipskie pozostałości jego kultury były dziś w modzie – żadna wycieczka dookoła świata nie mogła obyć się bez wyprawy do piramid w...

Bum! Trzaśnięcie w drzwi. Bum! Zawiasy jęknęły przejmująco. Dzięki jego monologowi, spowodowanemu narastającą paniką, coś co było na zewnątrz wiedziało, że znajdował się w środku.

Zapalniczka oparzyła mu koniuszki palców. Upuścił ją i zapalił kolejną, szukając – proszę, Boże – tak, tak, było tam – okno. Błyskawicznie podszedł doń, starając się podtrzymać płomień zapalniczki, odnalazł zamek, wyrzucił zapalniczkę, ujrzał klamkę przy oknie, przekręcił – coś ciężkiego z impetem naparło na poddające się drewno – i otworzył szeroko. Doyle spojrzał niepewnie w dół – nie miał chwili do stracenia, wahanie mogło kosztować go życie – wyrzucił na zewnątrz swoją torbę i laskę, po czym wyskoczył. Wylądował na ugiętych nogach i by wytracić impet, przeturlał się po ziemi. Pospiesznie zgarnął laskę i torbę i biegiem zaczął oddalać się od grobowca starożytności.

Zatrzymał się, by zaczerpnąć tchu, pod łukowato sklepieniem wejściem do kościoła Najświętszej Marii Panny. Odczekał dziesięć minut wśród cieni, spodziewając się usłyszeć przeraźliwy trzepot dochodzący z ciemności i ujrzeć zatrważający cień przesłaniający gwiazdy i spadający nań prosto z nieba. Gdy jego oddech ustabilizował się, poczuł chłód – plecy jego koszuli były całe prze poczone. Zadygotał z zimna.

Światło palące się w nawie zdawało się go przywoływać. Wszedł do środka. Przed czym właściwie uciekł? W ciepłym, bezpiecznym kościele to pytanie nie dawało mu spokoju – czyżby jego wyobraźnia zmieniła całkiem normalną sytuację – na przykład obchód nadgorliwego nocnego strażnika, którego sztruksowe spodnie, poprzez ocieranie się nogawek, wydawały wyjątkowo głośny szelest – w wyimaginowany, upiorny koszmar? Dzięki prowadzonym przez siebie badaniom wiedział, że towarzyszące walce napięcie może powodować u żołnierzy różnego rodzaju osobliwe zjawiska halucynogenne. Czy on sam nie znajdował się obecnie w głębokim stresie, do tego stopnia, że skoro nie znał swych prawdziwych nieprzyjaciół, idąc za radą Sackera, w każdym przechodniu na ulicy widział zakamuflowanego wroga?

Może taka była właśnie ich ulubiona metoda ataku – doprowadzić swe ofiary do szaleństwa wskutek nieustannego, nieokreślonego zagrożenia, które było bardziej wyczuwalne niż widoczne. Pokaż człowiekowi cel, a dasz mu punkt oparcia. Zaatakuj go niewytłumaczalnymi nocnymi odgłosami, tajemniczymi światełkami, makabrycznymi strachami na wróble ustawionymi przy torowisku, dodaj do tego szczyptę jego własnej wyobraźni i ani chybi doprowadzisz go rychło do obłądu.

Stojąc w jednej z kaplic transeptu, Doyle poczuł nagłe pragnienie zapalenia świecy w nadziei, że uzyska od Najwyższego Dobra wsparcie czy choćby wskazówkę.

„Bóg jest światłością i nie ma w Nim mroku” – brzmiała inskrypcja.

Z zapalonym stoczek w ręku znieruchomiał i zamyślił się. To ciekawe – przecież balansuję pomiędzy lękiem a wiarą, odwiecznymi dylematami człowieka – czy jesteśmy istotami światłości, bogami oczekującymi narodzin, czy pionkami w pojedynku wyższych mocy walczących o władzę nad ziemię poza ich oddzielnymi, niewidocznymi światami? Nie mogąc skłonić się definitywnie ku jednej odpowiedzi, Doyle zgasił stoczek, nie zapalając świecy.

Nie miał ochoty odwiedzać ponownie budynku uniwersyteckiego, aby sprawdzić, czy Sacker wrócił do swego gabinetu – bardziej kusząca wydawała się perspektywa jakiegoś posiłku. Tak, posiłek dla ciała i odpoczynek dla ducha. Niech umysł się uspokoi. A potem odwiedzi kogoś, kto jak nikt inny, mógł pomóc mu w wydostaniu się z tego metafizycznego bagna – H. P. B.

7. H. P. B.

Dwie godziny później, z pełnym żołądkiem, Doyle siedział wśród grupki transcendentalistów zebranych w Guildhall na wykładzie madame Bławackiej. Mówiła z głowy, nie posługiwała się notatkami i jeśli nawet jej przemowa była nieco niespójna i chaotyczna, ogólny efekt był doprawdy oszałamiający.

– ...nigdy nie było przywódcy duchowego, choćby największego czy najważniejszego, który stworzyłby nową religię. Tak, to prawda, że dawali nam nowe formy, czy nowe interpretacje, jednakże prawdy, na których oparte są ich objawienia, mają podstawy starsze aniżeli ludzkość. Ci prorocy, jak sami przyznają, nigdy nie byli twórcami. Wolą raczej określenie „przekaziciele”. Żaden z nich nigdy, od Konfucjusza do Zoroastra, od Jezusa do Mahometa, nie powiedział: „Ja to stworzyłem”. Wszyscy niezmiennie twierdzili: „Oto co otrzymałem i co przekazałem dalej”. Tak jest też dzisiaj.

W miarę jak jej pasja narastała, oczy Rosjanki poczęły świecić niczym szafiry. Wydawało się, że krągła, niezbyt wysoka kobieta zmieniła się w olbrzyma, a jej mocno akcentowany angielski, początkowo sztywny i powolny, nabrał płynnego i dźwięcznego brzmienia.

– W dzisiejszym świecie istnieje święta mądrość, przy której wielkie osiągnięcia całej naszej historii tracą swoje znaczenie; mówię o prastarych księgach, których ogromnie dużo ukryte jest od stuleci przed ludźmi Zachodu. Buddyści z Tybetu posiadają tylko i aż trzysta dwadzieścia pięć woluminów – w tych księgach zawarty jest od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu razy więcej informacji niż w tak zwanej Biblii i dotyczą one dziesięciu tysięcy lat ludzkiej historii. – Ale to są czasy przedchrześcijańskie! To obraza boska! – Ona musi być szalona! Trzeba ją uciszyć! Już słyszę wrzaski wielbnego arcybiskupa Canterbury.

Przyłożyła dłoń do ucha, a ów komiczny gest nie uszedł uwagi słuchaczy. Doyle rozejrzał się po sali i zauważył, że Hinduska, z którą podróżował pociągiem, siedzi w rzędzie za nim, uśmiechając się do H. P. B. i kiwając głową z aprobatą.

– Jakie było najbardziej niszczycielskie posunięcie chrześcijan przeciwko ich

przodkom? Od czego rozpoczęli fanatyczne i systematyczne wykorzenianie Prastarej Wiedzy? Odpowiedź? Kalendarz gregoriański. To takie proste – Rok Pierwszy. Czas zaczyna się od narodzin proroka z Nazaretu – skądinąd zapowiedzianych paroma mniej ważnymi znakami, ale to, co wydarzyło się wcześniej, skazane zostało na zniknięcie w otchłani zapomnienia. Przeszłość przestała cokolwiek znaczyć. My, wierni prawdziwego Kościoła, zdecydowaliśmy, od którego momentu zaczyna się mierzenie czasu i w ten sposób jeden cios udowadnia niezbitcie, że pióro jako broń jest potężniejsze od szabli.

Czy zdajecie sobie sprawę, jak niszczycielska i deprecjonująca była owa decyzja dla całej dotychczasowej historii, dla całej przeszłości poprzedzającej Rok Pierwszy? Jak jeden gest – zrodzony nie z tradycji chrześcijańskiego oddania, lecz ze strachu przed niewygodnymi prawdami, to znaczy takimi, które naruszały interesy osób znajdujących się u władzy – pozbawia ludzi możliwości posuwania się naprzód i odcina od najpotężniejszych duchowych źródeł, jakie kiedykolwiek były i będą im dane.

Ostre słowa, jak na kraj chrześcijański. Doyle musiał przyznać, że ta kobieta była obdarzona olbrzymią wiarą i zdrowym rozsądkiem. To nie była na wpół oszalała mistyczka, bujająca w obłokach.

– To wszystko zawdzięczacie pierwszym chrześcijanom. Byli powściągliwi i spisali się na medal. Przetrasnęli cały świat w poszukiwaniu Prastarych Doktryn i w świecie Zachodu zdołali je prawie całkowicie zniszczyć. Biblioteka Aleksandryjska, ostatnie wielkie archiwum zawierające dzieła z przełomu okresów przed i po Chrystusie, została doszczętnie spalona. Czy wydaje się wam, że ów akt świadomego, duchowego wandalizmu jest dziełem przypadku?

To dlatego nasze podróże, nasza praca jako teozofów, muszą zawsze prowadzić nas na Wschód. Tam kryje się wiedza, zawsze bowiem stamtąd się ona wywodziła. Na szczęście uczeni Wschodu mieli dość rozsądku i ukryli swe skarby przed maruderami z Zachodu, rycerzami krzyżowymi, którzy w swej krótkowzroczności nie zdawali sobie sprawy z tego, iż największą sprawą powinna być dla człowieka duchowa ewolucja. A teraz zapytajcie samych siebie, czemu ta wiedza, Prastara Nauka, została ukryta przed całym Zachodem. Czy nie byłoby w interesie Oświeconych podzielić się tymi tajemnicami z rosnącymi w siłę cywilizacjami?

A ja was pytam: czy daliście dziecku, znajdującemu się w prochowni, zapaloną świeczkę? Te prawdy były przekazywane przez duchowych przywódców z pokolenia na pokolenie od zarania dziejów. Zachowują je w sekrecie, ponieważ posiadają informacje, w których zawarty jest klucz do zrozumienia podstawowych tajemnic życia. Ponieważ są Mocą!

I ucierpielibyśmy wszyscy, gdyby trafiły w niewłaściwe ręce.

Jej wzrok po raz pierwszy padł na Doyle'a, po czym powędrował dalej.

– Powiedzmy sobie szczerze: nawet gdybyśmy wypruwali z siebie żyły, aby przedstawić owe prawdy opinii publicznej – rzecz jasna, w mocno okrojonej, możliwej do przyjęcia postaci – nie możemy się łudzić, iż nasze wysiłki zostaną docenione przez współczesny świat. Wręcz przeciwnie. Powinniśmy spodziewać się odrzucenia, szyderstw oraz szykan. Żaden naukowiec nie zechce potraktować poważnie naszych badań i osiągnięć. Naszym zadaniem jest otworzyć drzwi, choćby tylko tyle. – Uniosła do góry dwa, lekko rozchylone palce. – W każdym pokoleniu bowiem znajdują się tacy badacze jak my, którzy podążą naszym śladem i będą uchylać drzwi odrobinę szerzej.

Wydawało się, że nagle skupiła całą swą uwagę na Doyle'u. Poczuł na sobie siłę jej spojrzenia.

– Zapytasz, jak to zrobić. Wyobraź sobie, że jesteś turystą i podróżujesz przez kraj, który doskonale znasz, w którym mieszkałeś przez całe swoje życie. Bliskie ci są jego drogi, rzeki, miasta, ludzie i obyczaje. Stanowią one sumę wszystkiego, co znasz, a tym samym, zgoła naturalnie przyjmujesz, że reprezentują sumę wszystkiego, co istnieje. Wyobraź sobie zatem, że podczas podróży niespodziewanie zjawiasz się na granicy innego kraju, kraju, który nie był zaznaczony na żadnej, nawet najdokładniejszej, z posiadanych przez ciebie map. Kraj ten ze wszystkich stron otaczają skaliste, nieprzebyte łańcuchy górskie i nie możesz, z miejsca, w którym się znajdujesz, zerknąć w głąb tego osobliwego zakątka. Ale chcesz się tam dostać. Masz zacięcie i chęć. Masz odwagę. Masz, z braku lepszego słowa, pewną wiarę. Co musisz uczynić?

– Wspiąć się na tę górę – powiedział Doyle. Bławacka pokiwała głową.

– I pamiętaj – powiedziała – kiedy ścieżka okaże się niemożliwa do przebycia, kiedy twoje plany spalą na panewce, kiedy spojrzysz ci w oczy śmierć, nie będziesz miał innego wyjścia, jak tylko zniszczyć tę górę. W ten i tylko w ten sposób wejdiesz do Nowej Krainy.

Tym stwierdzeniem Bławacka zakończyła swoją prelekcję. Oklaski były krótkie i skąpe. Bławacka lekko skłoniła głowę, a na jej ustach wykwitł bynajmniej nie ironiczny uśmiech, który zdaniem Doyle'a mówił: nie bijecie mi braw, ponieważ to w gruncie rzeczy nie są moje słowa, przy czym ja przyjąłam boskość i komedię naszego połączonego duchowo-fizycznego istnienia i próbuję was przekonać, byście uświadomili sobie tę prawdę.

Większość słuchaczy rozeszła się już, zadowolona z udanego wieczoru – jedni błyskawicznie zapominali o wykładzie, drudzy byli usatysfakcjonowani otwartością własnych umysłów, jeszcze inni pogrążeni w nieco głębszym zamyśleniu, które w przeciągu następnych

kilku dni zaowocuje paroma refleksjami, by koniec końców zostać w bezlitosnym, kojącym kokonie rutyny.

Wiedząc, że musi porozmawiać z tą kobietą, Doyle stał na skraju kordonu akolitów otaczających prelegentkę, spragnionych nieco bardziej bezpośrednich doznań prawdy, o której przed chwilą słyszeli. Asystent – Doyle ocenił to po jego wyglądzie – mężczyzna po dwudziestce, ustawił opodal stolik z książkami H. P. B., oferując po dość umiarkowanych cenach znane już doktorowi woluminy.

Pytania, które jej stawiano, były proste, żeby nie powiedzieć prostackie, a odpowiadała na nie z graniczącą z nieuprzejmością nonszalancją. Nie była jedną z tych charyzmatycznych osobowości, z którymi Doyle miał okazję stykać się i których zachowanie miało na celu tak emocjonalne, jak i rzecz jasna, finansowe urzeczenie największych rzesz wiernych. Wydawała się zniecierpliwiona, gdy tak stała, otoczona gromadą zwolenników, zupełnie jakby czuła się skrepowana ich zainteresowaniem i sposobem, w jaki ją traktowano.

To jest właśnie jej dar – pomyślał Doyle. Po prostu robi swoje. I nie ponosi odpowiedzialności za to, co dana osoba uczyni z otrzymaną informacją. Rzeczowa, pragmatyczna i zimna.

– Co ma pani do powiedzenia na temat różnych religii?

– Nic. Nie ma innej religii wyższej od prawdy.

– Jakie przyczyny sprawiają, że starsi wyznawcy innych religii boją się tego, co pani mówi?

– Bigoteria i materializm.

– Czy twierdzi pani, że Jezus nie był Synem Bożym?

– Nie. Wszyscy jesteśmy Dziećmi Bożymi.

– Ale twierdzi pani, że nie był Osobą Boską?

– Wręcz przeciwnie. Następne pytanie.

– Co może pani powiedzieć o wolnomularzach?

– Jeśli pada pytanie o wolnomularstwo, zmuszona jestem się z państwem pożegnać.

Proszę czytać moje książki i starać się przy nich nie usnąć. Dziękuję.

To rzekłszy, wyszła przez drzwi z boku sceny. Ostatnia gromadka jej zwolenników rozproszyła się. Obok Doyle'a pojawiła się nagle niska, skromnie ubrana kobieta z monoklem i laską.

– Doktor Doyle?

– Tak.

– Nazywam się Dion Fortune. H. P. B. chciałaby z panem pomówić. Proszę tędy.

Doyle pokiwał głową i ruszył za nią. Nazwisko tej kobiety nie było mu obce – była jedną z założycielek londyńskiego oddziału Towarzystwa Teofizycznego i autorką wielu prac, znaną w świecie parapsychologii. Doyle zauważył Hinduskę stojącą przy stoisku z książkami H. P. B., po czym w ślad za Fortune przeszedł przez boczne drzwi.

Uścisk jej dłoni był silny i chłodny. Spojrzała mu w oczy ciepło, z wyraźnym zatroskaniem.

– Niezmiernie miło mi pana poznać, doktorze Doyle.

Po dokonaniu wstępnej prezentacji, Dion Fortune usiadła na krześle pod drzwiami. Znajdowali się w ciasnej garderobie opodal buzującego pieca. Na stole stała otwarta, znoszona torba – jedyny bagaż H. P. B.; jej majątek był równie skromny, jak rzeczy, które nosiła.

Doyle przywitał się z nią serdecznie, wiedząc, że poczułby się nie w porządku wobec samego siebie, gdyby nie opowiedział jej od razu o wydarzeniach w Londynie.

– Pietrowiczowa nie żyje – stwierdził.

Jej twarz zastygła. Natychmiast zaczęła wypytywać o szczegóły. Była bardzo konkretna. Doktor mówił rzeczowo, dzieląc się swoimi przemyśleniami, po czym wyjął z torby blaszane pudełko z zatrutymi tabletkami.

Bławacka obejrzała je, powąchała i skinęła głową.

– Napije się pan ze mną? – zapytała. – Kieliszek czegoś mocniejszego dobrze by panu zrobił.

Wyjęła z torby butelkę. Fortune wydobyła skądś kieliszki.

– Wódka – powiedziała, podając mu kieliszek.

– Myślałem, że nauki spirytystyczne zabraniają używania mocniejszych trunków – rzucił nieśmiało Doyle.

– Większość tych, jak pan mówi, nauk to zwyczajne banialuki. Musimy iść przez świat takimi, jakimi się urodziliśmy. Ja jestem zwyczajną rosyjską chłopką i wódka mi służy. Na zdrowie!

Wypiła i nalała sobie drugą porcję. Doyle upił łyk. Fortune nie piła. Bławacka usiadła na fotelu, przełożyła nogę przez poręcz i zapaliła cygaro.

– Jest jeszcze coś, o czym chciał mi pan powiedzieć, prawda?

Doyle pokiwał głową. Był zadowolony, że poczęstowano go alkoholem. Wódka rozwiązywała mu język i pozwalała swobodniej mówić.

Przerwała mu tylko raz, gdy poprosiła o dokładniejszy opis ran i formy, w jakiej przy ciele zabitej prostytutki ułożono jej wewnętrzne organy.

– Czy zechciałby pan naszkicować mi je, z pamięci, najdokładniej jak to tylko możliwe?

Fortune podała mu pióro i kartkę, a Doyle wykonał polecenie i gdy skończył, wręczył swe „dzieło” Bławackiej. Przez chwilę przyglądała się rysunkowi, chrząknęła, po czym złożyła kartkę i wrzuciła do torby.

– Proszę mówić dalej – powiedziała.

Opisał jej podróż do Cambridge, swoje bliskie spotkanie z Bóg-wie-czym w gmachu wydziału antycznego, na koniec pokazał zmienioną nie do poznania książkę, którą zabrał ze swego mieszkania.

– Co mogło spowodować coś takiego? – spytał.

– Eksplozja elektroplazmy. Duch przechodzący z innego świata do naszego. Właśnie dlatego Pietrowiczowa mnie wezwała. Chciała, abym to zobaczyła. Bardzo źle. Oczywiście wtedy sądziłam, że chodzi im o Pietrowiczową, i może faktycznie chcieli ją dopaść, ale przede wszystkim pana. Jak dobrze, że nie było pana wtedy w domu. Proszę dalej, doktorze.

Doyle miał w głowie mętlik.

– Madame, co może mi pani powiedzieć o Ciemnym Bractwie?

Pytanie wywołało wymianę ukradkowych spojrzeń pomiędzy H. P. B. i Fortune, której znaczenia nie był w stanie rozszyfrować.

– Złe istoty. Materialiści. Wrogowie Ducha Świętego. Powinien pan przeczytać moje prace na ten temat...

– Czytałem, madame. – Aż za dobrze – pomyślał Doyle. – Chciałbym wiedzieć, czy wierzy pani, że te istoty rzeczywiście istnieją.

Zastukała w stół.

– A czy ten stolik jest prawdziwy? Czy szklanka jest prawdziwa? Czy te rzeczy istnieją?

– Wydaje się, że tak.

– Ma pan zatem odpowiedź na swoje pytanie.

– Ale czy te istoty są ludźmi, to znaczy, czy istnieją w ludzkiej postaci, czy są wyłącznie zjawiskami eterycznymi?

– To są duchy pożądanego ludzkich form. Pragną ich, krążą wokół, szukając możliwości wejścia.

– Do czego, jak pani napisała, potrzebna jest im współpraca żyjących.

– Współpraca i ofiara, tak. Można zaprosić je do wejścia do naszego świata między innymi poprzez szereg skomplikowanych rytuałów – powiedziała z pewną obojętnością. – A

teraz niech pan opisz mi tego profesora, Armonda Sackera.

– Wysoki, dobrze zbudowany, około trzydziestu pięciu lat. Orli nos, wysokie, inteligentne czoło, jasne oczy. Długie palce.

Kobiety ponownie wymieniły spojrzenia.

– Coś nie tak? – spytał Doyle.

– Tak się składa, że dziś wieczorem jestem umówiona na kolację z profesorem Sackerem – odparła.

– A więc zna go pani – rzekł z ożywieniem Doyle.

– Od wielu lat.

– Zna go pani dobrze.

– Doskonale. Zaraz powinien tu być.

Nagle z korytarza dobiegły ciche kroki i pukanie. Fortune otworzyła drzwi. Stał za nimi sprzedawca książek.

– Przyszedł profesor Sacker – zaanonsował.

– Wprowadź go – odparła.

Doyle wstał. Młodzieniec odsunął się od drzwi i do pokoju wszedł profesor Sacker. H. P. B. na powitanie ucałowała go w oba policzki.

– Jak to miło znowu cię widzieć – oznajmiła.

– I ciebie, moja droga, i ciebie – odrzekł donośnie Sacker.

Fortune przywitała się z nim równie wylewnie, po czym przedstawiła mu Doyle'a. Doktor uścisnął wiotką dłoń przygarbionego, wątłego, siwowłosego osiemdziesięciodwuletniego mężczyzny, który stał przed nim.

– Przepraszam, jak pana godność? – spytał Sacker.

– Doyle.

– Boyle? – Prawie krzyczał.

– Doyle, sir. Arthur Doyle.

– Świetnie. Czy zechcesz zjeść z nami kolację, Oyle?

– Nie... szczerze mówiąc, nie wiem, sir!

– Profesorze, proszę, by udał się pan teraz z panną Fortune, do restauracji. Niebawem do was dołączę – powiedziała Bławacka, nie podnosząc głosu, lecz staruszek i tak ją zrozumiał. Dała znak Fortune, która natychmiast wyprowadziła Sackera z pokoju.

Bławacka odwróciła się do Doyle'a, by dostrzec wyraz szoku malujący się na jego twarzy.

– Niech pan słucha uważnie, doktorze – powiedziała. – Jutro rano wyjeżdżam do

Liverpoolu, a za dwa dni płynę do Egiptu. Musi pan postarać się zapamiętać wszystko, co powiem, lecz jak sądzę, to nie powinno sprawić panu większych trudności.

– Spróbuję. Gdyby wolno mi było spytać...

Uciszyła go, unosząc dłoń. – Proszę o nic nie pytać. To może mnie tylko zdenerwować. Musi pan działać szybko, bo czas nagli. Nie wątpię w to, co przed chwilą od pana usłyszałam, aczkolwiek w obecnym czasie jest wiele miejsc, gdzie zagrożeni są neofici i gdzie bardziej niż tu jest wymagana moja obecność. Nie spodziewam się, by pan to zrozumiał. Proszę przyjąć, że to, co mówię, na pewno się panu przyda i brnąć stale naprzód.

– Jeśli nie będę miał innego wyjścia.

– Dobrze. Optymizm to dobra rzecz. Tak jak zdrowy rozsądek. – Zgasiła cygaro. – Jak mistycy z okultyzmem, tak czarnoksiężnicy są związani z magią. Magia jest Ścieżką Lewej Ręki Wiodącą do Wiedzy – to najkrótsza droga do Oświecenia, którego wszyscy pragniemy. Ale słono każe sobie za nie płacić. Mam wrażenie, że mężczyzna, który przedstawił się panu jako Armond Sacker, miał pod wieloma względami rację: Stał się pan celem, obiektem ataku grupy wędrującej Ścieżką Lewej Ręki.

– Kim oni są?

– Nie wiadomo.

– Ciemne Bractwo?

– Jest wiele nazw tego wolnego Zjednoczenia Dusz. Ich rękę dostrzec można w złowrogich poczynaniach niezliczonych frakcji na całym świecie. Niech pan nie myli ich z jakąś, pożałuj Boże, sekretną lożą. To nasi antagoniści, kontrpartnerzy w zgłębianiu tego, co znajduje się poza naszą płaszczyzną, ale kieruje nimi wyłącznie żądza władzy. Są do cna przeżarci złem i bez wahania pozbawiliby pana życia, tak jak moją serdeczną przyjaciółkę, Pietrowiczową, która, nawiasem mówiąc, była jedną z adeptek wyższego wtajemniczenia i od dłuższego czasu z zaciekawieniem obserwowała pańskie postępy...

– Moje postępy?

Ponownie go uciszyła i zauroczyła hipnotycznym spojrzeniem, które zawierało w sobie jeszcze większą siłę perswazji niż podczas prelekcji.

– Nie może pan utracić swej determinacji. To pański najsilniejszy atut. Nie może pan okazywać strachu, bo będą mieli do pana swobodny dostęp. Biorąc pod uwagę wszystko, o czym pan tutaj mówił – fenomeny, z których kilka jest mi całkowicie nieznanych: niebieska nieć, dziwny wygląd pańskiego mieszkania i tak dalej – musi pan pamiętać o jednym: wszystkie stworzone przez NICH manifestacje nic nie znaczą.

– Czy to prawda?

– Niezupełnie, ale radziłabym panu przyjąć natychmiast to stanowisko, albo będzie źle. *À propos*, czy mogę dostać ten egzemplarz mojej książki? Chciałabym go zbadać. Wygląda na to, że udało im się przeniknąć przez powłokę i zmienić jej strukturę cząstkową. Jeśli to prawda, to niedobrze.

Podał Bławackiej książkę, tłumiąc w sobie impuls, by zapytać ją dlaczego. Przez chwilę oglądała gruby wolumin, po czym włożyła go do torby i ponownie wlepiała wzrok w doktora.

– Kiedy sytuacja wydaje się krytyczna, ma pan przyjaciół, nieznanymi lub niewidocznymi.

– Profesor Sacker...

– Profesor Sacker, którego dziś pan poznał, jest wykładowcą prastarych tajemnych kultów. To nasz sympatyk, który nie ma pojęcia o pańskiej pożałowania godnej sytuacji. Pozostawiam panu rozszyfrowanie, dlaczego mężczyzna, który się z panem skontaktował, użył akurat jego nazwiska. Podejrzewam, iż ma to naprawdę olbrzymie znaczenie.

– Co powinienem zrobić?

– Co powinien pan zrobić? Świetne pytanie – powiedziała z powagą. – A jak pan uważa?

Doyle zamyślił się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że powinienem odwiedzić Topping, posiadłość lady Nicholson.

– Brzmi rozsądnie. Ma pan przed sobą poważny dylemat, doktorze. Sytuacja, w której się pan znalazł, wydaje się nad wyraz ciekawa, choć niebezpieczna. Szczerze mam nadzieję, że któregoś dnia nasze ścieżki ponownie się przetną. Czy ma pan egzemplarze wszystkich moich książek?

– Prawdę mówiąc, zostały zniszczone w...

– Niech pan spotka się z chłopakiem na zewnątrz. Otrzyma pan od niego gratis cały zestaw. Wierzę, że książki przydadzą się panu.

Odwróciła się i zaczęła pakować torbę. Doyle przypomniał sobie nagle o talizmanie, który miał w kieszeni.

– Proszę wybaczyć, madame... ale co pani myśli o tym? – Pokazał jej metaliczne oko, otrzymane od mężczyzny podającego się za Sackera.

Wzięła od niego amulet. Obejrzała, spróbowała zgiąć, a nawet ugryzła. Nie zauważywszy śladu na metalu, z aprobatą pokiwała głową.

– Jest doskonały. Na pana miejscu nosiłabym go na szyi. – Oddała mu talizman i zamknęła torbę.

– Ale co oznacza?

– To symbol.

– Ale czego? – zapytał z lekkim rozdrażnieniem.

– Za długo by to trzeba wyjaśniać. Muszę już iść. Zaprosiłabym pana na kolację, ale nie chciałabym niepotrzebnie niepokoić profesora. Jest słabego zdrowia i jeszcze w tym roku przewidziano jego odejście.

– Przewidziano?

– Wystarczy, doktorze. Są rzeczy na niebie i ziemi, o których... i tak dalej. Szekspir również był adeptem wyższego wtajemniczenia. Przypuszczam, iż zna pan większość jego dzieł.

– Tak.

– Ach, to angielskie szkolnictwo. Błogosławieństwo na pańską głowę, doktorze Doyle. Do widzenia.

Zamiotła płaszczem i już jej nie było. Doyle miał pod czaszką przeraźliwy chaos. Zauważył sporych rozmiarów książkę, leżącą na podłodze obok pozostawionej przez spirytystkę torby, podniósł tom i wyszedł w ślad za Bławacką.

Kobieta jakby się zapadła pod ziemię. Podobnie jak jej asystent. Na stoliku w pustej Guildhall pozostał tylko niewielki stosik jej prac. Spojrzał na okładkę książki, którą trzymał w ręku.

Samoobrona mentalna autorstwa H. P. Bławackiej.

8. JACK SPARKS

Teraz jestem naprawdę ugotowany – pomyślał Doyle. Bławacka potwierdza, że mam na karku zabójców (doprawdy niezbyt to pocieszające), ale wcale nie stara się mi pomóc, bo ma akurat jakieś ważniejsze, tajemnicze sprawy. Kto by pomyślał, że narażając się na tyle niebezpieczeństw, tak mało znaczę w jej hierarchii spirytystycznych problemów. Ale czego się w gruncie rzeczy spodziewałem – że rzuci wszystko i przybędzie mi z pomocą?

A gdyby nawet, jaką pomocą mogłaby mi służyć? Gruba kobieta w średnim wieku, z mnóstwem mocno zakorzenionych nawyków i kadrami zgrzybiałych pseudointelektualnych moli książkowych? Nie zazdrościłbym tym wybrańcom, których wysłałaby mi z pomocą. Ostre słowa i butelka wódki nie jest tym, czego mi potrzeba – wolałbym raczej szwadron ciężkozbrojnych dragonów z dobrze naostrzonymi szablami, gotowych w razie potrzeby poświęcić dla sprawy swe życie.

Ponownie szedł w kierunku King's Parade.

Mieszkanie zniszczone, Pietrowiczowa nie żyje – co powie Lebox, kiedy odnajdę jej ciało? – prostytutki krojone nożami na ulicach, jak karma dla psów, porwanie dziecka, jego matka zabita na moich oczach, gdy magowie zwabili mnie w pułapkę, a na dodatek w tym szaleńczym pościgu za uludami, o mały włos nie zostałem pożarty przez jakiegoś kamiennego, gotyckiego bazyliuszka. Nigdy nie lubiłem Cambridge – wylęgarni klas rządzących, nieustannie wprawiającej w ruch cały trawiony zgnilizną system – spokojnie, Doyle, przestań się w końcu uzalać, dość tej litanii złorzeczeń przeciwko układowi społecznym. Jedno nieszczęście na raz, stary.

Wszystko po kolei. Na pewno musisz znaleźć jakiś nocleg. Nie masz zbyt wiele pieniędzy. Nie masz nikogo, kto mógłby ci pomóc. Największe nadzieje w tym względzie pokładał w Bławackiej. Jej cholerne książki ciążyły mu w torbie niczym kotwica. Kobięca próżność – prosisz o pomoc, a ona daje ci komplet swoich dzieł zebranych i ucieka z kraju.

Miał jednak pewien plan – Topping. Ale co powie mężowi zamordowanej? „Miło mi pana poznać, lordzie Nicholson. Tak, niezwykle mamy pogodę jak na tę porę roku. Jest

doprawdy bardzo przyjemnie. *À propos*, czy wie pan, że pańska żona, Caroline, i jej brat zostali przed kilkoma dniami zamordowani w pewnym obskurnym, starym domu w Londynie? Poderżnięto im gardła i roztrzaskano czaszki. Nie wiedział pan? Cóż, bardzo mi przykro. Tak się składa, że byłem przy tym...”

Dosyć. Będzie miał czas, aby zastanowić się, jak poprowadzić rozmowę, kiedy już dotrze na miejsce. Obecnie jego najważniejszym zadaniem było przeżycie nadchodzącej nocy.

Gospoda. Doskonale. Świetny początek.

Doyle postanowił nie zostawiać torby w pokoju, choć czuł się na tyle pewnie, że powiesił na łóżku swój płaszcz. Zasiadł w głównej izbie przy kominku, opierając jedną nogę o torbę. Wraz z nim w ciasnym pomieszczeniu było jeszcze pół tuzina innych gości: dwóch podstarzałych pijaków, młoda para i dwóch samotnych wędrowców. Żaden nie wydawał się stanowić dla niego zagrożenia.

Doyle trzymał w dłoni kubek z ciepłym rumem i przyglądał się metalicznemu oku. Zastanawiał się nad radą Bławackiej: Może powinienem zrobić z tego amulet – jaką mógłby zawierać w sobie moc?

Coś przykuło jego uwagę – znów ta sama Hinduska, wchodząca po schodach. Najwyraźniej zatrzymała się tu na noc. Przybyła na wykład. Zapewne nazajutrz wraca do Londynu.

Ponownie w jego myślach zagościło wspomnienie fałszywego Sackera. Okazał się przyjacielem i wybawcą, ale jeśli faktycznie tak było, dlaczego posłużył się cudzym nazwiskiem? I dlaczego wybrał akurat to? Czy to możliwe, że współdziałał ze złoczyńcami, usiłując pozyskać zaufanie Doyle'a, bo zamierzano wykorzystać go do wiele bardziej niecznych celów? Kto wie, być może podczas przejażdżki powozem Doyle miał okazję zetknąć się z samym Wielkim Mistrzem Bractwa.

Zerwał się wiatr i poruszone gałęzie załomotały w okna. Ogień w kominku rozgorzał, wrywając Doyle'a z zamyślenia. W rękę trzymał pusty kubek. Usłyszał dochodzące z zewnątrz parsknięcie koni. Ze zdumieniem stwierdził, że jest w izbie sam. Ile minęło czasu? Wpół do dwunastej. Spędził tu blisko godzinę.

Przy wtórze głośniego zawrota wiatru drzwi wejściowe otworzyły się, silny podmuch zatrzepotał płomykami gazowych lamp, w pokoju pociemniało. Do środka weszła wysoka postać odziana w czerń, z twarzą przysłoniętą kołnierzem długiego płaszcza i trójgraniastym kapeluszem. Mężczyzna, zniecierpliwiony, walnął pięścią w stół i rozejrzał się wokoło. Doyle poddał się impulsowi, który nakazywał mu ukryć się za krzesłem i zabronił

spojrzeć w oczy przybysza, pomimo iż nie był w stanie dostrzec jego oblicza, tonącego w atramentowym mroku. Doyle, zerknąwszy ukradkiem, dostrzegł oberżystę wybiegającego z sąsiedniego pomieszczenia. Uśmiech w mgnieniu oka znikł z jego mięsistych warg. Choć Doyle nie słyszał słów przybysza, jego bulgoczący, gardłowy ton nieodparcie wydawał się złowieszczy. Podnosząc swoją torbę, Doyle dyskretnie przekradł się do tylnych schodów, upewniając się, że mężczyzna przy kontuarze nie zauważył go. Gdy wchodził na piętro, usłyszał jeszcze, że przybysz zażądał pokazania mu rejestru gości i bez trudu domyślił się, że to jego poszukiwano.

– Dobra. Wezmę tylko z pokoju płaszcz i już mnie tu nie ma – wymamrotał pod nosem, prześlizgując się przez korytarz i niezdarnie wkładając klucz do zamka. Pociesz się, Doyle – znowu są na twoim tropie, ale przynajmniej tym razem przybrali normalną, ludzką postać.

Wszedł do środka i zauważył, że okno w przeciwległej ścianie otwarło się na oścież. Właśnie zaczęło padać i pierwsze krople deszczu zabębniły o parapet. Podeszedł bliżej, a gdy wyciągnął rękę, by dosięgnąć zasuwki, to co ujrzał na ulicy, bezlitośnie zmroziło mu krew w żyłach.

U drzwi gospody stał ten sam, czarny jak smoła powóz, który widział pamiętnej nocy po tragicznym seansie. Wodze czterech czarnych rumaków trzymała mroczna postać w czarnym płaszczu, z twarzą okutaną szalem. Doyle pociągnął okno do siebie, a postać, wychwyciwszy nagle poruszenie, uniosła wzrok. Szal opadł i Doyle dostrzegł szary kaptur naciągnięty głęboko na twarz woźnicy. Istota wskazała na niego i wydała ogłuszający, paskudny jęk.

Doyle zatrzaskał okno, sięgnął do torby po pistolet i czym prędzej ruszył do drzwi. Wybiegłszy na korytarz, usłyszał dochodzące z dołu okrzyki bólu; łajdaki, torturowali oberżystę. Podziurawię ich jak sito – pomyślał. Już miał zbiec na parter, by rzucić się w wir walki, gdy z dołu dał się słyszeć hałaśliwy tupot kroków.

I jeszcze inny dźwięk.

– Psst.

Skąd to dochodziło?

– Psst.

Na drugim końcu korytarza, w uchylonych drzwiach, stała znajoma Hinduska i kiwała na Doyle'a palcem. Doyle zawahał się.

– Doyle, na miłość boską, pospiesz się! – powiedziała kobieta. Męskim głosem.

Doyle podbiegł do drzwi i zanim napastnicy zdolali wdrzeć się na piętro, gnał już co

sił w nogach w kierunku pokoju na końcu korytarza. Znajdująca się w nim druga osoba zdejmowała właśnie długi woal i doktor po raz pierwszy ujrzał jej prawdziwe oblicze.

– Ty...

– Pomóż mi to zdjąć – rzekł mężczyzna, którego znał jako profesora Armonda Sackera.

Doyle spojrział na niego, wstrzymując oddech. W korytarzu rozległy się odgłosy potężnych, głuchych uderzeń i rozłupywanego drewna.

– Nie bądź mięczakiem, Doyle, rusz się, właśnie się zorientowali, że nie ma cię w twoim pokoju.

Doyle pomógł mężczyźnie zdjąć wypchane grubo sari, odsłaniając ten sam czarny strój, który jego tajemniczy protektor nosił w noc ich pierwszego spotkania, i szybko ręcznikiem starł z twarzy warstwę brązowej szminki.

– Śledziłeś mnie. – To było wszystko, co Doyle mógł z siebie wykrztusić.

– Odnaleźli cię szybciej niż przypuszczałem, ale to wyłącznie moja wina – rzekł mężczyzna, ciskając ręcznik za siebie. – Czy twój rewolwer jest nabity?

Doyle sprawdził bębenek.

– Nie. Zupełnie o tym zapomniałem.

Odgłosy walenia do drzwi i pełne zdumienia okrzyki innych zamieszkujących na piętrze gości, przybliżyły się i rozchodziły gromkim echem po całym korytarzu.

– Radzę, żebyś się pospieszył, stary – rzucił spokojnie mężczyzna, zrzucając ze stóp sandały i nakładając miękkie, skórzane buty. – Będziemy musieli dostać się na dach.

Przetrząsając torbę w poszukiwaniu pudełka z nabojami, Doyle usłyszał skrzypnięcie i uniósłszy wzrok, ujrzał jak jeden z szarych kapturów otwiera okno nad łóżkiem. Chwytny pierwszy ciężki i twardy przedmiot, jaki mu się nawinął, zamierzył się i cisnął nim, trafiając w sam środek kaptura i odrzucając napastnika od okna. Rozległ się chrzęst dachówek, a potem odgłos ciężkiego uderzenia, dobiegający z dołu.

Mężczyzna podniósł leżący pod oknem pocisk.

– Dobra, stara Bławacka – powiedział, obrzucając przedmiot przelotnym spojrzeniem i oddając Doyle'owi egzemplarz *Samoobrony mentalnej*.

– No, to w drogę.

Wkładając woal do kieszeni, fałszywy Sacker wygramolił się przez okno. Doyle nabił rewolwer, wystawił na zewnątrz torbę i przyjąwszy podaną mu dłoń, dołączył do swego tajemniczego sojusznika na dachu.

– Masz mi sporo do wyjaśnienia – powiedział Doyle.

– Racja, Doyle – odrzekł tamten. – Ale co byś powiedział, gdybyśmy najpierw zostawili nieco w tyle te bezkrwiste diabły?

Doyle pokiwał głową. Mężczyzna zaczął się oddalać, przeskakując po szczycie spadzistego dachu. Doyle ostrożnie podążył za nim. Każdy krok na mokrych od deszczu dachówkach groził osunięciem w dół. Wokoło szalała burza.

– Jak mam cię nazywać? – zapytał Doyle.

– Słucham? Mów głośniej. Strasznie słabo cię słyszę.

– Pytałem, jak ci na imię.

– Mów mi Jack.

Dotarli do tylnej krawędzi dachu. Ulica dwadzieścia stóp niżej była pusta. Jack włożył dwa palce do ust i zagwizdał głośno, aby zagłuszyć ryk wiatru.

– Powiedziałbym, Jack...

– Tak, Doyle.

– Czy to rozsądne gwizdać, w naszej sytuacji?

– Tak.

– Ale, o ile mnie pamięć nie myli, oni mają wyjątkowo ostry słuch.

– Ostry, to za mało powiedziane.

Czekali. Jack wyjął z kieszeni woal, który, jak zauważył Doyle, miał dziewięć stóp długości i był na obu końcach obciążony.

Doyle usłyszał za sobą jakiś dźwięk – pojawiła się kolejna, szaro odziana postać przesuwająca się w ich stronę po szczycie dachu.

– Zastrzel go, dobrze? – rozkazał Jack.

– Zaczekam, aż podejdziesz trochę bliżej, oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu – odrzekł Doyle, unosząc rewolwer i celując w mroczną sylwetkę.

– Nie czekałbym zbyt długo.

– To może ty spróbujesz...

– Nie, nie...

– Skoro uważasz, że mógłbyś zrobić to lepiej...

– Wierzę w ciebie, stary...

Szary kaptur był już niecałe dwadzieścia stóp od nich. Doyle wypalił. Istota uczyniła rzecz niewiarygodną: zwinnym ruchem uchyliła się przed kulą i ruszyła dalej.

– Zrozum, nie chodzi mi o to, by cię krytykować. Tyle tylko, że one są dużo szybsze, niż mogłoby się wydawać – powiedział Jack i zaczął kręcić nad głową długą szarfą.

Doyle ponownie wypalił – stwór odchylił się w lewo, kula przeszła mu ramię, lecz

kaptur tylko się zachwiał i odzyskawszy równowagę, podjął przerwany marsz.

Ocierając oczy z kropel deszczu, Doyle wymierzył raz jeszcze.

– Te istoty – powiedział – one są niezupełnie żywe, zgadza się? Mam na myśli tradycyjne rozumienie tego słowa.

– Mniej więcej – rzekł Jack i wypuścił szarfę. Pas materiału przeciął powietrze i trafił do celu. Obciążone końce oplotły szyję stwora i nabierały szybkości, dopóki ciężarki nie uderzyły z obu stron w jego czaszkę, przy wtórze odgłosu melona miazdzonego kołami pędzącego powozu.

– Teraz, Doyle!

Doktor nieomal z przyłożenia wypalił w twarz szarego kaptura. Stwór przechylił się, zjechał po stromym dachu i runął w dół.

– Cholera – warknął Jack.

– Myślałem, że poszło nam raczej nieźle.

– Zamierzałem wykorzystać szarfę przy schodzeniu z dachu.

– Poręczny przedmiocik, nie ma co.

– Południowoamerykański, choć w Pendźabie używano go już od stuleci.

– Jeśli mogę zapytać: jak dostaniemy się na dół, Jack? – Doyle miał wrażenie, że słyszy dochodzący z dołu odgłos nadjeżdżającego powozu.

– Chyba będziemy musieli skakać, czyż nie?

Jack wbił wzrok w uliczkę ciągnącą się poniżej i po chwili pojawił się w niej znajomy powóz.

– Serio? Nie uciekniemy daleko na potrzaskanych nogach... Zanim Doyle zdążył wyrazić swoje obiekcje, Jack chwycił go za pasek i zeskoczył z budynku. Uderzyli w dach jadącego powozu i z impetem przebiwszy płótno, wylądowali na miękko wyściełanych siedzeniach.

– Boże wszechmogący!

– Jesteś cały?

Doyle dokonał pospiesznych oględzin. Z wyjątkiem lekkiego urazu żeber i nadwreżonej kostki nic mu się nie stało. Uznał to za cud.

– Chyba wszystko w porządku.

– Świetnie.

Gdy minęli powóz stojący przed gospodą, Doyle jak przez mgłę ujrzał ciemne sylwetki wybiegające za nimi w ulewny deszcz.

Jack zastukał w to, co zostało z dachu, i w otworze pojawiła się głowa woźnicy – tego

samego niskiego mężczyzny z blizną, który wiózł ich poprzednim razem.

– Taktyka uniku, Barry – powiedział Jack.

Barry pokiwał głową i wrócił do swoich obowiązków. Doyle usłyszał trzask bata i powóz gwałtownie przyspieszył.

Jack usiadł naprzeciw Doyle'a i uniósł dłoń, wskazując strugi deszczu wpadające przez otwór w dachu. Obaj byli mokrzy.

– Przepraszam, że tak leje.

– Nie jest źle. Czy możemy teraz porozmawiać?

– Jeszcze nie. Za chwilę wysiadamy.

– Wysiadamy?

Powóz z turkotem przemknął po krótkim mostku i ostro zahamował. Jack wyskoczył z kabiny i przytrzymał otwarte drzwiczki.

– Chodź, Doyle, nie mamy całej nocy – powiedział.

Doyle wyszedł na zewnątrz, w ulewny deszcz. Jack pomachał do Barry'ego i powóz pomknął naprzód, by zniknąć w ciemności.

– Tędy – rzekł Jack, prowadząc ich w dół stromego zbocza pod mostem, który przed chwilą pokonali. – Tutaj.

Jack wciągnął Doyle'a we względnie bezpieczną, zaciemnioną niszę pod mostem. Chwytając jedną ręką swoją torbę, Doyle wciągnął się na ukośny wspornik wąskiej belki, znajdującej się zaledwie kilka stóp nad powierzchnią rwącego strumienia.

– Trzymasz się? – zawołał Jack, aby doktor mógł go usłyszeć.

– Chyba tak – odparł Doyle, ale jego słowa zagłuszył rozdzierający turkot powozu zaprzęzonego w czwórkę koni, przetaczającego się po moście o niecałą stopę nad ich głowami. Odgłos oddalił się i niebawem pochłonęła go burza.

– To byli oni? – spytał Doyle.

– Zanim zorientują się, że nie ma nas w powozie, Barry zmusi ich do kilkakrotnego objechania Trafalgar Square.

Doyle pokiwał głową, podziwiając z pewnym wahaniem pomysłowość tajemniczego mężczyzny.

Minęła dłuższa chwila. Doyle spojrział na Jacka, a ten odpowiedział mu ponurym uśmiechem.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Zaczekać tu, aż przestanie padać – odparł Jack.

Znów upłynęło sporo czasu. Jack wydawał się zadowolony z ciszy, która towarzyszyła

ich wyczekiwaniu. Tego samego nie można było powiedzieć o Doyle'u.

– Słuchaj Jack, czy jak się tam nazywasz, zanim ruszymy w dalszą drogę chciałbym dowiedzieć się, kim naprawdę jesteś – powiedział Doyle, uświadamiając sobie, że jego cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

– Musisz wybaczyć mi ten mały fortel, Doyle, ale jak się niebawem przekonasz, w tym wszystkim, wbrew pozorom, kryje się pewna logika – mruknął tamten i ponownie się uśmiechnął, sięgając do kieszeni marynarki i wyjmując srebrną piersiówkę.

– A zatem kim naprawdę jesteś?

– John Sparks, dla przyjaciół Jack, agent specjalny Jej Królewskiej Mości. Miło mi cię poznać – powiedział, podając mu butelkę. – Kropelkę brandy na rozgrzewkę, doktorze?

9. ŁADEM I MORZEM

Wisząc na prześle mostu i lękając się, że w każdej chwili może wpaść w lodowate odmęty, przez resztę nocy Doyle nic nie odpoczął. Sparks tymczasem zdawał się raz po raz wpadać w stan sennej medytacji; siedział sztywno wyprostowany, nonszalancko obejmując rękoma grubą, toporną belkę.

Deszcz ustał, gdy na niebie pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Na horyzoncie od zachodu nie było widać chmur. Oczy Sparksa otwały się gwałtownie. Mężczyzna wydawał się rześki i ożywiony, jak koń wyścigowy w dniu derby.

– Obiecujący poranek – oznajmił i zwinnie, jak węgierski gimnastyk, wyślizgnął się z kryjówki, by wspiąć się na most.

Sztywny jak drąg, przemoknięty, głodny i poobijany Doyle wygramolił się na drogę, tłumiąc z wysiłkiem rozdrażnienie wywołane entuzjazmem Sparksa, który tymczasem wykonał całą serię osobliwie wyglądających ćwiczeń – wywodzących się niewątpliwie z jogi – wydając przy tym dźwięki przypominające upiorne, nocne kocie serenady. Osowiały, z przeszklonymi oczyma Doyle stwierdził, iż jego myśli ogniskowały się wokół ogromnych kotłów pełnych gęstej, gorącej owsianki, jak również wymyślnych sposobów uśmiercenia Sparksa, z których jeden z podziwu godną oryginalnością przewidywał wykorzystanie wspomnianej owsianki.

Z długim, głośnym wydechem, oddawszy salut wschodzącemu słońcu, Sparks zakończył ćwiczenia i po raz pierwszy zwrócił uwagę na Doyle'a.

– Powinniśmy ruszać – powiedział.

Uśmiechnął się i pomaszerował wzdłuż drogi. Dopiero gdy znikł za zakrętem, mocno zakłopotany Doyle uświadomił sobie, że dla własnego dobra nie powinien rozstawać się z tym człowiekiem.

Ruszył za Sparksem, zaczął biec, a przy każdym kroku chlupotało mu w butach. Nawet gdy już się z nim zrównał, Doyle musiał się mocno wysilać, by dotrzymać Sparksowi kroku.

– Dokąd idziemy? – zapytał.

– Ruchomy cel implikuje ruch, Doyle – odrzekł Sparks pomiędzy głębokimi wdechami. – Nieprzewidywalność to podstawa.

Boże, ten facet był po prostu niemożliwy.

– No, to dokąd idziesz?

– A ty?

– Ja nie wiem.

– Spójrz na siebie – dokądś idziesz.

– Mam wrażenie, że idę z tobą.

Sparks pokiwał głową. Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

– A więc dokąd idziemy? – zapytał Doyle.

– Niedługo powinniśmy zejść z tej drogi. To wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć.

Po obu stronach drogi rozciągał się gęsty las.

– Myślisz, że tu nie jest bezpiecznie?

Sparks zatrzymał się nagle. Poruszał głową z boku na bok, jak ptak usiłujący wychwycić coś nieokreślonego i ulotnego.

– Tędy – rzucił i szybko pobiegł w las.

Doyle podążył za nim, zaniepokojony. Sparks doprowadził ich w gąszcz, skąd nie było widać drogi. Przedarłszy się przez gęste paprocie, zwolnił, przystanął i delikatnie odsunął gałęzie jeżyn, ukazując widoczne na krzewie owoce.

– Posilmy się – powiedział.

Ogołocili krzak, jedząc jeżyny garściami. Były, co prawda, brzydkie i gorzkie, ale Doyle pochłaniał je łapczywie, niczym najwspanialsze napoleonki.

– Smakuje ci, co, Doyle? – spytał Sparks, przyglądając mu się z ukosa. – Jesz, aż ci się uszy trzęsą.

– Nie odmówiłbym zjedzenia czegoś konkretnego.

– Właściwe odżywianie to podstawa. Niedługo sporo się będzie o tym mówiło. Kwestia zdrowia. Ogólnego zdrowia.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałbym nie mówić teraz o ogólnym zdrowiu.

– Absolutnie.

– Wołałbym podjąć temat mojego zdrowia: moje zdrowie wobec tych zdecydowanych zamachów na moje życie. Wołałbym zachować zdrowie, naprawdę, nie najgorzej mi służy.

– Doskonale cię rozumiem.

- Świetnie, Jack. Cieszę się, że rozumiesz.
 - Nie muszę przejść mili w twoich butach, by wiedzieć, jak marnie przedstawia się cała sytuacja z twojego punktu widzenia – mruknął Sparks, wstając i przeciągając się, gotowy ruszyć w dalszą drogę.
 - Chciałbym móc powiedzieć, że jest to dla mnie drobnym pocieszeniem.
 - Komfort to luksus, którego nam w obecnej chwili trochę brakuje...
 - Jack... dokąd... teraz... idziemy? – spytał nieugiętym tonem Doyle.
 - A dokąd byś chciał?
 - Wolalbym usłyszeć najpierw twoją odpowiedź.
 - To nie takie proste, Doyle.
 - Świetnie, ale będąc wobec ciebie szczerzy, Jack, liczyłem na twoją radę i pomoc w tej sprawie. Bądź co bądź w pewnym sensie jestem od ciebie uzależniony.
 - No to słuchaj: to, dokąd chciałbym teraz pójść, nie ma w tej chwili najmniejszego znaczenia.
 - Nie ma znaczenia.
 - Nie. Ważniejsze jest dokąd... ty chciałbyś pójść.
- Doyle miał ochotę go zastrzelić, ale owoce, pomimo iż nie w pełni zaspokoili jego głód, nieznacznie ukoili jego stargane nerwy.
- Właściwie, to wybierałem się do Topping. Do posiadłości lady Nicholson. Taki miałem zamiar.
 - Świetnie. Ruszajmy – rzekł Sparks i pomaszerował przed siebie.
 - Ot, tak i już?
 - Przecież chcesz tego, prawda?
 - A więc zaakceptowałeś mój pomysł – mruknął Doyle.
 - Brzmi obiecująco. Wiesz, gdzie to jest?
 - Nie mam pojęcia.
 - A jak planowałeś tam dotrzeć?
 - Mój plan nie sięgał aż tak daleko.
 - Wschodni Sussex. Niedaleko Rye. Chodź, mamy przed sobą daleką drogę – rzekł Sparks, przedzierając się przez chaszczę.
 - Mam do ciebie jeszcze kilka pytań – rzekł Doyle, podnosząc się.
 - Odłóż dyskusję na później, jak wyjdziemy na otwartą drogę, dobrze?
 - Powiniennem był się domyślić.
 - Z konieczności będziemy musieli trochę pokluczyć.

– Mogłem się tego domyślić.

Słońce kontynuowało swą poranną wspinaczkę, wypędzając chłód z ich kości i osuszając poranną wilgoć z ubrań. Przeszli nie więcej niż milę główną drogą, gdy dotarli do prawie niewidocznego skrzyżowania z zarośniętym szlakiem dla wozów. Po krótkim namyśle Sparks wybrał lewą odnogę traktu.

Od tej pory zdawało się, że dysponował jakimś niewiarygodnym, wewnętrznym kompasem – bez wahania zmieniał kierunki, bezbłędnie odnajdując szlak, nawet gdy przez pewien czas był kompletnie zarośnięty i niewidoczny.

Ścieżka wyprowadziła ich z lasu do porośniętej roślinnością zielonej kotliny. W promieniach słońca łąka wyglądała przepięknie. Ten widok dodał im otuchy. Podobnie jak rozbrzmiewający przez cały czas świergot ptaków. Doyle stwierdził, że jest w stanie zapanować nad swymi troskami i w pewnym momencie zaczął nawet pogwizdywać. Sparks wyrwał pęk suchych traw, starannie obejrzał nasiona, i począł żuć źdźbła.

Na żądanie Sparksa, doktor opowiedział mu o wydarzeniach, które nastąpiły po ich rozstaniu w Londynie, zatajając fragment dotyczący policji i odwiedzin u Leboux ze Scotland Yardu. To było dość sprytnie – pogratulował sobie w duchu.

– A więc zaprowadziłeś inspektora do domu numer 13 przy Cheshire Street, po czym wróciłeś do siebie i znalazłeś zwłoki pani Pietrowiczowej – rzekł Sparks.

Mimo jawnej porażki, Doyle usiłował trzymać fason i posłużyć się blefem.

– Nie zadawaj sobie trudu, Doyle – nie okłamuj mnie...

– Skąd wiedziałeś?

– Czy to ważne? Stało się.

– Ale musisz mi powiedzieć, co sprawiło, że...

– Śledziłem cię.

– Już wtedy? Przed przebieranką za Hinduskę?

– Przez cały czas. Prawie.

– Chroniłeś mnie, czy liczyłeś, że ściągnę na siebie kłopoty?

– To właściwie to samo.

– Tak jak z twoją obecnością w Cambridge?

– Miałem również inne cele...

– To znaczy? – spytał Doyle, wykorzystując domniemaną przewagę.

– Brat lady Nicholson był studentem w college'ów Gonville i Caius. Przeprowadziłem małe śledztwo w kwesturze.

– Podczas gdy ja szukałem „profesora Sackera”.

– Pora była jak najbardziej odpowiednia, tak.

– Przypuszczam, że z tego powodu podałeś mi fałszywe nazwisko – skonkludował Doyle. – Gdybym wybrał się do Cambridge w poszukiwaniu ciebie, mogłeś mieć mnie na oku, zajmując się równocześnie poszukiwaniem brata...

– Doskonałe rozumowanie, Doyle.

– Tak się składa, że przez twój przemyślany plan o mało nie stałem się karmą dla ptaków.

– To doprawdy okropne nieszczęście.

– Jak przypuszczam, nie możesz wyjaśnić mi czym, do diabła, było to Coś, co ścigało mnie po korytarzach wydziału antycznego?

– Nie mogę. Przykro mi – rzekł Sparks, bez odrobiny zaniepokojenia, po czym dodał radośnie: – Ale to jest ciekawe, nieprawdaż?

– Stale o tym myślę. Udało ci się dowiedzieć czegoś o bracie?

– Nazwisko Rathborne – panięskie nazwisko lady Nicholson. Imię – George. Trzy dni przed feriami wyjechał – jak powiedział dziekanowi – w ważnej sprawie rodzinnej. Od tej pory nikt go nie widział.

– I nie zobaczy. Biedny chłopak. A co z madame Bławacką?

– Fascynująca kobieta.

– Faktycznie. Co ona ma z tym wspólnego?

– Powiedziałbym, że jest zainteresowaną, sympatyzującą obserwatorką.

– To znaczy, że nie jest w to zaangażowana?

– Przecież to ty z nią rozmawiałeś. Jak ci się wydaje?

– Nie znasz jej? – spytał Doyle. Ponownie poczuł przypływ złości.

– Nigdy jej nie spotkałem. Ale ma dar przemawiania. Intrygująca mieszanka odbywającej krucjatę pielgrzymki i komiwojażerki handlującej lekarami na wszelkie dolegliwości. Prawie przysięgłbym, że jest Amerykanką.

– Ja... wybacz mi Jack, ale muszę zapytać: co to za paranoiczna gadka, że pracujesz dla królowej?

Sparks stanął i spojrzał na niego z nieskalaną szczerością.

– Musisz przyrzec, że nigdy nikomu nie piśniesz słowem na ten temat. Nawet tu, w tak odludnym miejscu, nie jest bezpiecznie o tym mówić. Od twojej dyskrekcji zależy życie dużo cenniejsze niż nasze, życie ludzi troszczących się o zachowanie imperium. Powiedziałem ci o tym nie bez wahania, tylko dlatego, byś uświadomił sobie, jak ważką jest sprawa, w którą się wmieszałeś. Choć chciałbym, aby było inaczej.

Gorliwość w słowach Sparksa, gdy mówił o Koronie, obudziła w Doyle'u rojalistyczne sympatie i pozbawiła go chęci skrytykowania Jacka za przesadną tajemniczość i ogólnikowość.

– Czy dobrze rozumiem, że chodzi o zagrożenie życia pewnych. .. wysoko urodzonych osobistości? – spytał nieśmiało doktor.

– Tak.

– Czy... mógłbym ci w jakiś sposób pomóc?

– Już pomogłeś. Naprawdę. Zdolny z ciebie facet.

Zagrożenie dla królowej – Doyle z trudem mógł nad sobą zapanować.

– Skoro twierdzisz, że nie jestem kompletnie bezwartościowy i mogę się przydać, chciałbym być stale do twojej dyspozycji.

Sparks przyglądał mu się z mieszaniną współczucia i zimnego wyrachowania.

– Przyjmuję twoją propozycję – odrzekł Sparks. – Czy masz przedmiot, który dałem ci tamtej nocy?

– Mam. Jest tutaj. – Doyle wyjął z kieszeni metaliczne oko.

– Weź to w lewą dłoń, proszę.

– Madame Bławacka zasugerowała, abym zrobił z tego amulet.

– W razie konieczności, pokaż je komuś z rządu. To powinno znacznie ułatwić sprawę

– rzekł Sparks, wyjmując spod kołnierza identyczny przedmiot, przerobiony na amulet. – Podnieś prawą rękę.

– Czy to jakiś wolnomularski rytuał?

– Nie mamy całego dnia, Doyle.

– Racja. Do dzieła.

Sparks skupił się i zamknął oczy; zanim Doyle zdążył poczuć zmieszanie wywołane przeciągającą się ciszą, Sparks zaczął mówić:

– Powtarzaj za mną: Niechaj światłość z centrum Umysłu Boga spłynie do umysłów ludzi. Niechaj światłość spłynie na Ziemię.

Doyle powtórzył te słowa, usiłując tchnąć w nie życie, a równocześnie pojąć ich znaczenie. Umysł Boga. Światłość. Światło w formie wiedzy. Mądrość.

– Niechaj z centrum, gdzie znana jest Wola Boża – ciągnął Sparks – celowość kieruje wolą maluczkich, celami i zamierzeniami, które znają i którym służą Mistrzowie.

Bardziej problematyczne. Niechrześcijańskie, choć tym akurat niespecjalnie się przejął. Mistrzowie. Bławacka pisała o nich – mitologiczne Starsze Istoty, patrzące obojętnie na głupotę i szaleństwo człowieka. Każda cywilizacja miała ich własną wersję: Olimp,

Walhalla, Niebo...

– Z centrum, które nazywamy rasą ludzką, niechaj rozpocznie się realizacja Planu Miłości i Światłości, by zamknąć drzwi, za którymi mieszka Zły.

Nareszcie coś konkretnego – drzwi, za którymi mieszka Zły. Doyle mógł z pełną świadomością powiedzieć, że choć nie potrafi określić, gdzie się konkretnie znajdowały, wyraźnie słyszał dochodzące zza nich pukanie.

– Niechaj Światłość, Miłość i Moc przywróć Plan na Ziemi.

Plan. Ale czyj, zastanawiał się doktor, i w jaki sposób ONI (a nie wątpił, że od tej chwili on również się do NICH zaliczał) zamierzali go przywrócić?

– To, co teraz robimy, to taki sekretny uścisk dłoni, przypieczętowany układ? – spytał Doyle.

– Nie. To wszystko – rzekł Sparks, wkładając amulet z powrotem pod kołnierz.

– Co to właściwie oznacza, Jack?

– A co to znaczy dla ciebie?

– Czynić dobro. Zwalczać zło – Doyle wzruszył ramionami.

– Na początek wystarczy – mruknął Sparks i ponownie ruszył w drogę.

– Niezbyt to dogmatyczne. Jak na coś takiego.

– Ale pokrzepiające, prawda?

– Spodziewałem się, no wiesz, czegoś w rodzaju hołdu czy przysięgi na wierność Królowej i Ojczyźnie, ślubowania, jak z rycerskich legend o królu Arturze. To było panteistyczne i ogólnie dość mętne.

– Cieszę się, że ci się podobało.

– A co symbolizuje oko?

– Powiedziałem ci wszystko, co powinieneś wiedzieć dziś – rzekł Sparks, wyraźnie zmieszany. – Więcej byłoby niewskazane.

Ruszyli dalej. Wokół nich rozciągały się bezkresne pola. Po łuku wznoszenia słońca Doyle stwierdził, że wędrowali na wschód. Głód ponownie zaczął dawać się Doyle'owi we znaki, psując mu nastrój. Tak, Sparks niejednokrotnie wyciągnął go z opresji. Nic, z tego co robił, nie sugerowało, że mógł być kimś innym niż tym, za kogo się podawał. Niemniej otaczający Sparksa nieprzenikniony nimb tajemniczości i płaszczyk królewskiej tajemnicy wokół jego prawdziwego celu powodowały powstanie nieprzyjemnego, chropawego dysonansu. Doyle nie mógł zrezygnować z pomocy Jacka, a nawet cieszył się z jego nieoczekiwanego towarzystwa, ale zdrowy rozsądek nie pozwalał mu na obdarzenie tajemniczego sojusznika pełnym zaufaniem. Miał wrażenie, jakby wędrował w towarzystwie

egzotycznego, drapieżnego kota, niezwykle walecznego i odważnego, ale tak nieprzewidywalnego, że osoba znajdująca się w pobliżu niego musiała stale mieć się na baczności.

Być może, gdyby nieco sprytniej przepytował Sparksa, mimowolnie wyłapałby szczegóły, za pomocą których bystry obserwator mógłby stworzyć bardziej czytelny portret. Doyle miał kilka przypuszczeń, które mogłyby przerodzić się we wnioski. Musiał wyczekać na właściwy moment, aby skonfrontować z nimi Sparksa i dzięki wywołanemu w ten sposób wstrząsowi bądź gwałtownym zaprzeczeniom, określić poziom ich trafności.

Wzdłuż ścieżki co pewien czas pojawiały się żywopłoty i garbate nasypy, na ziemi zaś pokruszone fragmenty kamiennych płyt. Doyle przyglądał się im z przelotnym zaciekawieniem. Kiedy jednak minęli nieco lepiej zachowane ruiny, Jack odezwał się, widząc zaaferowaną minę doktora.

– To stara droga rzymska. Szlak handlowy ciągnący się do morza.

– Czy tam właśnie zmierzamy? W stronę morza? – Dobra zagrywka, Doyle, sprytne podejście.

– Oczywiście szlaki takie jak ten były używane dużo wcześniej nim Rzymianie przekroczyli Kanał – ciągnął Sparks, kompletnie ignorując pytanie. – Wcześniej Celtowie korzystali z tej drogi, a przed nimi człowiek epoki neolitu. Dziwne, nieprawdaż, ta sama droga, a przez stulecia korzystali z niej przedstawiciele różnych kultur.

– Wygoda, jak sądzę – rzekł Doyle. Prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie myślał. – Pojawiają się nowi ludzie, jest stara droga, i to w nie najgorszym stanie – po co wytyczać nową?

– Właśnie, po co? Ułatwianie sobie życia – to historia ludzkości w pigułce, czyż nie tak, Doyle?

– Mniej więcej.

– Jak sądzisz, w jaki sposób nasi prehistoryczni przodkowie wybrali akurat tę ścieżkę?

– Bo to była najkrótsza odległość między dwoma punktami.

– A może z tej ścieżki korzystały zwierzęta, na które polowali – rzekł Sparks.

– Może i tak.

– A dlaczego zwierzęta wybrały akurat tę drogę? – Sparks przyjął ton sofistycznego prowadzącego laika, krok za krokiem, ku świętej krainie prawdy.

– Musiało to być związane z dostępem do wody i pożywienia.

– A zatem, potrzeba.

– Ich życie było nią uwarunkowane, nieprawdaż?

- Znasz chińską filozofię feng-shui?
- Nigdy o niej nie słyszałem.
- Chińczycy wierzą, że Ziemia jest żyjącym, oddychającym organizmem i jak ludzkie ciało posiada żyły, nerwy i energię witalną, która przez nie przepływa, regulując zachowanie i jego stan. Z naszą planetą jest identycznie.
- Wiem, że ich medycyna opiera się na takich przypuszczeniach – wtrącił Doyle, zastanawiając się co ta dygresja miała wspólnego z rzymską drogą w Essex.
- Właśnie. Feng-shui zakłada istnienie wspomnianych linii mocy i usiłuje szarmonizować z nimi ludzkie istnienie. Praktycy feng-shui są szkoleni i wtajemniczani jak członkowie zakonnego bractwa. Wpaja się im wrażliwość odbioru owych sił oraz umiejętność właściwej ich interpretacji. Budowa domów, dróg, świątyń, pałaców i całego imperium chińskiego, liczącego sobie pięć tysięcy lat, najtrwalszej cywilizacji, jaka kiedykolwiek powstała, była ściśle związana z tymi zasadami.
- Co ty powiesz...
- Pomijając jego oczywistą niewiedzę, brud i brak wykształcenia, jakie zdolności mógłbyś przypisać człowiekowi prehistorycznemu?
- Miał wyjątkowo sprawne ręce – rzekł Doyle, z trudem nadążając za tokiem rozumowania swego interlokutora.
- Był w harmonii z Ziemią – odparł Sparks, nie zwracając uwagi na odpowiedź Doyle'a.
- Szlachetny dzikus. Rousseau i cała reszta.
- Właśnie. A w konsekwencji człowiek pierwotny posiadał niezwykłą wrażliwość związaną z glebą, po której stapał, lasami, gdzie polował, i strumieniami, z których pił. Nie musiał praktykować feng-shui, on się z tym rodził, podobnie jak zwierzęta, od których zależało jego przetrwanie.
- Tak więc ścieżki, po których wędrowali pokrywały się z istniejącymi na Ziemi liniami osobliwych wibracji.
- Przecinając okolice, zdawałoby się przypadkowo, te ścieżki mogą stanowić ni mniej, ni więcej tylko elektromagnetyczny system nerwowy naszej planetarnej istoty.
- Albo są to po prostu drogi – rzucił Doyle.
- To możliwe. Lecz co ty na to, gdybym powiedział, że na początkach tych linii sił, niezależnie jak byś to nazwał (Chińczycy nazywają to „tchnieniem smoka”), gdzie pulsująca energia osiąga zenit, nasi przodkowie wznosili świątynie i sanktuaria, a w wielu z nich stoją obecnie kościoły chrześcijańskie, do których dziś uczęszczamy?

– Powiedziałbym, że to wszystko trzeba byłoby zbadać.

– Takim miejscem jest Stonehenge. Podobnie jak stare opactwo Glastonbury A opactwo Westminster, stojące w miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się świątynia Diany, wzniesiono u zbiegu siatki najpotężniejszych linii sił całej Anglii. Co ci to mówi?

– Że są na niebie i ziemi rzeczy, o których... i tak dalej.

– Tak, Horacio. Staje się to jeszcze bardziej intrygujące, gdy rozważysz, że grecki bóg Hermes – nie mam wątpliwości, że Grecy zdawali sobie sprawę z istnienia tych sił – był nie tylko bóstwem płodności, jak Diana, ale również DRÓG. A co robili nasi celtyccy przodkowie, aby uczcić Hermesa? Wznosili przy ważniejszych skrzyżowaniach dróg kamienne kolumny. Znaki drogowe? A może prymitywne przewodniki energii płynącej z wnętrza Ziemi?

– Ale Celtowie nie czcili greckiego boga – mruknął Doyle, coraz bardziej zakłopotany.

– Nie, Celtowie nazywali go Teutates. Kiedy jednak Rzymianie podbili Brytanię, sam Cezar zauważył, z jaką łatwością tubylcy dali się przekonać do oddawania czci Merkuremu, rzymskiemu odpowiednikowi Hermesa. Teutates przedstawiany jest zazwyczaj z laską oplecioną przez węża, podobnie jak Hermes i Merkury, z kaduceuszem.

– Na kaduceuszu są dwa węże, jeżeli chodzi o ścisłość.

– Co symbolizuje kaduceusz, Doyle?

– Uzdrawianie. Moc uzdrawiania.

– Otóż to. Sugeruje, że jeśli ktoś jest w stanie pobierać moc od węża, to znaczy smoka – linii sił obecnych na Ziemi – naturalnej mocy – uzyska moc uzdrawiania. A jeśli wszystkie odnośniki do smoków w celtyckich legendach nie dotyczą naprawdę realnych potworów? Pamiętasz, co stało się ze świętym Jerzym, kiedy pokonał smoka?

– Ee...

– Okazało się, że nagle potrafi uzdrawiać. Odłóżmy na bok stereotyp dzielnego rycerza i wyobraźmy sobie, że święty Jerzy zamiast w prawdziwego smoka, wbija laskę w zwiniętego węża naturalnej mocy. W ten sposób, wkładając przewodnik do zbiornika ogromnej mocy, pokonuje – albo obłaskawia – bestię. Następnie Jerzy od razu staje się świętym patronem Anglii, a jego wizerunek zostaje wypaczony i w tej formie zapisany w świadomości kolejnych pokoleń. Moc, Doyle, elementarna, żywiołowa, moc planety krąży bez przerwy pod jej powierzchnią, wokół, a także poprzez nas, lecz my, ludzie, jesteśmy zbyt zaślepieni i zajęci własnymi drobnymi sprawami, by ją postrzegać!

Te idee były tak kontrowersyjne, że Doyle'a rozboleła głowa. Może pod tymi

kamieniami faktycznie płynął strumień jakiejś mocy, który wysysał z niego witalną energię.

– Zastanów się, Doyle, w jakim celu dawne cywilizacje próbowały wykorzystywać tę moc? Po co były nam potrzebne te stare świątynie? No dalej, Doyle, myśl!

Doyle rzucił niepewnie:

– Ofiary ze zwierząt?

– Uzdrawianie! Leczenie chorych. Wskrzeszanie zmarłych. Błagaliśmy bogów, by uczynili nas jednością. Wówczas profesje – medyczna i teologiczna były jednym i tym samym. A więc nie dwa, lecz jeden wąż oplatający prostą linię mocy. Przemyśl to sobie – rzekł Sparks, zadziwiając samego siebie tym odkryciem. – Pamiętasz może, kto był najstarszym synem Hermesa?

– Wybacz, ale zapomniałem – rzekł Doyle, czując się z lekka otępiały.

– Wielki bożek Pan, ojciec pogaństwa i kultur Ziemi – ten sam, którego chrześcijanie postanowili zniszczyć, nazywając go diabłem, albowiem biedny, stary, miłujący zabawę Pan reprezentował również najbardziej niechrześcijański z ludzkich atrybutów: niepohamowaną męską chuć i zmysłowość.

– Szkoda.

– Pan miał również swoje minusy – lubił na przykład zaczynać się w leśnych ostępach na zbłąkanych wędrowców, po czym wyskakiwać z zarośli, strasząc swoje ofiary i wzbudzając w nich uczucie zwane paniką.

– Naprawdę, muszę coś zjeść – rzekł Doyle. Okolica, pomimo swego bukolicznego, nasłonecznionego piękna, wydawała mu się coraz groźniejsza.

– Czyż umysł ludzki nie jest niezwykły? Jedna brukowana droga prowadzi nas od feng-shui do bożka Pana. Na Boga, może tu faktycznie jest gdzieś źródło podziemnej energii. Czuję się naprawdę wspaniale! Jak nowo narodzony!

Doyle otarł czoło chustką, a Sparks zlustrował rozległe pola, oszacowując niczym dumny farmer plon swych rozważań.

– Jeśli z tymi liniami mocy to prawda, jeżeli faktycznie ta droga jest święta, jak wytłumaczysz fakt, że znajduje się w takim stanie? – spytał Doyle, zadowolony z przenikliwości swej uwagi.

– Swoją obserwacją, Doyle, wyrażasz z epigramatyczną precyzją największą tragedię współczesnego człowieka. Wypadliśmy z łask, zapomnieliśmy o więzi, która łączyła nas z naturą. Jesteśmy jak obcy, nieprzestrzegający zasad domu, w którym przebywają, traktujący go niczym surową glinę, nadającą się do najprymitywniejszej obróbki. Pomyśl o tych potwornych londyńskich fabrykach, zatrutym powietrzu, kopalniach, dzieciach zmuszanych

do ciężkiej harówki – ile żywotów ludzkich zniszczonych zostało brutalnie przez wynalazki tego stulecia. Ruina, w jakiej znajduje się ta droga, nader wymownie odzwierciedla upadek naszej chełpliwej cywilizacji.

Doyle poczuł mrowienie przenikające całe jego ciało – choć nie był pewien, czy był to efekt gwałtownego wybuchu Jacka, czy osobliwy skutek głodu i udaru słonecznego. Popołudnie było niezwykle ciepłe, jak na tę porę roku, linia horyzontu falowała od upału.

– Co to takiego? – spytał Doyle i wskazał na drogę za nimi.

Idąc starym szlakiem, pokonali kilka łagodnych wzgórz i kotlin. Wzdłuż drogi sunął w ich stronę mroczny, niewyraźny kształt – jak miraż wywołany gorącem. Jego rytmiczne, płynne ruchy przypominały trzepot skrzydeł wielkiego kruka.

– Może lepiej zejdźmy z drogi – rzekł Doyle.

– Nie.

– Sądziysz... hm... że to rozsądne, Jack?

– Nic nam nie grozi – odparł Sparks, nie ruszając się z miejsca. Niebawem usłyszeli tętent kopyt galopującego wierzchowca, kształt zmienił się w samotnego jeźdźca, za którym łopotała na wietrze długa, czarna peleryna. Gdy podjechał bliżej, Doyle ze zdumieniem ujrzał znajome i ogólnie rzecz biorąc, mile widziane oblicze.

– Ależ to Barry. To Barry, prawda? – rzekł Doyle z uśmiechem radości.

– Nie, to nie Barry – mruknął Sparks.

Podszedł do jeźdźcy, aby się z nim przywitać, a mężczyzna, który zdaniem Doyle'a był Barrym, ich woźnicą, zsiadł z konia i energicznie uściśnął dłoń Sparksa.

– Świetnie, Larry. A więc obyło się bez kłopotów – powiedział Sparks.

– Miałeś, szefie, ostry nóż. Żadnych problemów – odparł Larry, którego Doyle wciąż uważał za Barry'ego.

– Larry ma na myśli ślady przy krzewach jagód i znaki, które zostawiałem po drodze – wyjaśnił Jack, podchodząc wraz z nowo przybyłym do Doyle'a. – Nikt inny w całej Anglii nie wypatrzyłby tak nikłych śladów.

– Nikt oprócz pana, sir – dodał skromnie Larry. Pochodził z East Endu, był muskularny i krępy jak Barry, miał podobnie jak on kręcone, kasztanowe włosy i jasne, niebieskie oczy. Doyle nadal nie wierzył, że nie ma przed sobą Barry'ego.

– Larry i Barry są braćmi – oznajmił Sparks, dostrzegając jawne zakłopotanie Doyle'a.
– Identycznymi bliźniakami.

– To znaczy, kiedyś byliśmy. Barry ma na twarzy bliznę, sir, której, jak pan zapewne zauważył, brakuje na mojej fizjonomii – rzekł Larry, odwracając w stronę doktora

nieskazitelnie gładki prawy policzek.

– Fakt, nie ma blizny – mruknął Doyle, jakby zauważył to od samego początku.

– Larry i Barry są czymś w rodzaju legendy w pewnych londyńskich kręgach – stwierdził Sparks. – To najlepsza para tapeciarzy, jakich spotkałem w życiu.

– Włamywaczy, sir – odrzekł Larry z uprzejmym uśmiechem, jakby rozmawiał przy herbatce z cioteczka swojej narzeczonej. – Stara technika, typowy włam – praktykowaliśmy z klinem, krótkim łomem i wiertłem kolcowym, jeśli wie pan, o czym mówię.

– Wydaje mi się, że wiem aż za dobrze – odparł Doyle, widząc, że ma przed sobą człowieka z dość mroczną kryminalną przeszłością.

– Idealny układ – wyjaśnił Sparks. – Nikt nie wiedział, że byli bliźniakami. Jeżeli chodzi o technikę, w swoim światku nie mieli sobie równych.

– Wyedukowani nie jesteśmy, ale wyszkoleni to i owszem – mruknął Larry.

– Spodoba ci się wykwinność ich metody, Doyle. Jeden z nich w dniu skoku idzie do pubu, pije jak smok, bawi się w najlepsze, innymi słowy, robi z siebie widowisko.

– Ta część wcale nie jest taka błaha i śmieszna, jak się panu wydaje – rzekł z powagą Larry. – To coś w rodzaju gry, prawdziwego przedstawienia. Barry lubi śpiewać i ma dość bogaty repertuar różnych przyśpiewek, ja natomiast wolę epickie recytacje sprośnych limeryków.

– Tak więc, podczas gdy jeden z was pokazuje się publicznie i odgrywa przedstawienie, drugi pracuje.

– W ten sposób udawało nam się zaliczać włamy i zachować czyste konto u stróżów prawa – dodał Larry.

– Obaj są szybcy jak myszy i potrafią pracować w niewiarygodnych wręcz miejscach – ciągnął Sparks.

Ta opowieść zdecydowanie za bardzo go bawi – pomyślał Doyle.

– Widzisz, Barry potrafi precyzyjnie się przemieszczać przez najwęższy otwór – może nawet wyjąć sobie ramię ze stawu – i zeskakuje w dół jak skoczek z parasolem. Nigdy publicznie nie widziano ich razem, więc gdyby nawet któregoś przyłapano na gorącym uczynku, czterdziestu naocznych świadków w pubie przyzna, że spędziło szampański wieczór w towarzystwie skorego do wypitki oskarżonego, obdarzonego na dodatek kwiecistym językiem. Absolutnie nie do podważenia. Bezbłędna metoda.

– Gliny też dawały się nabrać – ciągnął Larry. – To znaczy, aż do dnia kiedy Barry wpakował się w tę kabałę. On zawsze miał słabość do kobiet. Akurat tego wieczoru miał zamiar uwieść córkę pewnego sprzedawcy ryb. Oblegał tę cytadelę kobiecych cnót już od

dłuższego czasu, ale im bardziej ona się opiera, tym większe siły gromadzi na polu bitwy marszałek Barry. Czwarta nad ranem, w sklepie, wśród sardynek. Przelamuje obronę dziewczyny, gdy zjawia się jej stary z transportem łupaczy i nim Barry zdążył podciągnąć spodnie do kolan, jak go nie łupnie tasakiem w pysk, ostrze ześlizgnęło się po kości...

– Możemy oszczędzić sobie szczegółów natury medycznej, Larry – rzekł Sparks.

– Racja. Przepraszam, sir – rzekł energicznie Larry, lustrując oblicze Doyle'a w poszukiwaniu oznak urażonej wrażliwości.

– Jest miejsce dla takich, jak ty i twój brat – odparł Doyle. – Nazywa się więzienie.

– Niewątpliwie, sir. I nie wątpię, że gnilibyśmy po dziś dzień w jakiejś zatechłej celi, skądinąd zresztą zasłużenie, gdyby nie hojność i dobroduszość tu obecnego pana Sparksa.

– To długa historia. Nie będziemy nią teraz zanudzać naszego dobrego doktora – rzekł autorytatywnie Sparks. – Wypatrzyłeś kogoś na drodze?

– Z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, że pańska droga ucieczki, sir, pozostała nie wykryta.

– To dobre wieści. A teraz przyjacielu, co nam przywiozłeś dobrego?

– Proszę wybaczyć, panowie, ja tu sobie gadu-gadu, a wy musicie być spragnieni jak młoda żonka po ślubie.

Okazało się, że Larry przywiózł w jukach całą masę rzeczy, które – gdyby nie wcześniejszy paskudny humor doktora – diametralnie zmieniłyby jego zdanie na temat nietuzinkowej pary przestępców. Na początek kanapki – sporo kanapek, z różnym okładem: szynką, befsztykiem, ostrym serem, indykiem w majonezie i kotletami z chrzanem. Do tego orzechy, słodczyce, woda i chłodne piwo. A także, co chyba przyjęli z największą radością, suche ubrania dla nich obu.

Jedli przy drodze, opodał zaś koń Larry'ego pogryzał długą, gęstą trawę. Larry opowiedział im szczegółowo o swoich dotychczasowych czynaniach. Ostatnie półtora dnia spędził na stacji Cambridge, a po otrzymaniu telegraficznej wiadomości od Barry'ego z Londynu (ten ostatni urządził swym prześladowcom przejażdżkę przez pół miasta, zanim ich ostatecznie zgubił), wyruszył konno w drogę i odnalazł ślady Doyle'a i Sparksa na starym, rzymskim szlaku. Doyle uznał, że nie jest w stanie określić, jak konkretnie przedstawia się związek łączący Larry'ego, Barry'ego oraz Sparksa. Sądził, że wynikał on z długoletniej współpracy, ale nie miał dość odwagi, by zapytać o to wprost. Obecność przestępcy wzbudziła w nim osobliwe uczucie chłodu i bezwzględności, którego nie zdołały przemóc kanapki ani piwo, pomimo iż Larry usiłował wkraść się w jego łaski.

Najedzeni i przebrani w suche rzeczy Sparks i Doyle ruszyli w dalszą drogę starym

szlakiem. Larry wsiadł na konia i wyprzedził ich, przyjmując funkcję awangardy oraz ich ochrony osobistej. Widok jego trzepocącego płaszcza, znikającego za sąsiednim wzgórzem, przywołał wspomnienia niedawnego, złowieszczonego spotkania.

– Kto mnie ściga, Jack? Kim jest człowiek w czerni, którego widziałem wczoraj w nocy?

– Nie jestem pewien – odparł Jack z powagą.

– Ale masz pewne podejrzenia.

– To człowiek, którego szukam. Od wielu lat nie zbliżyłem się do niego tak bardzo, jak wczorajszej nocy. Z jego powodu znalazłem się wtedy na tym seansie.

– To członek jakiegoś sprzysiężenia zła, o którym wspominałeś?

– Wierzę, że ten człowiek jest jego przywódcą. Czymś w rodzaju generała.

– Znasz go, prawda? – zapytał Doyle w nagłym przebłysku pewności.

Sparks zmierzył go wzrokiem. Ku swemu zdumieniu, Doyle dostrzegł w chłodnych oczach Jacka iskiereki strachu. Było to szokujące i niespodziewane odkrycie.

– Być może. – To rzekłszy, Sparks uniósł brwi w typowym dla siebie grymasie. Znowu był sobą. Ale ów przebłysk prawdziwego przerażenia, sama jego obecność, nadała temu mężczyźnie cech człowieczeństwa i bardziej zbliżyła go do Doyle'a.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo niewiarygodne jest to wszystko, co mi opowiedziałeś? – spytał Doyle bez cienia wahania.

– Naturalnie.

– Polegam na doświadczeniu zmysłowym, ale te opowieści, którymi mnie uraczyłeś... Czemu nie miałyby istnieć tysiąc innych, równie, a może nawet bardziej, prawdopodobnych wyjaśnień?

Sparks potaknął ruchem głowy.

– Czymże jest nasze życie, jeżeli nie opowieściami, które snujemy po to, aby odnaleźć jakiś sens w cierpieniu zwanym życiem?

– Musimy wierzyć, że życie ma sens.

– Może sensem życia jest to, czym jesteśmy w stanie je uczynić.

To niesłychane, jak wiele odczuć potrafił ukazać ów człowiek w tak krótkim czasie. Doyle ponownie się zdumiał, widząc niewiarygodną i brutalną elastyczność wrażeń bardziej nieprzewidywalnych niż wiosenna pogoda. I odnalazł w jego postawie pewną lukę. Postanowił pójść za ciosem.

– W zupełności się z tobą zgadzam – rzekł Doyle. – W gruncie rzeczy nic o tobie nie wiem, ale mimo to potrafię stworzyć pewien twój wizerunek – coś w rodzaju historyjki –

która może, ale nie musi, okazać się prawdziwa.

– To znaczy? – spytał Sparks, nagle się ożywiwszy.

– Masz jakieś trzydzieści pięć lat, urodziłeś się w rodzinnym majątku w Yorkshire. Jesteś jedynakiem. W dzieciństwie przebyłeś poważną chorobę. Twoja rodzina, gdy byłeś mały, sporo podróżowała po Europie. Spędziliście dużo czasu w Niemczech. Po powrocie do Anglii poszedłeś do prywatnej szkoły, a potem na Uniwersytet w Cambridge. Wydaje mi się, że zrobiłeś więcej niż jeden fakultet. Studiowałeś między innymi medycynę i nauki przyrodnicze. Grasz na instrumentach smyczkowych, najprawdopodobniej na skrzypcach, i to całkiem nieźle.

– To zdumiewające!

– Przez pewien czas pragnąłeś poświęcić się karierze aktorskiej i być może grałeś trochę na scenie. Brałeś również pod uwagę zawodową służbę wojskową i bardzo możliwe, że w 1878 roku odbyłeś podróż do Indii, by wziąć udział w kampanii afgańskiej. Przebywając na Wschodzie, poświęciłeś sporo czasu na studiowanie różnych religii, w tym buddyzmu i konfucjanizmu. Jak sądzę, dotarłeś również do Stanów Zjednoczonych.

– Brawo, Doyle, zdumiewasz mnie.

– Taki miałem zamiar. Czy mam ci powiedzieć, w jaki sposób do tego doszedłem?

– Mój akcent, którego nie zdołałem się całkiem pozbyć, zdradza pochodzenie z Yorkshire. Po manierach i wyglądzie całkiem słusznie domyślasz się, że wychowałem się w rodzinie na tyle zamożnej, by mogła zapewnić mi komfort i wygodne życie, bez konieczności trudzenia się na przykład handlem.

– W rzeczy samej. Twoja żywa wyobraźnia pozwala mi przypuszczać, że w dzieciństwie przeszedłeś poważną chorobę – może cholere, której epidemia szalała na początku lat sześćdziesiątych, a podczas leczenia musiałeś sporo czytać – ten nawyk zachowałeś po dziś dzień.

– To prawda. Moja rodzina podróżowała po Europie, odwiedzając przede wszystkim Niemcy, ale nie mam zielonego pojęcia, jak udało ci się do tego dojść.

– To wynikało z wykształcenia. Niemcy są ulubionym celem dla całych pokoleń rodzin z wyższych sfer, pragnących zaszczerpić w swych pociechach zamiłowanie do lektury i zapewnić im właściwe wychowanie. Przypuszczam, że przyczynił się do tego niemiecki rodowód kilku przedstawicieli naszej linii królewskiej.

– Słuszne rozumowanie – stwierdził Sparks. – Popełniłeś tylko jeden błąd – mam starszego brata.

– Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony. Wykazujesz naturalną pewność siebie i

ambicję typową dla jedynaka.

– Mój brat jest znacznie starszy. Nigdy z nami nie podróżował, a gdy byłem dzieckiem, on przebywał w szkole z internatem. Prawie go nie znałem.

– To wszystko wyjaśnia.

– Uczęszczałem na Uniwersytet w Cambridge, Caius i Magdalene, studiując medycynę i nauki przyrodnicze, co określiłeś dzięki mej znajomości samego miasta i łatwości, z jaką uzyskałem informacje na temat młodego Nicholsona.

– Znowu masz rację.

– Studiowałem również przez pewien czas w Oksfordzie, teologię.

– Teologię?

– Tak. I muszę wyznać nie bez zakłopotania, aktorstwo teatralne.

– Domyśliłem się tego dzięki twojej wiedzy na temat charakteryzacji i kamuflażu. Łatwość, z jaką mnie oszukałeś, przebijając się za Hinduskę, pozwoliła mi domyślić się, że musiałeś odwiedzać kraje Orientu.

– Niestety, nigdy nie byłem w wojsku, ale odbyłem podróż na Daleki Wschód i rzeczywiście przez dłuższy czas studiowałem różne religie.

– A byłeś w Stanach Zjednoczonych?

– Zauważyłeś, że czasami posługuję się tamtejszą gwara.

Doyle pokiwał głową.

– Spędziłem osiem miesięcy w trasie wzdłuż Wschodniego Wybrzeża jako aktor Towarzystwa Szekspirowskiego Sazanowa – rzekł Sparks tonem grzesznika, spowiadającego się przed księdzem.

– Wiedziałem!

– Za swe najlepsze osiągnięcie uważałem rolę Merkucja, ale w Bostonie znacznie bardziej podobał się Hotspur – mruknął Sparks z ironią w głosie. – Teraz znam już twój tok rozumowania. Nie pojmuję jednego – jakim cudem doszedłeś do tego, że gram na skrzypcach?

– Leczyłem kiedyś pewnego skrzypka z orkiestry londyńskiej, który w wypadku bicyklowym nadwreżył sobie nadgarstek. Miał wyraźne, drobne zgrubienia od strun na opuszkach palców lewej dłoni. Ty też masz takie zgrubienia. Zakładam, że grasz na skrzypcach z równym oddaniem, choć może nie taką maestrią, jak mój pacjent.

– Wspaniale. Gratuluję ci spostrzegawczości.

– Dziękuję. Chlubię się nią.

– Większość ludzi jest tak zajęta sobą, że nie dostrzega prawdy o otaczającym ich

świecie. Po tym, co mi zaprezentowałeś, nie ulega wątpliwości, że posiadasz bezcenny dar zauważania szczegółów i, co więcej, w znacznym stopniu rozwinąłeś ową rzadką umiejętność. To oznacza, że z równym uporem starałeś się zgłębić i rozwinąć filozofię życia.

– Chyba zawsze byłem zdania, że im mniej mówi się na ten temat, tym lepiej – oświadczył skromnie Doyle.

– „Niechaj czyny określają człowieka dla świata, a muzyka jego duszy gra dla jednego tylko słuchacza”.

– Szekspir?

– Nie, Sparks – odrzekł Jack z uśmiechem. – Chcesz teraz, żebym ja powiedział coś o tobie?

– To znaczy – co możesz wydedukować na mój temat na podstawie mego wyglądu i zachowania?

– Świadomość, że spotkałem równego sobie pod względem umiejętności dedukcji obserwacyjnej sprawia, że mam ochotę się z tobą zmierzyć!

– Skąd mam wiedzieć, że twoje wnioski będą oparte wyłącznie na spostrzeżeniach, a nie na informacjach uzyskanych z jakichś sekretnych źródeł?

– Nie będziesz tego wiedział – odparł Sparks i ponownie się uśmiechnął. – Urodziłeś się w Edynburgu, w katolickiej rodzinie skromnych, przyzwoitych Irlandczyków. W młodości sporo wędkowałeś i polowałeś. Nauki pobierałeś w szkole jezuickiej. Pasjonujesz się literaturą i medycyną. Studia medyczne ukończyłeś na Uniwersytecie w Edynburgu, pod czujnym okiem postępowego profesora, który zachęcał cię do rozwijania zdolności obserwacyjnych i dedukcyjnych, wykraczających poza powszechnie przyjęte w diagnostyce kryteria. Pomimo poświęcenia się medycynie, nigdy nie brałeś pod uwagę, że praca lekarza będzie twoim jedynym źródłem utrzymania. Pomimo wychowania w duchu religii katolickiej, porzuciłeś tę wiarę, kiedy po uczestnictwie w serii seansów i doświadczeniu rzeczy uznanych powszechnie za niewytłumaczalne, stwierdziłeś, iż nie dają się one pogodzić z narzuconymi religijnymi dogmatami. Obecnie uważasz się za otwartego agnostyka. Doskonale strzelasz...

W ten oto sposób upłynęła im reszta popołudnia, na przynoszącej orzeźwienie konfrontacji umysłów dwóch ludzi, którzy swe niezwykle zdolności dotąd mogli wykorzystywać wyłącznie w pojedynkę. Choć niekiedy w oddali widać było pojedyncze farmy czy niewielkie osady, nie zeszli ze szlaku, zaspokajając głód i pragnienie prowiantem dostarczonym przez Larry'ego. Mijali łąki, brzozowe zagajniki i rozległe pola, aż zmierzch zastał ich na końcu szlaku, u brzegów Colne, szerokiej, leniwej rzeki przepływającej przez hrabstwo Essex. Po spożyciu skromnej kolacji w cieniu dębu, gdy zapadł zmierzch, Larry

znów się pojawił, przybijając do brzegu nie opodal miejsca, gdzie się zatrzymali, dwudziestostopowym słupem, silną, smukłą łodzią, na dziobie której zawieszona była latarnia. Weszli na pokład, podczas gdy Larry stał przy okrężnicy. Na śródkręciu rozpięty był brezentowy daszek, pod którym rozłożono posłanie z koców. Odbili od brzegu. Noc była jasna, niebo czyste, księżyc w trzeciej kwadrze. Popłynęli z prądem, mijając niezauważeni uśpione, położone nad brzegiem miasteczka. Na żądanie Sparksa Doyle pierwszy ułożył się na prowizorycznym posłaniu, i nim jeszcze łódź przepłynęła pół mili w dół rzeki, delikatne kołysanie fal pchnęło strudzonego doktora w pozbawione sennych wizji, kojące objęcia Morfeusza.

Rzeka niosła ich spokojnie poprzez noc, obok Halstead, Rose Green, Wakes Colne i Eight Ash i przed świtem zostawili w tyle Colchester i Wivenhoe, gdzie rzeka rozszerzała się jeszcze bardziej, przygotowując na spotkanie morza. Choć minęli wiele barek i innych mniejszych jednostek stojących na noc na kotwicy, dopiero tu natknęli się na pierwsze większe parostatki. Larry postawił grota, aby przygotować łódź na nadchodzący przypływ, a północno-zachodni wiatr wyduł żagiel, pozwalając im szybciej i płynniej wymijać powolne statki towarowe przepływające kanałem.

Dwie krótkie drzemki na stojąco były wszystkim, na co pozwolił sobie Sparks podczas rejsu, i wyglądało na to, że akurat tyle potrzebował. Doyle przespał całą noc, obudził się rześki i z niemałym zdumieniem stwierdził, że łódź wypłynęła na otwarte morze. Gdy zostawili w tyle ujście rzeki, obrali kurs na południe. Sparks przejął ster, gdy łodzią zaczęło nieco mocniej bujać. Larry położył się na kocach, aby się zdrzemnąć, doktor zaś dołączył do Jacka na rufie. Choć warunki były sprzyjające, Doyle po sposobie, w jaki Sparks trzymał ster i chwycił wiatr, zorientował się, że Jack był doświadczonym żeglarzem. Niebawem ujście rzeki znikło im z oczu, a w polu widzenia od sterburty pozostały połacie surowych klifów ciągnących się od Sales do Holliwell Point.

Fale tłukące o burty i zapach soli, którym przesączone było powietrze, przypominały Doyle'owi dni, które spędził na morzu. Najwyraźniej wspomnienia wywołały na jego twarzy osobliwy grymas, a nawet uśmiech, Sparks bowiem ustąpił mu miejsca przy sterze. Przystał na to z ochotą. Sparks usiadł wygodnie na zwoju lin, wyjął z buta paczkę tytoniu i nabił fajkę. Zaszuchany w suchy łopot żagla i skrzeczenie ptaków, Doyle z lubością napawał się pięknem rozciągającego się wokół krajobrazu. Tu, na łodzi płynącej po otwartym morzu, kłopotliwa sytuacja, w jakiej się znaleźli, wydawała się doktorowi mniej przerażająca niż na stałym lądzie. Nie niepokoiły go nawet wzburzone fale – miał za sobą o wiele silniejsze sztormy.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl: czemu nie mieliby uciec na kontynent? Jako

były marynarz Doyle wiedział, że istnieją tysiące odległych, egzotycznych portów, w których człowiek mógł zniknąć i zmienić tożsamość tak, by tajemniczy, nieznani prześladowcy nigdy nie zdołali go odnaleźć.

Rozważając tę ewentualność, uświadomił sobie, jak niewiele łączyło go z obecnym życiem – rodzina, przyjaciele i kilkoro pacjentów – nie miał żony, dzieci ani uciążliwych zobowiązań finansowych. Wystarczy pozbawić człowieka miłości i jego więź ze światem staje się upiornie trudna. Jakże kusząca wydawała mu się obietnica diametralnych zmian. Z trudem był w stanie oprzeć się pokusie wyruszenia w nieznane. Być może to właśnie było prawdziwą, opiewaną w legendach syrenią pieśnią. Pokusa porzucenia brzemienia przeszłości i rzucenia się śmiało, bez żadnych obciążeń, w mroczny tunel powtórnych narodzin. Może to i czyniło ludzkie dusze obojętnymi.

Kiedy jednak stał tak, nie mogąc się zdecydować, kuszony pragnieniem ucieczki, wywołanym zetknięciem z prawdziwym, czystym złem (co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości), które go ścigało, zaczął zastanawiać się, czy ucieczka nie byłaby jeszcze większym złem. Złem wywodzącym się z porażki i tchórzostwa. Wielu ludzi może przeżyć całe życie, nie napotykając podobnych wyzwania, w wyniku których brutalnie obnażona zostaje prawda o nich samych. Lepiej jest stracić życie w obronie jego świętości, niż podwinąć ogon pod siebie i przez resztę życia korzyć się jak zbity pies. To ostatnie wyjście gwarantowało, że człowiek nigdy nie pozbędzie się odrazy i wstrętu do samego siebie.

Dlatego też nie skierował łodzi na wschód. Niezależnie od tego, jak liczni czy potężni byli jego wrogowie, nie podda się, choćby mieli drzeć z niego skórę pasami i pławić go we wrzącej, słonej wodzie. Nie da im tej satysfakcji. Czuł się silny, odważny i bezlitosny. Jego umysł pracował chłodno. Wiedział, że postępuje właściwie, a jeżeli nawet tamci zdołali ujarzmić jakąś plugawą moc, to nic takiego: są cielesni, a ciała mogą przecież krwawić.

– Nie sądzę, abys pamiętał nazwisko ostatniego wydawcy, któremu pokazałeś swoją książkę – mruknął Sparks, popatrując leniwie za burtę.

– Było ich kilku. Księga, w której zapisywałem ich nazwiska, została zniszczona w moim mieszkaniu.

– To niedobrze.

– Jak oni to zrobili, Jack? Potrafię znaleźć wyjaśnienie prawie wszystkiego, co się wydarzyło – seansu i tego co miało miejsce potem – ale tego jednego za nic w świecie nie jestem w stanie wytłumaczyć.

Sparks pokiwał głową w zamyśleniu, ssąc cybuch fajki.

– Z tego co mi powiedziałaś wynika, że ktokolwiek jest za to odpowiedzialny, potrafi

zmienić strukturę molekularną przedmiotów materialnych.

– Sugerujesz, że oni, kimkolwiek są, dysponują jakąś niewiarygodną, przerażającą mocą.

– Wszystko na to wskazuje – rzucił sucho Sparks.

– Dla mnie to jest nie do przyjęcia.

– Ale tak się stało i nasze opinie w tym względzie absolutnie niczego nie zmieniają. A skoro już podejmujemy temat rzeczy niewyjaśnionych, pozostaje jeszcze kwestia szarych kapturów.

– Powiedziałeś, że twoim zdaniem ci ludzie niezupełnie byli żywi.

– Ty jesteś lekarzem.

– Aby móc wydać konkretny osąd, musiałbym zbadać choć jednego z nich.

– Zważywszy na to, jak są uparci i natarczywi, śmiem twierdzić, że będziesz miał po temu okazję.

Ich rozmowa obudziła Larry'ego. Wyczołgał się spod daszka i przetarł zaspane oczy.

– Larry widział jednego z nich z bliska, no nie, Larry? – rzekł Sparks. – Szare kaptury. Powiedz doktorowi.

– Fakt. To było parę miesięcy nazad, sir – rzekł Larry, wgryzając się żarłocznie w kanapkę z szynką i serem. – Śledziłem takiego jednego faceta, cośmy go mieli przez pewien czas pod obserwacją...

– Jeden z podejrzanych – dodał Sparks.

– Tak jest. Co wtorek, wieczorem, ten gość opuszczał swój dom w Mayfair po to, by odwiedzić pewien dość znany, choć niecieszący się dobrą sławą przybytek uciech w pobliskim Soho, gdzie dawał upust specyficznej żądzy, a mianowicie...

– Pomińmy to teraz, Larry – uciął Sparks.

– Już przechodzę do rzeczy, sir. A więc, po ustaleniu w jakie dni i jak często nasz obiekt zwykł urządzać swoje nocne eskapady, któregoś razu zamiast pójść za facetem, jak zawsze, do przybytku uciech, wszedłem pod jego nieobecność do domu i przetrząsnąłem dokładnie cały lokal – ciągnął, z pełnymi ustami, popijając piwem olbrzymie kęsy wielkiej kanapki.

– Stare nawyki nie idą w zapomnienie – rzekł oschle Doyle.

– Nie zabrałem ani jednego centa, sir. Zerwałem z tym, tak jak Barry, słowo honoru, przysięgam na Boga – rzekł Larry, żegnając się energicznie. – Nie, nie, przetrząsnąłem mu chawirę na wypadek gdyby klient zostawił gdzieś jakiś ślad mogący pomóc w pełniejszym zrozumieniu mrocznych zamiarów, jakie przyświecały jemu i jego koleśowi.

– Listu albo jakiejś wiadomości – dodał Sparks.

– Właśnie. Założmy, że coś takiego faktycznie znajdowało się w mieszkaniu, ukryte w sejfie za mapą Hyperborei albo olejnym portretem damy jego serca – *notabene* nie bardzo udanym, babeczka miała mniejsze zęby, była szczuplejsza niż w rzeczywistości, ale bądź co bądź po to właśnie robi się portrety i nie wątpię, że facetowi dobrze zapłacono, żeby odwalił taki kawał roboty – ci artyści nie muszą dotykać chleba palcem, aby wiedzieć, z której strony kromka jest posmarowana masłem. Przepraszam za tę dygresję. Tak czy inaczej, byłem gotów dać z siebie wszystko i wykorzystać całą gamę swych talentów, aby zdobyć ów nieokreślony z grubsza dowód, niezależnie od tego, gdzie miałyby się znajdować.

Dojadł kanapkę, dopił piwo, czknał potężnie i cisnął butelkę za burzę.

– No i otworzyłem sejf. Niestety w środku nie było nic interesującego, z wyjątkiem grubego pliku akcji – było tego sporo, za niezłą porcją sałaty – pewno, że niełatwo byłoby je upłynnić i moglibyśmy napytać sobie biedy, ale w starych, dobrych czasach ani ja, ani Barry nie zastanawialibyśmy się ani chwili, tylko od razu zgarnęli towar. A kłopoty? Co tam kłopoty, nie takie rzeczy się robiło. Poza tym w sejfie było jeszcze parę francuskich pocztówek, skądinąd całkiem nowych, potwierdzających dość nietypowe preferencje seksualne naszego klienta – a także jego testament, w którym zapisywał cały swój majątek ni mniej, ni więcej tylko tej grubej kobiecie, co ją tak udatnie artysta wyrzutował na obrazie.

– Innymi słowy, nic tam nie znalazłeś – rzekł Doyle, zniecierpliwiony i rozdrażniony niepoprawną gadatliwością byłego złodzieja.

– Nie to, co chciałem, sir. A kiedy z równie mizernym skutkiem przeszukałem resztę domu i ruszyłem do piwnicy, aby tą samą drogą, czyli przez okno, wydostać się na zewnątrz, zauważyłem otwarte drzwi. Składzik na węgiel albo piwniczka, która uszła wcześniej mojej uwagi. Teraz jednak, gdy mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zauważyłem w drzwiach czubek buta. Nie poruszał się. Zobaczyłem również fragment nogawki. Znieruchomiałem jak posąg Nelsona i przez dobre dziesięć minut patrzyłem w szparę. To był podkuty bucior z żelaznym noskiem, wyczyszczony na glans. Poważna sprawa. Jeden kopniak w brzuch i mam tam w środku wszystko poprzestawiane jak w mieszkaniu nowożeńców. Przez całe dziesięć minut but nawet nie drgnął. Wrzuciłem pensiaka do pomieszczenia, a brzęk monety w piwnicy zabrzmiał jak salut armatni. Nic. Najmniejszego ruchu. Nie zdzierżyłem. Przejąłem inicjatywę. Otworzyłem drzwi.

– I to był jeden z szarych kapturów – rzekł Doyle.

– Zgadza się, sir. Siedział na zydlu po ciemku. Twarz miał zakrytą podobnie jak ręce, co je opierał na kolanach.

– Nie zareagował?

– Prawdę mówiąc, sir, pomyślałem wtedy, że przypadkiem natknąłem się na jedną z woskowych figur z Komnaty Grozy w Muzeum Madame Tussaud. Siedząca przede mną postać nie zrobiła nic, abym odczuł, że mam do czynienia z żywą istotą ludzką.

– Co zrobiłeś?

– Zapaliłem świeczkę, com ją miał w kieszeni, żeby się lepiej przyjrzeć. Ostrożnie wyciągnąłem rękę i dotknąłem ramienia tamtego. Szturchnąłem go. Nic. Nakapałem na niego parę kropel gorącego wosku. Kiedy nie zareagował, wyjąłem majcher i chlasnąłem go. Nawet mu nie drgnął jeden mięsień. Ale choć skórę miał szarą i chłodną jak ryba na talerzu, coś w moim małym mózdzku mówiło mi, że ten typ nie umarł, przynajmniej w normalnym rozumieniu tego słowa. I zrobiło mi się zimno. Włosy stanęły mi dęba, a musi pan wiedzieć, że niejedną raz zdarzyło mi się przebywać w towarzystwie sztywniaka i nie robiłem z tego wielkiego halo. Tylko, że ta sytuacja wydała mi się zupełnie nienormalna.

– Wyczułeś puls albo bicie serca?

– Przyznaję, że myśl o ponownym dotknięciu tego sztywniaka nie wydawała mi się zbyt nęcąca. Zrobiłem to, co w danym momencie przyszło mi do głowy. Zdjąłem mu kaptur.

– Niebieskie nici...

– Tak, widziałem niebieską nić, i zaszyte usta. Toporna robota, muszę przyznać, i z wyglądu wykonana niedawno...

– A oczy?

– Były zamknięte, ale powiek nie miał zaszytych do kupy...

– Oddychał?

– Pozwól mu dokończyć, Doyle – rzekł Sparks.

– Nie wiem, sir. Szczerze mówiąc, nie miałem możliwości tego sprawdzić, bo jak przyjrzałem się dokładniej temu typowi, uświadomiłem sobie, że go znam...

– ZNAŁEŚ GO?

– Tak, sir. To był Lansdown Dilks, silnoreki z Wapping, były mistrz, wszyscy go znaliśmy. Paskudny typ. To znaczy, dopóki go nie zapuszkowali za skręcenie karku jednemu sprzedawcy z Brixton...

– Trafił do więzienia?

– Zamknęli go, skazali za morderstwo z premedytacją, trzy lata temu wsadzili za kratki. Niech pan sobie wyobrazi moje zdziwienie, kiedy widzę tego typa w piwniczce domu w Mayfair, z zaszytymi ustami, jak żołnierzyk na sprężynie czekający, aby ktoś nakręcił kluczyk w jego plecach...

– Co zrobiłeś?

– Usłyszałem, jak ktoś otwiera frontowe drzwi. I na ten dźwięk oczy Lansdowna otworzyły się.

– Otworzył oczy?

– Przecież mówię wyraźnie, sir.

– Czy... on cię poznał?

– Trudno powiedzieć, sir, bo zgasilem świecę i zanim w pomieszczeniu zrobiło się ciemno, wyskoczyłem przez piwniczne okno, a potem pogalopowałem ulicą, jakby gonił mnie sam diabeł. A gdybym drugi raz znalazł się w takiej sytuacji, zrobiłbym dokładnie to samo. Lansdown Dilks w poprzednim wcieleniu był paskudnym typem, więc najrozsądniej dla każdego było uniknąć bliższego z nim spotkania. Doszedłem do wniosku, że było raczej mało prawdopodobne, aby obecny stan wpłynął pozytywnie na jego charakter.

Doyle nie mógł wykrztusić słowa. Wiatr zmienił się. Na zachodzie zbierały się chmury. Wydawało się, że temperatura spadła nagle o dziesięć stopni. Wręgi łodzi zatrzęszczały, gdy runęła nań większa fala.

– Czyj to był dom? – zapytał w końcu Doyle.

Sparks i Larry wymienili ukradkowe spojrzenia. Doyle wychwycił je i poczuł oburzenie.

– Na Boga, człowieku – rzucił autorytatywnie. – Przecież oni mnie ścigają, mam prawo wiedzieć. Skoro wiem już tyle, mam prawo dowiedzieć się wszystkiego.

– To dla twojego dobra, Doyle... – zaprotestował Sparks.

– Ładne mi dobro! Jestem świadkiem morderstwa, a nawet trzech, jeśli liczyć Pietrowiczową, nie mogę wrócić do mieszkania i całe moje życie zostało wywrócone na nice! A mimo to mam ufnie patrzeć w przyszłość i czekać, aż jakiś nieumarły rzeźnik wypruje ze mnie flaki!

– Spokojnie, doktorze!

– Albo jestem z tobą, Jack, i w tym momencie powiesz mi wszystko, co wiesz, albo idź do diabła, wypchaj się całą tą cholerną sprawą i wysadź mnie zaraz na brzegu. Sam spróbuję dać sobie radę!

Pomimo iż nigdy nie lubił otwartego wyrażania gniewu, Doyle w głębi duszy ucieszył się, ten wybuch bowiem podziałał nań oczyszczająco. Otworzył również jedne drzwi wewnątrz Sparksa, choć inne wciąż pozostawały zamknięte. Doyle wyjął rewolwer i wymierzył w kadłub łodzi.

– Masz dziesięć sekund na podjęcie decyzji, zanim wywalę dziurę w tej cholernej

łajbie, a wtedy będziemy mieli szczęście, jeśli którykolwiek z nas dopłynie żywy do brzegu – rzekł lodowatym tonem, odciągając kurek. – Ja nie żartuję.

Larry spokojnym ruchem sięgnął do kieszeni.

– Nie, Larry – rzucił Sparks, nie patrząc na niego. Larry opuścił dłoń. Czekali.

– Czas minął, Jack – rzekł Doyle, unosząc broń gotową do strzału.

– Dom należy do brygadiera generała Marcusa McCauleya Drummonda, z królewskich fizylierów, w stanie spoczynku. Odlóż broń, doktorze.

– To nazwisko nic mi nie mówi – mruknął Doyle, zdejmując palec ze spustu, ale nie zwalniając kurka.

– Służba wojskowa generała Drummonda charakteryzuje się w głównej mierze brakiem jakichkolwiek osiągnięć – rzekł Sparks tonem pozbawionym ostrości. – Jego patent oficerski został nabyty za pieniądze rodowe; tylko w ten sposób można wytłumaczyć jego szybki i zgoła niespodziewany awans. Drummondowie są najsylniejszymi w kraju wytwórcami amunicji, największymi dostawcami naboju i pocisków moździerzowych. Mają fabryki w Blackpool i Manchesterze oraz trzy zakłady w Niemczech produkujące ciężką artylerię. Generał Drummond nie był szczególnie gorliwym użytkownikiem swoich wyrobów – podczas dwudziestu lat służby żaden żołnierz pod jego dowództwem nie oddał nawet jednego, przypadkowego strzału.

Po śmierci ojca, przed sześciu laty, generał przeszedł w stan spoczynku i przejął kontrolę nad rodzinnym koncernem. Zabrał się do dzieła z niespotykanym u niego zapałem. Sprzedaż i zyski firmy potroiły się. W ubiegłym roku Drummond poślubił najstarszą córkę Kruppa z Monachium, swojego największego rywala na kontynencie. Rezultatem było powstanie potężnego monopolu. Obecnie generał ma zamiar zdominować, oprócz krajowego, również rynek międzynarodowy. Prowadzi negocjacje w celu nabycia firmy, która wyprodukowała rewolwer znajdujący się w twoim ręku. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

Doyle zwołnął kurek i opuścił broń.

– Co sprawiło, że w ogóle zainteresowałeś się tym Drummondem?

– Rozkazy – rzekł Sparks, a w tym jednym słowie zawarła się spuścizna ośmiu wieków monarchii i autorytetu najwyższej władzy.

Doyle nie był uodporniony na siłę tego typu słownych argumentów. Schował rewolwer do torby i usiadł. Operujący na całym świecie producent amunicji. Rozkazy od królowej. W jego umyśle zapanował mętlik.

– Mój ojciec zawsze mawiał, że najbardziej użyteczną cechą człowieka jest umiejętność rozpoznawania sytuacji, które nas przerastają.

– Zjedz kanapkę, szefie – rzekł uprzejmie Larry, podając mu koszyk.

Doyle wziął jedną. Jedzenie zawsze dobrze nań wpływało. W każdym razie, wciąż miał taką nadzieję.

– Nie przypuszczam, że udałoby się przyskrzynić Drummonda za udzielenie schronienia zbiegłemu więźniowi.

– Podczas następnych kilku wizyt, jakie Larry złożył w domu generała, nie napotkał Dilksa ani żadnego innego kaptura – wyjaśnił Sparks. – Poza tym sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

– To znaczy?

– Zgodnie z zapisem w rejestrze Głównego Sądu Kryminalnego więzień Lansdown Dilks został w lutym ubiegłego roku stracony przez powieszenie. Władze były tak łaskawe, że przesłały nam zdjęcie jego nagrobka.

Kęs kanapki utkwiał doktorowi w gardle. Opadła mu szczeka.

– Poza tym, Doyle, chciałbym oświecić cię w jeszcze jednej kwestii – mianowicie, że wypełniając moje obowiązki, nie zależy mi szczególnie na doprowadzeniu ściganych przestępców przed oblicze prawa. Liczy się przede wszystkim wypełnienie mojej misji – rzekł Sparks półgłosem. – Innymi słowy, w zależności od sytuacji, jeśli jest to niezbędnie konieczne, mogę działać poza prawem. Ograniczenia prawne mnie nie obejmują.

– Nie?

– No, niezupełnie. Ale mogę korzystać z talentów moich ludzi, którzy, w przeciwnym wypadku, znaleźliby się pod kuratelą stróżów prawa, jak również dostaliby od nich darmowe mieszkania na dłuższy czas – wszystko ładnie, pięknie... tylko te kraty w oknach.

Doyle odwrócił się do Larry'ego. Były złodziej uśmiechnął się, zębami zdjął kapsel z butelki piwa i podał flaszkę doktorowi.

– Rozumiem – rzekł Doyle i wziął od niego piwo.

– Tak oto, doktorze, wiesz już wszystko o prawdziwej naturze tego, czym się zajmuję – rzekł Sparks, odchylając się w tył i ponownie przypalając fajkę. – No to jak, jesteś ze mną, czy mam kazać Larry'emu, aby wysadził cię na brzeg przy najbliższej plaży?

Sparks sprawiał wrażenie jakby mógł czekać na odpowiedź w nieskończoność. Przez krótką chwilę Ameryka Południowa wydawała się Doyle'owi trzecim, niewiarygodnie atrakcyjnym wyjściem. Wypił łyk piwa, usiłując zatrzymać koło fortuny, które rozkręciło mu się pod czaszką.

– Jestem z tobą – odrzekł Doyle.

– Świetnie. Cieszymy się, że tak zdecydowałeś – rzekł Sparks, energicznie potrząsając

jego dłonią.

– Witamy na pokładzie, sir – dodał Larry, szczerząc zęby w promiennym uśmiechu.

Doyle podziękował im, uśmiechając się pod nosem, a w głębi duszy pragnął choć odrobiny wiary w słuszność swego wyboru. Klamka zapadła, doktor wybrał stronę, po której się opowiada, i mogli zająć się bardziej prozaiczną czynnością – trymowaniem żagli.

Gdy weszło słońce, na południowym horyzoncie pojawił się ląd.

– Wyspa Sheppey – mruknął Sparks. – Jeśli wiatr się utrzyma, przed zachodem powinniśmy dotrzeć do Faversham. Stamtąd tylko noc drogi dzieli nas od Topping. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, abyśmy kontynuowali podróż bez przerw.

Doyle potaknął ruchem głowy.

– Mąż zmarłej lady Nicholson to niejaki Charles Stewart Nicholson, syn Richarda Sidneya Nicholsona, para Oswald, który uważany jest obecnie za jednego z najbogatszych ludzi w Anglii – powiedział Sparks z nutą pogardy w głosie. – Nie mogę się doczekać, żeby poznać Charlesa Stewarta Nicholsona. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Tak – odparł obojętnie Doyle, zadowolony, że Sparks samorzutnie zaczął udzielać wyjaśnień.

– Lord Nicholson, młodszy, zwrócił moją uwagę w ubiegłym roku, kiedy sprzedał spory łąn rodzinnej ziemi w Yorkshire pewnemu anonimowemu nabywcy. Ową, zwyczajną z pozoru transakcję, otaczał niemal niemożliwy do przeniknięcia kokon prawniczej papki; ktoś zadał sobie wiele trudu, by ukryć przed opinią publiczną tożsamość nabywcy. – Sparks przerwał, obserwując z pewnym rozbawieniem zakłopotanie Doyle'a. – Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, że człowiekiem, który kupił ziemię Nicholsona jest generał brygadier Charles McCauley Drummond?

– Tak, z pewnością, Jack.

– Fakt. Mnie też to zdziwiło.

10. TOPPING

Rzeczywiście dotarli do Faversham przed zmierzchem. Omijając brzegi wyspy Sheppey, znaleźli się na obszarze morza zwanym powszechnie Podmokłą Niziną, po czym zwięzającym się kanałem, pod prąd, dotarli do skraju łowisk ostrygowych na płyciźnie przy starym miasteczku.

Larry zeskoczył z dziobu, wciągnął łódź na brzeg, zgarnął bagaże, wspiał się na nasyp i w chwilę później już go nie było. Doyle i Sparks zebrali resztę swoich rzeczy i podążyli śladem Larry'ego ścieżką pnącą się na szczyt wzgórza. Na szczycie czekał na nich *brougham* zaprzężony w wypoczęte, świeże konie, a w załadunku bagaży pomagał Larry'emu nie kto inny jak jego brat, Barry. Doyle stwierdził, że rozpoznanie braci graniczy z niemożliwością – dopiero z bliska był w stanie dostrzec szpecącą twarz Barry'ego bliznę. Larry z wyraźnym zadowoleniem przedstawił bratu swego drogiego przyjaciela, szacownego doktora Doyle'a. Barry nie był tak gadatliwy jak jego brat, wręcz przeciwnie, jeśliby jednak mierzyć liczbę wypowiedzianych słów w kategoriach przysłowiowego bogactwa, Larry musiałby być właścicielem ogromnej fortuny w srebrze.

Doyle stwierdził, że jego chłód wobec bliźniaków zaczyna topnieć wskutek przebywania w towarzystwie emanującego niezwykle ciepłem Larry'ego. Jedno tylko nie pasowało doktorowi – za nic w świecie nie potrafił wyobrazić sobie Barry'ego jako niezmordowanego podrywacza i kobieciarza.

Kiedy załadowano bagaże i powóz był gotowy do drogi, Larry ciepło pożegnał się z Doyle'em – miał do załatwienia jakąś bliżej nieokreśloną sprawę – i odjechał w noc.

Barry zasiadł na koźle, Doyle dołączył do Sparksa w kabinie powozu i odjechali.

– Dokąd pojechał Larry? – zapytał Doyle, spoglądając przez zasłony na nikoną w oddali sylwetkę. Zaczynał już za nim tęsknić.

– Zatrze nasze ślady i wróci do Londynu. Ma tam coś do załatwienia – odrzekł Sparks. Wraz z nadejściem nocy ogarnął go posepny nastrój. Wydawał się zamyślony. Unikał wzroku doktora i wyraźnie głowił się nad jakąś poważną sprawą. Doyle nie próbował przedłużyć

rozmowy na siłę, a w końcu usnął.

Obudziło go dobiegające z góry szuranie. Jakby jakiś ciężar przesuwiał się po dachu. Powóz wciąż mknął naprzód. Miejsce Sparksa było puste. Doyle sięgnął po zegarek – wpiął do pierwszej.

Drzwiczki otworzyły się i w otworze pojawił się mały kufer.

– Nie siedź tak, Doyle, pomóż nam. – Usłyszał głos Sparksa.

Doyle pomógł wpakować kufer na siedzenie naprzeciwko, po czym Sparks wrócił do kabiny i zamknął za sobą drzwiczki. Jego oblicze poróżowiało, nastrój wyraźnie się poprawił.

– Jak tam twoja weekendowa etykieta? – spytał Sparks.

– Moja... co?

– Obsługa gości, bilard, rozmowy towarzyskie i takie tam.

– Co to ma wspólnego z...

– Wybieramy się na sylwestrowy weekend do wiejskiego domu szacownego dżentelmena, Doyle. Próbuję określić twoją przydatność i umiejętność obcowania z przedstawicielami wyższych sfer.

– Wiem, których sztuczków do czego się używa – burknął Doyle, czując jak czerwienieją mu uszy.

– Bez urazy, stary. Muszę ustalić, jaką odegrasz rolę. Im mniejsze wzbudzimy podejrzenia u lorda Nicholsona i jego nadętych gości, tym lepiej.

– Jaki mam wybór?

– Pan albo służący – odrzekł Sparks, otwierając kufer, wewnątrz którego znajdowały się ułożone starannie dwa komplety odpowiednich ubrań.

– Czemu nie powiesz im po prostu, że jestem lekarzem? – spytał Doyle, któremu jak najbardziej odpowiadał status przedstawiciela klasy średniej i nie miał ochoty go zmieniać – ani w jedną, ani w drugą stronę.

– Diabło to sprytne. Istnieją poważne podstawy, by przypuszczać, że twoi wrogowie będą tam na nas czekać. Chcesz zyskać paru nowych pacjentów?

– Rozumiem – stwierdził Doyle. – Sugerujesz, że zjawimy się tam incognito.

– Lord Everett Gascoyne-Pouge. – rzekł Sparks, wyjmując zaproszenie na noworoczne party, wystawione na to nazwisko.

– Skąd to masz?

– To faksymile.

– A jeśli prawdziwy Gascoyne-Pouge zdecyduje się wziąć udział w przyjęciu?

– Ten człowiek nie istnieje – rzucił Sparks, z trudem ukrywając niezadowolenie z

osobliwych niekiedy pomysłów doktora.

– Ach. Sam je wydrukowałeś. Już rozumiem.

– A ja zacząłem się zastanawiać...

– Przepraszam, tuż po przebudzeniu trochę wolno myślę – wyjaśnił Doyle, ziewając. – Potrzebuję trochę czasu, aby się rozbudzić.

– W porządku – mruknął Sparks, podając mu strój służącego. – Jestem pewien, że pokoje dla służby w Topping okażą się bardziej niż odpowiednie.

– Ale, Jack, czy nie sądzisz, że oni przejrzą naszą małą gierkę? – wykrztusił Doyle, wpatrując się w podany mu strój. – Jeżeli o mnie chodzi, wiem, że sobie poradzę, ale...

– Nikt nie zwraca uwagi na służących, Doyle. Wtopisz się w otoczenie jak czarny kot w bezksiężycową noc.

– Ale... co będzie, jeżeli mnie zauważą? Może nie wiedzą, jak ty wyglądasz, ale mnie rozpoznają w mgnieniu oka.

Sparks zmierzył go wzrokiem.

– Racja – stwierdził z przekąsem. Przez chwilę grzebał w kufrze i wyjął zeń brzytwę. – Każę Barry'emu zatrzymać powóz, żebyś nie uszkodził swego cennego organu węchu.

Doyle obronnym gestem osłonił wąsy dłońmi.

Szary sylwestrowy świt zastał ich wjeżdżających przez sklepioną bramę i zbliżających się prostym, wąskim, otoczonym potężnymi dębami podjazdem do Topping Manor. Gałęzie ogromnych drzew tworzyły wysoko w górze gęsty, zielony baldachim. Odziany w nietypowy dlań strój, odpowiedni dla nowej profesji, Doyle zdążył zdrzemnąć się zaledwie kilka minut. Jego sny przepelnione były koszmarami o fatalnie wypełnianych obowiązkach, po czym następowała demaskacja i schwytanie go przez nieznanego indywidua. Najbardziej znaną i rzucającą się w oczy postacią była królowa Wiktoria; przypominał sobie, że podał jej herbatę, by niespodziewanie uświadomić sobie, iż w dzbanku pływa zdechła mysz. To dopiekło mu bardziej niż tortury, jakich doznał z rąk mrocznych oprawców. Obudził się gwałtownie, zlany zimnym potem.

Gdy zaspany rozejrzał się wokoło, stwierdził, iż jego przebudzenie zostało spowodowane zatrzymaniem się powozu. Usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek, zanim jego wzrok potwierdził informację o opuszczeniu powozu przez Sparksa. Sięgając niezdarnie drzwiczek, Doyle wygramolił się na zewnątrz.

Szpaler dębów kończył się w miejscu, w którym Barry zatrzymał powóz. Niegdyś rzędy majestatycznych drzew ciągnęły się jeszcze na przestrzeni dobrych stu jardów – obecnie wzdłuż dalszego odcinka drogi wszystkie drzewa zostały wykarczowane, pnie

osmalone i roztrzaskane wybuchami, trawa na całej pościeli wypalona do gołej ziemi.

Przed nimi, pośród tego mrocznego, wypalonego pustkowią wznosił się potężny, wysoki na trzydzieści stóp mur, prowizoryczny, nierówny i wykonany z nieokorowanych pni, topornie połączonych zaprawą wymieszaną z kamieniami, cegłami, słomą, zeschniętą trawą i łoziną. Światło wschodzącego słońca odbijało się od odłamków potłuczonego szkła, osadzonych w uszczelnieniach muru wzdłuż całej jego długości.

Drewniane obwarowanie z obu stron zakreślało, najwyraźniej otaczając główną budowlę i najbliższą przylegającą doń terytorium. Ponad tajemniczą fortyfikacją można było dostrzec najwyższe parapety i krenele Topping Manor, arcydzieła późnego gotyku. Z żadnego z kominów nie wydobywał się dym. W murze nie widać było bram ani furt. Z tej perspektywy toporne obwarowanie świadczyło ewidentnie o panice, pośpiechu i szaleństwie.

– Dobry Boże...

– Wygląda na to, że nasze przyjęcie się nie odbędzie – rzekł Sparks.

– Co się stało?

– Barry, objeżdż powozem ten wał obronny, może jest tu gdzieś jakieś wejście. Doktor i ja pójdziemy pieszo – postanowił Sparks.

Barry uchylił kapelusza i odjechał, podczas gdy Sparks i Doyle ruszyli na ukos przez zniszczone pole.

– Co widzisz Doyle? Co ci to mówi?

– Ogień podłożono niedawno, powiedziałbym, że w tym tygodniu. Prawdopodobnie był to ostatni etap operacji. Odbarwienia wokół pni są jednakowe, to znaczy, że drzewa ścięto w krótkim okresie czasu.

– Mnóstwo ludzi pracujących jednocześnie – rzekł Sparks.

– Jak daleko jest stąd do najbliższego miasta?

– Dobre pięć mil. Mur nie jest dziełem rzemieślników, Doyle. Musieli przy nim pracować służący z posiadłości.

– Ktoś chciał postawić tę palisadę jak najszybciej.

– Dlaczego, Doyle?

Doyle stanął i spojrzał na oddalony o dziesięć stóp mur, usiłując poczuć ten sam lęk i pośpiech, który popychał do pracy budowniczych.

– Nie ma czasu. Coś nadchodzi. Coś, czego nie można dopuścić.

– Rozpoczęli budowę, zanim zginęli lady Nicholson i jej brat. Kiedy zniknął jej syn?

– Trzy dni przed seansem.

– A także przed jego porwaniem. To mógł być powód. Strach przed porwaniem.

Chronić dzieci – najstarszy instynkt zakodowany w ludzkim sercu.

– Dzieci można gdzieś odesłać, wywieźć – odparował Doyle. – To zbyt racjonalny powód. Mam wrażenie, że ten mur jest dziełem obłąkańca, kompletnego szaleńca.

– Albo kogoś, kogo doprowadzono do obłądzenia.

Sparks ponuro wpatrywał się w odległy fragment muru. Dwa ostre dźwięki gwizdka woźnicy sprawiły, że nagle spojrzeli w prawo.

– Barry – rzekł Sparks, zrywając się do biegu i pokrzykując przez ramię do swego mniej zwinnego towarzysza. – Rusz się, Doyle, nie ociągaj się.

Doyle pobiegł za nim, pokonując załom muru i skręcając w lewo. Barry stojący nieco dalej, przy broughamie, pomachał do nich. Doyle z trudem zdołał dogonić Sparksa i nim dobiegli na miejsce, był kompletnie zdyszany.

Barry zawołał ich, by pokazać toporne przejście w murze, o głowę wyższe i dwa razy szersze od człowieka. Ziemię pokrywały drzazgi, najwięcej było ich przy wejściu, od zewnątrz. Opoдал leżała wyszczerbiona siekiera. Patrząc przez otwór, mogli dostrzec stajnie i znajdujący się za nimi dom. Nie dostrzegli żadnych oznak życia.

– Barry, proszę objeżdż cały mur dookoła – rozkazał Sparks. – Przypuszczam, iż okaże się, że jest to jedyne wejście.

Barry wspiął się na kozioł i odjechał.

– Ktoś wyciął ten otwór, aby dostać się do środka – rzekł Doyle, przyglądając się uważnie krawędziom.

– I to już po ukończeniu muru.

Doyle potaknął ruchem głowy.

– Ale kto? Przyjaciel czy wróg?

– Fakt, że postawiono ten mur, wskazywałby na tego ostatniego, nieprawdaż?

Wewnątrz nic się nie poruszyło, ale nie weszli do środka, jak gdyby pomiędzy nimi a dziedzińcem Topping Manor znajdowała się nieprzebyta, choć niewidzialna bariera. Czekali, aż Barry powróci z objazdu, by potwierdzić, iż faktycznie, oprócz tego, w całym murze nie ma innych otworów.

– No to co, zajrzemy do środka? – spytał Sparks jakby od niechcienia.

– Ty pierwszy, Jack – rzekł Doyle.

Sparks nakazał Barry'emu, aby został przy koniach, wyjął rapier ze swej specjalnej, wydrążonej laski i prześlizgnął się przez otwór w murze. Doyle, dobywszy rewolwer, podążył za nim. Znalazłszy się w środku, ruszyli wzdłuż muru. Obwarowania były od wewnątrz prawie ukończone. Widać było sporo drabin i sagi niewykorzystanego drewna. Sterty siana i

innych materiałów uszczelniających leżały opodal jam, wypełnionych stwardniałą gliną.

Dziedziniec, ongiś nieskazitelnie utrzymany, wyglądał fatalnie. Żywopłaty były połamane, posągi przewracane, trawa wyległa bądź była podeptana. Z jednej strony mur przechodził przez coś, co było niegdyś zakątkiem artystycznie strzyżonych krzewów; szczątki zielonych „zwierząt” wystawały spod drewnianych bali, jakby przejechał je pociąg. W podobny sposób okaleczono dziecięcy plac zabaw – wszędzie wokół walały się zabawki. Stary konik na biegunach leżał na stercie piachu, gdzie go porzucono, a jego malownicze nogi sterczały w górę w upiornej parodii *rigor mortis*.

Okna na parterze domu zostały zabite od zewnątrz, a deski, stoły i wyjęte z zawiasów drzwi, których użyto w tym celu, zakryto niezdarnie zasłonami. Niektóre okna były wybite – szkło posypało się do wnętrza pomieszczeń. Wszystkie drzwi, jak się okazało, były pozamykane na głucho.

– Zajrzyjmy do stajni – zaproponował Sparks.

Weszli do stajni, znajdującej się na drugim końcu żwirowego podjazdu. Tu nie zadano sobie trudu, by barykadować czy zamykać drzwi na klucz – były otwarte na oścież. Pomieszczenia stajennych lśniły czystością, łóżka były posłane, w szufladach i szafach znajdowały się poukładane starannie rzeczy. W pokoju rekreacyjnym na talerzu obok filiżanki herbaty leżał niedojedzony pasztecik. Ta schludność i porządek w porównaniu z potwornym chaosem, o rzut kamieniem stąd, wydawały się jeszcze bardziej niepokojące.

Sparks uchylił skrzypiące drzwi, prowadzące do pomieszczeń stajni – budynek wydawał się pusty.

– Posłuchaj, Doyle – rzekł cicho Sparks. – Co słyszysz?

Doktor nadstawił uszu i po chwili odrzekł:

– Nic.

Sparks pokiwał głową.

– W stajni.

– Nie ma much – rzekł Doyle, uświadamiając sobie ich brak. – Ani ptaków na zewnątrz.

Ruszyli wzdłuż przejścia, otwierając po kolei drzwi do boksów. Wszystkie były puste, choć w niektórych czuć było jeszcze woń koni.

– Większość wcześniej musieli wypuścić.

– A kilka zostawili do przeciągania drewnianych pni, jak sądzisz?

– Konie pociągowe, tak. Wypuścili je również, kiedy już nie były im potrzebne. Ale w co najmniej trzech boksach konie trzymane były aż do ukończenia budowy muru.

Ostatnie drzwi nie chciały się otworzyć. Sparks bezgłośnie wyjaśnił Doyle'owi, co zamierza uczynić. Doktor pokiwał głową, wziął od niego rapier i uniósł rewolwer. Sparks cofnął się o dwa kroki, obrócił i z całej siły kopnął w drzwi. Otworzyły się z głośnym trzaskiem.

Wewnątrz boksu na słomie leżało ciało. Spoczywało na brzuchu, a lewa noga, na wysokości kolana, wygięta była pod osobliwym kątem.

– Spokojnie, Doyle, on już nie może nam nic zrobić.

– Musiał zapierać nogą drzwi – zauważył Doyle, opuszczając broń.

Ostrożnie zbliżyli się do ciała. Trup miał na sobie wysokie buty, bryczesy i kamizelkę, strój roboczy lokaja.

– Co to takiego? – mruknął Sparks, wskazując na podłogę.

Słoma wewnątrz boksu pokryta była grubymi smugami zeschniętego, lśniącego, prawie przezroczystego śluzu, którego przecinające się pasma tworzyły przedziwną, szaloną mozaikę. Ślady odchodziły od ciała, ciągnąc się po ścianach ku górze. Śluz nie wydzieliał żadnego zapachu, ale jego srebrzysty odcień i oleisty wygląd mimowolnie przyprawiał o mdłości.

– Trup też nie śmierdzi – rzekł Doyle. – Nie gnije.

Sparks spojrzał nań z zawodowym zaciekawieniem. Uklękli obok ciała. Ubranie trupa lśniło jak wypolerowane, pokryte tą samą dziwną substancją. Wsunęli dłonie pod zwłoki i odwrócili je; okazały się zdumiewająco lekkie, niemal zupełnie pozbawione wagi. Już w chwilę potem przekonali się, dlaczego – twarz była zmumifikowana, a kości obciążone cieniutką siateczką tkanki. Oczodoły były puste, zapadnięte, dłonie kościste i suche jak zapomniany kwiat, włożony między stronicę rodzinnej Biblii.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – zapytał Sparks.

– Nie w przypadku trupa zmarłego wcześniej niż przed dwudziestu laty – odparł Doyle, przyglądając się uważniej. – Zupełnie jakby został zakonserwowany. Zmumifikowany.

– Z jego kości dosłownie wyssano życie.

Sparks ścisnął w dłoni jedną z zaciśniętych kurczowo rąk trupa – rozpadła się w proch jak wyschnięta na słońcu glina.

– Co mogło spowodować ten proces? – mruknął pod nosem Doyle.

Przed boksem pojawiła się jakaś postać.

– O co chodzi, Barry? – spytał Sparks, nie oglądając się za siebie.

– Chyba powinniście coś zobaczyć.

Wyszli z boksu i wraz z Barrym opuścili stajnię. Były złodziej wskazał ręką w stronę

dachu posesji. Z najwyższego komina wydobywał się dym.

– To się zaczęło mniej więcej pięć minut temu – rzekł Barry.

– A więc ktoś tam żyje – powiedział Doyle.

– Świetnie. Zadzwońmy do drzwi, zaanonsujemy nasze przybycie.

– Czy uważasz, że to rozsądne, Jack?

– Dotarliśmy aż tutaj. Nie chcemy rozczarować naszego gospodarza.

– Ale przecież nie wiemy, kto tam jest.

– Istnieje tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć – odparował Sparks, ruszając rażno w kierunku domu.

– Ale drzwi i okna są pozamykane na amen.

– Dla Barry'ego to nie przeszkoda.

Sparks pstryknął palcami. Uchyliwszy kapelusza, Barry podbiegł i wybiwszy się w górę, wylądował na frontonie domu, po czym zwinnie jak pająk, odnajdując oparcie dla rąk i nóg w szczelinach między cegłami, wspiął się na pierwsze piętro. Wyjętym spod kurtki łomem w ciągu kilku sekund zmusił okno, aby się otworzyło, i bezszelestnie wślizgnął się do środka.

Doyle umierał z niepokoju, jakie koszmary mogły czyhać tam na odważnego mężczyznę. Sparks spokojnie wyjął z marynarki cygaretkę, kciukiem zapalił zapalną i przypalił cygaretkę, nie spuszczając oka z głównego wejścia.

– Jeszcze momencik – rzekł Sparks.

Usłyszeli poruszenie za drzwiami, szuranie ciężkich przedmiotów po terakotowej posadzce i trzask odciąganej zasuw. W chwilę później Barry otworzył frontowe drzwi i weszli do Topping.

Drzwi zabarykadowano stołami i krzesłami. Kiedy weszli do środka, Barry natychmiast skrzętnie przekręcił zasuwę w drzwiach. Rozejrzeli się wokół. Wielka sień usłana była papierami i śmieciami. Na czarno-białych płytkach leżała roztrzaskana zbroja dekoracyjna. Jako że przez zabite okna nie przedostawało się światło, w holu królował nieprzyjemny, posepny półmrok. W widocznych stąd salach panował ogólny bałagan i chaos.

– Tak, powiedziałbym, że nici z naszego przyjęcia – rzekł Sparks.

– W korytarzu na górze jest jakiś gość – rzekł mimochodem Barry, wskazując na olbrzymie schody przed nimi.

– Co robi? – zapytał Doyle.

– Wygląda na to, że poleruje srebra.

Sparks i Doyle spojrzeli na siebie.

– Może rozejrzałbyś się trochę tu, na dole, Barry – mruknął Sparks, a sam wbiegł na piętro, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Barry pokiwał głową i wszedł do najbliższego pokoju. Doyle pozostał sam u podnóża szerokich schodów.

– A co ze mną? – zapytał.

– Nie radziłbym ci samotnie krążyć po tym gmaszysku – odparł Sparks od szczytu schodów. – Nie wiadomo, na co można się natknąć.

Sparks zaczekał, aż Doyle dołączy do niego. Znaleźli się na podeście, skąd odchodziły dwie odnogi korytarza. Wzdłuż ścian ciągnęły się szeregi zabarykadowanych drzwi. Również i tu panował półmrok, ale atmosfera była znacznie bardziej złowieszcza.

Skrecając w lewo, pokonali pierwszy załom korytarza i natknęli się na grubą, białą linię z ziarnistej substancji, ciągnącą się od ściany do ściany. Sparks ukląkł i oblizawszy palec, umaczał go w tajemniczym proszku, powąchał, po czym przyłożył palec do ust.

– To sól – oznajmił.

– Sól?

Sparks pokiwał głową. Przeszli linię soli i ruszyli w głąb korytarza. Na ścianach między drzwiami wisiały lustra i obrazy. Wszystkie były odwrócone wizerunkami do ściany. Przeszli drugą linię soli i pokonali jeszcze jeden zakręt. Mroczny korytarz ciągnął się prosto jak strzeł. Na jego końcu coś się poruszało. Znajdowało się tam również niewielkie źródło światła – ściślej mówiąc, pojedyncza, zapalona świeca. Kiedy podeszli bliżej, a ich oczy przywykły do ciemności, ujrzeli człowieka, o którym wspomniał Barry.

Siedział na trzynogim stołku, gruszkowaty, łysiejący, potężny mężczyzna w średnim wieku, o szarej, niezdrowej cerze i zapadniętych oczach. Miał na sobie uniform butlera – głównego lokaja, ale diablo brudny i poplamiony. Brakowało guzików, a na dodatek kurtka była krzywo zapięta. Tonące w zwałach tłuszczu rysy jego twarzy wydawały się ciastowate, nieokreślone. Fałdy grubej szyi wylewały się na szary od potu kołnierzyk liberii.

Przed mężczyzną rozłożona była srebrna zastawa na czterdzieści osób, ułożona w równe, regularne rzędy. Mężczyzna ścisnął w tłustych łapskach postrzępioną szmatkę i srebrną sosjerkę, polerując jak oszalały cenne naczynia; na podłodze u jego stóp stało pudełko pasty i miednica z wodą.

Pogrążony w pracy, mruczał posepnie pod nosem, a jego głos brzmiał jak ochrypy szept.

– Przedni udziec jagnięcia – trzy godziny... dwie na pudding z ostryg – trzeba znaleźć oselkę, noże nie są dość ostre... rozetki i dodatki do szarlotki *à la Parisienne*... na pardwę w

sosie madera...

Nie zauważył Sparksa i Doyle'a, którzy podeszli i stanęli przed rozłożoną na ziemi zastawą.

– Krokiety z młodych zajęcy... frykando cielęce, bekas z nadzieniem...

– Witam – rzekł Sparks.

Mężczyzna zastygł w bezruchu, nie unosząc wzroku, jakby wydawało mu się, iż usłyszał ten głos w myślach, po czym ostentacyjnie powrócił do przerwane go zajęcia.

– Jajka przepiórcze i gołąbki... knedle z truflami i *foie gras*.

– To ci dopiero okaz – wyszeptał Sparks do Doyle'a. – Powiedziałem: Witam!

Mężczyzna ponownie znieruchomiał, po czym odwrócił się wolno i uniósł wzrok, aby na nich spojrzeć. Najwyraźniej miał kłopoty ze wzrokiem, bo raz po raz mrugał i przymykał oczy.

– Tak, tak, witam – rzekł z uśmiechem Sparks, tym razem nieco ciszej.

Z oczu mężczyzny popłynęły łzy, a jego ciałem wstrząsnęły spazmatyczne skurcze, aż na materiale liberii opinającej jego miękki, tłusty kałdun pojawiły się fałdy. Oczy mężczyzny znikły pod okapem spadzistego czoła, gdy słone strużki spływały bezwstydnie po jego falujących gwałtownie policzkach.

– Wystarczy już, przyjacielu – rzekł Sparks, spoglądając z niepokojem na Doyle'a. – Chyba nie jest aż tak źle, co?

Sosjerka zatańczyła w jego trzęsących się dłoniach, gdy ciałem mężczyzny ponownie targnęły skurcze. Grubas ryczał jak bóbr. Gdyby jego środek ciężkości nie był tak nisko osadzony i wydatny, facet z pewnością spadłby ze stołka.

– Dobra, dość już, a właściwie co tu się stało? – spytał Doyle, starając się nadać swemu głosowi możliwie jak najbardziej uspokajający ton.

Mężczyzna próbował się opanować, a skutkiem tego była cała seria ochrypłych sapnięć, kaszlnięć i donośnych czknień. Jego wilgotne, czerwone usta poruszały się jak pstrąg miotający się konwulsyjnie na prażonym słońcem brzegu.

– Ja... ja... ja... ja... – to wszystko, co zdołał wykrztusić pomiędzy kolejnymi, gwałtownymi spazmami.

– Już wszystko w porządku. Nie spiesz się – rzekł kojącym tonem Doyle, jakby nakłaniał wdowę do rozmowy na temat jej neuralgii, podsuwając jednocześnie szklaneczkę jagodowego wina.

– Ja... ja... – Mężczyzna gwałtownie zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech tak długo, jak tylko mógł – aż w końcu z głuchym, znużonym napięciem wykrzyknął: – Nie

jestem kucharzem!

Wydawał się tak zdumiony dźwiękiem własnego głosu, że jego usta ułożyły się w literę „O”.

– Nie jesteś kucharzem – powtórzył dla jasności Sparks.

Mężczyzna potwierdził ten fakt zdecydowanym ruchem głowy, po czym z obawy, by nie zostać źle zrozumianym, potaknął energicznie, wtórując sobie niczym jednoosobowa orkiestra całą gamą donośnych sapnięć i stęknęć, jakby w dalszym ciągu nie był pewien, czy struny głosowe przy kolejnej próbie nie odmówią mu posłuszeństwa.

– Czy ktoś... pomylił cię z kucharzem? – zapytał zdumiony Doyle.

Mężczyzna jęknął donośnie i ponownie pokręcił głową, aż zadygotały mu obwisłe policzki.

– Upewnijmy się co do jednej rzeczy – rzekł Sparks, spoglądając znacząco na Doyle'a.

– Z całą pewnością nie jesteś... kucharzem.

Racjonalność odpowiedzi Sparksa podziałała jak cios młotkiem w szpunt odczopowanej beczki, zawierającej płynny ładunek udreki i nieszczęść tajemniczego grubasa. Wyciek niedoli został zatamowany. Drzenie jego wiotkiego, galaretowatego cielska ustało. Spuścił wzrok i wydawał się szczerze zdumiony, ujrzawszy w swych wielkich, tłustych łapskach srebrną sosjerkę, po czym, z braku lepszego zajęcia, ponownie zabrał się do jej polerowania.

– Jak masz na imię, dobry człowieku? – spytał łagodnie Sparks.

– Ruskin, sir – odparł tamten.

– Zakładam, Ruskin, że pracujesz w tym domu.

– Jestem butlerem, sir. Zajmuję się spiżarnią, zastawą stołową i pomywalnią – odparł Ruskin bez cienia dumy. – Zaczynałem od zmiatania i zmywania. Miałem czternaście lat, gdy przybyłem do Manor. Pan i ja dorastaliśmy razem, o tyle, o ile.

– Dlaczego polerujesz srebra, Ruskin? – zapytał łagodnie Doyle.

– Trzeba to zrobić, nieprawdaż? – odrzekł spokojnie Ruskin. – Nie ma oprócz mnie nikogo, kto mógłby to zrobić, chyba że się mylę?

– Z całą pewnością nie kucharz – odrzekł Sparks, ciągnąc go za język.

– Nie, sir. Ten kucharz to podlec i próżniak. Pa-ryyż-anin – zaintonował śpiewnie, jakby dalsze wyjaśnienia nie były w tym przypadku konieczne. – Nie ma za grosz dyscypliny. Chodzi na skróty. Moim zdaniem, nie wie, co to znaczy godziwa, uczciwa praca za uczciwą, godziwą płacę. Lepiej, że już go tu nie ma. Z całego serca to mówię, krzyżyk na drogę temu paskudnemu łajdakowi.

– A więc do ciebie należy teraz również przyrządzanie posiłków – rzekł Sparks, skinąwszy głową do Doyle'a. Nareszcie udało im się odnaleźć prawdziwą przyczynę przygnębienia mężczyzny.

– Właśnie, sir. Menu zostało ustalone przed wieloma tygodniami. Wydrukowano je, żeby położyć na stołach. – Poklepał się po kieszeniach, brudząc je pastą do polerowania sreber. – Mam tu gdzieś kopię.

– W porządku, Ruskin – mruknął Sparks.

– Tak, sir. To naprawdę będzie wspaniała kolacja – rzucił Ruskin, a w jego oczach pojawiły się szalone iskierki. Doyle zaniepokoił się. A może te iskierki wywołała myśl o potrawach, jakie miały być podane na wytwornej kolacji.

– Ale masz problemy, nieprawdaż? – zapytał Sparks.

– Brakuje nam służby, a kiedy zabrakło również kucharza, obawiam się, że nie będę w stanie...

– Przyrządzić kolacji – dokończył za niego Doyle.

– Otóż to, sir. Zamierzam, gdy tylko uporam się z moimi zasadniczymi obowiązkami, zająć się przygotowaniem posiłku. Jest wiele do zrobienia, a odpowiednie przyrządzenie potraw musi potrwać, niemniej aby ustrzec się bałaganu, sporządziłem przecież menu – powiedział Ruskin, mimowolnie poklepując się po kieszeniach. – O rety, rety. Posiałem gdzieś mój zegarek.

– Za kwadrans dziewiąta – rzekł Doyle.

– Za kwadrans dziewiąta. Za kwadrans dziewiąta – powtórzył, jakby nie bardzo rozumiał znaczenie tych słów. – Goście zjawią się lada chwila... och, a czy panowie do nas na kolację?

– Przybyliśmy nieco przed czasem – rzekł Sparks, aby go nie niepokoić.

– A zatem jesteście pierwsi, witajcie panowie, witajcie – och, pokornie proszę o wybaczenie, nie zaproponowałem, że wezmę wasze bagaże... – rzucił Ruskin, usiłując podnieść swe olbrzymie cielsko ze stołka.

– W porządku, Ruskin, nasz człowiek się tym zajmie – mruknął Sparks.

– Na pewno? Powinienem wprowadzić panów powóz do stajni.

– Dziękuję, Ruskin, to już zostało załatwione.

– Dziękuję, sir. – Ruskin ponownie usiadł na stołku. Jego ciało obwisło, a skóra przybrała ciemniejszy odcień szarości.

– Wszystko w porządku? – spytał Doyle.

– Jestem bardzo zmęczony, sir. Prawdę mówiąc, przydałoby się, abym przed kolacją

położył się choć na chwilę, nie za długo, ot po prostu na parę minut, ale widzicie, szanowni panowie, jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia – powiedział Ruskin, zdyszany, ocierając szmatką pot z czoła i brudząc je pastą do polerowania sreber.

– Spodziewacie się wielu gości na sylwestrowym przyjęciu, Ruskin? – zapytał Sparks.

– Tak, sir. Około pięćdziesięciu. Spora gala. Pan przechodzi w tym roku samego siebie.

– Pan jest teraz w domu, prawda?

– Tak, sir – odrzekł Ruskin ze znużonym westchnieniem, a w kącikach jego oczu pojawiła się wilgoć. – Ale to nie jest ten sam pan. Nie jest taki jak kiedyś. Nie wychodzi ze swego pokoju. Woła do mnie przez drzwi. Nie odbiera śniadań.

– Mógłbyś nas do niego zaprowadzić, Ruskin? – spytał Jack.

– Z całym szacunkiem, sir, ale nie sądzę, by pan życzył sobie, by mu zakłócano spokój. Ostatnio nie czuje się dobrze. Prawdę mówiąc, jest z nim raczej źle.

– Rozumiem twoje zaniepokojenie Ruskin. I może uspokoisz się nieco, wiedząc, że doktor Doyle, ten dżentelmen, przybył specjalnie do twojego pana, aby go zbadać i udzielić fachowej pomocy medycznej.

– Och... pan jest lekarzem, sir? – rzekł Ruskin, podnosząc wzrok. Jego oblicze pojaśniało, jakby nagle na ciemnym niebie pojawił się księżyc w pełni.

– Tak, jestem lekarzem – powiedział Doyle, unosząc swoją torbę.

– Wskaż nam tylko drogę do pokoju pana, a potem będziesz mógł powrócić do swoich obowiązków – rzekł Sparks, a widząc, że Ruskin bynajmniej się do tego nie pali, dodał: – Nie musisz nas anonsować, Ruskin. Jestem pewien, że damy sobie radę. Czy jego pokój znajduje się na tym piętrze?

– Na końcu korytarza. Ostatnie drzwi po prawej. Tylko najpierw zapukajcie, panowie.

– Dziękuję, Ruskin. Srebra wyglądają wspaniale.

– Naprawdę pan tak uważa, sir? – spytał Ruskin, a jego oczy pałały patetyczną wdzięcznością.

– Jestem pewien, że kolacja będzie wyśmienita – dodał Sparks. Skinął na Doyle'a, aby poszedł za nim, i ruszył w głąb korytarza. Doyle ociągał się.

– Po co jest ten mur, Ruskin? – spytał Doyle. Ruskin spojrzał na niego ze zdziwioną miną.

– Jaki mur, sir?

– Mur, na zewnątrz.

– Obawiam się, iż nie wiem, o co panu chodzi, sir – rzekł Ruskin z pewną dozą

zaniepokojenia.

Sparks dał Doyle'owi znak, aby nie drażył tego tematu. Doyle pokiwał głową, po czym ostrożnie przestąpił rzędy sreber. Zbliżając się do Ruskina, dostrzegł, że jego usta były spierzchnięte i opuchnięte, a oczy czerwone jak rozżarzony węgiel. Przyłożył dłoń do bladego czoła butlera. Było rozpalone. Ruskin patrzył na niego ze ślepym podziwem starego, zdychającego psa.

– Nie czujesz się dobrze, prawda, Ruskin? – spytał cicho Doyle.

– Nie, sir, niezbyt, sir – odparł tamten łamiącym się głosem.

Doyle wyjął chusteczkę, zanurzył w wodzie w miednicy i zmył brud z czoła Ruskina. Strużki wilgoci spływały po szerokim obliczu lokaja. Ruskin gorliwie zliżał z warg kropelki wody.

– Myślę, że najlepiej będzie – rzekł Doyle – jak udasz się teraz do swego pokoju i odpoczniesz chwilę.

– Ale przygotowania, sir.

– Nie musisz się przejmować, porozmawiam z panem. I na pewno przyzna, że kolacja uda się znacznie lepiej, jeżeli będziesz należycie wypoczęty.

– Jestem bardzo zmęczony, sir – powiedział lokaj, wyrażając w ten patetyczny sposób swoją wdzięczność za okazaną łaskawość; jego wargi obwisły, a podbródek drżał, jakby lada moment mężczyzna znów miał się rozplakać.

– Daj mi rękę, Ruskin. Pomogę ci wstać... no, już... – Wkładając w to całą swoją siłę, Doyle z trudem zdołał podtrzymać chwiejącego się na nogach nieszczęśnika. Ruskin kołysał się jak muśnięty kulą kręgiel. Doktor zastanawiał się, od jak dawna ów człowiek siedział na tym stołku. Z kieszeni kamizelki wyjął małą fiolkę, poprosił Ruskina, aby wyciągnął rękę, i wysypał z fiolki cztery pigułki.

– Połknij je i popij wodą, Ruskin. Pomogą ci wypocząć. Obiecuj, że zrobisz, jak ci kazałem.

– Obiecuję – rzekł Ruskin jak posłuszne dziecko.

– A więc idź już – mruknął Doyle, podając mu świecę i poklepując po ramieniu; materiał jego liberii był wilgotny i lepki w dotyku.

– Idę – zawtórował Ruskin beznamiętnym tonem.

Odgłos jego kroków w mrocznym korytarzu przypominał Doyle'owi stąpanie słonia z nogami zakutymi w specjalne łańcuchy, którego widział kiedyś na cyrkowej paradzie. Kiedy Ruskin znikł im z oczu, Doyle i Sparks udali się korytarzem w stronę, z której przyszli.

– Możemy być pewni jednego – rzekł Sparks. – To nie Ruskin wyrąbał tę dziurę w

ścianie. Nie mógłby zrobić dziury nawet w ryżowym puddingu.

– Wydaje mi się, że od wieków nie opuszczał murów tego domu. To najbardziej oddany sługa.

– Obecnie jedyny. W okresie największej świetności na służbie zatrudniano tu około trzydziestu osób. Obecnie budynek świeci pustkami, nie uważasz? I atmosfera jest nieszczególna.

Dotarli do przecięcia korytarza, gdy po schodach wchodził na piętro Barry.

– Dom jest pusty. Wszystkie wejścia i okna pozabijane dechami – powiedział Barry. Bardziej rzeczowy niż jego brat – pomyślał Doyle. – Bałagan w kuchni. Nie zmywano tam chyba od wieków. Brudno jak diabli. Na talerzach resztki jedzenia. Głównie ziemniaków.

– Dzieło nieszczęsnego Ruskina, jak łatwo się domyślić – powiedział Sparks.

– Dwie dziwne rzeczy – ciągnął Barry. – W korytarzach i na progach wysypane są ścieżki z soli.

– Tak, a druga?

– W spizarni za kuchnią jest fałszywa ścianka. A za nią drzwi.

– Dokąd prowadzą?

– Bez moich narzędzi nie mogłem ich otworzyć. Ale sądząc po zapachu, do podziemi.

– Do piwnicy.

– Byłem w piwnicy. Tamto, to na pewno nie jest piwnica. A pod drzwiami czuć wyraźnie przeciąg.

Sparks zainteresował się tą informacją:

– Gdybyś mógł, Barry, przynieś z powozu nasze bagaże. A potem otwórz te drzwi.

Barry uchylił kapelusza i zbiegł na parter.

– Skoro zgadzamy się, że Ruskin nie opuszczał posesji i nie mógł tego uczynić, kto wyciął tę wielką dziurę w ogrodzeniu? – spytał Doyle, gdy przechodził przez podest.

– Nasz nieżyjący przyjaciel ze stajni, lokaj. Nazywał się Peter Farley; opuścił posesję, aby przetransportować do Topping cztery konie z posiadłości rodowej w Szkocji – rzekł Sparks, podając Doyle'owi kartkę papieru.

– Co to takiego? – spytał doktor, rozkładając kartkę i czytając jej treść.

– Dokument przewozowy: lista imion koni, ich opis, stan zdrowia. Podpisano: Peter Farley. Znalazłem to w kieszeni kurtki lokaja, wiszącej na kołku w pomieszczeniu dla służby. A teraz wyobraź sobie taką sytuację – kilka dni temu, nie wiem konkretnie kiedy, Farley wraca z końmi. Pod jego nieobecność posiadłość zostaje otoczona murem. Najwyraźniej w domu coś się wydarzyło. Jakiś obłąd. Ten człowiek ma cztery doskonałe konie, które musi

nakarmić i którymi musi się opiekować – mają za sobą długą jazdę, i on, i zwierzęta są zmęczeni, kto wie, może wewnątrz pracuje jego żona albo rodzina, więc pragnie za wszelką cenę dostać się do środka.

– I dlatego, zamiast wspiać się po murze, wycina w nim otwór.

– Aby zniechęcić ewentualnych amatorów wspinaczki, w murze umieszczone są odłamki szkła. I nie zapomnij o rozmiarach otworu.

– Na tyle wysoki i szeroki, aby mógł przez niego przejść koń.

– Wyrąbanie otworu zajęło mu prawie cały dzień. Musiał jak najszybciej wprowadzić konie do środka, w ziemi wokół wejścia jest mnóstwo głębokich śladów końskich kopyt.

– Coś je przeraziło. Coś się zbliżało.

– Na nieszczęście, otwór, który wyrąbał nasz dzielny lokaj dla koni, okazał się zgubny dla niego.

– Nie rozumiem.

– Zastanów się – kiedy dziura jest dostatecznie duża, Farley prowadzi konie do stajni. Stwierdza, iż wewnątrz nie ma żywego ducha. Nie wchodzi do głównego domu – to nie jego miejsce. Lokaj jest człowiekiem prostym – jego świat to te stajnie. Jeżeli panu odbiło i zbudował ten wielki mur, to wyłącznie jego sprawa. On, Farley, nie ma tu nic do gadania. Wprowadza konie do boksów, czyści je, karmi. Robi sobie herbatę i podgrzewa pasztecik. Nagle słyszy jakiś odgłos na zewnątrz. Coś wystraszyło konie, zostawia kolację na stole i idzie do stajni, by to sprawdzić, po czym zostaje załatwiony przez coś, co dzięki jego wysiłkowi, mogło dostać się na teren posesji.

– Biedak. Co mogło go tak urządzić?

Dotarli do końca korytarza, gdzie, zgodnie ze słowami Ruskina, znajdowały się drzwi do pokoju pana. Podłoga w tej części korytarza była cała pokryta grubą warstwą soli.

– Po co ta sól? Przeciw czemu ma chronić? – zastanawiał się Sparks.

Nagle dał się słyszeć huk tłuczonej porcelany i dobiegający z pokoju gniewny wrzask.

– Fidrygałki i świecidełka. Fidrygałki, ha!

Sparks przyłożył palec do ust, nakazując doktorowi, by milczał, po czym energicznie zapukał do drzwi. Odpowiedzi nie było, ale dźwięki z wnętrza pokoju ucichły. Zastukał ponownie.

– Wszystko w porządku, sir? – zapytał Sparks, ale to, co wypłynęło z jego ust, zabrzmiało jak udane naśladownictwo drżącego głosu Ruskina.

– O... o... odejdz! Idź bawić się pociągami!

– Proszę wybaczyć, sir – ciągnął tym samym tonem Sparks – ale pierwsi goście

właśnie przybyli. Chcą się z panem zobaczyć.

– Goście? GOŚCIE przybyli? – W przybierającym na sile głosie pobrzmiwała zarazem nieufność i pogarda.

– Tak, sir. Kolacja jest już gotowa. Powinniśmy zaraz zasiadać, przecież nie lubi pan zimnych przystawek, to odbiera panu chęć do głównego dania, sir – ciągnął Sparks.

Doyle mógł przymknąć oczy i nie domyśliłby się, że w pobliżu nie było nieszczęsnego służącego.

Kroki przy drzwiach. Trzask odsuwanych zasuw.

– Jeżeli jest coś, czego naprawdę nie znoszę, ty tchórzliwy kundlu – powiedział głos, przybierając na sile i wysokości – to bezustannych, nędznych kłamstw!

Szczęk kolejnych zwalnianych zasuw i zamków.

– Nie ma żadnego przyjęcia ani gości, nie ma żadnej kolacji i jeśli usłyszę z twoich parszywych ust jeszcze jedno kłamstwo na ten temat, własnymi rękoma skrucę ci ten twój świński, tłusty kark, wrzucę cię do kotła i wygotuję tłuszcz, a potem zrobię z niego świąteczne świece!

Drzwi otworzyły się i ich oczom ukazał się mężczyzna średniego wzrostu i budowy. Jego umiarkowanie łagodne oblicze otaczała dzika szopa zmierzwionych blond włosów, które zapewne od dość dawna nie zetknęły się bliżej ze szczotką lub grzebieniem. Poniżej szerokiego czoła ciągnęły się bliźniacze pasma gęstych, krzaczastych brwi. Oczy miał wyłupiaste, opalizujące i jasne jak mąka kukurydziana, rozstawione szeroko po obu stronach ostrego, orlego nosa. Musiał mieć co najmniej czterdziestkę, ale jego nieskalane zmarszczkami oblicze emanowało aurą chłopięcej młodości, będącej, jak się zdawało, w większym stopniu efektem folgowania sobie we wszystkim, niż zdrowego, stosownego trybu życia. Nosił czarną, jedwabną podomkę, narzuconą na luźną koszulę, dziwne buty na korkowej podeszwie i bryczesy. W dłoniach ścisnął wymierzoną w ich stronę dubeltówkę. Nikt się nie poruszył.

– Lord Nicholson, jak przypuszczam – rzekł Sparks miodopłynnym tonem, jak misjonarz podczas kazania na placówce.

– Ty nie jesteś Ruskin – burknął stanowczo Nicholson i nie omieszkał wykorzystać tej okazji, by obdarzyć go kolejną ze swego, zdawałoby się, niewyczerpanego zasobu bardziej lub mniej wyszukanych inwektyw. – Ten zakłamany idiota.

– Lord Everett Gascoyne-Pouge – oznajmił Sparks z nieśmiałym akcentem, typowym dla odrobinę zniewieściałego dandysa, po czym obojętnie podał gospodarzowi sylwestrowe zaproszenie.

– Mniemam, iż odwołał pan przyjęcie, niestety, przez jakieś przeoczenie nie zostałem o tym powiadomiony.

– Naprawdę? To bardzo dziwne. No cóż, w porządku. Wejdz, wejdz, proszę – rzekł Nicholson, opuszczając broń i machnięciem ręki zapraszając gościa do pokoju.

– Bagaże, Gompertz – rzucił Sparks do Doyle'a, który w mgnieniu oka uświadomił sobie, że miał wcielić się w przydzieloną mu rolę.

– Zaraz przyniosę, sir – odrzekł.

Doyle wniósł walizkę – jedyną, jaką mieli – do pokoju, a Nicholson szybko zatrzasnął za nimi drzwi i pozamykał zasuwę. Drzwi chroniło co najmniej sześć zamków. Nicholson skrętnie przekręcił wszystkie zasuwki.

– Widzisz, porzuciłem już nadzieję – rzekł, energicznie potrząsając dłonią Sparksa. – Nie spodziewałem się nikogo. Zupełnie o tym zapomniałem. To doprawdy niespodziewana przyjemność.

Jeśli istnieje człowiek bardziej rozpaczliwie pragnący towarzystwa kogoś ze swojej klasy społecznej – pomyślał Doyle – to nie chciałbym nigdy go spotkać. Obrzucanie niewybrednymi inwektywami żalosego, wiernego sługi wzbudziło w doktorze gwałtowną awersję do lorda Charlesa Stewarta Nicholsona.

Ciężkie zasłony wewnątrz pokoju o wysokim sklepieniu były zaciągnięte, tworząc posępny nastrój, który jeszcze bardziej podkreślały zwałiste meble w stylu jakobińskim. Pokrywała je gruba warstwa kurzu. Powietrze przesycone było wonią moczu i wywołanego strachem potu. Podłogę zaścierały fragmenty potłuczonych filiżanek, talerzy i pozostałości po posiłkach – kości, okruchy biszkoptów. Nad kominkiem, w którym płonął nieśmiały ogienek, wisiała szabla i powgniatany, zmatowiały herb.

Nicholson podszedł do kominka, energicznie zacierając ręce.

– Może kropelkę brandy? – zapytał, wyjmując korek z kryształowej karafki, i nie czekając na odpowiedź, napełnił dwie szklaneczki. – Ja chętnie się napiję. – Chciwie wypił połowę zawartości i dolał sobie, po czym podał drugą szklaneczkę Sparksowi. – No, to na zdrowie.

– To miło z pana strony – rzekł leniwie Sparks, usadawiając się wygodnie przed kominkiem.

– Czy twój służący zejdzie teraz na dół? – zapytał Nicholson, siadając naprzeciw Jacka i rozlewając nieco alkoholu. – Jestem pewien, że Ruskinowi przydałaby się pomoc – to niekompetentny, tępy lajdak.

– Nie – odparł Sparks z odrobiną wyższości w głosie. – Mogę go potrzebować.

– Dobrze – burknął Nicholson, usatysfakcjonowany jego nieco ostentacyjną odpowiedzią. – Jak podróż?

– Męcząca.

Nicholson jak marionetka, pokiwał głową. Siedział na brzegu krzesła z oczyma przepełnionymi entuzjazmem, upił łyk brandy, po czym otarł wilgotne usta rękawem.

– A więc mamy sylwestra, nieprawdaż?

– Hmm – odrzekł Sparks, rozglądając się leniwie po pokoju.

– Widziałeś moje buty? – Lekko zadarł podomkę, jak kokietka w sali balowej, uniósł stopę i poruszał nią w powietrzu.

– Podeszwa z korka. Nie przewodzi prądu. Trzy pary skarpetek. Nic z tego, nie dam się porazić elektrycznością! Nawet jeśli któregoś dnia dzięki niej pociągi będą jeździły szybciej. Ha!

Sparks uznał jego słowa za niewymagające komentarza. Nicholson ponownie zagłębił się w fotelu, jakby wszystkie inne myśli uszły z jego głowy. Nagle, powodowany impulsem szczątkowej kurtuazji, poderwał się, zgarnął leżące na obramowaniu kominka czerwone, orientalne pudełko, po czym, szczerząc zęby jak obłąkana małpa, podbiegł do Sparksa i przesadnie dystygowanym gestem otworzył lakierowane wieczko.

– Zapalisz?

Sparks, jakby od niechcienia, pociągnął nosem, wyjął cygaro i przytrzymał je na wysokości ust. Nicholson gorączkowo szperał w kieszeniach podomki, aż w końcu znalazł zapalną, potarł nią o pudełko i przypalił Jackowi cygaro. Sparks wydmuchnął kłęb dymu, po czym delikatnie obrócił cygaro w ustach, aby lepiej się zapaliło.

– Z Trynidadu – rzekł Nicholson i usiadł w fotelu. – Ojciec miał tam plantację. Chciał, bym ją dla niego poprowadził. Wyobrażasz sobie? Ha!

– Cholernie gorąco – rzekł Sparks z udawanym przejęciem.

– C h o l e r n i e gorąco – poprawił Nicholson z naciskiem. – Cholernie gorąco, a na dodatek czarnuchy okradają cię za plecami. Cuchną jak świnie, a nocami wyją te swoje plugawe pieśni. Ale wiesz, co ci powiem? – Mają piękne kobiety. Piękne.

– Naprawdę.

– To kurwy, jedna w drugą, a ich bachory, te małe, czarne jak smoła bękarty, uwieszają się im na szyi jak małpy w zoo. Za drobne, które mam w kieszeni kamizelki, gotowe są ściągnąć majtki na środku ulicy – rzekł Nicholson ochrypłym, lubieżnym tonem. – Spodobałoby ci się, jak sądzę. Ta odrobina czarnego ciała i cielesnych przyjemności dodaje tropikalnemu klimatowi wyjątkowego splendoru. Właśnie tak. Ha! – Potarł ręką krocze i nalał

sobie kolejną porcję brandy. – Szczerze mówiąc, miałbym teraz ochotę troszkę się zabawić. Wiesz, tak dla sportu. To zaspokaja ludzkie wnętrze. Dochodzisz do momentu, kiedy nie przejmujesz się, co może z tego być.

Mrugnął znacząco do Sparksa.

Myśl, że lady Nicholson mogła być jego małżonką, i że jej ponętne ciało musiało być obiektem plugawych karesów tego zdegenerowanego zwierzęcia, przepelniała Doyle'a moralną odrazą. Przez chwilę miał ochotę zapomnieć o niewypowiedzianej grozie czyhającej na tego ordynarnego, sprośnego łajdaka, sięgnąć po wilka przy kominku i samemu zakończyć z nim sprawę.

– A jak tam twój ojciec, par? – zapytał beznamiętnie Sparks.

– Jeszcze żyje! – odparł Nicholson, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. – Ha! Trzyma się kurczowo życia ten stary, podły łajdak! Nie ma tytułu dla młodego sir Charlesa, który żyje za psie pieniądze, wysuplane z ojcowskiej kiesy i chyba nie sądzisz, że to mu się podoba? Nie myślisz chyba, że myśl o mnie, ledwo wiążącym koniec z końcem i z trudem utrzymującym ten dom, spędza sen z powiek temu stojącemu nad grobem bękartowi? Ha! Ma w żyłach nie krew, lecz żółć. Żółć, lodowatą wodę i końskie szczyny, tylko dlatego jeszcze nie zdechł!

W paroksyzmie wściekłości Nicholson cisnął szklanekę do kominka i zaczął podskakiwać na fotelu, podciągając kolana do klatki piersiowej i miotając się przy wtórze wrzasków, jakie mogłoby wydawać rozkapryszone, histeryczne dziecko.

Doyle i Sparks wymienili spojrzenia. Obaj nie wątpili już, że mają do czynienia z szaleńcem. Pozostało tylko ustalić, czy był niebezpieczny. I nagle, równie gwałtownie jak się rozpoczął, atak wściekłości Nicholsona ustał. Mężczyzna wstał z fotela, przyniósł sobie nową szklaneczkę i skrzętnie ją nappełnił, podśpiewując przy tym refren z najnowszego utworu Gilberta i Sullivana.

– A jak się miewa twoja żona? – zapytał Sparks.

Nicholson zamilkł, odwrócony do nich plecami.

– Lady Nicholson. Jak ona się miewa?

– Moja żona? – rzucił lodowatym tonem Nicholson.

– Zgadza się. Widziałem ją ostatnio w Londynie.

– Widziałeś ją?

– Tak. Nie wyglądała najlepiej.

– Naprawdę?

– Powiedziałbym, że wyglądała raczej kiepsko. Była bardzo blada.

Do czego on zmierza? – pomyślał Doyle.

– Była błąda? – spytał Nicholson, w dalszym ciągu odwrócony do nich tyłem. Włożył rękę do kieszeni podomki.

– Moim skromnym zdaniem, wydawała się niezdrowa. Może martwiła się o waszego syna. A właśnie, jak tam twój syn? – Do głosu Sparksa zakradła się jawna wrogość.

– Mój syn?

– Pytam – rzekł Sparks i zachichotał – czy potrafisz tylko papugować słowa, kiedy ktoś uprzejmie ciebie pyta, czy może twój ojciec nie nauczył cię, jak należy właściwie odpowiadać?

Nicholson odwrócił się do Sparksa. W rękę trzymał rewolwer, a jego usta wykrzywił zjadliwy uśmiech.

– Kim jesteś? – spytał Nicholson.

– A więc nie odpowiesz...

– To ona cię przysłała, prawda? Jesteś skonfundowany. Moja żona cię przysłała... Jesteś jej kochankiem, prawda? Ta brudna dziwka...

– Licz się ze słowami.

– Pieprzyłeś ją, prawda? Nie zaprzeczaj...

– Odłóż broń, głupcze! – krzyknął Sparks władcym tonem, nie ruszając się z miejsca.

– Odłóż natychmiast rewolwer.

Nicholson zamarł w bezruchu, jak pies słyszący dźwięk specjalnego gwizdka. Złowieszczy uśmiech znikł z jego ust, odsłaniając żalostną, smętną maskę niekochanego dziecka. Opuścił broń.

– A teraz, młody człowieku, będziesz odpowiadał jak należy na zadane pytania – rzekł Sparks.

– Przepraszam – wyszeptał Nicholson.

Sparks poderwał się z miejsca, wyrwał rewolwer z dłoni Nicholsona i wymierzył mu parę siarczystych policzków. Nicholson osunął się na kolana i zaczął szlochać jak dziecko. Sparks opróżnił bębenek rewolweru, schował naboje do kieszeni i rzucił broń na podłogę. Następnie chwycił Nicholsona za kołnierz podomki i brutalnie postawił na nogi.

– Jeśli jeszcze raz ordynarnie się do mnie odezwiesz – rzucił ponuro Jack – albo źle się wyrazisz o swojej żonie, czy na jakikolwiek inny temat, grunt, że stanie się to w mojej obecności, zostaniesz srodze ukarany. Czy wyrażam się jasno, chłopcze?

– Nie możesz zwracać się do mnie w ten sposób! – wykrzyknął Nicholson. Sparks pchnął go brutalnie na fotel. Nicholson usiadł raptownie, wydając zduszony okrzyk

zdumienia. Jego czerwone, zapłakane oczy świdrowały Sparksa, który wziął do ręki laskę i podszedł do niego.

– Jesteś złym, rozpieszczonym bachorem...

– Nie, wcale nie!

– Wyciągnij ręce przed siebie, Charles.

– Nie możesz kazać mi...

– Wyciągnij natychmiast!

Jęcząc, Charles wysunął do przodu drżące dłonie, ułożone wnętrzami ku górze.

– Na ile razy zasłużył nasz niegrzeczny chłopiec, jak uważasz, Gompertz? – Sparks zwrócił się do Doyle'a.

– Dałbym mu jeszcze jedną szansę, może zdecyduje się na współpracę, zanim go pan ukarze, sir – odparł Doyle, nie ukrywając swej odrazy, wywołanej widokiem upodłonego, korzącego się jak zбитy pies Nicholsona.

– Racja. Słyszałeś Gompertza? Sugeruje, abym okazał ci łaskę. Czy sądzisz, że to dobry pomysł?

– T-t-t-t-tak, sir.

Sparks zdzielił go laską po rękach. Nicholson zawył.

– Gdzie jest twoja żona? – zapytał Jack.

– Nie wiem...

Sparks uderzył go ponownie.

– Aaaa! W Londynie, chyba w Londynie. Nie widziałem jej od trzech miesięcy.

– Gdzie jest twój syn?

– Ona go zabrała – rzekł Nicholson, pochlipując. Strużki łez spływały mu po twarzy.

– Widziałeś go od tej pory?

– Nie, przysięgam!

– Dlaczego zbudowałeś ten mur, Charles?

– Ze względu na nią.

– Z powodu twojej żony?

– Tak.

– Zbudowałeś go po tym, jak wyjechała?

Nicholson pokiwał głową. Sparks uniósł laskę.

– Dlaczego?

– Bo się jej bałem.

Laska ponownie spadła na dłonie Nicholsona.

– Uparty z ciebie chłopak. Dlaczego bałeś się swojej żony, Charley?

– Bo... ona oddaje cześć szatanowi.

– Boisz się jej, bo jest wyznawczynią szatana?

– Czci szatana i zadaje się z diabłami.

Sparks ponownie przyrznął mu po rękach.

– To prawda... święta prawda. Przysięgam na Boga, że nie kłamię! – zawołał rozpaczliwie Nicholson. Jego zdolność do stawiania oporu została brutalnie złamana. Doyle zorientował się, że Sparks również to zauważył. Jack pochylił się teraz nad Nicholsonem, a jego głos wgrzył się weń niczym ostrze górniczego świdra.

– Co robi twoja żona, że tak się jej boisz?

– Sprawia, że pojawiają się złe istoty.

– Jakie złe istoty, Charley?

– To istoty, które przychodzą nocą.

– Dlatego zbudowałeś mur, Charley? Aby powstrzymać złe istoty?

– Tak.

– I stąd ta sól?

– Tak. Tak. To je rani.

– Co to za istoty?

– Nie wiem. Nigdy ich nie widziałem...

– Ale słyszałeś, prawda? Nocą...

– Tak. Proszę tylko mnie nie bić. Błagam. – Nicholson osunął się na podłogę, jakby chciał objąć Sparksa za nogi.

– W zeszłym roku sprzedałeś połac swoich ziem. Całkiem sporą połac, pamiętasz, Charley? – spytał Sparks, odrzucając go kopniakiem do tyłu. – Odpowiadaj!

– Nie pamiętam...

– Posłuchaj mnie. Sprzedałeś część swoich północnych ziem, ta ziemia należała do twojej rodziny. Sprzedałeś ją generałowi Drummondowi.

– Generałowi? – Nicholson uniósł wzrok, z głupawym i wdzięcznym wyrazem twarzy, usłyszawszy znajome brzmienie.

– Pamiętasz, Charley? Pamiętasz generała?

– Generał przyjechał tutaj. Przyjechał z moją żoną.

– Generał jest przyjacielem twojej żony, zgadza się?

– Tak, to dobry przyjaciel. Generał jest miłym człowiekiem. Przywozi mi słodycze i karmelki. Podarował mi kucyka. Takiego łaciatego srokosza. Nazwałem go Wellington –

bełkotał Nicholson, powracając wspomnieniami do okresu dzieciństwa. Resztki jego dorosłości, jakie zdołały przetrwać obłączenie Topping, wyparowały dosłownie na ich oczach.

– Kiedy był tu ostatnim razem, kazał ci podpisać jakieś papiery, zgadza się, Charley? To były dokumenty. Pliki papierów.

– Tak, papiery. Było ich dużo. Dużo papierów. Powiedzieli, że muszę podpisać albo odbiorą mi kucyka – powiedział i ponownie się rozplakał.

– A kiedy już podpisałeś te papiery, twoja żona odeszła? Wyjechała z generałem?

– Tak, sir.

– I zabrała twojego syna?

– T-t-tak, sir.

– Od jak dawna byliście małżeństwem?

– Od czterech lat.

– Czy przez cały ten czas mieszkała razem z tobą w Topping?

– Nie. Przyjeżdżała i wyjeżdżała.

– Dokąd?

– Nigdy mi nie mówiła.

– Czym zajmowała się twoja żona przed ślubem?

Nicholson bezradnie pokręcił głową.

– Czy kiedykolwiek opowiadała ci o swojej rodzinie?

– Powiedziała, że jej rodzina ma... firmę wydawniczą.

– W Londynie? – spytał mimowolnie Doyle.

– Tak, w Londynie – odrzekł pokornie Nicholson.

– Gdzie w Londynie, Charley? – dopytywał się Sparks.

– Byłem tam raz. Naprzeciwko wielkiego muzeum...

– Przy Great Russell Street?

Nicholson pokiwał głową. Rozległo się głośnie łomotanie do drzwi.

– Wyrzycie przez okno! – zawołał z korytarza Barry.

Z dołu dobiegł ich brzęk tłuczonego szkła. Sparks podszedł do okna i odsunął zasłonę. Doyle stanął tuż obok niego.

Czarna postać, którą widział w gospodzie w Cambridge, sunęła przez dziedziniec w kierunku frontowych drzwi, a z tyłu za nią pół tuzina szarych kapturów, formujących kształt wachlarza.

– Tym razem jest ich więcej – rzekł spokojnie Sparks.

– Czy to ona? – zawołał z przerażeniem Nicholson. – Ona, prawda? Przyszła po mnie!

– Musimy już iść, Charles – powiedział Sparks z pewną dozą łagodności w głosie. – Załaduj broń, zamknij za nami drzwi, nikomu nie otwieraj i... Szczęśliwego Nowego Roku.

Sparks rzucił Nicholsonowi naboje i rażno podszedł do drzwi. Wspólnie z Doyle'em w kilka chwil poradzieli sobie z zasuwami i wyszli na korytarz, gdzie czekał na nich Barry. Zanim były złodziej zamknął za nimi drzwi, doktor zdążył jeszcze, po raz ostatni, dostrzec lorda Nicholsona, który wyjął histerycznie, na czworakach pełzał po podłodze, usiłując pozbiierać rozrzucone naboje.

– Przyniosłem bagaże – rzekł Barry, gdy biegli wzdłuż korytarza. – Wróciłem, by dać obroku koniom, i patrzę, a tu nadjeżdża ten czarny powóz i zatrzymuje się przy murze.

– Wszystkie wyjścia zablokowane? – spytał Sparks, wyjmując ostrze z wydrażonej laski.

– Tak. Straciliśmy powóz. I tym razem jest więcej kapturów.

– Udało ci się otworzyć te drzwi w spiżarni?

– Kiedy? Przecież miałem pełne ręce roboty – odrzekł z przekąsem Barry.

– Szybko Barry, niedługo wedrą się do budynku.

– Czy nie powinniśmy zabrać lorda Nicholsona? – spytał Doyle.

– Dość już wyrządził szkód.

– Ale oni go zabijają...

– Dla niego nie ma już odkupienia.

Zbiegli po schodach i przebiegli przez ogromny hol. Rozległo się łomotanie do drzwi. We frontowej ścianie brutalnie powybijano wszystkie szyby; w jednym z otworów ukazała się ręka gorączkowo szukająca zasuwki. Barry biegł pierwszy i przez labirynt korytarzy bezbłędnie doprowadził ich do znajdującej się przy kuchni spiżarni.

– Patrzcie – rzucił Barry.

Zdjął z jednej z półek worek mąki i w tej samej chwili przeciwległa ściana uniosła się, znikając w szczelinie w suficie, niczym regulowane obciążeniem okno. Ukazały się tajemnicze drzwi, o których wspomniał Barry.

– Genialne – mruknął Sparks. – Wyraży podziwu dla architekta.

– I mają taki zamek, jakiego nie uświadczysz w większości banków – rzekł Barry, wyjmując zestaw swoich narzędzi i natychmiast zabierając się do pracy.

Trzask dochodzący z głębi domu zdawał się świadczyć o tym, że intruzi uporali się już z zewnętrznymi zabezpieczeniami.

– Pomóż mi, Doyle – rzekł Sparks, przystawiając stół do kuchennych drzwi. Ułożyli na blacie stołu stos z reszty kuchennych mebli, przygotowali broń i czekali, aż Barry upora się

ze swym zadaniem.

– Co myślisz o naszym przygnębionym Charleyu? Jaka jest twoja diagnoza? – zapytał Sparks.

– Początki obłędu. Prawdopodobnie zaawansowany syfilis – odparł Doyle.

Usłyszeli szybkie, przytłumione kroki na schodach i piętrze. Trzask, gdy Barry wbijał metalowy sztyft w otwór zamka, brzmiał wewnątrz niewielkiego pomieszczenia jak wystrzał z rewolweru.

– Spokojnie, Barry.

– Użyłbym galarety migdałowej, ale nie sądzę, aby to coś dało.

– Dzięki, Barry – rzekł Sparks bez odrobiny sarkazmu.

– Chciałbym, aby przypomniiał sobie nazwę tego wydawnictwa – rzekł Doyle.

– Cóż, nie będzie trudno się tego dowiedzieć. Zakładając, że wrócimy do Londynu żywi... Jak ci idzie, Barry?

– Dam sobie radę z tym zamkiem w dwa machnięcia ogona zdechłej krowy.

– Nawet, jeśli by pominąć omamy, które są typowym objawem jego choroby, wygląda na to, że lady Nicholson nie była tak niewinna, jak się nam wydawało – mruknął Doyle.

– Kobiety rzadko bywają niewinne.

Barry sforsował zamek i pchnięciem otworzył drzwi. Powietrze wewnątrz przesycone było wilgocią i cuchnęło. Sparks wysforował się na czoło i zszedł kilka stopni niżej. Wycięte w surowej ziemi toporne schody były strome i śliskie od mchu. Światło z kuchni ledwo docierało w głąb przejścia, a reszta ciągnących się w dół schodów tonęła w egipskich ciemnościach.

– Mają tu latarnie – rzucił Barry, zdejmując lampę sufitową z haka wbitego w ziemistą ścianę. Zapalił zapałkę i przypalił knot; blada poświata tworzyła jedynie drobny wylom w panującym pod ziemią mroku. Sparks wziął lampę i zaczął schodzić.

– Uważajcie, jak stawiacie nogi. Schody są śliskie jak lód – ostrzegł.

– Doktorze, gdyby był pan tak łaskaw pociągnąć za tę gałkę przy framudze – poprosił Barry.

Doyle szarpnął za gałkę i fałszywa ściana gładko powróciła na swoje miejsce, przesłaniając wejście do podziemi.

– Drzwi również, jeśli można prosić – dodał Barry. Doyle zatrzasnął drzwi i zaciągnął solidną zasuwę z żelaznej sztaby, po czym ruszył w mrok śladem przyjaciół.

Schody zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Gdy mech pod ich stopami ustąpił miejsca topornie obrobionej litej skale, w korytarzu dał się słyszeć lekko wytłumiony odgłos

ich kroków. Ściany zaczęły z wolna oddalać się od siebie, aż w końcu zniknęły w ciemnościach. Słaby blask latarni dawał mgliste pojęcie o rzeczywistych rozmiarach otwierającej się wokół nich jaskini. Wiatr pogwizdywał i zawodził upiornie. Usłyszeli popiskiwanie i szuranie gryzoni, umykających przed nadciągającymi ludźmi.

– Co to za miejsce? – zapytał Doyle.

– Jedynym dziełem człowieka tutaj są te schody – rzekł Sparks.

– Naturalna formacja. Na niej zbudowano Topping. Może to jakaś morska jaskinia.

– Znajdujemy się dobre piętnaście mil od brzegu.

– Dzięki, Barry. W takim razie podziemna rzeka.

– Nie słyszę żadnej wody – burknął sceptycznie Barry.

– To nie znaczy, że nie mogło jej tu być kiedyś.

– Nie – rzekł Barry, ale bez większego przekonania.

– Może lady Nicholson wykuła to przejście, żeby mogła kontaktować się z szatanem podczas pełni księżyca – stwierdził Sparks i mrugnął do Doyle'a. Jak można żartować z czegoś takiego – pomyślał Doyle. – I w takiej sytuacji.

– Będą nas ścigać? – zapytał.

– Znalezienie tych drzwi zajmie im trochę czasu.

– Chyba, że Nicholson im o nich powie.

– Ten człowiek prawie nie pamięta, jak ma na imię.

W tej samej chwili dotarli do końca długich schodów. Stanęli i rozejrzeli się wokoło. Jaskinia był mroczna i groźna niczym opuszczona, posepna katedra.

– Strasznie tu wieje. Ale skąd bierze się ten wiatr? – mruknął Barry, węsząc.

– To proste. Pójdziemy pod wiatr i znajdziemy wyjście.

Weszli w głąb jaskini – przy każdym kroku spod ich stóp wzbijały się chmurki czarnego kurzu. W górze załopotały małe skrzydła, stworzenia przypominające cienie śmigały gładko pośród sztucznej nocy.

– Nietoperze – rzekł Sparks, na co Doyle odruchowo sięgnął po swój kapelusz.

– Nie kłopotz się, Doyle. One widzą w ciemnościach dużo lepiej niż my.

Z głośnym brzęknięciem Sparks uderzył w coś twardego, upuścił latarnię i lampa zgasła. Pochłonęły ich ciemności.

– Do diabła!

– A jak sądzisz, dokąd właśnie idziemy?

Pomimo okoliczności, Doyle zaczął cenić niezłomne poczucie humoru Barry'ego.

– Siedź cicho, dobra? Pomóż mi znaleźć lampę.

Doyle wyciągnął rękę i natrafił dłońmi na przedmiot, z którym zderzył się Sparks – był obły, zimny i gładki, z zaokrąglonymi krawędziami, ale przede wszystkim masywny. Wiedział, co to było, ale po ciemku nie był w stanie tego nazwać.

– Chyba lampa się stłukła.

– Tak ci się wydaje, co?

– Zważywszy, że odnajduję na ziemi same małe kawałki. Zapalić świecę, którą mam w kieszeni?

– Ależ oczywiście, Barry. Bardzo proszę.

W chwili, gdy Barry zapalał zapałkę, Doyle uświadomił sobie, co właśnie odnaleźli.

– O Boże! Wiecie, co to jest?

Znów zrobiło się ciemno.

– Co się stało, Barry?

– Upuściłem świecę, doktor mnie przestraszył...

– Jack, wiesz, co znaleźliśmy?

– Dowiedziałbym się, gdyby Barry znalazł świeczkę.

– Mam ją! – rzekł Barry, zapalając następną zapałkę.

– To pociąg!

Rzeczywiście. Była to czarna jak smoła, żelazna lokomotywa parowa z załadowanym po brzegi tendrem, stojąca na stalowych szynach, które łagodnym łukiem ciągnęły się w dal i znikały w mroku.

– Sterling Single – rzekł Barry. – Prawdziwe cacko.

Wsiedli do kabiny i w blasku świecy uważnie obejrzeni przyrządy. Wskaźniki i pompy wyglądały na sprawne i najprawdopodobniej działały. Zbiornik wody był pełen. W gardzieli pieca znajdował się już ładunek węgla.

– Wygląda to tak, jakby ktoś przygotowywał się do pospiesznej ewakuacji – rzucił mimochodem Doyle.

– Przypominając sobie jego niejasne aluzje dotyczące pociągów, śmiem twierdzić, iż za ten szczęśliwy traf powinniśmy być wdzięczni obłądowi lorda Nicholsona – rzekł Sparks, gdy Barry zapalił lampę naftową zawieszoną na ścianie kabiny.

– Dlaczego sam z niej nie skorzystał? – zapytał Doyle.

– Bardzo możliwe, że po prostu o niej zapomniał. Znasz się na prowadzeniu pociągów, Doyle?

– Na początek trzeba rozpaść w piecu – rzekł Barry, zanim Doyle zdążył wykrztusić jedno słowo.

– Dzięki, Barry, może przebiegłbyś się kawałek wzdłuż toru i sprawdził, czy wszystko jest w porządku?

– Znam się na obsłudze lokomotywy. Nasz tato był kolejarzem. Zabierał nas często ze sobą. Południową Anglię zjeździliśmy, jak się tylko dało. To znaczy... jeździliśmy z nim, kiedy tylko był trzeźwy...

– Wystarczy, Barry. Sądzisz, że nie mam żadnego pojęcia o pracy na kolei?

Mamrocząc pod nosem i ściskając w garści świecę, Barry wyskoczył z kabiny i ruszył rażno wzdłuż torów. Sparks uważnie zlustrował urządzenia i znajdujące się obok nich dźwignie.

– Rozpalmy w piecu, jak sugerował Barry. – Sparks zastanawiając się, przygryzł zębami kciuk. – Jak sądzisz, Doyle, za który z tych wichajstrów powinniśmy pociągnąć?

Rozpalili ogień – piec zatętnił krwistoczerwonym płomieniem życia. Barry wrócił do kabiny, by donieść, że tor wygląda dobrze i ciągnie się nieprzerwanie co najmniej milę.

Sparks spytał, czy nie mogliby już ruszać, z wdzięcznością pozwalając Barry emu rzucić okiem na wskaźnik ciśnienia. W odpowiedzi usłyszał, że muszą poczekać, aż kocioł wypełni się parą. Gdy to nastąpiło, zwolnił hamulec ręczny i przestawił dźwignię na jazdę do przodu.

– Zajmij się tym, Barry – rzekł Sparks, jakby zapamiętanie tych kilku informacji dotyczących obsługi lokomotywy okazało się najbardziej nużącym zajęciem, jakie tylko można sobie wyobrazić.

– Racja – rzekł Barry, z radosnym uśmiechem na ustach. Zapalił główny reflektor – jego potężny blask niczym promień wiedzy przeszył ciemność. Doyle i Sparks stanęli na otwartej platformie z tyłu kabiny, raz po raz popatrując trwożliwie w stronę schodów.

Nie usłyszeli dotąd odgłosów świadczących o próbie sforsowania drzwi na górze, ale i tak czekanie okazało się nad wyraz uciążliwe. Mogło się wydawać, że czas stanął w miejscu. Jaskinia doktorowi i jego przyjaciółom nieodparcie kojarzyła się z mrocznym grobowcem. Regularny syk przepustnic rozbrzmiewał w pieczarze niczym odgłos oddechu jakiejś ogromnej, drzemiącej bestii. Ciężar otaczających ich ścian wywoływał wrażenie, jakby znaleźli się w żołądku wielkiego, potwornego, czujnego smoka, który czeka cierpliwie, aż wszelkie ludzkie ambicje i dążenia – niezależnie jak szczytne i prawe – przegrają sprawdzian śmiertelności. Kolonie i królestwa mogą upaść, lecz te ściany będą trwać i drwić z kruchości ludzkich istnień i aspiracji. Niewiele jest rzeczy bardziej pospolitych i tańszych od ludzkiego życia – pomyślał Doyle. Godzina spędzona w trzewiach tej lodowatej, mrocznej jaskini stanowiła bolesne przypomnienie, że również natura emanuje tą samą aurą bezdusznej

obojętności.

Barry opuścił dźwignię, tłoki drgnęły dwukrotnie, aż w końcu stal zgrzytnęła o stal. W powietrze trysnęły snopy iskier. Przy wtórze pełnego protestów jęku zardzewiałych mięśni, koła wolno zaczęły się toczyć po szynach.

– Jedziemy! – ryknął Barry, przekrzykując ryk lokomotywy. Wystawił głowę przez boczne okienko, z trudem powstrzymując trawiącą go chęć pociągnięcia – ot tak, dla zabawy – za rączkę syreny parowej.

– Dokąd w ten sposób dotrzemy? – spytał Doyle, czując niewiarygodną wręcz ulgę.

– Do Londynu, jeśli wystarczy nam opału i tory się nie skończą – odrzekł Sparks, poklepując lokomotywę jak hodowca najlepszego wierzchowca ze swojej stajni. – Zawsze chciałem mieć na własność lokomotywę. Dobrze się złożyło. To maleńkie cudo bardzo mi się podoba.

Ściany jaskini w dalszej części zaczęły się zwężać. Barry musiał cofnąć głowę do kabiny, gdy pociąg toczył się wolno wąskim, naturalnym tunelem wyciętym w ziemi. Ściany lokomotywy od chropowatej powierzchni skał z obu stron dzieliło teraz zaledwie parę cali wolnej przestrzeni.

– Sądysz, że go zabiją, Jack? – zapytał ponownie Doyle, w dalszym ciągu rozmyślając nad losem szaleńca.

Sparks sposepniał jeszcze bardziej. – Tak, przypuszczam, że tak. Jeśli już tego nie zrobili.

– Miał coś, czego potrzebowali – rzekł Doyle po chwili milczenia.

– Dwie rzeczy: ziemię i syna. A teraz i jedno, i drugie znajduje się w ich posiadaniu.

– Ziemi można pragnąć z wielu różnych powodów...

– Racja, zbyt wcześnie jeszcze, by się nad tym zastanawiać. Potrzebujemy więcej informacji.

– Ale po co im chłopiec?

Sparks zamyślił się.

– Kontrola. W ten sposób mogą kontrolować jego matkę.

– Ale przecież wszystko wskazuje na to, że ona od samego początku z nimi współpracowała – mruknął Doyle. Myśl, że ta kobieta mogła działać po stronie przeciwnika, napawała go smutkiem i bólem.

– To możliwe, choć w gruncie rzeczy nie wiadomo, jaki wywarli na nią nacisk – co sprowadza nas ponownie do kwestii przydatności chłopca.

– Wygląda na to, że chodziło o odpowiednie rozegranie seansu. O przebieg wieczoru,

kiedy została zamordowana.

– Zastanów się nad taką możliwością: jej smutek wywołany „porwaniem” chłopca miał na celu wciągnięcie ciebie w zastawioną przez nich pułapkę. Kiedy przestała być dla nich użyteczna, zerwali wszelkie układy i zabili zarówno ją, jak i jej nieszczęsnego brata.

– To pasuje, choć rola brata wydaje się dosyć mętna.

– Został ściągnięty z uczelni, jak to powiedziano, „w ważnej sprawie rodzinnej”. Siostra namawiała go do współpracy przeciwko współpiskowcom, którym nie może już ufać. A może, kto wie, siedział w tym od samego początku, wywierając na nią presję z zupełnie innej strony. Wspomniałeś, że gdy stali przy drzwiach, jakby ją łajał czy rugał.

– Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, pomyślałbym, Jack, że próbujesz jej bronić. – Jednak w przyćmionym świetle latarni Doyle dostrzegł mroczny grymas niezadowolenia na twarzy Sparksa.

– Coś jest nie tak – stwierdził.

– Z drugiej strony – rzekł Doyle, przypominając sobie iskierki w jej ciemnoniebieskich oczach – jedyne, co mamy przeciwko niej, to chaotyczne wynurzenia jej obłąkanego, porzuconego męża. Skąd pewność, że jest w zмовie z tamtymi?

Sparks nie odpowiedział – wpatrzony w jakiś niewidoczny punkt, pograżył się w głębokim zamyśleniu.

– Światło przed nami! – oznajmił Barry.

Najlepiej jak mogli, ze względu na bliskość ścian tunelu, wyjrżeli przez okna kabiny i zlustrowali pas toru przed nimi, gdzie blask reflektora lokomotywy stapał się z dziennym światłem.

W kilka chwil później pociąg wydostał się z podziemnego tunelu na otwartą przestrzeń. Po raz pierwszy odkąd przekroczyli próg fatalnego domu znaleźli się na świeżym powietrzu.

– Brawo, Barry!

Tor ciągnął się wzdłuż krawędzi stromej, górskiej zbocza; daleko w dole płynęła wartko rzeka. W oddali za nimi, ponad szczytem potężnego wzgórza, nad koronami drzew majaczyły krenele najwyższych wieżyczek Topping. Wokół nich na szarzejącym groźnie niebie widniały gęstniejące strzępy czarnego dymu. Te chmury zdawały się zwiastować nieliczną ulewę. Ale nawet potop nie zdołałby uchronić Topping Manor przed ostateczną zagładą.

– Musieli podpalić cały budynek – rzekł Barry z konsternacją w głosie. – Tyle sreber...

– Może nie znaleźli drzwi. Może myślą, że jesteśmy uwięzieni wewnątrz – mruknął

Doyle z nadzieją. – Jeśli uwierzą, że zginęliśmy, przestaną nas ścigać.

– Najpierw każe mnie poćwiartować, a następnie spali. I będzie się temu bacznie przyglądał, zanim uzna, że na pewno nie żyję – rzucił ponuro Sparks.

Doyle obserwował Sparksa, który nie odrywał wzroku od płonącego budynku, lustrując horyzont w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak pościgu. Jego oczy były zimne i groźne, jak oczy drapieżnego ptaka.

– Kim on jest, Jack? – spytał cicho Doyle. – Ten człowiek w czerni. Znasz go, prawda?

– To mój brat – oznajmił Sparks.

11. NEMEZIS

Przez następnych kilka mil tory ciągnęły się na południowy wschód, nad skrajem przepaści, równoległe do rzeki. Stromizna opadała stopniowo, by wreszcie zrównać się z rzeką na płaskiej, nadbrzeżnej równinie. Stale czujni, trzech mężczyźni w pociągu nie dostrzegli żadnych oznak, które świadczyłyby o tym, że wrogowie wiedzą o ich ucieczce. Niedługo po zjechaniu na równinę ujrzeli ciągnący się łagodnym łukiem pas toru prowadzący na zachód.

Na polecenie Sparksa Barry zatrzymał lokomotywę, wyskoczył z kabiny i przestawił zwrotnicę, by mogli wyjechać na tor oddalony od rzeki. Gdy pociąg ponownie ruszył, Sparks i Doyle, rozebrani do koszuli, zaczęli szuflami wrzucać węgiel z tendra do pieca. Pomimo iż od stóp do głów omiatał ich mroźny wiatr, od ciężkiej pracy wkrótce obaj ociekali potem. Rozpalili maksymalny ogień. Ogromna ilość gorącej pary o mało nie rozsadziła kotła, ale z przepustnicą otwartą szeroko, żelazny rumak, dając z siebie wszystko, dziarsko sunął naprzód. Dzięki temu zyskali znaczną przewagę w drodze powrotnej do Londynu.

Sparks nie wspominał już ani słowem o swoim bracie. Pogrążył się po raz kolejny w osobliwym odrętwieniu, w którym nie odpowiadał na żadne pytania, lecz w myślach przygotowywał się do czekających ich wkrótce karkołomnych zadań.

Barry prowadził pociąg nad wyraz ryzykownie – pokonywał zakręty z niebezpieczną prędkością, a gdy na torach znalazło się przypadkowo jakieś zwierzę, bynajmniej nie zwalniał, lecz przepłaszał je gwizdem syreny parowej bądź własnymi, ochrypłymi wrzaskami. Zachowywał przy tym niewiarygodne wręcz opanowanie. Niejeden wiejski zawiadowca wybiegał ze swego posterunku, gdy z turkotem kół mijali jego stację, i jak otepiały wpatrywał się w Barry'ego, który machnięciem ręki i typowym dla siebie zawadiackim uchyleniem kapelusza kwitował pojawienie się tego rozpędzonego, niezapowiedzianego molocha obracającego w perzynę fundament metodycznego kolejarskiego porządku.

Okazało się, że Barry doskonale zna całą sieć torów przecinających hrabstwa Kent i Sussex, dzięki czemu mogli korzystać z tras, po których kursowało niewiele pociągów. W

pewnym momencie, gdy zaczęli doganiać pociąg osobowy, wiozący pasażerów z Dover do Londynu, jadący po równoległym torze, wyrzucił w górę prawą rękę i zakrzyknął radośnie jak dżokej na ostatniej prostej, a gdy minęli pociąg, pohukując na całe gardło, cisnął w powietrze swój kapelusz. Barry był prawdziwym śmiałkiem, odważnym ryzykantem.

Przed zmierzchem, ze zrozumiałych względów, Barry zmniejszył prędkość, wjechali bowiem w istny labirynt krzyżówek arterii prowadzących w kierunku Londynu. Czas, który zyskali, gnając na złamanie karku po wiejskich równinach, zużytkowany został na pokonanie kilku ostatnich mil. Kiedy pociąg zatrzymał się w końcu na boczniczy na terenie prywatnym w Battersea, należącym do pewnego anonimowego przyjaciela Sparksa, było już dobrze po zmroku. Pozostawiając Barry'ego, by zabezpieczył lokomotywę, Sparks i Doyle wyszli na pobliską drogę i zatrzymali przejeżdżający keb. Sparks podał woźnicy adres domu po drugiej stronie rzeki, gdzieś na Strandzie.

– Dokąd jedziemy, Jack? – zapytał Doyle. – Wygląda na to, że oni potrafią odnaleźć mnie dosłownie wszędzie.

– Przewidują nasze posunięcia, co zresztą było w pewnym sensie konieczne i nieuchronne. Teraz, to nowa gra. Tłum to najlepsza kryjówka pod słońcem, a w Londynie jest więcej nor, w których można się schować, niż ich ogary kiedykolwiek byłyby w stanie przeszukać – rzucił Sparks, ocierając chusteczką twarz, czarną od pyłu węglowego.

– Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś od tej pory raczył wtajemniczać mnie we wszystkie nasze plany i posunięcia, Jack – powiedział Doyle, usiłując na próżno rękawem oczyścić pobrudzoną twarz. – Śmiem twierdzić, że od czasu do czasu zdarza mi się miewać dobre pomysły lub sugestie, a w naszej sytuacji każda opinia może okazać się pożyteczna.

Sparks spojrział na niego z rozbawieniem, które jednak ukrył pod maską powagi, zanim Doyle zdołał zwrócić mu uwagę.

– Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Trudy ostatnich dni mogłyby zmienić większość ludzi w rozdygotaną galarete.

– Doceniam to. Ale – i powiem to brutalnie – powinienem wiedzieć tyle, co ty. To znaczy WSZYSTKO, co ty wiesz. Domagam się tego.

– Wiesz już prawie wszystko.

– Niestety, Jack, PRAWIE to dla mnie za mało. Przysięgam, że nie zdradzę nikomu tajemnic, które mi wyjawisz. Sądzę, że dotychczasowa współpraca z mojej strony nie daje ci podstaw, by wątpić w moją lojalność. Chyba zasługuję na odrobinę zaufania.

– Nie chyba, ale na pewno.

– Świetnie. Od czego zaczniemy?

– Najpierw gorąca kąpiel. Porozmawiamy przy *brochette* z ostryg, homarze, kawiorze, przy strzałach korków szampana – rzekł Sparks. – Bądź co bądź, dziś sylwester. – Co ty na to?

– Wydaje mi się – mruknął Doyle, któremu na myśl o tych specjałach zaczęła już cieknąć ślinka – że jest to propozycja nie do odrzucenia.

Powóz dowiózł ich do centrum Strandu, jednej z najbardziej zatłoczonych alej Londynu. W ten księżycowy, sylwestrowy wieczór na ulicach wręcz roiło się od pojazdów. Doyle i Sparks wysiedli z powozu przed niezbyt zachęcająco wyglądającym budynkiem. Stary, obskurny sztyldek oznajmiał, iż mieści się tu hotel „Melwyn”. Nieco bardziej szykowny niż pospolita noclegownia, ale dużo poniżej standardu, do jakiego Doyle był przyzwyczajony, stanowił jedno z niewielu miejsc, gdzie dwaj dżentelmeni – lub raczej dżentelmen i jego sługa – czarni od stóp do głów po dniu ciężkiej harówki przy tendrze, mogli zwrócić na siebie uwagę, zarówno gości, jak i pracowników.

Mrugając do znajomego recepcjonisty, Sparks wpisał się do rejestru jako „Milo Smalley, Esquire” i zapłacił gotówką za dwa sąsiadujące ze sobą pokoje na pierwszym piętrze przy schodach. Obaj mężczyźni zażyczyli sobie kąpeli. Okazało się, że w tym celu mogą skorzystać ze wspólnej łaźni na końcu korytarza, gdzie radośnie pławiło się już wielu hotelowych gości. Od razu na pierwszy rzut oka Doyle stwierdził, że jakkolwiek z zewnątrz skromny, hotel „Melwyn” wydawał się przystanią dla rzetelnych, uczciwych lwów salonowych.

Gdy wyszedł z kąpeli, Doyle po raz pierwszy odkąd pozbył się wąsów i baczków, zdołał się przejrzeć w lustrze. Dodając specjalne okulary o drucianych oprawkach i niepowiększających szklach, które Sparks pożyczył mu ze swojej kolekcji rozmaitych gadżetów, oraz fryzurę lokaja – dzieło nieocenionego Barry'ego, Doyle ujrzał w lustrze odbicie twarzy, której musiał przyjrzeć się dwa razy, zanim stwierdził, iż była jego własną.

W nieco lepszym nastroju, poprawionym zasadniczymi zmianami swego wyglądu, odświeżony, ogolony, znalazłszy się w swoim pokoju, Doyle natrafił na stojącą przy drzwiach nieznaną mu walizkę, na łóżku leżał czysty strój wieczorowy, a Larry, niesamowity brat Barry'ego, rozpalał właśnie w kominku. Ucieszony tym niespodziewanym spotkaniem, Doyle miał w pierwszej chwili ochotę uściskać ich niepokaźnego towarzysza, którego najwyraźniej również uradował jego widok. Już miał opowiedzieć mu o ich ostatnich przeżyciach, ale Larry uniósł dłoń, uciszając go, zanim zdołał wypowiedzieć choć jedno słowo.

– Przepraszam, szefie. Brat opowiedział mi już wszystko, ze szczegółami, o pociągu i szczęściu, jakie wam dopisało – nie ukrywam, iż jest to dość osobliwa opowieść – a poza tym,

jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, gratuluję panu nowej fryzury. Widzę w niej wprawna rękę mego brata – wiele księżyców temu, przez kilka miesięcy praktykował jako pomocnik fryzjera – choć prawdę mówiąc, nie chodziło mu wcale o zdobycie fachu, lecz córki tegoż golibrody. Muszę jednak powiedzieć, że dzięki nowej fryzurze, bez wąsów i baczków, osiągnął pan bardziej niż zadowalający efekt odnośnie do swojej fizjonomii. Jeżeli chodzi o ścisłość, muszę stwierdzić, że gdybym nie wiedział, że to pan, chyba bym pana nie rozpoznał.

– Widzę, że byłeś zajęty, Larry – rzekł Sparks, który wycierając się ręcznikiem, wszedł właśnie do pokoju. – Powiesz nam, czego się dowiedziałeś, czy ja mam to zrobić?

Larry z zaniepokojeniem spojrział na Doyle'a.

– Możesz mówić śmiało – rzekł Sparks. – Doktor zapuścił tak głęboko korzenie w sekretnej ziemi naszej kampanii, że nie wy dostałoby się go stamtąd nawet dynamitem. Nie obawiaj się, możemy mu zaufać. Nie, zaczekaj! – Sparks zmrużył powieki i zlustrował Larry'ego, który uśmiechnął się zawadiacko, domyślając się, co stanie się za chwilę.

– Proszę uprzejmie, sir – rzekł Larry i mrugnawszy do Doyle'a, dodał: – Niech pan tylko słucha.

– Obserwacja domu Drummonda wykazała, że generał nie powrócił, odkąd dwa dni przed Bożym Narodzeniem widzieliśmy go, wyjeżdżającego na północ. Udało ci się ustalić londyński adres lorda i lady Nicholson, piętrowy, stojący na uboczu dom z żółtej cegły w Hampstead Heath – on również był opuszczony. Umówiłeś się z Barrym w swoim ulubionym pubie „Pod Słoniem i Zamkiem”, gdzie opowiedział ci o przebiegu naszej misji. Wypiłeś przy tym dwa gorzkie i zjadłeś... pasterski placek.

Larry pokręcił głową i uśmiechnął się promiennie do Doyle'a.

– Widzi pan? Uwielbiam, kiedy to robi!

– No dobrze, Larry, a teraz powiedz, jak mi poszło.

– Strzał w dziesiątkę, tylko że to nie był pasterski placek, ale stek z nerczkami.

– Stek z nerczkami, fakt, dziś święto, uczciłeś je na swój sposób – powiedział Sparks, po czym ubierając się, zwrócił się do Doyle'a. – Okruszki na jego marynarce.

– I tłusta plama na krawacie – dodał Doyle, podejmując wyzwanie. – Nie mówiąc o tym, że jego ubranie przesiąknięte jest ciężką wonią piwa i taniego tytoniu, typową dla pubów.

– Jezus, Maria, Józefie święty, proszę nie mówić. Pan też?

– Nie przerywaj, Doyle. Powiedz mu, w jaki sposób doszedłem do moich wniosków – rzucił Sparks.

Doyle przez chwilę przyglądał się otepialemu Larry'emu.

– Określenie miejsca pobytu generała Drummonda miało być twoim podstawowym zadaniem po powrocie do Londynu. Gdyby był w mieście, wątpię, byś znalazł czas, aby wypić z bratem po kufelku, a co więcej, znaleźć dla nas nowe ubrania. Tak więc uporawszy się zgrabnie z pierwszym zadaniem, mogłeś natychmiast zająć się drugim: odnalezieniem londyńskiego domu Nicholsonów. To było logiczne samo przez się. Na twoim ubraniu na łokciach i kolanach znajdują się ślady żółtego pyłu – nie widać otarć ani rozdarć materiału, co pozwala przypuszczać, iż przy wspinaczce nie miałeś większych trudności. W grę wchodzi zatem mały, jednopiętrowy dom z żółtej cegły. Wspiąłeś się nań metodycznie i po wejściu do środka stwierdziłeś, że w domu nie ma żywej duszy. Wyraźne ślady czerwonej gliny na brzegach i podeszwach twoich butów są typowe dla wzgórz Hampstead Heath. *À propos*, pub „Pod Słoniem i Zamkiem” jest również moim ulubionym lokalem i w swoim czasie nieraz jadałem tam wyśmienity stek z nerczkami.

– Świetna robota, Doyle!

– O k... k... kurczę! – Larry zdjął kapelusz i potrząsnął głową.

– Jeżeli Larry zaniemówił, powinniśmy zawiadomić prasę – to zjawisko spotykane równie rzadko jak pełne zaćmienie Słońca – rzekł Sparks.

– A ja sądziłem, że w naszym kręgu jest tylko dwóch bliźniaków, ja i Barry – powiedział Larry, odzyskując kontrolę nad językiem. – Mamy tu Romulusa i Remusa. Dwie reszki szylinga. To dobrze, że jest pan z nami, sir – powiedział szczerym tonem.

– Dzięki, Larry. To dla mnie naprawdę znacząca pochwała – odrzekł Doyle.

– Ale z was para starych, sentymentalnych kochasiów – rzekł Sparks, zawiązując krawat. Larry i Doyle odsunęli się od siebie gwałtownie. Doyle zaczął się ubierać, a Larry strzepnął okruchy z marynarki. – Co z kolacją, Larry?

– O wpół do dziesiątej w „Criterion” – ostrygi, gotowane homary i butelka whisky. Czekają na was.

Dokończyli ubierać się na tę radosną uroczystość i pół godziny później znaleźli się u wejścia, znajdującego się nieco dalej na Strandzie, „Criterion Long Bar”. Elegancki strój wieczorowy pozwolił im przemknąć niezauważenie przez pełną gości salę, stanowiąc, jak się okazało, idealny kamuflaż w tę najbardziej uroczystą londyńską noc. Wielekroć Doyle, ubogi młody doktor, przytykał nos do szyby na zewnątrz, oglądając *haute monde* w jej naturalnym środowisku z zaciekawieniem i zazdrością zagorzałego antropologa, ale aż do dzisiejszego wieczoru nie przestąpił tego bajecznego progu.

Sparks był doskonale znany głównemu kelnerowi. Oczekiwał na nich schłodzony szampan, a pluton czujnych kelnerów stał w pobliżu, bacząc, by ich kieliszki były stale pełne.

Gruby kierownik powitał ich wszystkimi wspaniałościami lokalu. Na sam ich widok każdemu musiałyby pocieknąć śliska, a wyśmienite *spécialité de la maison* pojawiły się na ich stole jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki albo kaprysu jakiegoś boga uciech kulinarnych. Doyle z trudem mógł zaczerpnąć oddechu pomiędzy kolejnymi łykami i łykami, rzucając się w wir uczty z istic bachanalnym zapachem. Szampan rozproszył posępną aurę, która otaczała ich od kilku dni, przynosząc wesołość i zapomnienie. Sala wokół nich wydawała się niesamowicie jasna, radosna i wypełniona światłością. Kobiety zdawały się emanować wewnętrznym blaskiem, a mężczyźni sprawiali wrażenie wyrzeźbionych na wzór herkulesowego ideału. Cóż za miejsce!

Co za miasto, co za dynamiczna rasa ludzi! Dopiero gdy przed nimi na stole pojawiło się *flambé* z wiśniami, merengą i lodami waniliowymi, uczucie dojmującej radości, przepełniającej Doyle'a, zaczęło mijać, zastępowane wrażeniem świadomej czujności. Kolacja nie dobiegła jeszcze końca, ale już myślał o niej jak o wspaniałym śnie. Wiedział bowiem, że z chwilą gdy rozpocznie się rozmowa – czyli po spałaszowaniu boskiego, oszalamiającego deseru – powrócą do zwyczajnego życia, poza tym kulinarnym Olimpem, a rachunek, jaki przyjdzie im zapłacić, będzie nie tylko słony, ale i gorzki.

Zabrano ostatnie talerze. Sparks zapalił cygaretkę i ogrzał nad świecą kieliszek z miodowym nektarem brandy.

– A więc... – powiedział, przechodząc do rzeczy. – Co się tyczy mego brata...

Doyle nie spodziewał się, że Jack rozpocznie tę rozmowę od mocnego atutu, aczkolwiek nie zamierzał mu przerywać. Skinął głową, nie zdradzając odrobiny zniecierpliwienia, i ponownie nakłonił swój umysł do koncentracji, leniwie obracając w dłoni kieliszek benedyktyнки.

– Czy ciebie niepokoi tak samo jak mnie to, że ogół ludzkiej nadziei związany jest bezpośrednio z postępem społecznym? – zapytał Sparks. Jego ton był szczerzy i zapraszający, daleki od retoryki. Co ta dygresja miała wspólnego z jego bratem – cóż, Doyle nie z takimi miewał już do czynienia, a wbrew pozorom zawsze udawało mu się wrócić do tematu.

– Owszem, Jack, niepokoi mnie – rzekł więc, podejmując wyzwanie. – Rozglądam się po tej złocistej sali i przyjemność jaką odczuwam, wszyscy ci wspaniali ludzie, posiłek, który właśnie zjedliśmy, skłaniają mnie, by rzec... oto co ma nam do zaoferowania najlepsza cywilizacja – zniwo ludzkiego wykształcenia, naukowe osiągnięcia, ewolucję społeczną.

Ale to tylko krótkotrwała satysfakcja. Iluzja. Zaledwie drobny ułamek ogółu ludzkości świata. Siedzimy tu, szczycąc się naszą pozycją, a o rzut kamieniem stąd ludzie cierpią głód i niedolę, jakich nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. To skłania mnie do zastanowienia: jeśli

tylu ludzi zostaje w tyle, czy nasze osiągnięcia nie są nic warte? Co po nas pozostaje? Co pozostawimy po sobie przyszłym pokoleniom?

– Nie nam o tym wyrokować – odparł Sparks. – Przyszłe pokolenia o tym zadecydują. Zresztą, w jaki sposób zapisuje się spuściznę wieków? Dziełem ludzkich rąk czy umysłów? Elżbietanie pozostawili nam poezję, która przemawia do nas ze względu na język. Egipcjanie zbudowali piramidy, ale nie znamy ich sekretnych myśli. Być może ich największe odkrycia zostały bezpowrotnie zaprzepaszczone. Może liczy się tylko to, co zdoła przetrwać.

– A co jest ważniejsze? Czy naszą epokę będą oceniać po pomnikach, mostach i dworcach kolejowych, czy po nauce i sztuce?

– Nasza rozwijająca się wiedza medyczna z całą pewnością przyczynia się do przedłużenia ludzkiego życia – stwierdził Sparks.

– Tak, ale większość tych odkryć została uwarunkowana przez naszą obecną prosperitę. Nie będę tu mówić o wygodach i komforcie życia, w dużej mierze bowiem wynikają one z możliwości wytwarzania różnych rzeczy na wielką skalę. Zważ jednak, jaką musimy płacić za to cenę – jakie są koszty produktów ubocznych przemysłu – nieludzkie warunki pracy, skażenie ziemi, zatrucie powietrza. Bez rozwoju medycyny większość z nas nie pożyłaby długo i nie nacieszyłaby się ową prosperitą. Natomiast jeśli chodzi o przedstawicieli klas niższych, którzy przetrwają nawet gdyby przedłużono im życie, jaki miałyby ono sens i wartość, skoro byłoby ono smutne, pozbawione szczęścia i czasu na radowanie się owocami ich pracy?

– Pomijając kwestię cierpienia tych nieszczęśników – bądź co bądź wszyscy ludzie cierpią, każdy na swój sposób i niejako tyle, ile zasłużył – czy nie wydaje się oczywiste, że nauka wprowadza nas w nową epokę? Pomyśl o wszystkich tych cudownych wynalazkach, którymi już wkrótce mamy się cieszyć. Elektryczność w każdym domu. Automobil. Telefon. Maszyna do pisania. Rozwój komunikacji, swoboda podróżowania. Ciepło i światło w domach. Powszechna edukacja.

– Przypuszczasz, że otoczenie się tymi nowymi, niby to wyzwolicielskimi urządzeniami, dokona fundamentalnych zmian w człowieku i zmieni cechy jego charakteru?

– Jakie to zmiany?

– Żądza władzy. Impuls stadny. Pragnienie bogacenia się kosztem innych.

– Instynkt przetrwania – rzekł Sparks z pokorą, jakby od początku zmierzał do tego stwierdzenia. – Zapewnienie przeżycia najsilniejszym.

– Kosztem słabych.

– Tak jak w przyrodzie – życie to rywalizacja, Doyle, walka – o powietrze, światło,

najatrakcyjniejszych partnerów, przestrzeń i pożywienie. Przyroda nie ogłasza nikomu: życie nie żąda od ciebie agresji, ja bowiem zapewniam tej ziemi obfitość dóbr – powiedział z naciskiem Sparks, stukając palcami i pobrząkując kieliszkami.

– A gdy te same potężne impulsy wyrażone są przez ludzkie zwierzęta...

– Pragnienie dominacji. Zdobywania. Chciwość. Korzenie wszelkich ludzkich konfliktów.

– A więc się zgadzamy – stwierdził Doyle.

Sparks pokiwał głową. Jego oczy pałały wewnętrznym blaskiem.

– To nieuniknione. Człowiek musi podporządkować się instynktowi dominacji ze względu na tkwiącą w nim podświadomą wolę przetrwania. Jest ona do tego stopnia silna, że bez trudu radzi sobie ze wszystkimi biologicznymi impulsami – współczuciem, sympatią, litością i miłością – są one niewątpliwie ważne, ale wpierw człowiek musi zapewnić sobie fizyczne bezpieczeństwo i wyeliminować wszelkie potencjalne zagrożenia.

– Zatem mamy do czynienia z paradoksem – stwierdził Doyle. – Czy wola życia stanowi jednocześnie największe zagrożenie dla przetrwania człowieka?

– Jeżeli natura ludzka w najbliższej przyszłości nie wykaże samorzutnie gotowości do zmiany pewnych priorytetów, o których tu mówiliśmy, to śmiem twierdzić, że tak – rzekł Sparks, pochylając się i przechwytyjąc spojrzenie doktora. – Dowodem na to jest życie niejakiego Aleksandra Bartholomew Sparksa, pierworodnego syna dobrze sytuowanych rodziców, kochanego i hołubionego jak tylko można sobie wyobrazić.

Chroniony i wypieszczony. Świat władzy i przywilejów otwiera się przed nim równie hojnie jak płatki pierwiosnka. Niezależnie od tych wpływów, chłopiec już we wczesnym dzieciństwie zaczyna przejawiać twardy, nieugięty charakter. Cechuje go nienasycona ciekawość. I silna wola. Jest, jakkolwiek by na to patrzeć, wyjątkowym dzieckiem.

W pierwszym okresie pozostaje radośnie nieświadomy fortuny, której jest spadkobiercą. Podczas gdy jego ojciec znajduje się na odległej placówce dyplomatycznej, chłopiec dorasta w otoczeniu kobiet, których jedynym pragnieniem jest spełnianie wszelkich jego kaprysów i zachcianek. Prawdziwym klejnotem w centrum kręgu adoratorek jest jego matka, urocza kobieta o silnym charakterze, własnym stylu, wysokim morale i błyskotliwej inteligencji. Niewolniczo oddaje się chłopcu, poświęcając mu się bez reszty. Chłopiec zaczyna się uważać za boskiego wybrańca, królewskie dziecko, pomazańca dysponującego absolutną władzą nad wszystkim w zasięgu swego wzroku. Krążąc po lasach w swej posiadłości, ma przeświadczenie, że podlegają mu nie tylko ludzie – których uważa za swych służących – ale także wiatr, woda i drzewa. Jego świat to raj, on zaś jest jego

niekwestionowanym panem.

I nagle, któregoś dnia, w jego piąte urodziny czuła i kochająca matka gdzieś znika, bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Nie ma jej dzień, drugi, trzeci. Nawet najgwałtowniejsze wybuchy wściekłości chłopca, najpotężniejsza broń w jego arsenale, nie są w stanie sprowadzić jej z powrotem. Nikt z poddanych nie potrafi podać przyczyny jej zniknięcia, są tylko mrugnięcia i podejrzan, tajemnicze uśmieški. Aż czwartego dnia chłopiec otrzymuje pozwolenie wejścia do jej sypialni i, ze zdumieniem i zgrozą, zastaje w jej ramionach odrażającego uzurpatora. Jest bezradny, pomarszczony, czerwony na twarzy, sika w pieluchy i popiskuje jak kocię. Niemowlę. W mgnieniu oka chłopcu udaje się przejrzeć patetycznie wyrazistą manipulację i zwodniczą grę uzurpatora, lecz ze zdziwieniem stwierdza, że jego matka zupełnie poddała się urokowi małego demona. Ten potwór ma czelność leżeć na piersi jego matki i drwić z niego, domagając się i otrzymując jej miłość, która – jak mniemał, przeznaczona była tylko i wyłącznie dla niego.

– To byłeś ty? – spytał półgłosem Doyle.

Sparks pokręcił głową.

– Moja siostra. Miała nawet imiona. Madelaine Rose. Król Słońce jest dostatecznie bystry, by zorientować się, że gdy jego wróg zdobywa przewagę, najlepiej wycofać się i przegrupować siły do dalszej walki. Uśmiecha się i nie protestuje w obliczu tego potwornego afrontu, choć doskonale zdaje sobie sprawę z powagi zagrożenia. Nie okazuje odrazy, że ta mała, żalonna kreatura mogła posiadać tak ogromny wpływ, by zagrozić jego chwalebnym rządóm. Jak ów plugawy inkub mógł do tego stopnia omamić tę kobietę; przecież do tej pory to on był oczkiem w jej głowie, to jego hołubiła, kochała i wychwalała pod niebiosa. Chłopiec opuszcza pokój w przeświadczeniu, że fundamenty całego jego świata legły w gruzach. Nie zdradza przed nikim swego upokorzenia. Instynkt przetrwania podpowiada mu, że najbezpieczniejszą strategią walki z tym bezprecedensowym przeciwnikiem jest przekonanie wszystkich jego poddanych, iż zarówno w jego królestwie, jak i w samym królu nie zaszły żadne zmiany. Czeka – tydzień, dwa, miesiąc, by spróbować, czy nienormalna fascynacja intruzem u jego matki przejdzie, jak atak gorączki. Obojętnie obserwuje swego adwersarza, zaspokajając swoją ciekawość na jego temat i na temat jego ewidentnych słabości, sprytnie przekonując matkę, że podobnie jak ona, znajduje się pod hipnotycznym wpływem odrażającego uzurpatora. Ze zgrozą stwierdza, że jego poddani również ulegli mesmerycznemu wpływowi małego monstrum – te głupie kobiety chcą z nim rozmawiać tylko o tym paskudnym potworku! Pozwala im mówić, patrzy, jak jego rywal pławi się w powodzi ich afektacji, a w głębi duszy obmyśla zemstę. Wkradając się w łaski matki, zachęca

ją, by mówiła o tej istocie. Ma nadzieję znaleźć sposób, aby ją zdominować. Chce się dowiedzieć o niej jak najwięcej. Zapoznaje się z podstawowymi czynnościami demona – wydaje się, że są nimi: sen, czuwanie, płacz, jedzenie i wydalanie – nie udaje mu się odkryć źródła owego tajemniczego magnetyzmu. Pogarda, jaką odczuwa, poznawszy prawdę o swym przeciwniku, wzmaga w nim determinację i chęć zdecydowanego, szybkiego i bezlitosnego działania.

Niedługo potem, pewnej letniej nocy, kiedy cały dom pogrążony jest we śnie, bezszelestnie zakrada się do sypialni matki. Matka leży w łóżku. Śpi. Potwór w swojej kołysce czuwa, uśmiecha się, ukazując bezzębne dziąsła, gulgotce, wymachuje radośnie rączkami i nóżkami, jakby z arogancją wierzył w swoją nietykalność i odporność na zdradę, której cień Król Słońce począł dostrzegać na każdym, przyjaznym dotąd, obliczu. Oświetlone księżycowym blaskiem oczy napotykają jego spojrzenie, gdy pochyla się nad kołyską, i w tej samej chwili jego żelazna determinacja przeżywa gwałtowny kryzys – ogarnia go wstyd i poczucie winy, że mógł żywić nienawiść wobec tak drobnej istoty – pragnie wziąć dziecko w ramiona i przytulić; czuje radość i szczęście, otaczające go ciepłym, kojącym, uzdrawiającym kokonem miłości i przebaczenia. Potworek wciąga go na swoją orbitę, gdzie przed nim trafili wszyscy jego poddani. W ostatniej chwili odrywa wzrok, przerażony jak niewiele brakowało, by i on uległ urokowi intruza; po raz pierwszy w pełni uświadamia sobie moc i potęgę, jaką przedstawia ów Geniusz Zła.

– Nie... – rzekł mimowolnie Doyle.

– Podnosi małą, satynową poduszkę i przyciska do twarzy istoty – przytrzymuje mocno, dopóki stworek nie przestanie poruszać rękoma i nogami i zupełnie nie znieruchomieje. Intruz nie wydaje żadnego dźwięku, ale w momencie gdy umiera, jego matka budzi się z krzykiem! Jakże wielki musiał mieć na nią wpływ! Więż z tą kobietą utrzymywała się nawet po tym, jak z małego monstrum uciekło życie! Król Słońce wybiega z pokoju – matka dostrzegła go – jest pewien, że widziała go, jak pochylał się nad kołyską, ale gdy podchodzi do kołyski i znajduje nieruchome, stygnące już ciało, wpada w histerię i rozpacz. Mrozący krew w żyłach jęk rozbrzmiewa w całym domu, wstrząsając jego ścianami, a gdyby dźwięk ów poszybował w mrok nocy, z pewnością zdruzgotałby nawet bramy niebios.

Gdy chłopiec leży drżący w swoim łóżku, płacz jego matki niczym ostrze dociera do najgłębszych, zimnych jak lód zakamarków jego serca. Przez wiele następnych lat będzie słyszał ten dźwięk i będzie on dlań słodszy od tysiąca pocałunków.

Jego matka przeżywa silne załamanie. Cały dom w ciągu kilku minut od dokonanego przez nią odkrycia pogrąża się w żałobie. Ku zdumieniu Króla, pogrążeni w smutku poddani

starają się go pocieszyć, sądząc – w swej głupocie i naiwności – że to, co się stało, było dla niego tak samo jak dla nich wielkim wstrząsem. Jego zaskoczenie jeszcze bardziej utwierdza ich w tym przekonaniu i tulą go mocniej do swych targanych szlochem piersi.

Jego matka ponownie znika, zamknięta w odosobnieniu. Tym razem wszakże, kobiety gorliwie i często donoszą mu o jej stanie zdrowia – miała dziś nawrót, noc była ciężka, wypoczywa, dziś rano znów nie chciała jeść.

Rozkoszuje się cierpieniem, z jakim matka przyjmuje sprawiedliwą karę za to, że go zdradziła. Mija tydzień i z odległej, zamorskiej placówki powraca jego ojciec – nawet nie zdążył zobaczyć uzurpatora. Oczy ojca przepełnia współczucie, kiedy wita się z młodym królem, ale spędziwszy godzinę za zamkniętymi drzwiami komnaty matki, udaje się wprost do syna i prowadzi go do swego pokoju. Zostają tam sami. Ojciec nie odzywa się ani słowem. Ujmuje palcami podbródek chłopca i przez wiele długich minut przygląda się jego twarzy. Patrzy nań podejrzliwie – to spojrzenie mówi mu, że matka faktycznie zauważyła go tamtej nocy, ale nie jest do końca przekonana. Ma wątpliwości, stąd tylko podejrzliwość, a nie jawnie rzucone oskarżenie. Król umie ukryć swoje sekrety. Nie ukazuje ojcu niczego – wyrzutów sumienia, słabości ani żadnych ludzkich uczuć. Spogląda nań z tępą beznamiętnością i nagle podejrzliwość w oczach ojca zastępuje coś innego. Strach. Ojciec wie. A chłopiec wie, że ojciec jest wobec niego zupełnie bezsilny. Król wie, że ojciec już nigdy nie odważy się zakwestionować jego autorytetu.

Kładą stworka do jasnyniebieskiej skrzyneczki, przyozdobionej girlandami wiosennych kwiatów. Chłopiec w milczeniu obserwuje, jak jego poddani szlochają, nie opiera się, gdy przechodząc obok grobu, gładzą go po głowie – to wyraz skruchy za to, że zbłądzili, a jednocześnie oddania jednemu prawdziwemu panu. Po pogrzebie, gdy jego matka ponownie się pojawia i spotykają się oficjalnie w izbie kominkowej, widzi, że coś między nimi nieodwołalnie się zmieniło. Matka nie patrzy już na niego z miłością i czułością, jak przed pojawieniem się intruza. Nie pozwala chłopcu wchodzić do swego pokoju. W następnych dniach podsłuchuje szereg pełnych smutku rozmów rodziców, które kończą się z chwilą wykrycia jego obecności, ale wie doskonale, iż nie zostaną podjęte żadne bezpośrednie działania przeciw niemu. Ojciec wraca na placówkę do Egiptu. Chłopiec spędza coraz więcej czasu w przyjemnym odosobnieniu, kontynuując naukę. Czuje, jak narasta jego moc. Zaczyna lubić samotne spacerowanie i kontemplację. W miarę upływu czasu woal milczenia spowija wszystkich jego poddanych. Nikt nie udaje już, że żywi wobec niego głębsze uczucia. Z jego strony kontakt z zewnętrznym światem zostaje ograniczony do minimum – jedyne, co go interesuje to władza i dominacja. Jednego i drugiego ma pod dostatkiem. Odzyskuje swój

tron.

– O Boże... – rzekł powoli Doyle, ocierając łzę z oka. – Boże... Jack.

Sparks wydawał się osobliwie niewzruszony. Spokojnie upił drinka, po czym podjął opowieść:

– W rok później kobieta odkrywa, że znów jest przy nadziei. Wiadomość tę ukrywano przed chłopcem, ale dla pewności Aleksander zostaje wysłany do odległej szkoły z internatem. Następuje to szybko, na kilka miesięcy przed spodziewanym rozwiązaniem. Aleksander przyjmuje decyzję o wyjeździe ze spokojem. To dla niego okazja do rozszerzenia sfery wpływów poza obręb ogrodowych murów. Świeża krew – mówi, spoglądając żarłocznie na otaczający go świat zamieszkiwany nie tylko przez dorosłych, którymi jest w stanie manipulować bez większych trudności, ale i przez chłopców w jego wieku, podatnych i wyczekujących nań niczym surowy kamień rzeźbiarskich narzędzi. Tym oto sposobem nikt z rodziców ani nauczycieli nie zdawał sobie sprawy, że wpuszcza do swego kurnika wygłodniałego lisa. Wiosną następnego roku potajemnie, daleko od Aleksandra, rodzi się drugi syn.

Tym razem Doyle milczał.

– Tak, Doyle. To ja pojawiłem się na scenie.

– Pozwolili mu zbliżyć się do ciebie?

– Przez wiele lat ani ja nie wiedziałem o nim, ani on nie zdawał sobie sprawy z mego istnienia. Aleksander spędzał prawie cały rok w szkole – zostawał w internacie nawet w święta Bożego Narodzenia. Na wakacje wysyłano go za granicę. Widywał rodziców tylko raz w roku, na Wielkanoc. Mój ojciec, który pracował przez wiele lat w korpusie dyplomatycznym, przeszedł w końcu na emeryturę, aby móc spędzać więcej czasu ze mną i moją matką.

Pomimo zła, jakie zostało im wyrządzone, wierzę, iż zdołali odnaleźć odrobinę szczęścia w domu, który wspólnie stworzyliśmy. Tak mi się w każdym razie wydawało. Kochali mnie i troszczyli się o mnie oboje. Dopiero gdy miałem pójść do szkoły, zacząłem podejrzewać, iż mogę mieć starszego brata. Któregoś razu bowiem stajenny, mój druh i ulubieniec spośród służby, wygadał się niechcący o chłopcu imieniem Aleksander, który przed laty odwiedzał nasze stajnie i uwielbiał konną jazdę.

Moi rodzice nigdy nie wymieniali jego imienia, ale kiedy powiedziałem im, że wiem o chłopcu, który dosiadał koni z naszych stajni, potwierdzili jego istnienie. Nie przypuszczałem, że ich powściągliwość i małomówność może mieć coś wspólnego z uczuciami, jakie żywili względem Aleksandra – nie muszę chyba dodawać, iż nie wiedziałem wtedy jeszcze o mojej

zmarłej siostrze – ale gdy usłyszałem, że mam starszego brata, istnienia którego nawet nie podejrzewałem, zaczęła zżerać mnie ciekawość. Wypytywałem służących o wszelkie informacje na temat owego tajemniczego chłopca. Najwyraźniej przykazano im, aby nic nie mówili, ale ta osobliwa zmowa milczenia pobudziła mnie do działania. Usilnie pragnąłem go poznać. Na próżno starałem się zdobyć jego adres, by móc do niego napisać. Prosiłem Boga, by pozwolił mi spotkać się z chłopcem, który w moim mniemaniu miał stać się moim towarzyszem, obrońcą i powiernikiem.

– Ale nie pozwolili ci na to? – zapytał wyraźnie zaniepokojony Doyle.

– Dopiero po dwóch latach nieustannego nagabywania i sześciu miesiącach targów ostatecznie ustalono, że nie będę mógł do niego pisać ani przyjmować od niego listów; podczas spotkania zaś nie wolno mi zostać z nim sam na sam. Z radością przyjąłem te warunki. Tego roku wspólnie pojechaliśmy na Wielkanoc do internatu, by odwiedzić mego brata. Miałem wówczas sześć, a Aleksander dwanaście lat. Przywitaliśmy się oficjalnie – uściśnięciem dłoni. Wyglądał olśniewająco – wysoki, silny, o czarnych włosach i przykuwającym spojrzeniu. Wydawał mi się wymarzonym kompanem. Nasi rodzice początkowo nie opuszczali nas nawet na moment, ale po kilku godzinach, nieco uspokojeni i wyraźnie w lepszych nastrojach, osłabili czujność.

To stało się, gdy przez ogród wracaliśmy z obiadu. Skręciliśmy za załom żywopłotu, kiedy Aleksander odciągnął mnie na bok i wcisnął do ręki kartkę, nakazując, bym za wszelką cenę ukrył ją przed rodzicami i przeczytał po powrocie do domu, gdy zostanę sam. Oprócz listu dał mi jeszcze mały, czarny i gładki kamyk, talizman – jak stwierdził – jego najcenniejszy skarb, który postanowił mi podarować. Postąpiłem tak, jak mnie prosił, i po raz pierwszy świadomie zataiłem owo wydarzenie przed rodzicami. Pierwszy klin pomiędzy moim a ich życiem został brutalnie wbity, powstała wąska szczelina, która w miarę upływu czasu miała się powiększyć – co skądinąd było zamiarem mojego brata.

– Co napisał w liście?

– Głównie o szkole – swoich codziennych zwycięstwach i porażkach w klasie i na boisku szkolnym, do tego garść anegdot na temat barwnych postaci z jego szkoły i dobrych rad, jak należy postępować z nauczycielami oraz uczniami. Pisał pewnym siebie, acz konfidencyjnym tonem starszego, bardziej światowego brata, wprowadzającego młodszego w tajniki szkolnego świata. Wszak przede mną otwierała się teraz droga edukacyjnej kariery. List utrzymany był w dość zażyłym klimacie, sprawiającym wrażenie, jakbyśmy znali się z Aleksandrem przez całe życie. Przyjacielski, wielkoduszny, gładki, bardziej niż tylko trochę zabawny, innymi słowy taki, jaki powinien być list od starszego brata. Nie było w nim nic, co

mogłoby zaniepokoić moich rodziców, gdyby go znaleźli, aczkolwiek podjąłem wszelkie możliwe kroki, by temu zapobiec. Żadnego uzalania się nad sobą czy pomstowania na rodziców, którzy go porzucili. Ani słowa skargi w związku z brakiem zainteresowania jego osobą. Wręcz przeciwnie – pisał o nich z największym uznaniem i miłością, wdzięczny, że wysłali go do szkoły, dzięki czemu otworzyły się przed nim nowe, szerokie perspektywy, które miał nadzieję kiedyś zrealizować, a co za tym idzie, odplacić rodzicom po tysiącokroć za to, co dla niego uczynili.

Dopiero w ostatnim akapicie pojawił się haczyk, wokół którego utkana była cała osnowa stworzonej przez niego fikcji. Szczerłość, granicząca z naiwnością, brak żalu do rodziców, jego otwartość, wywołana naszym poznaniem – wszystko to stanowiło dowód sprytniej, bystrej, wręcz wyjątkowej osobowości. Dopiero w ostatnich słowach jego złowieszczy geniusz objawił się w całej okazałości.

– W jaki sposób?

– „Choć wydaje się jasne, że sami musimy stawić czoło różnym wyzwaniom życiowym, sama świadomość, że żyjesz, mój bracie, daje mi sekretną moc, której zawsze pragnąłem, by móc funkcjonować”. – Sparks wypowiedział te słowa cicho, z pełną powagą. – Stoicka dzielność nieokreślonych, acz sugerowanych przeżyć urosła w mej wyobraźni do gigantycznych rozmiarów – sugestia zaś, że ja, podówczas sześciolatek, mogłem przyczynić się do złagodzenia bólu owego lśniącego ideału, będącego dla mnie przykładem, okazała się nieprzeparta dla nieopierzonego jeszcze umysłu. Byłem zbyt niedoświadczony, by nie dać się złapać na tę przynętę. Sugestia była jasna i wyrazista – mój brat, lepiej niż ja sam, znał tkwiący we mnie potencjał. Wierzyłem, że w swoim czasie objawi mi go, pozwoli odkryć prawdę o mej tożsamości, po czym zjednoczymy siły w obliczu przeciwności całego świata. Gdyby wtedy, w pierwszym liście, poprosił mnie o to, bez wahania rzuciłbym się na ostrze bagnetu.

– Jak mu odpowiedziałeś?

– List kończył się instrukcją, w jaki sposób, gdybym miał ochotę, mogę mu odpisać. Szkoła otrzymała ścisłe polecenia od moich rodziców, by przejmować i zwracać im całą przychodzącą do Aleksandra korespondencję. Miałem zaadresować list na nazwisko jednego z jego kolegów z klasy – od czasu swego przybycia do szkoły Aleksander pozyskał grupę oddanych mu uczniów, a ich liczba rosła z każdym rokiem – po czym list miał zostać dyskretnie doręczony właściwemu adresatowi. Naturalnie ta potajemna procedura jeszcze bardziej wzmogła mój entuzjazm. Odpisałem natychmiast, otwierając przed nim serce, a tęsknota za mistrzem, który tak niespodziewanie pojawił się w moim życiu, tryskała ze mnie

jak woda z górskiego źródła. Zrobiłem z siebie durnia.

– Byłeś tylko małym chłopcem – odrzekł Doyle. Sparks nie był wobec siebie równie łaskawy. Jego oczy zwięzły się w czarne punkciki skierowanego przeciw samemu sobie gniewu. Wypiwszy brandy, zamówił natychmiast następną. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Nikomu.

Doyle wiedział, że Jack nie oczekiwał współczucia i nie przyniosłoby mu ono ukojenia. Na stoliku przed Sparksem pojawiła się nowa porcja brandy.

– Wysłałem mu list. Oczywiście przewidział to i zapewnił, że poczynił przygotowania w celu zapewnienia stałej wymiany korespondencji – problem stanowiło dostarczanie mi napisanych przez niego listów. Posługując się zmyśloną historyjką o okrucieństwie rodziców, pozyskał dla swoich celów jednego z kuzynów swego adiutanta (a miał ich wielu), cichego, spokojnego i godnego zaufania młodzieńca mieszkającego w wiosce niedaleko naszego domu. Ustalono, że listy od Aleksandra będą przychodzić na jego adres regularnie, dwa razy w tygodniu, po czym chłopak przywiezie je rowerem na teren naszej posiadłości i zostawi w pudełku po biszkoptach, które zakopałem w pobliżu starego dębu – słupa granicznego posesji, niewidocznego z żadnego z okien głównego domu.

I tak rozpoczęła się moja korespondencja z bratem. Od początku była bogata w treści, a charakteryzowała ją akademicka żywość i dociekliwość. Zainteresowania Aleksandra, zdolność zgłębiania tajemnic świata i wyjaśniania ich mnie, były zdumiewające. Jego wiedza z dziedziny historii, filozofii, sztuki oraz nauki mogła wprawić w osłupienie. Potrafił prowadzić z wykładowcami długie dysputy na poziomie uniwersyteckim. Czynił to w tak ujmujący, bezpretensjonalny sposób, że profesorowie uważali Aleksandra bardziej za swego kolegę aniżeli za ucznia. Ze szkoły, do której uczęszczał, wywodziły się w swoim czasie rzesze członków parlamentu, a nawet kilku premierów – ten sposób myślenia błyskawicznie się zakorzenia – i nauczyciele zgodnie potwierdzali, iż chłopiec jest ewenementem, który zdarza się raz na całe pokolenia.

Aleksander postawił sobie następnie za cel zabłyśnięcie w kręgach towarzyskich, tak jak dał się poznać w społeczności akademickiej. Zdał sobie sprawę, że jego ostateczne cele (na tym etapie życia już ściśle określone), będą wymagać od niego wyjątkowej błyskotliwości i sprawności, zarówno ciała, jak i umysłu. Musiał cechować się elokwencją, nieskazitelnymi manierami i ubiorem. W rezultacie, mając lat dwanaście, przewyższał pod każdym względem swoich rówieśników z każdej klasy społecznej, a także osoby dużo starsze. Aby osiągnąć tężyżnę fizyczną, wyznaczył sobie wyjątkowo brutalny i rygorystyczny cykl treningów, które prowadził z fanatycznym zawzięciem. Podczas gdy inni chłopcy spędzali czas na zabawie

albo z rodzicami, Aleksander samotnie ćwiczył w sali gimnastycznej. Narzucił sobie tak ostrą dyscyplinę i trenował z taką pasją, że zanim skończył trzynaście lat, brano go często za dwudziestolatka. Pełny, barwny opis swego rozwoju albo innymi słowy – swojej religii (o religii chrześcijańskiej, którą zmuszony był poznawać, wyrażał się z dystansem lub jawną drwiną), przekazywał mi, rzecz jasna, w listach. Objawiał się w nich jako awatar samodoskonalenia, pierwszy przedstawiciel nowej rasy – Nadczłowieka.

W zasadniczy, acz niedostrzegalny dla moich rodziców, sposób, przyjąłem jego filozofię doskonalenia samego siebie, która stała się kamieniem węgielnym mojego życia. Z całego serca zapragnąłem uczynić siebie na jego obraz i podobieństwo. Stałem się jego uczniem.

– Niezupełnie ze szkodą dla ciebie.

– Absolutnie. Umiejętności i zdolności, które opanował, były same w sobie jak najbardziej korzystne. Bez wahania polecałbym ich wprowadzenie jako podstaw każdego szanującego się systemu edukacyjnego. Jednakże osiągnąwszy pewien poziom, Aleksander już nie posunął się dalej, nie przekroczył pewnej granicy, co powinno być logicznym rozwiązaniem w przypadku człowieka o tak niesamowitych osiągnięciach. Jego instruktorzy zaś nie próbowali go do tego namawiać – utalentowani pasjonaci są w naszym świecie tak wielką rzadkością, że wystarczyło im samo poświęcenie i żarliwość Aleksandra. Zupełnie ich zaślepił.

– Co było jego celem, Jack?

– To z czasem wyszło na jaw – rzekł Sparks. – W początkowym okresie nie wspominał o tym ani mnie, ani nikomu innemu.

– Musiałeś coś podejrzewać.

– Nie miałem powodu, by kwestionować jego motyw.

– Ale przecież musiał się jakoś zdradzić, choćby mimowolnie.

– Znaki pojawiały się przez cały czas, ale były tak sprytnie zatuszowane, że wszelki związek między nimi a ich ewentualną interpretacją był niemożliwy do wykrycia, nawet dla wyjątkowo bystrego i zdeterminowanego obserwatora.

– Jakie znaki, Jack? – spytał Doyle, ponownie odczuwając niepokój.

– Wypadki. Dziwne zbiegi okoliczności. Na miesiąc przed naszym spotkaniem jeden z chłopców z klasy Aleksandra zginął w tajemniczych okolicznościach. W ogródku szkolnym hodowali pszczoły, które trzymali dla celów naukowych. Którejś nocy w pobliżu jednego z uli znaleziono ciało chłopca. Zginął od zatrucia jadem pszczelim, użądłony chyba z tysiąc razy. To był niezdarne chłopak, często z niego podkpiwano – musiał rozwścieczyć owady,

sprovokować je – skonstatowano w szkole. Chłopak był w pewien sposób związany z moim bratem, ale nie do tego stopnia, by próbowano bliżej to zbadać. Nikt nie wiedział, że ostatnio często się kłócili. Nikt nie wiedział, że chłopak odmówił wykonania jednego z władczych rozkazów Aleksandra, grożąc, że opuści ich krąg i zdradzi wszystkie sekrety.

– Jakie sekrety?

– Przysięgi krwi. Brutalne traktowanie nowych uczniów przyjmowanych do grupy. Torturowanie małych zwierząt. Typowe zachowanie dla większości chłopców, ale w ich przypadku „norma” została znacznie przekroczona. Aż do tamtego wypadku. Nikt nie wiedział, że chłopak został tej nocy zwabiony do pasieki, otrzymawszy liścik od jednego z podwładnych Aleksandra – ale napisany przez niego samego, a raczej zręcznie podrobiony, aby wyglądało, że to ten drugi chłopak był jego autorem. Zausznik mego brata prosił o spotkanie, bo jak napisał, on również ma już dość służenia Aleksandrowi. Kiedy chłopiec przybył na miejsce, został ogłuszony, a następnie wrzucony do roju pszczół.

– To on musiał opowiedzieć ci o tym wszystkim – rzekł Doyle.

– Dojdę do tego. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, zapamiętałem osobliwy naszyjnik, który nosił Aleksander – bursztyn z zatopioną w nim pszczołą.

Doyle, zdumiony, pokręcił głową.

– To nie wszystko. Tej jesieni, gdy Aleksander skończył trzynaście lat, w mieście niedaleko szkoły doniesiono o serii dziwnych obserwacji. Wiele młodych kobiet z dobrych domów (była to zamożna osada głównie dla ludzi z wyższej klasy średniej) doniosło, że podczas wieczornych spacerów ktoś je śledzi. Inne miały wrażenie, że ktoś obserwuje je w ich własnych sypialniach. Nigdy nie widziały twarzy, a w kilku nielicznych przypadkach tylko ciemny kształt, odziany od stóp do głów na czarno. Nie miały wątpliwości, że był to dobrze zbudowany mężczyzna. Zawsze zachowywał dystans, nigdy się nie zbliżał, nigdy żadnej nie zaatakował, lecz mimo to zdawał się emanować jakąś osobliwą, mroczną i niepokojącą aurą.

Którejś nocy jedna z dziewcząt obudziła się, by ujrzeć postać stojącą obok jej łóżka. Strach kompletnie ją sparaliżował, nie mogła wydobyć z siebie głosu, a tymczasem postać wymknęła się bezszelestnie przez otwarte okno. Incydent ten skłonił miejscowy komisariat do szybkiego, aktywnego działania. Zabroniono młodym kobietom spacerów po zmroku. Zastony musiały być szczelnie zaciągnięte, a okna zamykane, w miejscach zaś, gdzie widywano tajemniczego intruza, pojawiły się policyjne patrole. Działania konstabli zdawały się skuteczne – doniesienia o ciemnym mężczyźnie nagle ustały i przez całą zimę nie zarejestrowano ani jednego incydentu. Z nadejściem wiosny ludziom znudziło się

przestrzeganie nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa – okna otwierano szeroko, by wpuścić do mieszkań świeże, rześkie powietrze, a młode dziewczęta, sądząc, iż są bezpieczne, ponownie zaczęły chodzić na wieczorne spacerki.

Aż pewnej kwietniowej nocy nad brzegiem rzeki została napadnięta najładniejsza dziewczyna w mieście. Zgwałcono ją. Zaspokoiwszy swoje żądze, napastnik wpadł w szal i brutalnie zmaltretował nastolatkę. Dziewczyna ani razu nie zobaczyła jego twarzy. Mężczyzna nie odezwał się do niej, nie wydał żadnego dźwięku. Określiła go jako „czarny kształt”.

– Czy Aleksander znalazł się wśród podejrzanych?

– W trakcie śledztwa policja przeprowadziła rutynowe przesłuchania władz szkoły, do której uczęszczał Aleksander, choć wszyscy przypuszczali, iż napastnikiem musi być dorosły mężczyzna (na co wskazywałyby jego wzrost oraz siła), najprawdopodobniej ten sam, którego widywano poprzedniej jesieni. Uczniom po zmroku nie wolno było opuszczać internatu. Jak ustalono, w czasie napadu wszyscy znajdowali się w swoich łóżkach.

– Nietrudno to zaaranżować. Naturalnie sprawcą był twój brat.

Sparks pokiwał głową.

– Obudziło się w nim zainteresowanie płcią przeciwną i miał odtąd nowy głód, który musiał zaspokoić. Aleksander rzadko rezygnował ze swych pragnień – czynił to wyłącznie w celu doskonalenia swej wewnętrznej dyscypliny. Gardził wszelkiego rodzaju umizgami, uznając je za absurdalne. Śledził te dziewczyny, a potem atakował bez wahania ani wyrzutów sumienia. Skrupuły i opory moralne nie należały do zasad, którym hołdował. Jest to – jak pisał w jednym ze swoich listów – dziecięca uciecha dla słabych i niezdecydowanych. Większość ludzi wykazywała się odwagą i zdecydowaniem typowym dla bydła rzeźnego. Nadczłowiek brał od świata to, czego pragnął, a świat tylko czekał, by zaspokoić wszelkie jego zachcianki – bez względu na konsekwencje.

– Chyba, że zostałby schwytany.

– W jego mniemaniu szanse na to były zbyt małe, by w ogóle brać je pod uwagę. Był święcie przekonany, że jest w stanie przechytryć każdego. Tamten napad, nawiasem mówiąc, wydarzył się na dwa dni przed naszym spotkaniem. Gładki, czarny kamyk, który podarował mi tego dnia, został wyjęty z rzeki, nad brzegiem której zgwałcił tę dziewczynę – to było jego trofeum, pamiątka dokonanego podboju.

Doyle przełknął ślinę, walcząc z obrzydzeniem.

– Podczas twojej wizyty musiano mówić o gwałcie. Czy twoi rodzice nie podejrzewali Aleksandra?

– Pomimo zdarzenia, które miało miejsce przed laty, a co do którego mieli jedynie niejasne podejrzenia, nigdy pewności, nie sądzę, by moi rodzice zdawali sobie wówczas sprawę ze zła czającego się w umyśle Aleksandra.

Wówczas – pomyślał Doyle, wychwytując zawartą w zdaniu aluzję.

– Mocno nagłośnione poszukiwania, prowadzone w całej okolicy, nie przyniosły żadnych rezultatów. To przestępstwo nie było dziełem popędu, lecz zimnej kalkulacji – mój brat sprawnie zatarł za sobą wszystkie ślady.

– Nie popełnił innych przestępstw? – spytał Doyle.

– Nie w tym mieście. I odczekał pewien czas. Na własną prośbę i dzięki rekomendacji swojego profesora, spędził lato w Salzburgu, studiując na tamtejszym uniwersytecie chemię i metalurgię. Ćwiczył również szermierkę i w niedługim czasie stał się mistrzem szpady i floretu. Trzynastoletni chłopak, pamiętaj. Miał ustalony porządek dnia: od rana do wieczora szlifował swe naukowe umiejętności – szczeniak wśród starych wyg – tworząc w laboratorium nowe związki i stopy i zdobywając isticie encyklopedyczną wiedzę; nocami zaś ćwiczył się w podchodach i śledzeniu. Wyszkolił się do tego stopnia, że potrzebował nie więcej niż godzinę, dwie snu na dobę, dzięki czemu mógł spędzać cały czas między zmierzchem a brzaskiem na polowaniach. Nawiasem mówiąc, te nocne wypady wcale nie były przypadkowe i nieprzemyślane – podobnie jak studia naukowe, miały za zadanie sprawdzenie i zahartowanie jego nerwów.

– Jak chciał to osiągnąć?

– Wdzierał się do wybranych przez siebie domów. Godzinami przesiadywał w sypialniach różnych ludzi. Wtapiał się w ciemne kąty i mroczne zakamarki. Ci ludzie znajdowali się o kilka cali od niego, a bicie jego serca ani razu nie przyspieszyło rytmu. Obserwował, jak spali. Zabierał na pamiątkę swej wizyty jakąś drobnostkę – znowu te trofea, zawsze miał słabość na ich punkcie – to nigdy nie były przedmioty o większej wartości, jakieś błyskotki, drobiazgi, których zniknięciem nikt się zazwyczaj nie przejmował. Doszedł do takiej perfekcji, że nocą, w ciemnościach, widział prawie równie dobrze jak inni ludzie w słoneczne popołudnie. W końcu stał się bardziej istotą nocy, całe dni spędzał zaś w murach uczelni, pochłonięty swoimi badaniami. Pod koniec pobytu w Austrii Aleksander umiał przemykać się nocą niczym duch, bezgłośny i niewidzialny.

W noc poprzedzającą jego powrót do Anglii pozwolił sobie jeden jedyny raz na zaspokojenie trawiącej go żądzy, którą tłumił od tylu miesięcy. Była tam pewna dziewczyna, do której mieszkania trafił podczas jednej ze swych nocnych wędrówek. Gdy ujrzał ją śpiącą, widok ten tak go podniecił, że zapragnął odwiedzić ją ponownie. Pragnienie to przemieniło

się w obsesję. Siedemnastoletnia blond piękność, jedyna córka bogatego mieszczanina miała wiele czaru i wdzięku, ale największą pokusą była jej niewinność. Zainteresowanie Aleksandra przybrało formę osobliwych, perwersyjnych umizgów – zaczął śledzić ją, nawet za dnia. Podniecało go, gdy stawał obok niej w sklepie, mijał ją na ulicy, odpowiadając na jej niczego niepodważający uśmiech, nigdy jednak nie odważył się do niej odezwać. Wydaje mi się, że w głębi serca poczuł do tej dziewczyny przyływ szczerzej, romantycznej miłości. Napisał dla niej wiersz. Któregoś razu w wazonie przy oknie zostawił jej czerwoną różę. Z każdą kolejną wizytą Aleksander nabierał coraz większej śmiałości, odkrywał ją, dotykał jej włosów. Obserwował ją, gdy spała, i naśladował każdy mimowolnie wykonany gest. Pragnął ujawnić się, wziąć ją w ramiona i posiąść. Jednakże na chłodno, za dnia, nie był w stanie tolerować dreszczy i słabości wywołanych wspomnieniem jej nieziemskiej urody. Nadczłowiek nie mógł pozwolić sobie na takie uzależnienie od drugiej osoby. To było nie do pomyślenia.

Tak więc podczas ostatniej nocy w Austrii Aleksander wkradł się do jej pokoju. Nasączył chustkę chloroformem i przyłożył do ust ukochanej. Niepostrzeżenie wyniósł ją z domu do pobliskiego lasu, gdzie niczym nocny demon, na różne sposoby zaspokajał swe perwersyjne żądze. Kiedy je zaspokoił, zaniósł ją jeszcze głębiej w las, uciszając chloroformem, gdy zaczynała dochodzić do siebie. Związawszy jej ręce i nogi, ułożył ją delikatnie na posłaniu z sosnowych igieł. Zanim ogarnięci paniką mieszkańcy miasteczka znaleźli ją następnego dnia wieczorem, Aleksander był już na pokładzie statku pocztowego płynącego do Anglii.

– Nie zabił jej – rzekł Doyle ze zdumieniem i wyraźną ulgą.

– Nie, ani nie pobił po tym, jak ją posiadł, tak jak uczynił z poprzednią dziewczyną. Wydaje mi się, że jego uczucia względem niej były bardziej złożone, bardziej osobiste, niż wszystko czego dotąd doświadczył. Podczas gdy spreczne strony jego natury znalazły się w impasie, potrzeba plugawienia i profanacji została zepchnięta na dalszy plan. Po powrocie Aleksander gorliwie opisał mi ów „letni romans”. Kiedy odpisałem, z pewną dozą sceptycyzmu – a jak dziś sędzę, była to raczej ignorancja – że nie znam się na sprawach męsko-damskich, poza tym, czego dowiaduję się od niego, jako dowód przesłał mi kosmyk jej włosów.

– Zawsze próbował zrobić z ciebie swego współnika.

– Pomimo iż niewiele wówczas wiedziałem, trzymając w ręku ten jasny kosmyk, poczułem pod sercem pierwsze ukłucie niepokoju i niepewności co do prawdziwej natury mego brata. Z tego cudownego kosmyka emanowało coś złego, jakby pozostałość cierpienia.

Czułem, że coś było nie tak. Natychmiast się go pozbyłem, wyrzucając go do strumienia opodal starego dębu, i przez tydzień nie pisałem do Aleksandra. W następnym liście nie wspomniał już ani słowem o dziewczynie ani nie strofował mnie za brak odpowiedzi, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Z wdzięcznością uznałem mój niepokój za nieuzasadniony. Znów pisywaliśmy do siebie.

Kelnerzy w jadalni przykręcali płomyki gazowych lamp. W sąsiedniej sali orkiestra zaczęła grać walca Straussa. Na parkiet wyległy tańczące pary. Radosny nastrój i pary na parkiecie nie zdołały rozchmurzyć sposepniałego Jacka. Sparks wpatrywał się w kieliszek, jego oblicze było ponure, a oczy wydawały się nawiedzone i dzikie.

– I tak to trwało. Listy. Doroczna wielkanocna wizyta. Przerwy w wymianie korespondencji nastąpiły dopiero wtedy, gdy moja rodzina zaczęła odwiedzać Europę. Niemniej, nawet wówczas po powrocie oczekiwał na mnie pakiecik listów. Aleksander był mi absolutnie oddany, skądinąd z wzajemnością. Zawsze gorliwie wyczekiwał na informacje o moim dorastaniu i sukcesach, nigdy nie przekroczył granic ściśle strzeżonych przez naszych rodziców. Jak na kochającego brata przystało, wydawał się żywo zainteresowany moim rozwojem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Teraz już wiem, że badał moje postępy, opierając się na skrzętnie sporządzanych przez siebie zapiskach – jak w przypadku szczura w laboratorium – aby sprawdzić, czy znajdują potwierdzenie jego metody rozwoju i wychowania Nadczołwieka. Poza tym chciał mieć pewność, że jeżeli chodzi o mój rozwój, jestem mocno opóźniony; ten uczeń w żadnym wypadku nie mógł przerosnąć Mistrza. Na rok przed pójściem na uniwersytet, gdy byłem prawie w tym samym wieku i miałem prawie ten sam wzrost co on, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie wiedzieć czemu, niemal z dnia na dzień przestał korespondować. Ja z kolei zacząłem pisać do niego częściej i z coraz większą desperacją. Żadnej odpowiedzi. Co gorsza, żadnego wyjaśnienia. Poczulem się jakby odjęto mi którąś z kończyn. Słałem list za listem, błagając go, by odpowiedział – czy nieświadomie czymś go uraziłem? Dlaczego mnie opuścił?

– Jego praca nad tobą dobiegła końca.

– Nie. Zamierzał mną wstrząsnąć, dając mi do zrozumienia, jak szybko mogę utracić jego przychylność. Zasiewając ziarno lęku, wzmógł swój wpływ i jeszcze bardziej uzależnił mnie od siebie. Minęły cztery miesiące. Wyobrażałem sobie różne straszne historie, aż w końcu udało mi się wyzwolić od brzemienia odpowiedzialności. Uznałem, że musiało się to stać za sprawą moich rodziców. Odkryli naszą korespondencję i podjęli zdecydowane działania, aby ją ukrócić – przenieśli Aleksandra w jakieś inne miejsce lub odizolowali go tak skutecznie, iż nie był w stanie przekazywać mi swoich listów. Być może faktycznie byli tak

podstępni i mściwi, jak zdawały się mgliście sugerować listy z ostatniego roku. Ich bezwzględność wobec mnie, miast usunąć podejrzenia, wzmogła je jeszcze bardziej. Kiedy pytałem, jak się miewa mój brat – co ze zrozumiałych względów czyniłem raczej rzadko – zapewniali mnie, iż miewa się doskonale i że wszystko u niego w porządku. Wiedziałem, że kłamią! Musiał usychać z tęsknoty, pozbawiony z ich woli kontaktu ze mną, i nie wątpiłem, iż ta okropna rozłąka jest dla niego, podobnie jak dla mnie, nie do wytrzymania.

Pragnąłem odwetu, ale nie chciałem dać po sobie poznać, jak bardzo mnie zranili, i zacząłem świadomie ukrywać przed nimi swe uczucia, otaczać się kamiennym murem uprzejmej, acz pełnej dystansu samowystarczalności, tak jak to czynił w ich obecności Aleksander.

Natychmiast zorientowali się, że coś się dzieje, ale ja uparcie twierdziłem, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i liczyłem dni i godziny dzielące mnie od Wielkanocy, kiedy znowu będę mógł spotkać się z Aleksandrem. Ku memu zdumieniu, nasi rodzice nie zabronili nam tego spotkania, co tylko potwierdziło moje przekonanie, iż posługują się nader wysublimowanymi i podstępnymi metodami.

Kiedy się spotkaliśmy, Aleksander nie zdradzał najmniejszego rozczarowania czy niezadowolenia z rodziców, a w ich towarzystwie był jak zawsze uprzejmy i wesoły. Siedząc na werandzie i popijając herbatkę z głogu, wyglądaliśmy jak idealna, wzorowa angielska rodzina. Rozmowy dotyczyły głównie studiów, które Aleksander miał podjąć na jesieni.

Wykorzystując rezerwy samokontroli (tej sztuki doskonale nauczył mnie Aleksander), powstrzymałem w sobie impuls, by odciągnąć go na stronę i błagać, by wyjawiał mi przyczynę swego długiego milczenia. Okazja nadarzyła się dopiero późnym popołudniem, gdy jak zwykle wracaliśmy po obiedzie przez ogród; spacer ten stał się niejako rytuałem naszych dorocznych odwiedzin – dwaj bracia idący dziesięć kroków przed rodzicami. Nasze twarze i gesty nie wyrażały zdenerwowania, usłyszałem od niego zaledwie kilka słów, ale przepełniał je konspiracyjny, poufny ton, który pragnąłem usłyszeć od tylu miesięcy: „Wybierz się w lipcu do Europy. Sam”.

Zasugerował Salzburg, słynący z akademii muzycznej. Byłem wstrząśnięty. Jak tego dokonać? Jakim sposobem? Nie miałem pojęcia. Stwierdził, że wszystko zależy ode mnie, ale było to bez wątpienia najtrudniejsze zadanie, jakim mnie obarczył. Obiecałem, że się postaram. Zrobię, co w mojej mocy. On na to: musi ci się udać, za wszelką cenę. Wtedy za nami pojawili się rodzice i nasza rozmowa dobiegła końca.

– Chciał się tam z tobą spotkać – rzekł Doyle.

– Tak właśnie przypuszczałem. Po powrocie do domu niezwłocznie zacząłem tworzyć

odpowiednie tło do przyszłego wyjazdu, podejmując, zrazu chaotyczne, próby opanowania gry na skrzypcach. To, co było przymusem, przerodziło się w pasję. Ćwiczyłem codziennie całymi godzinami. Nigdy nie podano w wątpliwość mego zaangażowania, a rodzice, którzy zawsze kochali muzykę, zachęcali mnie do większych wysiłków. Ku memu zdumieniu stwierdziłem, że mam talent do gry na skrzypcach – można by rzec, iż byłem cudownym dzieckiem. Udawało mi się wyczarowywać z tych strun muzykę mego własnego wszechświata, jakbym odkrył zupełnie nowy język, pod wieloma względami bardziej wymowny niż ten, którym posługujemy się na co dzień. Od czasu do czasu żaliłem się na brak nauczyciela adekwatnego do mych, wzrastających w błyskawicznym tempie, umiejętności. Wspomniałem, że słyszałem o konserwatorium muzycznym w Austrii, gdzie szkolą się wielkie talenty naszego wieku, by rozpocząć wspaniałe, międzynarodowe kariery.

Kiedy kilka tygodni później moi rodzice zaproponowali, bym spędził nadchodzące lato we wspomnianej akademii, udałem zdumienie i zasypałem ich wyrazami bezgranicznej wdzięczności za tę hojność i wielkoduszność. Nie wiedziałem, co napawało mnie większą dumą – sprytem, z jakim załatwiłem sobie wyjazd, czy wirtuozeria w grze na skrzypcach.

Następnego dnia napisałem do Aleksandra ostatni list, jedno krótkie, zagadkowe słowo: załatwione. Nie otrzymałem odpowiedzi. W połowie czerwca rodzice odwieźli mnie do Brighton – wraz ze służącym, który miał mi towarzyszyć w podróży – skąd miałem wyruszyć na moją pierwszą, samotną, europejską przygodę. Obrawszy kurs na kontynent, w dwa dni później przybyłem do Austrii i natychmiast zostałem przyjęty do liceum w Salzburgu, gdzie oddając się nauce, oczekiwałem nadejścia lipca i wiadomości o przyjeździe Aleksandra.

Na parkiecie pojawili się rewelersi. Orkiestra zaczęła grać stare, sentymentalne utwory. Nowy Rok zbliżał się wielkimi krokami. Szalona ekstaza opanowała gości. Radość z tego szczęśliwego wydarzenia oscylowała pomiędzy *bona fide* podnieceniem a poniekąd narzuconym obowiązkiem.

– Przesłał wiadomość?

Sparks spojrział na Doyle'a, jego oczy były przezroczyście i zimne. Doyle, jak nikt dotąd wejrzał głęboko w duszę Sparksa.

– Nie tak, jak się tego spodziewałem. W drugim tygodniu lipca wywołano mnie z klasy podczas ćwiczeń i zaprowadzono do gabinetu dyrektora. Był tam mój służący – nieszczęśnik trząsł się ze zgrozy, blady jak płótno i spocony jak szczur. Co się stało? – spytałem, ale znałem odpowiedź, zanim ją jeszcze usłyszałem.

Doyle wsłuchiwał się uważnie w jego słowa. Wszyscy wbili wzrok w tarczę zegara

nad barem. Tłum zaczął chórem odliczać ostatnie sekundy odchodzącego roku.

– 10... 9... 8...

– Musisz niezwłocznie wrócić do Anglii. Jeszcze dziś wieczorem, usłyszałem od dyrektora – relacjonował Sparks, podnosząc głos, aby doktor mógł go usłyszeć. – Wydarzył się pożar.

– 7... 6... 5...

– Czy oni nie żyją? Czy moi rodzice nie żyją?

– 4... 3... 2...

– Tak, John – powiedział. – Oboje.

Odliczanie dobiegło końca i sala rozbrzmiała kakofonią rozmaitych dźwięków. W powietrzu zaroilo się od serpentyn. Kochankowie całowali się, nieznajomi obejmowali. Orkiestra grała. Doyle i Sparks przesiedzieli całą tę doniosłą chwilę, zapatrzeni na siebie, zastygli w absolutnym bezruchu.

– Aleksander – rzekł Doyle, choć wiedział, że Sparks go nie słyszy. Nie słyszał nawet samego siebie.

Sparks pokiwał głową. Bez słowa podniósł się z krzesła, rzucił na stół kilka banknotów i zaczął przebijać się w stronę drzwi. Doyle podążył za nim, jego marsz przypominał bardziej akcję napastnika rugby niż chirurgiczny manewr Sparksa, który w końcu zdołał przedrzeć się do wyjścia i wydostać na zewnątrz. Doyle przecisnął się do przyjaciela, który paląc cygaretkę, stał pod latarnią, z dala od przechodniów. Weszli w pustą, boczną ulicę. Niebawem dotarli do rzeki. Po drugiej stronie Tamizy rozpoczął się pokaz sztucznych ogni – eksplodujące w powietrzu strugi różnobarwnych iskier rzucały mroczne refleksy na czarną, zimną wodę.

– Dotarcie do domu zajęło mi dwa dni – powiedział po chwili Sparks. – Domu nie było. Został tylko popiół. Miejscowi powiedzieli, że ogień było widać z odległości dobrych paru mil. Pożar wybuchł nocą. W pożodze zginęło również pięciu służących.

– Czy ciała...

– Zwłok matki nie znaleziono. Mój ojciec... Zdołał jakimś cudem wydostać się z domu. Znaleziono go w pobliżu stajni. Był strasznie poparzony. Nie do poznania. Żył jeszcze prawie cały następny dzień. Pragnął się ze mną zobaczyć i miał nadzieję, że zdążę przyjechać. Przed śmiercią zebrał dość siły, by podyktować księdzu list. List do mnie. Kapłan wręczył mi go, kiedy przyjechałem.

Sparks patrzył na rzekę. Wiał lodowaty wiatr. Doyle, ubrany w smoking, trząsł się jak osika, ale nie chciał zwracać uwagi na tak drobną bądź co bądź niewygodę.

– Ojciec w liście chciał mi przekazać, że miałem kiedyś siostrę, która żyła przez pięćdziesiąt trzy dni. Mój brat pewnej nocy zamordował dziewczynkę, a moja matka zobaczyła go bezpośrednio po dokonaniu tego strasznego czynu. Właśnie dlatego rodzice postanowili nas rozdzielić i przez tyle lat nie informowali mnie o jego istnieniu. Teraz zaś, kiedy zarówno on, jak i moja matka odchodzili z tego świata, ostatnim życzeniem mego ojca było, abym na zawsze zerwał wszelkie kontakty z Aleksandrem. Z moim bratem od początku było coś nie tak. Miał w sobie coś nieludzkiego. Jego umysł wydawał się równie błyszczący i fałszywy jak czarny diament. Wbrew zdrowemu rozsądkowi rodzice zawsze wierzyli, że Aleksander mimo wszystko zmieni się na lepsze. Między innymi dlatego brali za dobrą monetę kłamstwa, którymi ich karmił. Teraz zaś, po raz drugi – za co mój ojciec winił wyłącznie samego siebie – przyszło im zapłacić okrutną cenę za utratę czujności. Na tym kończył się list mojego ojca.

– Ale to nie wszystko.

Sparks spojrzał na Doyle'a.

– Ksiądz, niejako wbrew sobie, ostrzegł mnie, że kiedy zapisywał jego słowa, mój ojciec znajdował się w stanie głębokiego szoku, a katusze, jakie cierpiał w ostatnich godzinach życia, mogły nawet – Boże, uchronij – przyprawić go o utratę zmysłów. Dlatego też nie powinienem przyjmować bezkrytycznie wszystkiego, co mi przekazał. Spojrzałem mu w oczy. Znałem tego księdza od dzieciństwa. Był przyjacielem rodziny, człowiekiem o miłym i łagodnym usposobieniu. Człowiekiem słabym. Wiedziałem, że coś przede mną ukrywał. Znałem się na religii na tyle dobrze, że otwarcie zagroziłem mu judaszowym potępieniem, w przypadku gdyby okazało się, że mnie okłamał. Wszak chodziło o ostatnią spowiedź mojego ojca. To błyskawicznie go zmiękczyło. Wręczył mi drugą część listu ojca. Przeczytałem ją natychmiast. Niebawem stało się jasne, że to, co w mniemaniu i pobożnych życzeniach księdza było szaleńczym majaczeniem umierającego człowieka, którego umysł zaćmił welon bólu i cierpienia, stanowiło w rzeczywistości okrutną, niewyobrażalną prawdę...

Sparks przerwał, przygotowując się do przeprowadzenia Doyle'a przez ostatni etap swego osobistego koszmaru.

– Mój ojciec chciał, abym wiedział, że ich małżeństwo nie było do końca udane. Poznali szczyty namiętnych uniesień, ale i otchłanie cierpienia. Moi rodzice mieli silne charaktery, byli bardzo niezależni. Podczas ich wspólnego życia ojciec zadawał się z innymi kobietami. Nie przeproszał za to. Nie spodziewał się współczucia ani zrozumienia. Krótko przed narodzinami Aleksandra doszło między nimi do takich spięć, że niejako w formie próbnej separacji ojciec przyjął posadę na placówce dyplomatycznej w Egipcie. Zraniona jego

odejściem matka nawiązała nienaturalną więź z synem, narzucając mu rolę, do której rzecz jasna nie był w najmniejszym stopniu przygotowany. Skutki były, najłagodniej mówiąc, niezdrowe.

W trzy lata później rodzice podjęli nieudaną próbę życia razem. Wtedy poczęta została moja siostra. Ojciec, nieświadomy tego faktu, powrócił do Egiptu i dowiedział się o dziecku dopiero po jego narodzinach. Zanim zdołał uporać się z obowiązkami i powrócić do Anglii, wydarzyła się tragedia. Matka przeżyła szok; rozpaczliwie pragnęła pocieszącej, bezwarunkowej miłości Aleksandra, ale nie była w stanie przemilczeć grozy tego, co ujrzała na własne oczy. Ojciec chciał na zawsze odesłać Aleksandra, ukarać go, umieścić pod kuratelą. Moja matka zagroziła, że odbierze sobie życie, gdyby do tego doszło. Nastąpił impas, a mój ojciec ponownie opuścił kraj. Dwa lata później, podejmując ostatnią próbę scementowania ich rozpadającego się związku, ojciec przeszedł na emeryturę i opuścił placówkę, by na stałe powrócić do Anglii. Skłonił moją matkę do kompromisu, który zaowocował wysłaniem Aleksandra do szkoły z internatem, trzecią ciążą i reorganizacją ich małżeństwa wokół drugiego syna. Syna, którego mieli wychowywać wspólnie. Syna kochanego przez oboje, a nie tylko przez jedno z rodziców. Nie wydaje mi się, aby byli nieszczęśliwi w pierwszych latach po moich narodzinach. Wręcz przeciwnie. Zaczęli nowe życie i udało im się całkiem nieźle.

Sparks wrzucił niedopałek cygara do wzburzonej wody. Doyle miał w głowie mętlik. Wziął się w garść, wiedział bowiem, że najgorsze było jeszcze przed nim.

– Tej nocy, gdy wybuchł pożar, mój ojciec wcześniej wrócił do swego pokoju. Przez pewien czas, niedługi, oddawał się lekturze, po czym usnął przed kominkiem. Obudził go głos matki, krzyczącej z bólu. Udawszy się do jej sypialni, zastał ją przywiązaną za ręce i nogi do poręczy łóżka. Nagle został uderzony z tyłu w głowę i upadł nieprzytomny. Kiedy się ocknął, był przywiązany do krzesła. Matka, tak jak poprzednio, spoczywała unieruchomiona na łóżku. Leżała na niej i gwałciła ją brutalnie jakaś postać. Postać odziana od stóp do głów na czarno. Matka krzyczała na całe gardło, jak oszalała. Postać dokończyła swego plugawego dzieła, po czym odwróciła się i uśmiechnęła, a mój ojciec ujrzał przed sobą oblicze swego starszego syna.

Doyle gwałtownie zaczerpnął powietrza – nagle zabrakło mu tchu w piersiach. Obawiał się, że zwymiotuje.

– Aleksander nie spieszył się. Zabił już wszystkich służących w domu i z odrażającymi szczegółami wyjawiał moim rodzicom, w jaki sposób uśmiercił każdego z nich. Przetrzyzymał ich w tym strasznym czyścicu przez ponad cztery godziny. Następnie oblał

naftą łóżko, na którym leżała moja matka. Zapalił jedno z cygar ojca i usiadł obok matki, dmuchając na koniuszek cygara, aby dobrze się rozżarzył. Potem przypalał jej skórę. Powiedział, aby oszczędziła sobie modłów – żadne z nich nie trafi do piekła, kiedy on, Aleksander, już się z nimi rozprawi, odpłacając im, tak jak na to zasłużyli, śmiercią za wyrządzone mu krzywdy. Piekło to miejsce, w którym się właśnie znajdowali. A on, ich oprawca, był diabłem, we własnej osobie.

Uwolnił mojego ojca i dał mu do wyboru: możesz teraz po raz ostatni kochać się ze swoją żoną albo zmierzyć się ze mną. Ojciec ogarnięty ślełą furją, rzucił się na niego. Był silnym, postawnym mężczyzną, ale Aleksander pokonał go z łatwością, bijąc brutalnie i bezlitośnie, prawie do nieprzytomności.

Za każdym razem w ostatniej chwili przestawał i ocuciwszy swą ofiarę, wymierzał jej jeszcze brutalniejszą i bardziej wymyślną karę.

To, co usłyszał mój ojciec, uświadomiło mu, że ów koszmarny automat, w którego mocy się znaleźli, nie mógł być w żadnym wypadku istotą ludzką. W końcu ogarnęło go błogie zapomnienie. Stracił przytomność. Po raz ostatni mego ojca ocucił przeraźliwy żar. Miał poparzoną skórę, a pokój stał w płomieniach – żarłoczne jęzory ognia pochłonęły już łóżko, wraz z moją matką. Ojcu udało się jakimś cudem wydostać na schody. Cały hol tonął w morzu płomieni. Ojciec wyskoczył przez okno. Przy upadku pogruchotał obie nogi. Doczołgał się do stajni, gdzie znalazł go mój przyjaciel, stajenny.

Sparks westchnął głęboko i pochylił się do przodu. Jego oblicze skryło się w cieniu. Doyle wychylił się za poręcz i zwymiotował do wody. Kaszlał i prychał, ale pozbycie się alkoholu i wykwinnych potraw było sensowne. Czekał, aż nieco przejaśni mu się w głowie.

– Przepraszam... – Cień szeptu był wszystkim, na co mógł zdobyć się w tej chwili. – Przepraszam.

Sparks nieomal niedostrzegalnie skinął głową i odczekał, aż Doyle dojdzie do siebie.

– Chciałem zobaczyć ciało ojca. Ksiądz znów się sprzeciwił, ale tym razem bez przekonania. Mój przyjaciel, stajenny, zabrał mnie do starej szopy, jedyne go budynku, jaki ocalał po pożarze, gdzie pod brezentowymi płachtami, na nieheblowanych stołach leżały ciała wydobyte z pogorzeliska. Nie rozpoznałem twarzy mego ojca. Przyjrzałem się jego rękom. Złoto z obrączki ślubnej stopiło się i zastygło wokół obnażonej kości serdecznego palca. Nagle na wewnętrznej stronie tej dłoni dostrzegłem osobliwy wzór, wypalony w warstwie ocalałej tkanki. Obejrzałem ów znak uważnie, później odrysowałem go z pamięci, aż w końcu przypomniałem sobie, gdzie go widziałem.

W ciągu wielu lat mój ojciec sprowadził z Egiptu sporą liczbą pradawnych artefaktów.

Jego zbiory składowano w jednym z pokoi w naszym domu. Mnie fascynował zawsze srebrny obiekt w kształcie oka Thota. Ojciec zauważył to i zrobił z niego naszyjnik, po czym подарował mi wymarzony amulet na moje siódme urodziny. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, Aleksander dał mi czarny kamyk, który miał być dla niego najcenniejszy, ja zaś, by się odwzajemnić, wysłałem mu w liście swój cenny naszyjnik. Ojciec niebawem zwrócił uwagę, że go nie noszę. Powiedziałem, że go zgubiłem, pływając w rzece, ale nigdy nie byłem pewien, czy mi uwierzył.

Teraz wiem, że Aleksander zakładał ten naszyjnik, udając się na swe nocne wycieczki. W jego mniemaniu ów przedmiot posiadał mistyczną moc, siłę, która czyniła go niewidzialnym. A zatem wszystko, co mój ojciec powiedział kapłanowi, było prawdą – najwidoczniej podczas walki musiał zerwać amulet z szyi Aleksandra. Chciał umrzeć z tym naszyjnikiem w dłoni. Pragnął, abym go zobaczył i zrozumiał.

Doyle doszedł wreszcie do siebie na tyle, że był w stanie mówić.

– Aleksander najwidoczniej odebrał mu amulet.

– Tak, tylko że rozpalony metal odbił się najpierw na dłoni mego ojca.

– Znaleźli Aleksandra?

Sparks pokręcił głową.

– Zupełnie jakby rozplynął się w powietrzu. Nie pojawił się w szkole. Jego poczynania zaplanowane były na wiele lat naprzód – już udało mu się zrealizować dwa z zamierzonych i najbardziej wymarzonych celów. Przekroczył granicę i nie mógł zawrócić. W trzy tygodnie po pogrzebie mój adwokat otrzymał zaadresowaną do mnie paczkę. Nie wiadomo, skąd ją wysłano. List napisany nieznaną mi ręką opisywał zabójstwo chłopca w pasiece, napad na dziewczynę nad rzeką i gwałt w Austrii. W ten sposób poznałem prawdę o pochodzeniu przedmiotów, które otrzymałem od Aleksandra. Włącznie z tym ostatnim i najbardziej odrażającym z jego trofeów.

Sparks trzymał w ręku srebrny amulet w kształcie oka.

– Zatrzymałeś go – rzekł z łagodnym zdumieniem Doyle.

Sparks wzruszył ramionami.

– Nie pozostało mi nic innego. Potrzebowałem czegoś... – Przerwał, szukając przez chwilę w myślach adekwatnego określenia. – Potrzebowałem czegoś... by zrewidować moje odczucia.

– Aby się zemścić.

– Tak, ale nie tylko. To nie stało się w ciągu dwóch tygodni. Zajęło mi to całe lata. Potrzebowałem... Sensu. Celu. Gdy jesteś dwunastolatkiem i za jednym zamachem

zniszczony zostaje twój cały świat, wszystko, w co wierzyłeś i co kochałeś...

– Rozumiem, Jack.

– Zło krąży po świecie. Żyłem w jego cieniu. Poczułem jego smak. Widziałem jego posępne dzieła. Znalazło się na świecie w ten sam sposób co ja, posiadało ciało i duszę. Świadomie oddałem się w jego ręce, pozwoliłem, by jego przedstawiciel ukształtował mnie na swój obraz i podobieństwo.

Sparks ponownie spojrzął na Doyle'a – wydawał się młody, otwarty i przepełniony czarną zgrozą.

– A jeżeli byłem taki sam jak on? Musiałem postawić sobie to pytanie, Doyle, rozumiesz? A jeśli ten sam plugawy, nikczemny duch, który nakłonił go do popełnienia potwornych zbrodni, żył również w moim ciele? Miałem dwanaście lat!

Łzy napływały Doyle'owi do oczu, kiedy zrozumiał, co musiał wtedy odczuwać ten mały chłopiec. Smutek, ból i żal wydawały się wręcz niewyobrażalne. Jak Jack mógł stawić im czoło? Doyle nie był w stanie wspomóc strapionego przyjaciela pocieszeniem, ponieważ żadne nie istniało, mógł jedynie w milczeniu oplakiwać jego tragedię.

– Musiałem uwierzyć, że nie bez powodu przyswoiłem sobie umiejętności zaszczerpane pod wpływem mego brata – rzekł Sparks ochryłym, pełnym determinacji głosem. – One nie były z gruntu złe. Musiałem uwierzyć, że są neutralne, jak narzędzia, których używa się do różnych celów, w tej kwestii bowiem kluczową rzecz stanowiło ich wykorzystanie – bądź co bądź nigdzie nie powiedziano, że istnieje tylko jeden typ Nadczłowieka. To, jaki kurs zdecyduję się obrać, zależało wyłącznie ode mnie. Mą Gwiazdą Polarną nie będzie zakłamanie i obłudne samouwielbienie, lecz sprawiedliwość. I miast śmierci, ja będę przynosił życie. Jeśli w moich żyłach płynęła ta sama krew, miałem moralny obowiązek zrównoważenia zła wyrządzonego przez Aleksandra. Postanowiłem, że stanę się siłą zwalczającą ciemność, której poddał się mój brat. Zrobię wszystko, by przywrócić dobre imię mej rodzinie, albo zginę, próbując tego dokonać. To była moja życiowa misja. Wystąpić przeciwko niemu. Pokrzyżować mu plany. Stać się jego nemezis.

Słowa Jacka ożywiły słabnący puls nadziei w piersi Doyle'a. Potem jeszcze długo dwaj mężczyźni stali w milczeniu, wpatrując się w fale rzeki.

12. BODGER NUGGINS

Noc zrobiła się dotkliwie mroźna. Droga powrotna do hotelu wydawała się Doyle'owi najdłuższą wędrówką, jaką pamiętał. Sparks był nieobecny myślami i wyczerpany. Doyle'owi z jednej strony pochlebiało to, iż Sparks zaufał mu na tyle, że postanowił opowiedzieć mu o swej przeszłości, z drugiej jednak brzemień owej historii jeszcze bardziej go przytłoczyło. Nigdy dotąd nastanie Nowego Roku nie wywarło na nim równie piorunującego, przerażającego wrażenia.

Po drodze mijali pijaków, zakochanych, gromady młodych birbantów, świętujących radosną uroczystość – śmierć starego i narodziny nowego roku. Była to okazja do złożenia błyskawicznie zapominanych obietnic, zerwania z nałogami i całkowitej przemiany duchowej. Były to, rzecz jasna, zapewnienia pisane palcem na wodzie i umowne zrywanie z przeszłością, które wraz z rozpoczęciem nowego roku, z założenia miało się z celem. Zresztą, jak można przypuszczać, że ludzki charakter jest zdolny do wewnętrznych przemian, skoro istoty takie jak Aleksander Sparks były dla całego świata jawnym dowodem przeczącym owej teorii.

Weszli do hotelu dyskretnym, tylnym wejściem, dotarli do swoich pokoi, rozpalili w kominku i otworzyli butelkę koniaku. Doyle poczuł, jak jego ciało reaguje gwałtownie na nową dawkę alkoholu, ogarnęło go ciepło i przyjemne, kojące otępienie. Sparks wpatrywał się w ogień, a tańczące płomyki odbijały się w jego ciemnych oczach.

– Kiedy ponownie zetknąłeś się z przejawami jego działalności? – zapytał Doyle, przerywając długą ciszę.

– Opuścił Anglię, spędził jakiś czas w Paryżu, po czym udał się na południe. Z Marsylii popłynął do Maroka, a następnie do Egiptu. Przybył do Kairu niecały rok po zabójstwach.

– Zostawił ślad.

– Popelniając pierwsze zbrodnie – ojcobójstwo i matkobójstwo... Czy możemy określić te zbrodnie mianem pierwszych, Doyle? Wydaje mi się, że tak, i mówię to z pełnym

przekonaniem. Udało mu się usunąć ostatnią przeszkodę do spełnienia wszelkich, nawet najbardziej wyszukanych, kaprysów czy niespodziewanych zachcianek. Teraz, gdy osiągnął już absolutną dominację w rodzinie i szkole, swoim najbliższym otoczeniu, postanowił niezwłocznie zaprezentować się światu. Jego pierwszym zadaniem było zgromadzenie kapitału w celu uzyskania finansowej niezależności. Tej nocy, gdy zamordował moich rodziców, przed podłożeniem ognia, ukradł należącą do mego ojca bezcenną kolekcję skarbów egipskich; było ich naprawdę sporo. Aleksander udał się do Kairu, by je spieniężyć. Zapłata, jaką za nie otrzymał, stała się podstawą jego ogromnej dziś fortuny.

– Popelniono również inne zbrodnie – zasugerował Doyle.

– Tamtego roku w Kairze miała miejsce cała seria zabójstw. Mój ojciec miał tam kochankę, Angielkę. Wkrótce po przybyciu Aleksandra zniknęła. W tydzień później jej głowę znaleziono na suku – tamtejszym bazarze. Ścięcie głowy jest w religii muzułmańskiej typową karą za cudzołóstwo, stąd też wzięto pod lupę miejscowy półświatek. Tyle tylko, że na czole zmarłej wyszyto czerwoną nicią literę *A*. *Notabene* kobieta miała na imię Hester.

Doyle poczuł, że znów zbiera mu się na mdłości. Zdał sobie sprawę, że jeżeli ma się przydać Jackowi w jego pojedynku z bratem, będzie musiał zachować maksimum zimnej krwi i hartu ducha. Wydawało się, że nie było granic, których nie przekroczyłby ten człowiek, a reakcja lękowa wywołana kolejnymi jego zbrodniami, bynajmniej nie wpływała pozytywnie na postawę doktora. Nie było mowy o uzyskaniu w ten sposób przewagi.

– W następnym tygodniu zlikwidował słynnego handlarza dziełami sztuki, Egipcjanina, wraz z jego żoną i dziećmi. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, sądzę, że ten człowiek zbyt długo przeciągał pewną transakcję związaną z zakupem jednego z precjozów z kolekcji mego ojca i w pewnym momencie Aleksander stracił cierpliwość. Przedmiot ów – ceremonialny sztylet – był zarazem narzędziem zbrodni. Aleksander nie wahał się przed nadaniem swoim „dziełom” makabrycznego splendoru. W Kairze zapanowała histeria, wywołana pogłoskami o klątwie grobowca mumii, skąd miał pochodzić zrabowany przez handlarza sztylet oraz inne cenne artefakty. W mieszkaniu handlarza natrafiono na zakurzone ślady bosych stóp i strzępy gnijących bandaży. Nici z tych bandaży znaleziono na szyjach uduszonych dzieci Egipcjanina i jego żony, a także na rękojeści sztyletu, którym Aleksander wyciął serce z piersi handlarza. Brakujący organ znaleziono obok ciała, w ceremonialnej misie, przysypany popiołem z liści tannisu, które, jak wierzono, były podstawowym elementem rytuału odprawianego przez kapłanów faraonów w celu ożywienia mumii. Czujesz w tym wszystkim rękę Aleksandra?

– Tak – odrzekł Doyle, przypominając sobie śmierć londyńskiej ulicznicy.

– W następnym miesiącu w podobny sposób zaatakowano miejsce wykopalisk archeologicznych, przy częściowo tylko odkopanym grobowcu. Wewnątrz znaleziono dwóch strażników – zostali uduszeni, a większość znajdujących się w krypcie artefaktów zniknęła, łącznie ze zmumifikowanymi szczątkami głównego lokatora grobowca. Również tym razem miejscowa ludność wołała uwierzyć, że zabójstwa te były dziełem żadnego zemsty trupa, który powstał z martwych, by ukarać złodziei plądrujących jego grób.

– Aleksander zainteresował się okultyzmem?

– W miarę, jak rosła jego władza nad światem fizycznym, jego zainteresowania podążyły rzecz jasna ku magii i płaszczyźnie astralnej. Egipt wywarł podobny efekt na wielu Europejczykach. W tych starych świątyniach drzemie przerażająca moc. To właśnie tam Aleksander po raz pierwszy posmakował tego, co może stać się udziałem prawdziwego, szczerze oddanego praktyka czarnych sztuk. Gdy tylko ujawnił się w nim ten głód, z miejsca stał się on centrum jego istnienia. Poza tym głodu, będącego wynikiem chciwości, nigdy nie da się zaspokoić; apetyt wzrasta w miarę jedzenia.

– Dokąd udał się później?

– O ile zdołałem to odtworzyć, przez kolejne kilka lat Aleksander podróżował po Dalekim Wschodzie, poszukując wstępu do różnorodnych Szkół Tajemnicy – zoroastran, sufistów, haszisi-asasynów zabójczego kultu Starca z Gór.

– Ale przecież oni zostali wytępieni wiele stuleci temu.

– Tak podają oficjalne źródła, forteca asasynów została zdobyta przez Turków otomańskich, a samych wyznawców Starca bezlitośnie zdziesiątkowano. Jednak niektórzy wysoko postawieni Turcy powiedzą ci, że niewielkie sekty wyznawców kultu zbrodni przetrwały w Syrii i w Iranie, zaszyte w trudno dostępnych górskich kryjówkach. Mówi się również, że za słuszością tej teorii przemawia fakt, iż techniki zabijania stosowane przez haszisi są spotykane po dziś dzień, w wielu przypadkach niewyjaśnionych morderstw na tle politycznym. Jeśli te sekty nadal istnieją, możesz być pewien, że Aleksander zdołał nie tylko je odnaleźć, ale i wydobyć od ich członków najbardziej zdradzieckie sekrety sztuki zabijania.

– Dobrze, że kiedy zaczął mnie ścigać, nie wiedziałem o nim tego wszystkiego – mruknął Doyle z głuchym westchnieniem. – Mógłbym paść trupem na sam jego widok.

Spojrzenie Sparksa zasugerowało doktorowi, iż ta ewentualność była jak najbardziej prawdopodobna. Jackowi wcale nie było do śmiechu.

– Następnym celem Aleksandra były Indie – rzekł Sparks – gdzie, jak sądzę, dostał się w szeregi morderczej sekty thugów, nieco mniej tajemniczej grupy dusicieli. Nie było to łatwe zadanie dla Anglika, będącego z założenia ich najzagorzalszym wrogiem, ale do tego

czasu Aleksander osiągnął mistrzostwo w sztuce charakteryzacji i władał biegle wieloma językami. Thugowie są mistrzami w sztuce garotowania. Obciążona z obu końców szarfa, którą miałeś okazję oglądać w akcji podczas naszej ucieczki w Cambridge, jest ich ulubioną bronią.

– Ty również znasz wiele sposobów zabijania.

Sparks wzruszył ramionami.

– Wskutek śledzenia całymi latami poczynań Aleksandra osiągnąłem biegłość w... wielu różnych dziedzinach. Czy to cię niepokoi, doktorze?

– Wręcz przeciwnie. Dzięki temu łatwiej jest mi zasnąć.

– Doskonale – rzekł Sparks i prawie się uśmiechnął.

Doyle ponownie odniósł wrażenie, jakby został zamknięty w klatce z groźnym drapieżnikiem. Uchowaj Boże, aby miał kiedykolwiek wykorzystać swoje umiejętności przeciwko mnie – pomyślał.

– I podczas wieloletniego pobytu na Wschodzie zamiłowanie Aleksandra do okultyzmu przerodziło się w obsesję.

– Dokładnie tak – odrzekł Sparks. – Gdy byłem nastolatkiem i uczyłem się geometrii oraz koniugacji czasowników nieregularnych w języku francuskim, Aleksander przemierzał Himalaje, penetrując legendarne szkoły jogi w północnych Indiach i Katmandu.

– Czytałem o tych miejscach. Jeśli rzeczywiście istnieją, a ich moralność jest równie zaawansowana jak potęga umysłu, o której nieomal krążą już legendy, z całą pewnością nie pozwolono by człowiekowi takiemu jak Aleksander na przekroczenie progu świętej szkoły.

– Niewątpliwie niektórzy tak właśnie uczynili. Niemniej są jeszcze inni, gotowi podążać... jak to określiła Bławacka?

– Ścieżką Lewej Ręki.

– Wiedziałeś, że słowo *sinister* – złowieszczy, złowrogi, groźny – w języku łacińskim oznacza „leworęczny”?

– Musiało wyjść mi z pamięci.

– Z tego, co jest nam wiadomo, horda wyjących, rogatych demonów mogła przenieść Aleksandra przez próg Wyższego Konserwatorium Ciemnego Bractwa Okaleceń Trzydziestego Trzeciego Stopnia. Pomimo iż robiłem, co mogłem, usiłując podążać jego śladem, nie jestem w stanie odtworzyć całej trasy jego mrocznych wędrówek w poszukiwaniu wiedzy.

– Podróżowałeś po Dalekim Wschodzie? – spytał Doyle, kompletując kolejne fragmenty tej osobliwej układanki.

– Właśnie z tego powodu opuściłem uniwersytet przed ukończeniem studiów. Uprzednio wchłonąłem jednak maksimum tego, co miano tam do zaoferowania. Wędrówka niezbyt wyraźnym, często zwodniczym tropem Aleksandra pozwoliła mi na osiągnięcie pełnej wiedzy na temat... praktycznych zasad rządzących światem.

Doyle postanowił nie poruszać tego tematu.

– Kiedy Aleksander powrócił do Brytanii?

– Trudno powiedzieć. Jego ślad ginie w Nepalu. Wróciłem do domu i przez wiele lat wierzyłem, że zatracił się w oparach tajemnic, które ostatecznie go pochłonęły. O ile zdołałem stwierdzić, Aleksander wrócił do Anglii przed dwunastoma laty, niedługo po tym, jak aktywnie rozpocząłem swoją karierę zawodową.

– Skąd wiedziałeś, że wrócił?

Sparks splótł palce, przyłożył do podbródka i wbił wzrok w ogień.

– Od wielu lat miałem świadomość istnienia czegoś, co można by nazwać „mózgiem” kierującym działalnością londyńskiego półświatka. Owa pajęczyna połączonych nici sugeruje, że jakaś tajemnicza ręka manipuluje pionkami na szachownicy – czająca się gdzieś w mroku obecność, bardziej wyczuwalna niż widoczna. Jednakże dzięki pewnym znakom udało mi się potwierdzić, że między z pozoru przypadkowymi, brutalnymi przestępstwami popełnianymi przez londyńskich rzezimieszków i bandytów, istniała ścisła więź, spisek zmierzający ku z góry określonemu celowi.

– I nie masz pojęcia, o co konkretnie może chodzić? Co jest tym zasadniczym celem?

– Absolutnie nie. Jak wiesz, zwerbowałem do współpracy wielu przedstawicieli półświatka i miejmy nadzieję, że zdołałem ich przy okazji zresocjalizować. Wielu z nich uraczyło mnie plotkami o Geniuszu Zbrodni, zajmującym poczesne miejsce na przecięciu wszystkich osi w kole występku tego miasta, sprawującym pieczę nad hazardem, handlem żywym towarem, porwaniami, przemytem i prostytutką – owoce tych przestępstw zawsze spływają w stronę środka.

– I uważasz, że Geniuszem Zbrodni jest Aleksander.

Sparks zamilkł.

– Nie mam pewności, czy taka osoba w ogóle istnieje. Żaden z moich znajomych nie może potwierdzić, że ktokolwiek kiedykolwiek spotkał tego mitycznego Geniusza. Jeśli jednak faktycznie istnieje, żaden człowiek na Ziemi nie byłby do tego bardziej zdolny niż mój brat. I nikt nie mógłby być niebezpieczniejszy od niego.

– Ta sytuacja w Londynie trwa już od jakiegoś czasu, niewątpliwie zaostozając nienasycony apetyt Aleksandra. Zbrodnia była niestety nieodłącznym elementem wszelkich

ludzkich doświadczeń.

– Nie przeczę. Do czego zmierzasz?

– Jack, tu chodzi o coś gorszego niż typowa przestępcza działalność. Oni robią coś, co wykracza poza rutynowe przestępstwa.

– Mówisz o Ciemnym Bractwie – rzekł Sparks.

– To przypuszczalnie odłam, który odłączył się od głównej organizacji przestępczej; ma własne, odległe, mgliste i egoistyczne cele.

– Faktycznie.

– I jesteś święcie przekonany, że Aleksander zaprzysiągł wierność Bractwu?

– Aleksander jest wierny wyłącznie samemu sobie – rzekł Sparks. – Jeśli z nimi współpracuje, to wyłącznie dla osiągnięcia jakichś sobie tylko znanych celów. Ma olbrzymie aspiracje. Kiedy tylko ich ścieżki rozejdą się, nie zawaha się ani chwili, by zerwać z nimi wszelkie więzi.

– Ale mimo wszystko, współpraca pomiędzy dwiema takimi grupami, nawet tymczasowa...

– Przedstawia dla naszego kraju o wiele większe zagrożenie, niż jakakolwiek możliwa do wyobrażenia wojna czy zaraza.

Doyle zamyślił się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Kiedy ostatni raz widziałeś swego brata, Jack?

– Przez okno na dziedzińcu w Topping.

– Nie, miałem na myśli spotkanie twarzą w twarz.

– Przed dwudziestu pięciu laty. Na Wielkanoc, kiedy byłem jeszcze w szkole. Od tej pory się nie spotkaliśmy.

Doyle nachylił się ku niemu.

– A kiedy po raz pierwszy uświadomiłeś sobie, że to Aleksander może być Geniuszem Zbrodni odpowiedzialnym za wszystkie przestępstwa, o których mi opowiedziałeś?

– Wczoraj. Kiedy zobaczyłem pożar tego wielkiego domu.

Spojrzeli na siebie.

– A więc nareszcie zrozumiałeś, w jaką gramy grę – rzekł Sparks.

Doyle pokiwał głową. Teraz on wpatrywał się w płomienie i zastanawiał, czy Nowy Rok, którego nadejście świętowały hucznie tłumy na ulicach, nie będzie ostatnim w jego życiu.

Larry czuwał przed drzwiami, podczas gdy Doyle pogrążył się w kojącym, choć niezbyt głębokim śnie. Obudził się, by stwierdzić, że ich bagaże stoją spakowane pod ścianą,

a Sparks siedzi w salonie przy stole, lustrując mapę Londynu. Było wpół do szóstej i nie zaczęło jeszcze świtać.

Przecierający wciąż zaspane oczy, Doyle potrzebował całego dzbanka kawy i tacy bułeczek, które przyniósł mu Larry, aby zmusić do pracy zastałe mięśnie i mózg. Jedno i drugie pragnęło rozpaczliwie choć dnia odpoczynku, ale jak spodziewał się Doyle, na ten luksus przyjdzie im jeszcze długo poczekać.

– Na Great Russell Street, o rzut kamieniem od muzeum, jest tuzin wydawnictw – rzekł z ożywieniem Sparks. – Nie pamiętasz, czy wysłałeś swój manuskrypt firmie Rathborne i Synowie?

– Rathborne? Panieńskie nazwisko lady Nicholson – tak, tak, chyba tak – rzekł Doyle.
– Na Boga, czy przypuszczasz...?

Uwagę Doyle'a przykuło małe pudełko leżące na jednym z rogów mapy. Nigdy go dotąd nie widział. Sięgnął leniwie ręką, by mu się przyjrzeć, kiedy Sparks jednym gwałtownym ruchem wrzucił pudełko do kieszeni i energicznie zaczął związać mapę.

– A zatem zaczniemy od tego miejsca – rzekł Sparks. – Tymczasem Larry przewiezie nasze rzeczy w inne miejsce. Obawiam się, że nasze drugie lokum nie będzie tak stosowne, jak „Melwyn”, niemniej gwoli bezpieczeństwa wskazane jest, abyśmy spędzali w jednym miejscu tylko jedną noc.

– Wolałbym się najpierw ogolić – mruknął żałośnie doktor, pocierając szorstki podbródek i obserwując, jak Larry wynosi z pokoju ich rzeczy.

– Później będzie na to sporo czasu. Chodź, Doyle, musimy działać szybko – rzucił Sparks i również wyszedł.

Doyle zgarnął z talerza ostatnią bułeczkę i pospieszył za nimi. W połowie schodów natknęli się na Barry'ego, a przynajmniej zaspany wzrok Doyle'a podpowiadał mu, że to musiał być Barry – tak, to on, miał bliznę na twarzy.

– Znalazłem faceta, z którym trza by pogawędzić – rzekł Barry z nietypowym dla siebie pośpiechem.

– Mów konkretniej – mruknął Sparks, schodząc po schodach.

– Austriak. Bokser. Mówi, że spotkał się z panem Lansdownem Dilksem. Po tym, jak go już powiesili.

– Wyśmienicie – rzekł Sparks, kiedy wyszli z hotelu. – Doyle, jedź z Barrym. Przykręć gościowi śrubę. Dowiedz się, czy może powiedzieć nam coś istotnego na temat szacownego pana Dilksa. Spotkamy się w południe, w księgarni Hatcharda przy Piccadilly. – Powodzenia! – Sparks zwinnie wskoczył do kabiny małego keba, a Larry siedzący na koźle

dziarsko zsalutował. Za chwilę już ich nie było.

Nie tak powinno się rozgrywać tę grę – pomyślał Doyle, pozostawiony samemu sobie o szóstej nad ranem i na dodatek bez przyzwoitego śniadania. Doyle spojrział na Barry'ego, który najwyraźniej nie przejął się nagłym wyjazdem Sparksa.

– Tędy – rzekł Barry, uchylając kapelusza, i pomaszerował przed siebie.

Doyle włożył do ust resztę bułeczki i ruszył za nim. Na horyzoncie pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Barry zwawo poprowadził Doyle'a przez labirynt Covent Garden, gdzie sprzedawcy kwiatów i warzyw przygotowywali się właśnie do kolejnego handlowego dnia. Ziewające kwiaciarki paliły tanie papierosy i opierały się jedna o drugą, by pokonać dojmujący ziąb. Oczekiwały na swą kolej przy napełnianiu towarem zawieszanych na szyi tac. Straganiarze bojowo wybierali przywiezione przez farmerów warzywa i kwiaty. Soki trawienne Doyle'a zawrzały pod wpływem mieszaniny aromatów, przepełniającej poranne powietrze: ziaren kawy, świeżych bochenków chleba prosto z pieca, smażonej szynki, kiełbasek na gorąco i francuskich ciast. Ogarnęła go czarna rozpacz, gdy stwierdził, że zostawił swój portfel i pieniądze w torbie, którą Larry przewoził teraz Bóg wie gdzie. Propozycja, aby zatrzymali się na małą przekąskę – za którą miałby zapłacić Barry – trafiła w próżnię. Mężczyzna raz po raz uchylał kapelusza i skłaniał głowę, jak mechaniczny dandys w drezdeńskim zegarze na wieży. Doyle stwierdził, iż Barry musiał znać mnóstwo żon tutejszych sprzedawców i całkiem spory odsetek kramarek. Nie ma dymu bez ognia – pomyślał Doyle – być może reputacja Barry'ego jako niepoprawnego kobieciarza wcale nie była przesadzona.

W końcu dotarli do hali sportowej w jednej z bocznych uliczek Soho – niskiego, zaniedbanego, ceglanego budynku, którego ściany oblepione były pożółkłymi ze starości plakatami reklamującymi zapomniane, choć słynne ongiś, starcia gladiatorów. Nad wejściem widniała stara, grecka maksyma (obecnie ubabrana sadzą) zachwalająca zalety ćwiczeń fizycznych w celu kształtowania siły i prawości charakteru.

Wewnątrz hali, na drugim jej końcu, zbита w ciasną gromadkę, hałaśliwa czereda zapasników, bokserów i zwolenników nielegalnych walk z zapartym tchem obserwowała toczące się kości. Pomięte banknoty i butelki po tanim ginie oddzielały wąski pas przestrzeni, na który miały spadać kości po uderzeniu w zawilgoconą, przeżartą grzybem ścianę.

Barry nakazał Doyle'owi, by zaczekał w pewnej odległości od rozwrzeszczanej hałastry – na co doktor przystał z ochotą – podczas gdy sam podszedł, by wyłuskać z gromady cel ich wizyty w tym obskurnym, zakazanym miejscu. W minutę później wrócił z górą mięsa, obdarzoną płaską twarzą i sękatymi łapskami, ozdobionymi mozaiką tatuaży

przedstawiających syreny i piratów wykonujących przy każdym ruchu sugestywne *pas de deux*. Nos mężczyzny nie mógł służyć do oddychania. Wąskie, w pół otwarte usta były jedynym, nadającym się obecnie do użytku organem oddechowym zwalistego boksera. Jego brwi były omletem bliznowatej tkanki i krzaczastych włosów. Miał oczy osadzone tak głęboko, że wyglądały jak otwory wydrążone w śniegu przez strugi ciepłego moczu. Po brodzie spływała mu gęsta strużka soku tytoniowego. Fryzura mężczyzny była podejrzanie zbliżona do tej, którą mógł obecnie pochwalić się Doyle, co wskazywało, iż jego fryzjerem – jeżeli nie powiernikiem – musiał być niezastąpiony Barry.

– Chciałbym przedstawić pana Bodgera Nugginsa, byłego mistrza wagi półciężkiej kolonii Jej Królewskiej Mości Nowej Południowej Walii i Oceanii – rzekł Barry, dokonując prezentacji.

Doyle przyjął dwuręczny uścisk behemota – okazał się zaskakująco wiotki, a wielka jak bochen chleba łapa, miękka i wilgotna niczym u subretki*. Oddech boksera omiół go gęstym oparem niestrawionego alkoholu.

– Arthur Conan... – zaczął Doyle.

Barry chrząknął z emfazą i za plecami Bodgera energicznie pokręcił głową.

– Maxwell Tree – poprawił Doyle, wymieniając pierwsze nazwisko, które przyszło mu do głowy.

– Bodger Nuggins, były mistrz wagi półciężkiej Nowej Południowej Walii i Oceanii – rzucił zawiadacz bokser, w dalszym ciągu potrząsając dłonią doktora. – Mów mi Bodger.

– Dziękuję, Bodger.

Nuggins miał lekkiego zęza, jego prawe oko skierowane było nieznacznie do wewnątrz, jakby ukradkiem próbowało przyjrzeć się niewiarygodnemu płaskowyzowi nosa, rozciągającemu się poniżej.

– Tak mówią mu ludziska, co znają Bodgera. Mówią mu Bodger. Rymuje się z Dodger* – dodał tytułem wyjaśnienia Bodger.

– Tak. Rzeczywiście – rzekł Doyle, usiłując delikatnie uwolnić dłoń.

– Cedric – powiedział tajemniczo Bodger.

– Jaki Cedric?

– To moje prawdziwe imię. Matka nazwała mnie Cedric.

– Po... – dociekał Doyle, usiłując przyspieszyć zakończenie jego wywodu i licząc, że zdoła wreszcie uwolnić dłoń z uścisku wielkoluda.

· Tu: panienska, w teatrze postać sprytniej pokojówki.

* Kombinator, obibok (ang.).

– Po tym jak się urodziłem – rzekł Bodger, a jego neandertalskie czoło zmarszczyło się jak u zasepionego astrologa na dworze chińskiego mandaryna.

– Powiedz temu dżentelmenowi to, co mię żeś mówił, Bodger – rzucił krótko Barry, po czym wyszeptał do Doyle'a: – On cierpi na dotkliwy niedobór szylingów.

Doyle pokiwał głową. Liczba zmarszczek na twarzy Bodgera podwoiła się. Jego brwi spływały w dół i połączyły się w jedną, grubą kreskę.

– To cóżeś mi powiedział o panu Lansdownie Dilksie – dodał Barry.

– A, racja! Kurde! – Łup! Bodger przyłożył sobie w nos. Sądząc po oplakany stanie jego kulfona, musiała to być typowa dla niego reakcja, choć trudno było stwierdzić, czy miała ona na celu dopomożenie pamięci, czy puszczenie w ruch kilku ocalałych cudem trybików jego umysłu. – Lansdown Dilks! Kicha! Bodger Nugs, ale on ma łeb!

I po raz drugi przyłożył sobie w nos.

– Dobra, dobra, spokojnie, Bodger, nie gorączkuj się – rzekł Doyle. Jeśli ten mężczyzna rzeczywiście był kiedyś mistrzem, lepiej aby nie znokautował siebie przed rozpoczęciem przesłuchania.

– Racja – rzekł Bodger i miłosiernie przestał się okładać.

– Znałeś pana Lansdowna Dilksa? – zapytał Doyle.

– Ach. Wiąże się z tym pewna historia – mruknął Bodger, dając do zrozumienia, iż w głębi duszy trawi go jakiś niewypowiedziany dramat. – Zastanówmy się...

Barry, nieco bardziej zaznajomiony z jego sposobem narracji, włożył Bodgerowi w garść banknot jednofuntowy.

– Racja – rzekł Bodger, ożywiony tym przyplywem gotówki. – Widzisz pan, ja pochodzę z Queenslandu. Tam, gdzie ludzie chodzą głowami do dołu. Ściślej mówiąc, z Brisbane. To daleko stąd. Za wielką wodą.

– Tak – rzekł Doyle. – Rozumiem, pochodzisz z Australii. Bodger pstryknął palcami, wskazał na Doyle'a i mrugnął, jakby odkrył właśnie, że należą do tej samej tajemnej loży.

– Właśnie!

– Rozumiemy się. Mów dalej, Bodger.

– Racja. Walki na pięści to je moja pasja. Krwawy sport. Zawsze mówię, jak chcesz pokazać, jakiś kozak, to stań do walki na gołe pięści. Bodger Nuggins nieźle się spisał, nie? Mistrz wagi półciężkiej Nowej Południowej Walii i Oceanii.

Aby nadać swym słowom dodatkowej wiarygodności, w typowy dla boksera sposób Bodger wymierzył błyskawiczny prawy prosty w przeponę Doyle'a, zatrzymując o cal od ciała cios, który niechybnie powaliłby doktora na kolana i na dłuższą chwilę pozbawił go

oddechu.

– Weź pan na ten przykład – ciągnął Bodger – tego alfonsa, markiza Queensberry, co by chciał nałożyć nam na pięści ochraniacze i zmusić, żebyśmy tańczyli po ringu jak baletnicy.

Nie mogąc oprzeć się wyrażeniu w jeszcze inny sposób swej pogardy i obrzydzenia, Bodger ostatecznie strzyknął tytoniem na podłogę i włożył do ust świeżą prymkę.

– Skoro stary alfons chce oglądać walczące baby, niech sobie jedzie do Akademii Edny dla Kobiet i Alfonsów. Czemu tego nie zrobi?

– Nie mam pojęcia – rzekł Doyle. – A wracając do pana Lansdowna Dilksa...

– Już do tego dochodzę – mruknął Bodger, złowieszczo napinając mięśnie. – W takiej sytuacji Bodger opuszcza rodzinne strony i wybiera się za wielką wodę, aby tu spróbować szczęścia w walkach. Dociera do Anglii, znaczy się... Statkiem. Ee...

– Pogoń za karierą bokserką sprowadziła cię do Londynu – rzekł Doyle.

– Ci faceci obiecali Bodgerowi, że będzie walczył o mistrzostwo w wadze ciężkiej, ale najpierw, powiadają, musisz się zmierzyć z takim jednym leszczem. Wie pan, o co chodzi, taka walka... – Zamilkł. I znieruchomiał, jakby ktoś nasypał mu piasku w tryby.

– Walka wstępna. Eliminacyjna – rzekł Barry po krótkiej chwili milczenia.

– Racja – burknął Bodger, ponownie waląc się w twarz i zmuszając maszynę umysłu do kolejnego wysiłku. – Walka wstępna. Z jakimś ciołkiem. Chcą zobaczyć, co jest wart Bodger, zanim postawią na szali swój cenny tytuł. Bodger na to, w porządku, to uczciwa propozycja. Nie będą mówić, że mistrz Nuggins to lebiega. Nie pęka, gdy trzeba grać ostro. Stary Bodger jest gotów pokazać, na co go stać, jeśli tylko znajdzie się paru gości, aby odpowiednio posmarować jego trybiki.

– I wziąłeś udział w tej walce – rzekł Doyle.

Bodger pokiwał głową.

– Najpierw mówią mi, że walka wstępna nie odbędzie się w hali sportowej, na stadionie ani nawet na ringu. A potem ni stąd, ni zowąd zabierają mnie do jakiejś rudery, takiego jakby magazynu nad brzegiem rzeki.

– To nie miała być legalna walka – powiedział Doyle, czując się z każdą chwilą coraz bardziej jak tłumacz jakiegoś skretyniałego księcia.

– A skąd! – burknął Nuggins, który w końcu zaczął nieco kontaktować. – Ale po prawdzie, my bokserzy, walczący na gołe pięści, mamy często do czynienia z takimi sytuacjami.

– Zakładam, że gdy znalazłeś się na nabrzeżu, ci dżentelmeni przedstawili ci

przeciwnika – rzekł spokojnie Doyle.

– To był taki łebek – warknął Bodger. – Mięczak. Wyglądał, jakby kto dał mu po łbie obuchem. Jakby nigdy w życiu nie walczył bez rękawic. No i zaczynamy. Gość jest cienki, bije słabo, ale nie pada. Nie ma za grosz techniki. Bodger oślepia go swoją wiedzą. Staczamy sześćdziesiąt pięć rund – gęba tamtego wygląda jak czerwone wino. Jeśli chcesz pan wiedzieć, typ z jego narożnika powinien był rzucić mu ręcznik po pięćdziesiątej. Ale to nie moja sprawa. Niby czemu mieliby słuchać rad Bodgera, nie? Widać los tak chciał.

– Tak. Z pewnością tak.

– Zaczynamy sześćdziesiątą szóstą. I właśnie dlatego, od tej pory sześćdziesiąt sześć to dla Bodgera nieszczęśliwa liczba.

Bodger chwycił Doyle'a za kłapy i przysuwał do siebie w miarę, jak jego nieśmiertelna opowieść zbliżała się do zapierającego dech w piersiach finału. Gdybym nie zgolił sobie wąsów – pomyślał Doyle – oddech Bodgera na pewno by je wypalił.

– Wychodzim, podajem sobie ręce, jak na dobrych sportowców przystało. I wtedy Bodger, na początek, wali tamtego lewym sierpowym w wątrobę. Leszcz zwija się wpół. Bodger poprawia swoją ulubioną techniką, hakiem w kichawę – gość, z potrzaskanym kulfonem wylatuje w powietrze. I zanim ląduje, uderza tyłem głowy o ziemię, jest już z niego zimny trup.

– Zginął – rzekł Doyle, starając się wypowiedzieć to słowo w miarę beznamiętnym tonem.

– Był martwy jak kupa mięsa na ladzie u masarza – rzucił Bodger, przytrzymując Doyle'a tak blisko, że doktor mógł bez trudu policzyć mu wszystkie zęby.

– Co za pech.

– Nie dla leszcza – dostał, co chciał, nie? Bądź co bądź to Bodger znalazł się po szyję w błocie. Nagle ni stąd, ni zowąd zjawiają się blacharze. Morderstwo, mówią. Nielegalna walka, nieprzestrzeganie zasad bokserkich markiza Queensberry – mówią. Areszt, sąd, wyrok. Piętnaście lat ciężkich robót. Witaj Newgate. Żegnaj Bodger.

Nuggins puścił Doyle'a i strzyknął tytoniem, trafiając prawie bezbłędnie w stojącą opodal spluwaczkę.

– Gdzie, jak przypuszczam – rzucił Doyle, poprawiając ubranie – spotkałeś w końcu pana Lansdowna Dilksa.

– Pan Lansdown Dilks. Twardziel. Niezły był z niego chojrak, prawie taki jak Bodger.

– Można powiedzieć, że miał bodgerowski styl – rzucił Doyle.

– Jak najbardziej bodgerowski – potaknął Nuggins. – Dobrze jest, gdy za kratkami

trafi się jeden taki felek. To prawo natury. Ale weź dwóch takich twardzieli, i zadyma gotowa.

– Chcesz powiedzieć, Bodger, że zdarzyło ci się walczyć z Dilksem? – spytał Doyle, usiłując przełożyć jego bełkot na bardziej zrozumiały język.

– Bardzo ostro i często – odrzekł Bodger, strzelając kostkami palców. Dźwięk ten zabrzmiał jak karabinowa palba. – I choć tłukli się, ile wlezie, ni cholery nie mogli wyłonić zwycięzcy. Po raz pierwszy Bodger może bez ochyby powiedzieć, że spotkał za linami faceta równie twardego jak on.

– A więc siedzieliście w więzieniu razem, aż do dnia egzekucji Dilksa?

Brwi Bodgera ponownie się złączyły.

– Egzekucji?

– W lutym ubiegłego roku. Kiedy Dilks został stracony.

Zakłopotanie Bodgera przybrało na sile.

– Stracony?

– Umarł. Wyciągnął kopyta. Wywieźli go nogami do przodu. Dobrali konopny krawat. Powiesili – burknął Doyle, który stracił w końcu cierpliwość. – Aniołki śpiewają mu teraz kołysanki. Chcesz powiedzieć, że nic o tym nie wiedziałeś, Bodger?

– Za groma. Dilks wyglądał kwitnąco, kiedy go Bodger ostatnio przykikował.

– A kiedy to konkretnie było?

– Kiedy wspólnie wysiadali z pociągu...

– Musisz się chyba mylić – rzekł Doyle.

– Jeśli Bodger mówi, że wysiadał z nim z pociągu, to na pewno tak było, nie? – warknął wyraźnie poirytowany Bodger.

Doyle i Barry wymienili zdumione spojrzenia. Barry wzruszył ramionami – on również słyszał o tym facecie po raz pierwszy.

– Gdzie wysiadaliście z tego pociągu?

– Na północy, w Yorkshire, chyba.

– Kiedy to było?

– Tak się składa, że Bodger pamięta dokładnie datę – to było jak nic w dniu jego urodzin – czwartego marca.

– Czwartego marca ubiegłego roku? – Z każdym wypowiedzianym przez tamtego słowem, Doyle wpadał w coraz większe zakłopotanie.

– Coś pan, głupi jakiś, czy może niewyraźnie mówię?

– Bodger, wybac mi moją dociekliwość – oznajmił Doyle. – Chcesz powiedzieć, że

ty i Dilks jechaliście razem pociągiem do Yorkshire, w miesiąc po tym, jak Lansdown zginął na stryczku, i wiele lat przed końcem twojej odsiadki, dokładnie czwartego marca ubiegłego roku?

– Racja. Bo Lansdown, jak i paru innych, podpisał papiery.

– Jakie papiery?

– Te co je obnosił po więzieniu taki jeden facet.

– Jakiś człowiek zjawił się w więzieniu Newgate?

– Szybko kumas, nie, stary?

– Naprawdę robię, co mogę, aby zrozumieć. Co to był za człowiek?

– Nie wiem, jak mu dali na chrzcie. Nie przedstawiał się, nie?

– Mógłbyś go opisać?

Bodger wyrócił oczyma.

– Broda. Okulary. Wyglądał jak alfons.

– W porządku, Bodger. Co ten facet, który krążył po Newgate, dał ci do podpisania i co miałeś później w związku z tym zrobić?

– Powiem ci jedno: nie puścił pary, co niby miało się wyprawiać w tej starej fabryce biszkoptów. Nie pisał ani słowa, choć go chłopaki pytali. Zaparł się i już. Dlatego dałem nogę. I nie wiem, czy nie będą próbowali mnie dorwać, bo...

Nagle dał się słyszeć przeciągły pisk policyjnych gwizdków.

– Psy!

Zrobiło się zamieszanie i amatorzy gry w kości w mgnieniu oka się rozproszyli. Zanim Doyle zdążył zareagować, Bodger dał drapak i pognął w stronę szatni. Tymczasem frontowe drzwi otworzyły się na oścież i do hali z uniesionymi w górę pałkami wpadł szwadron policji. Kolejna grupa wdarła się do środka tylnym wejściem. Rozgorzała walka. Pół tuzina *bobbies* zajmowało się tylko Bodgerem, który w ciągu kilku sekund udowodnił, iż tytuł mistrza boksu otrzymał jak najbardziej zasłużenie.

Barry ujął Doyle'a za rękę i przytrzymał.

– Będzie dla nas lepiej, szefie, jeśli tu zostaniemy! – zawołał, przekrzykując panujący wokoło hałas. – Ucieczka raczej nie byłaby wskazana.

– Ale Bodger miał nam właśnie powiedzieć...

– Bez obawy, są duże szanse, że wkrótce znajdziemy się wszyscy w jednej celi. Tam będziemy mogli dokończyć pogawędkę.

– Przecież nie przyszliśmy tu, żeby grać w kości...

– Spróbuj im to wytłumaczyć, szefie. Marne widoki. Serio.

W ich stronę biegło dwóch policjantów. Barry złożył obie dłonie na kapeluszu i poradził Doyle'owi, by zrobił to samo. Miast tego Doyle ruszył w kierunku policjanta.

– Panowie, posłuchajcie – rzucił – jestem lekarzem!

– A ja Królową Śnieżką – odrzekł gliniarz. Zadany pałąk cios trafił Doyle'a w bok głowy.

Pierwszą rzeczą, jaka powitała Doyle'a, kiedy otworzył oczy, była zatroskana twarz Barry'ego.

– Kręci się panu w głowie, co szefie? – spytał Barry.

– Gdzie jesteśmy?

– W mamrze. Pierdlu. Pentonville, jak sądzę.

Doyle spróbował usiąść i nagle zakręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, jakby pod czaszką wirował mu różnobarwny kalejdoskop.

– Spokojnie, szefie – rzekł Barry. – Ma pan tam nielicznego guza.

Doyle uniósł dłoń do pulsującego krwią epicentrum bólu na czole i natknął się na obrzmienie wielkości gęsiego jaja.

– Co się stało?

– Ominęła pana przejazdka kibitką. Wtaszczenie za kratki nie było niczym specjalnym. Odkąd ułożyłem pana na tej pryczy, nie wydarzyło się kompletnie nic.

Gdy odzyskał zdolność normalnego widzenia, Doyle stwierdził, że znajdowali się w ogromnym areszcie, w towarzystwie wszelkiego autoramentu rzezimieszków i oberwańców, wśród których rozpoznał wielu miłośników zakazanego hazardu. W celi było brudno i śmierdziało jak wszyscy diabli, najsilniejszy zaś fetor wydobywał się ze wspólnej latryny, znajdującej się pod jedną ze ścian. Karaluchy wielkości kciuka bez najmniejszych obaw przechadzały się po podłodze i po butach ludzi, którzy wydawali się aż nadto dobrze przyzwyczajeni do ich towarzystwa.

– Siedział pan już kiedy za kratkami, szefie?

– Nigdy.

Barry spojrzał nań współczująco.

– Niezbyt to interesujące miejsce.

Doyle zlustrował oblicza współwięźniów.

– A gdzie Bodger?

– Nie ma go wśród nas – odparł Barry.

– Był w transporcie?

– Odpowiem przecząco.

– Widziałeś, jak wydostał się z hali?

– Nie.

Doyle nieśmiało dotknął obolałej głowy.

– O co nas oskarżyli?

– Oskarżyli? O nic.

– Nie mogą trzymać nas pod kluczem, nie postawiwszy nam żadnych zarzutów.

– To pański pierwszy raz, prawda? – rzekł Barry z subtelnym uśmiechem.

– Przecież to wszystko jest jedną wielką pomyłką. Poinformuj ich, że chcemy widzieć się z adwokatem – powiedział Doyle bez większego przekonania. – Bądź co bądź mamy swoje prawa.

– Cóż... przypuszczam, że wszystkiego trzeba kiedyś spróbować – odrzekł Barry, usiłując przetrwać to, co przed chwilą usłyszał, a jednocześnie zachować względny spokój.

Doyle przyjrzał mu się – zamyślane, przepełnione ironią oblicze Barry'ego zdawało się jasno dawać mu do zrozumienia, iż próby działania tradycyjnymi metodami skazane są z góry na niepowodzenie. Doyle przeszukał kieszenie i wydostał bloczek recept. Widok ten zdecydowanie go ożywił, jakby natrafił na pozostałość jakiejś od dawna zapomnianej cywilizacji.

– Barry, możesz mi załatwić coś do pisania?

Barry pokiwał głową i wtopił się w tłum aresztantów. W kilka minut później wrócił tryumfalnie z ogryzkiem ołówka w dłoni. Doyle wziął go i pospiesznie napisał krótką wiadomość.

– Teraz będziemy potrzebować trochę pieniędzy – rzekł Doyle.

– Ile?

– A ile możesz mieć?

Barry westchnął ciężko.

– Niech pan tu stanie, szefie.

Doktor zasłonił Barry'ego, a były złodziej, odwróciwszy się do ściany, odpiął klapkę ukrytej kieszeni w kamizelce od wewnętrznej strony i wyjął gruby plik pięćofuntowych banknotów.

– Wystarczy?

– Tylko jeden, proszę. Piątka powinna wystarczyć – odparł Doyle, usiłując ukryć swoje zdumienie.

Barry wyłuskał jedną piątkę i schował pozostałe. Doyle wziął od niego banknot i przedarł równo na pół.

– Ee... uumf... Co pan robisz? – wykrztusił Barry.

– Znasz tu jakiegoś wyższego rangą policjanta, któremu mógłbyś zaufać?

– Te pojęcia kłócą się ze sobą.

– W takim razie powiem inaczej: Czy znasz kogoś, kto byłby w stanie zrobić coś dla nas za pieniądze?

Barry zerknął na policjantów w korytarzu.

– Da się załatwić.

Doyle owinął kartkę z informacją połówką banknotu i podał mu. – Połowa teraz, druga, kiedy otrzymasz potwierdzenie, że wiadomość dotarła do adresata.

– Nieźle, nieźle – mruknął Barry, zerkając na karteczkę, gdy zbliżał się do krat. Mimochodem dostrzegł, że wiadomość zaadresowana była do inspektora Claude'a Leboux.

Dwie godziny później pod eskortą, bez słowa wyjaśnienia, Doyle został zaprowadzony do niewielkiego pomieszczenia, w którym w Pentonville przesłuchiwano podejrzanych. Po kilku minutach pojawił się sam Leboux, a jego ozdobione sumiastym wąsem oblicze przepelniał gniew. Zamknął drzwi i spojrzał na Doyle'a.

– Witaj, Claude.

– Wpadłeś przy hazardowej gierce w kości, Arthurze? Nie przypominam sobie, abyś miewał podobne słabostki.

– Nie zjawiłem się tam po to, aby grać, Claude. Po prostu byłem w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Leboux usiadł naprzeciw Doyle'a, splótł ręce na piersi, rozstawił stopy i bawiąc się koniuszkiem wypomadowanego wąsa, układał w myślach następną serię pytań. Pamiętając ostrzeżenia Sparksa, by nie ufał policji, Doyle zastanawiał się, ile musi zdradzić, aby został zwolniony, a jednocześnie nie zwrócił na siebie niepotrzebnej uwagi zwierzchników Leboux.

– Wyglądasz jak służący – rzekł w końcu Leboux.

– Ci sami, co wcześniej, znów próbowali mnie zabić. Zmieniłem wygląd, aby mnie nie rozpoznali.

– Dlaczego nie przyszedłeś do mnie?

– Po naszym ostatnim spotkaniu opuściłem miasto – oświadczył Doyle, wdzięczny za tę odrobinę prawdy, którą mógł podzielić się z policjantem. – Wyjazd z Londynu wydawał się najbezpieczniejszym wyjściem.

– I był?

– Nie, ale tak bywa. Zamachowcy nadal są na moim tropie.

– Kiedy wróciłeś, Arthurze?

– Ubiegłej nocy.

– Byłeś w swoim mieszkaniu?

Pietrowiczowa – pomyślał Doyle. Wie o Pietrowiczowej.

– Nie byłem, Claude. Nie miałem pewności, czy to bezpieczne.

Doyle czekał, z łagodnym wyrazem twarzy, przywoływanym zwykle w obliczu pacjentów, których stan był beznadziejny, ale nie mógł im o tym powiedzieć.

– Budynek, w którym mieszkałeś, spłonął – rzekł w końcu Leboux.

– Moje mieszkanie?

– Obawiam się, że wszystko przepadło.

Doyle pokręcił głową. Znów pożar. Nietrudno zgadnąć, kto był za to odpowiedzialny, pomyślał doktor. Moje mieszkanie spłonęło. Nie przejmował się zbytnio utratą swoich rzeczy – z tym zdołał się już pogodzić. Teraz jednak przepadły wszelkie dowody związane ze śmiercią Pietrowiczowej i upiorną wizytą, którą Coś złożyło w jego apartamencie. Gorąca, czerwona iskierka gniewu zapłonęła w jego myślach.

– Claude, chciałbym cię o coś spytać – rzekł Doyle. – Jako inspektora.

– W porządku.

– Czy mówi ci coś... nazwisko Aleksander Sparks?

Leboux wbił wzrok w sufit i zmrużył powieki. Po chwili nieznacznie pokiwał głową i wyjął mały bloczek z ołówkiem.

– Powtórz.

Doyle przeliterował imię i nazwisko.

– To facet, który mnie ściga. Ten, którego szukasz. To on jest odpowiedzialny za te zbrodnie i najprawdopodobniej ma na sumieniu jeszcze wiele innych.

– Skąd przypuszczasz, że to właśnie o niego chodzi?

– Widziałem go w trzech różnych miejscach; to on mnie ściga.

– Jak wygląda?

– Nie widziałem twarzy. Ubiera się na czarno. I ma płaszcz, długi czarny płaszcz.

– Czarny płaszcz... Jakże najczęściej odwiedza miejsca?

– Nikt tego nie wie.

– Znajomi?

Doyle wzruszył ramionami.

– Inne przestępstwa popełnione w ostatnim czasie?

– Przykro mi.

Policzki Leboux pokraśniały.

– A może znasz rozmiar jego kapelusza?

Doyle pochylił się do przodu i zniżył głos.

– Musisz mi wybaczyć, że mówię takimi ogólnikami, Claude. Niewiele o nim wiadomo, ale istnieje spore prawdopodobieństwo, że to właśnie on stoi na czele całego londyńskiego świata przestępczego.

Leboux zamknął swój notes i zmienił nieco pozycję na krześle..

– Arthurze – powiedział, cedząc słowa – jesteś lekarzem. Masz stać się jednym z filarów naszego społeczeństwa. Mówię to, jak przyjacielowi – nie osiągniesz tego, uganiając się po całej Anglii w przebraniu lokaja i bredząc, jakoby na twe życie dybał tajemniczy, nieznany nikomu Geniusz Zbrodni.

– Nie wierzysz mi. W ogóle nie wierzysz, że próbowano mnie zamordować.

– Wierzę, że ty wierzysz, iż...

– A co z tą substancją, którą znalazłem w szparze między deskami w domu przy Cheshire Street 13?

– Tak, dałem te próbki naszemu chemikowi do analizy.

– Nie powiesz mi, że to nie była krew, Claude...

– To jest krew. Wygląda na to, że faktycznie byłeś świadkiem zabójstwa.

– Tak jak mówiłem...

– Zabójstwa wielkiego wieprza.

Nastąpiła cisza. Leboux wychylił się naprzód.

– To była świńska krew, Arthurze.

– Świńska krew? To niemożliwe.

– Może ktoś upuścił na podłogę kawał mięsa, przygotowując niedzielny obiad – stwierdził Leboux. – Bardzo krwisty kawał mięsa, jeśli chodzi o ścisłość.

– Co to ma znaczyć? – Doyle uniósł dłoń do pulsującego czoła.

– Taki polec mięsa dobrze by ci zrobił. Powinieneś przyłożyć sobie coś na tego guza – mruknął Leboux.

– Wybacz, Claude. Jestem odrobinę zbity z tropu. Ostatnie dni były dla mnie dość ciężkie.

– Nie wątpię.

Leboux splótł ręce i spojrzał na niego przenikliwie, bardziej jak policjant, niż zaufany, wierny przyjaciel. Czując na sobie jego wzrok, Doyle stojący na zagrożonej pozycji, zmuszony był sięgnąć po swój ostatni atut.

– John Sparks – powiedział, prawie szeptem.

- Że co, proszę?
- John Sparks.
- Jakiś związek z tamtym dżentelmenem?
- To jego brat.
- No więc co z tym Johnem Sparksem, Arthurze?
- Czy jego imię coś ci mówi?

Leboux zamilkł na chwilę.

- Może.
- Twierdzi, że pracuje w służbie królowej – wyszeptał Doyle.

Leboux skamieniał.

- Co mam zrobić z tą informacją?
- Może mógłbyś ją zweryfikować.
- Co jeszcze mógłbyś powiedzieć mi o Johnie Sparksie, Arthurze? – zapytał cicho

Leboux.

Doyle zawahał się.

- To wszystko, co wiem.

Spojrzeni na siebie. Doyle poczuł, jak więź łącząca go z Leboux napina się niebezpiecznie, przez dłuższą chwilę nie sposób było stwierdzić, czy wytrzyma. Wreszcie Leboux otworzył notes, zapisał imię drugiego Sparksa, zamknął bloczek i wstał.

- Radziłbym nie opuszczać Londynu – rzekł Leboux.
- A więc jestem wolny?
- Tak, ale muszę wiedzieć, jak można się z tobą skontaktować.
- Zostaw wiadomość w szpitalu Świętego Bartłomieja. Będę zaglądał tam codziennie.
- Pożyjemy, zobaczymy – rzekł Leboux i dodał po namyśle: – Nie uważam Arthurze, by źródłem twoich kłopotów był hazard. Niemniej sądzę, że nie jest z tobą najlepiej. Na twoim miejscu zasięgnąłbym opinii lekarza. A może nawet porady psychiatrycznej.

Świetnie – pomyślał Doyle. Nie uważa mnie za przestępcę, lecz za zwykłego świra.

- Dzięki za radę – mruknął Doyle, starając się, by jego słowa nie zabrzmiały cynicznie.

Leboux otworzył drzwi i przystanął, nie odwracając się.

- Masz gdzie się zatrzymać?
- Dam sobie radę. Dzięki, że zapytałeś.

Leboux pokiwał głową i przestąpił próg.

- Jeszcze jedno nazwisko, Claude – rzucił Doyle. – Niejaki Bodger Nuggins.

- Bodger Nuggins?
- Walczył na pięści. Na gołe pięści. Był w hali podczas nalotu, ale najwyraźniej nie został aresztowany...
- Co z tym Bodgerem Nugginsem?
- Mam pewną informację, że ten człowiek jest uciekinierem z Newgate.
- Był – poprawił Leboux.
- Że co proszę? Nie rozumiem.
- Przed godziną wyłowiliśmy ciało Nugginsa z Tamizy.
- Utonął?
- Miał rozszarpane gardło. Zupełnie jakby zaatakowało go dzikie zwierzę.

13. STARE ARTEFAKTY

Droga z więzienia Pentonville do centrum Londynu, dla człowieka o pustym żołądku i bez grosza przy duszy, ciągnęła się w nieskończoność. Nie uznał za stosowne prosić Leboux o zwolnienie Barry'ego, który nadal przebywał za kratkami i zapewne przyjdzie mu spędzić tam trochę czasu. Więzienia nie miały dla Barry'ego tajemnic, a i Doyle dowiedział się o nich tego i owego. Spóźnił się już na spotkanie ze Sparksem w księgarni Hatcharda, ale nie odważył się zatrzymać powozu, nie mając pewności, czy stać byłoby go na zapłacenie za kurs. Teraz nie miał już żadnych nadziei. Szedł wolno błotnistą drogą, a spod kół przejeżdżających powozów przyskała nań brązowa breja.

Ludzie w powozach patrzyli z podejrzliwością, pogardą lub co gorsza świdrowali go wzrokiem na wskroś. Doyle doświadczył uczucia osobliwego oderwania od ograniczenia i ciasnych poglądów pewnych sfer miejskiego życia, określanych napuszenie mianem wyższych. Przemieszczający się prywatnymi powozami z jednego uprzywilejowanego miejsca na drugie, od spotkań towarzyskich i wykwintnych kolacji, wypraw na zakupy i w poszukiwaniu wszelkiej maści rozrywek, owi wyżej urodzeni obywatele, ze swymi koszmarnymi dziećmi, wydawali mu się równie obcy i osobliwi jak elektryczne węgorze. Doyle ze zdumieniem stwierdził, że odczuwa większą sympatię do Barry'ego, włamywacza z East Endu, niż do przedstawicieli burżuazji, mijających go na ulicach. Czyż jednak ci bogaci mieszczenie nie stanowili nadrzędnego celu cywilizowanego społeczeństwa, rozszerzającej się stale klasy średniej, mogącej w spokoju i wolności cieszyć się efektami pracy robotnika? Czy on również nie pragnął się do niej zaliczać, zwrócić na siebie uwagę, dzieląc się z nimi efektami swojej pracy? Jakże byli ograniczeni! Z jaką łatwością przyjmowali wartości reprezentowane przez szkołę, kościół lub obyczaje. Myśl o możliwości poruszenia serc tych nieczułych, brutalnych istot, zamkniętych w hermetycznych wnętrzach powozów, wydawała się równie pusta i bezowocna, jak ich pogoń za szczęśliwym, beztróskim życiem.

Zindustrializowane społeczeństwo wymaga od swych obywateli potwornej daniny – pomyślał Doyle. Czy ktokolwiek z nas zdaje sobie sprawę, jak niewiele idei czy odczuć jest w

rzeczywistości naszymi własnymi? Nie. Albo jak możemy wegetować, dzień za dniem powtarzając te same czynności, choć doskonale wiemy, iż nie mają one większego sensu? Nasza umiejętność przetrwania jest w olbrzymim stopniu określona świadomym ograniczeniem działania naszych zmysłów oraz umysłu. Nosimy klapki na oczach, jak koń pociągowy, i widzimy tylko to, co znajduje się w ich zasięgu, nie postrzegamy spraw w szerszym zakresie, wręcz sami z tego rezygnujemy. Od chwili przyjścia na świat wmawiano nam, że tego typu ograniczenie jest rzeczą konieczną. Nie bez powodu. Zdjęcie łusek z oczu równałoby się bowiem konieczności ujrzenia obrazów ludzkiej nędzy, smutku i bólu, których wygodniej jest nam nie dostrzegać.

Ale otaczająca nas niedola pozostaje niewzruszona, niezmienna i trwała jak ten beznogi żebrak na ulicy. Cierpienie musi być nieodłączną ceną, którą płaci duch za istnienie w ludzkiej postaci. Nic dziwnego, że tragedia dysponuje jedynym, mocnym jak młot narzędziem, które zdolne jest rozbić twarde bąbel samozadowolenia, którym otaczamy swe własne, nędzne żywoty, by nie widzieć furii wędrujących pośród mroków nocy. Wojna, głód, wielkie katastrofy – tego właśnie potrzeba, by pozbawić nas snu. Strach i brutalne oderwanie od wszystkiego, co znamy, również okazują się skuteczne. Coś o tym wiem – pomyślał Doyle. Z moich oczu na pewno spadły łuski.

Czy była to tak wielka katastrofa? – zapytywał się w duchu. Burczało mu w żołądku, ale wiedział, że nie pozna, czym jest prawdziwe przymieranie głodem – prędzej czy później czekał na niego kolejny posiłek, a głód mógł jedynie osłabić jego smak. Stracił dom i wszystko, co posiadał, ale przyjdzie taki dzień, że znajdzie nową przystań i odkupi rzeczy, których go pozbawiono. Był inteligentny, silny, młody, miał dobre buty, ubranie i wiarę w swoje przekonania. A także przeciwnika, groźnego przeciwnika, z którym musiał się zmierzyć, oraz Jacka Sparksa, towarzysza broni, aby łatwiej pokonywać wszelkie kłopoty i niebezpieczeństwa. Czegóż mógł jeszcze pragnąć?

Gdyby wszyscy ludzie mieli taką świadomość, jak ja w obecnej chwili – pomyślał Doyle. Czyżby przypadkiem udało mu się zgłębić tajemnicę spokoju umysłu? Oto ona: wydarzenia rozgrywające się w naszym życiu nie mogą nim zawładnąć i dyktować nam, co mamy czynić – ta decyzja wynika z naszej reakcji na owe wydarzenia. A reakcje można wszak kontrolować. Umysł, wszystko ma swój początek w umyśle! Jakie to proste!

Ogarnęło go uczucie swobody, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Przyspieszył kroku. Czuł się rześki i wolny. Droga przed nim, miast aury zagrożenia, zdawała się zapraszać do nowych odkryć i przygód. Podejmie wyzwanie, i z podniesionym czołem zmierzy się z każdym zagrożeniem, jakie znajdzie na swej drodze! Do diabła z Ciemnym

Bractwem! Niech ten degenerat Aleksander Sparks pokaże, na co go stać! Niech wykorzysta najokropniejsze sztuczki ze swego repertuaru. Wyśle się ich wszystkich na wieczne potępienie do piekła, gdzie ich miejsce!

Jadący szybko keb przemknął przez kałużę, ochlapując Doyle'a od stóp do głów. Błoto grudkami skapywało mu z czoła, woda ściekała po plecach i spływała do butów. Gwałtowny podmuch lodowatego wiatru zmroził go do szpiku kości. Zaczęło padać – krople deszczu żądliły jego policzki i czoło. Kichnął; uczucie gwałtownego uniesienia i beztroski pierzchno jak stadko szpaków.

– Jestem w piekle! – krzyknął załóżnie.

Obok niego zatrzymał się powóz. Na koźle siedział Larry. Sparks otworzył drzwiczki kabiny.

– Wsiadaj, Doyle, bo zaziębisz się nam na śmierć – powiedział.

Zbawienie!

Larry wlał czajnik gorącej wody do miednicy, w której Doyle moczył nogi. Siedział otulony kocem, dygocząc jak osika; do czoła miał przyklejony rozgrzewający plaster. Larry postawił czajnik na niewielkiej kozie, przy której suszyły się ubrania doktora. W porównaniu z pokojem w „Holbornie”, hotel „Melvyn”, który odwiedzili poprzednio, urastał do rangi „Savoyu”.

– To nie był zbyt mądry pomysł, Doyle, by korzystać z pomocy inspektora Leboux. Już drugi raz się z nim skontaktowałeś – rzekł Sparks, wyciągnięty na jedynej sofie w pokoju. Wiązał kawałek włóczki i tworzył zeń przeplatankę na rozstawionych szeroko palcach obu dłoni.

– Byłem w więzieniu. I posiadałem informację, która w moim mniemaniu mogła okazać się kluczowa dla naszej sprawy. Mieliśmy spotkać się w południe. Uważałem za konieczne jak najszybsze opuszczenie Pentonville – burknął Doyle, będący w wyjątkowo paskudnym humorze.

– Niebawem wydostalibyśmy cię stamtąd.

– Ciekawy jestem jak? A-a-apsik!

– Na zdrowie. Teraz Oni wiedzą już, że wróciliśmy do Londynu – powiedział Sparks, bawiąc się przeplatanką i ignorując pytanie doktora. – Mają nad nami sporą przewagę. To niedobrze. Będziemy musieli działać szybciej, niż zakładałem.

– Skąd mogą wiedzieć, że wróciliśmy do Londynu? Wierzę Leboux, a śmiem twierdzić, że znam go dużo lepiej niż ciebie.

– Doyle, ranisz moje uczucia, mówiąc w ten sposób – rzekł Sparks, wyciągając rękę,

by przelożyć włóczkową łamigłówkę na dłonie Doyle'a.

Doktor z pewnym wahaniem wyciągnął ręce, a Sparks wprawnym ruchem nałożył nici plecionki na jego palce.

– Skąd mogą wiedzieć, Jack?

– Spędziłeś dwie godziny we wspólnej celi z najgorszymi szumowinami londyńskiego półświatka i zrobiłeś niezłe przedstawienie, by załatwić sobie zwolnienie. Aleksander opłacił całą rzeszę opryszków różnego pokroju, aby dali mu cynk, w razie gdyby któryś z nich cię wyśledził. Uważasz, że twój popis przeszedł niezauważony? Śmiem twierdzić, że informacja dotarła już na miejsce.

Doyle kichał i prychał, a na dodatek miał zajęte ręce i nie mógł wytrzeć nosa, z którego stale mu ciekło.

– A co z Barrym? – zapytał, podejmując temat.

– Niech się pan nie kłopotze o Barry'ego, szefie – rzucił Larry, siadając w kącie i z upodobaniem maczając w herbacie twarde szkockie biszkopty. – Bywał w gorszych tarapatach i zawsze jakoś udawało mu się z nich wykaraskać. Nie wymyślili jeszcze takiej celi, która zatrzymałaby na dłużej mojego zdolnego braciszka.

– Twój brat jest raczej małomówny – stwierdził Doyle, żałując w pierwszej chwili, iż cecha ta nie charakteryzuje obu złodziejasków.

– Barry uważa, że lepiej jest milczeć i udawać durnia, niż otworzyć usta i potwierdzić to przypuszczenie – odparł z uśmiechem Larry.

Sparks, pogwizdując *Rule Britannia*, ułożył między ich palcami nową kombinację nitek.

– Przynajmniej znaleźliśmy Bodgera Nugginsa – powiedział gwoli wytłumaczenia Doyle. – I sporo z niego wyciągnęliśmy. To nie powiem, faktycznie się nam udało.

– Hmm. W ostatniej chwili, ale jednak.

– Nie możesz mnie winić za jego śmierć.

– Nie. Przypuszczam, iż to zawdzięczamy komu innemu. Szkoda. Jeszcze chwila, a Bodger wyjawiłby nam, w jakim celu wywożono tych skazańców do Yorkshire...

Doyle kichnął głośno i przeplatanka o mało nie ześlizgnęła mu się z palców.

– Na zdrowie – rzucili chórem Larry i Sparks.

– Dziękuję. Jack, kiedy ostatni raz widziałem Nugginsa, był cały i zdrowy, a na dodatek otoczony kordonem policjantów. W godzinę później znaleziono go w rzece, pływającego głową do dołu. Sugerujesz, że policja musiała mieć z tym coś wspólnego?

– A jak sądzisz, dlaczego tak uparcie ostrzegałem cię, byś się z nimi nie kontaktował?

– odrzekł cierpliwie Sparks.

– Co sugeruje – aczkolwiek jest to niewiarygodne – że oprócz sprawowania władzy nad przestępczym podziemiem, twój brat ma swoje wtyczki w Scotland Yardzie.

– Policjanci nie są bardziej odporni na jego wpływ niż inni ludzie.

– I ty chcesz, żebym w to wszystko uwierzył? Lansdown Dilks, policja, zbiegli więźniowie, generał Drummond, lady Nicholson i jej brat, ziemia jej męża, twój brat, szare kaptury, Ciemne Bractwo; wszystko to gdzieś tam się zazębia, tylko na razie nie wiadomo jeszcze za bardzo gdzie, prawda?

– Śmiem twierdzić, że to nie podlega dyskusji – odrzekł Sparks, skupiony na przeplatance, której układ był w tym momencie wyjątkowo skomplikowany.

– A czy mógłbym cię zapytać, co ma z tym wspólnego świńska krew znaleziona w domu przy Cheshire Street?

– To doprawdy bardzo dziwne. Larry, pokaż doktorowi zdjęcie.

– Jak pan każe, sir.

Larry wyjął z kieszeni marynarki zdjęcie i podał Doyle'owi. Przedstawiało kobietę wychodzącą tylnym wyjściem z jakiegoś budynku i schodzącą po schodach do czarnego powozu widocznego w lewym dolnym rogu fotografii. Wysoka kobieta o zdecydowanych rysach twarzy i kruczoczarnych włosach mogła mieć, zdaniem Doyle'a, około trzydziestki; nie była w konwencjonalny sposób atrakcyjna, ale na pewno przystojna i władcza. Choć jej twarz, uchwycona w ruchu, była nieco rozmazana, widać było, że kobieta nie tyle wychodzi potajemnie, ile raczej wykrada się z domu.

– Poznajesz tę kobietę, Doyle?

Doktor uważnie przyjrzał się fotografii.

– Wygląda trochę jak lady Nicholson, jest do niej nawet podobna, ale ta kobieta wydaje się jakby... silniejsza. No i na pewno jest od niej dużo wyższa. To nie ta sama osoba.

– Gratuluję spostrzegawczości – rzekł Sparks.

– Skąd masz to zdjęcie?

– Sami zrobiliśmy, dziś rano.

– Jakim cudem?

– Wystarczy dobre oko i wprawna dłoń – rzekł Larry, podnosząc pudełko, które Doyle zauważył dziś rano w hotelu, gdy Sparks chował je do kieszeni.

– Fotoaparat. Pomysłowe – mruknął Doyle, pragnąc go obejrzeć, ale palce nadal miał uwięzione w potrzasku włóczkowej plecionki.

– Tak – rzekł Sparks, wykonując ostatni manewr dłońmi. – Bardzo przydatne

urządzenie. Akurat tak się złożyło, że mieliśmy je przy sobie, przebywając w pewnej kryjówce na tyłach budynku przy Great Russell Street, gdzie mieści się wydawnictwo będące własnością rodziny lady Nicholson.

– Ale kim jest ta kobieta?

– To się okaże.

W czajniku zaczęła wrzeć woda. Sparks uwolnił się od przeplatania, pozostawiając doktora z niemi włóczki rozpiętymi na jego rozstawionych szeroko dłoniach. W obecnej chwili jedyną bardziej pogmatwaną rzeczą w całym pokoju było bez wątpienia zakłopotanie Doyle'a.

– Co to ma znaczyć? – rzucił ostro.

– Że musisz doprowadzić nas do najlepszego, najbardziej rzetelnego medium w Londynie, i to natychmiast. Jak się czujesz, Doyle?

– Paskudnie.

– Lekarzu, ulecz się sam! – rzekł Sparks, dolewając Doyle'owi wrzątku do miednicy.

Owinięty kocami, bo miał wypocić grypę, która go chwyciła, Doyle przespał twardo całe popołudnie. Trawiony gorączką i zdezorientowany, obudził się, by stwierdzić, że Sparks zniknął, a Larry siedzi czujnie przy jego łóżku z bloczkiem i węglem w dłoni. Jack polecił mu uzyskać od Doyle'a opis kobiety – medium, która przewodniczyła morderczej kongregacji w domu przy Cheshire Street, i naszkicować jej podobiznę.

Pracowali przez godzinę – Larry szkicował, Doyle korygował i podpowiadał, aż wreszcie uzyskali zadowalający wizerunek krępej jasnovidzki o kartoflanym nosie i obliczu pokrytym myszkami.

– Ta twarz mogłaby wystraszyć nawet umarlaka – oznajmił Larry, gdy przyglądali się dokończonemu dziełu.

– Nie sądzę, abym kiedykolwiek mógł ją zapomnieć – rzekł Doyle.

– Wstawaj pan, doktorze, pora ruszać w drogę – powiedział Larry, chowając kartkę do kieszeni. – Zobaczymy, czy uda się nam znaleźć tę ślicznotkę wśród żywych.

Doyle zwlókł się z łoża boleści, przebrał w czyste, suche rzeczy i nałożył płaszcz, który, Bóg wie jakim sposobem, załatwił dla niego Larry. W blasku zachodzącego słońca wyszli z hotelu, udając się na poszukiwania tajemniczego medium.

– Teraz ty prowadź, szefie – mruknął Larry, usadawiając się na koźle. – Ty znasz te miejscowe fisze i flądry.

– Jak, twoim zdaniem, powinniśmy zabrać się do tej sprawy?

– Pojeździć tu i tam, odwiedzić paru znanych magików, co ślipią w szklane kule,

pokazać im nasz wspaniały rysunek. Może z tego, co powiedzą, uda się wyniuchać coś konkretnego.

– Larry, w Londynie jest mnóstwo mediów. To może potrwać – burknął Doyle i wyprostował się. Okropnie bolały go plecy i z całego serca miał ochotę znów się położyć.

– Prowadzenie śledztwa i ta cała policyjna robota to nie tylko pałaszowanie ostryg i picie piwa. Prawda jest taka, że trzeba liczyć się także z kosztem zdartych zelówek.

– Ale robota.

– Lepsze to niż kopniak w łeb podkutym buciorem. Pod jaki adres pan sobie życzy, sir? – spytał Larry udawanym, dystyngowanym tonem.

Doyle podał mu adres znanego jasnowidza. Na początek było to równie dobre miejsce jak każde inne. Larry uchylił kapelusza, strzelił z bata i ruszyli w opary mglistego wieczoru.

Media to zdecydowanie istoty nocy, które bardziej od ciepła promieni słonecznych preferują blask świec i srebrzystą poświatę księżyca – owe melancholijne istoty są raczej narzędziami posiadanych przez siebie, niezwykłych talentów, aniżeli ich użytkownikami. Choć Doyle od czasu do czasu napotykał osobliwych ludzi, którzy nie przejmowali się obecnością swych mrocznych zdolności bardziej, niż gdyby urodzili się z podwójnymi stawami kolanowymi, media były w większości mglistymi, eterycznymi istotami stojącymi jedną nogą po tej, a drugą po przeciwnej stronie Wielkiej Granicy. To nie było jednak najgorsze. Wydawało się bowiem, że przez swój dar, osoby te zostały pozbawione czegoś znacznie cenniejszego – poczucia przynależności do świata żyjących. Nie potrafiły znaleźć sobie miejsca wśród trybów ogromnego mechanizmu, zwanego społeczeństwem, i w większości klepały biedę. Choć anormalna wrażliwość i umiejętność nawiązywania kontaktów z zaświatami sprawiały groźne wrażenie, a niekiedy nawet czyniły z mediów pariasów (ludzie unikali ich jak trędowatych), w rzeczywistości prawdziwi jasnowidze byli absolutnie nieszkodliwi, jak skrzydła wiatraka obracane podmuchami kapryśnego wiatru, którego nie są w stanie zrozumieć ani, tym bardziej, kontrolować. Na podstawie doświadczeń z tymi ludźmi Doyle stwierdził, iż byli oni bez wyjątku żałośni, godni politowania i smutni.

To znaczy, do spotkania z kobietą w domu przy Cheshire Street. W wywołaniu przez nią ducha wyczuwało się coś dziwnego, jakby przyzwolenie. Nawet jeśli to, co miało miejsce później, było dziełem teatralnych, mechanicznych sztuczek, nie sposób było zaprzeczyć lodowato zimnej obecności zła w tamtym pokoju po ujawnieniu się ducha przewodnika. Ta kobieta nie tyle pozwoliła złemu duchowi, aby przez nią działał, ile wręcz zaprosiła go do siebie. Co za tym idzie, bez wątplenia musiała dysponować jakąś *force majeure extraordinaire*, antytezą boskości.

Kilka pierwszych wizyt przyniosło im jedynie rozczarowanie. Nie, nie znali tej kobiety, nigdy wcześniej nie widzieli tej twarzy, nie słyszeli o niej, nie znają innych rywalizujących mediów (pomimo eterycznej pompy w biznesie medialnym panowała ostra konkurencja), które działałyby na tym terenie. Niemniej będą uważać. Zrobią, co w ich mocy. Jednakże przyciśnięci do muru wszyscy, bez wyjątku, wspominali, że od pewnego czasu dręczą ich coraz bardziej niepokojące koszmary i wizje, rozmyte przebłyski, mgliste, pojawiające się na ułamek sekundy obrazy, których nie byli w stanie zapamiętać, a które budziły w ich sercach niewytłumaczalną trwogę. Każde z pierwszych pięciu mediów wspominało o uderzająco zbliżonych doznaniach, ale nie chciało na ich temat rozmawiać. Doyle podejrzewał, że ludzie ci pamiętali dużo więcej, tyle że nie zamierzali mu tego wyjawiać.

Mieszkanie pana Spiveya Quince'a było szóstym miejscem, które odwiedzili tego wieczoru. Doyle nie potrafił stwierdzić autorytatywnie, czy Spivey był bardziej sprytnym oszustem, czy jasnowidzem. Na pewno był odludkiem i zapamiętałym hipochondrykiem; poznali się, gdy Spivey postanowił skorzystać z usług Doyle'a. Wiedział o wszystkich ważniejszych wydarzeniach rozgrywających się na arenie światowej, gdyż codziennie z zapalem czytał od deski do deski tuzin gazet. W przeciwieństwie do większości swoich braci, wymagających pośrednictwa małżonki lub służącej do wykonywania najbardziej podstawowych czynności domowych, Spivey był zdumiewająco samowystarczalny. Mieszkał w wytwornym budynku w Mayfair, gdzie każdego dnia kordon chłopców – dostawców dostarczał na miejsce najlepsze potrawy, a jeśli to było konieczne, również inne artykuły czy odzież. Spivey znał najlepszych krawców i, choć jego noga nigdy tam nie postąpiła, menu najwykwintniejszych restauracji w Londynie. Nie wystawiał nosa za próg swego mieszkania, a mimo to otrzymywał (z różnych źródeł) informacje na temat londyńskiej śmietanki towarzyskiej i znał na bieżąco wszystkie plotki.

Jako że nigdy nie reklamował swoich umiejętności i – jak się zdawało – nie miał stałych klientów korzystających z jego usług, to, w jaki sposób Spivey utrzymywał wysoki standard życia przez tyle lat, pozostawało niewyjaśnioną tajemnicą. Aż pewnego dnia Doyle zauważył jednego z chłopców Quince'a, opuszczającego w dzień po Epsom Derby biuro pewnego powszechnie znanego bukmachera, z plecakiem pełnym gotówki. Podczas następnej konsultacji w mieszkaniu Spiveya, który ostatnimi czasy cierpiał na coraz częstsze i bardziej urojone choroby, Doyle zauważył, że wśród sięgających od podłogi po sufit stert gazet znajdowały się dwa stosy, złożone wyłącznie ze starych informatorów wyścigów konnych. Źródło sekretnej fortuny Spiveya stało się oczywiste.

Przekonania o prawdziwości fenomenu Spiveya balansowały w umyśle Doyle'a niczym szale wagi, gdzie na jednej znajdował się ślepy traf bądź szczęście w trudnych sytuacjach, z drugiej zaś możliwość, iż hipochondryczny geniusz wykorzystywał swe paranormalne umiejętności wyłącznie do gry „w koniki”.

Doyle polecił Larry'emu, by został przy powozie, wiedząc, że Spivey i tak będzie dostatecznie wstrząśnięty oraz zbity z tropu jego niespodziewaną wizytą, aby zgodzić się przyjmując w swoim mieszkaniu nieznanego, niezaopatrzonego w kartę zdrowia ze wszystkimi koniecznymi podpisami i pieczętami.

Quince sam otworzył drzwi – nie zatrudniał służby; nie ulegało wątpliwości, iż bogactwa dochrapał się również dzięki swemu potwornemu skąpstwu – odziany jak zawsze w czerwoną, jedwabną piżamę z monogramem, takiż szlafrok i marokańskie papucie. Choć szafy w jego mieszkaniu pękały w szwach od mnóstwa modnych ubrań, Doyle nigdy jeszcze nie widział, aby Spivey miał na sobie coś innego oprócz stroju, w którym powitał go tego wieczoru.

– Słucham, o co... O, doktor Doyle – rzekł cicho Quince, uchylając drzwi. – Boże, nie pamiętam, abym po pana posyłał.

– Bo nie posyłałeś, Spivey – odrzekł Doyle.

– Dzięki Bogu. Już się bałem, że to skutki ataku jakiejś halucynacyjnej gorączki, wie pan, tego tropikalnego choróbka, które leczy się końskimi dawkami chininy. Coś nie tak, doktorze? Jestem chory?

– Nie, wygląda na to, że jesteś zdrowy, Spivey.

Z piersi Quince'a dobył się w tej samej chwili głuchy, gruźliczy kaszel.

– Widzi pan? Czuję, że tak będzie. Spodziewałem się tego. Przyszedł pan w samą porę – rzekł Quince, kiedy się wreszcie uspokoił. Wyjrzał nieśmiało na zewnątrz, w opary kłębiącej się mgły. – To ta zmiana pogody, zupełnie nie jestem sobą. Pojawienie się londyńskiej mgły po okresie względnego ocieplenia jest w stanie mnie zabić – proszę wejść, proszę wejść – mam nadzieję, że wziął pan wszystko, co potrzeba, Bóg wie, jaka będzie pańska ostateczna diagnoza.

Doyle wszedł, a znając niechęć Spiveya do dotykania obcych rzeczy, zdjąwszy kapelusz i płaszcz, sam powiesił je na wieszaku.

– Nie mam dziś swojej torby, Spivey. Nie przyjechałem na wezwanie, a raczej na spotkanie towarzyskie – wyjaśnił Doyle, usiłując powstrzymać symptomy swego przeziębienia – jeden haust skażonego powietrza i Spivey zażądałby dla siebie kwarantanny.

– Widzi pan, ostatnio kiepsko sypiam, a kiedy nie jestem wypoczęty, staję się bardziej

podatny na wszelkie dolegliwości – powiedział Quince, ignorując uwagę Doyle'a, kiedy przechodził przez hol.

– Koszmary?

– I to jakie! Okropne. Aż dostaję spazmów. Ale nie potrafię ich sobie przypomnieć. Już mam odpłynąć, kiedy ktoś gwałtownie mnie budzi. To na pewno przez ogólne zmęczenie, czuję się, jakbym był stale chory.

Quince wprowadził Doyle'a do salonu. Choć był nader przestronny i wytworny, jego wystrój wydawał się iście spartański – meble były stare, a każde krzesło obowiązkowo przykryte pokrowcem. Jeżeli nie liczyć stosów gazet zasłaniających ściany, w pokoju było czysto. Na stoliku, przy którym usiadł Quince, stały zgrabne rzadki różnego rodzaju medykamentów. Spivey ponownie zakasłał spazmatycznie i przyklepał strzechę rudych włosów, które buntowniczo sterczały mu na wszystkie strony. Twarz miał rumianą, postawę zdecydowaną. Na pierwszy (i drugi też) rzut oka Quince wydawał się okazem zdrowia.

– Nie ma pan nawet stetoskopu? – spytał trwożliwie Quince. – Czuję, że przy każdym ataku kaszlu coś grzechocze mi w piersiach. Może przemieściło mi się żebro albo – uchwaj, Boże – robi się tam jakiś skrzep. W tym przypadku ostrożności nigdy za wiele. Zwłaszcza w styczniu.

– Nie przejmowałbym się tym...

Quince chrząknął głośno i ostentacyjnie wypluł coś do chusteczki, po czym przyjrzał się temu czemuś z pasją pastora wbijającego wzrok w stronicę Biblii.

– Co powie pan o tym? – spytał, podając chusteczkę Doyle'owi.

– Jedz więcej pomarańczy – odrzekł doktor, udając, że obejrzał plwocinę. Obawiając się, że efektem kolejnej chwili wahania może być przeciągające się w nieskończoność badanie, wyjął z kieszeni płaszcz podobiznę medium. – Co o tym powiesz?

Quince nie dotknął kartki – rzadko czeokolwiek dotykał, jeżeli nie musiał tego robić, a jeżeli nawet, to tylko w rękawiczkach, teraz zaś miał gołe ręce – niemniej uważnie przyjrzał się rysunkowi. Doyle nie chciał mu powiedzieć, kim była ta kobieta ani dlaczego jej poszukiwał. Jeśli Spivey jest jasnowidzem, niech udowodni swe paranormalne zdolności.

– Mam to odczytać dla pana – rzekł Quince.

– Tak, jeżeli to możliwe.

Spivey w dalszym ciągu wpatrywał się w szkic. Zaczęły opadać mu powieki.

– Niedobrze – rzekł po chwili, prawie szeptem. – Niedobrze.

– Co niedobrze, Spivey?

Oblicze Spiveya okryło się kokonem niespokojnej energii, jego skóra napięła się,

zaczął dygotać. Jego oczy powiększyły się niczym ślepa sowy i wywróciły w oczodołach, jakby miały spoglądać w głąb niego. Doyle wiedział, iż były to pierwsze symptomy transu – wewnętrzne widzenie.

Wszedł w trans równie szybko jak nakłada się piżamę – pomyślał Doyle. Może jednak ten Spivey był prawdziwym fenomenem.

– Słyszysz mnie? – zapytał Doyle po chwili milczenia. Spivey wolno pokiwał głową.

– Co widzisz, Spivey?

– Dzień... polana... chłopiec.

Lepiej niż przypuszczałem – pomyślał Doyle.

– Mógłbyś go opisać?

Spivey zmrużył niewidzące oczy.

– Nie ma włosów.

Nie ma włosów? Coś nie tak.

– Na pewno nie jest blondynem.

– Nie ma włosów. Jasne ubranko. Niebieskie. Blisko są konie.

Najwyraźniej Spivey w transie widział wyłącznie tory wyścigów konnych. Może „chłopiec” był dżokejem w różnobarwnym, jedwabnym kostiumie.

– Czy on jest... na wyścigach?

– Nie. Na zewnątrz biegnąca łukiem droga. Ludzie w czerwieni.

Doyle zamyślił się.

– Pałac Buckingham?

– Wysoki budynek. Trawa. Żelazna brama.

Opisuje Royal Mews – pomyślał Doyle.

– Spivey, co robi ten chłopiec?

Brak odpowiedzi.

– Jakie jest znaczenie tego chłopca?

– Wzrok. On widzi.

Doskonale, zasłużyłeś na biskopata.

– Okazałeś się bardzo pomocny, Spivey, jeżeli chodzi o chłopaka. Ale czy mógłbyś powiedzieć mi coś o tej kobiecie?

Spivey zmarszczył brwi.

– Biskopt?

– Biskopt? – Przecież właśnie przed chwilą o tym pomyślałem. Musiał wyłuskać to słowo bezpośrednio z moich myśli – stwierdził Doyle z lekkim zaniepokojeniem.

– Pudełko po biszkoptach.

Znów to pudełko po biszkoptach. Coś nie dawało mu spokoju. Ale co? Wreszcie sobie przypomniał – seans i osobliwa wizja chłopca – w kącie znajdował się pojemnik z literami układającymi się w SZKOP. Oczywiście, to było to – pudełko po biszkoptach. Ale skąd wytrzasnął to Spivey? – zastanawiał się Doyle. Z mglistych zakamarków mojej niedoskonałej pamięci?

– Nie wiesz czasami, Spivey, jakie to były biszkopty?

– „Jak u mamy”.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Biszkopty „Jak u mamy”. Nie mógł się już doczekać, aby opowiedzieć Sparksowi, jak w pojedynkę rozgryzł tę zagadkę, niczym skorupkę fistaszka.

– Widzisz coś jeszcze, oprócz pudełka po biszkoptach, Spivey?

Quince pokręcił głową.

– Nie widzę. Coś mi zasłania.

– Co?

Spivey miał trudności z „zobaczeniem”.

– Cień. Wielki cień.

Ciekawe. Nie był pierwszą osobą używającą tego samego określenia.

Nagle Spivey nachylił się i wyrwał rysunek z ręki Doyle'a. Kiedy ścisnął go w rękę, jego ciałem targnął konwulsyjny skurcz, jakby papier był naelektryzowany. Doyle przez moment spodziewał się ujrzeć kłęby czarnego dymu, buchające z uszu Spiveya. Bał się go dotknąć, aby ta niebezpieczna energia nie poraziła również jego.

– Przejście! Zamknąć przejście! – wrzasnął zatrażająco Spivey. – Zamknąć mu drogę! Tron! Tron!

Wystarczy – pomyślał Doyle, i schwycił obiema dłońmi rysunek – to dziwne, ale wydawało mu się przez chwilę, że odczuwa przenikające kartkę elektryczne, brzęczące pulsowanie. Szarpnął, ale Spivey trzymał zbyt mocno i kartka rozdarła się na strzępy. To wystarczyło, by przerwać przepływ prądu, Spivey rozluźnił uścisk, kawałki papieru posypały się na ziemię między nimi. Quince osunął się ciężko na fotel. Jego oczy z wolna się rozjaśniały. Ciałem Quince'a wstrząsały dreszcze, czoło miał zroszone potem.

– Co się stało? – zapytał Spivey.

– Nie pamiętasz?

Spivey pokręcił głową. Doyle opowiedział mu.

– Coś spłynęło na mnie, z wizerunku tej kobiety – rzekł Spivey, wpatrzony w swe

rozdygotane dłonie. – Coś, po czym zrobiło mi się słabo.

– Nie wyglądałeś najlepiej, to fakt – rzekł Doyle. To był błąd.

– Jestem w strasznym stanie. Wielkie nieba! Wielkie nieba! Czy może mi pan coś dać? Nerwy mam w strzępach. Zupełnie się rozsypuję.

Poczuwając się do odpowiedzialności za stan Spiveya, Doyle przejrzał ustawione na stole rzędy medykamentów i sporządził miksturę, która mogła złagodzić dyskomfort medium. Spivey wypił ją bez mrugnięcia okiem.

– Właśnie dlatego wolę nie ruszać się z domu – rzekł łagodnym tonem Spivey, usiłując zaczerpnąć tchu i powstrzymać miotające jego ciałem dreszcze. – Nigdy nie wiadomo, co może nas spotkać na ulicy. Zupełnie jak z rwącą rzeką. Niebezpieczne prądy. Kamienie i wiry. Nie przeżyłbym w takiej wodzie bez odpowiedniego zabezpieczenia. Obawiam się, że mój umysł nie wytrzymałby tak wielkiego napięcia.

Jego wyjaśnienia wydawały się sensowne. Doyle w głębi serca współczuł temu człowiekowi – jest równie bezradny wobec swego talentu jak kamerton wobec drgań. Wystarczy drobna wibracja, aby go pobudzić. To dopiero kłopot. Kto wie, czy ja na jego miejscu również nie zmieniłbym się w odludka – pomyślał Doyle.

– Ojciec chciał, żebym został lekarzem – powiedział Spivey. Jego głos drżał z wysiłku. – Wie pan, on też był lekarzem. Chirurgiem. Planował, abym poszedł w jego ślady. Kiedy byłem jeszcze chłopcem, zabrał mnie ze sobą do szpitala. Wszedłem tylko na oddział i...

– W porządku, wystarczy – mruknął Doyle.

Oczy Spiveya zamglily się od łez.

– Jak mogłem mu wytłumaczyć koszmar i zgrozę, których doświadczyłem? Odkryłem, że jestem w stanie postrzegać choroby u poszczególnych pacjentów. Widziałem... tych ludzi... pokrytych... kwiatami zepsucia... które kwitły na ich ciałach... pieniały się jak chwasty... widziałem, jak cał po calu... pochłaniają kolejne porcje ich tkanek, jak te choroby... pożerają ich żywcem. Zemdlałem. Nie mogłem powiedzieć ojcu, dlaczego. Ubłagałem go, aby już nigdy nie zabierał mnie ze sobą. A jeśli te choroby były zaraźliwe? Najbardziej obawiałem się, że przejdą z chorych na mnie. Gdybym musiał oglądać na własne oczy, jak te obrzydliwe, zabójcze narośla urządzają sobie piknik na moim ciele, chyba bym oszalał. Prędzej sam odebrałbym sobie życie.

– Rozumiem, Spivey.

Cienie Andrew Jacksona Davisa, mistyka z Appalachów – pomyślał Doyle. Spivey miał dar, nie ulegało wątpliwości, ale było to brzemię, któremu ten biedak nie potrafił

sprostać. Już nigdy nie będę lekceważył skarg i utyskiwań tego małego hipochondryka. Przeprosił go za wieczorne najście i ruszył w stronę drzwi.

– Proszę... czy mógłby pan zabrać to ze sobą? Byłbym wielce zobowiązany – rzekł pokornie Spivey. Stał z zamkniętymi oczyma, wskazując nieśmiało na leżące na podłodze strzępy rysunku. – Bardzo bym pana prosił. Nie chcę, aby to zostało w moim mieszkaniu.

– Oczywiście, Spivey. To żaden kłopot.

Doyle pozbiierał z podłogi kawałki kartki i schował do kieszeni. W chwilę potem wyszedł, a Spivey Quince, kompletnie wyczerpany, zagłębił się w fotelu, przykładając lewą rękę do piersi na wysokości serca, wierzchem prawej zaś lekko dotknął czoła.

– Łysy, jasno ubrany chłopak kręcący się w pobliżu Royal Mews. Mam nadzieję, że nie wybulił pan zbyt wielu funciaków za tę wspaniałą wróżbę. I mój piękny rysunek podarty na strzępy.

– Znam Quince'a od trzech lat, Larry – rzekł Doyle. – Coś mi mówi, że ta skórka jest warta wyprawki.

– Biszkopty „Jak u mamy”, dobre sobie. Wie pan, jaki on miał problem? Był głodny. Powinien częściej wychodzić. Biszkopty mu na mózg uderzają. Która godzina?

– Za kwadrans dziesiąta.

– Aha! Pan Sparks chciał, żebyśmy punkt o dziewiątej zajrzeli do jego mieszkania.

Po raz pierwszy Doyle usłyszał o londyńskim mieszkaniu Jacka.

– Gdzie on mieszka?

– Tak się składa, sir, że przy Montague Street, przy Great Russell.

Larry zaciął konia batem i wprowadziwszy keb w Oxford Street, jadąc na wschód, dotarł na Montague Street, gdzie tuż obok British Museum stał bielony, dobrze utrzymany, ale ogólnie nijaki dom w stylu georgiańskim, z numerem 26. Powóz zatrzymał się na tyłach budynku, weszli do środka, po czym Doyle poszedł w ślady Larry'ego i po wąskich schodkach zaczął się pięć w górę.

– Wejdz, Larry, i przyprowadź doktora Doyle'a! – krzyknął Sparks przez drzwi, zanim jeszcze zapukali.

Weszli. Sparksa nigdzie nie było widać – jedyną osobą jaką zauważyli, był pulchny prezbiteriański pastor około czterdziestki o mocno zaczerwienionych policzkach. Siedział na wysokim stołku, przy długim stole zastawionym masą tajemniczych urządzeń, przeprowadzając jakiś skomplikowany eksperyment.

– Masz na palcach pył węglowy, a zatem masz mi coś ciekawego do powiedzenia – rzekł pastor głosem Sparksa.

Gdybym nie wiedział, że jest mistrzem charakteryzacji – pomyślał Doyle – sądziłbym, że mam do czynienia z demonicznym opętaniem. Opowiedział Sparksowi o swojej wizycie u Spiveya Quince'a.

– Warto pójść tym tropem – oznajmił Sparks.

Doyle stłumił chęć posłania Larry'emu triumfalnego spojrzenia i rozejrzał się po pokoju. Story były opuszczone. Doyle wątpił, aby kiedykolwiek je podnoszono, gdyż powietrze w pokoju było niewiarygodnie zatęchłe i gęste, wzdłuż ścian zaś ciągnęły się rzędy regałów pełnych opasłych woluminów. W jednym rogu znajdowała się wielka szafka katalogowa, a nad nią słomiana tarcza, na której dziury po kulach układały się w litery VR. *Victoria Regina* – królowa Wiktoria. Sparks w dziwny sposób okazywał swoje oddanie, niemniej był to pewien rodzaj hołdu. Ścianę za stołem laboratoryjnym zdobiła największa mapa Londynu, jaką Doyle miał okazję oglądać, upstrzona dziesiątkami szpilek o czerwono-niebieskich łebkach.

– Co oznaczają te szpilki? – zapytał Doyle.

– Zło – odrzekł Sparks. – Wzorce. Przestępcy generalnie ciężko myślą i mają ogromną skłonność do rytualizowania. Im wyższy poziom inteligencji, tym trudniej przewidywalne postępowanie.

– Diabelska szachownica – rzekł Larry. – Tak to nazywamy.

Wzrok Doyle'a przykuła przeszklona szafka w przeciwnym rogu pokoju. Znajdowała się w niej bogata kolekcja antycznej lub egzotycznej broni, od prymitywnych sztyletów z epoki kamiennej, przez stare, skałkowe muszkiety, po małe, srebrne gwiazdy o ośmiu ostrzach.

– Widzisz tu coś, co chciałbyś mieć pod ręką oprócz rewolweru? – zapytał Sparks.

– Wolę to, na czym się znam – odparł Doyle. – A co to są te małe, srebrne cacka?

– Shinzaku. Japońskie gwiazdy do rzucania. Stuprocentowo zabójcze. Śmierć następuje w ciągu paru sekund.

Doyle otworzył szufladę i wyjął jedną z nich – wycięta z wprawą z kawałka stali, miała krawędzie ząbkowane, jak haczyki na ryby: cienkie i bardzo ostre. Leżała w jego dłoni lekko, niczym opłatek.

– Muszę powiedzieć, Jack, że choć w dotyku wydaje się naprawdę paskudna, wcale nie wygląda zabójczo.

– Oczywiście. Najpierw trzeba ją zanurzyć w truciźnie.

– Ach!

– Chcesz kilka na próbę? Bardzo łatwo je schować. Musisz tylko uważać, żeby się nie

skaleczyć.

– Wielkie dzięki – odrzekł Doyle, odkładając gwiazdkę na miejsce.

– Zebrałem masę przerażającej broni z całego świata. Same unikaty. Gdyby człowiek połowę zapala, jaki przeznacza na produkcję broni, wykorzystał w bardziej racjonalnym celu, mógłby dokonać niesamowitych wręcz rzeczy!

– Albo wpakowałby się w jeszcze większe bagno – mruknął Larry, siadając na rogu stołu i skręcając papierosa.

– A co jest w tych szafkach? – zapytał Doyle.

– Nie wydaje mi się, abym mógł dłużej utrzymać przed tobą jakąś tajemnicę – rzekł Sparks, mrugając do Larry'ego.

– To Mózg – oznajmił Larry.

– Mózg?

– Wewnątrz tej szafki znajduje się wielce szczegółowe kompendium dotyczące każdego znanego londyńskiego przestępcy – stwierdził Sparks.

– Ich akta kryminalne?

– I nie tylko. Wiek, data i miejsce urodzenia, życiorys, dane o wykształceniu i zatrudnieniu, informacje o metodach działania, współnikach, kumplach spod celi, przyjaciółkach i środowisku; szczegółowy rysopis, pseudonimy, adnotacje o aresztowaniach, miejscach osadzenia i długości odsiadek – wyjaśnił Sparks, nie przerywając chemicznego eksperymentu. – Nie znajdziesz bardziej encyklopedycznego zbioru informacji, dzięki któremu można odnaleźć i wsadzić za kratki najgorszego typu spod ciemnej gwiazdy, ani w Scotland Yardzie, ani – śmiem twierdzić – w żadnej komendzie głównej policji na całym świecie.

– Ale policja na pewno ma coś w tym rodzaju?

– Jeszcze o tym nie pomyśleli. Zwalczanie przestępczości to zarazem sztuka i nauka. A oni nadal traktują to jak pracę w fabryce. No, otwórz i zajrzyj.

Doyle na chybił trafił otworzył jedną z dwunastu szuflad – była wypełniona rzędami ułożonych alfabetycznie fiszek. Wyjąwszy jedną z kart, Doyle ze zdumieniem stwierdził, iż była pokryta ręcznym pismem, ale język nie przypominał angielskiego – słowa tworzyły niezrozumiałe bełkot.

– Jak możesz to odczytać? – zapytał Doyle.

– Tak kluczowe informacje muszą być zapisane szyfrem. Nie chcielibyśmy, aby wpadły w niepowołane ręce, prawda?

Doyle obejrzał fiszkę ze wszystkich stron. Nie był w stanie złamać szyfru. Nigdy

dotąd nie spotkał równie skomplikowanego kodu.

– Zakładam, że sam wymyśliłeś ten szyfr – rzekł Doyle.

– To przypadkowy amalgamat wzoru matematycznego, urdu, sanskrytu i mało znanego dialektu jednego z języków ugrofińskich.

– A zatem, tylko ty możesz z tego korzystać.

– W tym sęk, Doyle. To nie jest wypożyczalnia.

– Co tu jest napisane? – zapytał Doyle, unosząc fiszkę, by Sparks mógł ją zobaczyć.

– Jimmy Malone. Urodzony w 1855 w Dublinie. Bez wykształcenia. Najmłodszy w rodzinie. Ma czterech braci. Ojciec robotnik. Matka posługaczka. Poszukiwany w Irlandii za napaść i napad na pociąg. Wraz z braćmi pracował w przedzalni Rosties and Fins w Cork. W 1876 wyemigrował do Anglii. Pierwsze aresztowanie – Londyn, napaść, w styczniu 1878. Odsiedział dwa lata i sześć miesięcy w Newgate. Po wyjściu, jako zatwardziały kryminalista, zaczął pracować na własną rękę. Specjalność – rabunki. Ulubiona broń – pałka nabijana ćwiekami. Podejrzewany o co najmniej jedno morderstwo. Ostatnie znane miejsce pobytu – East End, Adler Street przy Greenfield Road. Pięć stóp, osiem cali wzrostu, waga 12 kamieni, zielone oczy, przerezione blond włosy, lubi kozią bródkę. Słabości – hazard, alkohol i prostytutki – innymi słowy, sporo. Znany również jako Jimmy Muldoon albo Jimmy Hak...

– Rozumiem, o co chodzi. – rzekł Doyle, pieczołowicie odkładając fiszkę do szuflady.

– Ten Jimmy – zachichotał Larry, kręcąc głową. – Co za głupi osioł.

– Czy nie martwisz się, że możesz obudzić się któregoś dnia i stwierdzić, że zapomniałeś klucza do tego szyfru?

– Na wypadek, gdyby przydarzyło mi się coś złego, formuła do złamania szyfru spoczywa bezpiecznie w sejfie firmy Lloyd'a w Londynie, wraz z instrukcją, aby archiwa zostały przekazane policji – rzekł Sparks, wlewając dymiącą zawartość zlewki do większego naczynia. – Choć wątpię, aby zrobili z tego kiedyś użytek.

– Nie martwi cię, że ktoś mógłby się tu kiedyś włamać i ukraść wszystkie fiszki?

– Otwórz te drzwi – rzekł Sparks, a że miał zajęte ręce, wskazał drzwi, o które mu chodziło, skinieniem głowy.

– O co chodzi?

– Po prostu je otwórz.

– Te tutaj?

– Tak – rzekł Sparks. – No, śmiało.

Doyle wzruszył ramionami, ujął za klamkę i pociągnął. Na ułamek sekundy przed zatrzaśnięciem drzwi Doyle z przerażeniem dostrzegł za nimi parę oszalałych, przekrwionych

ślepi, trójkątny jezor i wielkie psie kły, sięgające do jego gardła.

– Boże! – rzekł Doyle, przywierając plecami do drzwi, aby za wszelką cenę powstrzymać czającą się za nimi piekielną bestię. Sparks i Larry na ten widok (i rzecz jasna, jego kosztem) wybuchnęli śmiechem.

– Żałuj pan, żeś siebie nie widział – powiedział Larry, przykładając obie dłonie do boków i zaśmiewając się w głos.

– Co to był za diabeł? – spytał ostro Doyle.

– Odpowiedź na twoje pytanie – odparł Sparks, włożył dwa palce do ust i zagwizdał dwukrotnie. – Teraz możesz otworzyć.

– Wolę nie.

– No dalej, stary. Usłyszał sygnał. Możesz być pewny, że nic ci nie zrobi.

Doyle z wahaniem podszedł do drzwi, uchylił je i ukrył się za nimi, gdy przez szczelinę przecisnęła się ogromna masa czarnobiałych mięśni na czterech łapach. Pies miał łeb jak melon, obwisłe uszy i płaski pysk. Na szyi nosił kolczatkę. Stał w drzwiach i spojrzał na Sparksa, oczekując poleceń.

– Dobry Zeus – rzekł Sparks. – Przywitaj się z doktorem Doyle'em.

Pies posłusznie wywęszył Doyle'a ukrytego za drzwiami, usiadł przed nim (łeb psa znajdował się dobrze powyżej piersi Doyle'a) i przyjrząwszy mu się niewiarygodnie czujnymi i inteligentnymi oczyma, podał mu na powitanie łapę.

– No dalej, doktorze – polecił Larry – Zeus nie lubi, gdy odmawia mu się tego drobnego, przyjacielskiego gestu.

Doyle ujął i potrząsnął wyciągniętą psią łapę a Zeus, zadowolony, ponownie przeniósł wzrok na Sparksa.

– Teraz, skoro się już znacie, to może, piesku, dałbyś Doyle'owi całusa.

– To naprawdę nie jest konieczne, Jack...

Ale Zeus już wspiał się na tylne łapy i utrzymując idealną równowagę, spojrzał Doyle'owi prosto w oczy. Oparł przednie łapy na ramionach mężczyzny i delikatnie przyszpilił go do ściany. Następnie, machając ogonem, wysunął język, by oblizać policzki i uszy Doyle'a.

– Dobry Zeus... – rzekł ten niepewnie. – Dobry piesek... Dobry... Dobra psinka... Dobra...

– Nie mówiłbym do niego w ten sposób, doktorze – ostrzegł Larry. – Żadnych zdrobnień, bo pomyśli, że odnosi się pan do niego protekcjonalnie.

– A tego byśmy nie chcieli, prawda? – spytał Doyle. – Wystarczy, Zeus.

Pies, jakby zrozumiał jego słowa, opadł czterema łapami na podłogę i usiadłszy u nóg Doyle'a, przeniósł wzrok na Sparksa.

– Jak się zapewne domyślasz, zważywszy na stałą obecność czujnego i niezrównanego Zeusa, nie muszę obawiać się, że ktoś włamie się do mego mieszkania – rzekł Sparks i energicznym gestem zakończył swój eksperyment. Wlał otrzymany w jego rezultacie płyn do trzech fiolek i odstawił do schłodzenia na stojak.

Piękne i imponujące zwierzę – pomyślał Doyle, wyciągając rękę, by podrapać psa za uszami.

– Pies to niezwykle zwierzę – powiedział Sparks. – Żadne inne równie łatwo nie rezygnuje świadomie ze swej wolności, by służyć człowiekowi; hipokryci, mieniący się kustoszami tak zwanej ludzkiej wiary, nigdy nie osiągnęli równie głębokiego oddania.

– Dobrze jest, gdy się je karmi – stwierdził Doyle.

– Przecież pastorów i biskupów również karmimy. Nigdy nie słyszałem, aby choć jeden z nich oddał życie za drugiego.

Doyle pokiwał głową. Rozglądając się wokoło, stwierdził, iż w pokoju nie było żadnych wygod. Poza stołkiem przy stole laboratoryjnym, nawet nie było na czym usiąść.

– To twój dom, Jack?

Sparks wytarł dłonie w ręcznik i zaczął usuwać ze swojej twarzy charakterystykę, na początek odkładając na stół parę sztucznych siwych brwi.

– Czasami tu sypiam i, jak się zapewne domyślasz, używam tego mieszkania w charakterze bazy operacyjnej. Ponieważ uważam się za obywatela, mój dom jest wszędzie tam, gdzie się w danej chwili znajduję, co za tym idzie, nie mam domu jako takiego. Nie miałem domu, odkąd mój brat obrócił miejsce, które określałem tym mianem, w pogorzelnisko. Czy to zadowalająca odpowiedź?

– Dostyc.

– Świetnie. – Sparks zdjął koloratkę, rozpiął surdut i wyjął spod niego miękką wyściółkę, która nadawała jego brzuchowi pękaty kształt. – Jeśli ciekawi cię, skąd pochodzi ta kolekcja różnorodnych, barwnych postaci, chodź ze mną.

Doyle wszedł za Sparksem do pokoju, w którym kwaterował Zeus. Ściany tego niewielkiego pomieszczenia obwieszane były wieszakami, a znajdujące się na nich kostiumy wystarczyłyby do zaopatrzenia na rok większego teatru. Na oświetlonej gazowymi lampami toaletce stały farbki i pędzelki kosmetyczne. Jeden kąt zarezerwowany był dla drewnianych, pozbawionych rysów twarzy głów, ozdobionych całą gamą peruk i wąsów, bród i baczków. Można było dostrzec tam również stertę pudełek na kapelusze, szuflady ze skatalogowanym

sprzętem, portfele zaopatrzone w dziesiątki fałszywych dokumentów i zestawy rozmaitych, miękkich wyściółek do nadania sylwetce pożądanego kształtu. Maszyna do szycia, bele materiału i manekin krawiecki z na wpół skończoną kurtką oficera królewskich fizylierów sugerowały, że ów element garderoby wykonany został ni mniej, ni więcej tylko w tym mieszkaniu. Sparks mógł wejść do tego pokoju i wyjść z niego jako zupełnie inny mężczyzna, lub nawet jako kobieta.

– Sam to wszystko zrobiłeś? – zapytał Doyle.

– Nie wszystkie sezony mojej pracy w teatrze upływały na rozpustnych hulankach – powiedział Sparks, odwieszając swój surdut.

– Wybacz na moment, Doyle, ale chciałbym znów stać się sobą. To nie potrwa długo.

Doyle wrócił do drugiego pokoju, gdzie Larry karmił Zeusa. Olbrzymi pies miażdżył kości i chrupał je z apetytem.

– Zdumiewające – rzekł Doyle.

– Na pana miejscu byłbym zaszczycony, szefie. Pierwszy raz widzę, że pan Szycha sprowadził tu kogoś z zewnątrz. To ściśle wzbronione, skądinąd nie bez powodu.

– Wybacz moją niewiedzę, Larry, ale czy wielu ludzi w Londynie zna Jacka?

Larry zamyślił się, wydmuchując dym z papierosa.

– Powiem panu, szefie, że istnieją trzy rodzaje ludzi, należących do trzech różnych grup. Ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o Jacku i nie mieli z nim styczności – to ogół londyńczyków, uczciwi ludzie pracujący w swoich zawodach, niemający zielonego pojęcia o ukrytym paskudztwie, zwanym światem przestępczym. Druga grupa to garstka szczęśliwców, mających ten niewątpliwy zaszczyt, że Jack pracował dla nich – jest ich rzecz jasna niewielu, zważywszy, ile wysiłku kosztuje go praca w tajnej służbie rządowej, niemniej od czasu do czasu zdarza mu się wkroczyć na teren tak zwanego sektora prywatnego. I jest jeszcze trzecia grupa, do której zaliczają się wszelkiego rodzaju oszuści, bandyci, szumowiny i kanalie, mający ze względu na różne swe słabostki bliższy kontakt z panem S., a na dźwięk jego nazwiska ich serca przepelnia trwoga. Ta zbieranina jest znacznie liczniejsza i bardziej łaśna na karierę, niż by się to mogło wydawać. Większość ludzi w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. Pan, szanowany lekarz, raczej nie powinien mieć z nimi wiele do czynienia. Nie dziwię się, że pan o to zapytał.

Larry dał Zeusowi resztę kości i podrapał go pod brodą.

– Tak się składa, że jeszcze niedawno mój braciszek Barry i ja również zaliczaliśmy się do tej ostatniej kategorii. Nie ma specjalnie czym się chwalić, ale tak było.

– W jaki sposób poznałeś Jacka, Larry? Oczywiście, jeżeli mogę o to zapytać.

– Może pan, sir. Ja zaś ze swojej strony powiem, że jedną z największych przyjemności roboty, jaką obecnie wykonujemy, jest możliwość znalezienia się w towarzystwie tak wytwornego, bystrego i subtelnego dżentelmena jak pan.

Doyle usiłował zbyć jego komplement.

– Mówię serio, sir. W innym przypadku moglibyśmy się spotkać jedynie wówczas, gdyby niespodziewanie wrócił pan do domu, a ja byłbym akurat w trakcie wygarniania co cenniejszych rzeczy z szuflad i półek w pańskim mieszkaniu lub gdybym zgłosił się do pana z prośbą o pomoc po jakimś nieudanym skoku, przyplaconym poważniejszymi obrażeniami. Byliśmy okropnymi typami, Barry i ja, ale nie można winić za to nikogo prócz nas samych. Nasz tato był uczciwym, ciężko pracującym kolejjarzem i starał się, abyśmy mieli jak najlepiej. Niejedno przeszedł, ale to pestka w porównaniu z tym, co ja miałem okazję widzieć. Było ciężko, a do tego jeszcze przyjsście na świat bliźniaków. Powiedział, że nasza mama była osobą nader delikatną – mam tu jej zdjęcie.

Larry wyjął z kieszeni kamizelki medalion i otworzył zapinkę. Wewnątrz znajdowała się fotografia młodej kobiety, zamazane zbliżenie, jej fryzura była od dobrych dwudziestu lat niemodna. Na swój sposób wydawała się atrakcyjna, a choć zdjęcie było stare i pożółkłe, w oczach kobiety dostrzec można było żywe iskierki, które odziedziczyli po niej obaj synowie.

– Była bardzo piękna – rzekł Doyle.

– Miała na imię Louisa. Louisa May. To był ich miesiąc miodowy – dzień i dwie noce w Brighton. Tato zrobił to zdjęcie na nabrzeżu.

Larry zamknął i schował medalionik do kieszeni.

– Louisa May miała siedemnaście lat. Jeszcze w tym samym roku przyszliśmy na świat, Barry i ja, i popsuliśmy wszystko.

– Nie możecie siebie za to winić.

– Człowiek często zastanawia się nad takimi rzeczami. Jedyne co mi przychodzi do głowy to to, że Barry i ja z jakiegoś ściśle określonego, nadrzędnego powodu musieliśmy przyjść na świat równocześnie. Uważam, że tak było nam pisane. Przeznaczenie. Straciliśmy przez to mamę, ale życie jest ciężkie, smętne i pełne rozmaitych problemów. Pańskie również nie należy do wyjątków. Jeśli tato winił nas za jej śmierć, nigdy nam tego nie okazał. Był kolejjarzem, często wyruszał w trasy, a zarobki ledwie starczały na jego utrzymanie, a co dopiero na dwóch takich głodomorów jak ja i braciszek B., więc nie minęło wiele czasu, jak zeszedliśmy na złą drogę. Szkoła nie była w stanie poradzić sobie z nami. Zaczęliśmy od drobnych kradzieży, głównie kieszonkowych. Tysiące razy pytałem samego siebie: Larry, co sprawiło, że ty i braciszek B. rozpoczęliście karierę przestępczą? Po latach zastanawiania i

rozmyślania wydaje mi się, iż były to okna wystawowe.

– Okna wystawowe?

– Kiedyś przechodziłeś obok sklepu i nie widziałeś, co znajduje się w środku. Teraz wykładają wszystko na wystawach, żebyś mógł sobie obejrzeć. Najlepsze rzeczy. Pokusa, ot co. Oglądanie wystaw, błyskotek, jakie tam wykładano, i świadomość, że nigdy nie będzie nas na nie stać, była kroplą, która przepełniła czarę. Zanim skończyliśmy dziesięć lat, naszą wyobraźnię zawładnęła chęć zdobycia tych wszystkich rzeczy drogą kradzieży. Zaczęliśmy odtąd zgłębiać złodziejski fach; dla dwóch sprytnych chłopaków z odrobiną wiedzy i masą zapалу, aby urządzić się w mieście, praktycznie nie ma rzeczy niemożliwych. To znaczy, do dnia kiedy spotkaliśmy Mistrza.

– Jak to się stało, Larry?

Pochłonawszy resztki zmiażdżonych kości, Zeus zrobił dwa okrążenia i zwinawszy się w kłębek, położył pod stołem laboratoryjnym. Z potężnym ziewnięciem oparł łeb na przednich łapach i spojrzał czujnie na Larry'ego, licząc na to, że być może wyjmie z kieszeni... nowe smakołyki.

– To było pewnej nocy, około trzeciej. W pubie przypadła kolej Barry'ego (jako że niedawno miało miejsce jego niechlubne spotkanie ze sprzedawcą ryb, obaj zapuściliśmy brody), a ja tymczasem zrobiłem włam do pewnego mieszkania w Kensington, skąd zwędziłem całkiem pokazną kolekcję fantów, więc wróciliśmy do domu w radosnych nastrojach (przez parę tygodni było u nas bardzo krucho, kiedy czekaliśmy aż rana Barry'ego raczy się zabić). Aż tu nagle, gwałtownie otwierają się drzwi i jak Gniew Boży staje w nich facet, nieznajomy, ale widać, że ma do nas poważną sprawę, bo jako argumentu używa trzymanego w ręku rewolweru. Gra skończona. Parę błyskotek nie jest wartych, aby za nie umierać: nie daj się zabić za fanty – takie było nasze motto. Facet, tak jak się spodziewaliśmy, najpierw konfiskuje nasze łupy, a potem częstuje nas najbardziej zdumiewającą konfabulacją, jaką miałem okazję słyszeć: Zejdźcie z drogi przestępstwa, mówi, przerwijcie ten marny złodziejski proceder. Pracujcie dla mnie, w służbie Korony, bo jak nie...

My na to: Bo jak nie, to co będzie? On odpowiada, że odmieni się nasza dobra passa i że widzi przyszłość w czarnych barwach, ale nie podaje żadnych konkretnych szczegółów. Myślmy sobie z Barrym – to jakiś świr, a potrafimy być bardzo jednomyślni, znacznie częściej niż przemawiający w Izbie Gmin. Tak więc przyjmujemy propozycję tego szurniętego gościa, pozwalamy mu zabrać nasze fanty i facet natychmiast się zmywa. Złodziej okradł złodzieja. Nie ma się nad czym użalać. To ryzyko zawodowe. W Londynie jest się gdzie zatrzymać, więc natychmiast ulatniamy się z mieszkania i zamelinowujemy na

drugim końcu miasta.

Mijają cztery dni, a żyć z czegoś trzeba, więc decydujemy się na następny skok. Barry odwiedza jubilera, specjalistę od wyrobów w srebrze – zawsze miał słabość do srebra, żaden inny kruszec tak nie działa na kobiety – ale ledwie przekroczył próg naszej nowej meliny, gdy do środka wpada ten sam zawzięty mściciel i brutalnie wyrywa Barry'emu z rąk torbę z fantami. To wasza druga szansa – mówi – porzućcie ścieżkę nieprawości i chodźcie za mną, bo koniec jest już bliski. To rzekłszy, zabiera torbę i wychodzi. Barry i ja jesteśmy w kropce – jak ten typ zdołał nas odnaleźć pośród tylu szumowin tego miasta? Skoro tak lubi świcidelka, czemu sam nie robi skoków – i co miało znaczyć, że koniec jest bliski, jaki koniec i jak do stu piorunów mieliśmy powstrzymać faceta przed odnalezieniem nas w nowej melinie?

Kiedy człowieka przyciśnie, jest gotowy na wszystko. Zamelinowaliśmy się tak głęboko, że głębiej już chyba nie można. Przenosiliśmy naszą bazę w kółko, jak świetliki krążące w szklanym słoju – cztery razy w tygodniu. Nikomu nie pisnęliśmy słowa. Wypatrywaliśmy ogonów albo podejrzanych osób, które mogły kręcić się w pobliżu melin – bezskutecznie. Minęły trzy tygodnie i znów zaczęliśmy przymierać głodem.

Stwierdziliśmy, że jesteśmy bezpieczni. Może facet wyszedł jednego z nas w pubie i szedł za nim aż do domu i tak nas znalazł. Tak więc, aby ustrzec się niemiłych niespodzianek, postanowiliśmy pójść na włam we dwójkę. Wybraliśmy nasz cel z większą delikatnością, niż goli się facet chory na hemofilię. To był sklep z antykami przy Portobello Road, na prawdziwym zadupiu. Weszliśmy do środka bez trudu, przez przewód wentylacyjny, i weseli rachciach mamy zabrać się do pakowania towaru.

Patrzmy, a tu na fotelu, zimny jak mrożona herbata, siedzi ten gość, w rękę trzyma rewolwer. Wpadliśmy jak śliwka w kompot. Co gorsza, facet nie jest sam, przyprowadził ze sobą blacharza – stoi z tyłu, za nami, gotowy zapoznać nas ze swoją pałką i wysłuchać zeznań.

To wasza ostatnia szansa, mówi facet na dzień dobry. Zna nasze imiona, ostatni adres i wie co do minuty, co robiliśmy przez ostatnich kilka dni.

Już drugi raz w życiu ręka Przeznaczenia opuściła się w moją stronę i dała mi w pysk. To koniec, Larry, mówię do siebie. Do trzech razy sztuka, mówię do brata B., który jest z natury nieco bardziej ograniczony niż pański pokorny sługa. Okazuje się, że i jemu nieoczekiwanie coś dołało oleju do kiepeły. Nieznajomy, mówimy, jesteś dla nas za dobry, postaramy się zrobić co w naszej mocy, aby cię nie zawieść. Facet dotrzymuje słowa – podnosi rękę i gliniarz wychodzi, nawet nie pomacawszy nas swoją pałką. Nieznajomy mówi:

za mną, chłopcy, i tym oto sposobem wyszliśmy za panem Johnem Sparksem ze sklepu z antykami przy Portobello Road, a nasza błyskotliwa złodziejska kariera dobiegła końca.

– Zagroził wam aresztowaniem?

– Zrobił coś więcej niż zagroził – przekonał nas. Naturalnie, dopiero kilka miesięcy później dowiedzieliśmy się, że blacharz był w rzeczywistości jednym z jego żołnierzy w przebraniu.

– Żołnierzy?

– Tak nazywa tych, którzy dla niego pracują – odrzekł skromnie Larry.

– Ilu was jest?

– Więcej niż kilku, nigdy dość i tylu, ilu potrzeba, w zależności od punktu widzenia.

– Sami byli przestępcy, tak jak ty?

– Oraz kilku cywili. Jest pan w dobrym towarzystwie, jeśli o to panu chodzi.

– Czy od razu powiedział wam, że pracuje dla królowej?

– Powiedział nam wiele różnych rzeczy...

– Tak, ale chodzi mi konkretnie o królową...

– Nie uda się panu przejrzeć szefa, to od razu mogę powiedzieć – mruknął Larry. – To, co robi, określa mianem transmogryfikacji. Musi pan się temu poddać.

– Co to takiego?

– Przecież wie pan, co oznacza transmogryfikacja.

– Przemiana dusz.

– Otóż to. Ja jestem tego najlepszym przykładem. Wypełnił moją tępą kiepełą tym wszystkim, czego jej brakowało. Otworzył mi oczy na piękno. Jestem jego żołnierzem. Robię, co mi każe. Chodzę do teatru i wcale mnie to nie nudzi. Słucham muzyki. Dzięki szefowi nauczyłem się poprawnie czytać. I wcale nie czytam powieści groszowych, ale prawdziwą literaturę. Jest taki jeden gość, Francuz, Balzak, którego bardzo lubię, opisuje prawdziwe życie, bez upiększania. Pisze o ludziach i ich problemach.

– Ja również lubię Balzaka.

– Cóż, któregoś dnia będziemy musieli o nim pogawędzić. Już nie mogę się tego doczekać. Widzi pan – to jest to, co robi szef: zmusza nas do myślenia. Potrafi tak zadać pytanie, że mimowolnie wspinasz się o ten szczebelek wyżej. Ciężka robota. Zadziwiająco, jak niewielu ludzi rozwinęło w sobie tę umiejętność. A przecież wszystko zaczyna się stąd. – Larry postukał się palcem w bok głowy. – Pyta pan, co zawdzięczam panu S.? Moje życie. Tylko moje życie.

Larry zaczął zwijać papierosa, maskując tą czynnością głębsze uczucia, których nie

chciał wyrazić. Właśnie wtedy z drugiego pokoju wyszedł Sparks, ubrany jak zwykle na czarno. Pies natychmiast wygramolił się spod ławy, aby się przywitać.

– Panowie, ruszamy – rzekł Sparks, gładząc pieszczotliwie Zeusa po łbie. – Jest późno, a mamy przed sobą ciężką noc. Czeka nas poważne włamanie.

– Pójdę po narzędzia – rzekł gorliwie Larry i ruszył ku drzwiom.

– Wszystko dla dobra sprawy, Doyle – rzekł Sparks, dostrzegając wahanie na twarzy doktora. – Przykro mi, Zeus, ale dzisiejszej nocy nie zabierzemy cię ze sobą.

Sparks schował do kieszeni fiolki wyjęte ze stojaka i wyszedł z mieszkania. Doyle ugryzł się w język i podążył za nim. Zeus, bez trudu stłumiwszy rozczarowanie, ponownie ułożył się pod stołem.

Z wyjątkiem kilku powozów, odwożących widzów po przedstawieniu teatralnym, na Montague Street o tej porze nie było żywego ducha, a gęste opary mgły sprzyjały nocnej akcji. Ponad ulicą, jak starożytny grobowiec, wznosił się gmach British Museum. Gdy zmierzali w kierunku Great Russell Street, Doyle obejrzał się przez ramię i zdziwił, widząc, że w mieszkaniu Sparksa pali się światło; za zaciągniętymi storami można było dostrzec sylwetkę mężczyzny.

– Manekin krawiecki – wyjaśnił Sparks, zauważywszy jego zainteresowanie. – Któregoś razu przyjął przeznaczoną dla mnie kulę snajpera i w ogóle się nie poskarżył. To dopiero prawdziwy żołnierz...

Przemykając przez brukowaną alejkę, dotarli na tyły budynku, który Doyle pamiętał z pokazanej mu fotografii tajemniczej kobiety. Wtopili się w cienie, po czym, na znak Sparksa, Larry bezszelestnie przemknął przez alejkę i podkradł się schodami do tylnego wejścia.

– Larry nigdy nie omieszka wykorzystać szansy, by podszlifować swoje talenty włamywacza – powiedział półgłosem Sparks. – Barry też nie wypadł sroce spod ogona; on nie ma sobie równych we wspinaniu się po ścianach, ale Larry w sztuce otwierania zamków jest po prostu niesamowity.

– A więc to jest włamanie i rozbój, jasne i proste – rzekł Doyle z nutą napuszonej niepewności w głosie.

– Chyba nie zagwiżdżesz i nie ściągniesz nam na głowę policji, co Doyle?

– Skąd masz pewność, iż to właściwe miejsce?

– Nasz przyjaciel, pastor prezbiteriański, krążył dziś po Great Russell Street, usiłując sprzedać swą nieśmiertelną monografię na temat zaawansowanych metod hodowli bydła na Hebrydach.

– Nie miałem dotąd pojęcia, że znalazłem się w towarzystwie tak sławnego autora.

– Tak się składa, że miałem tę monografię w swoich aktach. Napisałem ją podczas świąt, parę lat temu. Nie wiem jak ty, ale ja podczas świąt nie potrafię leniuchować, muszę coś robić.

– Hm. Ja lubię pomoczyć kij.

– Jak łowisz?

– Na muchę. Głównie pstrągi.

– Sportowiec z ciebie. Tak czy inaczej, wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy dziś po południu jedna z firm mających siedzibę przy Great Russell Street zaproponowała, że na pniu kupi ode mnie ten tekst.

– Sprzedałeś swoją monografię? – zapytał Doyle, czując pod sercem ukłucie profesjonalnej zazdrości.

– Prawie wyrwali mi ją z rąk. Cóż, są gusta i guściki. Nawet nie zdążyłem wymyślić temu mężczyźnie nazwiska – prezbiterianin usiłujący sprzedać swoją monografię to ktoś, kogo zazwyczaj ludzie wystrzegają się jak ognia. Musiałem poprosić ich, aby wypisali czek na dobroczynność. Biedny facet, żyje sobie zaledwie cztery godziny, a już odmawia mu się tego, co mu się należy. – Sparks spojrzął na drugą stronę ulicy. Larry pomachał do nich energicznie. – O, widzę, że Larry zakończył czynności wstępne. Idziemy, Doyle.

Sparks przeszedł przez ulicę. Larry zaczekał, aż wślizgną się do środka, wszedł za nimi i zatrzasnął drzwi. Sparks zapalił świecę i żółty blask omiotł ściany holu.

– Rathborne i Synowie, spółka z o. o. – przeczytał Sparks.

– Za rogiem jest wejście służbowe, które chyba ci się spodoba, Larry.

Skreśli w lewo i przed drzwiami Sparks uniósł dłoń ze świecą, podczas gdy Larry gorliwie zabrał się do pracy.

– Wyjašnjmy sobie do końca sprawę monografii – zapłacili ci za nią od ręki? – rzekł Doyle, nie mogąc wyjść z podziwu.

– Niewielką sumkę, ale wystarczy na pewien czas na kości dla Zeusa.

Larry otworzył drzwi do pomieszczeń biurowych.

– Dzięki za miłe słowa, Larry, miej oko na hol, a my tymczasem rozejrzemy się w środku.

Larry uchylił czapki. Nie odezwał się słowem, odkąd wyszliśmy z mieszkania – zauważył Doyle. Zachowywał się jak małomówny z natury Barry – to dziwne, ale bracia bliźniacy pod względem rozmowności byli diametralnie różni.

W słabym blasku świecy przeszukali biura firmy Rathborne i Synowie. Skromny sekretariat. Rzędy biurek, pliki faktur, kontraktów, rachunków. Panował tu przesadny wręcz

porządek, ale poza tym wszystko wyglądało całkiem normalnie.

– A więc, to ostatnie wydawnictwo, do którego wysłałeś swój manuskrypt, i nie pamiętasz, aby ci go zwrócili – rzekł Sparks.

– Tak. Zatem ojciec i brat lady Nicholson muszą być w to w jakiś sposób zamieszani.

– Wiemy o jednym bracie. Świętej pamięci George'u B. Poza tym w dostępnych rejestrach publicznych nie ma informacji o rodzinie Rathborne. Nie znalazłem wzmianki o istnieniu starszego Rathbornea.

– To dziwne.

– Być może nie. Ta firma istnieje od sześciu lat. Nie jest to z pewnością tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie.

– Sugerujesz, że nie istnieje starszy Rathborne?

– Bystry jesteś, Doyle. Chciałem zajrzeć do tych pokoi, tutaj – rzekł Sparks, prowadząc go ku drzwiom. – Naszemu przyjacielowi, duchownemu, w dość niedwuznaczny sposób zabroniono wstępu do gabinetów szefostwa.

Dotarli do szeregu biurowych drzwi. Gdy jedno z nich, z szybką z dymnego szkła i napisem PREZES, okazały się zamknięte na klucz, Sparks podał Doyle'owi świecę, wyjął z kieszeni dwa małe sztyfty i wsunął je do otworu zamka.

– Nie interesuje ich hodowla bydła?

– Jak zdążyłem się zorientować, w ogóle nie interesują ich żadne książki.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przejrzałem ich katalog wydawniczy. Nic wielkiego, *spécialité de la maison* wydają się prace dotyczące okultyzmu – kropla w morzu tego, co pojawia się na rynku, i na pewno jest ich za mało, by można utrzymać tak duże wydawnictwo; poza tym w ogóle nie publikują beletrystyki – rzekł Sparks, manipulując wytrychami jak parą pałeczek. Wewnątrz zamka rozległ się szcęk i drzwi się uchyliły. Sparks otworzył je na oścież.

– Teraz przypominam sobie, że do wysłania im manuskryptu skłoniło mnie ich zainteresowanie okultyzmem. Ogarnięty amatorskim zapałem, nie sprawdziłem, czy interesuje ich beletrystyka.

– Nie chciałem być niedelikatny – rzekł Sparks, oddając mu świecę i wchodząc do gabinetu.

– W porządku, to nic takiego. Każdy szanujący się autor powinien przywyknąć do krytyki. Tak więc, skoro nie interesowała ich beletrystyka, dlaczego po prostu nie odesłali mi rękopisu?

– Podejrzewam, że któremuś z nich musiał rzucić się w oczy tytuł – *Mroczne Bractwo*.

– *Ipsa facto*, firma Rathborne i Synowie musiała być miejscem, w którym moja praca wpadła – jak to ująłeś – w niewłaściwie ręce.

– Właśnie – rzekł Sparks.

Podszedł do masywnego biurka, będącego jednym z niewielu mebli stanowiących wystrój skromnego, wyłożonego boazerią gabinetu, i przetrząsnął szufladę.

– I jeśli wyciągnąłem właściwe wnioski z twoich obserwacji – rzekł Doyle – jesteś zdania, że spółka Rathborne i Synowie nie jest *sensu stricto* firmą wydawniczą, ale prowadzi zgoła inną, bardziej złowieszczą działalność.

– Złowieszczą, albo związaną ze ścieżką Lewej Ręki – rzekł Sparks, wyjmując z szuflady kartkę papieru. – Spójrz na to, Doyle.

List wydawał się zwyczajny, ot rutynowe memorandum dotyczące interesów prowadzonych z introligatorem. Ich uwagę zwróciła jednak niezwykła sama w sobie lista prezesów spółki, zamieszczona u góry kartki.

Rathborne i Synowie sp. z o. o.

Prezesa

Sir John Chandros

Generał brygadier Marcus Drummond

Maksymilian Grave

Sir Nigel Gull

Lady Caroline Nicholson

Wiel. biskup Caius Catallus Pillphrock

Prof. Arminius Vamberg

– Wielkie nieba! – rzekł Doyle.

– Umysły w ruch. Ten pokój jest kompletnie bezosobowy. Nie ma w nim ani jednego zdjęcia, żadnych przedmiotów osobistych. Poza tym prezesi lubią chwalić się swymi osiągnięciami – dyplomami, honorowymi tytułami. Ten gabinet jest tylko na pokaz, tak jak wszystko, co tu widzimy. O ile mogę to stwierdzić, nigdy nie istniał Rathborne senior.

– Co wyjaśnia obecność w zarządzie lady Nicholson.

– To niezwykle, że kobieta znalazła się na tak wysokim stanowisku, ale czasy się zmieniają. Nie wiedząc dokładnie, jaką pozycję zajmuje w ich gronie, rozsądnie będzie przypuszczać, że jest prawdziwym mózgiem, siłą napędową firmy Rathborne i Synowie.

– Albo była.

– O tym przekonamy się już niebawem. – Sparks ponownie skoncentrował uwagę na liście. – Czy któreś z pozostałych nazwisk z czymś ci się kojarzy?

– Szczególnie jedno. Do przejścia na emeryturę, które miało miejsce niedawno, sir Nigel Gull był jednym z dwóch lekarzy czuwających nad zdrowiem rodziny królewskiej.

– Jego głównym zadaniem była, jak sądzę, opieka nad młodym księciem Albertem.

– To praca całodobowa – mruknął Doyle. Wnuk królowej był notorycznym rozpustnikiem i hulaką, a od czasu do czasu również źródłem większego lub mniejszego skandalu.

– Wielce niepokojące. Powiem ci jeszcze coś: odejście Gulla na emeryturę (ma obecnie sześćdziesiąt lat) było fikcyjne, na użytek opinii publicznej. Mówiono, że w ostatnim czasie z jego osobą wiązały się pewne niezbyt przyjemne incydenty, i będę musiał jak najszybciej dowiedzieć się szczegółów. Kogo jeszcze znasz?

– Nazwisko Johna Chandrosa brzmi znajomo, ale nie potrafię powiedzieć o nim nic więcej.

– Były członek Parlamentu z okręgu Newcastle upon Tyne. Właściciel ziemski. Stalownie. Bardzo bogaty.

– Czy Chandros nie był związany z ruchem na rzecz reformy więziennictwa?

– Przez dwie kadencje zasiadał w fotelu przewodniczącego komisji do spraw więziennictwa. Jego nazwisko wypłynęło również w śledztwie, które prowadziłem w sprawie transakcji Nicholson-Drummond. Chandros jest właścicielem ogromnej połaci ziemi, przylegającej do posiadłości, którą Nicholson sprzedał generałowi Drummondowi.

– Powiedziałbym, że nie wygląda to na zbieg okoliczności.

– Nie ma zbiegów okoliczności; mamy teraz dwa związki od Chandrosa poprzez Drummonda do lady Rathborne-Nicholson. Musimy jeszcze stwierdzić, gdzie w tym wszystkim jest miejsce Gulla.

– A co z innymi?

– Znane jest mi nazwisko biskupa Pillphrocka. Biskup Kościoła anglikańskiego. Jego diecezja mieści się w północnym Yorku niedaleko portu Whitby. Vamberga i Gravesa nie znam. Co ich łączy? – spytał badawczo Sparks. – Wszyscy bez wyjątku są wpływowymi i zamożnymi obywatelami. Czterech ma związki z Yorkshire, dokąd rzekomo ostatnio tabunami wysyła się najgroźniejszych kryminalistów. Chandros jest w komisji do spraw więziennictwa. Wszystkich łączy przykrywka w postaci fałszywej firmy wydawniczej...

– Czy nie jest możliwe, Jack, że ta firma mimo wszystko jest tym, czym się wydaje: małą, choć bogatą spółką o skromnych ambicjach rynkowych, z zarządem złożonym z emerytów pełniących rolę doradców z różnych dziedzin, których mają dotyczyć publikacje – Drummond wojskowości, Gull medycyny, Chandros polityki, Pillphrock teologii itd.

Sparks z zadumą pokiwał głową.

– Po namyśle mogę stwierdzić, że jest na to dziesięć procent szans. Jeżeli odrzucimy twoją teorię, mamy powód przypuszczać, że w naszych rękach znalazła się ni mniej, ni więcej tylko lista Najwyższej Rady Ciemnego Bractwa, siedem nazwisk – siódemka to zarazem cyfra szczęśliwa, jak i bluźniercza.

– Chyba uwierzę, że dopisuje nam szczęście – mruknął Doyle, gdy jego wzrok przykuła cienka kreska bieli pod leżącym na biurku bibularzem. Podniósł go i wyjął złożony prostokąt błyszczącego papieru, który po rozłożeniu okazał się plakatem reklamującym londyńskie występy trupy teatralnej. Spektakle odbyły się w ostatnim tygodniu października ubiegłego roku. *Tragedia mściciela* – przeczytał Doyle. – Nie znam.

– Dworski, późnoelżbietański melodramat przypisywany Cyriłowi Tourneurowi. Adaptacja Seneki. Ponura sztuka, zawila intryga, sporo przemocy. Mało znana. Nie przypominam sobie tej inscenizacji.

– Wygląda na to, że byli tu bardzo krótko – stwierdził Doyle. – The Manchester Players.

– Nie znam ich, ale po Anglii krąży wiele trup teatralnych. Ważniejsze jest, co robi tu ten plakat?

Doyle złożył arkusz i włożył go z powrotem pod bibularz. Kiedy to robił, z bibularza zsunęło się wieczne pióro i spadło na podłogę. Sparks odsunął fotel i ukląkł ze świecą w dłoni, by podnieść pióro, gdy wtem ujrzał na wewnętrznych ściankach biurka ukośne, symetryczne rysy.

– Potrzymaj, Doyle.

Doktor wziął od niego świecę. Sparks uważnie przyjrzał się brzegom biurka i politurowanej podłodze, na której stał ciężki mebel. Wyjął z kieszeni małą fiolkę wypełnioną jakimś płynem, odkorkował i wylał zawartość na podłogę. Rtęć.

– O co chodzi, Jack?

– W podłodze jest szpara, której być nie powinno.

Żywe srebro spłynęło na parkiet, po czym błyskawicznie wślizgnęło się w szparę między deskami. Sparks schylił się i przesunął dłońmi pod bocznymi ściankami biurka.

– Czego szukasz?

– Znalazłem uchwyt. Mam zamiar za niego pociągnąć. Proponuję, żebyś się przesunął, Doyle.

Doyle odsunął się od biurka. Sparks szarpnął za uchwyt. Fragment podłogi, a właściwie zamaskowana kłapa uniosła się ukośnie, szorując o wewnętrzne ścianki biurka.

Dokładnie pod fotelem pojawił się otwór szerokości dwóch stóp.

– Niespokojnie siedzi głowa zwieńczona koroną – rzekł Sparks.

Nachylając się, by zajrzeć do środka, Doyle zauważył drabinę z metalowych, wmontowanych w ścianę uchwytów, prowadzącą pionowo w dół murowanego szybu, zbyt głębokiego, by blask świecy oświetlił jego dno. Napływające z otworu powietrze było świeże i przesycone wilgocią.

– Śmiem twierdzić, że w przeciętnej firmie wydawniczej wyjście takie jak to raczej nie znalazłoby większego zastosowania – rzucił z podnieceniem w głosie Sparks.

– W tej chwili żadne nie przychodzi mi do głowy.

Sparks klasnął w dłonie.

– Na Boga, znaleźliśmy ich! Kwatera Główna Bractwa była oddalona o pół mili od mojego mieszkania! Sprawdza się powiedzenie, że najciemniej jest pod latarnią.

Sparks zagwizdał, naśladując jakiegoś ptaka, i w chwilę potem w drzwiach pojawił się Larry.

– Tunel, Larry. Zajrzysz? – spytał Sparks.

– Natychmiast, sir.

Larry zdjął marynarkę, wyjął swoją świecę, przypalił od świecy trzymanej przez Doyle'a i zwinnie, posługując się tylko jedną ręką, zszedł na drabinę.

– Może lepiej weź to – mruknął Doyle, podając mu swój służbowy rewolwer.

– Dzięki, szefie – odparł Larry, rozchylając kamizelkę, by pokazać szelki, do których przytroczone miał małe pochewki z nożami. – Wolę moje majchry.

Larry zaczął schodzić w głąb szybu. Doyle i Sparks patrzyli, jak ciepła poświata jego świecy przygasała, by zmienić się w słabe, migoczące kółko świetlne.

– I co tam, Larry? – zawołał Sparks niskim, ochryłym głosem.

– Dochodzę do końca tunelu. – Głos Larry'ego brzmiał nienaturalnie, podobnie jak odgłos jego podeszew na stalowych szczeblach. – Koniec drabinki. Pode mną jest otwarta przestrzeń. Nie wiem, jak wysoko stąd do ziemi. Na dole coś jest... Widzę... chwileczkę... o Boże...

Światło świecy znikło. Zapadła cisza. Czekali.

– Co się stało, Larry? – zapytał Sparks. Odpowiedzi nie było. Doyle spojrzał na Sparksa, który wydawał się równie zatroskany. – Larry, jesteś tam, chłopie?

Wciąż brak odpowiedzi. Sparks zagwizdał przeciągle, powtarzając umówiony sygnał dla Larry'ego. Znowu nic. Zdjął marynarkę.

– Będę musiał tam zejść, Doyle. Idziesz ze mną?

- Nie wiem, czy jestem odpowiednio wyposażony... – rzekł wykrętnie Doyle.
- Świetnie, w takim razie gdybym również zniknął, będziesz zmuszony zejść po mnie sam.

Doyle zdjął płaszcz.

- Ty idziesz pierwszy czy ja?
- Najpierw ja, z twoim rewolwerem, potem ty ze świecą.

– Racja – rzucił Doyle, podając mu rewolwer. Serce waliło mu jak młotem. Nie przepadał za dużymi wysokościami ani ciasnymi szybami, a tunel poniżej zdawał się zapewniać emocje zarówno pierwszej, jak i drugiej natury. A jeżeli coś, co znajdowało się na dole, dopadło Larry'ego (który wyglądał na człowieka umiającego poradzić sobie w każdej sytuacji)... *Przestań Doyle, nie myśl o tym, schodzisz po jednym szczeblu, Jack prowadzi, trzymaj świecę i zachowaj spokój.*

Sparks wszedł do szybu. Doyle odczekał chwilę na krawędzi tunelu, po czym wsunął nogi do środka i odnalazł najpierw jedną, a potem drugą stopą najwyższe szczeble.

– Przy schodzeniu uważaj na moje dłonie – rzucił Sparks, wyprzedzający go o kilka szczebli.

Oddychaj, Doyle, nie zapomnij o oddychaniu. Szybko zdał sobie sprawę, że musi na przemian to spoglądać w głąb szybu, to pionowo w dół, aby nie przydepnąć Jackowi palców. Na szczęście blask świecy był tak słaby, że przyprawiająca o zawroty głowy głębokość szybu istniała wyłącznie w skołatany umyśle doktora. Jednakże pomimo braku doznań wizualnych, jego umysł z perwersyjną rozkoszą począł tworzyć wizje o wiele bardziej przerażające od wszystkiego, co faktycznie mogło oczekiwać na nich na końcu tunelu.

Zejscie było istną katogą. Pierwsze trzydzieści stóp zajęło im prawie pięć minut, które wydawały się nie mieć końca. Aby uzyskać jakiegokolwiek, choćby nawet mgliste pojęcie o tym, co znajdowało się przed nimi, Sparks musiał znaleźć się w odległości kilku szczebli od Doyle'a oraz ich jedyne źródła światła. Posługujący się jedną ręką Doyle, nie chciał zejść o stopień niżej, dopóki bezpiecznie nie oplótł wolną ręką grubego, metalowego pręta. Strużka gorącego wosku ze świecy spłynęła mu na dłoń. Wnętrza obu dłoni miał wilgotne od potu.

A jeśli upuszczę świecę? – pomyślał Doyle. Albo podmuch wiatru zgasi płomyk? Jak ją ponownie zapalę?

- Zatrzymaj się – rozkazał nagle Sparks.
- Gdzie jesteśmy?

Spoglądając w górę, nie widzieli już otworu wejściowego. Słabe światło świecy nie docierało tak wysoko.

– Doyle, podaj mi, proszę, świecę.

Doktor ostrożnie podał światło Sparksowi. Był zadowolony, bo od tej chwili mógł oburącz trzymać się drabinki. Sparks zawisnął na jednym ręku, nachylił się i opuścił świecę najniżej jak tylko mógł.

– Tak jak mówił Larry, tutaj kończy się drabinka – rzekł Sparks. – Potem jest już tylko wolna przestrzeń.

– Jak wysoko?

– Nie potrafię powiedzieć. Stąd do nas wołał – z dołu dochodzi szum wody.

– Co zrobimy?

W tej samej chwili usłyszeli dochodzące z góry szuranie drewna o drewno i trzask kojarzący się z zamykaniem drzwi grobowca. Cisza, jaka potem nastąpiła, była wręcz ogłuszająca.

– Pytam, Jack...

– Ciii!

Wyteżyli słuch. Doyle zamilkł, ale nie wytrzymał przedłużającego się napięcia.

– Wydaje mi się, że ktoś zamknął klapę – wyszeptał.

– Czy słyszysz, żeby ktoś schodził po drabince? – odpowiedział mu głos Sparksa.

Doyle wolno uniósł głowę, by spojrzeć w górę szybu.

– Nie... Chyba nie.

– Bardzo możliwe, że kłapa zamyka się automatycznie. Może ma jakieś urządzenie czasowe.

– Cóż, wszystko jest możliwe, prawda?

– Wolisz wierzyć, że ktoś przed chwilą zamknął nas w tym pionowym piekle?

– Nie zaszkodzi wziąć pod uwagę wszystkie możliwości, Jack. – Serce Doyle'a tłukło się w piersi jak oszalałe. Zamilkł na chwilę, aby nuta zaniepokojenia nie wkradła się do jego głosu. – Co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić?

– Odradzam wspinaczkę. Nawet gdybyśmy znaleźli sposób na otwarcie klapy od wewnątrz, jeśli ktoś tam na nas czeka...

– Popieram.

Sparks przerwał i wbił wzrok w egipskie ciemności.

– Będziesz musiał pomóc mi opuścić się w dół.

– Czy to nasza jedyna alternatywa?

– Chyba że wolisz, abym to ja opuścił ciebie. Nie muszę zwracać uwagi, że jesteś potężniejszy ode mnie...

- Święta racja.
- Możesz zdjąć szelki? Będziemy potrzebować pewnego wzmocnienia.
- Nie za bardzo uśmiecha mi się zgubić spodnie w samym środku czarnego jak noc...
- Nie chciałbym być złośliwy, ale twoje guziki wyglądają tak, jakby miały za moment poodpadać.

– Dobra, zaraz je zdejmę – rzekł Doyle, w którym irytacja wygrała na chwilę rywalizację ze strachem.

Posługując się jedną ręką, Doyle zsunął szelki z ramion, odpiął je od paska spodni i podał Sparksowi. Ten przeplótł oba końce przez własne szelki, które wciąż miał na sobie, i podał końcówki Doyle'owi.

– Uprawiałeś kiedyś wspinaczkę górską? – zapytał Sparks.

– Nie.

– W tej sytuacji nie ma sensu, abym wyjaśnił ci, co zamierzam zrobić, posługując się fachową terminologią alpinistów. Opuszczę się teraz na jednej ręce z ostatniego szczebla, ale wpierw dwukrotnie okręcisz pasy szelek wokół dolnego pręta drabinki. Trzymaj mocno oba końce szelek, a jeśli ci powiem, żebyś trochę poluzował, zrobisz to, tylko delikatnie.

– A jeśli nie wytrzymają?

– Niedługo się przekonamy, prawda?

– Co zrobisz ze świecą?

– Na razie będę ją trzymał w ustach. Pospiesz się, Doyle. – Sparks zagryzł świeczkę zębami i puścił się, zawisając oburącz na dolnym szczeblu drabinki. Doyle zszedł niżej, szybko i sprawnie okręcił pasy wokół stali i chwycił obiema rękami skórzane końce szelek.

– Gotowe, Jack.

Sparks pokiwał głową i, przytrzymując się jedną ręką szczebla, drugą wyjął świeczkę z ust.

– No, to ja już lecę – rzekł.

Puścił rękę i opadł w dół. Ciężar jego ciała szarpnął pasami szelek i o mało nie zrzucił Doyle'a z drabinki – ale zabezpieczenie wytrzymało. Sparks zawisł, kołysząc się łagodnie w powietrzu. Rozejrzał się wokoło, ściskając w ręku zapaloną świecę.

– To całkiem nowy tunel – rzekł Sparks. – Biegnie poziomo. Jest dużo szerszy. Nasz szyb znajduje się prostopadle nad samym środkiem korytarza. Widzę płynącą poniżej wodę.

– Kanał ściekowy? – spytał Doyle, wyężdżając siły, aby go utrzymać.

– Nie śmierdzi.

– Całe szczęście. Widzisz gdzieś Larry'ego?

– Jeszcze nie.

– Jak daleko do ziemi?

– Jeszcze ze dwadzieścia stóp.

– Jak sądzisz, czemu Larry tak wrzasnął?

– Chyba musiał zobaczyć ten wielki, egipski posąg znajdujący się tuż pode mną – odrzekł Sparks.

– Wielki, egipski posąg?

– Nie widzę, czyja to podobizna, wiszę pod niewłaściwym kątem. Wygląda jakby miał łeb szakala.

– Powiedziałeś wielki, egipski posąg?

– Tak. Prawdopodobnie Anubis albo Tuamutef – bóstwa pogrzebowe, których zadaniem było ważenie duszy człowieka wkraczającego do krainy śmierci...

Mięśnie Doyle'a drżały z wysiłku.

– Czy możemy odłożyć wykład z mitologii na później i zdecydować, czy schodzisz na dół, czy wracasz na górę? Nie wiem, jak długo jeszcze cię utrzymam.

– Przepraszam. Gdybyś mnie wolno opuścił, wydaje mi się, że mógłbym schwycić się posągu, odpiąć szelki i zejść po figurze.

– Świetnie.

Doyle opuszczał Sparksa, dopóki agent nie stanął pewnie na ramieniu posągu. Jack odpiął swoje szelki i obie połączone pary z trzaskiem wyprysnęły w górę. Doyle wyciągnął rękę, pochwycił je i z ulgą oparł się o ścianę – węzły mięśni jego ramion rozluźniły się, lecz jeszcze przez chwilę pulsowały bolesnymi, spazmatycznymi skurczami.

– Tak, to prawie na pewno Tuamutef – rzekł Sparks, ześlizgując się po posągu na ziemię. – Dość rzadki poza terytorium Egiptu. Zadziwiające. Nigdy dotąd nie widziałem tak wielkiej jego podobizny.

– To ciekawe! A co według ciebie powinienem teraz zrobić, Jack?

– Zawiąż szelki i opuść się w dół. Naprawdę nie powinieneś tego przeoczyć, Doyle.

– Gdzieżbym śmiał.

Doyle zebrał się w sobie, zawiązał szelki wokół szczębła najlepiej jak potrafił na węzeł żeglarski i delikatnie opuścił się w ramiona psiogłowego Tuamutefa.

– Tuamutef asystował Anubisowi przy czynnościach przygotowawczych do mumifikacji zwłok i pogrzebu – rzekł Sparks, okrążając posąg i przyglądając mu się badawczo w blasku świecy, podczas gdy Doyle rozpoczął trudne i bolesne ześlizgiwanie się na ziemię po opasłym torsie Tuamutefa. – Jego domenę stanowił brzuch w ciele człowieka, a

zwłaszcza wyjmowanie i zabezpieczanie wnętrzości na podróż w głąb podziemnego świata.

– Nie sądziłem, że za życia zdołam dotrzeć tak daleko w głąb podziemnego świata – rzekł Doyle, który w końcu zgramolił się na ziemię. – I szczerze mówiąc, już mam dosyć.

– Trzewia zamykane były w hermetycznych słojach z dodatkiem ziół i przypraw, które opóźniały proces rozkładu, tak by po dotarciu do celu zmarły mógł wyjąć wnętrzości z naczyń i włożyć na miejsce – rzekł mocno zaaferowany Sparks.

– To niewątpliwie fascynujące, Jack, ale muszę cię o coś spytać: Zakładając, że ktoś nas tu zamknął i że ten ktoś nie żywi wobec nas zbyt przyjacielskich zamiarów (to naturalnie tylko jedna z wielu możliwości, ale mieliśmy brać pod uwagę każdą ewentualność), czy nie sądzisz, że byłoby rozsądne – a nawet wskazane – byśmy jak najszybciej znaleźli stąd jakieś wyjście?

– Fakt.

Sparks rozejrzał się na prawo i lewo. Doyle z pewnym niepokojem stwierdził, że z ich świeczki pozostał niewielki ogarek. Z tyłu za posągiem dostrzegł coś, co wyglądało na poczerńiałą pochodnię w starej żelaznej obsadzie, i czym prędzej wyjął łuczywo z uchwytu.

– Wygląda to na stary, rzymski kanał – jakoś nie możemy się rozstać z tymi uparciuchami z przeszłości, no nie? W Londynie jest ich pełno. Ten został dość gruntownie odnowiony. Pomijając ludzi odpowiedzialnych za wydrążenie szybu, którym się tu dostaliśmy – a jest on względnie nowy – jest wielce prawdopodobne, że nikt inny w ogóle nie ma pojęcia o jego istnieniu. A jeśli mogę coś wywnioskować z pochodni, którą mi właśnie podałeś, to to, że ludzie ci musieli odnowić ten tunel nie dalej jak kilka dni temu.

Sparks zapalił łuczywo od świeczki i w pomieszczeniu zrobiło się dwadzieścia razy jaśniej. Na przeciwległą ścianę padł pulsujący, złowrogi cień Tuamutefa.

– W którą stronę powinniśmy teraz pójść?

– Tunel biegnie z północy na południe. – Wskazał na południe, gdzie znajdował się zakręt, zza którego dochodziły stłumione dźwięki przypominające szuranie.

– Co to było? – zapytał Doyle.

Nasłuchiwali przez chwilę, by znów usłyszeć szuranie; odgłos był powolny i regularny. Wydawało się, że się przybliżał.

– Kroki? – zapytał Doyle.

– Ten ktoś jest ranny. Powłóczy jedną nogą.

– Larry?

– Nie. Ktoś bez butów. – Sparks odwrócił się ku północy i przyjrzał cegłom po obu stronach przepływu. – Jeżeli pójdziemy w tę stronę po śladach wosku, które Larry tak

przemysłnie nam zostawił, powinniśmy znaleźć go znacznie szybciej.

Odgłos powłóczących kroków za nimi zbliżał się; powodująca go osoba dochodziła już do załomu korytarza.

– W takim razie, kto to może być? – spytał Doyle, zniżając głos.

– Wolę nie pytać, jeśli nie chcę poznać odpowiedzi. Idziemy.

Przeszli przez płytką wodę i ruszyli w kierunku północnym.

– A co się tyczy tego, co robi Tuamutef sto stóp pod biurem zarządu firmy Rathborne i Synowie... – zastanawiał się po drodze Sparks.

– Wspomniałeś o usuwaniu trzewi. Wygląda na to, że w ten sam sposób potraktowano ulicznicę, której zwłoki pokazał mi Leboux, nieprawdaż?

– Pomyślałem dokładnie o tym samym. To sugeruje, że Ciemne Bractwo składa ofiary staremu egipskiemu bóstwu.

– Masz na myśli ofiary i krwawe obrzędy?

– Ci ludzie to zdeklarowani poganie – dzięki temu mogą oddawać cześć panteonowi rozmaitych bożków. Spędziwszy ładnych parę lat w Egipcie, Aleksander z pewnością musiał usłyszeć co nieco o Tuamutefie – rzekł Sparks. – Myślałem o tych nazwiskach z listy i nagle coś mi przyszło do głowy.

– Co takiego?

– Maksymilian Graves – z czym ci się to kojarzy?

Doyle zamyślił się przez chwilę.

– Z niczym.

– To pseudonim. Gra słów. Zastanów się. *Makes-a-million-graves*. Ten-który-kopie-milion-grobów. *Maksymilian Graves*. Jeden z typowych chorych żartów, które Aleksander obsesyjnie zamieszczał w swoich listach. Uwielbiał gierki słowne. Strzeż się człowieka, który ma podobne upodobania, Doyle, to jawna oznaka zaczątków choroby umysłowej.

– Uważasz, że to Aleksander jest odpowiedzialny za obecność Tuamutefa w tunelu?

– Tak, a co się z tym wiąże, jest również odpowiedzialny za śmierć tej kobiety.

– Ale jeśli rzeczywiście miało to związek z jakimś rytuałem, dlaczego jej organy wewnętrzne pozostawiono na miejscu zbrodni? Przecież powinni przenieść trzewia tutaj, do swojej świątyni.

– Może ktoś im przerwał, zanim zdążyli dokończyć ceremonię. Zastanawia mnie tylko, po co sprowadzono tu tę statwę.

– Dla wygody. Kiedy facet ma dobry humor, bierze kubek jeszcze ciepłych flaków i wrzuca je do otworu, wprost na łeb oczekującego z niecierpliwością psiogłowca...

– Nie, Doyle – rzucił Sparks z pewnym zniecierpliwieniem. – W zupełności zgadzamy się co do przyczyny, dla której sprowadzono tu ten posąg, ale ja usiłuję stwierdzić, jak go tu umieszczono.

W tunelu przed nimi zamigotało światelko. Sparks stanął i zagwizdał przeciągle. W chwilę potem usłyszał w odpowiedzi podobne gwizdnięcie.

– Larry – rzekł Doyle.

– Żwawiej, Doyle. Wciąż jesteśmy śledzeni.

Pokonawszy zakręt, na samym końcu tunelu natknęli się na Larry'ego, który przy blasku świecy gmerał w zamku kłódki zawieszanej na ogromnych, dwuskrzydłowych drzwiach.

– Przepraszam za kłopot, szefie – rzekł Larry, kiedy podeszli do niego.

– Nic ci nie jest? – spytał Doyle.

– Nigdy nie czułem się lepiej. Zejście okazało się trochę gwałtowniejsze niż zakładałem, przy upadku straciłem na chwilę oddech. Zanim ponownie odetchnąłem pełną piersią i zapaliłem świecę, zobaczyłem nad sobą ślepią tego gościa z psim pyskiem i pomyślałem sobie, że rozsądniej będzie jak nabiorę wody w usta.

– Ktoś albo coś zamknęło za nami wjazd – rzekł Sparks, przyglądając się drzwiom.

– Domyślam się, że to pułapka – mruknął Larry, koncentrując się na kłódce. – Trochę za łatwo nam poszło, no nie?

– Czemu się nie odezwałeś? – spytał Doyle.

– Nie jesteśmy u siebie, prawda?

Sparks zastukał w żelazne drzwi. Odpowiedziało mu głucho, metaliczne echo.

– Posłuchajcie. Nie wygląda mi to na koniec korytarza...

– Aby się o tym przekonać, musimy najpierw sforsować tę starą, zardzewiałą kłódkę – rzekł Larry. – Strasznie jest oporna.

– Pozwól, że spytam, Larry – rzucił niejako mimochodem Doyle. – Nie zawędrowałeś czasami na drugi koniec tunelu, zanim dotarłeś tutaj?

– Nie, sir. No jazda, puszczaj!

– Tak tylko zapytałem, bo wiesz, wydawało się nam, że ktoś szedł stamtąd w naszą stronę.

– Nic mi o tym nie wiadomo, do cholery! – Larry z całej siły walnął w upartą kłódkę.

– Zaczekaj chwilkę, Larry – rzucił Sparks.

Larry znieruchomiał. Echo jego ostatniego uderzenia rozmyło się, a w ciszy, jaka potem nastąpiła, usłyszeli nadchodzące od południa te same natarczywe dźwięki – zagadkowe

szuranie, jakby ktoś, kto się do nich zbliżał, ciągnął za sobą bezwładną, zeszywniałą nogę. Tyle tylko, że teraz znajomy rytm powrócił zwielokrotniony jako odgłos trzech, czterech, pięciu, a może nawet więcej par stóp, choć nie sposób było określić, czy nie był to efekt osobliwej akustyki tunelu.

– Rób swoje, Larry – rzekł Sparks, cofając się ku załomowi muru.

– Mogę ci w czymś pomóc, Larry? – zapytał Doyle.

– To robota dla jednego faceta – odrzekł wyraźnie poirytowany Larry.

Sparks rozejrzał się po korytarzu. Wyjąwszy drugą pochodnię z obsady, zapalił ją i podał Doyle'owi.

– Myślisz, że to szare kaptury? – zapytał półgłosem Doyle.

– Nie sądzisz, że one poruszają się nieco szybciej?

– Fakt.

– Poza tym, jeśli ktoś zamknął kłapę, z zamiarem uwięzienia nas tutaj, rozsądnie jest przypuszczać, że musiał wiedzieć, iż coś będzie starało się za wszelką cenę uniemożliwić nam ucieczkę.

Gdy kroki zbliżyły się, usłyszeli głośny, jednostajny plusk – nie brzmiał obiecująco. Rytm kroków wydawał się nieco szybszy.

– Jest ich kilku – rzekł Doyle.

– Powiedziałbym, że co najmniej dziesięciu.

Doyle i Sparks błyskawicznie wycofali się z za załomu muru.

– Szybciej, Larry – ponaglił Sparks. – Nie mamy czasu.

– Udało mi się! – rzekł Larry, gdy z wyraźnym wysiłkiem zerwał wielką kłódkę z uchwyty na drzwiach. – Pomóżcie, panowie.

Trzej mężczyźni chwycili za skrzydło podwójnych drzwi i szarpnęli z całej siły. Stare zawiasy stawiały silny opór, ale w końcu zaczęły się poddawać. Doyle obejrzał się przez ramię – z ciemności pięćdziesiąt stóp za nimi wyłonił się szereg wysokich, czarnych kształtów.

– Ciągnijcie, do cholery! Ciągnijcie! – ryknął Sparks.

Choć Sparks i Doyle nie mogli wykorzystać swej pełnej siły ze względu na trzymane w rękach pochodnie, udało im się uchylić drzwi na mniej więcej sześć cali. Upuścili żagwie i szarpnęli najsilniej jak potrafili, ale drzwi, mimo ich wysiłków, przesunęły się tylko o kolejny cal. Larry przecisnął się przez otwór i od wewnątrz pchnął drzwi w ich stronę. Zawiasy zaskomlały niczym zranione zwierzę, szpara poszerzyła się o następny cal. Doyle zaryzykował kolejne, ukradkowe spojrzenie przez ramię – wysokie kształty utworzyły pikietę

mglistych, niewyraźnych, acz niewątpliwie ludzkich sylwetek zmierzających wolno, lecz nieubłaganie w ich kierunku. Było ich więcej niż dziesięć. Prześladowcy musieli dojrzeć trzech mężczyzn, w pewnej chwili bowiem od strony mrocznej kolumny dobiegł zbiorowy warkot, upiorny, bulgoczący, gardłowy.

– Jazda, Doyle, jazda! – rzucił Sparks.

Doyle odwrócił się bokiem, przecisnął na drugą stronę, napał barkiem na drzwi i pchnął z całej mocy, podczas gdy Larry sięgnął ręką i wciągnął Sparksa.

– Pochodnie! – syknął Sparks.

Doyle wystawił rękę przez szparę. W chwili gdy jego palce zacisnęły się na drzewcu pochodni, poczerniała, żylasta masa obnażonych ścięgien, mięśni i kości, z których zwisały pasemka zeschniętych tkanek i strzępów starych tkanin, zamknęła się na jego nadgarstku niczym szczęki stalowego imadła; Doyle zawył z bólu.

Jednym, szybkim ruchem Larry wy dobył nóż z pochwy i ciał rękę niewidocznego napastnika. Ostrze gładko rozplatało tkanki, jak woskowany papier, a gdy dłoń oddzieliła się od nadgarstka, korytarz za drzwiami rozbrzmiał przerażającym, ochryplym skowytym. Doyle z obrzydzeniem oderwał dłoń zaciśniętą kurczowo wokół swego nadgarstka, a Jack, brutalnie schwywszy Doyle'a za kołnierz, wciągnął go na powrót za drzwi.

– Musimy zamknąć te drzwi! – krzyknął Sparks. – Pomóż nam, Doyle!

Doyle z niedowierzaniem spojrział na trzymaną w ręku pochodnię, podniósł się z ziemi i dołączył do przyjaciela, który ująwszy za uchwyt, umieszczony od wewnątrz na drzwiach, szarpnął z całej siły. Stawką w tej rozgrywce było ich życie, więc ciągnęli ile sił. Ich myśli wypełniały wspomnienia przodków, a także wyobrażenia potomków, na których spłodzenie nie mieli co liczyć, gdyby nie zdołali zablokować opornych drzwi.

Tym razem zawiasy stawiały znacznie mniejszy opór i szczelina niebawem się zamknęła. Wcześniej jednak ujrzeli zbitą, czarną chmurę wymachujących gwałtownie, cuchnących rąk i głodnych, szukających na oślep dłoni – splugawiających powietrze, którym oddychali. Oszalałe, gniewne gardłowe odgłosy, godne ostatniego kuszenia świętego, poraziły ich uszy, a woń setki zbezczeszczonych grobów, tuż przed zatrzaśnięciem drzwi w piwnicy, w jawny sposób zadrwiła sobie z niewinności. Błyskawicznie podnieśli przeznaczony do tego celu gruby pręt i przełożyli go przez bliźniacze uchwyty na drzwiach. Przynajmniej na razie byli bezpieczni. Odgłosy walenia pięściami, stukania i drapania paznokciami o żelazne drzwi z drugiej strony sprawiły, że nie sposób było zebrać myśli czy zamienić choć kilku słów.

Na sygnał Sparksa, wskazującego pochodnią kierunek, w którym chciał się udać, trzech mężczyźni szybko i z wyraźną ulgą oddalili się od drzwi. Biegli, nie zastanawiając się, w

jakim kierunku zacierają, ani jaki dystans przyjdzie im pokonać. Gdy doszli do siebie, a blask pochodni oświetlił przestrzeń wokół nich, stwierdzili, że pomieszczenie, w którym się znaleźli, nie stanowiło przedłużenia tunelu; było olbrzymie – wielkości stacji kolejowej – a wzdłuż ścian po obu stronach, niczym budynki, piętrzyły się sterty pak i skrzyń wszelkich możliwych do wyobrażenia rozmiarów. Zatrzymali się, by zaczerpnąć tchu i choć trochę uspokoić rozkołataną serca. Dudnienie do drzwi z tyłu za nimi nie cichło ani na chwilę.

– Jezu Chryste! – rzucił Larry. – Kurczę! To nie pora na upiora. Co jeszcze może nas spotkać?

– To coś chciało zmiażdżyć mi nadgarstek albo oderwać rękę od tułowia – powiedział Doyle, obejmując obolały bark.

– Wpakowaliśmy się w nielichą kabałę – burknął Larry. – Mało brakowało, a stary koźlorogi załatwiłby nas bez mydła. Idź, podkuj sobie kopyta, Nikuś!

– Spokojnie – ostrzegł Sparks.

Wciąż trzymający nóż w ręku Larry nie dał się uciszyć i raz po raz słał w stronę prześladowców serie bardziej lub mniej wymyślnych inwektyw.

Nagle łomotanie do drzwi ustało. Larry zaczerpnął kilka głębokich oddechów i wyczerpany opadł ciężko na jedną ze skrzyń.

– Boże, jak mi się chce kielicha – burknął, ukrywając twarz w dłoniach. – Jestem kompletnie rozbity.

Znaleźli sobie wygodne miejsce w niewielkiej niszy za stertą skrzyń. Czas znów zaczął płynąć normalnie, uwagę zaś Doyle'a przykuło otaczające ich morze osobliwości. Dołączył do Sparksa, który, stojąc na najwyższej skrzyni, przy blasku pochodni szacował ich położenie.

– Dobry Boże...

Pomieszczenie ciągnęło się, jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach. Krajobraz tu i ówdzie upstrzony był majestatycznymi, choć niezbyt dużymi posągami królów, królowych, artystów, uczonych, naukowców, żołnierzy, generałów na koniach, bohaterów i przestępców, historycznych jak i legendarnych, uchwyconych w kluczowych dla nich chwilach triumfu bądź niesławy, oraz całym parlamentem półbogów i bogiń, których marmurowa skóra lśniła mleczną bielą.

– Co to za miejsce? – zapytał Doyle.

– Podejrzewam, iż znajdujemy się w głębokich podziemiach British Museum – rzekł Sparks.

– A więc musi być stąd jakieś wyjście – rzucił natchniony nową nadzieją Doyle.

– Najpierw będziemy musieli znaleźć drzwi.
– Jack, czym, na miłość boską, były te...
– Nie teraz, Doyle – uciął Sparks, zeskakując miękko ze skrzyni. – Rusz się, Larry, to jeszcze nie koniec.

Larry wstał i wraz z doktorem podążył śladem Sparksa.

– Dobrze się pan czuje, szefie?
– Pomijając to, że miałbym ochotę na parę głębszych, całkiem nieźle – odrzekł Doyle. Jego stoicyzm wyraźnie dodał Larry'emu otuchy.
– Przez chwilę myślałem, że odwali pan kiteę.
– Gdybyś nie uwinął się z tą kłódką, wszyscy wyjechalibyśmy stąd nogami do przodu.
– To była pestka. Powinienem był uporać się z tym, zanim kłopoty podeszły do nas na wyciągnięcie ręki.
– Nie ma się czym przejmować – odrzekł Doyle. – Na morzu przytrafiają się gorsze rzeczy.

Przyspieszyli kroku, aby zrównać się ze Sparksem, który przyświecając sobie łuczywem, przeprowadził ich przez ogromny magazyn. Znajdujące się tu skarby zdawały się rozmieszczone zgoła przypadkowo i nieprzemyślanie. Za każdym zakretem w tym skarbcu cudów czekały na nich nowe, fascynujące widoki: urny, wielkie jak wagony kolejowe, inne, maleńkie niczym żołędzie, potężne sarkofagi ze srebra i ołowiu wyłożone klejnotami, barokowe karety koronacyjne z alabastru i złota, katafalki z hebanu, lśniącej stali i kości słoniowej, bezgłowe manekiny w szatach ceremonialnych z Afryki, Azji i subkontynentu, olbrzymie gobeliny przedstawiające wojny zaginionych, legendarnych królestw, a na dodatek bogaty zestaw dzikich – acz obecnie niegroźnych, bo wypchanych – zwierząt: niedźwiedzi z każdego zakątka ziemi, wielkich kotów, żarłocznych wilków, nosorożców, słoni i strusi, krokodyli i emu plus kilka mało znanych, prowadzących nocny tryb życia, przedstawiciele świata fauny.

Była tu również bogata galeria malarstwa. Obrazy w złoconych ramach przedstawiały każdą scenę, jaką tylko można sobie wyobrazić: bitwy, uwiedzenia, urodziny i śmierć królów, sielanki pasterskie, wizje koszmarnej zagłady i spokojnej, zacisznej Arkadii.

W pewnym momencie minęli nawet upiorną flotyllę rozebranych do ożebrowania łodzi, oczekujących na dzień swego wskrzeszenia. Ujrzeni gigantyczne działo i rozmaite mechanizmy wojenne, tarany, katapulty oraz maszyny oblężnicze. W podziemiach znalazły się również fragmenty odkopanych murów, chat i domów, przeniesionych z jakiegoś odległego miejsca grobowców i zrekonstruowanych świątyń.

Były tu wielkie, kamienne głowy i maszyny latające. Pierzaste węże i instrumenty muzyczne, wespół z maszynami tortur. Ogrom zebranych w tym pomieszczeniu eksponatów stanowił zapierający dech w piersiach antropologiczny przegląd kultur znanego i nieznanego świata, toteż serce się krajało na widok lekceważenia, z jakim je traktowano.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – spytał ze zdumieniem Doyle.

– Nie. Od wielu lat słyszałem plotki o istnieniu takiego magazynu – odrzekł Sparks, gdy ponownie się zatrzymali, nie znalazłszy się nawet o krok bliżej od znalezienia wyjścia.

– Jak cmentarzysko cywilizacji – rzekł Larry.

– Łupy imperium brytyjskiego – stwierdził Doyle.

– Bóg lituje się nad człowiekiem. Wygląda na to, że zgarnęliśmy wszystko, co się tylko dało, i jeszcze trochę na dokładkę – mruknął Larry.

– Tak właśnie było. Złupiliśmy kantory całego świata, splądrowaliśmy groby, a łupy, których nie byliśmy w stanie zaprezentować z dumą i pasją zdobywców w gablotach na górze, ukryliśmy wstydliwie tu, w podziemiach – stwierdził Sparks.

– Tak jak to czyniła w historii każda dominująca kultura – dodał Doyle.

– Śmiem twierdzić, że bez tego wszystkiego zewnętrzny świat jest dużo uboższy – rzekł Larry. Jego smutek zwielokrotniała złodziejska chciwość, z którą był kiedyś bardzo zaprzyjaźniony.

– Nie ma powodu do żałowania – pocieszał go Sparks. – Już wkrótce pojawi się nowa cywilizacja żądna łupów i pozbawi nas tego brzemienia.

– Wygląda na to, że od lat nikt tu nie schodził – rzekł Doyle, ścierając z palca stopy wojowniczej bogini Ateny grubą warstewkę kurzu.

– A jednak ktoś tu był, dostatecznie długo, by ukraść posąg Tuamutefa – rzekł Sparks, rozwiązując tę zagadkę. – Jeśli nie dłużej.

– Jak to, Jack?

– Choć ułożenie zbiorów wydaje się przypadkowe, w tym szaleństwie jest, wbrew pozorom, metoda. A z prawie każdej cennej kolekcji, jaką mijaliśmy, zniknęły ważne elementy. Na przykład tutaj, widzisz?

Sparks skierował ich uwagę na kwintet helleńskich posągów przedstawiających zmysłowe boginki.

– Kalliope, Klio, Erato, Euterpe i, jak sądzę, ta ostatnia panienka to Terpsychora – oznajmił.

– Dziewięć muz – wyszeptał Doyle.

– Mój wujek grał kiedyś na kalliopie – powiedział Larry.

– Ale jest ich tu tylko pięć. Po śladach na posadzce nietrudno domyślić się, że początkowo faktycznie było ich dziewięć – zatem cztery zniknęły... Podpowiedz mi, Doyle: Polihymnia, Melpomena...

– Talia i Urania.

– Dziękuję. A więc wcześniej były tu w komplecie.

– Dokładnie. Podobne ślady na posadzce zauważyłem w wielu miejscach. Jak zauważyłeś, Doyle, kustosze tego cyrku prawie tu nie zagląдают. Członkowie Bractwa wykuli szyb prowadzący do starego tunelu, aby mieć dostęp do magazynu – mogliby regularnie upłytniać eksponaty z tego skarbcza aż do sądnego dnia, i nikt nie zorientowałby się, że cokolwiek zniknęło.

– Ale w jakim celu?

– Przychodzą mi do głowy dwa powody: aby zatrzymać je dla siebie lub odsprzedać. Tylko że to, co się tu znajduje, jest niemal bezcenne.

– Czy to ma być główny cel Bractwa? Zwykły przemyt dzieł sztuki starożytnej? – spytał Doyle.

– Skupienie wokół siebie elitarnego kręgu popleczników, takich jak te szuchy z listy, w celu przeprowadzenia banalnej operacji przemytniczej wydaje mi się odrobinę zbyt prozaiczne. Co ty na to, Larry?

– To tak jakby najlepsi kucharze Europy zebrali się po to, by wspólnie gotować wodę na herbatę.

– Właśnie. Podejrzewam, że te kradzieże miały na celu dwie rzeczy: zdobycie konkretnych, świętych przedmiotów, które wydawały się niezbędne jako pomost łączący nasz świat z płaszczyzną eteryczną (nasz przyjaciel Tuamutef) oraz sprzedaż na czarnym rynku artefaktów, których nie potrzebowali, aby dzięki nim mogli sfinansować swoje przedsięwzięcie.

– Ale twierdziłeś, że oni wszyscy są pioruńsko bogaci, Jack.

– Czy znasz pierwszą żelazną zasadę bogacza? – Nigdy nie wydawaj własnych pieniędzy.

– Zgadza się – mruknął Larry, a w jego oczach zabłyśły przez moment złodziejskie iskierki.

– Przepraszam, Larry. Ta zasada najwyraźniej nie obowiązuje tylko bogaczy. Musiałem się pomylić.

– Bez urazy – rzekł Larry. – Rozejrzę się trochę.

Odpalił świeczkę od pochodni i znikł za najbliższą stertą skrzyń.

– Możemy powstrzymać ich złodziejski proceder, co do tego nie ma wątpliwości – rzekł Doyle.

– Zamknięcie tego tunelu położy kres kradzieżom, choć obawiam się, że najgorsze już się wydarzyło i ślad dawno ostygł. Wystarczyło przyjrzeć się kłódce wiszącej na tamtych żelaznych drzwiach.

Doyle potaknął. Rozumowanie było słuszne.

– Jeszcze bardziej niepewna wydaje się kwestia, czy jesteśmy w stanie wnieść oskarżenie przeciwko firmie Rathborne i Synowie o kradzież starożytnych dzieł sztuki. Po zastanowieniu muszę przyznać, iż chyba nie byłoby to dla nas korzystne.

– Dlaczego, Jack?

– Nie dysponujemy żadnymi namacalnymi dowodami na poparcie swoich oskarżeń. Atak przeciwko członkom zarządu Bractwa, których nazwiska znalazły się na liście, może spowodować, że nasze ptaszki zaszyją się w jakimś zacisznym gniazdku, a my zrobimy z siebie durniów. Jeśli mamy dotrzeć do samego serca ich działań, najlepiej będzie, jeśli nie ogłosimy tego publicznie, aż do momentu zadania decydującego ciosu.

Zza sterty pak dobiegł gwizd Larry'ego.

– W takim razie klamka zapadła.

Sparks i Doyle wypatrzyli światło świecy Larry'ego i dołączyli do niego, wspinając się na barykadę skrzyń, które oddzielały ich od byłego złodzieja. Sparks uniósł do góry łuczywo i w jego blasku ujrzeli solidny, prostokątny blok identycznych sarkofagów mumii – było ich co najmniej dwadzieścia, jeden przy drugim, jak łóżka w zatłoczonym domu noclegowym. Wieka były zdjęte i ułożone w bezładny stos pod ścianą. W dwóch sarkofagach znajdowały się ciała – poczerńiałe, wychudłe trupy okutane od stóp do głów w gnijące bandaże. Pozostałe sarkofagi były puste.

– Dobry Boże – wyszeptał Doyle, gdy podeszli bliżej, aby przyjrzeć się wiekom sarkofagów.

– Broń, rysunki przedstawiające walkę – rzekł Sparks, przyglądając się piktogramom.

– To były grobowce wojowników. Sarkofagi jednakowych rozmiarów, identyczne hieroglify – ciała członków straży królewskiej, pogrzebanych *en masse*. Po śmierci faraona było utartym zwyczajem zabijać jednocześnie cały garnizon jego wojowników, którzy mieli eskortować go do Krainy Cieni.

– Ci faceci musieli tyrać do, a nawet po śmierci – rzekł Larry. Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Zastanawiające, nieprawdaż? – rzekł Sparks z dziwnym uśmiechem.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał Doyle.

Zanim zdążył odpowiedzieć, dał się słyszeć przeraźliwy zgrzyt zardzewiałych zawiasów, dochodzący z drugiego końca pomieszczenia.

– Na razie – mruknął Sparks, który w mgnieniu oka stał się czujny i spięty – sugeruję, żebyśmy wzięli czym prędzej nogi za pas.

Biegli tak daleko, jak tylko mogły zanieść ich znużone nogi. Bajeczne zbiory muzealne zmieniały się wokół nich w bezkształtną, rozmytą plamę. Przemieszczając się wzdłuż ścian, szukali wyjścia, aż w końcu natknęli się na podwójne, dębowe, wyjątkowo mocne drzwi. Larry zapalił świecę i obejrzał zamki.

– Zatrzaskowe – rzekł Larry, szacując siły przeciwnika. – Nie ma jak się do nich dostać.

Gdy we trzech natarli na drzwi, twarde drewno lekko tylko zadrżało.

– Po drugiej stronie muszą być jeszcze łańcuchy – rzekł Larry. – Chyba nie dla ozdoby. Najwyraźniej nie życzą sobie, aby jacyś turyści zabłądzili tutaj kiedyś przez przypadek.

– Cholerne muzeum – burknął Doyle.

– Mogę spróbować szczęścia? – spytał Larry.

– Nie mamy czasu – rzekł Sparks, rozglądając się czujnie. – Larry, potrzebujemy małych kawałków metalu, kamieni, stali i żelaza, co tylko uda ci się znaleźć, najchętniej w dużej ilości.

– Sie robi – rzucił Larry i już go nie było.

– Jakiś czas temu mijaliśmy kilka dział. Czy pamiętasz, Doyle, gdzie one stały?

– Pamiętam, że je widziałem. Gdzieś z tyłu, ale nie potrafię określić konkretnego miejsca.

– Musimy ich szukać tak, jakby od nich zależało nasze życie, co skądinąd jest całkowicie zgodne z prawdą.

Zawróciwszy do głównej, otwartej sali, starali się iść tą samą drogą pośród chaotycznie rozmieszczonych bezcennych zbiorów. Droga wydawała się im niepokojąco obca. Rozległe pomieszczenie rozbrzmiewało przejmującym zgrzytem zardzewiałych zawiasów, ale prześladowców w dalszym ciągu nie było widać.

– Jack! Zakładając, że uda się nam znaleźć jakieś działo, co masz zamiar z nim zrobić?

– To zależy, która z naszych potrzeb okaże się bardziej nagląca.

– Która z naszych potrzeb?

– Mimo iż nie cierpię niszczenia własności rządowej, będziemy musieli przebić się przez tamte drzwi albo wykorzystać działo do obrony. To zależy, co będzie pierwsze.

Doyle nie wypowiedział na głos preferowanej przez siebie wersji. Każdy kolejny zgrzyt i przejmujący pisk starych zawiasów napawał go coraz większą zgrozą.

Poszukiwania działa zdawały się trwać wieczność, choć w gruncie rzeczy zajęły im nie więcej niż pięć minut. W tym czasie chrzęst zawiasów ucichł zupełnie. Oprócz echa kroków dwóch mężczyzn, w pomieszczeniu panowała złowróżbna cisza. W końcu znaleźli działą, całą masę – a raczej baterię dział. Mieli kłopot, która z armat będzie najbardziej odpowiednia. Sparks szybko zdecydował się na turecką szesnastofuntówkę na lawecie. Schwycili działą z obu stron za dyszle i pociągnęli je za sobą, starając się tak szybko, jak pozwalała na to niewielka przestrzeń manewrowa oraz spory bądź co bądź ciężar armaty, znaleźć się z powrotem u drzwi wyjściowych.

– Skąd wiemy, że się uda? – zapytał zdyszany Doyle.

– Nie wiemy.

Doyle zdjąłby z grzbietu ostatnią koszulę za odrobinę smaru, aby móc uciszyć skrzypiące koła lawety, gdyż od strony żelaznych drzwi dochodził wyraźny, niepokojący trzask przewracanych skrzyń i pak – ich prześladowcy wdarli się do magazynu i, omijając przejścia między stertami pudeł, starali się najkrótszą drogą dostać do swoich ofiar. Sparks przystanął i rozejrzał się.

– Na pewno szliśmy tędy? – zapytał.

– Ty prowadzisz. Myślałem, że znasz drogę.

– Racja. A tak na marginesie, Doyle, może wyjąłbyś stamtąd ze dwie poręczne szabelki? – rzucił Sparks, wskazując na ogromny stos białej broni.

– Naprawdę myślisz, że mogą się nam przydać?

– Nie wiem. A może wolałbyś znaleźć się w sytuacji, w której pożałujesz, że tego nie zrobiłeś?

Doyle wyjął ze sterty dwie długie, zakrzywione szable i ponownie schwycił dyszel. Ruszyli dalej. Proszę, Boże, spraw, aby on wiedział, dokąd idziemy – modlił się w duchu Doyle – a nie rzucił nas w ręce czy łapy czegoś, co podąża naszym śladem. To znaczy, jeśli te stworzenia faktycznie są za – a nie przed nami. Boże, uczyni, aby zostały daleko w tyle i pogubiły się w tym labiryncie jeszcze beznadziejniej niż my.

– O, widzę coś – posąg Herkulesa zabijającego lwa nemejskiego – jedna z Dwunastu Prac... musiał również oczyścić stajnie Augiasza. Rety, co mi przychodzi do głowy w takiej sytuacji! Tak czy inaczej, poszukując działą, na pewno mijaliśmy Herkulesa.

– Idziemy we właściwym kierunku! – oznajmił Doyle.

Larry czekał na nich przy podwójnych drzwiach opodal sterty zebranych rupieci: cegieł, strzaskanych włócznie i fragmentów metalu.

– Niestety, musiałem tu trochę narozrabiać, odrywając i łamiąc to i owo – rzekł Larry, któremu nagle zaczęły dawać się we znaki wyrzuty sumienia.

– Będzie ci to odpuszczone – mruknął Sparks. – Pomóż nam.

Ustawili działo w odpowiedniej pozycji, o dziesięć stóp przed wielkimi, dębowymi drzwiami.

– Doyle, znajdź coś, czym można by unieruchomić lawetę – rzucił Sparks. – W przeciwnym razie odrzut zmniejszy siłę wystrzału. Larry, załaduj lufę od przodu, ubij mocno ładunek, najcięższe i najostrzejsze rzeczy wrzuć na samym końcu – mamy tylko jeden strzał.

Wzięli się do pracy. Sparks wyjął z kieszeni kamizelki jedną z fiolek z wyprodukowanym przez siebie płynem, położył ją ostrożnie na ziemi, wyciągnął koszulę ze spodni i oderwał rąbek materiału. Za chwilę pojawił się przy nim Doyle, dźwigając zardzewiały łańcuch z kotwicą na końcu.

– Może być? – zapytał.

– Doskonale, stary.

Owinęli mocno armatę łańcuchem, podczas gdy Larry tyczką używaną przez weneckich gondolierów ubił ładunek wepchnięty w mroczną gardziel działa.

– U mnie gotowe – rzekł.

– Jak odpalimy? – spytał Doyle.

– Używając tej oto nitrogliceryny – objaśnił Sparks i delikatnie opuścił fiolkę w głąb otworu lontowego.

– Przez cały czas nosiłeś w kieszeni nitroglicerynę? – zapytał zaniepokojony poniewczasie doktor.

– Jest absolutnie nieszkodliwa. Wybuch może spowodować tylko ogień lub silne uderzenie...

– Boże, Jack! A gdybyś wtedy, w szybie, spadł?

– Nie musielibyśmy się teraz o nic martwić, prawda? – uciął Sparks, wtykając strzęp koszuli do otworu lontowego.

Prześladowcy byli zaledwie sto jardów za nimi; słychać było trzask przewracanych skrzyń.

– Nadchodzą – rzekł Larry, wyjmując noże z pochewek.

– Cofnijcie się – rozkazał Sparks.

Larry i Doyle ukryli się za skrzyniami. Sparks zapalił lont od pochodni i w mgnieniu oka przyłączył się do nich. Położyli się na ziemi, zamknęli oczy, zakryli uszy i czekali na wybuch. Mały ognik błyskawicznie wypalił materiałowy lont i znikł w otworze działa. Nic.

– Wybuchnie? – spytał Doyle.

– Na razie nie wybuchło, prawda?

Znowu trzask wywracanych skrzyń. Odgłosy bezlitośnie się przybliżały.

– Lepiej się pospieszmy – rzucił Larry.

Sparks ostrożnie podkradł się naprzód, aby zbadać przyczynę milczenia działa. Doyle mocniej ścisnął rękojeść szabli i po raz pierwszy przyjrzał się zakrzywionemu ostrzu. Miał wrażenie, że śni mu się jeden z epizodów z *Piratów z Penzance*. Sparks zajrzał w głąb otworu lontowego, po czym biegiem powrócił w bezpieczne miejsce za skrzyniami.

– Jeszcze się pali – mruknął i zanurkował na ziemię.

Działo wystrzeliło z oszałamiającą feerią iskier i gęstymi kłęбами białego dymu. Trzej mężczyźni poderwali się w mgnieniu oka i pobiegli naprzód. Laweta została zniszczona, a małe działo opierało się ukośnie o podłogę i, choć pękło, dzielnie wytrzymało siłę eksplozji, a co ważniejsze, skierowało swój ładunek we właściwym kierunku. Podwoje zostały zamienione w stertę drzazg i nastąpiło to w jak najbardziej właściwym momencie. Cała trójka wyraźnie słyszała upiorne, ochryple bulgotanie i złowieszczy charkot, gdy ścigające ich istoty niebezpiecznie zmniejszyły dzielący ich dystans.

– Wynośmy się stąd! – rzucił Sparks.

Podbiegli do wyjścia, kopniakami usuwając z drogi ocalałe szczątki dębowych drzwi. Przepętlili nad łańcuchami, które zabezpieczały je od drugiej strony, gdzie kondygnacja potężnych schodów prowadziła stromo w górę... ku wolności.

– Naprzód! – rzekł Sparks, zatrzymując się na podeście u podnóża schodów i odrywając kolejny pasek u dołu koszuli.

– Co robisz, Jack?

– Nie chciałbym, aby ta banda ścigała nas po całym Bloomsbury, a ty?

Mroczne, czarne kształty zbliżały się w ich stronę przez rozwiewające się już kłęby dławiącego dymu.

– Idź, zaraz cię dogonię – rzucił Sparks, odkorkowując drugą fiolkę materiału wybuchowego i wylewając zawartość na podłogę.

– Panie Doyle, szef kazał nam iść. Ruszamy – mruknął Larry, ciągnąc doktora za rękaw.

Pierwsze kształty były już prawie przy drzwiach.

– Oddaj mi mój rewolwer, Jack – powiedział Doyle, nie ruszając się z miejsca.

Sparks spojrział na Doyle'a jak na niebezpiecznego szaleńca, po czym wyjął zza pasa rewolwer i rzucił mu. Doyle spokojnie wymierzył i posłał sześć kul w mroczne, niewyraźne sylwetki, trafiając (dały się słyszeć nowe, przeraźliwie gardłowe dźwięki) i odrzucając przywódcę grupy o dobrych kilka stóp w tył. Dzięki temu Sparks zdążył opróżnić całą zawartość fiolki i zanurzywszy koniec oderwanego fragmentu swojej koszuli w kałuży, rozciągnął pas materiału na kamiennej posadzce.

– W nogi! – krzyknął Sparks.

Larry pociągnął Doyle'a za sobą, podczas gdy Sparks od pochodni zapalił lont i czym prędzej pognął za nimi. Gdy dotarli do zakrętu schodów, Doyle obejrzał się i dostrzegł przywódcę ścigającej ich grupy, który niezdarnie gramolił się na podest poniżej. Był wysoki i niewiarygodnie chudy, jego kościste, pajęczce kończyny poruszały się spazmatycznie. Włosy i zęby od wypadnięcia z wyschniętej na wiór czaszki powstrzymywały pasy przegniłych bandaży. Małe jak główka szpilki, czerwone oczy jarzyły się złowrogo. To zdołał dostrzec Doyle dosłownie na ułamek sekundy przed eksplozją. Wybuch unicestwił wszystko. Niczego nie można było dostrzec ani usłyszeć. Ściany popękały, powietrze wypełniło się gryzącym dymem. Schody pod ich stopami zafalowały niczym klawisze pianina.

Trzej mężczyźni, pchnięci falą uderzeniową, wypadli przez znajdujące się na wprost drzwi. Podmuch zgasił pochodnię i przez dłuższą chwilę leżeli w ciemnościach na chłodnej marmurowej posadzce, oszołomieni, pozbawieni tchu i kompletnie ogłuszeni. Mieli wrażenie, jakby otrzymali identyczne, potężne ciosy w głowę i splot słoneczny. Czas płynął. Poruszyli się, zrazu nieśmiało, pojękując. Ponieważ wciąż dźwięczało im w uszach, więc nie byli w stanie wzajemnie się usłyszeć.

– Wszyscy cali? – zapytał w końcu Sparks.

Musiał powtórzyć pytanie dwukrotnie, zanim je usłyszeli. Zamrugali w odpowiedzi powiekami, niczym ofiary amnezji. Oceniali wzajemnie swe obrażenia, dziwiąc się, że wyszli z tej kabały cało. Pomimo iż nie miał żadnych złamań, Doyle czuł się fatalnie, całe ciało bolało go, jak po długotrwałym okładaniu policyjnymi pałkami. Oczyma duszy, jak na upiornym zbliżeniu, raz jeszcze ujrzał wychodzącego na podest potwora. Spojrzawszy w dół, stwierdził, że wciąż ściska w dłoni szablę – jego palce były jak przyrośnięte do rękojeści – musiał pomóc sobie drugą ręką, aby je rozluźnić. Mężczyźni wolno podnieśli się z ziemi, pomagając jeden drugiemu. W gruncie rzeczy dobrze się stało, że nie słyszeli stękań oraz jęków towarzyszących temu wysiłkowi.

Doyle z niepokojem spojrział na podwójne drzwi.

– Chyba są już załatwieni.

– Lepiej, żeby tak było – rzucił smętnie Larry. – Bo w tym stanie nie poradziłbym sobie nawet z niemowlakiem uzbrojonym w grzechotkę.

– I nie mamy już nitrogliceryny – dorzucił Sparks.

– Czy to właśnie robiłeś wtedy w swoim mieszkaniu – sporządzałeś nitroglicerynę, Jack?

Sparks pokiwał głową.

– Cieszę się, że nie jesteś moim sąsiadem.

– Obawiam się, że ostatni ładunek był ciut za mocny.

– Jeżeli tylko zdołał powstrzymać tych łachmaniarzy, to nie zamierzam się skarżyć.

Szukali po omacku w ciemnościach, aż w końcu udało im się odnaleźć pochodnię. Larry, który miał pewne problemy z poruszaniem palcami, wyjął z kieszeni zapalną i zapukał w posadzkę. Następnie, w blasku pochodni, oszacowali swoje położenie. Była to pusta, marmurowa sień, bardziej kojarząca się z salami muzealnymi, aniżeli to osobliwe miejsce, z którego przed chwilą wyszli. Spod drzwi, które sforsowali w chwili wybuchu, unosiły się wąziutkie smużki dymu.

– Znajdźmy właściwe wyjście – zdecydował Sparks.

Odwrócili się i już mieli ruszyć w dalszą drogę, gdy wtem drzwi za nimi otwarły się na oścież. Zesztywnieli, poobijani, i obrócili się w ich stronę, w duchu przygotowując się do walki. Jednakże to, co pełzło po podłodze, nie było rozjuszoną bestią ani nawet przeciwnikiem, w pełnym znaczeniu tego słowa. Ciągnąc za sobą zmiażdżoną głowę i połowę torsu jednej z istot, w ich kierunku sunęła uparcie pojedyncza, zaciskająca się kurczowo, zmasakrowana ręka. Jej ślad znaczyła na płytkach posępna smuga, zmieszanego z popiołem, odrażającego śluzu. Zwisająca ukośnie, zgruchotana zuchwa poruszyła się, jakby stwór usiłował rzucić na nich jakąś zapomnianą, prastarą klątwę. W swym obecnym stanie mumia wzbudzała bardziej obrzydzenie aniżeli strach, ale w jej oczach wciąż płonął ten sam zjadliwy, złowrogi ogień.

– O Jezu – wyszeptał Doyle, cofając się mimowolnie.

– Uparte łajdaki, no nie? – wymamrotał Larry.

Sparks wziął od Doyle'a szablę, postąpił naprzód i jednym zdecydowanym cięciem pozbawił odrażające monstrum głowy. Stwór zastygł w bezruchu – czerwony blask w jego oczach wygasł, a ramię i tors, gdy głowa odtoczyła się od tułowia, opadły bezwładnie na ziemię.

Larry podbiegł i silnym wykopem posłał głowę z powrotem na klatkę schodową.

– I goool! – ryknął. – Woolwich Arsenal kontra Corinthians, jeden zero w dogrywce! Arsenal zdobywa puchar!

Doyle ukląkł, by przyjrzeć się szczątkom – poszczególne kawałki błyskawicznie rozpadały się w proch. Za kilka minut nie pozostanie nawet nadrobniejszy ślad, mogący świadczyć, że jakaś siła ożywiła te wyschnięte na wiór tkanki, opuszczone przed tysiącem lat przez ich pierwszego, prawowitego właściciela.

– Co zauważyłeś, Doyle? – zapytał Sparks, przyklękając obok niego.

– Szczątki są absolutnie nieruchome. Energia czy duch, która nimi kierowała, odeszła.

– Jaka energia?

Doyle pokręcił głową.

– Nie wiem. Coś żywego, ale nie żyjącego. Przywodzi mi to na myśl szare kaptury.

– Energia pochodząca od ducha. Rodzaj bezmyślnej woli.

– Znaczy się czarna magia, tak? – spytał dziwnie cienkim głosem Larry.

– Przypuszczam, że można by to tak określić – stwierdził Doyle. – Choć to ani trochę nie zbliża nas do zrozumienia tej zagadki.

– Z całym szacunkiem, szefie, ale co tu jest do rozumienia? – Przecież to jeden wielki koszmar i zguba. Cieszymy się, że uratowaliśmy skórę i zmywajmy się stąd – taka jest moja rada.

– Co racja, to racja. Musimy się stąd wynieść, i to jak najszybciej – powiedział Sparks, wstając. – Wybuch musiał obudzić nawet największego śpiocha wśród nocnych stróżów w całej Anglii.

W ślad za Sparksem wyszli z sieni na rozległy korytarz, który, jak wszystko na to wskazywało, prowadził do głównego wyjścia.

– Nie chciałbym być tym strażnikiem, który odkryje, cośmy tu nawyrabiali – stwierdził Larry. – Nie wiem, co mu zrobia, ale na pewno nic dobrego. Poza tym, na sam widok może dostać apopleksji.

– Szczerze mówiąc, Larry – miałbym ochotę na tę whisky, o której rozmawialiśmy – wtrącił Doyle.

– Z przyjemnością, sir. Ale najpierw musimy wrócić do domu. Nigdy dotąd nie włąmywałem się po to, by wydostać się z muzeum – burknął Larry, dając do zrozumienia, że włąmywanie się do muzeum było dla niego chlebem powszednim.

– Na pewno sobie poradzisz – odparł Doyle.

14. MAŁY NIEBIESKI CHŁOPIEC

Larry rzeczywiście dał sobie radę. Po sprawnym wybiciu jednej szyby znaleźli się na zewnątrz i w błyskawicznym tempie wrócili do bezpiecznego mieszkania Sparksa.

Racząc się solidnymi porcjami wybornej whisky, postanowili tam spędzić resztę nocy. Doyle oszacował ich obrażenia i uznał, że nie były zbyt poważne. Krótko mówiąc, byli potwornie zmęczeni, lecz gotowi wyruszyć w podróż, zaplanowaną przez Jacka Sparksa na następny dzień. Wycieńczony do tego stopnia, że nie zapytał nawet, dokąd mają się wybrać, Doyle zapadł szybko w głęboki, ciężki sen.

Gazety następnego wieczoru pełne będą artykułów o zuchwałej próbie rabunku w British Museum, w którego podziemiach znajdowały się egipskie precjoza. Pragnący jak najszybciej posiąść bezcenne skarby rabusie, jak wszystko na to wskazuje, wysadzili się w powietrze, wraz ze zdobytym łupem – rzadką kolekcją mumii z dworu Trzeciego Imperium. Wyjaśnienie nader zadziwiającej kwestii – dlaczego złodzieje próbowali wykraść tylko mumie (które, nawiasem mówiąc, uległy zniszczeniu podczas wybuchu – jedno z ciał zostało nawet wskutek eksplozji wyrzucone na wyższą kondygnację i przebiło znajdujące się tam drzwi), a nie ich złożone sarkofagi – zostanie przez żadnych sensacji dziennikarzy zepchnięte na dalszy plan i niemal natychmiast zapomniane.

Poza wyjątkowo przesadzonymi opisami zniszczeń, którym jakoby miały ulec zgromadzone w muzeum eksponaty, wyrazami najwyższego oburzenia ze strony członków Parlamentu oraz innych, często cytowanych prominentów kultury, potępiających bluźnierczy akt splugawienia tak szanowanej i poważnej instytucji, oraz gromami na zdecydowanie zbyt liberalną politykę imigracyjną, pojawiły się również wyrazy ostrej krytyki wymierzonej przeciwko społeczeństwu, którego rozwiązłość i upadek morale doprowadzają do podobnych aktów wandalizmu – brak szacunku wobec Boga, kraju i królowej *et cetera, et cetera*. Fakty zostały w widomy sposób przeinaczone i nagięte do sytuacji. Nie wspomniano słowem o rzymskim wiadukcie ani o posągu Tuamutefa, jak również o pionowym tunelu wiodącym wprost do gabinetu prezesa firmy wydawniczej Rathborne i Synowie, sp. z o. o. Na długo

przed tym jednak, nim gazety opuściły drukarnie, podczas gdy ulice wciąż jeszcze patrolowały gromady policjantów, zacierających ręce egiptologów i zwyczajnych, żądnych wrażeń gapiów, nim Doyle ocknął się z głębokiego jak sama śmierć snu, John Sparks o świcie opuścił mieszkanie. Wrócił późnym rankiem, by obudzić pozostałych i zmusić ich do wyruszenia w drogę.

Pożegnawszy się z Zeusem, trzech mężczyźni przed południem tylnymi schodami opuścili budynek, wsiedli do czekającego na dole kebu i prześlizgnęli przez wielką dziurę w sieci zarzuconej pospiesznie wokół British Museum przez przedstawicieli prawa.

Poranek Sparksa był wyjątkowo pracowity, o czym skrzętnie poinformował Doyle'a i Larry'ego. Śniadanie w towarzystwie dawnego kumpla z teatru, obecnie czołowego aktora i menedżera londyńskich scen, pozwoliło poznać plany Manchester Players, zespołu reklamowanego na plakacie, który znaleźli na biurku prezesa firmy Rathborne i Synowie.

– Są w trasie, zmierzając na północny wschód Anglii. Dziś wieczorem Scarborough, ostatni dzień trzydniówki – powiedział – a stamtąd na północ, do Whitby, gdzie mają kontrakt.

– Whitby. Znowu York. Czy to nie tam znajdowała się diecezja, w której emerytowany wielebny biskup Pillphrock, jedna z osób wymienionych na liście, opiekował się swoją trzódką? – spytał Doyle.

– Nie tylko – powiedział Sparks. Zdołał również dowiedzieć się, że w Whitby znajdowała się zimowa rezydencja sir Johna Chandrosa, jednego ze znaczniejszych towarzyszy Pillphrocka z Listy Siedmiorga. Doyle zakonotował sobie, że zgodnie z zaleceniem Sparksa przestanie wierzyć w zbiegi okoliczności.

Na koniec Sparks wręczył Doyle'owi cienki, oprawiony w płótno wolumin, na który natrafił w księgarni Hatcharda: *Moje życie wśród hinduskich mistrzów*, autorstwa profesora Arminiusa Vamberga.

Vamberg. Jeszcze jedno nazwisko z listy!

– Sprawdź, kto jest wydawcą – rzekł Sparks.

Doyle otworzył książkę na stronie tytułowej – Rathborne i Synowie, sp. z o. o. Szybko przejrzał notę o autorze, w której stwierdzono, że Vamberg jest rodowitym Austriakiem, posiadającym cały alfabet tytułów naukowych, zgromadzonych na najważniejszych uczelniach całej Europy, zanim nieposkromiona żądza wędrówki nie zmusiła go do tułaczki od Karaibów, przez Wyżynę Tybetańską i Czarny Ląd, po Australię.

– Nie ma jego zdjęcia – mruknął Doyle.

– Założę się, że ma brodę – rzekł tajemniczo Sparks.

– Brodę?

– Mężczyzna, który załatwił zwolnienie Bodgera Nugginsa z Newgate miał brodę.

– Skąd przypuszczenie, że tym człowiekiem był Vamberg?

Sparks uśmiechnął się.

– Przeczucie. Niczego nie wiadomo na pewno.

– Czy dzięki tej książce mamy jakiś trop, który doprowadziłby nas do niego?

– Pomimo iż tytuł sugeruje czytelnikowi, że ma do czynienia z rzadką, nader osobistą opowieścią o głębokich duchowych odkryciach, nie dowiadujemy się prawie nic o autorze. Ton jest łagodny, akademicki i dociekliwy. Nie usiłuje nawracać, przekonywać, perswadować czy w inny sposób dowodzić wpływu i mocy duchowego świata.

– Założę się, że nie zarobił za tę chałę ani grosza – burknął Larry.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Doyle.

– Żadnych duchów, goblinów, włochatych górskich diabłów, spadających na swe ofiary jak nocny wiatr? Trudno sprzedać choć dwa egzemplarze takiego chłamu. Ludzie lubią horrory, w których leje się krew, no nie?

– Wygląda na to, że profesor Arminius Vamberg jest dokładnie tym, za kogo się podaje – oznajmił Sparks. – Trzeźwym, poważnym naukowcem, pracującym na niezbyt lubianym i nieusankcjonowanym akademicko poletku metafizyki.

– Nic dziwnego, że o nim nie słyszeliśmy – rzekł Doyle.

– Proszę to przeczytać w wolnym czasie, doktorze. Czeka nas długa podróż pociągiem.

– Do Whitby, jak sędzę.

– Oczywiście – rzekł Sparks.

Kiedy w południe przedzierali się przez zatłoczone ulice, Doyle przypomniał sobie o obietnicy złożonej Lebox, złożonej... kiedy... zaledwie wczoraj? A wydawałoby się, że całe miesiące temu. Obiecał, że nie opuści Londynu bez uprzedniego powiadomienia. Pomijając wyjaśnienia Sparksa, jakoby pracował dla królowej, Doyle czuł się zobowiązany przyrzeczeniem złożonym staremu przyjacielowi. Zapytał Sparksa, czy mogliby zatrzymać się na moment przy szpitalu Świętego Bartłomieja – chciał zabrać stamtąd kilka osobistych rzeczy, a także zważywszy, iż zmierzali na spotkanie niebezpieczeństwu, uzupełnić mocno uszczuplony zapas medykamentów. Odpowiadając na łagodne, pytające spojrzenie Sparksa wzrokiem pełnym spokoju i powagi, Doyle nie miał wątpliwości, iż zataił przed nim swe prawdziwe zamiary. Odpowiedź Johna utwierdzała go w tym przekonaniu.

– Szpital Świętego Bartłomieja, Larry – rozkazał Sparks.

– Czy po drodze moglibyśmy wpaść również do Royal Mews i sprawdzić, czy jest tam chłopiec, którego opisał Spivey Quince? – zapytał Doyle.

– Tak właśnie zamierzałem uczynić – odparł Sparks. Jego wzrok znów był tajemniczy i nieprzenikniony.

Może zdołał mnie przejrzeć – pomyślał zaniepokojony Doyle. Może mi nie ufa. Tak trudno go rozgryźć. Ale w gruncie rzeczy to nie jego sprawa, że chcę poinformować Leboux, gdzie jestem. Czy mam wierzyć, że John Sparks poinformuje moją rodzinę i zakończy wszystkie rozpoczęte sprawy, gdyby coś mi się przydarzyło? Policja może się przydać – mimo pewnych minusów, można na nich liczyć, a przecież o to chodzi. Co z tego, że ich poczynania dają się zbyt łatwo przewidzieć.

Reszta podróży upłynęła w niezbyt przyjemnym milczeniu. Dotarli do szpitala. Sparks wraz z Doyle'em wysiadł z powozu i wszedł do budynku. Nie mogą poprosić, aby został na zewnątrz – pomyślał Doyle. Jak by to wyglądało?

Nie odezwał się słowem. Sparks usiadł na ławeczce przed wejściem do pomieszczeń dla lekarzy, podczas gdy doktor zgromadził potrzebne mu rzeczy i zajrzał do swojej szafki. Znajdowało się tam niewiele naprawdę cennych przedmiotów, ale przynajmniej w tej chwili, co uświadomił sobie z przedziwną mieszaniną smutku i radości, stanowiły komplet jego doczesnych dóbr: srebrny grzebyk i szczotka, brzytwa, kubeczek do golenia oraz krzyżyk, który otrzymał od ojca z okazji bierzmowania. Wrzucił grzebień, szczotkę i brzytwę do torby. Zastanawiał się, czy nie założyć krzyżyka na szyję, ale ostatecznie włożył go do kieszeni kamizelki.

Po otrzymaniu potrzebnych medykamentów z ambulatorium, Doyle podszedł do drzwi i wyjrzał przez umieszczone w nich okienko. Sparksa nie było na ławeczce. Doktor podszedł spieszenie do stołu recepcyjnego, sięgnął po pióro i już miał skreślić liścik do Leboux, gdy wtem zauważyła go pielęgniarzka dyżurna.

– O, doktor Doyle. Mam dla pana wiadomość – powiedziała, podchodząc do szafki pod ścianą.

– Wiadomość?

– Przyszła dziś rano. Dostarczył ją policjant. – Podała mu list.

– Dziękuję – rzekł Doyle. Otworzył kopertę.

Arthurze,

John Sparks to szaleniec zbiegły ze szpitala dla obłąkanych w Bedlam. Jest skłonny do przemocy i wyjątkowo niebezpieczny. Skontaktuj się ze mną natychmiast.

Leboux

– Bilecik od twojej bogdanki? – zapytał Sparks.

– Co? – Doyle, zaskoczony, uniósł wzrok. Obok niego stał Sparks, opierając się o biurko.

– Liścik, stary. Od ukochanej?

– Stary przyjaciel zaprasza mnie na partyjkę tenisa – mruknął Doyle, składając karteczkę na pół i, najspokojniej jak tylko mógł, oddając ją pielęgniarce. – Proszę poinformować tego dżentelmena, że co najmniej przez następny tydzień będę nieosiągalny, ale po powrocie natychmiast się z nim skontaktuję.

– Dobrze, doktorze – powiedziała pielęgniarka, skrzętnie chowając kartkę.

– Idziemy? – rzucił Doyle.

Zabrał swoją torbę i ruszył do wyjścia. Sparks podążył za nim.

– Masz wszystko, co chciałeś? – spytał Sparks.

– Tak.

O Boże! O Boże! Nie mogę uciec – pomyślał Doyle. Ani nie potrafię niczego przed nim skryć, nawet własnych myśli. Aż za dobrze wiem, do czego jest zdolny – to ostatni człowiek, którego chciałbym mieć przeciwko sobie, czy to wszystko, co mi powiedział, było kłamstwem? Czy to możliwe, aby człowiek był tak sprytny i zakłamany? Tak, jeśli jest szalony, z pewnością. Ale, ale, Doyle – zaczekaj. A jeśli to nieprawda? Jeśli Leboux się myli? Bądź co bądź sporo razem przeszliśmy – ile razy uratował ci życie? Czy chociażby z tego względu nie powinienes mieć choć odrobiny wątpliwości?

– Wszystko w porządku, Doyle? – spytał nagle Sparks.

– Hmm. Mam sporo na głowie, chyba mnie rozumiesz.

– Naturalnie.

– Wydaje mi się, że mam prawo od czasu do czasu pograć się w posępną zadumie.

– Nie zaprzeczam.

– Bądź co bądź, moje życie zostało brutalnie rozdarte...

Nagle rozległ się krzyk, dobiegający zza drzwi mijanego właśnie przez nich oddziału – długi, piskliwy i agonalny. Głos dziecka. Doyle odwrócił się i zajął do środka.

Łóżka zostały zsunięte na jedną stronę, a na wolnej przestrzeni dużego pomieszczenia w kształcie litery L ustawiono mechaniczną karuzelę. Na drewnianych koniach siedziały dzieci w szpitalnych koszulkach. Trzech krępych akrobatów w czerwonych bluzach, ustawivszy się jeden drugiemu na ramionach, zbudowało piramidę, po czym miękko zeskoczyło na ziemię. Gruby, czerwony kłown przestał stroić miny i za plecami czterech pielęgniarek zaczął uspokajać chłopca, którego przeraźliwy wrzask sprawił, że w

pomieszczeniu zapadła nagle cisza. Mały, może dziesięcioletni chłopiec miał na sobie jasny strój arlekina w wielu kolorach, wśród których zdecydowanie dominował niebieski i fiolet. Jego głowa była łysa jak jajo, skóra na karku pofałdowana i dziwnie pomarszczona.

Wizja Spiveya! Ludzie w czerwieni, konie, niebieski chłopiec. – Doyle poczuł lodowate ciarki przebiegające po plecach, na jego ciele wykwitła gęsia skórka. Sparks minął go i wszedł do pokoju. Doyle pospiesznie zbliżył się do dziecka.

– Czalnowładca! – tak zdaniem Doyle'a brzmiał przeraźliwy jęk chłopca. Oczy dziecka były wywrócone w oczodołach. Wymachiwał opętańczo rękoma, a jego ciałem wstrząsały spazmatyczne dreszcze.

– Co się stało? – spytał Doyle jedną ze starszych pielęgniarek.

– Mieliśmy przedstawienie dla dzieci – powiedziała kobieta, usiłując wraz z innymi pochwycić chłoszczące powietrze ręce chłopca.

– On zjawiał się tu z nimi. To jeden z artystów.

Klown o białej twarzy przesunął się do przodu.

– Co się z nim dzieje? – zapytał, bardziej z irytacją aniżeli z troskaniem.

– Czalnowładca! Czalnowładca! – krzyczał chłopiec.

– No, co jest? Co się z nim dzieje? – spytał mężczyzna z wyraźnym akcentem ze środkowej Anglii. Doyle poczuł woń jego oddechu, przesyconą zapachem mięty i rumu.

– Proszę się odsunąć – powiedziała pielęgniarzka. Podczas gdy pielęgniarzki usiłowały unieruchomić szamoczącego się chłopca, Doyle sprawdził mu puls i zajrzał w oczy; jego serce biło jak oszalałe, źrenice były mocno rozszerzone. Z kącików ust ciekła jasna, przezroczysta piana.

– Czarny Władca! Czarny Władca! – Słowa stały się wyraźniejsze.

– O czym on w ogóle gada? – spytał klown.

– Jak chłopiec ma na imię? – zwrócił się do niego Doyle.

– Joey.

– To pański syn?

– Uczeń – odparł tamten, przyjmując ewidentnie asekuracyjną postawę. – Ja jestem Duży Roger, a on Mały Roger.

Pod białym makijażem klowna, twarz mężczyzny była zniszczona i poryta dziurami po ospie. Widziany z bliska, sztuczny, czerwony uśmiech namalowany na ustach jeszcze bardziej podkreślał typowy dla tego człowieka zacięty grymas, wąskich jak rana po nożu, warg.

– Czy miał już kiedyś podobny atak? – spytał Doyle.

– Nie, nigdy. Au! – Mężczyzna krzyknął z bólu. Sparks zacisnął swe twarde niczym kleszcze palce na karku kłowna.

– Lepiej powiedz doktorowi prawdę – rzekł Sparks.

– Raz! Raz, jakieś sześć tygodni temu. Byliśmy wtedy w Battersea, gdy nagle w samym środku wieczornego występu coś mu się stało, tak samo jak teraz...

– Czarny Władca! Czarny Władca! – krzyknął chłopiec.

– Przytrzymajcie go – rzekł Doyle do pielęgniarki.

Z przybierającym na sile wrzaskiem chłopiec uwolnił obie ręce z uchwytu pielęgniarek i z całej siły paznokciami rozorał sobie twarz. Jego palce wpiły się w skórę i gładko oderwały ją od kości. Otaczające ich zwartą gromadką dzieci wrzasnęły z przerażenia i rzuciły się do ucieczki – histeria ogarnęła je z prędkością przenoszonej drogą powietrzną zarazy.

– Powstrzymajcie go!

Pod skórą chłopca pojawiły się gęste, ciemnoblonde włosy. Dzieciak nosił doklejoną łysinę – stwierdził Doyle, kiedy minął pierwszy szok – podobnie jak jego starszy partner.

Gdy niepojmujące niczego pielęgniarki, zdjęte zgrozą, wycofały się, Sparks postąpił naprzód, pochwycił mocno chłopca i zaprowadził go za parawan.

– Szybko, Doyle – rzekł Sparks, sadzając dziecko na łóżku.

Doyle ukląkł i nachylił się w stronę chłopca.

– Joey, słuchaj mnie, słuchaj mego głosu. Słyszysz mnie? Oblicze małego pozostało obojętne i bez wyrazu – dziecko milczało. Głos Doyle'a zdawał się przenikać gęsty opar otaczającej go mgły. Pozwolił doktorowi ująć się za ręce i w ogóle nie stawiał oporu.

– Słyszysz mnie, Joey?

Sparks nieznacznie przesunął parawan, aby ich zasłonić, a sam stanął z tyłu, za Doyle'em i chłopcem, lecz w panującym wokoło ogólnym chaosie zupełnie zapomniano o jego prawdziwej przyczynie.

– Joey, słyszysz mnie, prawda? – rzucił Doyle.

Na wpół przymknięte powieki Joeya zatrzepotały, przez wąskie szparki przezierały tylko białka oczu. Chłopiec wolno pokiwał głową.

– Powiedz mi, co widzisz, Joey.

Chłopiec obliznął spierzchnięte, popękane wargi, z których sączyła się krew.

– Czarny Władca...

– Tak, Joey. Powiedz mi.

Jego małe, krągłe oblicze przepełnił wyraz powagi i dostojeństwa. Głos dziecka był

wysoki i dźwięczny – pobrzmiwała w nim nuta miódopłynnej dojrzałości, kontrastująca z jego niewinnym obrazem.

– Czarny Władca... szuka przejścia. Przejścia na tę stronę. Przejście. Spivey Quince wspominał w transie coś na temat przejścia.

– Na którą stronę, Joey?

– Fizyczną.

– Gdzie znajduje się obecnie?

Joey przerwał, wiodąc wzrokiem na prawo i lewo. Patrzył.

Nagle wolno pokręcił głową. – Nie tutaj.

– Jak ma nastąpić to przyjscie, Joey?

– Powtórne narodziny.

– Powtórne narodziny w celu powrotu do materialnego życia – rzekł Doyle.

Joey nieśmiało pokiwał głową. Doyle dostrzegł wzrok Sparksa, popatrującego na nich przez ramię. Nasłuchiwał.

– Próbują Temu pomóc – powiedział Joey.

– Kto?

– Siedmioro.

– Siedmioro. Dobry Boże. Siedmioro?

– Oni służą... służyli Temu już wcześniej.

– Czego chcą?

– Przygotować drogę. Są po tej stronie.

– Kim oni są, Joey?

Po dłuższej przerwie Joey ponownie pokręcił głową.

– Czego To pragnie?

– Szuka tronu. Będzie królem... Królem przez tysiąc lat.

Quince również mówił coś o koronach i tronach, kiedy ścisnął w dłoni rysunek przedstawiający medium.

– Czym To jest, Joey? Czym jest TO COŚ? – zapytał Doyle, usiłując przekazać dziecku nieco więcej energii, gdyż nagle poczuł, że chłopiec wiotczeje mu w ramionach.

Oblicze Joeya pobladło. Zdawał się schodzić na głębszy poziom percepcji. Różowa piana pociekła mu z ust. Jego pierś uniosła się gwałtownie, ton głosu uległ zmianie.

– Ma wiele imion. Było zawsze. Czeka na zewnątrz. Syci się duszami... karmi się ich zagładą... Ale nigdy nie zazna spełnienia. ...nawet Wielka Wojna nie zaspokoi jego...

Chłopiec westchnął głęboko i otworzył oczy. Były czyste, przytomne. Po raz pierwszy

świadomie spojrzął na Doyle'a. Wydawał się odrobinę zawstydzony własną słabością.

– Joey?

Joey pokręcił głową, jakby w ten osobliwy sposób próbował pogodzić się z losem, po czym spojrzął ponad Doyle'em, uniósł rękę i wskazał na Sparksa.

– On jest *arhanta* – rzekł Joey.

Sparks bacznie przypatrywał się chłopcu, jego spuszczone oczy zaćmiła mgielka niepokoju. Rozległ się teraz jakby krótki szczęk i Doyle ponownie przeniósł wzrok na Joeya. Usłyszał donośne kasznięcie, jakby coś w jego wnętrzu pękło, i krew puściła się chłopcu ustami. Struga gorącego, różowego płynu spłynęła mu po brodzie, zalewając satynową bluzę. Ciało dziecka stało się cięższe i zwiotczało w ramionach doktora – Doyle poczuł, że życie opuściło maleńkie ciało. Doktor delikatnie ułożył je na kozetce.

– Nie żyje? – zapytał Sparks.

Doyle pokiwał głową.

– Musimy stąd iść. Szybko – rzekł Sparks. – Będą zadawać pytania. Zbyt wiele pytań.

Sparks ujął Doyle'a za rękę, wpijając mu palce głęboko w ciało, i przeprowadził ku drzwiom przez pogrążoną w chaosie salę.

Pielęgniarki, lekarze i strażnicy w dalszym ciągu usiłowali uspokoić rozhisteryzowane dzieci. W drzwiach, którymi weszli Doyle i Sparks, pojawiło się dwóch *bobbies*. Doktor poczuł, jak ucisk na jego ramię wzmacnia się, gdy Sparks błyskawicznie zmienił kierunek marszu i podążył w stronę drzwi na drugim końcu oddziału. Z tyłu, za nimi, akrobaci zbliżali się do parawanu, za którym spoczywały zwłoki Joeya. Sparks i Doyle mieli właśnie wyjść z sali, gdy drogę zastąpił im kłown – Duży Roger.

– Co się stało memu chłopcu, mister? Mam prawo wiedzieć, nie? Ja za niego płacę, inwestuję w małego i...

Zza parawanu dobiegł alarmujący okrzyk.

– On nie żyje! Joey nie żyje!

Duży Roger schwycił Doyle'a.

– Ejże, ejże, cóżes mu pan zrobił?

Policjanci przedostali się przez cizbę w stronę akrobatów, którzy wyłoniwszy się zza parawanu, nerwowo rozglądali się wokoło.

– Zabiliście go! – Oblicze kłowna wykrzywił sklerotyczny gniew. – Co z moimi występami? Zabiliście mojego...

Sparks wyciągnął rękę i Duży Roger znalazł się nagle na ziemi, wydając zduszone, bełkotliwe dźwięki. Cios został zadany z tak oszłamiającą szybkością, że Doyle nawet go nie

zauważył.

– Idź dalej, ale nie biegnij – rzekł Sparks.

Doyle zatrzymał się i uwolnił z uścisku Sparksa. Przez chwilę mierzyli się wzajemnie wzrokiem. Ambiwalencja Doyle'a wyjrzała spod typowej dlań maski pasywności, a Sparks nie omieszkał tego zauważyć.

– Doyle, nie czas teraz...

– Nie wiem.

– Nie mogę ci pozwolić, abyś tu został...

– Mówisz, że nie mam wyboru?

– To temat na dłuższą rozmowę.

– Będziemy musieli ją odbyć.

– Nie teraz. Rusz się, na Boga, człowieku.

Doyle zawahał się, ale nie ruszył z miejsca. Policjanci byli coraz bliżej.

– Pamiętasz słowo, jakim określił mnie chłopiec? Wiesz, co znaczy *arhanta*? – zapytał Sparks.

Doyle pokręcił głową.

– Oznacza: zbawiciel.

Policjanci znajdowali się o kilka jardów od nich.

– Stać, nie ruszać się, wy dwaj! – rzucił jeden z gliniarzy. Doyle pchnął w ich stronę kozetkę, tarasując im drogę, po czym rzucił się do drzwi. Sparks pobiegł za nim. Wypadli na korytarz.

W chwilę później rozległ się sygnał alarmowy, a z tyłu dobiegły odgłosy podjętego na nowo pościgu.

– Którędy? – spytał Sparks.

Doyle wskazał w lewo. Pobiegli, wymijając gromadkę zaskoczonych pacjentów, lekarzy i medyczne paraferalia. Wykorzystując swą znajomość szpitala i wielokrotnie zmieniając kierunek, pokonując kolejne oddziały i piętra, by w końcu znaleźć się na parterze, Doyle doprowadził ich do wyjścia, przed którym czekał Larry. W tej samej chwili przed budynek zajechała Czarna Maria z sześcioma policjantami. Sparks wyjął z kieszeni srebrny gwizdek, dmuchnął weń i ponaglając, pomachał ręką, wskazując na drzwi.

– Do środka, szybko! Uciekają! – wrzasnął Sparks. Policjanci pędem ruszyli ku wejściu, zderzając się z *bobbies* i strażnikami, którzy właśnie poczęli wybiegać z budynku. Za kibitką zatrzymał się mniejszy powóz. Doyle zauważył, że gdy pojazd przystawał, na jego schodku pojawił się inspektor Lebourg.

– Doyle! – krzyknął Leboux. W rękę trzymał pistolet.

Jak burza, przy wtórze łoskotu końskich kopyt, ich powóz, prowadzony pewną ręką Larry'ego, ominął szerokim łukiem kibitkę i pojazd Leboux, obrzucając je fontannami żwiru. Sparks chwycił Doyle'a i wskoczył na schodek pędzącego powozu. Przez okno doktor widział, jak Leboux unosi pistolet, mierząc w ich stronę. Sparks i Doyle, kiedy Larry wziął ostry zakręt, trzymali się uchwytów. Siła odśrodkowa rzuciła ich brutalnie w stronę kół – przez krótką zapierającą dech w piersiach chwilę wydawało się, że powóz się przewróci, gdy wtem, z głośnym trzaskiem znów stanął na czterech kołach. Doyle i Sparks mocno odczuli uderzenie, ale nie rozluźnili uchwytu, z całej siły trzymając się rękoma poręczy przy drzwiczkach.

– Nie zatrzymuj się! – krzyknął Sparks.

Larry trzasnął z bata i pojazd ruszył jak strzała w kierunku szpitalnej bramy. Z tyłu na podjeździe Czarna Maria i dorożka Leboux ruszyły ich śladem. Zawodzenie uruchamianej ręczną korbką syreny zwiastowało zbliżanie się szpitalnego powozu. Pojazd zbliżał się szybko w stronę otwartej bramy i nadjeżdżającego z przeciwka powozu Larry'ego. Przejazd był tak wąski, że ledwie mogły się w nim zmieścić dwa wolno jadące powozy – w obecnej sytuacji zderzenie wydawało się nieuniknione.

– Trzymajcie się!

Sparks i Doyle przywarli do ściany powozu, gdy dwa pojazdy minęły się o kilka cali. Koła zetknęły się przez moment, krzesząc fontanny iskier, ale piasty wytrzymały. Doyle poczuł, jak bok ambulansu ociera mu się o bark i w chwilę potem znaleźli się za bramą. Jednak szczęście dopisało woźnicy karetki tylko raz. W momencie gdy ujrzał przed sobą dwa pędzące jak burza powozy policyjne, usiłował zahamować i wprowadził swój pojazd w poślizg; konie stanęły dęba i ambulans przewrócił się, tarasując cały podjazd i drogę do bramy. Dorożka Leboux zatrzymała się tuż przed zwałoną karetką – grupka policjantów wybiegła z Czarnej Marii, podbiegając do przewróconych koni, ale nie miała najmniejszych szans, aby dopaść Larry'ego. Ten sprytny złodziejasek i doskonały woźnica ostrym łukiem wyprowadził powóz (z Doyle'em i Sparksem wciąż trzymającymi się kurczowo poręczy przy drzwiczkach) na podjazd przed szpitalem i pokonawszy kolejny zakręt, wtopił się między dziesiątki pojazdów na zatłoczonych ulicach Londynu.

15. AKTORZY

Ku zdziwieniu Doyle'a jechali na południe, przedłużeniem drogi wylotowej z Londynu. Stąd też doktor przypuszczał, że wracają do Batterse'a po lokomotywę, dzięki której wydostali się z Topping. Larry utrzymywał dostatecznie duże tempo, by zdystansować pościg, a zarazem nie zwrócić na nich większej uwagi – już niebawem druty telegraficzne zaczną śpiewać informację o ich ucieczce.

Doyle, mocno poruszony, siedział naprzeciwko Sparksa. Jack melancholijnie wyglądał przez okno, od czasu do czasu popatrując na doktora, lecz uparcie unikał jego spojrzenia.

Komu mam wierzyć? – zapytywał sam siebie Doyle. Nie był w stanie logicznie rozdzielić poszczególnych czynników składających się na powstanie tylu wątpliwości. To jedno jedyne pytanie przepelniało jego umysł, rozbrzmiewając niczym kościelny dzwon.

Szaleniec z Bedlam. Czy to możliwe? Musiał przyznać, że tak. Człowiek dręczony przez wymaganych prześladowców. Żyjący w mrocznym świecie sekretnych związków z wyższymi sferami – ni mniej, ni więcej, tylko z samą królową, Boże wszechmogący! – utkanym przez chory umysł w czterech ścianach celi zakładu dla obłąkanych. Sparks zawsze wydawał się taki bystry, tak wysoce racjonalny, niemniej jednak Doyle wiedział, że szaleńcy bardzo często cechują się błyskotliwością rozumowania i potrafią doskonale grać. Być może zadufana wiara Sparksa w niewiarygodne historie, które opowiadał, była najbardziej wyrazistą oznaką jego obłądzenia. Czy Jack mógł być tym, za kogo się podawał? Na jego korzyść przemawiały słowa Larry'ego i Barry'ego, obaj byli jednak kryminalistami, osobnikami słabymi psychicznie i łatwo ulegającymi wpływom, a kto wie, czy świadomie nie pomagali Jackowi w jego mrocznej szaradzie. Jaki miał być koniec tej szarady? I co stanowiło jej główny cel? Nic nie przychodziło mu do głowy. Jeśli Sparks faktycznie był szalony, jego poczynania wcale nie musiały cechować racjonalizm, mógł działać bez uprzednio przemyślanego scenariusza, tworząc swe historie w zależności od sytuacji, fantazji i własnego widzimisię.

Nagle w jego kłopotliwych, przesyconych wątpliwościami rozważaniach wypłynęła o wiele mroczniejsza kwestia: A jeżeli Aleksander Sparks w ogóle nie istnieje? Czy to możliwe,

że Jack był geniuszem zbrodni, a nie jego brat – o czym usilnie starał się przekonać Doyle'a? Z całą pewnością posiadał te same uzdolnienia i nie było chyba innego człowieka, którego charakterystyka lepiej pasowałaby do niejakiego Aleksandra Sparksa. A jeśli w owym zasępionym, zagadkowym człowieku, który siedział naprzeciw niego, tkwiło naraz dwóch braci, podzielone jaźnie miotające się w wirującym tyglu jednej wyobraźni, a każda wierzy, że druga jest w pełni oddzielona i autonomiczna – jedna grasuje i zabija, kiedy ma na to ochotę, podczas gdy drugą dręczą wspomnienia złych uczynków popełnionych w stanie psychotycznego zaćmienia umysłu? Czy to znaczy, że to Jack zhańbił, splugawił, a następnie zamordował swoich rodziców? Rozważanie takiej ewentualności było nader bolesne, ale czy istniała możliwość, że okrutne czyny, które w jakiś sposób nie zostały zarejestrowane przez jego świadomość, były przenoszone na konto mrocznej, widmowej postaci, którą nieustannie ściagał lub która z uporem ściagała jego?

Chłodniejsza strona umysłu Doyle'a w mgnieniu oka zaprotestowała: Jak w takim razie wyjaśnić istnienie człowieka w czerni, z którym dotąd spotkał się dwukrotnie, mężczyzny, którego Jack zidentyfikował jako swego brata? Szare kaptury, seans, zniszczenie jego mieszkania, szaleństwo w Topping – to wszystko, choć wydawało się irracjonalne, w pewien sposób łączyło się z opowieścią Jacka, a na dodatek Doyle doświadczył tego na własne oczy. Zabójstwo Pietrowiczowej i Bodgera Nugginsa, wizje Spiveya Quince'a i nieszczęsnego chłopca w niebieskim ubranku, wszystko to zdawało się przemawiać na korzyść Sparksa. Doyle wciąż jeszcze miał na nadgarstku czerwone, obrzmiałe ślady po spotkaniu z mumią w podziemiach British Museum. Nawet jeśli John Sparks był szalony jak Kapelusznik, to w spaczonym, zdegenerowanym od dawna świecie na pewno nie był odosobniony.

Doyle rozchylił zasłonę i wyjrzał przez okno, usiłując określić, gdzie się znajdują. Po lewej miał Corams Fields, to znaczy, że jechali wzdłuż Gray's Inn Road – tak, powóz opuściwszy Londyn, zmierzał na północ, ku Islington.

Czy powinien podzielić się ze Sparksem swymi wątpliwościami? A może istnieje inny, pośredni sposób, aby sprawdzić wierność jego charakteru? Skąd pewność, że informacja Leboux była prawdziwa? Gdyby tylko mógł z nim pomówić, dowiedzieć się, skąd zaczerpnął dane na temat Sparksa, i poznać jak najwięcej szczegółów. Zaprzepaścił tę szansę – po brawurowej ucieczce ze szpitala nie mógł już liczyć na przychylność Leboux. Był zbiegiem, musi pogodzić się z tą świadomością, a co za tym idzie jego możliwości wyboru zostały w znacznej mierze ograniczone: mógł albo uciec od Sparksa i zdać się na niewdzięczną łaskę policji (ryzykując, że ściągnie na siebie gniew Sparksa), albo pozostać z Jackiem i jego

wyrzutkami aż do niepewnego końca.

– Czy w pracach Bławackiej jest coś o Siedmiorgu albo Czarnym Władcy? – zapytał Sparks.

– Słucham? – rzucił wyraźnie zaskoczony Doyle.

– Nie znam jej prac tak dobrze jak ty. Czy w swoich dziełach pisze coś na temat Siedmiorga albo Czarnego Władcy? – Sparks, pogrążony w zadumie prawie na niego nie patrzył.

Doyle zamyślił się. Miał wrażenie, że minęło sto lat od ostatniego spokojnego wieczoru, jaki spędził nad jej pismami w zaciszu swego mieszkania.

– Pamiętam wzmiankę o jakiejś istocie – Mieszkającym w Progu. Chodzi chyba mniej więcej o to samo.

– Kim był Mieszkający w Progu?

– Istotą, jednym z wyższych bytów, który w pewnym momencie swej pielgrzymki w celu zdobycia wiedzy świadomie zstąpił na Ziemię...

– Jak rozumiem, aby żyć w ludzkim ciele.

– Tak jak wszystkie dusze, w pojęciu Bławackiej, drogą uczenia się, poznawania.

– Dlaczego ta istota była inna?

– W swej bezcielesnej postaci miała zajmować miejsce po prawicy Tego, którego uważamy powszechnie za Boga, niezależnie od Imion, jakie mu przypisujemy. Kiedy jednak zstąpiła na Ziemię, owa istota upadła... Usiłuję sobie przypomnieć jej sformułowania... to nie było zupełnie tak... ulegając pokusom życia fizycznego.

– Pokusom ciała – dodał Sparks.

– Oddając się gromadzeniu ziemskiej władzy i potęgi oraz zaspokajaniu fizycznych żądz, odwracając się od swego wyższego, duchowego dziedzictwa. W ten sposób na świecie pojawiło się świadome zło.

– Chrześcijanie nazywają tę istotę Lucyferem.

– Chłopiec powiedział, że TO znane jest pod wieloma imionami.

– Mit upadłego anioła istnieje w każdej znanej kulturze. Dlaczego określa się go również mianem Mieszkającego w Progu?

– Bławacka twierdzi, że z końcem swego fizycznego żywota – a ma ich więcej niż jeden – ta istota powraca do Otchłani w przejściu pomiędzy światami, gromadząc wokół siebie zagubione, zepsute dusze ludzi, którzy za życia znaleźli się pod jej wpływem i za jej podszeptami podążyli ślepo ku samozagładzie...

– Siedmioro?

– Nie pamiętam, ilu konkretnie, ale mówi się o nich zbiorowo.

– A więc zdeprymowani wyznawcy mają pierwsi powrócić z purgatorium do naszego świata – stwierdził Sparks, wybiegając myślami naprzód – gdzie celem ich jest przygotować drogę – „przejście” dla Czarnego Władcy, „mieszkającego w progu” pomiędzy płaszczyzną materialną a eteryczną, i oczekującego powrotu na Ziemię.

Doyle pokiwał głową.

– Pasuje. Nie pamiętam, by mówiła o istocie i jej akolitach jako o Czarnym Władcy i Siedmiorgu. Są określane krótko i zwięźle mianem Ciemnego Bractwa.

Sparks zamilkł, pogrążając się w zamyśleniu. Znaleźli się już za rogatekami Londynu i wjechali na bity wiejski trakt. Czyżby drogę do Whitby mieli pokonać powozem? To dwa, a może nawet trzy dni jazdy.

– Wiele mediów, z którymi rozmawiałeś, miało ostatnimi czasy niepokojące wizje – rzekł Sparks.

– Bardzo niewyraźne. Wrażenia, odczucia. Ulotne i efemeryczne.

– Nic konkretnego?

– Tylko to, czego dowiedziałem się od Spiveya Quince'a i rzecz jasna to, co usłyszałem od chłopca w szpitalu.

– Sam stwierdziłeś, że ten chłopiec był prawdziwym medium.

– Powiedziałbym, że był wyjątkowo wrażliwy. Nie potrafię stwierdzić na pewno, nie znając bliżej jego stanu zdrowia, ale mam wrażenie, że jego śmierć została wywołana szokiem i siłą odbieranej przez niego wizji.

– Jakby odwróciła się przeciw niemu i zaatakowała go.

– Jakby został zmiądzony jej ciężarem – rzekł Doyle z pewnym wahaniem.

– Co ci to mówi... tylu ludzi doświadczających podobnych wizji?

Doktor zamyślił się na chwilę.

– Coś się dzieje na płaszczyźnie, z której czerpią swe informacje. Silne zakłócenia, jak burza na morzu, zanim znajdzie się w pobliżu lądu.

– Mentalne barometry rejestrują niewyczuwalne dla innych zmiany ciśnienia.

– Przyznaję, że ta myśl niespecjalnie mi się podoba – rzekł Doyle.

– Na Wschodzie psy i koty przed trzęsieniem ziemi stają się niespokojne. Górnicy mają kanarki, które ostrzegają ich przed wyziewami zabójczych gazów. Czy tak trudno wyobrazić sobie ludzi posiadających podobne zdolności?

– Nie – odparł spokojnie Doyle. – Ale to wcale nie dodaje mi otuchy.

– Ożywienie istoty tak potężnej jak ta, którą określa się mianem Mieszkającego w

Progu, musiało spowodować na płaszczyźnie, na której zamieszkuje, nie lada zaburzenia...

– Jeżeli to prawda....

– Jeżeli Siedmioro rzeczywiście pragnie sprowadzić tę istotę na Ziemię, jak zamierzają dokonać samego przejścia, czyli jej ponownych narodzin w ludzkim ciele?

– Nie mam pojęcia.

– Rozlew krwi? Rytualne morderstwa?

– Być może – odparł Doyle, nieco znużony tym przesłuchaniem. – Nie znam się na tych sprawach.

– Ale TO musi przyjść na świat w ciele dziecka, prawda?

– Może właśnie rozglądają się za jakimś miłym małżeństwem, które byłoby skłonne adoptować ślicznego, małego brzdąca.

Sparks zignorował komentarz Doyle'a. Blondynka z wizji? Dzieciaka, którego przemocą odebrano ojcu i którego matka była nieświadomie współniczką spisku?

– Przykro mi, Jack, ale trochę tego dla mnie za wiele. Fakt, że Bławacka radzi sobie biegle z tymi sprawami, ale czytelnik w sposób naturalny zakłada (a przynajmniej tak było w moim przypadku), że to wszystko jest jedną wielką metaforą lub stanowi dość archaiczną mitologię...

– Czy o tym pisałeś w swojej książce? O wykorzystaniu dziecka w złym celu?

Doyle pobałdł, prawie zapomniał o swojej przeklętej książce.

– Czy o tym właśnie pisałeś?

– Poniekąd.

– Dziwisz się, że ścigają cię z tak wielką zjadłością. Czy potrzebujesz jeszcze jakiegoś potwierdzenia?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Doyle... chciałbym cię o coś spytać – rzekł Sparks, nieco spuszczać z tonu. – Znając co nieco jego historię, jak sądzisz, co Mieszkający w Progu uczyni, kiedy tylko postawi stopę na *terra firma*?

– Nic niezwykłego, jak sądzę – odparł Doyle, nie zdradzając bardziej emocjonalnej odpowiedzi, która cisnęła mu się na usta. – Będzie dążył do zdobycia władzy nad światem, uczynienia z ludzi niewolników i takie tam...

– A będzie miał do swojej dyspozycji coraz bardziej wymyślną broń. Nasz potencjał do dokonywania masowych rzezi wzrósł stokrotnie.

– Zgadzam się z tobą – rzekł Doyle, przypominając sobie, że na liście widniało nazwisko Drummonda, właściciela potężnego imperium zbrojeniowego.

Zadowolony z siebie, Sparks rozsiadł się wygodnie i rzekł:

– A więc najlepiej będzie, jeżeli zrobimy co w naszej mocy, by do tego nie dopuścić, nieprawdaż?

– Mhm. Dokładnie.

Najpierw muszę jednak upewnić się, że nie jesteś jednym z nich – pomyślał Doyle. Chciałbym zapytać ciebie, dlaczego miałbym uwierzyć, iż jesteś tym, za kogo się podajesz, a nie mogę, po prostu nie mogę ani cię o to spytać, ani uwierzyć, bo jeśli jesteś obłąkany, mógłbyś nie zrozumieć i nie wychwycić różnicy, a tym samym moje życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie.

– Co to jest *arhanta*? – zapytał Doyle.

– Nie znasz tego określenia?

Doyle pokręcił głową.

– *Arhanta* to adepci tajemniczych tybetańskich szkół. Dysponując najwyższego rzędu mocami duchowymi, stanowią elitę klasy wojowników. Jednak chyba najbardziej niezwykle jest to, jaką ofiarę musi ponieść każdy z nich.

– O jakiej ofierze mówisz?

– *Arhanta* przez większą część swego życia rozwija pewne szczególne cechy mentalne. Gdy osiągnie szczyty swojej mocy, po latach ciężkich, niewdzięcznych treningów nakazuje się mu zaprzestania ćwiczeń i wykorzystywania nabytych umiejętności; odtąd ma żyć w milczącej, anonimowej kontemplacji z dala od centrów światowego życia. Mówi się, że na świecie żyje stale dwunastu *arhanta*, a ich wewnętrzna emanacja i fizyczna działalność chronią ludzkość przed samozagładą.

– Nie wolno im użyć tych mocy do zwalczania zła?

– Pisma mówią, że jeszcze nigdy do tego nie doszło. Byłoby to pogwałcenie ich świętego zaufania i mogłoby pociągnąć za sobą niewyobrażalne konsekwencje.

Doyle przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tymi słowami.

– Czemu ten chłopak nazwał ciebie *arhanta*? O ile mi wiadomo, niezbyt pasujesz do powyższego opisu.

– Nie wiem – odrzekł Sparks. Wydawał się równie szczerze zakłopotany i zdumiony jak Doyle.

Przez pewien czas borykali się w myślach z tymi bolesnymi sprzecznościami. Doyle otrząsnął się z zadumy, gdy powóz opuścił główną drogę i wjechał w gąszcz drzew, by znaleźć się na wąskim, zrytym koleinami trakcie. Kiedy wyjechali na polanę po drugiej stronie, ujrzeli czekającą na ciągnących się ku północy torach, znajomą i pokrzepiającą

sylwetkę Sterlinga 422. Z komina buchał czarny dym, piec był rozpalony do czerwoności, maszyna gotowa do drogi. Za lokomotywą doczepiony był pełen tender, a tuż za nim pojedynczy wagon pasażerski.

Z kabiny machał do nadjeżdżających nie kto inny jak Barry, niedawny gość więzienia Pentonville. W ich spotkaniu nie było jednak za grosz sentymentalności – musieli działać trzeźwo, szybko i zdecydowanie, więc zamienili tylko kilka słów. Rzeczy przeniesiono do pociągu, konie puszczono luzem, powóz starannie ukryto wśród drzew. Sparks i Doyle wsiedli do wagonu, a bracia zajęli miejsca w kabinie lokomotywy. Kilka chwil później krótki skład wyruszył w drogę. Słońce wisiało nisko nad horyzontem – większość drogi na północ pokonają nocą.

Wagon był urządzonej po spartańsku – cztery podwójne siedzenia ustawione naprzeciw siebie, pomiędzy nimi przenośne stoliki. W tylnym przedziale dwie prycze do spania. Drewniane podłogi, na nagich ścianach uchwyty z lampami naftowymi. Niewielka kuchnia, z pękającą w szwach lodówką, w której upchano prowiant na podróż.

Sparks usiadł przy jednym ze stolików i rozłożył na nim kilka map. Doyle usiadł po drugiej stronie i korzystając z wolnej chwili, przejrzał swój zapas medykamentów i wyczyścił oraz załadował rewolwer. Instynkt nakazywał mu, by ani na chwilę nie rozstawać się z bronią.

Po godzinie dołączył do nich Barry, przynosząc wiejską kolację złożoną z chleba, jabłek, sera, bekonu i piwa. Sparks jadł samotnie przy stoliku, robiąc notatki i lustrując mapy. Doyle i Barry usiedli w galeryjce.

– Jak się wydostałeś? – spytał Doyle.

– Gliny mnie wypuściły, jakieś pół godziny po panu.

– Dlaczego?

– Próbowali mnie śledzić, ma się rozumieć. Mieli nadzieję, że doprowadzę ich prosto do pana.

– Ale ty ich zgubiłeś.

– W okamgnieniu.

Doyle pokiwał głową i ugryzł kawałek jabłka, usiłując ukryć swoje zdenerwowanie i zaniepokojenie.

– Skąd wiedziałeś, gdzie masz się z nami spotkać?

– Na stacji czekał na mnie telegram – odparł Barry i skinieniem głowy wskazał Sparksa, jako jego nadawcę.

To wydawało się logiczne. Sparks musiał nadać telegram podczas swego porannego wyjścia – pomyślał Doyle. Dopił piwo i nalał sobie następne. Turkot kół i wypity alkohol

niewiele przytępiły trawiące go obawy.

– Barry, widziałeś kiedyś Aleksandra Sparksa? – spytał Doyle cichym, lecz nieprzechodzącym w poufny szept głosem.

Barry zmarszczył brwi i spojrzał na doktora z ukosa.

– Dziwne pytanie.

– Dlaczego dziwne?

– Przecież to drugie imię mistrza, no nie? – odrzekł Barry, wskazując głową na Sparksa. – John Aleksander Sparks. Tak mi się wydaje.

Przekonany, że w hałasie pędzącego pociągu nie słyhać ich głosów, Doyle odwrócił się do Sparksa plecami, usadawiając się dokładnie pomiędzy nim a Barrym. Doktor poczuł, że strużka lodowato zimnego potu spłynęła mu po plecach.

– Chcesz powiedzieć – zaczął Doyle – że nie słyszałeś, aby Jack wspominał, że ma brata imieniem Aleksander?

– To, że nie wspominał, niewiele znaczy. W ogóle mało o sobie mówi. W każdym razie ze mną prawie nie rozmawia. – Barry odgryzł kęs tytoniu. – Larry, ten to ma gadane. Mógłby zanudzić człowieka na śmierć. Za przeproszeniem. Właśnie sobie przypomniałem, że Larry czeka na kolację.

Barry uchylił róna czapki, owinał w serwetkę resztki posiłku, które miał zanieść Larry'emu, i wrócił do parowozu. Doyle został sam w galeryjce, wpatrując się w siedzącego w drugim końcu wagonu Sparksa. Utracił kontrolę nad swymi najgorszymi obawami, a wąż opoka bezpieczeństwa, którą się otoczył, legła w gruzach.

Kiedy Sparks uniósł wzrok i spojrzał na niego, Doyle odpowiedział fałszywym, krótkim uśmiechem i uniósł szklaneczkę w anemicznym geście jowialności. Był kompletnie zbity z tropu i pełen wyrzutów sumienia, jak złapany za rękę kieszonkowiec. Sparks, na pozór obojętny powrócił do poprzedniego zajęcia.

Doyle miał w głowie mętlik. Co powinien teraz zrobić? Czy zdradzieckie myśli były równie widoczne na jego twarzy jak menu w restauracyjnej karcie? Każdy podejmowany przez niego krok wydawał się błędny i jeszcze bardziej pograżał go w mętnym, cuchnącym bagnie. Udał, że ziewa, po czym sięgnął po swoją torbę.

– Chyba się położy – mruknął.

– Świetnie – odrzekł Sparks.

– To był długi dzień. Bardzo długi dzień.

Sparks nie odpowiedział. Doyle miał wrażenie, że stopy wrosły mu w podłogę.

– No, to idę na koniec przedziału – burknął z uśmiechem, wskazując w stronę

pomieszczenia sypialnego. Dlaczego to powiedział? Przecież to idiotyczne i irracjonalne.

– Świetnie – rzekł Sparks, nie unosząc wzroku.

– Rytm pociągu uspokaja. Powiniennem szybko usnąć. I to kołysanie. Tak-to-to-tak, tak-to-to-tak. – Doyle prawie nie wierzył, że te słowa mogły paść z jego ust, bełkotał jak obłąkana stara niania.

Sparks zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz, stary? – zapytał.

Oblicze Doyle'a rozjaśnił fałszywy uśmiech.

– Ja? Oczywiście. Nigdy nie czułem się lepiej.

Sparks skrzywił się pod nosem i odparował.

– W takim razie nie pij więcej piwa.

– Racja. No to rzucam się w objęcia Morfeusza! – Doyle nie mógł przestać się uśmiechać, od tego zależało jego życie.

Sparks pokiwał głową i powrócił do swoich map. Doyle zdołał wreszcie odzyskać kontrolę nad własnymi stopami i przeszedł do tylnej części przedziału.

Rzucić się w objęcia Morfeusza? Co w niego wstąpiło?

Doyle stanął przed pryzkami, zastanawiając się, która z nich była odpowiedniejsza, by przez noc dźwigać brzemie jego wątpliwości i lęków. Zajęło mu to trochę czasu. Kiedy Sparks ponownie na niego spojrział, Doyle uśmiechnął się, pomachał mu, po czym ułożył się na niższej pryzce i, zasłoniwszy zasłonę, odseparował się od reszty wagonu.

Wpatrując się w pryzkę nad swoją głową, Doyle tulił do piersi torbę, a w ręku ścisnął rewolwer. Jego umysł przepełniały wizje niechybnej śmierci. Jeśli po mnie przyjdzie – pomyślał – nie dam się zabić bez walki. Może powinienem strzelić kilka razy w łóżko nade mną, kiedy położę się spać, a potem pociągnąć za sznur hamulca bezpieczeństwa i uciec, gdzie oczy poniosą, jak najdalej od pociągu.

Doyle wyjrzał dyskretnie przez szparę między zasłonami – miał przed sobą plecy Sparksa, pochylonego nad stolikiem, czytającego, zapisującego i patrzącego na coś przez szkło powiększające. Nawet postawa zdradzała jego niezauważalną w inny sposób manię: był spięty, zdenerwowany i bardzo czymś pochłonięty. Jakże ewidentnie zdradzał objawy obłądki, czemu aż tak długo Doyle nie był w stanie tego dostrzec? Rozproszenie uwagi, przyczyn było całe mnóstwo, nie mówiąc już o niekwestionowanym geniuszu Jacka, który otaczał go nieprzeniknioną barierą, niepozwalającą stwierdzić, gdzie kończy się fikcja i zaczyna prawda. Mimo to Doyle ganił siebie w duchu. Był wszak dobrym obserwatorem, a oznaki niestabilności Sparksa ujawniały się raz po raz – charyzmatyczne nastroje, przebrania,

pretensjonalność – *arhanta*, dobre sobie! – jego fiksacja dotycząca tajemnic i globalnego spisku, napisy w niezrozumiałym języku, które wypełniały fiszki w jego „kartotece kryminalnej” (kto wie, może napisy na tych kartach były nic nieznaczącym bełkotem). Szaleńcy mają to do siebie, że tworzą całe światy ożywiane osobistymi, iluzorycznymi znaczeniami. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek miał skłonność do przemocy i nie wahał się jej używać. Przyszło mu spędzić noc w pomieszczeniu wielkości przeciętnego kufra zabieranego w podróż parowcem, w towarzystwie jednego z najniebezpieczniejszych ludzi na ziemi.

I tak mijał czas. Sen nie wchodził w grę, nawet wypoczynek przychodził z trudem. Doyle starał się pozostawać w kompletnym bezruchu. *Lepiej, aby Sparks myślał, że śpię, pasywny i niczego niepodejrzewający.* Jego ciało dręczyła bolesna nadwrażliwość, miał wyschnięte usta, jego nogi były sztywne jak z drewna. Każde mrugnięcie powiek wydawało się głośnie niczym trzask kastanietów.

Nagle usłyszał jakieś poruszenie w wagonie. Chciał sprawdzić, która godzina, ale sięgnięcie po zegarek wydawało się zbyt skomplikowaną czynnością. Przesunawszy się wolno na łóżku, Doyle wyciągnął rękę i rozsunał zasłony. Sparksa nie było już przy stoliku. Doktor nie widział go, ale ze swego miejsca mógł dostrzec zaledwie pół wagonu. Od strony drzwi do lokomotywy (również niewidocznych) dał się słyszeć jakiś dźwięk – metaliczny trzask zamka, zgrzyt przekręcanego klucza. Sparks pojawił się na moment w polu widzenia Doyle'a, po czym znowu zniknął. Przeciągły zgrzyt i chrobot metalu. Jack zasłaniał okna w wagonie – ten odgłos wydawały pierścienie przesuwające się po drążku karnisza. W chwilę później Sparks, przechodząc od jednej ściany do drugiej, wygasił płomienie naftowych lamp; w wagonie pociemniało. Albo kładzie się spać – pomyślał Doyle – ale czemu zamykałby drzwi przed Barrym i Larrym? I do tego w jadącym pociągu. Albo ani chybi, tylko szykuje się do ostatniego ataku!

Doyle przesunął rewolwer do skraju zasłony i wymierzył, ale Sparks nie ruszył w jego stronę. W dalszym ciągu krążył po wagonie. Wydawał się niespokojny. Kilkakrotnie zacisnął i rozwarł dłonie, przesunął palcami po włosach, stanął i przyłożył rękę do czoła, po czym znów zaczął krążyć. Zastanawia się, czy ma mnie zabić – pomyślał Doyle. Nagle, energicznym ruchem ręki Sparks zrzucił ze stołu mapy, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielki, skórzany futerał, położył go na stole i otworzył. Doyle ujrzał błysk światła na metalu, wyteżył wzrok, by dostrzec zawartość futerału, ale Sparks zasłonił sobą stół, a światło w pomieszczeniu było zdecydowanie zbyt słabe.

Sparks odwrócił się i spojrzał w stronę pomieszczenia sypialnego. Doyle stłumił w

sobie impuls, aby dociągnąć rozchyloną zasłonę. Nie może mnie dostrzec – powiedział sobie w duchu – leżę tu po ciemku, zupełnie mnie nie widać. Doktor leżał w bezruchu, zjedną ręką zastygłą w powietrzu, prawie dotykając palcami zasłony. Sparks patrzył długo i przenikliwie, po czym, najwyraźniej zadowolony, że niczego nie wypatrzył, odwrócił głowę. Jego dłonie sięgnęły po przedmioty leżące na stole.

Doyle usłyszał brzęk metalu o szkło. Co on ma w tym futerał?

Sparks zdjął marynarkę i, niewidoczny dla Doyle'a, wykonał całą serię różnych czynności. Kiedy Sparks ponownie się odwrócił i stanął do niego profilem, oświetlony blaskiem znajdującej się na ścianie lampy, Doyle ujrzał w jego dłoni strzykawkę. Sparks sprawdził tłoczek; z igły trysnęła w górę strużka przezroczystego płynu.

Boże – pomyślał Doyle – zamierza zabić mnie przez wstrzyknięcie trucizny. Palec Doyle'a zamknął się na spuście – doktor był gotów powalić Sparksa jednym strzałem. Jack jednak nie podszedł do jego pryczy. Odłożył strzykawkę, odpiął guzik lewego mankietu koszuli i podwinął rękaw do łokcia. Owinął biceps kawałkiem wąskiej tasiemki i ściągnął mocno zębami. Napinając i rozluźniając lewe ramię, odnalazł żyłę w zagłębieniu przedramienia, przetarł to miejsce wacikiem, podniósł ze stołu strzykawkę i bez wahania wbił igłę w ciało. Znieruchomiał na chwilę, zaczerpnął dwa głębokie oddechy, po czym gładko docisnął tłoczek, wprowadzając zawartość strzykawki do krwiobiegu. Wyjął igłę, odłożył strzykawkę i zdjął opaskę uciskową. Sparks zachwiał się lekko, gdy wiadomość przekazana przez igłę rozeszła się po jego ciele. Jęknął półgłosem – był to niesamowity dźwięk, pełen upiornego pragnienia i oczekiwania na ostateczne spełnienie. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz zakazanego podniecenia, gdy poddał się wpływowi uwodzicielskiego intruza.

Derywat morfiny – pomyślał Doyle, domyślając się tego po widocznych skutkach działania narkotyku. Może kokaina? Z przyjemnością poddał się tym rozważaniom, aby oderwać się od zgrozy tego, co przed chwilą miał okazję ujrzeć.

Sparks zamknął oczy i zachwiał się jeszcze mocniej – intoksykacja osiągnęła punkt kulminacyjny. Upiorna chwila zdawała się przedłużać w nieskończoność. Kiedy wreszcie minęła, Sparks starannie zebrał rozłożone na stole przedmioty i włożył je z powrotem do futerału. Doyle zauważył trzy małe fiołki płynu, umieszczone w skórzanych петельkach obok strzykawki, zanim futerał nie zniknął w kieszeni marynarki Jacka. Posprzątawszy, Sparks osunął się ciężko na krzesło i mimowolnie jęknął. Tym razem ów czysty wyraz zmysłowej ekstazy przepełniony był tonem nienawistnego poczucia winy i ewidentnej odrazy wobec siebie samego.

Pomimo swych niedawnych podejrzeń, Doyle pod wpływem hipokratesowego

impulsu o mało nie pospieszył mu z pomocą, ale nie pozwolił mu na to zdrowy rozsądek. Sekretne uzależnienie od narkotyków nie umniejszało prawdopodobieństwa, iż Sparks był obłąkany, a wręcz przeciwnie, jeszcze je powiększało. Nie ulegało wątpliwości, że Sparks wstydzi się swego zachowania – ten człowiek ukrywał swój nałóg nawet przed najbliższymi współpracownikami. Jack Sparks mógł być niebezpieczny dla swych wrogów, ale było jasne, że jest również groźny dla samego siebie.

Sparks ponownie się podniósł i zniknął doktorowi z oczu. Kolejne odgłosy. Szczęk otwieranych zamków. *Pizzicato* potrącanych palcami strun. Jack powrócił na środek wagonu, przykładając do szyi skrzypce. Przeciągnął smyczkiem po strunach, przez chwilę manipulował pokrętłami, strojąc instrument. Następnie oparł się o tył krzesła i zaczął grać. Mroczne, dysonansowe brzmienie przepelniło wnętrze wagonu; było zimne i brutalne. Właściwie nie była to melodia, ten układ nut nie mógłby zostać przeniesiony na papier; stanowiły one raczej dźwiękowy obraz przeraźliwej rany, ostrej, głębokiej i postrzępionej, tryskającej bólem. Doyle wiedział, że dźwięki te płynęły wprost z serca Sparksa, a brzemie, jakie ze sobą niosły, było równie bolesne i trudne do zniesienia dla słuchającego, jak dla ich wyraziciela. Niebawem grający znalazł się w niemożliwym do rozwikłania impasie. Nie było żadnego *crescendo*, żadnej kulminacji – po prostu gra musiała zostać przerwana. Sparks pochylił głowę, osunął się na oparcie fotela, a jego ramiona zwisły miękko po bokach. Oddech Doyle'a zakołatał się ostro w piersiach jak szloch oczekujący uwolnienia.

Sparks powoli podniósł skrzypce i zaczął grać drugi utwór. Ten cechował zarówno logiczny rytm, jak i harmonia – był to słodki tren przesycony smutkiem, drobna strużka z wielkiego morza niewylanych łez. Przesycił powietrze wibracją o prawie niemożliwym do zniesienia rezonansie. Doyle nie widział ukrytej wśród cieni twarzy Sparksa, a jedynie pękate pudło instrumentu i przesuwaną się rękę mężczyzny, dzierżącą smyczek. Cieszył się z panującego w wagonie półmroku. Wiedział, że niezależnie od tego, co ich czeka, i z czyjej ręki przyjdzie każdemu z nich umrzeć, melodia, którą właśnie słyszał, była trenem pogrzebowym, oplakującym śmierć Jacka.

Muzyka ucichła. Sparks nie poruszył się przez kilka minut, po czym z wyraźnym wysiłkiem otrząsnął się z usypiającego działania narkotyku, schował instrument do futerału i wolnym krokiem ruszył na koniec wagonu. Krok miał chaotyczny i niepewny; kołysanie pociągu wytrąciło go z równowagi i niejednym razem, by nie upaść, musiał przytrzymać się ściany. Zatrzymał się przy pryzkach. Doyle odsunął się pod ścianę, ale przez szparę w zasłonie widział wyraźnie drżenie ud Jacka. Sparks postawił stopę na łóżku doktora i podciągnął się, ale zastygł w pół ruchu, aby odzyskać równowagę. Doyle widział błyszczące

sprzączki przy jego butach. Z gardłowym chrząknięciem Sparks pokonał resztę dystansu dzielącego go od pryczy i wylądował ciężko na twardym, niespecjalnie wygodnym łóżku. Zmienił nieznacznie pozycję, po czym jego ciało znieruchomiało. Leżał na plecach. Doyle wsłuchiwał się w rytm oddechu Sparksa, który wyraźnie przycichł, stał się płytki i pełen napięcia.

Doyle uniósł rewolwer – jego serce biło szalonym rytmem. Mógłby teraz strzelić. Przyłożyć wylot lufy do materaca, opróżnić bębenek i zabić go. Dotknął lufą łóżka powyżej i odciągnął kurek. Zaniepokoił się metalicznym szczękiem, jaki temu towarzyszył, ale w dochodzącym z góry odgłosie oddechu nie nastąpiła żadna zmiana – Sparks w przenośni i dosłownie był teraz stracony dla świata. Doyle nie wiedział, jak długo tak leżał, z rewolwerem w ręku, odwlekając moment przekroczenia ostatniej granicy. Coś w jego wnętrzu nie pozwoliło mu pociągnąć za spust. Nie potrafił określić, co to było. Wiedział, że miało to związek z tamtą muzyką, ale usnął, nim odpowiedział sobie na pytanie, dlaczego się zawahał.

Obudziwszy się, Doyle stwierdził, że wciąż trzyma rewolwer w ręku, ale kurek nie był już odwiedziony. Brudne, szare światło przesączało się przez okno. Sięgnął, by rozsunać zasłony, i wyjrzał na zewnątrz.

Pociąg wciąż sunął ze sporą prędkością. W nocy wjechali w śnieżycę. Niebo było zachmurzone. Zmarzniętą, płaską ziemię pokrywała świeża warstewka śniegu. Z nieba sypały się miękkie, puszyste płatki wielkości mniszków lekarskich.

Doyle przetarł oczy. Był głodny, niewyspany i wykończony napięciem emocjonalnym minionej nocy. Spojrzał na zegarek – siódma trzydzieści. Czuł zapach tytoniu i mocnej, czarnej herbaty. Wstał z łóżka, usłyszawszy dobiegający z przedniej części wagonu głośny śmiech.

– Tuś mi – usłyszał głos Larry'ego.

– Przegrasz ostatnią koszulę! – rzucił Sparks.

Znowu śmiech. Larry i Sparks grali w karty przy stoliku, a obok nich stała zastawa do herbaty. Sparks palił fajkę o długim cybuchu.

– No, to dzień dobry i co pan na to? – rzekł Larry, wykładając karty, gdy tuż przed nim uczynił to Sparks. – Ci zbłąkani członkowie rodziny królewskiej, których tak kurczowo przyciskał pan do podółka, będą kosztować pana łącznie królewski okup.

– Nie dręcz mnie, ty diable – o, Doyle! – powiedział Sparks radośnie. – Właśnie się zastanawialiśmy, czy cię obudzić. Mamy świeżo sparzoną herbatę – masz ochotę na filiżankę Su-czong?

– Proszę – odparł Doyle i nie czekając na zaproszenie, by się do nich przyłączyć,

natychmiast poczęstował się biszkoptami i jajkami na twardo.

Sparks napelił filiżanki, a Larry przeliczył karty i dodał wynik do długiej kolumny, ciągnącej się wężykiem na pogniecionej kartce papieru.

– To jest gra, szefie. Współczuję panu – mruknął Larry. – Niezły wynik, nie ma co, będzie się pan musiał niezłe napocić, żeby uregulować rachunki.

– Ile jestem ci winien?

– Zaokrąglając – a myślę, że z przyjemnością przyjmie pan ten drobny gest dobroci z mojej strony, jest mi pan winien... pięć tysięcy sześćset czterdzieści funciaków.

Doyle o mało nie zachłysnął się herbatą.

– Boże...

– Gramy w tę samą grę już od pięciu lat – wyjaśnił Sparks. – Ten facet jest po prostu nie do pokonania.

– Przyjdzie taki dzień, że uśmiechnie się do pana szczęście – stwierdził Larry, przetasowując karty z niepokojącą zręcznością. – Każdy ma kiedyś swój dzień.

– Chcesz, bym w to uwierzył?

– A cóż innego, jeśli nie nadzieja na wygraną, sprowadza pana z powrotem do stolika? Człowiek potrzebuje nadziei, aby żyć.

– Jestem pewien, że on kantuje, Doyle – mruknął Sparks. – Tylko jeszcze nie odkryłem, jak on to robi.

– Stale powtarzam, że nic nie zastąpi starego, dobrego szczęścia – stwierdził Larry i w teatralny sposób mrugnął do doktora.

– Pieniądzy, jak na razie, też nie – rzucił pogodnie Sparks, podnosząc się z krzesła.

– Człowiek ma prawo odłożyć jakąś sumkę na stare lata, no nie? Należy mu się odrobina odpoczynku po przejściu na emeryturę. – Larry podsunął karty w stronę Doyle'a i uśmiechnął się. – Może partyjkę?

– Doyle, naturalnie decyzja należy do ciebie i nie zamierzam ci niczego radzić, ale pozwól, że wyrażę swoje zdanie: O wiele łatwiej oprzeć się pierwszej pokusie na drodze wiodącej do ruiny, niż niechybnie następującemu po niej tysiącowi innych pokus.

– Daruj sobie, niemniej dziękuję za propozycję, Larry – stwierdził Doyle.

– Jak pan sobie życzy, doktorze – rzucił radośnie Larry, pokazując Doyle'owi wachlarzyk asów, po czym schował karty do kieszeni.

– Widać, że na studiach nauczył się pan czegoś więcej oprócz tego, gdzie w środku człowieka znajduje się pikawa.

– Wyznaję zasadę, że jeśli już musi się hołdować jakiejś pokusie, to wyłącznie jednej

– stwierdził Doyle, spoglądając z ukosa na Jacka.

– A jakiej hołdujesz pokusie, Doyle? – zapytał ostro Sparks, opierając się o galeryjkę. Ze złożonymi na piersiach rękoma wolno pykał fajkę.

– Wierzę we wrodzone dobro człowieka.

– Ho, ho! – rzucił Larry. – To nie tyle pokusa, ile gwarantowany stryczek.

– Naiwność – skomentował Sparks.

– Może, zdaniem cynika – odciął się równie ostro Doyle.

– A twoim...

– To wiara.

Sparks i Doyle wymienili spojrzenia. Doyle zauważył, jak zwęziły się kąciki oczu Sparksa. Poruszył w nim jakąś czułą strunę, czy był to odruch albo wyrzuty sumienia? Tak czy inaczej, Jack wyraźnie sposepniał, jakby nagle stracił humor.

– Niech ci dobrze służy – stwierdził.

– *Wierzymy w Boga* – rzekł Larry. – Taki napis drukują na pieniądzach w Ameryce. Moim zdaniem to właściwe miejsce dla wiary.

Sparks ruszył w kierunku drzwi, którymi dochodziło się do lokomotywy.

– Jak na jedno posiedzenie – rzekł – dość już przegrałem, Larry. Moja fortuna topnieje w zastraszającym tempie. Czas, abys pokazał na co cię stać i pomachał trochę łopata.

– Tak jest, sir.

– Byłoby nam miło, gdybyś przyłączył się do nas, Doyle.

– Odrobina świeżego powietrza na pewno dobrze mi zrobi – rzekł Doyle.

Doktor wyszedł ich śladem z wagonu, przeszedł po rozkołysanej złączce i wspiał się na tender. Sparks pomachał do Barry'ego, skulonego z ręką na przepustnicy w kabinie. Mężczyźni schwycili łopaty i wzięli się do pracy. Sparks i Doyle przerzucali węgiel na przednią część tendra, a Larry karmił żarłoczny piec. Zimny, zacinający wiatr omiatał ich swymi podmuchami, raniąc skórę drobinami węglowego kurzu. Płatki śniegu po zetknięciu z ich ubraniami rozpadały się, kryształki topniały pośród wełnianych włókien i rozpuszczały w tumanach węglowego pyłu.

– Gdzie jesteśmy? – zawołał Doyle.

– O godzinę drogi od Yorku – odkrzyknął Sparks. – Trzy godziny do Whitby, jeśli pogoda się utrzyma.

Zimno pobudziło ich do większego wysiłku – chcieli jak najszybciej uwolnić się z jego bolesnych objęć. Niebawem ogień pod kotłem płonął goręcej aniżeli sumienie grzesznika.

Whitby, powstałe w VI wieku, było początkowo wioską rybacką, która z czasem przerodziła się w niewielki port, nadmorski kurort na krótkie okresy jorkszyrskiej kanikuly. Zimą natomiast nie zaglądał tam nawet pies z kulawą nogą. Rzeka Esk w drodze do morza wryła głęboki parów pomiędzy dwoma szczytami, tworząc naturalną, głęboką zatoczkę. W tej właśnie dolinie powstała pierwsza osada. Po latach coraz liczniejsi mieszkańcy zasiedlili oba wzgórza. Osobliwe połączenie nastroju i oschłego krajobrazu sprawiło, iż obszar ten stał się żyznym gruntem dla rozwoju religii, przy czym oddanie tutejszych wiernych zdawało się niejednokrotnie graniczyć z fanatyzmem.

Rozsypujące się celtyckie opactwo Świętej Hildy dominowało na wzgórzu na południe od pierwotnej osady; stało w tym miejscu od stuleci, zanim jeszcze Anglia poznała swych pierwszych królów. Ruiny pradawnego opactwa rzucały długi cień na swego mniej srogiego następcę – gmach opactwa Goresthorpe, z którym dzieliły południowe wzgórze, a który znajdował się w połowie drogi pomiędzy swym poprzednikiem a miasteczkiem. Iglica na dachu opactwa była pierwszą rzeczą, jaką ujrzał Doyle, kiedy pociąg wjechał na stację.

Dochodziło południe, ale ludzi było jak na lekarstwo, pozostali ci, którzy musieli, i których nie wystraszył padający śnieg, coraz gwałtowniejsza zawierucha i mroczne, ołowiane niebo. Miasto zdawało się otaczać szarobiały kokon mgły. Barry zajął się pociągiem, podczas gdy Larry zaopiekował się bagażem i zarezerwował pokoje w gospodzie, polecanej mu przez zawiadowcę. Sparks natychmiast skłonił Doyle'a do odwiedzenia opactwa biskupa Pillphrocka.

Na stacji nie było powozów, a wszystkie sklepy i warsztaty zamknięto z obawy przed nadejściem jeszcze gorszej śnieżycy, tak więc przeszli przez most i pieszo przebyli dwie mile, by znaleźć się u podnóża południowego zbocza. Od zatoki napływała gęsta mgła, która, w połączeniu ze śniegiem, zredukowała widoczność do zera. Pochyleni ze względu na wiatr, poczęli wspinać się krętą, stromą ścieżką na stok wzgórza; szaliki chroniły ich twarze przed zacinającymi podmuchami wichru, który, im wyżej, tym bardziej przybierał na sile.

Dotarłszy do opactwa Goresthorpe, budowli z bardziej współczesnej epoki, ujrzeli przed nią zwały naniesionego śniegu. Drzwi zarówno do kościoła, jak i na probostwo były zamknięte na głucho. W żadnym z okien nie paliło się światło, nie widać było żadnych oznak życia. Sparks uniósł grube, żelazne kółko przy masywnych, dębowych drzwiach i uderzył nim trzykrotnie w drewno; dźwięk został w mgnieniu oka zagłuszony przez kokon wirującego śniegu.

Sparks zapukał ponownie. Doyle, którego umysł nie funkcjonował na mrozie, na próżno usiłował sobie przypomnieć, jaki mieli dzień tygodnia. Jakieś święto dla

duchowieństwa? Czyżby księza mieli dziś wolne? Gdzie się podziali?

– Nie ma tu nikogo – rozległ się za nimi głęboki, dźwięczny głos.

Odwrócili się, by ujrzeć prawdziwego olbrzyma, mierzącego dobrych sześć i pół stóp wzrostu. Był ubrany równie ciepło jak oni, ale nie nosił czapki, jego głowę zdobiła istna lwia grzywa rudych włosów, z którą korelowała gęsta, rdzawa broda poprzetykana białymi drobinami lodu.

– Szukamy biskupa Pillphrocka – rzekł Sparks.

– Nie znajdziecie go tu, przyjaciele. Parafia jest opuszczona – rzekł nieznajomy, podchodząc bliżej. W jego głosie pobrzmiwał melodyjny akcent z Erin. Oblicze mężczyzny było jowialne i przyjazne, pomimo potężnej postawy nie wydawał się groźny.

– Oni wszyscy odeszli, nie ma ich od co najmniej trzech dni.

– Przenieśli się do drugiego opactwa? – zapytał Doyle.

– Ma pan na myśli tamte ruiny? – spytał mężczyzna, odwracając się w stronę starego opactwa i wskazując nań zakończoną srebrną kulą laską z czarnego, prążkowanego drewna. – Do tych ruin od pół wieku nie zawitał żaden człowiek.

– To parafia biskupa Pillphrocka? – spytał Sparks.

– O ile mi wiadomo, tak. Nie znam go. Jestem przyjezdny, podobnie jak wy, panowie, a może się mylę?

– Absolutnie nie. Niemniej muszę przyznać, że wydaje mi się pan znajomy – powiedział Sparks. – Czy my się znamy?

– Panowie pochodzicie może z Londynu?

– Tak.

– A czy znacie choć trochę tamtejszą scenę teatralną?

– Bardziej niż trochę – stwierdził Sparks.

– Może to jest odpowiedź na pańskie pytanie – powiedział mężczyzna, wyciągając rękę. – Abraham Stoker, menedżer Henry'ego Irvinga i jego trupy teatralnej. Dla przyjaciół Bram.

Henry Irving. Mój Boże! – pomyślał Doyle. Ileż razy stał całymi godzinami, by móc ujrzeć legendarnego Irvinga na scenie? Król Lear, Otello – największy aktor swego pokolenia, a może nawet stulecia. Był tak sławny, że Doyle czuł się oszołomiony, znajdując się nawet w obecności kogoś, kto był z nim bliżej związany.

– Oczywiście, teraz już wszystko jasne – rzekł radośnie Sparks. – Widziałem pana niejednokrotnie podczas premierowych przedstawień i przy innych, podobnych okazjach.

Sparks i Doyle przedstawili się Stokerowi.

– Czy wolno mi będzie spytać, co was sprowadza, panowie, w środku srogiej zimy do tak odległego miejsca, gdzie – rzecz by można – diabeł mówi dobranoc? – W głosie Stokera pobrzmiwała nuta wyraźnej rezerwy i zaciekawienia.

Sparks i Doyle wymienili spojrzenia.

– Równie dobrze moglibyśmy zadać to pytanie panu – stwierdził zdecydowanym tonem Jack Sparks.

Milczeli przez chwilę, aż wreszcie Stoker odnalazł w Sparksie to, czego ewidentnie szukał.

– Znam pewną gospodę – stwierdził – gdzie moglibyśmy usiąść przy kominku i zaspokoić naszą ciekawość.

Po półgodzinie marszu w szalejącej śnieżycy dotarli do gospody „Pod Różą i Ostem”, na wpół drewnianej budowli pośrodku miasteczka, z widokiem na brzeg Esk. Śnieg padał tak gęsty, że zapełnił szczeliny pomiędzy głazami w kanale poniżej. Gorąca kawa po irlandzku (z domieszką whisky) ogrzewała im dłonie, gdy trzej mężczyźni skupieni przed kominkiem oczekiwali, aż chłód z wolna wysączy się z ich ciał. Leniwa pogawędka o przyjaciołach i zwyczajach aktorów, znanych z tych czy innych powodów, oraz oburzająco melodramatycznych kolejach ich losów, zajęła im całą drogę i kilka chwil po przybyciu do gospody. Kiedy nastąpiła pierwsza, długa przerwa w konwersacji, wyraźnie zmienionym, przyciszonym i zaleknionym tonem Stoker spontanicznie rozpoczął swoją opowieść.

– Jak pan dobrze wie, panie Sparks, światek teatru to przeraźliwie mała społeczność – do tego stawu nie może wpaść kamień, żeby kręgi nie doszły do najdalszych jego brzegów. Podczas gdy większość miejskich plotek jest przeważnie nieświeża, jak kubeł krewetek stojący przez pół dnia w skwarze – ot, zwykła wymiana informacji przy okazji przygodnego spotkania – w świecie teatru, jeżeli się coś dzieje, to zawsze jest sensacja na dużą skalę. Aktorzy uwielbiają plotki i zazwyczaj są one mocno ubarwione.

Stoker nie próżnował, obracając się przez tych parę lat wokół sceny; jego monolog miał na celu za pomocą krótkich przerw oraz modulacji głosu dać maksymalny efekt dramaturgiczny, ale rezultat był tak spontaniczny, że słuchacz bez oporów oddawał się w ręce tego porywającego gawędziarza. Doyle w głębi duszy pragnął zasypać Stokera pytaniami, ale na sygnał od Sparksa wstrzymał się i wychylony na brzegu krzesła oczekiwał z niecierpliwością dalszego ciągu opowieści.

– Mniej więcej miesiąc temu w moim małym światku zaczęła krążyć dziwna historia, o której dowiedziałem się pewnej nocy w zielonej sali Lyceum Theatre. Nawet pomimo przekłamań i wyolbrzymień typowych dla plotek z teatralnych kręgów, ta historia była tak

zagmatwana i niezwykła, że w mig zwróciła moją uwagę.

– O co chodziło? – zapytał Doyle.

Nie patrząc na niego, Sparks wykonał w stronę Doyle'a nieznaczny gest, usiłując delikatnie pohamować jego zapalczywość.

– Doszły mnie słuchy – kontynuował Stoker – że pewien wysoko postawiony dżentelmen – nie podano jego nazwiska – przez grupę zagadkowych pośredników wybrał kilku członków pewnej prowincjonalnej trupy teatralnej – aktorów, zawodowców, również nieznanymi mi z nazwiska – aby odegrać w pewnym prywatnym domu w Londynie przedstawienie na podstawie świeżo napisanego scenariusza. Nie była to sztuka przeznaczona na deski sceniczne, lecz oryginalny utwór, napisany na specjalną okazję. Tylko jedno przedstawienie, które nigdy więcej nie zostanie powtórzone. Sztuka dla jednego widza. Z aktorami nie podpisano żadnych kontraktów, umowy zawierano wyłącznie ustnie. Można by zapytać, co skłoniło tych aktorów do przyjęcia tak nietypowego zlecenia? Zagwarantowano, że każdy z nich otrzyma za ten występ bajeczne honorarium, którego połowę wypłacono im z góry. Drugą połowę mieli otrzymać po wykonaniu zadania.

Jaki był cel owego tajemniczego przedstawienia? Nigdy nie powiedziano tego wprost, ale wszystko zdawało się świadczyć, że jak w *Hamlecie*, również i tu zabójstwo miało wywołać odpowiednią reakcję u jednego z widzów.

– Morderstwo – rzekł Doyle. Czuł, że coś ściska go za gardło. Zerknął z ukosa na Sparksa, a ten odpowiedział mu równie przenikliwym spojrzeniem.

– Nigdy nie powiedziano, o czyją reakcję chodzi, ani nawet czy osoba ta, to mężczyzna czy kobieta. Wszystko otaczał nimb tajemnicy, a informacje o spektaklu rozpowszechniane raczej jako plotki, z dnia na dzień stawały się coraz bardziej osobliwe. Podczas spektaklu na scenie pojawiły się nowe, niezapowiedziane postacie i nie wszystko poszło zgodnie z planem. Gorzej. Wydarzyło się coś strasznego. – Stoker pochylił się w ich stronę, a jego głos przeszedł w szept. – Nastąpił prawdziwy rozlew krwi.

Nadludzkiem wysiłkiem Doyle zachował milczenie, choć nie był pewien, czy zdoła powstrzymać serce od wyskoczenia z jego piersi.

– Aktorzy poszli w rozsypkę – ciągnął Stoker. – Jeden z nich został ciężko ranny podczas przedstawienia i po spektaklu jakby zapadł się pod ziemię. Prawdopodobnie nie żyje. – Stoker przerwał, spoglądając to na doktora, to na agenta.

Proszę, aby to nie była ona – pomyślał Doyle. Boże, spraw, aby ona żyła. Weź lepiej mnie zamiast niej.

– Nie muszę chyba mówić, że ci, którzy ocaleli, zaczęli obawiać się o swoje życie –

skądinąd nie bez powodu. Szukali schronienia w jedynej przystani, jaką znali, i dołączyli na powrót do swojej rodzimej trupy.

– The Manchester Players – rzekł Sparks.

Stoker nawet nie mrugnął powieką.

– Tak. Nieszczęśni Manchester Players.

Agent wyjął z kieszeni płaszcz i rozłożył plakat reklamujący przedstawienie *Tragedia mściciela* w wykonaniu Manchester Players, identyczny z tym, który znaleźli na biurku w firmie Rathborne i Synowie. Przedstawienia miały odbyć się w ubiegłym tygodniu w Scarborough. Przez plakat ciągnął się ukośny pasek z napisem SPEKTAKLE ODWOŁANE.

– Kiedy się o tym dowiedziałem, dotarłem do samego źródła plotek. Kierownik sceny (niegdyś sam go zatrudniałem) usłyszał o wszystkim od pewnego aktora, który opuścił trupę Manchester Players ze względu na ważne sprawy rodzinne, kiedy jesienią zeszłego roku występowali w Londynie. Zaintrygowany, powęszyłem tu i tam i dowiedziałem się od agenta, jak przedstawiała się szczegółowo ich trasa i dokąd mieli zawitać z przedstawieniem.

To było dwudziestego ósmego grudnia, w dniu kiedy Manchester Players dotarli do Nottingham, gdzie mieli zakontraktowane dwudniowe występy... Tego popołudnia dołączyło do nich ponownie dwoje aktorów, którzy brali udział w okolicznościowym przedstawieniu...

– Ilu w sumie w nim uczestniczyło? – Do diabła z próżnością Stokera i skrupulatnością, z jaką snuł swoją opowieść. Zadanie tego pytanie było w pojęciu Doyle'a w pełni uzasadnione.

– Czoro – rzekł Stoker. – Dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

– Kto zginął podczas przedstawienia?

– Doyle... – powiedział Sparks.

– Muszę wiedzieć... Kto to był?

– Jeden z mężczyzn – odparł Stoker. Przerwał na chwilę, ale nie tyle wydawał się rozdrażniony, ile raczej chciał nadać swej opowieści należytej powagi i doniosłości; jako wprawnemu gawędziarzowi przychodziło mu to bez trudu.

– Proszę mówić dalej – rzekł Doyle. Jego serce biło coraz szybciej.

– Nocą dwudziestego ósmego grudnia dwoje członków zespołu znikło z hotelu w Nottingham. Choć poinformowali przyjaciół z trupy, że obawiają się o swoje życie i faktycznie podjęli wszelkie nakazywane przez zdrowy rozsądek środki ostrożności – pozamykali okna i drzwi oraz nie gasili światła w pokojach. Kiedy nastał nowy dzień, okazało się, że oboje zniknęli bez śladu, pozostawiając wszystkie bagaże. Nic nie wskazywało, aby

zostali uprowadzeni siłą. Zważywszy na ich stan psychiczny, uznano, że dwoje aktorów po prostu zdecydowało się w środku nocy na ucieczkę. Tak w każdym razie przypuszczano, aż do odkrycia, jakiego dokonano podczas wieczornego przedstawienia.

Stoker pociągnął spory łyk, rozkoszując się rozgrzewającym napitkiem.

– Zna pan *Tragedię mściciela*, panie Sparks?

– Znam – odrzekł Sparks.

– To melodramat z krwistą domieszką *grand guignolu* – rzekł Stoker. – Nic szczególnego. Sztuka dla ubogich, jak to się u nas mówi. W całej akcji roi się od aktów przemocy, ale szczególnie ważną rolę odgrywa gilotyna w pewnej scenie, którą można określić jako ultrarealistyczną. Tego wieczoru, kiedy rekwizytor umieszczał na scenie i za kulisami wszelkie konieczne podczas spektaklu rekwizyty, zajrzał do wiklinowego kosza z wiekiem, ustawionego pod ostrzem gilotyny. Wewnątrz trzymano drewniane głowy, udające głowy aktorów „świętych” podczas spektaklu. Kiedy tego wieczoru w kulminacyjnej scenie uniesiono wieko, by ukazać zawartość kosza, okazało się, że wewnątrz... znajdowały się głowy dwojga zaginionych aktorów.

– Boże. O Boże! – rzekł Doyle. Pośród całej gamy doznań, jakie ogarnęły Doyle'a w tej krótkiej chwili, była przyprawiająca o zawrót głowy ulga. Jack Sparks był z nim przez cały wieczór 28 grudnia w drodze z Cambridge do Topping. Jeśli te morderstwa były dziełem Aleksandra Sparksa, a oba nosiły odrażające i wyraźne piętno jego plugawej dłoni, obawy doktora, że dwaj bracia są jedną i tą samą osobą okazywały się bezpodstawne.

– Aktor, który dokonał tego odkrycia, zemdlął na scenie. Spektakl, rzecz jasna, przerwano i jeszcze tego samego wieczoru telegraficznie odwołano następne przedstawienia. Gdy rano dowiedziałem się o podwójnym morderstwie, natychmiast udałem się do Nottingham i przybyłem na miejsce dwudziestego dziewiątego po południu. Zanim jednak zdołano cokolwiek zarządzić w związku z ich dalszą działalnością – mam na myśli zwrot zaliczek, załadunek i transport kostiumów, scenografii i transport – reszta zespołu ulotniła się, zniknęła, podobnie jak tamtych dwoje. Zaginał po nich wszelki ślad. Pozostały jedynie niezapłacone rachunki za hotel, bagaże oraz rzeczy osobiste. Miejscowa policja chyba nazbyt pochopnie potraktowała aktorów jak oportunistycznych cyganów, uciekających przed wierzycielami, i być może uznała, że musieli mieć coś wspólnego z najbardziej niesmacznym podwójnym zabójstwem, jakie wydarzyło się w tej spokojnej mieścinie.

– Ile osób liczył w sumie cały zespół? – zapytał Sparks.

– Osiemnaście.

Sparks wolno pokręcił głową.

– Obawiam się, że już ich nie zobaczymy.

Stoker przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym stwierdził: – Podzielim pańskie zatroskanie, panie Sparks.

– Ta zamordowana para, czy to było małżeństwo? – spytał Doyle.

– Tak. Kobieta była w szóstym miesiącu ciąży – odparł Stoker, po raz pierwszy zdradzając pewne oznaki zdenerwowania.

Para, którą widziałem na seansie – pomyślał Doyle. Młodzi ludzie siedzący obok niego – robotnik i jego brzemienna żona. A zatem medium i śniadolicy mężczyzna byli autentyczni. Nie zostali wynajęci, należeli do organizatorów seansu. Co oznaczało, że mężczyzna zabity na scenie był aktorem wynajętym do odegrania roli George'a B. Rathborne'a juniora.

– Pan wybaczy, panie Stoker – rzucił nagle Doyle. – Czy istnieje możliwość, aby w realistyczny sposób ukazać podejrzenie kogoś gardła nożem lub brzytwą?

– To nietrudne – odparł Stoker. – Brzytwa lub nóż musi mieć rowek wzdłuż ostrza. W momencie symulowanego cięcia aktor naciska odpowiedni przycisk w rękojeści fałszywej broni i przesuwa nią po ciele ofiary, aby rozprzecznić odpowiednią ilość płynu.

– A ten płyn to...

– Sztuczna krew. Mieszanka barwnika i gliceryny. Czasami używa się krwi zwierzęcej.

Świńska krew zaschnięta między klepkami w domu przy Cheshire Street 13.

Ona żyje. Ona żyje. Wiem o tym – pomyślał Doyle.

– W przedstawieniu brało udział czworo aktorów – znamy już los trojga, ale co się stało z drugą kobietą?

Stoker pokiwał głową.

– Wiedziałem, że ten nieszczęsny zespół nie opuścił Nottingham z własnej woli – jeżeli w ogóle wyjechał stamtąd żywy. Tym samym stanąłem w obliczu najbardziej tajemniczej zagadki, z jaką miałem okazję się spotkać. Wobec jawnej niekompetencji i obojętności policji, postanowiłem na własną rękę poznać prawdę o ich losie. Widzicie panowie, jestem pisarzem, a może raczej staram się o to zaszczytne miano. Interesuje mnie beletrystyka. Tradycją rodzinną jestem związany z teatrem, niemniej właśnie z pisarstwa czerpię największą satysfakcję osobistą.

Doyle pokiwał głową, nieco rozdrażniony interesownością tamtego, choć sam niejednokrotnie odczuł skutki konfliktu pomiędzy życzliwością a nagłym impulsem, nakazującym mu zamienić surową rudę jego doświadczeń w złoto.

– Najpierw wyciągnąłem z hotelu Nottingham listę członków trupy, a potem zdobyłem informacje o planowanej przez nich trasie. Liczyłem na to, że umówili się w którymś z miast, jakie mieli odwiedzić. Sądziłem, że napotkam tam ślad jednego lub nawet kilkorga z nich. Ten ślad doprowadził mnie do Huddlefield, a w sylwestrowy wieczór do Yorku; stamtąd dotarłem do Scarborough, a dwa dni temu przybyłem do Whitby. Zasięgnąłem języka we wszystkich teatrach i sprawdziłem rezerwacje w hotelach. Odwiedzałem stacje i nabrzeża, obserwując przybywających i wyjeżdżających, bywałem w restauracjach i pubach odwiedzanych najchętniej przez artystów. Wypytywałem krawców i szewców – w trasie aktorzy muszą często reperować buty i uszkodzone kostiumy. Jednak wszystkie moje wysiłki spełzły na niczym. Już miałem wrócić do Londynu, kiedy wczoraj po południu natknąłem się w Whitby na praczkę, która dzień wcześniej przyjęła od pewnej kobiety czarną, satynową suknię z trudną do usunięcia czerwoną plamą...

Sparks wyprężył się jak struna. Doyle spojrział na niego – jeszcze nigdy nie widział na twarzy Jacka podobnego wyrazu. Odwrócił się, by spojrzeć, co wywarło na nim tak wstrząsające wrażenie.

Stała w drzwiach. Szukała wzrokiem Stokera, a gdy go odnalazła, uśmiechnęła się z zadowoleniem. W tej samej chwili dostrzegła jego towarzyszy. Wstrząs wywołany ich widokiem, gdy w chwilę później rozpoznała Doyle'a, wyraźnie ją osłabił – rumieńce wystąpiły jej na policzki i by nie upaść, oparła się dłonią o ścianę. Doyle natychmiast poderwał się i podbiegł do niej, ale później nie potrafił sobie przypomnieć, jak ani kiedy to uczynił. Widział tylko jej twarz – blady, delikatny owal, który tak często nawiedzał go w myślach i snach, miękkie, czarne kędziory okalające jej czoło i opadające gęstą kaskadą na ramiona. Szlachetne oczy i pełne, różane wargi. Smukła, łabędzia szyja. Nieskazitelna, czysta, nietknięta.

Zbliżywszy się do niej, Doyle wyciągnął ręce, a ona bez wahania ujęła je w geście przywitania i postąpiła bliżej, choć w pierwszej chwili mogło się wydawać, że przepelniona rezygnacją, strachem, poczuciem winy i niepewnością, w jaki sposób zostanie przyjęta, próbowała się wycofać. Dostrzegając w jego oczach oznaki przebaczenia, ponownie oparła się całym ciężarem o drzwi. Był to drobny, lecz dla Doyle'a zdumiewający gest, odzwierciedlający targającą nią burzę emocji. Spojrzała na niego i natychmiast odwróciła wzrok, nie mogąc dłużej znieść jego spojrzenia. Emocje pojawiły się i zniknęły z jej oblicza z szybkością piskorza przemykającego po płyciźnie. Wydawała się chwilowo niezdolna do oszukania kogokolwiek mimiką twarzy. Uroda zaś jeszcze bardziej podkreślała obraz jej wnętrza, widoczny niczym odbicie w olbrzymim zwierciadle. Czując ciepły, wilgotny dotyk

jej dłoni, Doyle zdał sobie nagle sprawę, że przecież dotąd nie zamienili ani słowa. Łzy napłynęły mu do oczu. Zastanawiał się, od czego powinien zacząć.

– Nic pani nie jest? – zapytał w końcu.

Pokiwała energicznie głową, usiłując wydobyć z siebie głos.

W jej oczach również błyszczały łzy.

– Nie liczyłem już, że zobaczę panią żywą – powiedział, puszczając jej dłonie i usiłując zapanować nad emocjami.

– Ja również – powiedziała mrocznym kontraltem. – To pan, sir, swoją odwagą i życzliwością natchnął mnie nową na – dzieją.

– Ale żyje pani – rzekł Doyle. – I tylko to się liczy.

Spojrzała na niego i ponownie skinęła głową. Miała duże oczy, ozdobione ciemnymi, kształtnymi brwiami, nieco skośne w zewnętrznych kącikach i urzekające przepiękną, zielonkawomorską barwą.

– Nie wie pan, jak często wyobrażałam sobie w myślach pańską twarz – stwierdziła, wyciągając nieśmiało dłoń, aby go dotknąć, ale cofnęła ją w ostatniej chwili.

– Jak pani na imię?

– Eileen.

– Musimy jak najszybciej usunąć się z widoku – rozległ się nagle ostry, władczy głos Sparksa. Nie wiadomo, kiedy Jack pojawił się u boku doktora. – Skorzystamy z pokoju Stokera. Proszę tedy, madame.

Sparks skinął ręką, wskazując na stojącego przy schodach Stokera. Doyle zdziwił się, słysząc oschłość w głosie Sparksa, i zmierzył go lodowatym spojrzeniem, które jednak nie przyniosło pożądanego efektu.

Eileen przyjęła ramię, które podał jej Stoker i wraz z nim zaczęła piąć się po schodach na piętro. Doyle natychmiast pospieszył za nimi. Sparks szedł ostatni. Milczeli dopóki nie weszli do niewielkiego pokoju o skośnym dachu, wynajętego przez Stokera, i nie zamknęli drzwi wejściowych na klucz.

– Proszę usiąść, madame – rzekł Sparks, chwytając krzesło za oparcie. Bezceremonialnie postawił je na środku pokoju.

Eileen rzuciła Doyle'owi zbolące spojrzenie, po czym podeszła do krzesła i usiadła.

– Daj spokój, Jack, nie mów takim tonem... – zaczął Doyle.

– Milcz! – rozkazał Sparks. Doyle był zbyt skonsternowany, aby odpowiedzieć; nigdy dotąd nie słyszał, by Sparks odzywał się do kogoś w taki sposób. – A może mam ci przypomnieć, Doyle, że ta kobieta współpracuje z naszymi wrogami i że skutecznie grając

swoją rolę, w znacznym stopniu przyczyniła się do wciągnięcia ciebie w pułapkę, z której ledwie uszedłeś z życiem!

– Ale to stało się niechcący, naprawdę, zaręczam... – zaprotestowała Eileen.

– Dziękuję, madame. Jeśli będę chciał, by się pani broniła, sam pani powiem – uciał zjadliwie Sparks.

– Jack, posłuchaj...

– Doyle, gdybyś był łaskaw pohamować na chwilę swoje błazeńskie, niestosowne afekty, aby dać mi szansę wydobycia prawdy z tej małej awanturniczki, byłbym ci doprawdy wielce zobowiązany.

Urażona jego słowami Eileen zaczęła płakać, cicho i bezradnie, popatrując na Doyle'a i poszukując u niego wsparcia. Miał złagodzić gniew Sparksa, szloch Eileen jeszcze bardziej rozbudził w nim wojownicze instynkty.

– W tym przypadku, madame, płaczem nic pani nie zdziała. W przeszłości faktycznie to skutkowało – nie wątpię, iż jako dobra aktorka jest pani zdolna płakać na zawołanie – tym razem jednak może pani darować sobie te melodramatyczne chwytły. To mnie nie wzrusza. Tak poważnej zdrady, choćby nieświadomie, nie mogła popełnić osoba niewinna. Proszę nie mieć złudzeń, madame, dowiem się prawdy. Zaręczam, że wszelkie dalsze próby manipulowania łagodną naturą mego towarzysza w celu poprawienia pani pozycji są z góry skazane na niepowodzenie! Nic to pani nie da!

Aby zachować dyskrecję, Sparks nie podnosił głosu, lecz cisza i zaległa w pokoju zdawała się jeszcze przez dłuższą chwilę rozbrzmiewać echem jego słów. Stoker, oszołomiony i oniemiały, oparł się plecami o drzwi. Doyle stał w kompletnym bezruchu, zawstydzony zarówno gniewną tyradą przyjaciela, jak i niezbyt przyjemną prawdą kryjącą się w jego ostrych słowach. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Eileen prawie natychmiast przestała płakać. Usiadła na krześle sztywno, jakby kij połknęła, zimna, skupiona i opanowana. Zmierzyła Jacka badawczym spojrzeniem, pozbawionym odrobiny strachu czy zagniewania.

– Jak się pani nazywa, madame? – zapytał Sparks mniej agresywnym tonem, wyraźnie uspokojony jej obecnym stanem.

– Eileen Tempie. – W jej głosie nie słyhać było drzenia, brzmiała w nim duma i odrobina nieskrywanej zuchwałości.

– Panie Stoker – rzekł Sparks, nie patrząc na niego. – Zakładam, że po tym, co odkrył pan w lokalnej pralni, szedł pan za panną Tempie i wreszcie wczoraj udało się panu ją odnaleźć.

– Zgadza się – potaknął Stoker.

– Panno Tempie, jak długo pracowała pani jako aktorka w zespole Manchester Players?

– Dwa lata.

– Czy w październiku ubiegłego roku podczas występów w Londynie ktoś z trupy zwrócił się do pani w związku w udziałem w specjalnym przedstawieniu, które miało odbyć się w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia pod numerem 13 przy Cheshire Street?

– Sammy Fulgrave. On i jego żona nie byli jeszcze stałymi członkami zespołu. Poza tym ona była w ciąży. Rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy.

– I przedstawili panią mężczyźnie, który złożył im intratną propozycję – niskiemu, śniademu facetowi z cudzoziemskim akcentem, który przedłożył identyczną ofertę pani.

Ciemny Mężczyzna z seansu – pomyślał Doyle. Ten, którego postrzeliłem w nogę.

– Zgadza się – potaknęła Eileen.

– Jakie były warunki „kontraktu”?

– Mielśmy otrzymać po sto funtów, z czego pięćdziesiąt z góry. Nawiasem mówiąc, miał austriacki akcent.

– A potem z pani pomocą wynajął czwartego i ostatniego aktora?

– Dennisa Cullena. Miał zagrać rolę mego brata...

– I niewątpliwie znajdował się w równie kiepskiej sytuacji finansowej – stwierdził Sparks z wyraźną drwiną w głosie. – Czego zażądał od was ten człowiek w zamian za sto funtów?

– Udziału w prywatnym przedstawieniu dla jego zamożnego przyjaciela interesującego się spirytyzmem. Powiedział, że grupa kolegów tego człowieka chce zrobić mu kawał.

– Jaki kawał?

– Ten mężczyzna, ich dobry przyjaciel, miał być podobno sceptykiem, niewierzącym w istnienie świata eterycznego. Przyjaciele zamierzali zaprosić go na seans, który miał nosić wszelkie znamiona prawdziwości – a następnie napędzić mu niezłego stracha za pomocą wyszukanych teatralnych efektów scenicznych. Spektakl planowano urządzić w prywatnym mieszkaniu, żeby jednak osiągnąć pożądaną efekt, postanowiono wynająć profesjonalnych aktorów, którzy wiarygodnie i należycie odegrają powierzone im role.

– Czy w tej propozycji nie było niczego, co wzbudziłoby pani podejrzenia?

– Rozmawialiśmy o tym. Szczerze mówiąc, wszystko wyglądało całkiem niewinnie, jak dobra, nieszkodliwa zabawa. Mężczyzna również nie wydawał się groźny, a poza tym każdy z nas naprawdę potrzebował pieniędzy. – Spojrzała na Doyle'a, po czym z pewnym

zawstydzeniem odwróciła wzrok.

– Co jeszcze kazano wam zrobić?

– Przez pewien czas nic. W Wigilię wróciliśmy do Londynu, aby odbyć jeszcze jedno spotkanie przed występem. Wtedy też ten mężczyzna zaprowadził nas na Cheshire Street i pokazał pokój, w którym miało się odbyć przedstawienie. Nadał każdemu z nas nowe imiona, powiedział kogo mamy grać i polecił, byśmy przygotowali sobie odpowiednie kostiumy. Właśnie wtedy dowiedziałam się, że Dennis i ja mamy odgrywać rodzeństwo.

– Czy słyszała pani wcześniej nazwisko lady Caroline Nicholson?

– Nie.

– Czy widziała pani kiedyś tę kobietę? – zapytał Sparks, pokazując jej zdjęcie kobiety zrobione na tyłach gmachu, gdzie mieści się firma Rathborne i Synowie.

– Nigdy – odparła po chwili namysłu. – Czy to lady Nicholson?

– Sądzę, że tak – rzekł Sparks. – Jest pani od niej młodsza. Tamtego wieczoru była pani ucharakteryzowana, by wyglądać starzej.

Pokiwała głową.

– Przypuszczam, że ktoś widział panią na scenie podczas jednego z październikowych przedstawień i wybrał do tego zadania ze względu na pewne podobieństwo do lady Nicholson. Inni byli tylko pionkami, pani natomiast główną postacią ich planu.

– Ale po co zadali sobie tyle trudu? – zapytał Stoker.

– Aby upewnić się, że nasz przyjaciel, doktor Doyle, nigdy nie zobaczy prawdziwej lady Nicholson. Zapewniam, że człowiek odpowiedzialny za tę akcję jest wielce pomysłowy i bardziej zapobiegliwy, niż mogłaby pani przypuszczać.

– Ale po co to wszystko zaplanowali? – dopytywał się wyraźnie poruszony Stoker.

– Aby zamordować doktora Doyle'a – padła odpowiedź.

Stoker odchylił głowę w tył. Eileen odwróciła się, by ponownie spojrzeć na Doyle'a; doktor dostrzegł oburzenie w jej oczach. Dopiero teraz zaczynał rozumieć, jak bardzo była silna i odważna.

– Czy ten mężczyzna przedstawił wam medium, które miało prowadzić seans? – zapytał Sparks.

– Nie. Chyba wszyscy spodziewaliśmy się, iż będzie to jeszcze jeden aktor. Mężczyzna powiedział, że on również zagra pewną rolę w tym przedstawieniu. Był tego wieczora ucharakteryzowany – opisał go pan jako śniadego, choć w rzeczywistości ten człowiek ma cerę bardzo bladą.

– Znowu nasz przyjaciel, profesor Vamberg, Doyle – wtrącił mimochodem Sparks.

– Naprawdę? – rzucił żarliwie Doyle, który z patetyczną niemal wdzięcznością przyjął jego pogodny komentarz. – Nie można powiedzieć, że go nie nazaczyliśmy.

– Fakt. Kiedy znów go ujrzymy, profesor powinien nieelicho utykać.

Serce Doyle'a przepełniało uczucie satysfakcji, gdy przypomniał sobie kopnięcie rewolweru w chwili oddania strzału i przeraźliwe wrzaski zranionej mężczyzny.

– Co wam powiedział ten człowiek w dniu, w którym miał się odbyć seans?

– Zażądał, abyśmy przybyli pod wskazany adres osobno, na wypadek gdyby jego przyjaciel akurat zobaczył któregoś z nas na ulicy. Spotkaliśmy się z nim kilka przecznic dalej – po Dennisa i po mnie przyjechał powóz, na koźle siedział mężczyzna obsadzony w roli Tima, naszego woźnicy.

– Miał na imię Tim?

– Nie znaleźliśmy go, nie rozmawiał z nami. Ale kiedy wsiedliśmy do powozu, ten wasz „profesor” zwrócił się do woźnicy per „Aleksandrze”.

O Boże, to był on – pomyślał Doyle – woźnica, z którym rozmawiałem przed domem numer 13 przy Cheshire Street to był Aleksander Sparks. Widział go z takiej odległości, z jakiej teraz patrzył na jego brata. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Ten człowiek bezbłędnie odegrał swoją rolę, wcielając się w przedstawianą postać.

– Panno Tempie, a te rzeczy, które widzieliśmy podczas seansu? – rzekł Doyle. – Czy przed występem zademonstrowano wam działanie trików, jakie zamierzano wykorzystać?

Eileen pokiwała głową.

– Za zasłonami było ukryte jedno z tych urządzeń, które nazywają latarniami magicznymi. Wytwarza ono obrazy widoczne w powietrzu...

– Obraz małego chłopca – rzekł Doyle.

– Do tego ten poruszający się, pływający nie wiadomo skąd dym – i trąby oraz upiorna głowa bestii, zawieszona na cienkich, niewidocznych sznurkach pod sufitem...

– Widziała pani to wszystko przed seansem?

– Nie, ale domyślałam się, że właśnie tak musiało być – odrzekła Eileen, szukając w jego spojrzeniu otuchy.

Doyle, nie mogąc jej tego zapewnić, tylko pokiwał głową.

– Jak miała się pani zachowywać względem doktora Doyle'a? Czy podano pani jego nazwisko? – zapytał Sparks.

– Nie. Powiedziano mi tylko, że jest lekarzem, do którego odgrywana przeze mnie postać zwróciła się z prośbą o pomoc: porwano mego syna i z pewnym wahaniem postanowiłam zasięgnąć porady u medium, ale nie mając pewności co do jej zamiarów,

napisałam list do doktora, prosząc go, by wziął udział w seansie.

Ponownie spojrzała na Doyle'a.

– Ale kiedy się pojawił, nie wiem dlaczego odniosłam wrażenie, że coś jest nie tak, że wszystkie historie, które mi opowiedziano, były z gruntu fałszywe – wyczytałam to z pańskiej twarzy. Inni nadal grali swoje role, przypuszczam, że w ogóle niczego nie zauważyli. Chciałam coś panu powiedzieć, dać jakiś znak, ale kiedy seans się zaczął, nie mogłam już nic zrobić...

– Czy wierzyła pani, że to, co pani wie, polega na prawdzie? – spytał Doyle.

– Nie potrafię odpowiedzieć. To znaczy, wiem, co jesteśmy w stanie zrobić na scenie, ale... – Wzdrygnęła się mimowolnie i splotła ramiona. – W dotyku dłoni tej kobiety było coś plugawego. Coś... nieczystego. A kiedy w lustrze pojawiła się ta istota i zaczęła mówić tym przeraźliwym, upiornym głosem... miałam wrażenie, że tracę zmysły.

– Ja również – rzekł Doyle.

– A potem nastąpił atak – dodał Sparks.

– Atak był z góry zaplanowany, stanowił końcowy element przedstawienia. Wszystko mieliśmy szczegółowo opracowane. Giniemy z rąk intruza, pan reaguje tak, jak miał zareagować, a potem wszyscy podrywamy się na nogi i śmiejemy z wyrządzonego pańskim kosztem psikusa. Ale kiedy ci ludzie wpadli do pokoju... To nie byli umówieni napastnicy, których widzieliśmy wcześniej. Usłyszałam odgłos ciosu, który powalił Dennisa, ujrzałam wyraz jego oczu, gdy padał i...

Głos uwiązał jej w gardle. Przyłożyła dłoń do czoła i z ogromnym wysiłkiem zapanowała nad swymi emocjami.

– ...i zrozumiałam, że on nie żyje i że ci ludzie chcieli zrobić panu coś złego, doktorze Doyle, że taki był od początku ich zamiar. W tym momencie znalazłam w swoim sercu dość sił, by zacząć się modlić – jeśli za rolę, którą odegrałam tego wieczoru, przyjdzie mi zapłacić życiem, to trudno, oby tylko panu nic się nie stało – moje życie za pańskie. A potem poczułam ostrze noża na gardle, spływającą po szyi krew, która jak sądziłam, popłynęła z moich otwartych tętnic, i pomyślałam, że to koniec, że umieram, tak jak przed chwilą Dennis. Upadłam i chyba zemdlalam, bo nic więcej nie pamiętam.

Zamknęła oczy i zaczerpnęła kilka głębokich oddechów. Wypuściła powietrze krótkimi, spazmatycznymi wydechami, usiłując powstrzymać szloch.

Powiedziała prawdę – pomyślał Doyle – nawet największy geniusz sceny nie odegrałby tego tak przekonująco.

– Doszłam do siebie, kiedy Sammy i jego żona wynosili mnie z pokoju. Nić im się nie

stało, ale słyszeliśmy dochodzące z wnętrza domu jęki, krzyki i odgłosy strzałów. Z przerażeniem i zdumieniem uświadomiłam sobie, że żyję i że wszystko, co pamiętałam, wydarzyło się naprawdę – że Dennis został zamordowany.

– A woźnica, czy widziała go pani przed domem? – spytał Sparks.

Pokręciła głową.

– Powóz zniknął – powiedziała. – Pobiegliśmy przed siebie. Widzieliśmy ludzi na ulicach. Emma krzyczała, Sammy rozpaczliwie starał się ją uspokoić i upierał się, że będzie bezpieczniej, jeżeli się rozdzielimy, więc pobiegliśmy w przeciwnych kierunkach. Dał mi chustkę, abym mogła zetrzeć krew z szyi. Już ich nigdy nie zobaczyłam. Pan Stoker powiedział mi, co się z nimi stało. Próbowałam jakoś doprowadzić się do porządku. Nie odważyłam się powrócić do hotelu, w którym zamieszkaliśmy. Spacerowałam aż do rana, po czym wynajęłam pokój w Chelsea. Miałam przy sobie zaliczkę. Zastanawiałam się, czy nie pójść na policję, ale nie potrafiłabym wyjaśnić mego udziału w tym przedsięwzięciu. Uznaliby mnie za współwinną morderstwa. Co miałabym im powiedzieć?

Doyle pokręcił głową, usiłując zaaprobować jej tłumaczenie. Eileen, wyraźnie niepokieszona, popatrzyła smutno i odwróciła wzrok.

– Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to powrót do zespołu. Chciałam opowiedzieć im, co się wydarzyło, gdyż byłam pewna, że podpowiedzą mi, jak mam wybrnąć z tej kabały. Próbowałam przypomnieć sobie, gdzie wówczas przebywali – wiedziałam, że gdzieś na północy, ale byłam kompletnie otumaniona – i nagle przypomniałam sobie o Whitby. To miasteczko zapadło mi w pamięci, gdyż graliśmy tu już wcześniej, w samym środku lata, a morze i statki w zatoce były tak cudowne, że chciałam tylko usiąść na ławeczce na nabrzeżu i tak jak wtedy, w owe upalne dni, obserwować majestatyczne żaglowce, po prostu siedzieć tam i o niczym nie myśleć. Kto wie, może po jakimś czasie udałoby mi się zapomnieć o tym strasznym wydarzeniu i zaleczyć ranę, jaką uczyniło ono w moim umyśle...

Łzy spływały jej po policzkach, ale nie próbowała ich wytrzeć. Jej głos nadal był silny i zdecydowany.

– Następnego dnia wsiadłam do pociągu i przyjechałam tutaj. Nie miałam innych rzeczy, oprócz tego co na sobie, ale mój płaszcz skutecznie zasłaniał plamy krwi na sukni. Z nikim nie rozmawiałam. Bez przeszkód dotarłam do celu podróży, choć nie wątpię, że wielu ludzi musiało zwrócić uwagę na dziwną kobietę w wykwintnej, wieczorowej sukni, podróżującą samotnie i bez bagażu. Wynajęłam tutaj pokój, jak jakaś wzgardzona, porzucona, udręczona wspomnieniami kochanka. Nienasycona, samotna dusza rodem z powieści Brontë. Kupiłam sobie nowe rzeczy, a moją suknię oddałam do pralni. Krew zabarwiła satynę, ale nie

potrafiłam rozstać się z tą sukienką – to była moja najlepsza suknia wieczorowa; miałam ją na sobie tylko raz rok temu w sylwestra. Byłam wtedy szczęśliwa, myślałam, że moje życie dopiero się zaczyna i... – Ponownie przerwała, po czym, opanowawszy się, dokończyła: – ...i wynajęłam tu pokój, wyspałam się i czekałam na przyjazd zespołu.

Spojrzała na Stokera, dając do zrozumienia, że następnym rozdziałem tej historii było jego przybycie, które doprowadziło do obecnego spotkania. Nawet Sparks, wyraźnie poruszony jej opowieścią, spuścił nieco z tonu i nie wydawał się już tak srogi jak dotychczas. Doyle podał jej chusteczkę. Przyjęła ją bez słowa.

Stoker pierwszy podjął przerwana rozmowę.

– Panno Tempie, powinna im pani powiedzieć, co wydarzyło się nocą, przed naszym pierwszym spotkaniem. Zanim panią odnalazłem.

Pokiwała głową i opuściła chusteczkę.

– Obudziłam się w środku nocy. Łagodnie. Nie wiem dlaczego, nie poruszyłam się, po prostu otworzyłam oczy. Nie byłam pewna, ani nawet teraz nie mam pewności, czy to wszystko zwyczajnie mi się nie przyśniło. W cieniu, w kącie pokoju stała jakaś postać. Długo się jej przyglądałam, zanim upewniłam się, co to było. A raczej, kto to był. Mężczyzna. Nie poruszał się. Wyglądał... nienaturalnie.

– Proszę go opisać – rzekł Sparks.

– Błada twarz. Pociągła. Ubrany od stóp do głów na czarno. Jego oczy... Trudno je opisać, dziwnie pałały. Pochłaniały światło. W ogóle nie mrugały. Byłam tak przerażona, że nie mogłam się poruszyć. Prawie nie oddychałam. Czułam się tak, jakbym była obserwowana przez coś... nieludzkiego. I odbierałam jego głód. Był nienasycony, jak owad.

– Ale nawet pani nie dotknął.

Pokręciła głową.

– Leżałam w zupełnym bezruchu – rzekła. – Straciłam poczucie czasu. Byłam jak sparalizowana. Zamykałam i otwierałam oczy, ale on wciąż tam był. Z nadejściem świtu, ponownie otworzyłam oczy i okazało się, że jestem w pokoju sama. Ten mężczyzna zniknął. Drzwi i okna były zamknięte tak jak wówczas, gdy kładłam się na spoczynek. Aż do tej chwili nie wiedziałam, czym jest prawdziwy strach... Choć ten człowiek w ogóle mnie nie dotknął i stał przez cały czas w bezruchu, poczułam się jakby... zbrukana, splugawiona.

– Panna Tempie spędziła ostatnią noc w tym pokoju – rzekł Stoker. – Przez całą noc siedziałem w fotelu, nie wypuszczając z dłoni tego... – Zza toaletki wyjął potężną dubeltówkę. – Nikt nie wszedł do tego pokoju.

Doyle, zaniepokojony, zerknął na Sparksa.

– Od tej pory zawsze ktoś będzie przy pani – powiedział. – Ani przez chwilę nie może być pani sama.

Sparks nie odpowiedział. Usiadł na łóżku i skuliwszy się, wyglądał przez okno.

– Czy myślę się, sądząc, że mężczyzna, który odwiedził pokój panny Tempie, jest zarazem sprawcą zbrodni, o których rozmawialiśmy? – zapytał Stoker.

– Nie, nie myli się pan – rzekł półgłosem Sparks.

– Co to za człowiek, który umie w ten sposób poruszać się wśród nocy, bezszelestnie przenika przez zamknięte drzwi i okna, wkrada się do pokoi i jest w stanie niezauważony obezwładnić i wykraść śpiących w nich ludzi? – Stoker, mówiąc te słowa, nie podnosił głosu, lecz przybliżył się do Sparksa. – Co to za człowiek? Zna go pan?

Sparks pokiwał głową.

– Powiem panu, panie Stoker. Najpierw jednak musi pan powiedzieć, co pan robił, kiedy spotkaliśmy się w opactwie Goresthorpe.

Górujący nad Sparksem Stoker w zamyśleniu pogładził swe gęste bokobrody.

– Niby racja – mruknął. Oparł się o framugę okna, po czym wyjął z kieszeni fajkę i kapciuch z tytoniem i nim zaczął mówić, odprawił krótki rytuał znany każdemu miłośnikowi tej odmiany palenia.

– Po przybyciu do Whitby rozmawiałem z wieloma ludźmi. Niewiele jednak z tego wynikało. I nagle, w pubie na nadbrzeżu spotkałem tego mężczyznę. To był wielorybnik, stary wilk morski, na oko po siedemdziesiątce. Opłynął świat z tuzin razy. Teraz od południa do zamknięcia pubu przesiaduje przy oknie i popijając piwo, obserwuje zatokę. Właściciel i stali bywalcy uważają staruszka za nieszkodliwego, nikomu niewadzącego idiotę. Marynarz zawołał mnie do stolika. Był mocno poruszony i bardzo chciał podzielić się ze mną pewną informacją, której jego zdaniem nikt inny by nie docenił. Jak sądzę, mimo iż opowiadał tę historię wielu ludziom, po prostu nikt nie chciał uwierzyć.

Jak sam stwierdził, sypiał raczej niewiele – co wynikało z jego podeszłego wieku i zamiłowania do alkoholu – więc nocami zwykł był przechadzać się brzegiem morza i wspinać na zbocze wzgórza, ku opactwu, gdzie od dziesięciu lat spoczywa jego zmarła żona. Stwierdził, że czasami przemawia do niego i że nocami słyszy jej głos, szepczący wśród poszumu wiatru poruszającego koronami drzew na starym cmentarzu.

Pewnej nocy, trzy tygodnie temu, gdy przechadzał się wśród grobów, ponownie go zawołała. Stwierdził, że jej głos był silniejszy niż kiedykolwiek dotąd. „Spójrz w stronę morza – powiedziała. Spójrz na zatokę”. Cmentarz ciągnie się wzdłuż płaskiego odcinka wzgórza, dokładnie ponad zatoką. Pogoda była sztormowa, silny przypływ. Spojrzał w dół i

ujrzał potężny statek prująco fale, płynący szybko – zbyt szybko – w stronę brzegu. Żagle łopotały na wietrze, wyglądało na to, że lada moment roztrzaska się na skałach. Stary wyga najszybciej jak mógł zszedł na plażę, ku której kierował się żaglowiec – gdyby statek wpadł na skały, marynarz mógłby przynajmniej zarządzić alarm.

Kiedy dotarł do małej, cichej zatoczki o nazwie Tate Hill Pier, okazało się, że statek stanął na kotwicy o pięćdziesiąt jardów od brzegu. Był to szkuner o niewielkim zanurzeniu i smukłym kadłubie. Od statku w stronę plaży płynął skiff. Marynarz zdumiał się, widząc, że na brzegu stoją ludzie z latarniami i gorączkowo wymachują rękoma, jakby wskazywali drogę tajemniczym nocnym gościom. Starzec nieznacznie zbliżył się do nich, ale ostatecznie uznał, że nie powinien się ujawniać i ukrył się za skałami. Wśród ludzi oczekujących na brzegu dostrzegł biskupa.

– Biskupa Pillphrocka? – zapytał Sparks.

Stoker skinął głową.

– Innych nie rozpoznał. Mała łódka przybiła do brzegu. Było w niej dwóch ludzi, jeden od stóp do głów odziany w czerń. Przywieźli ze sobą dwie skrzynie, kształtem i rozmiarami przypominające trumny, które szybko wyładowano na brzeg. Mężczyzna przysięgał, że widział, jak z łódki wyskoczył również wielki, czarny pies. Szkuner nie czekał na powrót skiffu, wybrał kotwicę i wykonawszy zwrot przez burtę, wypłynął na otwarte morze.

Mężczyźni na brzegu podnieśli skrzynie, które nie wydawały się zbyt ciężkie, i ruszyli w górę zbocza ku zabudowaniom opactwa. Przeszli niecałe dziesięć stóp od kryjówki starego wielorybnika. Marynarz usłyszał, jak biskup mówi coś o „przybyciu naszego Pana” – a w każdym razie wydawało mu się, że te słowa padły z ust biskupa – i wtedy człowiek w czerni w paru ostrych słowach brutalnie go uciszył.

Marynarz podążył za nimi. Powiedział, że ci ludzie zanieśli skrzynie nie do Goresthorpe, lecz do ruin starego opactwa na szczycie wzgórza. Zaklinał się przy tym, że widział, jak ten wielki, czarny pies wbiegł na cmentarz i podobno ni stąd, ni zowąd rozpląnął się w powietrzu. Od tej pory staruszek widział, jak późną nocą w ruinach jarzyły się dziwne światła. Najbardziej zaniepokoił go jednak fakt, iż od tamtej nocy ani razu nie usłyszał głosu swej żony.

– Musimy pomówić z tym człowiekiem – rzekł Sparks.

– Następnego ranka znaleziono go na cmentarzu. Miał rozszarpane gardło, jakby zaatakowało go jakieś dzikie zwierzę. Przedsiębiorca pogrzebowy powiedział, że nocą słyszał zawodzenie wilka.

Sparks i Doyle wymienili spojrzenia. Eileen wbiła wzrok w podłogę i mocniej otuliła się szalem. Drżała. Pokój stał się nagle zbyt ciasny, by pomieścić ich połączone odczucia, i zbyt wąty, by powstrzymać moce, z jakimi przyszło im się zmierzyć.

– Co to takiego? – zapytał Sparks, wskazując paczuszkę leżącą na toaletce.

– To moje dzisiejsze śniadanie – odrzekł Stoker. – Tutejszy produkt, o ile mi wiadomo.

Sparks wziął do ręki pudełko biszkoptów „Jak u mamy”.

– A teraz opowiemy panu dalszy ciąg tej historii, z naszej perspektywy – stwierdził Sparks.

I tak się stało.

16. SŁUŻEBNICA SZATANA

Sparks i Doyle nie zataili przed Stokerem i Eileen żadnych szczegółów z wyjątkiem wzmianki o powiązaniach Jacka z rządem i związanych z jego osobą wątpliwości Doyle'a. Kartka od Lebourg w dalszym ciągu nie dawała mu spokoju. Zapadł już zmierzch, zanim opowieść dobiegła końca. Śnieg padał przez całe popołudnie. Warstwa białego puchu zalegająca ulice miała stopę grubości, a śnieżycy ani myślała ustać. Posłali do kuchni po skromną kolację, złożoną z zupy i baraniny na zimno z chlebem, którą zjedli w pokoju Stokera i która nieco poprawiła im nastroje. Podczas posiłku Eileen milczała i nie spuszczała wzroku z Doyle'a, ukrywając się w jakimś cichym sanktuarium znajdującym się głęboko w jej wnętrzu. Sparks, który uważał, iż w większej grupie mają większe szanse, opuścił ich, by przywieźć Barry'ego i Larry'ego z gospody przy stacji, gdzie spędzili cały dzień. Eileen położyła się, chciała odpocząć. Stoker wykorzystał okazję i wyciągnął Doyle'a na korytarz, by zamienić z nim kilka słów na osobności – drzwi do pokoju pozostawili uchylone, aby widzieć, co dzieje się wewnątrz, a w szczególności obserwować okna.

– Mówię to jak dżentelmen do dżentelmena – zaczął półgłosem Stoker. – Mam nadzieję, że obecna sytuacja nie okaże się niedelikatna.

– To znaczy? – spytał Doyle.

– Jestem wielce szczęśliwym człowiekiem, doktorze Doyle. Mam żonę i małe dziecko. Panna Tempie, jak zapewne nie omieszkał pan zauważyć, spędziła wczorajszą noc w moim pokoju.

– Ale pan jej pilnował, ponieważ tej kobiecie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo...

– Mimo wszystko, panna Tempie jest aktorką, i jak pan zapewne stwierdził, kobietą wielce atrakcyjną. Gdyby choć słowo na ten temat przedostało się do Londynu... – Stoker wrzucił ramionami, jak to mieli w zwyczaju stali bywalcy prywatnych pokoi najbardziej ekskluzywnych klubów dla dżentelmenów.

– Zważywszy na okoliczności, taka rzecz byłaby nie do pomyślenia – rzekł Doyle, nie wyrażając w żaden sposób swego zdumienia. Czy ci ludzie musieli aż do tego stopnia

przejmować się tak zwanymi dobrymi manierami? W pojęciu doktora graniczyło to z fanatyzmem.

– A zatem ufam w pana dyskrecję – rzucił Stoker, wzdychając z ulgą i podając mu rękę. – Zamierzam wypić małą brandy. Przynieść panu szklaneczkę?

– Dziękuję, nie – powiedział Doyle. Nie chciał, by cokolwiek zaćmiewało mu umysł tej nocy. – Panna Tempie prosiła o jakieś lekarstwo na sen. Może powinienem zaproponować jej coś mocniejszego.

Z lekkim skinieniem głowy Stoker oddalił się. Doyle powrócił do pokoju. Eileen siedziała na łóżku, skręcając papierosa. Oczy Doyle'a rozszerzyły się.

– Ma pan zapalki? – zapytała.

– Tak, chyba tak. Chwileczkę. – Doyle grzebał przez chwilę w kieszeniach, wyjął pudełko zapalek i przypalił jej papierosa. Aby powstrzymać drżenie – wywołane faktem, iż znalazł się z nią sam na sam, w jednym pokoju – gdy przysunął zapalną bliżej, ujęła go za rękę.

– Czy naprawdę uważa pan, że mogą nas zaatakować, gdy wokoło jest tylu ludzi? – spytała ze spokojem i zażyłością, jakiej dotąd nie słyszał w jej głosie.

– Och, to możliwe, to znaczy, chciałem powiedzieć, że... uhm... hmm... – Dlaczego nagle miał tak potworne problemy z wysławianiem się?

– Powinien pan usiąść. Wydaje się pan strasznie zmęczony. – Skrzyżowała nogi i wydmuchnęła dym w powietrze.

– Naprawdę? Dziękuję, rzeczywiście. Skorzystam – rzekł oficjalnie Doyle i rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby przycupnąć. Na drugim końcu pokoju stało krzesło. Odwrócił je w stronę okna, podniósł strzelbę i usiadł ze zdecydowanym, buńczucznym wyrazem twarzy.

– Wygląda, że wie pan, jak się strzela – powiedziała, przyjrzawszy mu się przez chwilę; na jej ustach widniał delikatny uśmiezek.

– Mam szczerą nadzieję, że nie będę miał okazji zademonstrować tego, podczas gdy jest pani ehm... tak... blisko. – Poczul, że się czerwieni!

– Nie wątpię, iż gdyby taka sytuacja zaistniała, wywarłby pan na mnie olbrzymie wrażenie.

Doyle pokiwał głową i uśmiechnął się jak nakręcana lalka. Tak trudno było na nią patrzeć. Czy ona ze mną igrza? – pytał sam siebie. Czy to dlatego, że zachowuję się jak pęta?

– Ma pan wiele kobiet, doktorze Doyle? – zapytała i znów uśmiechnęła się jak Gioconda.

– To znaczy?

– Ilość kobietami się pan zajmuje? Ma pan wiele pacjentek?

– A, tak, tak. To znaczy, przeciętnie. Mniej więcej pół na pół. Tak myślę. Tak, około pięćdziesięciu procent. – W rzeczywistości procentowo stanowiły jedną ósmą wszystkich jego pacjentów i nie ulegało wątpliwości, że stracił je co do jednej. Na dodatek były to obrzydliwe babsztyle po pięćdziesiątce, z pomarszczoną skórą i obwisłymi policzkami.

– Jest pan żonaty? – zapytała.

– Nie. A pani jest zamężna?

Roześmiała się. Ten dźwięk skojarzył mu się z brzękiem kryształowego kieliszka podczas wystawnej uczyty.

– Nie, nie jestem mężatką.

Doyle pokiwał głową i opuściwszy wzrok, spoglądał na trzymaną w dłoniach strzelbę, po czym z wielkim przejęciem zaczął ścierać płamkę niewidocznego nalotu z jednej z luf.

– Nawet nie miałam okazji, by panu podziękować – powiedziała z nieco większą powagą.

– To nie jest konieczne – odrzekł ostentacyjnie Doyle.

– Niemniej jednak zawdzięczam panu życie. Panu i panu Sparkswi.

– Nie ma pani wobec nas najmniejszych zobowiązań, panno Tempie. Gdyby sytuacja miała się powtórzyć, raz jeszcze uczyniłbym to samo – powiedział nieco pompatycznym tonem. Tym razem patrzył na nią zuchwale, dopóki nie odwróciła wzroku.

Musiała strzepnąć do czegoś popiół z papierosa. Na nocnym stoliku nie było popielniczki. Doyle, nie namyślając się długo, podał leżące obok opakowanie po biszkoptach i położył na stoliku, aby mogła strzepnąć popiół. Ich palce musnęły się delikatnie, a elektryczne mrowienie, jakie temu towarzyszyło, było wręcz niewyobrażalnym, cudownym uczuciem.

– Chcę wam pomóc – powiedziała cichym, lekko zdyszonym głosem. – Jak tylko będę mogła. Musi pan poinformować o tym pana Sparksa. Bo widzi pan, ja w pewnym sensie poczuwam się do winy.

– Musiała pani to zrobić. Kierowały panią względy finansowe. Nie wiedziała pani, co ma się stać. Skąd mogła pani wiedzieć?

Gdy zgasła papierosa i uniosła wzrok, ich twarze oddalone były zaledwie o kilka cali.

– Mimo to – wyszeptowała. – Powie mu pan? Może jest jakiś sposób. Potrafię być bardzo pomysłowa.

– Nie wątpię.

Zlizwała drobinę tytoniu z dolnej wargi. Ich oczy spotkały się; wzrok Eileen bynajmniej nie był deprymujący. Doyle poczuł ostre szarpnięcie w piersi, jakby znalazł się w polu podwyższonej grawitacji. Piękno jest obietnicą szczęścia – nie wiedział, skąd wzięło się powiedzenie, które zagościło nagle w jego myślach. Nachylał się właśnie, by ją pocałować, kiedy z korytarza dobiegł donośny odgłos kroków, poprzedzający otwarcie drzwi. Jedno ostre stuknięcie i Sparks wszedł do pokoju. Doyle cofnął się gwałtownie i pozbył opakowania po biszkoptach. Po obu stronach okna zajęli miejsca Larry i Barry.

– Złożyłem wizytę w sąsiedniej gospodzie; musimy natychmiast się tam przenieść – rzekł Sparks. – Jest trudniej dostępna. Będzie nam tam łatwiej przygotować obronę na noc.

– Mam nadzieję, iż nie organizuje pan tej obrony ze względu na moją osobę – powiedziała Eileen, podnosząc się energicznie – ponieważ potrafię się bronić równie dobrze, jeśli nie lepiej, od przeciętnego mężczyzny.

– Panno Tempie, po tym co spotkało pani kolegów, niewątpliwie również pani stała się głównym celem naszych wrogów. Będą próbowali panią usunąć – rzekł Sparks spokojnym, zrównoważonym tonem.

– Rozumiem, tylko że nie zdaje pan sobie sprawy z korzyści, jakie mogłaby panu przynieść moja pomoc i... praca przy tej sprawie – stwierdziła Eileen, nie cofając się ani o cal.

– Nie czas na...

– Jeżeli sądzi pan, że dam się zamknąć w pokoju, jak przynęta czekająca aż przyplynie do niej ryba, podczas gdy wy, mężczyźni, będziecie mogli w tym czasie robić, na co wam przyjdzie ochota, to grubo się pan myli.

– Panno Tempie, proszę...

– Nie zamierzam brać w tym udziału ani nie zamierzam wysłuchiwać frazesów o tym, czym jest kobieta i do czego nie jest zdolna. Podejrzewam, że jest pan również przeciwny przyznaniu kobietom praw wyborczych...

– Co, na Boga zielonej ziemi, ma to wspólnego z przeniesieniem do innej gospody? – zaprotestował Sparks. Doyle nie przypominał sobie, by widział Jacka tak bardzo wytrąconego z równowagi.

Barry i Larry wpatrywali się w czubki własnych butów, usiłując z wielkim trudem zatrzeć uśmieški pojawiające się na ich ustach.

– W wieku dziesięciu lat byłem mistrzynią w strzelaniu. Kiedy pewien mężczyzna usiłował podnieść na mnie rękę, gorzko tego pożałował – strzelałam już kiedyś do człowieka i nie zawaham się uczynić tego powtórnie...

– Nie wygłupiaj się.

Jednym, szybkim ruchem Eileen wyrwała Doyle'owi strzelbę, odciągnęła oba kurki, zamasyżując wymierzyła broń w stronę stojącego w kącie wieszaka i nacisnęła spust, roznosząc na strzepy melonik Stokera.

Larry i Barry rzucili się na ziemię. Stoker wybrał niewłaściwy moment na pojawienie się w drzwiach z dwiema szklaneczkami brandy. Eileen kątem oka dostrzegła nagłe poruszenie i wymierzyła strzelbę w jego stronę. Stoker wyrzucił obie ręce w górę – szklaneczki spadły na ziemię.

– Boże, nie! – krzyknął Stoker.

– I co pan na to, panie Sparks? – zapytała spokojnie Eileen.

– Przyznaję pani rację. Ten pokaz zrobił na mnie duże wrażenie – odezwał się Sparks, czerwony na twarzy jak burak. Nie ulegało wątpliwości, że był wściekły.

Eileen opuściła broń. W korytarzu pojawili się zaciekawieni donośnym hukiem goście z oberży.

– Wszystko w porządku – zwrócił się do nich Doyle, chwytając Stokera za ramię i wciągając go do pokoju. – Nie ma powodu do obaw.

– Co się tu dzieje, na Boga? – zapytał drżącym głosem Stoker, gdy Doyle zamknął za nim drzwi. – Panno Tempie, proszę, to nasi przyjaciele.

Eileen przełamała strzelbę, wyjęła drugi nabój i oddała broń Doyle'owi.

– Panie Stoker, jestem panu winna nowy kapelusz.

Larry i Barry usiedli na podłodze i choć się starali, nie udało im się opanować gwałtownego napadu śmiechu. Doyle po chwili dołączył do nich.

– Jestem pewien, że zaszło straszne nieporozumienie. Czy nie moglibyśmy tego zwyczajnie przedyskutować? – rzekł Stoker, zbierając resztki swego melonika.

– Jeśli przenosiny do innej gospody nie wchodzi w grę, jaki ma pan alternatywny plan, panie Sparks? – spytała Eileen.

Sparks prześwidrował ją wzrokiem, ale dzielnie wytrzymała siłę jego spojrzenia. Kiedy Doyle prychnął, usiłując stłumić śmiech, Jack odwrócił się ku niemu i posłał zjadliwe, druzgocące spojrzenie.

– Przepraszam – bąknął Doyle, zmieniając śmiech w atak kaszlu. – Może faktycznie powinniśmy tu zostać, Jack.

– Będzie pani miała okazję się wykazać, panno Tempie – rzekł Sparks, zupełnie ignorując Doyle'a. – Nie omieszkamy wykorzystać pani umiejętności. Ale od tej pory zrzekam się odpowiedzialności za pani bezpieczeństwo.

– Zrozumiałam – stwierdziła i wyciągnęła rękę. Sparks wpatrywał się w nią przez

chwilę, jakby zamiast dłoni miał przed sobą szczypcę homara, po czym mocno ją uściśnął.

– I co robimy, Jack? – zapytał Doyle.

– Dziś po południu bracia dokonali nader ważnych odkryć – rzekł Sparks, odsuwając się od okna.

Obaj mężczyźni podnieśli się już z ziemi. Kapelusze trzymali w dłoniach. Doyle zauważył, że Barry miał poważne kłopoty z oderwaniem wzroku od Eileen.

– Punkt o trzeciej na stację wjechał pociąg – rzekł Barry, uśmiechając się promiennie.

– Webb Compound, z jednym wagonem pasażerskim. Specjalny kurs z Balmoral. Pieczęć królewska.

– W pociągu znajdował się członek rodziny królewskiej? – zapytał zaniepokojony Doyle.

– Tylko jeden: książę Albert...

– Młody Eddy? – spytał przerażony Stoker.

– We własnej osobie. Czekał na niego powóz. Odjechali w kierunku na południowy wschód.

– Zapewne pamięta pan, że nazwisko sir Nigela Gulla, byłego lekarza księcia, widnieje na Liście Siedmiorga – przypomniał Stokerowi Sparks.

– Co on tu robi? Czyżby zamierzali go zabić? – rzucił Stoker.

– Szkoda byłoby dobrej kuli – powiedziała Eileen.

– Czyżby знаła pani księcia, panno Tempie? – zapytał Sparks.

– Owszem, znam – odparła, robiąc sobie kolejnego skręta. – W ubiegłym roku spędziłam w towarzystwie Eddy'ego cały wieczór, po tym jak w Bristolu zobaczył mnie na scenie w *Wieczorze Trzech Króli*.

– Nie można nic zarzucić jego gustowi – rzekł z galanterią Barry.

– Ten człowiek ma umysł rasowego byczka – powiedziała Eileen. – A jak zobaczy kobietę, zaczyna ją obłapywać. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się w towarzystwie ośmiornicy.

– Dziękuję za wyczerpujący raport – oznajmił Sparks.

– Nie ma za co – burknęła Eileen i włożyła papierosa do ust. Barry i Larry błyskawicznie podali jej ogień, zanim jeszcze Doyle zdążył sięgnąć do kieszeni po zapalki.

– Larry, czy zechciałbyś powiedzieć nam, czego się dziś dowiedziałeś? – rzekł Sparks karcącym, belferskim tonem.

– Tak jest, sir – rzekł Larry, zdmuchując zapalkę. Barry zdołał go wyprzedzić i przypalić papierosa Eileen.

– Opactwo Goresthorpe zostało w tajemniczy sposób opuszczone. Od trzech dni, zgodnie z tym, czego zdołał dowiedzieć się pan Stoker, nie było tam nawet psa z kulawą nogą. Jak zatem mamy odnaleźć wielebnego biskupa Pillphrocka i dokąd mógł się udać? Sklepy z artykułami spożywczymi to centrum życia każdego miasteczka. Gdzie można dowiedzieć się wszystkiego, jeżeli nie tam? Przez całe popołudnie rozmawiałem z laleczkami z tutejszych sklepów – nie jestem może Barrym, ale też niczego mi nie brakuje, mam gadane i rach, ciach, dowiaduję się, że wielebny udał się do niewielkiego zakątka na wybrzeżu, a sądząc po ilości towarów, jakie zabrał ze sobą i jakie miano tam dostarczyć, zamierza wyprawic w posiadłości nieliczną ucztę dla sporej liczby osób.

– Prywatna własność biskupa? – spytał Doyle.

– Nie, sir Johna Chandrosa – odrzekł Sparks.

– Zgadza się, sir, i tak się składa, że ta posiadłość graniczy z ziemią, na której stoi wytwórnia...

– Biskoptów „Jak u mamy” – rzekł Doyle.

– Wyprzedza mnie pan o dobrych parę mil, sir – rzekł skromnie Larry.

– Jak nazywa się ta posiadłość? – zapytał Doyle.

– Nazywają ją Ravenscar – odparł Larry.

– I leży na południowy wschód stąd, za tymi starymi ruinami... – dodał doktor.

– Znow ma pan rację – mruknął Larry.

– Prawdopodobnie tam właśnie przewieziono księcia Eddy'ego – dorzucił Sparks. – Do Ravenscar natomiast przylega pas ziemi, który generał Drummond nabył od lorda Nicholsona.

– Musimy natychmiast się tam udać, Jack – stwierdził Doyle.

– Jutro – odrzekł Sparks, oglądając przez okno padający śnieg. – Dziś złożymy wizytę w ruinach opactwa Whitby.

– Chyba nie mówi pan serio. W taką pogodę? – mruknął Stoker.

– Nie musi pan nam towarzyszyć, panie Stoker – stwierdził Sparks, sięgając po strzelbę. – Niemniej chciałbym pożyczyć pańską dubeltówkę.

Barry tymczasem nie spuszczał wzroku z Eileen, która paląc papierosa, górowała nad nim o dobrych pięć cali.

– Chyba się już gdzieś spotkaliśmy, prawda? – rzucił z przekonaniem i charakterystycznym, łobuzerskim uśmiechem.

Eileen, wyraźnie rozbawiona, puściła do niego oko. Być może opinie o Barrym wcale nie były przesadzone – pomyślał Doyle.

Uzbrojeni w latarkę, strzelbę i rewolwer, Sparks, Doyle, dwaj bracia oraz Eileen – Stoker postanowił darować sobie tę wyprawę – wyruszyli w noc, ku ziemiom opactwa Whitby. Burza już przeszła, wiatr ucichł, śnieg padał łagodnie, a głębokość pokrywy białego puchu zaścielającego teren sięgała osiemnastu cali. Gęste chmury przykrywały księżyc. Z kominów przysadzistych domków, które mijali, strzelały w górę kłęby dymu. Żle oznakowane uliczki były prawie nieoświetlone. Ciszę nocy przesywało jedynie miękkie skrzypienie butów na śniegu i zduszony szept oddechów. Największy problem stanowiła orientacja w terenie – wędrowcy czuli się tak, jakby byli zamknięci w hermetycznej białej kuli.

Wdrapanie się na szczyt wzgórza wymagało cierpliwości i hartu ducha. Sparks przejął prowadzenie i raz po raz popatrywał na kompas, aby nie zboczyć z drogi. Po lewej ręce mieli długie pasmo stromych, ostrych klifów. Barry i Larry z latarniami w dłoniach zamykali pochód, podczas gdy Doyle i Eileen maszerowali w środku. Eileen miała na sobie spodnie, buty i marynarkę pożyczoną od Sparksa. Stąpała rażno, długimi krokami, sprawiając wrażenie, że wycieczka męczyła ją mniej niż Doyle'a, który, do cna wyczerpany, z radością przyjmował każdy ogłaszany przez Sparksa postój dla zacerpnienia tchu.

Po półgodzinie ujrzeli w oddali zarys zimnego, mrocznego opactwa Goresthorpe. Nic nie wskazywało, aby było ono zamieszkane. Na ośnieżonym polu przed nimi wyłaniały się z ziemi osobliwe, kanciaste kształty. Doyle zdał sobie sprawę, iż są to marmurowe i kamienne płyty nagrobkowe. Znajdowali się na przylegającym do opactwa cmentarzu. Za zakrętem drogi, prowadzącej przez teren probostwa, minęli szpaler drzew i niebawem ich oczom ukazał się postrzępiony kontur prastarych ruin zdobiących szczyt pobliskiego wzgórza. Równie wymarły jak jego siostrzana budowla poniżej, stary grobowiec zdawał się emanować aurą niemal namacalnego zła, dużo groźniejszego i wynikającego z czegoś więcej aniżeli z jego niezamieszkania.

– Paskudnie wygląda – mruknął cicho Doyle.

– A wszystko to po to, by wzbudzić jak największy strach w sercach biednych, niewykształconych parafian, mój drogi – odparła łagodnym tonem Eileen.

Sparks machnął na nich, by przyspieszyli kroku i pokonali ostatni odcinek stoku. Zbocze było tu bardziej strome i niedostępne, na trudniejszych odcinkach musieli pomagać sobie nawzajem. Wreszcie znaleźli się na płaskowyżu, na którym wznosiły się ruiny. Ich latarnie rzucały blade światło na kruszejące ściany, czarne i nadgryzione zębem czasu. Drzwi i okna już dawno przestały istnieć. Podobnie było z całym partiami dachu, choć na pierwszy rzut oka opactwo prezentowało się dumnie i okazale. Wolno okrążywszy olbrzymią budowlę,

jeszcze bardziej utrwalił to wrażenie, a także podziw dla fantastycznego umiłowania szczegółów, przejawianego przez nieznanymi dawnymi budowniczymi. Każdy gzyms, karnes i parapet ozdobiony był koszmarnym gotyckim posążkiem, przedstawiającym najgroźniejszych mieszkańców świata mroku: kobolda, inkubusa, bazyliuszka, hydrę, licha – zwanego również marlakiem, ogra, hipogryfa, gremlina i gargulca. Owa przerażająca menażeria zniosła upływ czasu znacznie lepiej aniżeli mury, które przyszło jej zdobić, lecz nawet teraz, gdy skrywały je grube czapy śniegu, posążki nadal wyglądały złowieszczo i odrażająco. Umieszczano je po to, by odstraszały demony, a nie wabiły je – Doyle przypomniał sobie informacje z jakiejś książki historycznej. W każdym razie miał taką nadzieję. Nie mógł powstrzymać się przed zerkaniem przez ramię, by sprawdzić, czy żadna z ohydnych kreatur nie wodzi za nim smętnym, martwym wzrokiem.

Sparks oprowadził ich wokół ruin. Wrócili do punktu wyjścia. Ich ślady połączyły się i teraz, ciągnąc się w obie strony, znikwały w ciemnościach.

– Zjrzymy do środka? – zapytał Sparks.

Nikt nie odpowiedział, ale gdy Sparks wszedł przez otwarte drzwi, pozostali natychmiast weszli za nim. Z powodu ziejących w dachu dziur podłogę wewnątrz budowli zaścielała nierównej grubości warstwa śniegu. Sparks wprowadził ich do następnego pomieszczenia, ogromnej prostokątnej sali z równą, kamienną posadzką. Znajdujące się w drugim końcu nawy podwyższenie ołtarza zdradzało dawne przeznaczenie tego pomieszczenia.

– To był kościół – rzekł Sparks.

Jack podszedł do ołtarza. Larry i Barry ustawili się z latarniami po bokach i w sali znacznie pojaśniało. Przez otwory w suficie wciąż sypał śnieg. Powietrze było gęste i ciężkie jak lód skrywający taflę jeziora.

– Musiały się tu zbierać wiedźmy, odprawiające swoje sabaty – rzekł Larry.

– Chyba masz na myśli zakonnice – poprawił Barry.

– Czarownica to zakonnica, która zeszła na złą drogę.

– Tak powiedział nam jeden facet w pubie – stwierdził Barry, zwracając się do Doyle'a i Eileen – w szczególności do Eileen.

– Tak powiedział. Cały zakon, wszystkie mniszki przeszły na drugą stronę. Jednego dnia walczą z szatanem, drugiego stają się Służebnicami Księcia Ciemności. Dlatego ludzie puścili to opactwo z dymem.

– Mieszkańcy wioski? – spytał Doyle.

– Zgadza się – odrzekł Larry. – Wzięli sprawy we własne ręce. O ile mi wiadomo,

wypędzili diabła z mniszek, tu, na miejscu, w tym kościele, posługując się w tym celu różnymi rodzajami tortur. Mniszki nie przeżyły tych „egzorcyzmów”.

– Banialuki – powiedziała Eileen.

– Stek bzdur – potaknął Barry. – Facet miał w żyłach więcej dżinu niż krwi.

– Nie mówię, że to wszystko prawda, taka jak w Piśmie Świętym. Po prostu powtarzam, co od niego usłysy...

– Dajcie tu latarnie! – zakrzyknął Sparks.

Barry i Larry natychmiast podeszli do niego. Doyle i Eileen zrobili to samo. Sparks stał nad zamkniętą, wysmaganą wiatrem skrzynią leżącą na stercie ziemi.

– Co to takiego? – zapytał Larry.

– To trumna, nie? – rzucił Barry.

Doyle pomyślał o słowach Stokera, powtarzającego opowieść starego marynarza o ładunku, który jakoby miał zostać zniesiony na ląd.

– Gwoździe przytrzymujące wieko zostały wyjęte – rzekł Sparks, klękając z latarnią w dłoni.

– Czy stary nie wspominał, że dostarczono tutaj dwie trumny? – zapytał Doyle.

– Tak – mruknął Sparks, przyglądając się drewnu.

– A co jest w środku? – rzuciła Eileen.

– Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć, panno Tempie, nieprawdaż? – odrzekł Sparks i wyciągnął dłoń w kierunku wieka.

Gdy tylko jego palce musnęły drewno, dał się słyszeć dochodzący z zewnątrz przeraźliwy, mrozący krew w żyłach skowyt – było to bez wątpienia zawrodoenie wilka, ale dużo niższe i bardziej gardłowe, niż Doyle miał okazję kiedykolwiek słyszeć. Zamarli, gdy echo wielokrotnie powtórzyło dźwięk.

– Dochodził z bliska – wyszeptał Doyle.

– Z bardzo bliska – poprawił Sparks.

Kolejny wilk odpowiedział identycznym skowytom z drugiej strony opactwa. W chwilę potem do chóru dołączył trzeci, znajdujący się nieco dalej.

– Wilki? – zapytał Barry.

– Nie brzmiało to jak szczekanie spaniela, prawda? – burknęła Eileen.

– Odwróć się, ale bardzo powoli – rzekł Sparks.

– Nie ma potrzeby odwracać się powoli, szefie – rzucił Larry, który patrzył już w tę stronę i wskazywał na środek nawy.

Mniej więcej dwie stopy nad posadzką w powietrzu unosiła się ogromna, wirująca

kula błękitnych iskier. W miarę jak nabierała przyspieszenia, kula zaczęła się rozszerzać – najpierw poziomo, po czym pionowo – tak że nieomal stykała się z potrzaskanymi, kamiennymi ławami. Powietrze przesyciło się elektrycznością. Doyle poczuł, że włosy na karku stają mu dęba.

– Co u licha... – wymamrotała Eileen.

Niebieskie iskry przygasły, w miarę jak kształty stawały się coraz wyraźniejsze – było to pięć przezroczystych, odzianych w powłóczyste habity postaci, klęczących i pogrążonych w modlitwie. Ich kolana unosiły się na jedną stopę ponad podłogę, jakby wsparte na jakimś niewidocznym, widmowym klęczniku. Nagle, z bliżej nieokreślonego źródła popłynął chór miękkich, szepczących głosów. Nie było słyhać słów, lecz oschły, żarliwy ton niewidzialnego chorału wdzierał się brutalnie do uszu słuchaczy, penetrując najdalsze zakamarki umysłu.

– Łacina – rzekł Sparks, przysłuchując się z uwagą.

– Czy to duch? – Doyle usłyszał swój własny głos.

– I to niejeden, szefie – mruknął Larry i przeżegnał się.

– Spójrz, są te twoje zakonnice – burknął Barry, na którym widok ten nie zrobił większego wrażenia.

Z bliska postacie wyglądały bardziej jak wiejskie kobiety niż zakonnice, a wrażenie to pogłębiały przenikliwe głosy rozlegające się nieprzerwanie wokół.

Eileen wyrwała Larry emu latarnię, zeszła z podwyższenia ołtarzowego i ruszyła w kierunku widm.

– Panno Tempie... – zaprotestował Doyle.

– W porządku, moje panie, dość już tego zawodzenia – powiedziała silnym, zdecydowanym głosem. – Nieszpory odprawione, wystarczy, a teraz wracajcie do piekła, gdzie wasze miejsce.

– Barry! – Sparks rzucił byłemu złodziejowi krótką komendę. Barry natychmiast podążył za aktorką. Larry wyjął swoje noże i przeszedł kilka kroków w prawo, podczas gdy Sparks uniósł do strzału dubeltówkę.

– Odejdźcie, głupie widma, przepadnijcie, zgińcie, rozplyńcie się w powietrzu, bo bardzo się rozzłościemy.

Nagle głosy zjaw umilkły. Eileen zatrzymała się o kilka jardów od pokutujących widm.

– Tak lepiej – mruknęła z aprobatą. – A teraz znikajcie. Jazda stąd!

Upiorne postacie opuściły ręce. Barry zbliżał się do Eileen – dzieliło go od niej

zaledwie kilka kroków.

– Panno Tempie – rzekł Sparks głośno i wyraźnie. – Proszę odsunąć się od środka nawy. Natychmiast.

– W teatrze stale spotykamy jakieś duchy – powiedziała.

– Proszę nie dyskutować, tylko robić co każe. Odwróciła się do Sparksa, zamierzając zaprotestować, i rzekła:

– Nie ma się czym przejmować, są absolutnie niegroźne...

W tej samej chwili zjawy jednocześnie opuściły kaptury, ukazując upiornie zdeformowane, bezwłose pół ludzkie, pół ptasie głowy. Wydały piskliwy, paraliżujący okrzyk i wzbiły się w powietrze, zawisając dziesięć lub może nawet więcej stóp nad Eileen, szykując się do ataku. W tej samej chwili do nawy wpadły z dwóch stron dwa olbrzymie wilki i warcząc złowrogo, pomknęły w stronę Eileen. Barry rzucił się naprzód i gdy wilki wzbiły się w górę, silnym szarpnięciem powalił Eileen na ziemię. Sparks wypalił z obu luf, trafiając jednego z wilków, w locie; drapieźnik z głuchym łomotem wylądował na ziemi i znieruchomiał z rozdartym, krwawiącym brzuchem i wyprutymi wnętrznościami. W tej samej chwili Larry cisnął nożami. Dał się słyszeć głośny skowyt i drugi basior spadł na Barry'ego. Z karku i piersi zwierzęcia sterczały rękojeści noży. Wilk miał jeszcze dość siły i zajadłości, by zaatakować i zacisnąć mordercze szczęki na wzniesionym obronnym gestem ku górze przedramieniu Barry'ego.

Barry sięgnął drugą ręką, wyrwał nóż z piersi zwierzęcia i zdecydowanym ruchem wbił go w podstawę czaszki drapieźnika. Basior targnął konwulsyjnie całym ciałem i martwy osunął się na podłogę.

– Nie wstawaj! – ryknął Sparks.

Ale Eileen już poderwała się z ziemi, schwyciła latarnię i cisnęła ją w unoszące się w powietrzu zjawy. Lampa, dosięgnąwszy celu, eksplodowała. Widma znikły, rozpraszając się w snopach srebrzystych iskier i kłębach czerwonego dymu.

– Nie cierpię zakonnic! – krzyknęła Eileen.

Doyle usłyszał za sobą cichy, złowieszczy warkot i odwrócił się ostrożnie.

Za skrzynią, o kilka stóp od Sparksa, stał trzeci wilk. Jack był odwrócony do niego plecami.

– Jack... – rzekł Doyle.

– Moja strzelba jest pusta – rzekł półgłosem Sparks, nie odwracając się. – A twój rewolwer?

– Będę musiał po niego sięgnąć.

– Zrób to, dobrze?

Doyle rozpiął płaszcz i wolno wsunął dłoń pod połę. Wilk o dzikich, acz inteligentnych ślepiach, wolno wodził wzrokiem od doktora do Sparksa. Był to największy basior z całej trójki – w kłębie mierzył dobre trzy stopy. Gdy postąpił naprzód, Doyle wyjął rewolwer, ale król wilków zamiast zaatakować, paroma susami znalazł się za ołtarzem i wyskoczył przez jedno ze znajdujących się tam okien. Doyle wypalił, prawie nie mierząc, i pobiegł za nim. Od okna do powierzchni wody poniżej klifu było dobrych dwadzieścia stóp. Doktor uniósł rękę, w której trzymał lampę, ale zwierzęcia nie było już widać.

Eileen i Larry zajęli się Barrym, którego lewe przedramię przyjęło cały impet wilczego ataku. Krew ściekała mu po rękę wąskimi strużkami. Aktorka zwinnie podciągnęła rękaw jego płaszcza.

– Nie jest źle, co, stary? – zapytał Larry.

– Gdyby nie płaszcz, mogłoby być gorzej – odparł Barry i poruszył palcami. Wyglądało na to, że ścięgna nie zostały naruszone.

– Duchy, wyobrażacie sobie? – spytała Eileen z opanowaniem i obojętnością wprawnej pielęgniarce.

– Widziałem gorsze rzeczy – rzekł ze stoickim spokojem Barry.

– Nie cierpię zakonnic – stwierdziła Eileen. – Nigdy ich nie znosiłam.

– Ale te wilczyśka były cokolwiek prawdziwe, no nie? Żadne tam czary-mary. – Larry pochylił się, by kopnąć truchło jednego z basiorów i wyjąć tkwiące w nim noże.

– W porządku, Barry? – zapytał Sparks, załadowując dubeltówkę wyjętymi z kieszeni nabojami.

– Brzydki jak zawsze, sir – odrzekł, szczerząc się promiennie do opatrującej go aktorki, oglądającej z uwagą rany po wilczych kłach na jego przedramieniu.

Rytm serca Doyle'a uspokoił się. Przezornie wyjrzał przez okno.

– Spójrz, Jack – powiedział.

Sparks podszedł do niego. W oddali, od południa, widać było szereg jasnopomarańczowych świateł zmierzających w szyku w ich stronę.

– Pochodnie – rzekł Doyle.

– Idą po coś – prawdopodobnie po nas. A może po to. – Sparks wskazał ręką na skrzynię. – Obserwuj ich.

Doyle oszacował, że tamci, kimkolwiek byli, znajdowali się pół mili od nich. Sparks podszedł do skrzyni i ukląkł, by zbadać ziemię, na której leżała. Roztarł ręką grudki między palcami, powąchał. Uchylił wieko. Nie odezwał się słowem, ale gdy Doyle odwrócił się,

ujrzał wyraz absolutnego przerażenia i odrazy malującej się na twarzy Sparksa.

– Co się stało, Jack?

– Gry – mruknął posepnie Sparks. – On znów gra w te swoje gry.

Wewnątrz znajdował się trup... Rozłożone zwłoki, z których pozostały już tylko poźółkłe kości, przyobleczone w przegniłe pogrzebowe odzienie, z resztką tkanek, wyschniętej pomarszczonej skóry i rzadkich pasemek włosów na czaszce. Pomiędzy złożonymi kościstymi palcami rąk, miast krzyżyka, spoczywała oprawiona w złocone ramki fotografia – pozowany portret mężczyzny i kobiety, sądząc po formie i stylu zdjęcia, typowego arystokratycznego małżeństwa.

– Co to jest? – spytał Doyle.

– Moi rodzice – odrzekł Sparks, wskazując na zdjęcie. – To moi rodzice.

– Boże Wszzechmogący!

– A to zwłoki mojego ojca.

Wściekłość, jaka w nim rosła, odebrała Doyle'owi mowę. W jednej chwili opuściły go wszelkie wątpliwości co do okrucieństwa Aleksandra i względnej niewinności Sparksa.

– Bezduśny diabeł – rzekł po chwili Doyle.

Sparks wykonał serię głębokich oddechów i zacisnął pięści, raz po raz rozwierając je i ponownie zamykając, pragnąc w ten sposób zapanować nad wzburzonymi emocjami. Powracając do okna, Doyle zauważył, że światła znacznie się przybliżyły – co najmniej sześć pochodni – a na śniegu dostrzec można było mroczne sylwetki. Było ich sporo. Dzieliło je od ruin ćwierć mili, ale zbliżały się szybko.

Gdy Eileen zakończyła opatrywanie ran Barry'ego, Larry dołączył do Doyle'a przy oknie.

– Co robimy? – spytał doktor.

– Walka w tym miejscu jest raczej niewskazana. Jest ich zbyt wielu. Nie mamy dobrych kryjówek ani wyżej położonych miejsc, gdzie można by się wycofać. Zbyt wiele drzwi. Obrona byłaby zbyt trudna.

– Powiedz mu – rzucił Doyle, wskazując Sparksa.

– On wie – odparł Larry. – Daj mu jeszcze minutkę, szefie.

– Minuta to wszystko, co mamy.

Larry mrugnął.

– Minuta to wszystko, czego nam potrzeba.

Larry wziął strzelbę i zagwizdał przeciągle. Barry poderwał się na równe nogi i cmoknął Eileen w policzek, po czym bracia wyszli pospiesznie z kościoła, zmierzając w

stronę zbliżających się postaci. Doyle mógł je teraz policzyć – napastników było co najmniej dwa tuziny. Eileen weszła na podwyższenie ołtarza. Aby nie przeszkadzała Sparksowi, Doyle zawołał ją do okna.

– Będziemy tu stać i czekać aż po nas przyjdą? – zapytała Eileen.

– Nie – odparł Doyle, opierając rewolwer o framugę okna, i mierząc w jedną ze znajdujących się najbliżej sylwetek z pochodnią. Zanim zdołał nacisnąć spust, z lewej strony dobiegł go głuchy huk wystrzału z dubeltówki, rozległy się głośnie okrzyki i dwie mroczne postacie osunęły się na śnieg. Mężczyzna z pochodnią stanął i rozejrzał się wkoło. Doyle pociągnął spust, postać padła, a pochodnia zgasła, pogrążywszy się w śniegu.

– Tutaj! Chodźcie tutaj, parszywcy!

Rozległy się kolejne, szydercze okrzyki. Doyle ujrzał, jak Barry, wymachując latarnią, usiłuje odciągnąć napastników od opactwa.

– No, chodźcie tu! Pokażcie, co potraficie, nie mamy całej nocy!

Sześciu napastników ruszyło w pościg za Barrym, pozostali nadal zmierzali w kierunku ruin. Doyle opróżnił bębenek rewolweru, powalając następnego mrocznego mężczyznę. Gdy ładował broń, ponownie dał się słyszeć huk strzelby i kolejny napastnik, podążający śladem braci, legł w puszystym śniegu.

Uwagę doktora przykuł nagle zgrzyt unoszonej pokrywy trumny. Sparks wylał naftę z jednej z latarni do wnętrza skrzyni, po czym cisnął lampę na zwłoki, rozbijając ją.

Buchnął płomień. Skrzynia zajęła się ogniem jak sterta wyschłego na wiór drewna opałowego. Sparks cofnął się o krok, wypowiadając bezgłośnie jakieś słowa. Stojąc w absolutnym bezruchu, patrzył jak płomienie zaczynają pożerać skrzynię, a jego usta poruszały się w niemej modlitwie mającej zapewnić jego ojcu wieczny spokój.

– Naprawdę powinniśmy już iść, Jack – rzekł Doyle, który zdążył tymczasem załadować swój rewolwer.

Sparks odwrócił się od płomieni i podniósł za rączki wieko skrzyni.

– Tędy – rzucił, kierując się w stronę końca nawy.

– Po co mu to? – spytała Eileen, wskazując na wieko.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Doyle, zrównując się ze Sparksem i wbiegając do sieni kościoła.

W tej samej chwili u wejścia pojawiły się trzy szare kaptury. Jeden uniósł nabijaną ćwiekami pałkę, zamierzając się na Sparksa.

– Jack!

Sparks odwrócił się, opuścił wieko i wbił je w piersi napastników. Jego nogi poczęły

pracować jak tłoki, gdy Sparks brutalnie spychał napastników w tył, przyszpilając ich do ściany. Doyle postąpił naprzód i metodycznie oddał po dwa strzały w wijące się pod drewnianą zaporą ciała.

– Za tobą! – krzyknęła Eileen.

Z kościoła w ich stronę biegły dwa kolejne kaptury.

Doyle odwrócił się i pociągnął za spust, ale bębenek rewolweru był pusty. Trzy martwe szare kaptury osunęły się na ziemię, gdy Jack upuścił wieko od trumny i odwrócił się, by stawić czoło kolejnemu zagrożeniu. Eileen, zamachnąwszy się trzymaną w ręku lampą, zdzieliła jednego z napastników w twarz. Szary kaptur runął na ziemię jak ścięty. Drugi kaptur pałąk trafił Jacka w ramię. Sparks uchylił się, wszedł barkiem w napastnika, wyprostował się i przyszpilił go do ściany. Eileen po raz drugi zdzieliła w głowę powalonego przez siebie zamachowca, który próbował się podnieść. Doyle ujął rewolwer za lufę i kolbą zaczął okładać człowieka w kapturze po potylicy, aż tamten osunął się bezwładnie na ziemię i znieruchomiał. Sparks obcasem buta wymierzył kopniaka w kark drugiego napastnika. Chrupnięcie pękającej kości przypominało trzask rozłupywanej gałęzi.

Nagle w sieni pojaśniało i dał się słyszeć tupot wielu par stóp, Sparks podniósł z ziemi wieko trumny i wybiegł z sieni.

– Szybko!

Doyle i Eileen pobiegli za Sparksem. Jack położył wieko na skraju stromego zbocza i przytrzymał je stopą.

– Ty pierwszy, Doyle. Złap się uchwytów i trzymaj z całej siły – rzucił Sparks.

Z opactwa poczęły się wyłaniać sylwetki napastników. Było ich wielu, a na czele dostrzec można było postać odzianą od stóp do głów na czarno. Doyle włożył rewolwer do kieszeni i usiadł na desce. Sparks objął Eileen w talii, posadził za doktorem i zajął miejsce za nią, spychając jednocześnie wieko w dół zbocza.

Zaczęli zjeżdżać, lecz nim wieko przyspieszyło, gromada prześladowców znalazła się na skraju zbocza. Dwa szare kaptury rzuciły się w ślad za prowizorycznymi saniami – jeden z nich poszorował szponiastą dłonią po plecach Sparksa, o mało nie zrzucając go z drewnianej płyty – ale już w chwilę, później on i jego kompan zostali w tyle. „Sanie” nabierały szybkości, sunąc w dół skąpanego w ciemnościach stoku. Pokrywa trumny podskakiwała na byle wyboju czy wystającym korzeniu; za każdym razem pasażerowie wyrzucani byli w górę, by z impetem wylądować na twardej drewnianej powierzchni.

– Możesz tym jakoś pokierować? – wykrzyknął Sparks.

– Nie sądzę! – odparł Doyle. Jedyne co mógł robić, to trzymać się z całej siły. Nagle

przyszło mu do głowy, że stok mógł się kończyć pionową ścianą opadającą do morza.

– Widzisz coś? – zapytała Eileen.

– Niewiele!

Nagle w mroku przed nimi pojawiły się dwie, tonące po pas w śniegu postacie, wymachujące gorączkowo rękami. Przez moment, zanim sanie znalazły się przy nich, Doyle myślał, iż mogli to być Barry i Larry, gdy wtem dostrzegł kaptury zakrywające twarze i broń w ich rękach. Doyle naparł całym ciężarem w prawo, a wieko skręciwszy lekko w tę stronę, trafiło obu napastników, zbiło ich z nóg jak kręgle i w przyspieszonym tempie posłało ich w podróż po stoku. Zderzenie zmieniło tor jazdy i znacznie zmniejszyło prędkość „sań”. Doktor, któremu zapało dech, gorączkowo łapiąc oddech, rozejrzał się wokół, usiłując określić, gdzie się znajdują. Wtem wieko skrzyni poszorowało po gładkiej powierzchni i Doyle z przerażeniem ujrzał białą połąkę z bocza kończącą się gwałtownie pośród bezkresnej ciemności.

– Krawędź stoku! – krzyknął Sparks.

Doyle naparł całym ciężarem w lewo. Sparks wysunął prawą stopę, niczym płożę, aby odpychać się od krawędzi, i nagle jego noga zawisła w powietrzu. Krzyknęli, gdy prowizoryczne sanie pokonały kolejnych kilka jardów wzdłuż krawędzi z bocza, szorując po kamieniach i ścinając rosnące na skraju stoku młode drzewka i krzewy. W końcu, dzięki dość topornemu, acz skutecznemu manewrowi Doyle'a, cał po calu oddaliły się od mrocznej przepaści i ponownie wjechały na twarde stoki. Widząc po lewej ręce kształt nowego opactwa, Doyle jedynie przez chwilę mógł się cieszyć uczuciem ulgi, kiedy bowiem dostrzegł szare kształty wyłaniające się ze śniegu na wprost nich i jakby mimochodem uświadomił sobie, czym były, wrażenie ulgi zastąpiło dojmujące przerażenie. Jechali w kierunku cmentarza.

– Nagrobki! – krzyknął Doyle.

Doktor zręcznym manewrem przeprowadził ich przez pierwszą, a potem drugą linię nagrobków, kiedy jednak znaleźli się pośrodku cmentarza, liczba kamiennych płyt zwiększyła się, a nagrobki były bardziej okazałe. Nie mieli szans, aby się zatrzymać, ani przestrzeni na wykonanie jakiegokolwiek manewru, na wprost nich zaś pojawiło się ogromne, masywne mauzoleum. Doyle szarpnął za uchwyty i wieko skręciło w bok. Pokrywa trafiła na jakiś wybój, wyrzuciła swych pasażerów w górę, po czym pękła z głuchym trzaskiem. Doyle wylądował w śniegu, ściskając w dłoni odłamane uchwyty, a Eileen i Sparks, których impet zderzenia wyrzucił w powietrze, znaleźli się poza zasięgiem wzroku doktora. Doyle leżał przez chwilę w bezruchu, usiłując dojść do siebie. Nie mógł rozluźnić palców zaciśniętych na uchwytach – jego kłykcie zdawały się być przymarznione do metalu – ale, jak stwierdził po

chwili, poza tym nic mu nie dolegało.

– Jack? – rzucił niepewnie. W odpowiedzi usłyszał coś, jakby płacz. Czy to była Eileen? – Nic ci nie jest?

Zza pobliskiej zasy wyłoniła się Eileen, od stóp do głów obsypana śniegiem. O dziwo, nie płakała, lecz śmiała się. Za chwilę Doyle usłyszał śmiech Sparksa. Jack wolno wyszedł z mauzoleum, o które mieli się roztrzaskać. Jack i Eileen spojrzeli po sobie i wybuchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem. Sparks zgiął się w pół, przytrzymując się krawędzi pomnika. Eileen osunęła się w śnieg, rycząc na całe gardło. Doyle poczuł, że w nim również poczyna wzbierać śmiech i nie oparł się atakowi.

– Myślałem, że już po nas – rzekł Doyle.

– Ja myślałam tak ze cztery razy – wykrztusiła Eileen.

Całym ciałem Doyle'a wstrząsnęły dreszcze. Podeszli chwiejnym krokiem i objęli się ramionami, poddając się uzdrawiającemu wpływowi śmiechu. Tylko w ten sposób mogli nakarmić płuca spragnione powietrza. Gdy ich śmiech sięgnął szczytu, Doyle pokazał uchwyty, które ścisnął w dłoniach, wzbudzając tym kolejną falę histerycznego rechotu.

– JONATHANIE SPARKS!

Słowa te doleciały od strony ruin na szczycie wzgórza. Głos był ostry i złowieszczy, ale zarazem dźwięczny i delikatny; mógł przeciąć szkło, pozostawiając idealnie gładkie krawędzie. Nie było w nim gniewu, a jedynie nuta szyderstwa, jakby mówiący, miast rozczarować się ich ucieczką, dawał do zrozumienia, iż tego się właśnie spodziewał.

– Czy to on? – spytał Doyle.

Sparks pokiwał głową, spoglądając ku szczytowi wzgórza.

– POSŁUCHAJ!

Zapadła grobowa cisza.

A potem dało się słyszeć upiorny, mrozący w żyłach krzyk, narastający do dramatycznego *crescendo*, by ostatecznie zmienić się w wyczerpane, żalosne skomlenie.

– O Boże. Bracia – powiedziała Eileen.

Kolejny krzyk. Bardziej donośny i przepelniony jeszcze większym cierpieniem. Czy był to ten sam głos co poprzednio?

– Drań! – rzucił Doyle, gniewnie postępując naprzód. – TY DRANIU!

Sparks uspokajającym gestem wziął go za ramię. Szczęki miał mocno zaciśnięte, ale głos spokojny i stonowany.

– On tego właśnie chce.

Krzyk ucichł nagle, jak nożem uciął. Cisza, jaka potem zapadła, wydawała się jeszcze

bardziej złowroga.

- Musimy iść – rzekł Sparks. – Kto wie, czy nadal nas nie ścigają.
- Nie możesz ich tak zostawić – zaprotestowała Eileen.
- Obaj są żołnierzami – odrzekł Sparks.
- On ich zabije...
- Nawet nie wiesz, czy to oni. A gdyby nawet, co moglibyśmy zrobić? Dać się zabić?

Sentymentalne szaleństwo.

– Niemniej jednak, Jack, oni są tobie tak bardzo oddani – wtrącił Doyle, usiłując załagodzić sytuację.

- Znąją ryzyko – Sparks nie zamierzał wdawać się w dyskusję. Ruszył przed siebie.

Eileen otarła łzy z oczu.

- Wiesz, że on ma rację – rzekł łagodnie Doyle.
- Ja również – powiedziała, obserwując oddalającego się Sparksa.

W chwilę potem, podążając za nim, opuścili teren cmentarza. Przez całą drogę powrotną do gospody nikt nie odezwał się słowem.

Do drzwi pokoju Stokera przypięta była kartka. Sparks zerwał ją i przeczytał.

– Stoker wynajął powóz i wyruszył w drogę powrotną do Londynu – oznajmił pozostałym. – Twierdzi, że musi myśleć o rodzinie.

- Nie możesz go za to winić – rzekł Doyle.

– Mamy zapłacić rachunek za jego pobyt w gospodzie. – Sparks schował kartkę do kieszeni i otworzył drzwi. Eileen weszła. Doyle spojrział na zegarek – wpół do trzeciej nad ranem.

– Proszę nam wybaczyć na chwilę, panno Tempie – powiedział Sparks, zatrzymując Doyle'a na korytarzu i zamykając drzwi. – Zostań z nią. Jeżeli nie wrócę o świcie, spróbuj dotrzeć do Londynu.

- Dokąd się wybierasz?

– Tej nocy prawdopodobnie już nie zaatakują, ale miej pod ręką naładowany rewolwer.

- Jack, co ty chcesz zrobić?

Sparks pomachał do doktora, nie odwracając się, i szybko zbiegł po schodach. Doyle spojrział na drzwi i uchylił je. Eileen leżała na zasłanym łóżku, odwrócona do niego plecami. Miał zamknąć drzwi, gdy wtem...

- Proszę nie odchodzić – powiedziała, nie poruszywszy się.
- Powinna pani odpocząć.

– Nie liczyłabym na to.

– Potrzebuje pani odpoczynku...

– Przestań zgrywać lekarza, na miłość boską! – Odwróciła się ku niemu. – Nie mam ochoty spędzać ostatniej nocy mojego życia samotnie. A ty?

– Skąd przypuszczasz, że...

– Wejź i zamknij drzwi, dobrze? Czy mogę wyrazić się jeszcze jaśniej?

Doyle wykonał polecenie, ale nie podszedł do niej, stając pod ścianą tuż przy drzwiach. Spojrzała na niego spod oka, pokręciła lekko głową, usiadła na łóżku i ujrzała swoje odbicie w lustrze na toaletce. Włosy miała w nieładzie, twarz osmaganą zimnym wiatrem.

– Straszne – mruknęła.

– Nie jest tak źle – zaprotestował Doyle, ale natychmiast pożałował swoich słów. Rzuciła mu kolejne szydercze spojrzenie, czym jeszcze bardziej go przytłoczyła. Podeszła do krzesła przy toaletce i uważnie przejrzała się w lustrze.

– Nie przypuszczam, aby miał pan przy sobie coś tak zbędnego jak grzebień? – powiedziała.

– W rzeczy samej jest to jeden z moich przedmiotów osobistych, jakie zdołałem zachować – odrzekł Doyle. Z torby, którą postawił przy szafie, wyjął grzebień i szczotkę.

– Naprawdę powinien się pan uśmiechnąć, doktorze – powiedziała, a jej oczy pojaśniały. – „Najdroższe rzeczy marnymi się stają, gdy ten, co daje, zda się nieżyczliwy”.

– Nie chciałem okazać się nieżyczliwy, Ofelio – dodał, rozpoznając cytaty z pierwszej sceny trzeciego aktu *Hamleta*.

Eileen zdjęła marynarkę i rozpuściła włosy, które opadły czarną, miękką kaskadą na kołnierz bluzki. Potrząsnęła głową i zaczęła się czesać, wykonując płynne, zmysłowe ruchy. Widok ten wzbudził w Doyle'u zapierające dech w piersiach wrażenie intymności, które jak balsam ukoilo jego stargane nerwy. Po raz pierwszy odkąd usłyszeli krzyki na wzgórzu, pomyślał o czymś innym, aniżeli o dwóch nawróconych złodziejach.

– Widział mnie pan kiedyś na scenie, doktorze? – zapytała.

– Nigdy nie miałem tej przyjemności – odparł Doyle. – Mam na imię Arthur.

Skinęła głową, ich zażyłość weszła teraz w kolejną fazę.

– Nie bez przyczyny nasi strażnicy moralności przez tyle lat nie pozwalali kobietom występować publicznie – rzekła.

– A to dlaczego?

– Niektórzy powiedzieliby, że oglądanie kobiety na scenie może być niebezpieczne.

– Niebezpieczne? W jaki sposób?

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Być może nietrudno byłoby uwierzyć, że aktorka rzeczywiście jest osobą, którą odgrywa danego wieczoru.

– Ale przecież w gruncie rzeczy o to właśnie chodzi. Aby przekonać nas o prawdziwości postaci.

– Powinno tak być.

– Czyż zatem może to być odbierane jako zagrożenie? I dla kogo?

– Dla kogoś, kto spotyka kobietę poza sceną i nie potrafi odróżnić aktorki od granej przez nią osoby. – Spojrzała na niego w lustrze i odgarnęła włosy z czoła. – Matka nigdy nie ostrzegała cię przed aktorkami, Arthurze?

– Musiała wierzyć, że istnieją dużo gorsze niebezpieczeństwa. – Doyle patrzył jej prosto w oczy. – Widziałem panią na scenie, prawda?

– Tak. Widziałeś. W pewnym sensie.

Nastąpiła długa cisza.

– Panno Tempie...

– Eileen.

– Eileen – rzucił Doyle. – Czy próbujesz mnie uwieść?

– A próbuję? – Przestała się czesać. Zmarszczyła czoło. Wydawała się równie niepewna odpowiedzi, jak on. – Czyżbyś miał takie wrażenie?

– Tak. Powiedziałbym, że tak. – Może to dziwne, ale Doyle czuł się w tej chwili absolutnie spokojny.

Ulotna myśl przemknęła po jej twarzy niczym cień stada gołębi. Delikatnie położyła szczotkę na stoliku i odwróciła się do niego.

– A jeżeli tak?

– Cóż... – mruknął Doyle. – Powiedziałbym, że gdyby okazało się, iż faktycznie jest to ostatni wieczór w naszym życiu, a ja – niezależnie od przyczyny – pozostałbym nieczuły na twoje wdzięki, wyrzucałbym to sobie do ostatniego tchnienia.

Wymienili bezpretensjonalne spojrzenia.

– A więc może powinieneś zamknąć drzwi na klucz, Arthurze – powiedziała krótko, porzucając aktorską pozę.

Wykonał to polecenie bez wahania.

17. FABRYKA

Doyle opuścił sypialnię przed pierwszym brzaskiem. Eileen spała spokojnie. Nim wstał, delikatnie zdjął jej rękę ze swego ramienia i pocałował ją w smukłą, słodką szyję. Kiedy się ubierał, zaczęła mówić coś szeptem, ale prawdopodobnie tylko coś jej się przyśniło. Później leżała już spokojnie.

Zdziwiło go, że nie wstydił się swego czynu. Wpojona mu katolicka reakcja na wszelkiego rodzaju rozkosze – zwłaszcza cielesne – nigdy nie została zeń do końca wypłeniona. Być może był to wyjątek od reguły. Sama tego chciała – powiedział sobie w duchu, ale nie mógł zaprzeczyć, że również on tego pragnął. Często widywał chirurgów, odczuwających to samo, gdy znajdowali się wśród zmarłych i umierających, trawieni pragnieniem ponownego tchnięcia życia w ich ciała. Co to miało wspólnego z perspektywą kontynuowania ich związku? Nie wiedział. Zaspokojony fizycznie, pragnął teraz osiągnąć pewien dystans, by uniknąć reperkusji rozbudzonych emocji.

Doyle cicho zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Spojrzał na zegarek – dochodziła piąta. Wbrew poleceniom Sparksa zamierzał czekać przynajmniej do dziewiątej. Zszedł po schodach do kuchni, aby zaparzyć sobie herbatę.

W kuchni nie było nikogo. Na dole panował absolutny spokój. Gospoda zdawała się emanować aurą odprężenia i wytchnienia. Belki skrzypiały głośno. Wyglądając przez okno, zauważył, że pułap chmur podnosi się – nadchodzący poranek będzie pogodny, czysty i chłodny.

Była tak słodka i uległa, a jednocześnie doświadczona, bez wątplenia znacznie bardziej niż on – była niczym aleja grzechu, z której roztropnie wycofał się w porę. Najbardziej, ba, nawet teraz, poruszała go jej realność, cielesność i bliskość. Pomiedzy nimi nie było żadnych barier, jak na przykład prawda o jej przeszłości, które mogłyby ich rozdzielić. W pewnym momencie rozplakała się bezgłośnie, ale dotykiem i ruchami ciała dała mu do zrozumienia, że nie chciała, aby przerywał ani zwracał na to uwagę. Spełnił jej milczącą prośbę. Co teraz odczuwał? Ta świadomość odpływała od niego, pozostając tuż

poza jego zasięgiem. Czemu jego emocje zawsze tak się ociągały? Nigdy nie mógł za nimi nadążyć.

Doyle czuł się lekko otepiały. Otworzył drzwi i wyszedł na otoczony murem dziedziniec za izbą kominkową. Śnieg pokrywał murek otaczający powykręcany, nagi dąb. Doktor oddychał głęboko i chciwie, usiłując przepełnić płuca orzeźwiającym powietrzem.

– Świeże powietrze jest takie kojące – rozległ się głos za jego plecami. Głos, który słyszał całkiem niedawno.

Aleksander Sparks stał ukryty za dębem, przyobleczony w czarny płaszcz, nieruchomy, z ukrytymi pod materiałem obiema dłońmi; w słabym świetle widać było tylko jego twarz. Oblicze miał pociągłe i szczupłe, o rysach podobnych do rysów brata, aczkolwiek na tym podobieństwo się kończyło.

Nie wyglądał jak człowiek, którego Doyle spotkał przed budynkiem numer 13 przy Cheshire Street, a zarazem doktor nie miał wątpliwości, że to on grał rolę woźnicy. Jego cera była biała i lśniąca jak pergamin. Mogło się wydawać, że jakiś wewnętrzny płomień wytopił z jego ciała niepotrzebną warstwę tkanek, pozostawiając jedynie to, co niezbędne. Jego oczy, osadzone pod ciemnymi brwiami, były wyblakłe, ozdobione zdumiewająco delikatnymi, długimi rzęsami. Proste, brązowe włosy sięgające do ramion miał szesane do tyłu; odsłaniały wysokie, gładkie czoło. Tylko usta psuły wrażenie geometrycznego układu jego twarzy – były pełne, czerwone i wilgotne. Kiedy mówił, spoza jego drobnych, białych zębów wylaniał się węzowato zwiczny język, jedyny jawny dowód nienasyconych żądz rozpalających jego wnętrze niczym blask świecy wewnątrz wydrążonej dyni. Jego obecność na dziedzińcu emanowała osobliwym magnetyzmem, ale pozbawiona była powagi; ten człowiek nie tyle zajmował przestrzeń, ile unosił się w niej. Doyle dopiero teraz uświadomił sobie, jak wielką moc generuje absolutny bezruch.

– Lubi pan tę porę nocy, doktorze?

Głos Aleksandra wyróżniała zwodnicza częstotliwość rozdzielająca się na dwie bliźniacze modulacje – donośnemu, melodyjnemu barytonowi towarzyszył drugi ton, chropawy i nieprzyjemnie wgryzający się w ucho.

– Niezupełnie.

Doyle opuścił ręce i lekko dotknął kieszeni.

– Wydaje mi się, że zostawił pan rewolwer w pokoju, z panną Tempie – rzekł Aleksander i uśmiechnął się w sposób, który można by określić mianem łagodnego.

Doyle rozluźnił ręce. Adrenalina wpływająca do krwioobiegu sprawiła, że jego serce biło znacznie szybciej. Czuł się, jakby znalazł się pod mikroskopem i usiłował jak najlepiej

stłumić w sobie zaniepokojenie. Świadom, iż człowiek ów mógł posiadać nieznanne, mesmeryczne właściwości, często mrugał i starał się nie patrzeć Aleksandrowi w oczy.

– Muszę przyznać, iż spotkanie z panem jest raczej dziwne, doktorze Doyle. Mam wrażenie jakbym już pana znał – stwierdził Aleksander z uśmiechem. – Czy pan podziela moje odczucie?

– Już się kiedyś spotkaliśmy.

– Aczkolwiek nieświadomie. – Aleksander zdawkowo pokiwał głową. Był to pierwszy ruch, jaki wykonał.

Doyle rozejrzał się nieznacznie wokoło. Jediną drogę ucieczki mogły stanowić znajdujące się za nim otwarte drzwi, ale wspinając się po schodach byłby całkowicie odsłonięty.

– Czego pan chce? – zapytał Doyle.

– Uznałem, że już czas, abym dokonał bardziej formalnej prezentacji. Obawiam się, doktorze, iż mój młodszy brat, John, mógł przedstawić panu nieco spaczoną, żeby nie powiedzieć fałszywą, ocenę mojej osoby.

Nie wolno mi słuchać. Nie chcę tego słuchać – pomyślał instynktownie Doyle. Nie odpowiedział słowem ani gestem.

– Doszedłem do wniosku, iż jest rzeczą konieczną, abyśmy poznali się bliżej i bym mógł, że tak powiem, zweryfikować obłąkańcze wizje Johna.

– Czy mam jakiś wybór?

– Zawsze istnieje wybór, doktorze – odparł, uśmiechając się promiennie.

Efekt ten skojarzył się Doyle'owi z kroplami kwasu, kapiącego wolno na ciemne, polerowane drewno. Doktor milczał tak długo, jak tylko mógł.

– Chciałbym wziąć mój płaszcz. Jest mi zimno – rzekł wreszcie.

– Oczywiście.

Doyle czekał. Aleksander nie poruszył się.

– Teraz? – zapytał Doyle.

– Nic nie zyskamy, jeżeli zamarznie pan na śmierć.

– Płaszcz jest w moim pokoju.

– To oczywiste.

– W takim razie pójdę.

– Zaczekam tu na pana – rzekł Aleksander.

Doyle skinął głową i skierował się ku budynkowi. Aleksander stał bez ruchu i obserwował. Doyle odwrócił się, przeszedł przez izbę kominkową i wszedł na piętro.

O co tu chodzi? – zastanawiał się Doyle. Ten mężczyzna był potwornie pewny siebie, a może raczej nieroztropnie arogancki. *Ściga mnie niezmordowanie przez dobre kilka dni, a gdy ma mnie w zasięgu ręki, ot tak, po prostu mnie puszcza.* Wiedział doskonale, że Aleksander Sparks dał mu przed chwilą nader wykwintny i zdradziecki popis swych aktorskich umiejętności. Co było jego prawdziwym celem? Dlaczego grał?

Doyle bezgłośnie wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. Zasłony były zaciągnięte, okna pozamykane. Wszystko wydawało się nienaruszone. Ale Eileen zniknęła.

A więc o to chodziło – zatrzymał mnie tam, aby jego ludzie mogli ją porwać. Doyle sięgnął po swój płaszcz. Rewolweru nie było w kieszeni, do której go włożył – ani w żadnej innej. Jego torba nadal stała na podłodze. Otworzył ją, przeszukując zapasy medykamentów w poszukiwaniu kilku fiolek i dwóch strzykawek. Odnalazł je. Wbił igły do pojemników, nappełnił obie strzykawki przezroczystym płynem, wyrwał niewielką dziurę w wewnętrznej kieszeni płaszcza i wrzucił do środka dodatkowe fiołki. Strzykawki wsunął po jednej za cholewki butów. Obawiając się, czy nie wzbudzi podejrzeń swą przedłużającą się nieobecnością, Doyle zbiegł po schodach. Aleksander czekał przy otwartych frontowych drzwiach, równie skupiony i nieruchomy jak poprzednio.

– Gdzie ona jest? – spytał Doyle.

Aleksander wskazał ręką w przestrzeń.

– Jeśli coś jej się stało...

– Proszę, tylko bez grózb. – Wydawał się rozbawiony, uśmiech ledwie zastygł na jego wilgotnych ustach. – Jest raczej bezpieczna.

– Chcę ją zobaczyć.

– Ależ oczywiście.

Aleksander uniósł długą, smukłą dłoń i gestem zaprosił do wyjścia. Na podjeździe stał wielki, czarny powóz zaprzężony w czwórkę koni; był to ten sam złowrogi pojazd, który Doyle widział już wcześniej, lub jego doskonała kopia. Doyle podszedł do powozu. Woźnica siedzący sztywno na koźle nie odwrócił się w jego stronę. Zasłony w oknach były zaciągnięte.

– Jest w środku.

Doyle drgnął. Aleksander stał tuż za nim; doktor nie widział ani nie słyszał, by mężczyzna wyszedł z gospody. Doyle otworzył drzwiczki i wsiadł do kabiny. Wnętrze oświetlało słabe światło lamp zamontowanych w powozie.

Eileen leżała na tylnym siedzeniu, oparta o ścianę, nieprzytomna. Doyle sprawdził jej puls i oddech – były słabe, ale miarowe. Wyczuł wokół jej nosa i ust delikatną woń ulatniającego się środka chemicznego – eteru lub innej, nieco silniejszej substancji.

Drzwiczki powozu przymknęły się. Doyle odwróciwszy się, ujrzał siedzącego naprzeciw nich Aleksandra. Przy wtórze głośniego, metalicznego szczęku, klamki zapadły i drzwiczki zatrzasnęły się mechanicznie. Powóz ruszył. Doyle trzymał Eileen w ramionach. Aleksander popatrzył współczująco.

– Jeśli to pana nie urazi, doktorze, śmiem twierdzić, że tworzycie wielce atrakcyjną parę – powiedział łagodnie.

Przepełniony odrazą, że ten człowiek wiedział o szczególnej więzi, jaka ich niedawno połączyła, Doyle nie skomentował jego słów. Przytulił Eileen i poczuł kojące ciepło jej szyi na swoim ręku.

– Dokąd jedziemy?

Aleksander nie odpowiedział.

– Do Ravenscar?

Aleksander obdarzył go surowym uśmiechem. Jego koścista twarz w bladym świetle wyglądała upiornie, jak naga czaszka odarta z wszelkich pozorów człowieczeństwa.

– Jest coś, co musi pan wiedzieć o moim bracie, doktorze. Nasi rodzice zginęli tragicznie, podczas pożaru, kiedy Jonathan był bardzo małym chłopcem. Był to potworny cios dla bardzo szczęśliwego, rozwiniętego dziecka. Ja osiągnąłem już wiek, w którym mogłem się usamodzielnąć, ale Jonathan wyrokiem sądu znalazł się pod opieką przyjaciela rodziny, lekarza o raczej radykalnych, postępowych ideach, lecz stosującego niewybredne metody działania. Po wielu miesiącach, nie osiągnąwszy zauważalnej poprawy w jego stanie, lekarz ów począł leczyć histerię Jonathana seriami narkotycznych zastrzyków. Początkowo kuracja odniosła skutki i zdołała zwalczyć jego chimeryczne nastroje. Nie minęło wiele czasu i stan zdrowia Jonathana znacznie się poprawił – chłopiec wydawał się równie radosny i beztroski jak przed tą straszną tragedią.

Niestety, doktor nie przerwał kuracji i szprycował go zastrzykami jeszcze przez wiele miesięcy. W konsekwencji dożyłotnio uzależnił Jonathana od narkotyku i do dziś co pewien czas odczuwa on jego głód. W chwilach szczególnych wzburzeń emocjonalnych pod wpływem narkotyku staje się skrajnie nadpobudliwy, a nawet niebezpieczny. Zdarzały się też przypadki ostrej demencji, wymagające hospitalizacji w zakładach zamkniętych, specjalizujących się w leczeniu zaburzeń umysłowych.

– Takich jak Bedlam – rzekł Doyle.

– To smutne, ale tak – powiedział Aleksander, potrząsając bezradnie głową. – Starłem się najlepiej jak mogłem opiekować bratem w tych strasznych chwilach. Jednak, jak często bywa, gdy ktoś z miłością i współczuciem wyciąga pomocną dłoń do cierpiącego

okropne katusze kokainisty, okazało się, że narkotyk omotał go do tego stopnia, iż zaczął uznawać mnie za swego śmiertelnego wroga, pragnącego za wszelką cenę oddalić go od substancji będącej jego jedyną ostoją. Jako lekarz powinien pan znać podobne przypadki.

Doyle na własne oczy całkiem niedawno widział, jak Sparks zaspokajał ów głód i zdawał sobie sprawę, jakie spustoszenie mogło poczynić w ludzkim umyśle podobne uzależnienie. Aleksander opowiadał tę historię z taką szczerością, że Doyle w pewnym momencie prawie mu uwierzył. Jego wersja diametralnie różniła się od tego, co opowiadał mu o nim Jack, a Doyle nie przedstawił mu jeszcze oskarżeń wysuwanych przez jego brata. Niemożliwością było, aby choć przez chwilę nie uwierzyć w prawdziwość wersji prezentowanej przez Aleksandra. Z drugiej jednak strony, jeśli dysponował on chociażby ułamkiem mocy, jaką przypisywał mu Jack, owe, niejako rutynowe łgarstwa przychodziłyby mu bez najmniejszych trudności. A jeżeli kłamie – pomyślał Doyle – to w jakim celu?

– Dlaczego pański brat został umieszczony w Bedlam? – spytał obojętnie Doyle.

– Napaść na funkcjonariusza policji. Usiłował wedrzeć się do Pałacu Buckingham. Jedno z jego głównych urojeń polega na wyimaginowaniu sobie więzi łączącej go z królową.

– Co to za związek?

– Twierdzi, że pracuje w ścisłej konspiracji i pod bezpośrednim zwierzchnictwem Jej Królewskiej Mości, rozpracowując skomplikowany spisek zagrażający sukcesji angielskiego tronu. Głównym inspiratorem i mózgiem spisku miałbym być ja, we własnej osobie. Śledzi mnie, dokądkolwiek się udam, usiłuje ingerować w moje sprawy. To trwa od lat. Zwykle wszystko kończy się szczęśliwie. W tym przypadku było inaczej.

– Czemu miałby to robić?

– Jak pan wie, w przypadku zaburzeń psychicznych trudno jest mówić o czymś ze stuprocentową pewnością. Mój przyjaciel, psychiatra z Wiednia, z którym konsultowałem tę sprawę, domniemywał, że Jonathanem powoduje pragnienie ponownego przeżywania przytłaczającej utraty naszych rodziców – przy czym królowa staje się dlań surogatem matki, „ocalenie” zaś jej życia przed wyimaginowanym zagrożeniem miałoby ją w jakiś sposób wskrzesić.

– Rozumiem.

– Co mówił panu na ten temat, doktorze? – spytał uprzejmie Aleksander.

Chce wiedzieć, co wiem – zorientował się Doyle. O to chodzi. Chce poznać rozmiar szkód.

– Jonathan był bardzo zżyty z waszą matką, prawda? – zapytał Doyle.

– Tak, to prawda – rzekł Aleksander.

Doyle starał się nie zdradzić niczego wzrokiem.

– A czy pan był z nią równie blisko? – zapytał.

Aleksander uśmiechnął się, ukazując mlecznobiałą linię idealnych zębów.

– Każdy chłopiec jest blisko związany z matką – odparł.

Powóz zwolnił i zaczął piąć się w górę po rozległym, łagodnym stoku. Eileen poruszyła się w ramionach Doyle'a.

– A pański ojciec, panie Sparks?

– Co z nim? – Aleksander wciąż się uśmiechał.

– Jak przedstawiał się związek pomiędzy wami?

– Wydaje mi się, że mówimy tu o Johnie i jego więziach. – Uśmiech pozostał, ale Doyle wyczuł subtelne napięcie.

– Nie przeczę – stwierdził Doyle, skrzętnie wykorzystując swoją nieznaczną przewagę. – A skoro, jak mniemam, nie są panu obce podstawy psychologii, musi pan wiedzieć, że jednym z podstawowych obszarów badań są więzi rodzinne.

Aleksander nie zareagował w żaden widoczny sposób.

– Na przykład, jak określiłby pan związek między Jonathanem a panem?

Uśmiech Aleksandra jakby przymarzył do jego ust.

– Byliśmy... daleko od siebie. Przez większą część jego dzieciństwa przebywałem w szkole z internatem.

– Czy kontaktował się pan z nim w owym czasie? Odwiedzał go pan? Pisywał listy?

Aleksander nieznacznie poruszył się na siedzeniu.

– Nic nadzwyczajnego.

– A więc pisywał pan do niego.

– Czasami.

– I naturalnie widywał się pan z nim w czasie swoich wizyt w domu.

Aleksander zawahał się.

– Oczywiście.

Nie chce o tym mówić – stwierdził Doyle – a jednocześnie usiłuje to ukryć, aby nie wzbudzić moich podejrzeń. Nie wie, co ja wiem. Ta myśl wstrząsnęła Doyle'em.

– Czy istniały jakieś zdrażnienia w pańskich stosunkach z Jonathanem?

– Zdrażnienia jakiego rodzaju?

– Rywalizacja.

Aleksander uśmiechnął się.

– Na Boga, nie – odparł.

– Chłopcy często jednoczą się przeciwko osobom z autorytetem. Czy miały miejsce incydenty, które mogły nie spodobać się waszym rodzicom?

– Czemu pan pyta?

– Usiłuję ustalić, czy Jonathan wytworzył w sobie ukrytą wrogość względem rodziców – odparł Doyle, improwizując naprędce. – Innymi słowy, czy istnieją powody, by przypuszczać, że ten fatalny pożar mógł zostać wywołany nieprzypadkowo?

Te słowa wyraźnie złagodziły opór Aleksandra. – To ciekawe. Szczerze mówiąc, doktorze, ja również często się nad tym zastanawiałem.

– Hmm. Tak. Pamięta pan, czy Jonathan miał jakieś amulety albo przedmioty mające dlań szczególną wartość? – rzekł Doyle, poczynając sobie coraz śmieiej i kontynuując rozpoczęte rozumowanie dedukcyjne z napuszeniem typowym dla zawodowca. – Zwykle przedmioty – zwane niekiedy fetyszami – stanowią czasami ważne ślady, mogące pomóc w określeniu właściwych przyczyn choroby...

– Jakie przedmioty ma pan na myśli?

– To może być cokolwiek – kamyki, świecidełka, błyskotki, naszyjniki. Nawet kosmyk włosów.

W oczach Aleksandra rozbłysła iskierka niepewności. Czy przejrzał blef? Doyle czekał, aż tamten odpowie, potulnie grając rolę zatroskanego lekarza. O jego przejęciu i zaangażowaniu miało świadczyć zmarszczone posepnie czoło.

– Nie przypominam sobie niczego takiego – rzekł Aleksander. Rozchylił zasłony, by wyrzeć na zewnątrz.

Doyle pokiwał głową z zadumą.

– Czy kiedykolwiek zdradzał skłonności do przemocy względem innych, zwłaszcza młodszych od siebie dzieci? – zapytał.

– Nie – odparł Aleksander, odwracając się plecami. W jego głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia.

– A może odkąd osiągnął wiek dojrzały przejawiał brutalne zachowania wobec kobiet?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Kiedy pierwszy raz poczuł pan wrogość ze strony Jonathana?

– Nic nie mówiłem o jakiegokolwiek wrogości względem mnie.

– Rozumiem. Zaprzecza pan, że miały miejsce...

– Nie powiedziałem...

– A więc między wami miały miejsce zatargi...

- Był trudnym dzieckiem...
- Może był zazdrosny o więź pomiędzy panem a pańską matką...
- Być może.
- A może pragnął pozyskać uczucia matki wyłącznie dla siebie.
- O tak, wiem, że tak.
- I może był również zazdrosny o zażyłość stosunków pomiędzy nią a pańskim ojcem.
- Oczywiście, że tak. – W głosie Aleksandra brzmiało głębokie przekonanie.
- Do tego stopnia, że za konieczne uważał wyeliminowanie wszystkich rywali zabiegających o jej uczucia...
- Zgadza się...
- A był tylko jeden sposób, aby tego dokonać, nieprawdaż?
- Tak...
- I dlatego wzniecił pan pożar...
- Tak!

Doyle zamilkł. Aleksander zmitygował się, dokładnie w tej samej chwili, gdy z jego ust padło to pojedyncze, krótkie słowo. Gadzi chłód natychmiast zmienił jego oblicze w maskę brutalnej pogardy.

– A zatem wierzy pan, że Jonathan zabił pańskich rodziców – rzekł Doyle, śmiało kontynuując to nietypowe przesłuchanie.

– Tak – odrzekł niepewnie Aleksander. Jego górna warga wykrzywiła się w mimowolnym grymasie, nozdrza wydeły, a powieki opadły złowieszczo. Wyglądał jak dzikie zwierzę. Tak wygląda naprawdę – pomyślał Doyle – to jest jego prawdziwe oblicze.

– Rozumiem – rzekł Doyle i ponownie pokiwał głową. – Wszystko to jest bardzo interesujące, panie Sparks. Może być pan pewien, że wezmę pod rozwagę pańską skrupulatną analizę.

– Teraz? – Głos Aleksandra był ochryply i szorstki, złowieszczy ton wypłynął z głębin i czał się tuż pod powierzchnią.

– Dobrze – mruknął Doyle, pokonując lęk. – Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, a nie mam powodu, aby w to wątpić, pański brat może zagrażać nie tylko samemu sobie. Szczerze powiedziawszy, jestem przekonany, że może stanowić poważne zagrożenie również dla pana.

Doyle uśmiechnął się z zadowoleniem, rozparł wygodnie na siedzeniu i udawał, że rozmyśla o jakichś ulotnych sprawach. Proszę, Boże, niech mnie uzna za nieszkodliwego pedanta – pomyślał. Nie odważył się spojrzeć ponownie na Aleksandra, ale czuł na sobie jego gorący, świdrujący wzrok. Czy posunął się za daleko? Zbyt wcześnie, aby to stwierdzić. Ten

człowiek nie rzuci mu się do gardła, pomimo że dostatecznie go sprowokował. Niemniej fakt pozostawał faktem – Aleksander dał się okpić. Trudno byłoby chyba znaleźć inny powód, który mógłby wprawić go w morderczą furję. Gdyby nawet Aleksander przejrzał tę małą gierkę, jego gniew i tak byłby skierowany do wewnątrz, doktor starał się bowiem sprawiać wrażenie nieświadomego swoich dokonań. Pycha. To właśnie ona była przyczyną upadku Lucyfera. Każdy człowiek ma jakąś słabość, to wynika z ludzkiej natury, ale jeśli nawet udało mu się odkryć ją u Aleksandra Sparksa, Doyle nie wątpił, iż ma przed sobą wyjątkowo niebezpiecznego człowieka. Słowa Jacka sprawdziły się. On i Eileen pozostawali przy życiu, ponieważ ich wróg nie wiedział, ile Jack opowiedział im na jego temat i z kim jeszcze mogli podzielić się tą wiedzą.

Reasumując, jeszcze wiele pytań na temat młodszego Sparksa wymagało odpowiedzi, ale dzięki mimowolnemu wyznaniu Aleksandra, dotyczącemu prawdziwej przyczyny śmierci ich rodziców, Jack mógł przynajmniej zostać uwolniony od ciężaru tej jednej, potwornej zbrodni. Pełną udręki muzykę, którą słyszał w wykonaniu Jacka, zrodziło nie poczucie winy, ale smutku. A jeśli rzeczywiście, jak twierdził Jack, Aleksander zamordował ich rodziców, znacznie łatwiej można było uwierzyć w inne zbrodnie, które mu przypisywano.

Doyle rozsunął zasłony. Droga biegła ponad urwiskiem, równoległe do pozbawionego drzew, omiatanego wiatrem brzegu. Niebo na wschodzie nad odległym morzem zaczynało jaśnieć. Do świtu zostało już tylko kilka minut.

Eileen ponownie się poruszyła, jej oddech pogłębił się, narkotyk przestawał działać. Czy można było ją w jakiś sposób uratować? Doyle, chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że był odtąd zdany tylko na siebie – los braci był nader niejasny, a kto wie, czy Jackowi również nie przytrafiło się coś złego. Doktor nie miał jednak teraz czasu ani ochoty na opłakiwanie tych, co odeszli. Brzemie odpowiedzialności za życie, które trzymał w ramionach, dodawało mu sił i zdecydowania. Spojrzał na Aleksandra i poczuł ucisk strzykawek wciśniętych za cholewki butów. Jeszcze nie – pomyślał. Eileen jest tak blisko.

Powóz zwolnił, gdy koła zaturkotały na kamiennym bruku. W chwilę później przejechali pod łukowato sklepioną bramą ozdobioną z dwóch stron bliźniaczymi, granatowymi posągami wielkich drapieżnych ptaków.

– Ravenscar – rzucił Aleksander. Jego oblicze raz jeszcze przyjęło wyraz sztucznego dystyngowania.

Doyle pokiwał głową. Usłyszał, jak brama za nimi zamyka się, a w chwilę później powóz stanął. Ostre szarpnięcie sprawiło, że Eileen ocknęła się z zamroczenia. Ujrzała twarz Doyle'a, poczuła uścisk jego ramion i z cichym szeptem zadowolenia przytuliła się mocniej

do niego. Objął ją silniej i delikatnie pogłaskał po włosach. Usłyszawszy trzask drzwiczek, Doyle uniósł wzrok i stwierdził, że Aleksander Sparks zniknął.

Lokaj w liberii otworzył drzwiczki powozu po ich stronie i gdy spojrzeli na niego, ujrzeli okrągłą, rumianą, uśmiechniętą twarz, ozdobioną dwoma stożkowatymi kępkami siwych włosów, jakby przyklejonych po bokach lśniącej łysiny. Grube szkła okularów powiększyły szaroniebieskie oczy lokaja do rozmiarów jaj drozda.

– Doktor Doyle, zgadza się?

– Tak.

– Cieszymy się, że przybył pan do Ravenscar. Jest nam niezmiernie miło gościć pana – powiedział mężczyzna z charakterystycznym szkockim akcentem.

Słyszając obcy głos, Eileen wyraźnie się ożywiła. Doyle pochylił się do przodu i energicznie uściśnął podaną mu dłoń.

– Biskup Pillphrock – domyślił się Doyle, widząc koloratkę i sutannę.

– We własnej osobie. Jak się pan miewa, doktorze?

– Panna Eileen Tempie – rzekł Doyle, przytrzymując ją za ramiona i podnosząc do pozycji siedzącej.

– O tak, jestem doprawdy zaszczycony, że mogę panią poznać, panno Tempie – powiedział biskup, ukazując w uśmiechu garnitur popsutych zębów i ujmując dłoń aktorki w swoje dłonie.

Eileen miała pewne trudności z zobaczeniem biskupa, ale jeżeli chodziło o etykietę, okazała się wyśmienita.

– *Enchantée* – powiedziała z olśniewającym uśmiechem.

– Czarująca, naturalnie! Zapraszam, zapraszam do środka – rzekł biskup, wycofując się od drzwi powozu i wykonując zamaszysty, zapraszający gest ręką. – Przygotowujemy dla państwa gorącą kąpiel, aby usunąć z kości zmęczenie po podróży, ciepłe łóżka, jeśli pragniecie państwo wypocząć, i sute śniadanie, które wzmocni waszego ducha. Tędy.

Doyle pomógł Eileen wysiąść z powozu. Wsparła się na jego ramieniu, gdy poczuła, że uginają się pod nią kolana. Doyle rozejrzał się wokoło – znajdowali się na okrągłym, wyłożonym kocimi łbami dziedzińcu otoczonym wysokimi, grubymi murami. Wczesny świt skąpał wszystko gęstym kokonem złocistej szarości. W łukowato sklepionym przejściu, przez które wjechali do środka, znajdowała się ogromna brama z imitującego marmur czarnego drewna, obitego blachą. Dwa rzędy służących – wielu z nich trzymało w dłoniach latarnie – formowały szpaler ciągnący się aż do drzwi wejściowych znajdującego się przed nimi domu, który bardziej zasługiwał na miano średniowiecznej fortecy: skrzydła, powietrzne przypory,

masywne, okrągłe wieżyczki przyozdobione sztandarami niknącymi wśród oparów mgieł. W słabym świetle Doyle ujrzał wylaniającą się spomiędzy blanek lufę działa.

– Serdecznie witamy. Naprawdę jesteśmy zaszczytzeni. Proszę tędy, za doktorem Doyle'em, panno Tempie – rzekł biskup z anielskim uśmiechem. Wysforował się naprzód, niski, krępy, grubawy człowiek, idący zadzierzystym krokiem, typowym dla wiele młodszych od niego mężczyzn. Doyle i Eileen ruszyli za nim. Aktorka obiema dłońmi ścisnęła jedną rękę doktora, drugą Doyle obejmował ją w pasie.

Doyle uważnie przyglądał się mijanym służącym. Byli to postawni, twardzi, wysocy, dobrze zbudowani mężczyźni. Zimne i beznamietne oblicza pod kapturami mogły być twarzami napastników, którzy przed kilkoma godzinami ścigali ich po ośnieżonych zboczach.

– Gdzie jesteśmy, Arthurze? – wyszeptła Eileen.

– W bardzo złym miejscu – powiedział Doyle.

– Co my tu robimy?

– Nie wiadomo dokładnie.

– No cóż... Może nie jest to miejsce, w którym chciałabym się znaleźć, ale dobrze, że jesteś tu ze mną.

Przytulił ją mocniej. Kilku służących opuściło szereg i weszło za nimi przez ogromne podwójne drzwi, do których doprowadził ich biskup. Wnętrze nawiązywało do wizerunku stworzonego przez fasadę zamczyska. Ściany i sufity obwieszane były mnóstwem heraldycznych sztandarów i ozdób. W rozległym holu roilo się od rycerskich zbroi, ustawionych jak posągi w pozycjach bojowych. Pośrodku pomieszczenia znajdował się długi, wąski stół z gładkiego, polerowanego drewna. Na drugim końcu sali, w kominku szerokim i głębokim jak stara sypialnia Doyle'a, palił się stos polan wielkości kutra wielorybniczego.

– Obawiam się, że jest trochę za wcześnie, aby nasi goście byli już na nogach – stwierdził biskup, prowadząc ich ku monumentalnym, kamiennym schodom. – Ale zapewniam, iż nie mogą się doczekać, aby państwa poznać.

– A ten dżentelmen, który przyjechał z nami powozem... – rzekł Doyle.

– Tak – powiedział z ożywieniem biskup.

– Pan Graves? Pan Maksymilian Graves?

– Tak? – Biskup, uśmiechając się, poprowadził ich schodami na górę.

– Pański kolega. Z zarządu firmy Rathborne i Synowie.

– Tak, tak. Rathborne i Synowie, tak.

– A więc to był on?

– On tak powiedział?

– Nie.

– Ach, tak – mruknął biskup i znów się uśmiechnął. Doyle nie wiedział, czy ten człowiek faktycznie jest tępy, czy tylko udawał idiotę.

– Po prostu staram się stwierdzić – dodał z naciskiem Doyle – czy ten człowiek to pan Maksymilian Graves.

– Och, nie chciałbym wypowiadać się w imieniu pana Gravesa.

– A więc to był pan Graves?

– Tak panu powiedział?

Eileen i Doyle spojrzeli na siebie rozszerzonymi oczyma; kretyńskie rozbawienie biskupa dotarło nawet do niej, choć jeszcze była oszołomiona działaniem, narkotyku.

– Powiedział, że nazywa się Aleksander Sparks.

– Cóż – mruknął biskup. – On na pewno wie to najlepiej, nieprawdaż? I już jesteśmy na miejscu.

Muskularny służący, stojący przed drzwiami, otworzył je, gdy się zbliżali, a biskup energicznym gestem zaprosił ich do środka. Wystrój pokoju i jego styl różnił się diametralnie od spartańskiego militarysty, który zdawał się dominować we wszystkich innych zakątkach tej budowli. Podłogę wyściełały miękkie perskie dywany. Nad bliźniaczymi łóżkami rozpięte były baldachimy. Nie sposób było również nie zachwycić się wspaniałymi, wygodnymi fotelami i otomanami. Gobeliny zawieszane na ścianach nie ukrywały ich obłóci, co zdawało się świadczyć, iż pokój mieści się w jednej z licznych wież Ravenscar. Pojedyncze, wąskie okienko wychodziło na północny zachód, gdzie nieba nie rozświetlał jeszcze blask budzącego się dnia.

– Łazienka jest tutaj – powiedział biskup. Otworzył znajdujące się opodal drzwi, prowadzące do wyłożonej czarno-białymi kafelkami komnaty, gdzie służący wlewali parującą, gorącą wodę do wysokiej, mosiężnej wanny. – Proszę wypocząć i odświeżyć się, zanim zechcecie państwo do nas dołączyć. Nasi goście są dla nas zawsze najważniejsi. Jeśli będziecie państwo czegoś potrzebować, czegokolwiek – dodał biskup, ujmując aksamitny sznur zwieszający się z sufitu – wystarczy raz zadzwonić i zaraz ktoś się zjawi.

Doyle i Eileen podziękowali mu, a biskup opuścił pokój, wyrzucając z siebie niekończący się potok banałów. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Doyle przyłożył palec do ust, podszedł do drzwi i wyglądając przez otwór judasza, ujrzał stojącego na korytarzu zimnookiego lokaja. Doyle opuścił kłapkę i podszedł do okna, podczas gdy Eileen przysiadła na krześle i zaczęła zdejmować buty.

– Mam ogromną ochotę na kąpiel – powiedziała, wciąż jeszcze lekko przymroczone.

Okna wychodziły na dziedziniec. Przez wielką bramę na teren posesji wjeżdżało i wyjeżdżało sporo pojazdów – głównie wozy z płóciennymi budami; widać było również liczne drużyny piesze – patrole uzbrojone w strzelby, które krążyły zarówno po dziedzińcu, jak i na murach wokół posesji.

– Jeżeli mają zamiar nas zabić – powiedziała Eileen, niezdarnie manipulując przy guzikach bluzki – najwyraźniej chcą mieć czyste, wypoczęte trupy.

Doyle powiódł spojrzeniem nieco dalej w lewo, gdzie na zachodzie poranne słońce obmywało połąć płaskiej równiny – był to, o ile Doyle nie stracił orientacji – skraj trzęsawisk północnego Yorkshire. Gdzieś tam znajdowała się posiadłość, którą generał Marcus McCauley Drummond odebrał lordowi Nicholsonowi. Pas terenu o niewielkiej wartości, zważywszy, że znajdują się tam głównie bagna. Być może miało to coś wspólnego z bliskością Ravenscar – skonstatował Doyle. Gdy mgła podniosła się, w oddali zdołał dostrzec niskie kształty wylaniające się ze śniegu pokrywającego moczary; pudełkowate budowle będące dziełem rąk ludzkich – być może magazyny do składowania torfu.

– Wykąpię się pierwsza, Arthurze, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała Eileen, zrzucając bluzkę i ze spodniami opuszczonymi do kostek podreptała w stronę łazienki.

– Tak. Świetnie – mruknął Doyle zamyślony, ale nie na tyle, by nie rzucić okiem na jej wspaniałe kształty, kiedy przemknęła obok niego. W chwilę później usłyszał radosne pluskanie, krótki okrzyk, chichot, aż wreszcie zadowolone westchnienie.

Kontynuując obserwację, Doyle stwierdził, że Ravenscar jest tak mocno wysunięte na południe, iż wyglądając przez okno, dostrzega jedynie pas muru i rozległy fronton gmachu. Za murami znajdowała się wysoka budowla, do której dochodziła ciągnąca się na zachód linia kolejowa. Przez olbrzymie drzwi do gmachu stale wchodzili i wychodzili ludzie. Na placu przed budynkiem stały wagony towarowe. Z dwóch wielkich kominów pośrodku dachu były w niebo kłęby czarnego dymu. Poniżej kominów, zajmując spory fragment ściany, znajdował się ozdobny wizerunek przedstawiający kobietę stojącą w kuchni i podającą małemu chłopcu biskopka. Powyżej znajdował się napis JAK U MAMY.

– Arthurze? – Usłyszał cichy plusk przelewającej się leniwie wody.

– Tak, Eileen.

– Mógłbyś przyjść do mnie?

– Tak, Eileen.

Doyle zdjął płaszcz, wyjął ukryte w wewnętrznej kieszeni ampułki i strzykawki zza cholew butów i wcisnął je pod poduszki otomany. W chwilę później wszedł do łazienki.

Eileen leżała z rękoma splecionymi na piersiach i zamkniętymi oczyma, oparta o

ściankę wanny wyrzeźbionej na kształt mosiężnego smoka o czterech szponiastych łapskach. Jej skóra wyglądała jak alabaster. Na górnej wardze perliły się kropelki potu. Włosy miała upięte luźno na czubku głowy, ale kilka długich kosmyków sięgało koniuszkami powierzchni wody. Doyle na ten widok momentalnie się zamyślił – ta niesłabnąca fascynacja kobiecymi włosami. Skąd one wiedzą, co należy z nimi robić, jakim cudem radzą sobie we wszystkich sytuacjach? Jak to się dzieje, że gdy poruszają głową, włosy zdają się żyć własnym, odrębnym życiem?

– Jestem w niebie – wyszeptała sennie.

– Czyżby?

– Chyba dali mi jakiś narkotyk.

– Tak, kochanie.

– Mam mętlik w głowie. – Z trudem wymawiała słowa. – Moje reakcje na różne rzeczy wydają się... eee... przesadzone.

– To również możemy złożyć na karb narkotyku.

– W takim razie, to wrażenie powinno niebawem minąć.

– Tak.

– Hmm. Szkoda. Nie mogę ci wiele pomóc.

– Jesteś bezpieczna. To przede wszystkim się liczy.

Zapraszającym gestem oparła dłoń na brzegu wanny. Ujął ją, wpatrując się w krople wody kapiące z ich splecionych palców.

– Pan Sparks nie wrócił? – powiedziała.

– Nie.

– To bardzo niepokojące.

– Tak.

– Mamy poważne kłopoty.

– Tak, kochanie. Obawiam się, że tak.

– W takim razie pomoczę się tu jeszcze parę minut – wyszeptała. – A potem chciałabym, abyś zaniósł mnie do łóżka. Co ty na to, Arthurze?

– Jestem za, kochanie. Uważam, że to świetna myśl. Uśmiechnęła się i ścisnęła jego dłoń. Doyle usiadł na brzegu wanny i czekał.

Zażyłość wzbudza kilka innych uczuć poza pogardą – pomyślał Doyle, leżąc na miękkim, puchowym łóżku i stopniowo poddając się zmęczeniu. Na przykład, namiętność. Wskutek narkotyku, który wciąż krążył w jej organizmie, lub może niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli, Eileen oddała mu się znacznie gwałtowniej i pełniej, niż gdy kochali się

poprzedniej nocy. Leżała teraz w jego ramionach, pogrążona we śnie, a jej ciemne włosy układały się niczym egzotyczny welon na białej pościeli. Ku swemu zaskoczeniu nie miał trudności z pogodzeniem bardziej wysublimowanych uczuć z ekstatycznym, niemal zwierzęcym spółkowaniem, jakiemu oddawali się przed kilkoma minutami. Żaden akt miłosny w jego życiu nie wydawał się bardziej szczery. Zasnął przepelniony wdzięcznością do swojej matki, która zapomniała przestrzec go przed aktorkami.

Doyle obudził się gwałtownie, jego sny umknęły niczym spłoszeni włamywacze. Nikłe światło w odcieniu ciemnego oranżu przenikało nieśmiało pod ostrym kątem przez wąziutkie okna. Instynkt podpowiadał mu, że ktoś odwiedził ich pokój, kiedy spali. Usiadł. Jego ubranie zniknęło z podłogi, gdzie je rzucił; nigdzie nie było go widać.

Naprzeciwko łóżka ujrzał wytworny frak i czarną, aksamitną suknię. Eileen, uśpiona, leżała obok niego. Ostry ucisk w dołku podpowiadał mu, że był głodny jak wilk. W kieszeni fraka Doyle znalazł swój zegarek. Otworzył kopertę – czwarta. Już prawie wieczór! Wciągnął spodnie – pasowały idealnie – i podchodząc do okna, nałożył na ramiona szelki.

Słońce zbliżało się szybko ku zachodniemu horyzontowi. Na dziedzińcu wciąż roilo się od ludzi – na murach niezmiennie stali uzbrojeni wartownicy. W pobliskiej fabryce praca najwidoczniej dobiegła końca – z kominów nie wydobywał się już dym. Jednak wąska, szara smużka sączyła się z jednego z mniejszych budynków nieco dalej, na moczarach.

Sięgając ręką pod poduszki sofy, Doyle stwierdził, że ampułki i strzykawki wciąż znajdują się tam, gdzie je schował, po czym udał się do łazienki.

Dzbanek gorącej wody, miseczkę do golenia i brzytwę znalazł obok ceramicznej umywalki, przed lustrem, wraz z naczyniem zawierającym aromatyczny środek na włosy.

Po pięciu minutach umyty i ogolony Doyle wrócił do sypialni. Eileen, owinięta prześcieradłem, siedziała na brzegu łóżka, przykładając wierzch dłoni do czoła.

– Kopnąłeś mnie w głowę czy uderzyłeś pałką?

– Poczujesz się lepiej, kiedy wstaniesz i rozruszasz się. Zostawili dla nas ubrania – stroje wieczorowe. Najwyraźniej zapraszają nas na kolację.

– Jedzenie. – Ta myśl ożywiła ją i najwyraźniej zepchnęła w cień fizyczne dolegliwości. Uniosła wzrok i spoglądając na Doyle'a, podzieliła się niewiarygodną nadzieją:
– Jedzenie.

– Kusząca propozycja – rzekł Doyle i nim podszedł do drugiego łóżka, pocałował ją.

– Mam wrażenie, jakbym nie jadła od miesięcy.

– Nie spiesz się. Ja tymczasem trochę się rozejrzę – rzucił Doyle i szybko dokończył toaletę.

– Prawie nie pamiętam, co to jest jedzenie – powiedziała Eileen i ciągnąc za sobą prześcieradło, podreptała do łazienki. – A tym bardziej, jak ono smakuje.

Doyle zawiązał krawat, przejrzał się w lustrze, włożył do kieszeni na piersi chustkę i podszedł do drzwi. Klamka nie stawiała oporu.

Z dołu dobiegały dźwięki spokojnej muzyki klasycznej. Kiedy Doyle wyszedł z sypialni, dwaj mężczyźni na galeryjce energicznie podnieśli się z krzeseł. Obaj byli nieco po pięćdziesiątce i mieli podobne smokingi. Trzymali w rękach szklaneczki z drinkami – niższy, wytworny mężczyzna o mocno przerzedzonych włosach i starannie utrzymanej czarnej brodzie, palił krótkie, pękate cygaro. Wyższy miał szerokie bary i sztywną postawę wojskowego, siwe włosy ostrzyżone krótko „na pazia”, a jego kanciastą, bezkompromisową twarz zdobił gęsty, sumiasty, siwy wąs. Trzymał się o krok za niższym mężczyzną, który natychmiast podszedł do Doyle'a z wyciągniętą ręką.

– Właśnie o czymś rozmawialiśmy – może pan pomógłby nam rozwiązać tę kwestię, doktorze – rzucił z rozbawieniem niższy mężczyzna. Mówił ze słabym amerykańskim akcentem, ukazując w uśmiechu szczerbaty zgryz.

– Mój przyjaciel Drummond twierdzi, że gdyby stworzono właściwy system cyrkulacji, ludzką głowę, żywą i w pełni funkcjonującą, można by po oddzieleniu od ciała przechowywać praktycznie w nieskończoność.

– To zależy od szerokości, na jakiej miano by przeprowadzić to odłączenie – powiedział Drummond arystokratycznym tonem, równie sztywnym jak jego kręgosłup. Oczy, rozstawione nieco zbyt szeroko, psuły wrażenie symetrii jego kanciastej twarzy. Wpatrywał się w czubek swego nosa.

– Mnie chodzi o udowodnienie, że ciało zawiera zbyt wiele żywotnych elementów, których potrzebuje mózg, aby mógł funkcjonować – rzekł niższy mężczyzna tak obojętnym tonem, jakby tematem rozmowy były przesyłki pocztowe. – A pomijając tę kwestię, uważam, że już sam szok wywołany oddzieleniem głowy od kadłuba może spowodować zbyt głębokie urazy, które w efekcie doprowadzą do śmierci mózgu.

– Posunę się o krok dalej, John – rzekł generał. – Śmiem twierdzić, że gdyby cięcie wykonane było dostatecznie nisko, głowa mogłaby zachować zdolność mówienia.

– A zatem i pod tym względem nie będziemy zgodni – skąd miałyby się brać powietrze, Marcusie? – zaoponował sir John Chandros, właściciel Ravenscar. – Nawet gdyby cała szyja została ocalona, nie byłoby płuc dostarczających powietrza poruszającego struny głosowe. Daj spokój, człowieku! A jaką ekspertyzę mógłby pan zaproponować, doktorze? Z czysto medycznego punktu widzenia?

– Obawiam się, że nigdy się nad tym nie zastanawiałem – odrzekł Doyle.

– Ale temat jest jak najbardziej prowokujący, nieprawdaż? – spytał Chandros, który najwyraźniej uznał, że dalsza prezentacja mija się z celem.

– Nie mam do tego głowy – odrzekł Doyle.

Chandros roześmiał się.

– Tak. Nie ma pan głowy. Doskonale. Jak ci się to podobało, Marcusie?

Drummond parsknął, co, jak uznał Doyle, miało być zapewne wyrazem aprobaty.

– Marcus od dobrych trzydziestu lat nie miał okazji naprawdę się pośmiać – stwierdził Chandros. – I nadal tego potrzebuje.

Drummond ponownie parsknął, najprawdopodobniej na potwierdzenie jego słów.

– Jak na zatwardziałego cynika i osobistość znaną na całym świecie, mój przyjaciel generał wydaje się zdumiewająco naiwny. – Chandros ujął Doyle'a za ramię, i nim doktor zdążył cokolwiek powiedzieć, odprowadził go w głąb korytarza. – Jakkolwiek, doktorze, *à propos* naszej wcześniejszej dyskusji, pomijając pewne szczególne nieprawdopodobieństwa, z całego serca wierzę, że jako rasa ludzka znajdujemy się u podstaw odkryć naukowych, tak wielkich, że na zawsze odmienią życie, takie jakie znamy.

Drummond znowu parsknął; dźwięki te miały tyle rozmaitych niuansów i akcentów, że były bardziej wymowne od niejednego krasomówczego opisu.

– Drummond ostrzeże pana, że jestem zagorzałym zwolennikiem przyszłości. To prawda. Tak się składa, iż wierzę, że jeśli człowiekowi potrzeba nadziei, wystarczy, że pomyśli o następnym dniu. O jutrze. Tak – byłem w Ameryce, spędziłem tam wiele lat: w Nowym Jorku, Bostonie, Chicago – to miasta w sam raz dla pana, silne, twarde, surowe jak zimny wiatr. Robiłem tam interesy. Amerykanie znają się na interesach, to ich druga natura, i być może zarazili mnie swoim optymizmem, ale w dalszym ciągu twierdzą, że jeśli człowiek z właściwymi pomysłami spotka człowieka z właściwą ilością gotówki, wspólnie mają szansę zmienić świat. Zmienić świat – dobre sobie – przeistoczyć go. Bóg dał człowiekowi władzę nad ziemią – najwyższy czas, żebyśmy zagryźli w zębach wędzidło i pociągnęli pług, który dał nam Pan. Próbowałem polityki, ale to nie dla mnie. Zbyt wiele zależy od consensusu, aby można było cokolwiek zdziałać. Komisje nie budują wielkich piramid – a faraon tego dokonał. A oto moje credo: Interesami żyjących są interesy. Podam panu przykład.

Kiedy mijali balustradę, widać było hol wejściowy. Doyle ujrzał w ogromnej sali długi stół, zastawiony do kolacji. Przed kominkiem tłoczyli się dystyngowani goście. Z sunącym za nimi jak złowrogi cień generałem Drummondem, Chandros przeprowadził Doyle'a przez galerię i drzwi na wysoki balkon. Widać stąd było wspaniałą panoramę

horyzontu, na skraju którego wisiała czerwona tarcza zachodzącego słońca.

– Co jest największą przeszkodą w życiu człowieka? – spytał Chandros, wydmuchując dym z cygara. – On sam. Tu jest pies pogrzebany. Ta jego okropna, zwierzęca natura. Stale wojuje z tkwiącą w jego wnętrzu wyższą potęgą. Nie może się poddać. W tym worku tkanek i kości żyją wspólnie geniusz i istota niższa, a zapewniam pana, sir, że owa istota niższa to nic innego, jak zwykły, pozbawiony krzty zdrowego rozsądku, brutalny półgłówek. Co gorsza, ten kretyn uważa się za zaginionego syna bożego – jest jedynie kwestią czasu, nim świat ponownie posadzi go na tronie, gdzie jest jego miejsce. Tymczasem jednak haruje jak tępy wół, pije, uprawia hazard i spotyka się z dziwkami; trwoni swoje życie, a umierając, woła do swego boga, że ten go opuścił, i domaga się zbawienia swej patetycznej, nędznej duszy. Pozwoli pan, że zapytam – jakie kochające bóstwo, będące przy zdrowych zmysłach, marnowałoby choć chwilę swego cennego czasu i zaprzętałoby sobie głowę takim bezwartościowym, plugawym śmieciem?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – rzekł Doyle, krzywiąc się, gdy mężczyzna zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Powiem panu: żadne szanujące się bóstwo by tego nie zrobiło. – Splótł ramiona, oparł się o ścianę i rozejrzał wokół. – Chrześcijanie mają teraz dobrą passę. Nie ma co do tego wątpliwości. Jeden nieżyjący Żyd znający parę zgrabnych sztuczek, reklamowany niczym odżywka do włosów przez zgrają fanatycznych zwolenników, i jeden nawrócony, czasem wystarczyli, by stworzyć podstawę Świętego Imperium, którego z pewnością nikt by się nie powstydział. To trwa już dwa tysiące lat. Jak to im się udało? Tajemnicą ich sukcesu była prostota – skoncentruj swoją moc. Owiń ją mgiełką tajemnicy. Ukryj wewnątrz najwyższego budynku w mieście. Podaj kilka przykazań, aby utrzymać kontrolę nad wieśniakami, trzymaj w garści kwestie urodzeń, ślubów oraz zgonów, dorzuć do tego strach przed potępieniem, odrobinę dymu, szczyptę muzyki, a klienci będą czołgać się na kolanach po sczerstwiałe okruchy ucztę świętych. To... to jest dopiero interes.

Drummond ponownie parsknął. Doyle nie był pewien, co miało to oznaczać. Chandros wydmuchnął dym i przygryzł końcówkę cygara. Jego oszałamiająco niebieskie oczy błyszczały szaleńczą gorliwością.

– W jaki sposób zmieniliby pan człowieka, z przygłupiego, na wpół dzikiego zwierzęcia w udomowione, produktywnie narzędzie, gotowe podwinąć rękawy i wypruć sobie żyły dla wyższych celów? Oto zagadka, którą musi rozwikłać każdy, kto pragnie władzy, niezależnie od tego, czy będzie związany z rządem, kościołem czy światem biznesu. I tu objawia się czysty geniusz chrześcijan. Przekonaj swych zwolenników, by uwierzyli w

jedno wielkie i zasadnicze kłamstwo. To my dzierzemy klucz do bram Niebios. Jeżeli pragniesz się tam wybrać, musisz przyjąć naszą wiarę. Naturalnie, wszak reklama jest dźwignią handlu, nie należy też zapomnieć o ostrzeżeniach przed potwornościami Drugiego miejsca – bądź co bądź to strach skłania tych biednych, skretyniałych ignorantów do padania na kolana, zapalania świec i klepania modlitw, jakby miało już nie być jutra. I, powiedzmy sobie szczerze: Stary Nick, czart, czy jak go tam zwać, zawsze był papierowym tygrysem, czarnym charakterem – człowiekiem, którego kochacie nienawidzić, przestraszamy was tak, że sfajdacie się w spodnie, ale i tak nie będziecie mogli oderwać od niego wzroku. To on podnieca kobiety, a nie ten spokojny Mesjasz o krowim spojrzeniu. Dorzuć Diabła do przyprawy do zupy i otrzymasz idealną, klarowną formułę religijnej hegemonii. Działa jak szwajcarski zegarek. Nic nie zdołało temu dorównać.

Jednakże postęp – a wie pan doskonale, że zachodzi on niezależnie od nas – to dodatkowa zagadka. Postęp wymaga, aby osoby będące u władzy zmieniły się, podobnie jak czasy, w których przyszło im żyć. Zasiadamy obecnie przy stole, gdzie rozgrywana jest Wielka Gra, chłopcy, i gra się tu całkiem nową talią kart – przemysłem ciężkim, produkcją seryjną, ekonomiczną międzynarodową bronią, o jakiej nigdy się wam nie śniło. Nikogo nie biorą już rzewne litanie czy żarliwe kazania. – Jak się mówi w Kentucky: szczęście chrześcijan poszło w diabły. Proszę wybaczyć to wyrażenie.

Gdy słońce skryło się za horyzont, jego dogasające promienie skąpały Chandrosa i znajdujący się za nim mur z piaskowca w ostrym pomarańczowym blasku.

– Niech pan spojrzy tam, na dół, doktorze – rzekł Chandros, wskazując na budynek przy murze otaczającym Ravenscar. – Co pan widzi?

Grupa ludzi w identycznych, pasiastych, szarych kombinezonach roboczych z szorstkiego, grubego materiału wchodziła na plac przez główną bramę prowadzącą do wytwórni biszkoptów. Głowy mieli wygolone prawie do gołej skóry. Pilnowani byli przez uzbrojonych strażników, którzy wrzaskiem zmusili mężczyzn do ustawienia się w szyku; ich komendy zmieszały się z melodyjnym śpiewem, który słychać było nawet na balkonie.

– Robotników. Robotników fabrycznych.

Chandros pokręcił głową, pochylił się i dla podkreślenia swoich słów stuknął Doyle'a w pierś.

– ODPOWIEDŹ – powiedział. – Mężczyźni, których pan właśnie widzi, jeszcze do niedawna stanowili najniższą, najbardziej zdegradowaną formę ludzkiego plugastwa, jaką można sobie wyobrazić. To skazani – źli, brutalni, zepsuci, nienadający się do zresocjalizowania. Właśnie dlatego zostali wybrani – najgorsze szumowiny z najgorszych

więzień i kolonii karnych całego świata. Sprowadzono ich tutaj – może mi pan wierzyć, że więzienia pozbyły się ich z radością – aby wzięli udział w programie, który potwierdzi nasze uwolnienie od roli zaślepionego niewolnika i pozwoli ujawnić prawdziwą naturę człowieka. Proszę im się przyjrzeć.

Mężczyźni na dziedzińcu poruszali się w duchu wojskowego drylu i dyscypliny, aczkolwiek bez entuzjazmu, a nawet z pewnym ociąganiem. Nie wywierano na nich bezpośredniego przymusu.

– Jeszcze niedawno tych ludzi nie można było nawet na godzinę zamknąć w jednym pomieszczeniu z innymi, aby nie popełnili jakiegoś brutalnego i zgoła bezsensownego przestępstwa. Byli jak dzikie zwierzęta. Rzucali się sobie do gardła. Problem przestępczości. Problem nietolerancji. Problem brutalności. Rozumie pan? Wszystkie pochodzą z jednego źródła. Tu i teraz po raz pierwszy poddaliśmy ich pełnej rehabilitacji, mają tu wszystko, czego im potrzeba, i pracują uczciwie, tak jak być powinno.

To dlatego Bodger Nuggins został zwolniony z Newgate – pomyślał Doyle. Intencja wydawała się szczytna, koncepcja zbliżona do tego, co Jack Sparks usiłował przeprowadzić w londyńskim półświatku. Ale jakimi metodami?

– Jak? – zapytał Doyle. – Jak tego dokonaliście?

– Interwencja bezpośrednia – rzekł Chandros.

– Co to znaczy?

– Jeden z naszych kolegów przez wiele lat studiował ten problem. Doszedł do wniosku, że podstawowe aspekty osobowości mają swój początek w mózgu. Mózg jest organem fizycznym, jak płuca czy wątroba, i można go przemodelować na różne sposoby, które zaczynamy dopiero pojmować. Jest pan lekarzem. Wydaje się nam, że ten niższy poziom człowieczeństwa – możemy tak to określić? W sumie czemu nie? – to nic innego, jak problem medyczny, choroba, taka jak cholera czy zapalenie opon mózgowych. Jest to defekt czysto fizyczny i w taki sposób powinien być leczony.

– To znaczy w jaki sposób?

– Nie znam ścisłych terminów medycznych – profesor wyjaśni to panu znacznie dokładniej...

– Leczenie chirurgiczne?

– Interesują mnie rezultaty, doktorze. Widzi pan przed sobą bardziej niż zachęcające wyniki początkowej fazy naszego programu, a nie objęto nim li tylko pracowników fabryki – cały personel Ravenscar to żywy sukces naszego przedsięwzięcia – albo innymi słowy, nasi absolwenci. Mogę powiedzieć panu jedno: wystarczy dać komuś drugą życiową szansę, a z

wdzięcznością będzie jak pies łąsił się u pańskich stóp.

Druga życiowa szansa. Doyle'owi zakręciło się w głowie. Szare kaptury. Gule w muzeum. Automaty pozbawione własnej woli. Doyle skinął głową do Chandrosa, odwrócił się i zacisnął dłoń na poręczy, usiłując ukryć trawiącą go odrazę i obrzydzenie.

To dlatego potrzebna im była ta ziemia – skonstatował Doyle. Potrzebowali odosobnienia i izolacji, by móc prowadzić swe bluźniercze dzieło. Bodger Nuggins wyczuł co piszczy w trawie i uciekł, ale dopadli go i zabili. Coś podpowiadało Doyle'owi, że Bodger może miał szczęście. Niezależnie od tego, jakie okrutne czyny mieli na sumieniu nieszczęśnicy zgromadzeni na placu, prawdziwe potwory znajdowały się tuż obok na balkonie.

Ostatnie promienie słońca dogasały szybko. Więźniowie na placu zostali odprowadzeni w inne miejsce. Doyle zlustrował centralny dziedziniec, a jego wzrok przykuł pojedynczy wóz podjeżdżający do czegoś, co wyglądało jak brama dla służby. Kiedy woźnica zsiadł z kozła i dwaj służący podeszli, by wnieść do budynku przywiezione rzeczy, spod wozu wyturlał się człowiek i w mgnieniu oka rozplątał się wśród cieni. Żaden z wartowników ani służących nie spostrzegł intruza. Z tej odległości Doyle nie zauważył jego twarzy, ale w ruchach mężczyzny było coś znajomego.

Jack.

Wewnątrz domu dał się nagle słyszeć donośny dźwięk dzwonka.

– Ach, niedługo podadzą kolację – stwierdził Chandros. – Może zechciałby pan upewnić się, doktorze, czy pańska czarująca towarzyszka jest już gotowa, aby się do nas przyłączyć?

– Tak. Dobrze – rzekł Doyle.

– A zatem, do zobaczenia. Czekamy przy stole.

Doyle pokiwał głową. Usłyszał, jak z tyłu otwierają się drzwi; Chandros i Drummond wrócili do środka.

Doyle jeszcze przez chwilę lustrował dziedziniec w poszukiwaniu intruza, ale nigdzie go nie zauważył. Odczekał parę chwil, po czym również opuścił balkon. Szybkim krokiem wrócił do swego pokoju; przed drzwiami nadal warował straszliwy lokaj. Mijając go, doktor spojrzał mu w oczy. Były mętne, bez połysku, zimne i niewidzące, jak oczy śniętej ryby. Doktor wszedł do pokoju. Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie.

18. PODANO KOLACJĘ

Siedząc przed toaletką, Eileen przeglądała się w lustrze i malowała sobie usta. Włosy miała ułożone w wytworny koczek. Na szyi powiesiła naszyjnik wysadzany diamentami. Elegancka, czarna suknia, aksamitna, bez ramiączek – dostarczona przez ich gospodarzy – dodawała wewnętrznemu urokowi Eileen istic klasycznego piękna.

– To miło z ich strony, że przygotowali dla mnie tę suknię – powiedziała – skoro zniszczyli moją. Zapniesz z tyłu, Arthurze?

Doyle pochylił się i zaczął zapinać haftki. Poczł subtelną woń eleganckich perfum. Pocałował Eileen delikatnie w ramię.

– Zostawili również kosmetyki i biżuterię. – Dotknęła diamentowych kolczyków, które nosiła. – Prawdziwe. Co oni kombinują?

– Może pójdziemy i dowiemy się tego? – zaproponował Doyle, podchodząc do sofy i niepostrzeżenie wyjmując ukryte pod poduszką strzykawki. Wsunął je do kieszeni na piersi, upewniwszy się, że nie powstało rzucające się w oczy wyrzucenie.

– Kto jeszcze tam będzie?

– Ktoś, kogo się nie spodziewają – rzekł Doyle, zniżając głos. – Jack jest gdzieś w budynku.

Spojrzała na niego.

– Świetnie. Nie poddamy się bez walki.

– Zrobię, co w mojej mocy, aby nic ci się nie sta...

– Arthurze, ci dranie zabili osiemnaścioro moich przyjaciół...

– Nie pozwolę cię skrzywdzić...

– Wśród nich mojego narzeczonego. Tamtego wieczoru podczas seansu. Siedział obok mnie. Grał rolę mojego brata.

Doyle zebrał się w sobie: – Dennis.

– Tak, Dennis.

– Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro.

Eileen skinęła głową i odwróciła się. W chwilę później wsunęła do ręki małą, czarną wieczorową torebkę i przejrzała się w lustrze.

– Dobrze wyglądam? Skłamię, jeżeli musisz.

Uśmiechnęła się promiennie, a wokół od razu pojaśniało. Wsparła się na jego ramieniu i wyszli z pokoju. Służący zszedł im z drogi, gdy ruszyli korytarzem w kierunku schodów. Dźwięki płynącej z dołu muzyki mieszały się z gwarem rozmów.

– Mam w torebce czterocalową szpilkę do włosów – wyszeptała. – Powiedz tylko kiedy, a nie zawaham się jej użyć.

– Śmiało użyj jej tam, gdzie będzie najbardziej bolało.

– Czy wydaje ci się, że mogłabym się zawahać, Arthurze?

– Nie, kochanie – stwierdził.

Eileen objęła Doyle'a ramieniem i wolno, dystyngowanie zaczęli schodzić po monumentalnych schodach. Ich oczom ukazała się nader wytworna scena: ogromny stół, zastawiony srebrami i kryształami, skąpany był w blasku płynącym z ozdobnego kandelabra. Pod ścianą grał kwartet smyczkowy. Osiem miejsc przy stole było zajętych przez gości ubranych jak na królewski bankiet. U szczytu stołu zasiadał sir John Chandros, honorowe miejsce po jego prawicy było wolne. Gdy dostrzegł Doyle'a i Eileen, gwar rozmów ucichł, a uwaga wszystkich skierowała się ku schodom.

– Uśmiechnij się, kochanie – wyszeptał Doyle.

– Naprzód, naprzód, nigdy w tył, ku śmierci dolinie, brnęło sześciuset z wszystkich sił... – wymamrotała Eileen pod nosem. – O Boże...

– O co chodzi?

– Spójrz, co przyniósł kotek – powiedziała z uśmiechem i skinęła w stronę drugiego końca stołu, naprzeciw Chandrosa.

Na znak siedzącego po jego prawicy siwowłosego eleganta, dwudziestokilkuletni mężczyzna podniósł się z krzesła, by ich powitać. Był to południowiec, średniego wzrostu, korpulentny i blady. Jego oblicze, błyszczące i osobliwie obrzmiałe, zdradzało skłonność do rozwiązłego trybu życia. Cienki, wypomadowany wąsik i kozia bródka miały sugerować spryt i zawadiacką jurność, ale były raczej atrybutami świadczącymi o infantylności i niedojrzałości tego człowieka. Przód jego białej, wykrochmalonej koszuli, ozdobionej wstęgami, medalami i szarfą, pokrywała konstelacja zupełnie nowych, tłustych plam.

Kiedy Doyle i Eileen dotarli do końca schodów, biskup Pillphrock, odziany w anglikańską komżę, podprowadził ich do młodzieńca, czekającego z cierpliwością dobrze wyszkolonej małpki.

– Chciałbym przedstawić Jego Wysokość, księcia Alberta Victora Edwarda, diuka Clarence – rzekł biskup z ogromnym namaszczeniem. – Doktor Arthur Conan Doyle.

– Jak się pan miewa? – spytał beznamiętnie książę. Jego oczy były puste, miały połysk ślepków świnki morskiej.

– Wasza Wysokość – rzekł Doyle.

– Panna Eileen Tempie – powiedział biskup.

– Jak się pani miewa? – Nie widać było po nim, że ją poznał.

On musi być chory – pomyślał Doyle. Eileen trudno zapomnieć, nawet po krótkim spotkaniu, a diuk poświęcił kiedyś cały wieczór, usiłując ją uwieść.

– Wasza Wysokość – powiedziała Eileen.

– Łagodną mamy dziś pogodę jak na tę porę roku – powiedział książę ze spontanicznym ożywieniem nakręcanej zabawki.

– Dzień był nadzwyczaj pogodny – rzekł Doyle, czując oddech księcia, przesączony wonnością kwaśnego wina.

– Taki dzień, jak ten, to prawdziwe błogosławieństwo – dodał biskup z usłużnym uśmiechem. – Pasuje do szczytowego wydarzenia, jakim jest dla nas towarzystwo Waszej Wysokości. To doprawdy wielkie szczęście.

– Towarzystwo Waszej Wysokości zwykle wiąże się ze szczęściem – powiedziała dostojnie Eileen. – Wiadomo mi, że przynajmniej jeden z jego darów, przekazywany z ojca na syna, hojnie rozdawany jest licznym kobietom w całej Anglii.

Biskup wydawał się wstrząśnięty uwagą Eileen – niezbyt zawoalowaną aluzją do rozwiązłości, z której sływał książę Edward, pozostający uparcie w kawalerskim stanie i – jak głosiły plotki – dotknięty chorobą weneryczną.

Książę Eddy zmarszczył brwi – wydawało się, że zakłopotanie było dla jego umysłu zbyt skomplikowanym odczuciem.

Najstarszy syn najstarszego syna królowej, drugi w kolejności do tronu – pomyślał Doyle. Jeśli istnieje bardziej przekonujący argument przeciwko dalszym małżeństwom w obrębie europejskich rodów królewskich...

TRON.

Nagle w jego myślach pojawiło się wspomnienie słów Spiveya Quince'a i chłopiec w niebieskim ubranku... TRON. Otwarcie przejścia.

Próbowaliśmy interpretować ostrzeżenia metaforycznie... Stara się o tron. Będzie królem.

– Jego Wysokość tak hojnie rozdawał swój dar, że na pewno trudno mu spaść,

gdzie go złożył – dodała Eileen, uśmiechając się przyjaźnie. Jej policzki pokraśniały.

Biskup Pillphrock zbladł jak płótno, opadła mu szczęka i na chwilę zaniemówił, co w gruncie rzeczy wcale nie było takie złe. Książę zamrugał kilkakrotnie, a jego usta poruszyły się bezgłośnie. Wyglądał jak zepsuta maszyna.

– W upalne popołudnie – rzekł nieśmiało książę – uwielbiam lody truskawkowe.

Jego osobliwe, rzucone z głupia frant stwierdzenie, uciszyło nawet Eileen. Pojedyncza łza wypłynęła z mętnego oka księcia i spłynęła po policzku, by zatrzymać się na cienkim, wypomadowanym wąsiku.

– Wszystko, czego pragnę – wyszeptał cicho książę – to spokój, cisza i odrobina zabawy.

Siwowłosa mężczyzna po prawicy księcia podniósł się, ujmując księcia za ramię. – I życzenia Waszej Wysokości zostaną spełnione – rzekł, odprowadzając diuka na jego miejsce. – Wasza Wysokość miał dziś ciężki dzień i z pewnością potrzebuje pokrzepienia.

– Jeszcze wina! – rzucił książę, ze spuszczonym wzrokiem i dziwnie sposepniały.

– Jeszcze wina! – warknął biskup. – Dziękuję, sir Nigel. Rzecz jasna, najważniejszą rzeczą jest dla nas wszystkich dobro Waszej Wysokości.

– Tak też myślałem – stwierdził sir Nigel Gull, siwowłosa mężczyzna, były lekarz księcia. Zajmując swoje miejsce, Gull rzucił Eileen druzgocące spojrzenie. Nienawidzi kobiet – skonstatował natychmiast Doyle, przypominając sobie, iż jak głosiły plotki, rozwiąłość księcia nie ograniczała się tylko do przedstawicielek płci pięknej.

– Może usiądziemy? – rzekł biskup, odzyskując rezon. – Panno Tempie, gdyby była pani tak uprzejma; nasz gospodarz życzył sobie, by zasiadła pani po jego prawicy.

Biskup odsunął dla niej krzesło, a Eileen usiadła po prawicy Chandrosa, dokładnie naprzeciw Aleksandra Sparksa. Po lewej stronie Sparksa stał sztywny, jakby kij połknął, generał Marcus McCauley Drummond.

– Proszę, niech pan siada, doktorze Doyle. – Pillphrock wskazał miejsce oddalone o dwa krzesła na prawo od Eileen. – Witamy, serdecznie witamy.

Pillphrock zadzwonił dzwoneczkiem i usadowił się pomiędzy Eileen a Doyle'em. Doktorowi przypadło miejsce naprzeciwko jedynej prócz Eileen kobiety obecnej w sali – urodziwej niewiasty, w której rozpoznał lady Caroline Nicholson. Włosy miała upięte w kok, a jej oblicze o ostrych, bezlitosnych rysach wydawało się bardziej zmysłowe, niż mogłoby to oddać jakiegokolwiek zdjęcie. W czarnych oczach kipiał drapieżny żar. Uśmiechnęła się zagadkowo.

Mężczyzna siedzący na prawo od Doyle'a miał trudności z usadowieniem się na

krześle. Jego usta wykrzywił grymas bólu. Prawą nogę miał wyciągniętą sztywno do przodu, a pod opiętą nogawką spodni, na wysokości kolana musiał nosić gruby opatrunek. Był drobny, gładko ogolony, blady, o ospowatej twarzy. Nawet w okularach i bez makijażu Doyle rozpoznał w nim śniadego mężczyznę z seansu, tego samego, którego postrzelił w nogę.

Profesor Arminius Vamberg.

Byli tu wszyscy, cała siódemka i wnuk królowej Wiktorii na dokładkę. Doyle uniósł wzrok i napotkał bystre, spokojne spojrzenie Aleksandra Sparksa. Jego uśmiech mógł doprowadzić do szału, jakby Sparks był w stanie wejrzeć w głąb umysłu obserwowanego człowieka. Nie widząc sensu w rzucaniu mu jawnego wyzwania, Doyle odwrócił wzrok.

W tej samej chwili do sali weszli służący, szwadron mężczyzn o mętnych oczach. Powoli i ociężale nieśli wazy z zupą. Wyglądniały Doyle stwierdził z pewnym rozczarowaniem, że okazała się cienkim rosołem.

– Podczas mego pobytu na Karaibach dokonałem pewnego odkrycia – oznajmił ni stąd, ni zowąd profesor Vamberg ochryłym głosem, z wyraźnym szorstkim akcentem, który ponownie przywiódł doktorowi na myśl seans w domu przy Cheshire Street 13.

– Jakiego? – zapytał Doyle.

– Czy miał pan możliwość spędzić jakiś czas wśród członków prymitywnych kultur, doktorze?

– Nie. Chyba, że zaliczy pan do nich Francuzów – powiedział Doyle, pohamowując się z trudem, by nie podnieść talerza i nie wypić łączywie całej jego zawartości.

Profesor uśmiechnął się życzliwie.

– Podstawową różnicą jest moim zdaniem to, że mniej rozwinięte i cywilizowane społeczności po dziś dzień zachowują stałą więź ze światem natury. W konsekwencji w bardziej bezpośredni sposób postrzegają i doświadczają tajemnic świata natury, który dla nas pozostaje niewidoczny, obcują ze światem duchów, a w szczególności ze światem dewów, czyli duchów żywiołów, które kontaktują się i zamieszkują świat fizyczny, uznawany przez nas pochopnie za jedyny obszar naszej egzystencji. Nasi koledzy, lekarze, określają tych ludzi jako nierozgarniętych, prymitywnych, przesądnych, ogarniętych irracjonalnymi lękami i koszmarami. A ja wręcz przeciwnie – po latach badań skłonny jestem określić ich mianem mądrych i zestrojonych ze światem, w którym żyją, w niewyobrażalnym dla nas stopniu.

Doyle pokiwał głową, popatrując na Chandrosa, pogrążonego w jednostronnej rozmowie z Eileen, która, podobnie jak doktor, zajęta była przede wszystkim zupą.

– Ja sam przez dłuższy czas nie byłem przekonany o ich istnieniu – rzekł biskup pomiędzy hałaśliwymi siorbnięciami. – Jak zapewne się pan domyśla – szkoła publiczna,

kościół angielski, probostwo.

– O czym istnieniu? – zapomniał Doyle.

– Jak to – duchów żywiołów, ma się rozumieć – rzekł radośnie biskup. Kropelki rosołu prysnęły mu na szkła okularów. – Dopóki nie poznałem profesora Vamberga – wówczas łuski spadły z moich oczu jak jesienne liście!

– W różnych kulturach spotyka się je pod różnymi nazwami – powiedział Vamberg, wyraźnie rozdrażniony włączeniem się biskupa do rozmowy. – Jest pan pochodzenia irlandzkiego, prawda, doktorze?

Doyle pokiwał głową. Jego talerz był pusty; kusilo go, by zapytać Vamberga, który przełknął zaledwie parę łyżek, czy nie odstąpiłby mu swojej porcji.

– W Irlandii znane są jako karły, mali ludzie. Tu, w Anglii, mówi się o nich elfy albo krasnale, w Kornwalii są to chochliki, w Szkocji gnomy, a na Szetlandach i Orkadach duszki. W Niemczech, rzecz jasna, określa się je mianem koboldów lub goblinów...

– Znam mitologię – rzekł Doyle, rozdrażniony protekcyjnym tonem tamtego.

– Ależ, drogi panie, to coś więcej niż mitologia – stwierdził Vamberg, z emfazą wymachując łyżką.

Podano następne danie. Dzięki Bogu – pomyślał Doyle. Jakby nie dość im było śmierci głodowej, chcą jednocześnie zanudzić mnie na śmierć.

– Pieczona kuropatwa na liściach kapusty. – oznajmił biskup.

Kuropatwa? To chyba pomyłka – pomyślał Doyle. To było tylko jedno skrzydełko, wielkości skrzydła indyka. A pojedynczy liść kapusty zakrył cały talerz. Znajdowali się na północy Anglii. Gdzie w środku zimy mogli znaleźć tak wielkiego ptaka? Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, zdecydował Doyle, próbując pierwszy kęs. Mięso było soczyste, miękkie i musiał przyznać, że nigdy dotąd nie kosztował czegoś równie pysznego.

– Owe postacie z legend, które znamy z bajek i baśni, są w rzeczywistości niewidzialnymi architektami i budowniczymi naturalnego świata – ciągnął Vamberg, równie niezainteresowany kuropatwą, jak wcześniej zupą. – Nimfy leśne, duchy powietrza – istnieje powód, dlaczego te istoty istnieją we wszystkich kulturach, nawet w tak pozornie rozwiniętej jak nasza...

– Dlaczego? – zapytał Doyle, nie mogąc oprzeć się chęci wzięcia skrzydełka w dłoń i wgryzienia się w nie.

– Ponieważ one naprawdę istnieją – odrzekł Vamberg. – Widziałem je. Rozmawiałem z nimi. Nawet z nimi tańczyłem.

Na pewno nie ostatnio – pomyślał Doyle.

– Naprawdę?

– To istoty bardzo nieśmiałe i bojaźliwe, ale kiedy nawiąże się z nimi kontakt – a udało mi się to przy pomocy karaibskich szamanów – szybko można się przekonać, jak wielce są skłonne do współpracy.

– To doprawdy interesujące – rzekł Doyle, dojadając swój kawałek mięsa.

– Nieprawdaż? – wtrącił biskup, którego usta i podbródek błyszcząły od tłuszczu.

– O jakiej współpracy pan mówi? – zapytał Doyle.

– W tym, co potrafią najlepiej – odparł Vamberg. – W powiększaniu różnych rzeczy.

– W powiększaniu rzeczy?

Vamberg podniósł z talerza ogromny liść kapusty.

– A jeżeli powiem panu, że nasionko kapusty, z której pochodzi ten liść, zostało przed trzema tygodniami zasadzone w suchym piasku, bez wody ani środków do życia, a dziś rano ją ścięto?

– Powiedziałbym, profesorze Vamberg, że spędził pan zbyt wiele czasu, tańcząc wokół muchomorów – odrzekł Doyle.

Vamberg uśmiechnął się kwaśno i podniósł skrzydełko z talerza.

– A jeżeli powiem, że zanim ją dziś zabito, ta kuropatwa miała zaledwie dwa tygodnie?

Służący zebrali talerze i podali następne danie, które dwaj z nich wtoczyli na stoliku na kółkach, nakryte srebrną, kopulastą pokrywą.

– Twierdzi pan, że duchy żywiołów, jak je pan nazywa, nie mają nic lepszego do roboty tylko pomagać panu w powiększaniu kuropatw do rozmiarów orła? – spytał Doyle.

– Pstrąg w cytrynie! – oświadczył biskup.

Przykrycie zostało zdjęte, ukazując pojedynczą rybę, garniowaną cytryną i pietruszką. Z wyglądu i koloru ryba przypominała rzeczno pstrąga, ale wielkością dorównywała jesiotrowi.

Służący podzielili rybę i podali gościom. Doyle dostrzegł wzrok Eileen, bardziej zdumionej niż zaniepokojonej.

Vamberg uśmiechnął się jak kot z Cheshire.

– Och, wy, ludzie małej wiary...

Na stole przed Doyle'em wylądował talerz z porcją pstrąga. Ryba była równie smakowita jak wyglądała i pachniała, ale doktor stracił nagle apetyt. Myśl o tajemniczym sposobie powiększania wzbudziła w nim odruch wymiotny. Rozglądając się wokoło, stwierdził, że Aleksander Sparks również nie uczestniczył w biesiadowaniu – wpatrując się

intensywnie w siedzącą naprzeciw niego Eileen. Na drugim końcu stołu, z chustką wciśniętą pod kołnier, jak dziecięcy śliniak, Jego Wysokość Diuk Clarence żarłocznie pochłaniał kolejne kawałki ryby, popijając je winem i przez cały czas wydając odgłosy dziecinnego zadowolenia, jakby nie zdawał sobie sprawy z obecności przy kolacji innych ludzi.

– Delicje! – wykrzyknął biskup. U jego boku stał piękny jak cherubin ministrant. Biskup wyszeptał mu coś do ucha i pogładził grubymi paluchami złote loki chłopca.

– Kolejną korzyść z tego spotkania – *à propos*, miało to miejsce na Haiti – odniosłem, kiedy szamani zaprezentowali mi eliksir składający się z mieszaniny różnych ziół, korzeni i ekstraktów organicznych, którego recepturę, jak stwierdzili, otrzymali od duchów żywiołów – stwierdził Vamberg. – Kapłani z Haiti używali tego specyfiku od stuleci. Odkryli, że po podaniu odpowiedniej dawki, w połączeniu z pewnymi zabiegami medycznymi, substancja ta kompletnie pozbawia ludzi – zarówno mężczyzn, jak i kobiety – wolnej woli.

– Że co, proszę? – zapytał Doyle.

– Tracą wolną wolę. Stają się bezwolni, ulegają całkowitemu uzależnieniu od rozkazów kapłanów, którzy wykorzystują ich do swoich celów, na przykład do pracy w polu albo na gospodarstwie. Są wierni, godni zaufania, dobrze wychowani.

Niewolnicy. Niemi i bezrozumni jak marionetki służący przynieśli kolejne mięsne danie. Doyle starał się nie myśleć o tym, jakie zmienione w potworny sposób zwierzę mogło zapewnić taką obfitość mięsiwa.

– W ten sposób na Haiti rozwiązano problem niewolnictwa – wtrącił biskup z promiennym uśmiechem. – Jakże miło jest rozmawiać bez skrępowania w obecności służby.

Vamberg posłał biskupowi kolejne miazdzące spojrzenie, po czym podjął przerwany monolog.

– Szamani stanowią zamknięte bractwo strzegące swojej wiedzy za cenę własnego życia. Byłem jednym z nielicznych ludzi z zewnątrz – jedynym Europejczykiem – który uzyskał dostęp do tej skarbnicy wiedzy. Powiem więcej, usprawniłem efekt działania leku prostym zabiegiem chirurgicznym, przeprowadzanym jednocześnie z podaniem owej niezwyklej substancji.

Nic dziwnego, że Bodger Nuggins dał nogę – pomyślał Doyle. Lepiej pływać twarzą do dołu w Tamizie, niż stać się żywym trupem, jak Lansdown Dilks, przechowywany niczym worek kartofli w ciemnej piwnicy.

– Cudowne! – powiedział biskup.

– Wiele lat później, podczas moich podróży po Wyżynie Tybetańskiej, spotkałem wizjonera, który wymyślił sposób, w jaki tę procedurę można będzie pewnego dnia

wykorzystać na szerszą skalę. – Vamberg skinął na Aleksandra Sparksa.

A więc tak to się zaczęło, od Sparksa i Vamberga. Od spotkania dwóch mrocznych umysłów. Nasienie zostało następnie sprowadzone do Anglii, na której gruncie mogło zacząć kiełkować i wypuszczać pędy zepsucia i zgnilizny.

Z zamyślenia wyrwał go brzęk zastawy. Służący po przeciwnej stronie stołu upuścił talerz. Mężczyzna pochylił się wolno, niezdarnie usiłując pozbierać szczątki potłuczonej porcelany i rozsypanej potrawy.

– Niezdarny dureń – wymamrotał generał Drummond.

Doyle drgnął – włosy na karku mężczyzny zostały niedawno wygolone, w poprzek biegł długi ścieg. Szorstkie, niebieskie nici dość luźno łączyły brzegi świeżej rany. Inny mężczyzna zbliżył się do nieszczęśnika i pomógł mu się podnieść.

Serce zamarło doktorowi w piersi.

To był Barry.

Jego oczy były martwe, pozbawione światła i życia.

– Proszę, proszę – rzekł Aleksander. – Jakie ci nadano imię, niezdarco?

Barry odwrócił się wolno i spojrzał nań mętym wzrokiem. W kącikach jego ust zbierała się ślina.

Aleksander poderwał się z krzesła i brutalnie wyrzwał Barry'ego pięścią w ucho. Tamten przyjął cios z pokorą, jak wycieńczone, zaszczone zwierzę. Doyle zacisnął dłonie na oparciu krzesła, aby nie rzucić się na Sparksa.

– Mów, kiedy ci każą, chłopcze.

W zdruzgotanym umyśle byłego złodzieja pojawiły się przebliski zrozumienia. Barry pokiwał głową. Słaby dźwięk, jaki dobył się z jego ust, z trudem mógł być poczytany za słowa.

– Skoro dałeś nam jawny dowód, że nie ma z ciebie żadnego pożytku w roli sługi, może uda ci się nas rozbawić, ty tępy osie – rzekł Aleksander. – Zatańcz dla nas, jeśli potrafisz tańczyć jiga.

Aleksander klasnął w dłonie, zachęcając innych, by uczynili to samo. Kwartet smyczkowy na znak Aleksandra zaczął grać irlandzkiego jiga. Aleksander ponownie uderzył Barry'ego w twarz, okręcając go wokół osi i dźgając końcem swojej laski.

– Tańcz, chłopcze. Tańcz, jak ci każą.

Doyle nieomal widział, jak muzyka sączy się do tego, co pozostało z ucha Barry'ego. Usiłował puścić nogi w ruch, ale rezultat był patetyczny, a nawet najmniejszy gest okupiony potwornym, dojmującym bólem. Jego ręce zwisały miękko wzdłuż tułowia. W kroczu spodni

pojawiła się powiększająca się plama.

Cała siódemka i ich królewski gość uznała ten fakt za niezwykle zabawny. Księżę Eddy sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę wstać z krzesła i przyłączyć się do tańca. Biskup rechotał tak donośnie, że schwycił się rękoma pod boki i zgiął się wpół z poczerwieniałą jak burak twarzą.

Doyle spojrział w lewo. Eileen była blada i walczyła ze swymi emocjami. W jej oczach błyszczały łzy. Dał jej znak: nie okazuj po sobie niczego.

Nie mogąc wytrzymać wysiłku, Barry osunął się na klęczki i oparty o krzesło z trudem chwycił oddech – słychać było, jak ochryple rzezi mu w piersiach. Z rany na jego karku ciekła strużka mlecznobiałego płynu. Aleksander odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem, po czym wykonał stanowczy ruch ręką.

Muzyka ucichła. Dwaj służący ujęli Barry'ego pod ramiona i delikatnie, acz stanowczo, wynieśli go z sali, jak zgrzybiałego, niemogącego ustać na nogach starca.

– Doskonale – rzekł biskup.

Przyprawdzili go tutaj, abyśmy mogli zobaczyć – pomyślał naiwnie Doyle. Abyśmy ujrzeli, jak splugawili jego umysł i zbeczęścili jego duszę. To nie było wyłącznie dziełem narkotyku Vamberga – zrobili mu operację, bardzo prostą, wręcz prymitywną: otworzyli potylicę i wycięli jakiś fragment mózgu, istotny dla zachowania pełni człowieczeństwa. Doyle chciał ich za to pozabijać.

Po drugiej stronie stołu Aleksander uśmiechnął się zjadliwie, ukazując garnitur śnieżnobiałych zębów. Popatrywał to na Doyle'a, to na Eileen. Było to najbardziej jawne wyrażenie uczuć, jakie Doyle miał okazję ujrzeć u tego człowieka.

Lubi oglądać strach, skonstatował Doyle. Karmi się nim.

– Pan coś mówił, profesorze – stwierdził Aleksander.

– Tak. Po tym przypadkowym spotkaniu, mój nowy przyjaciel i ja ponownie zaczęliśmy podróżować po świecie, ale tym razem przyświecał nam nowy cel – ciągnął Vamberg, nachylając się tak bardzo w stronę Doyle'a, że dźwięk jego pierwszych słów zupełnie zaskoczył doktora.

– Cel?

– Poszukiwaliśmy duchów żywołów w innych krajach i na innych kontynentach. Ku naszemu zdumieniu odkryliśmy, że zaskakująco chętnie odkrywały przed nami swoje tajemnice, a musi pan wiedzieć, doktorze, iż były wśród nich prawdziwe cuda, chociażby tajemnica życia! W zamian żądały pewnej przysługi, którą jedynie my mogliśmy im wyświadczyć.

Doyle w milczeniu pokiwał głową, obawiając się, że w jego głosie mogłaby zabrzmieć przypadkowa nuta narastającej zgrozy. Po sposobie, w jaki splugawili Barry'ego, logiczne było przypuszczenie, że to samo uczynili z jego bratem. Prawdopodobnie to samo czekało również jego i Eileen.

– Te istoty żywiołów były niegdyś zjednoczone pod rządami jednego głównego ducha – ciągnął Vamberg. – Była to potężna istota, czczona przez prymitywne ludy świata pod różnymi postaciami. Istota tragiczna, okrutnie niezrozumiana przez naszych religijnie nietolerancyjnych zachodnich przodków... nie wymienię tu żadnych imion...

Biskup parsknął potakująco.

– ...którzy systematycznie prześladowali zarówno tę istotę, jak i legiony jej wyznawców. Przewaga ludzi Zachodu, z jego marnymi, egoistycznymi problemami i małostkowymi monoteistycznymi obsesjami doprowadziła w końcu do całkowitego wyparcia istoty z płaszczyzny fizycznej do czyśćca, świata wiecznego mroku.

– Diabeł – powiedział Doyle.

– Tak, a raczej jego chrześcijańska koncepcja. A oto, jaką przedstawili nam propozycję: w zamian za możliwość ciągłego korzystania z ich dobroczynnego geniuszu, żywioły poprosiły nas o pomoc w ponownym sprowadzeniu tego wielkiego ducha do naszego świata, aby mógł zająć prawowite miejsce pośród nich. To była przysługa, jaką mieliśmy im wyświadczyć – wygląda na to, że jedynie ludzie mogą tego dokonać. I dlatego z pomocą naszych, zebranych tu kolegów, ku większej chwale człowieka i natury, zgodziliśmy się to uczynić.

Przy stole zapadła cisza – wszyscy patrzyli na Doyle'a, obserwując jego reakcję. To obłęd – pomyślał. Oni wszyscy są niespełna rozumu. Sfiksowani.

– Mówi pan o Mieszkającym w Progu – powiedział.

– Och, on ma bardzo wiele różnych imion – rzucił radośnie biskup.

Sięgając po karafkę z winem, książe Eddy przewrócił ją, zalewając obrus strugą ciemnoczerwonej cieczy. Książe zachichotał drwiąco. Aleksander posłał złowrogie spojrzenie doktorowi Gullowi, który w odpowiedzi podniósł się energicznie.

– Jego Wysokość prosi wszystkich państwa o wybaczenie – rzekł Gull dystyngowanym tonem – ale miał wyjątkowo ciężki dzień. Posiłek raczy dokończyć w swoim pokoju, zanim uda się na spoczynek.

Książe machnął ręką i wybełkotał coś, co mogło uchodzić za wyraz sprzeciwu. Gull szepnął mu kilka słów do ucha i pomógł podnieść się. Spojony winem książe, nie chcąc podporządkować się poleceniom Gulla, silnym szarpnięciem uwolnił rękę, uderzając łokciem

w krzesło i przewracając je na podłogę. Oblicze Gulla pokraśniało.

– Dobranoc, Wasza Wysokość – rzekł Aleksander Sparks. Jego głos przeciął ciszę niczym ostrze skalpela. – Życzymy miłego odpoczynku.

Księżę wyraźnie spokorniał. Skinął głową Aleksandrowi. Doktor Gull ujął go mocno za rękę i poprowadził ku schodom. Ponownie szepnął mu coś do ucha. Księżę stanął i zebrawszy w sobie resztki godności, odwrócił się do gości przy stole.

– Dziękuję wszystkim... Dobranoc – wykrztusił.

Goście również go pożegnali. Gull pokierował księcia szerokim łukiem w stronę schodów. Diuk potknął się, ale doktor przytrzymał go i wolno, stopień po stopniu, zaczęli piąć się w górę. Księżę wyglądał równie żałośnie i smutno jak bezzębny, stary niedźwiedź w jarmarcznym przedstawieniu.

Kiedy Doyle podążył za nim wzrokiem, na stół przed nim rzucono coś ciężkiego. Jego rękopis.

– Być może wyobrazi pan sobie moje zdumienie, doktorze Doyle, kiedy pański... manuskrypt trafił do wydawnictwa Rathborne i Synowie – powiedziała lady Nicholson niskim, gardłowym głosem, bogatym w zmysłowo sugestywne pauzy.

Być może – pomyślał Doyle.

– Kiedy profesor Vamberg i pan Graves – to znaczy pan Sparks – przedstawili sobie...

– Mniej więcej przed jedenastoma laty – rzucił biskup. Lady Nicholson zareagowała na ten wykręt równie bezkompromisowo jak Vamberg.

– Dziękuję, Wasza Wielbność. Sir John, generał Drummond i ja studiowaliśmy wiedzę okultystyczną od wielu lat – jesteśmy pod tym względem tacy sami. Od chwili, gdy profesor i pan Sparks przybyli do Anglii i spotkali się z nami, a potem wspólnie rozpoczęliśmy pracę na rzecz... wspólnego celu, podstawową sprawą stało się dla nas zachowanie naszej działalności w absolutnej tajemnicy. Tak więc proszę sobie wyobrazić nasze zdumienie, kiedy ten... dokument trafił na moje biurko. Dzieło młodego, nieznanego, niepublikowanego dotąd lekarza, który, jak zdawał się wskazywać dowód w postaci manuskryptu, od wielu lat bezczelnie nas szpiegował. Proszę wybaczyć, ale w naszym rozumieniu był pan nikim.

Chciał im powiedzieć, iż był to jedynie przypadek. Połowę wątków zapożyczył z dzieł Bławackiej, a reszta to po prostu ślepy traf. Doyle wiedział jednak, iż nie to chcieli usłyszeć, a poza tym, mówiąc to, niczego by nie zyskał.

– Dlatego... – zamruczała lady Nicholson – od pewnego czasu... bardzo nam zależało... na otrzymaniu wyjaśnienia... bezpośrednio od... autora... – Leniwym ruchem

wskazała leżącą na stole książkę.

Doyle wolno pokiwał głową. Czuł na sobie ich wzrok, przesuwający się po jego cielesnym dokuczliwe insekty.

– Rozumiem, lady Nicholson. Na początek chciałbym powiedzieć, jak bardzo podziwiam wszystkie wasze dokonania – powiedział Doyle nieco niepewnym, akademickim tonem, jakiego użył w powozie podczas rozmowy z Aleksandrem. – Jakże wielkie i nowatorskie jest dzieło, które podjęliście. To doprawdy wizjonerskie wyzwanie. Brawo dla wszystkich. Jestem pod dużym wrażeniem.

– Skąd dowiedział się pan... o naszym przedsięwzięciu? – zapytała lady Nicholson.

– Nie będę udawał. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym wam powiedzieć – rzucił spokojnie Doyle, modląc się w duchu, aby nie zawiodła go w tej chwili jego umiejętność improwizacji. – Prawda jest banalna – prowadziłem badania.

– Badania – powiedziała lady Nicholson, wznosząc brew. Goście przy stole dyskretnie wymienili, niepewne i zakłopotane spojrzenia.

– O tak – ciągnął zuchwale Doyle. – Przysięga o zachowaniu tajemnicy to jedno, tak właśnie być powinno, i uchowaj Boże, aby miało być inaczej. Zważywszy na to, czym się zajmowaliście, możemy nawet przypuszczać, że nie powinniście mieć najmniejszych trudności w ukryciu działalności siedmiu tak niewiarygodnie utalentowanych osób przed oczami i uszami tak skromnego wielbiciela, innymi słowy nikogo. Jednak wielbiciel trawiony dojmującym pragnieniem uczestnictwa w waszym szczytnym dziele... cóż, to zapewne inna para kaloszy.

Nastąpiła długa cisza.

– Jak? – rzucił oschle Drummond.

Doyle zachichotał pod nosem.

– Z całym szacunkiem, generale Drummond, mógłbym poprosić pana, aby zdradził mi najbardziej strzeżone tajemnice wojskowe. Nie, nie, nie mówmy tu o metodach prowadzonego przeze mnie śledztwa. Zajmijmy się drugą kwestią, która z pewnością was nurtuje, a mianowicie dlaczego to uczyniłem. Odpowiedzi na to pytanie udzielę państwu z największą przyjemnością.

Doyle odchylił się na krześle, upił wina i uśmiechnął się bezczelnie. Przez moment widział oko Eileen, która bezgłośnie podała w wątpliwość stan jego umysłu, przejrzała jego plan i dała mu do zrozumienia, że gdyby tego potrzebował, w każdej chwili mógł liczyć na jej wsparcie.

Nieomal niedostrzegalnym gestem dał jej znak, że przyjął to do wiadomości.

– A zatem, dlaczego? – zapytał Aleksander Sparks. Łypnął na Doyle'a złowrogo, ale w jego wzroku dostrzec można było iskierkę niepewności.

Już drugi raz udało mi się zbić go z tropu – pomyślał Doyle. Z jakiegoś powodu nie był w stanie przejrzeć tej absurdalnej, błazeńskiej fasady, którą stworzyłem – a więc jednak ten człowiek ma słaby punkt.

– Właśnie, dlaczego, panie Sparks – rzekł Doyle, wychylając się konfidencjonalnie naprzód. – Dobrze. Siedzę tu wśród was. W waszym rozumieniu jestem człowiekiem skromnym, uniżonym, o nader umiarkowanych dokonaniach. Nie mam pozycji, która mogłaby pozwolić mi zbliżyć się do któregokolwiek z was. Sympatyzuję z waszymi celami i z całego serca pragnę zobaczyć, jak wasze wizje przeradzają się w rzeczywistość. Postawiłem sobie za cel wymyślić sposób, aby móc spotkać się z wami twarzą w twarz. Mógłbym przekonać was, abyście pomogli mi odegrać jakąś niewielką, mało znaczącą rolę w realizacji tego Wielkiego Planu, w który tak głęboko i żarliwie wierzę.

Myśli w głowie Doyle'a przepływały jak przekazywane telegraficznie informacje – im dłużej pozwolą mi mówić, i im dłużej będę plótł te androny, tym dłużej pozwolą nam żyć, a jednocześnie zyskam na czasie, aby Jack – jeżeli jest tutaj – mógł wykonać swój ruch.

– A więc dlatego napisał pan tę... historię? – spytała Lady Nicholson, jakby to słowo napawało ją odrazą.

– Właśnie tak, madame, i dlatego przesłałem do was mój manuskrypt – powiedział Doyle, rozkładając ręce, jakby wykladał karty w pokerowej rozgrywce. – To właściwa odpowiedź. Przejrzała mnie pani.

Goście znów wymienili ukradkowe spojrzenia. Doyle widział, że nie wszystkich udało mu się przekonać. Drummond i, w mniejszym stopniu, Chandros wydawali się szczególnie oporni wobec jego wyjaśnień.

– Oprócz firmy Rathborne i Synowie wysłał pan swój rękopis do innych wydawnictw – stwierdził Chandros.

– To prawda, sir John, uczyniłem tak z jednego powodu – rzekł Doyle, zakładając, że w miarę szybko zdoła wymyślić coś przekonywającego. – Nie wchodzi się do jaskini lwa bez przeprowadzenia dywersji. Moje działanie wymagało subtelności. Gdybym zwrócił się do was bezpośrednio, moglibyście potraktować to opacznie, a w najlepszym razie nieprzychylnie, tak więc dla niepoznaki postanowiłem wybrać taktykę nieco dłuższą, ale za to taką – w przypadku gdybyście zechcieli mnie sprawdzić przed udzieleniem odpowiedzi – która przyda mi więcej wiarygodności. Tak się złożyło, że w trakcie tych działań kilkakrotnie o mało nie postradałem życia.

Goście milczeli. Doyle wyczuł, że prawie udało mu się przekonać gremium. Postanowił pójść za ciosem i ze szczerością w głosie stwierdził.

– Proszę mi wybaczyć, ale zmuszony jestem mówić wprost. Jeśli rzeczywiście nie wierzycie, że mógłbym się wam przydać, nie zadalibyście sobie, jak sędzę, tyle trudu, aby poddać mnie próbie podczas seansu. Jeżeli w waszym mniemaniu upór, poświęcenie i oddanie cokolwiek znaczą, a wiem, że tak jest, gdyż już dawno mogliście mnie zabić, wierzę, iż dacie mi szansę. Chcę udowodnić moje oddanie waszej sprawie i tym samym przyczynić się do realizacji Wielkiego Planu.

– A co z moim bratem? – spytał Aleksander.

– Z pańskim bratem? – Doyle przygotował sobie ripostę. – Pański brat, panie Sparks, dwukrotnie mnie porwał, choć się temu stanowczo sprzeciwiałem, i niejednokrotnie o mało przez niego nie zginąłem. O ile mi wiadomo, jest uciekinierem z Bedlam. Jeśli można kogoś osądzić po jego zachowaniu, myślę, iż osadzenie go tam nie było bezpodstawne.

– Czego on od pana chce?

– Kto wie, o co może chodzić bełkoczącemu bzdury szaleńcowi? – burknął Doyle. – Równie dobrze można by próbować odgadnąć zagadkę Sfinksa. Szczerze mówiąc, cieszę się, że się go pozbyłem.

Sparks i lady Nicholson wymienili znaczące spojrzenia. W tym gnieździe węży istnieje geniusz wodza – zauważył Doyle.

– Co wiadomo panu... o naszym planie? – spytała lady Nicholson z umiarkowaną, aczkolwiek niewątpliwą dozą szacunku.

– Rozumiem, że staracie się państwo sprowadzić do świata materialnego istotę, o której wspomniał profesor Vamberg – istotę, którą w moim manuskrypcie nazywam Mieszkającym w Progu. – To rzekłszy, Doyle zdecydował się podjąć najbardziej jak dotąd śmiały manewr ofensywny. – I obecnie przygotowujecie się do drugiej próby, przerwa bowiem – związana z narodzinami pani syna, lady Nicholson, blondynka, którego widziałem podczas seansu – miała smutne i tragiczne zakończenie.

Słowa doktora stanowiły dla wszystkich zebranych ogromny wstrząs. Oczy Eileen rozszerzyły się ze zdumienia. Doyle zagrał w ciemno i zgarnął pulę.

Na niedostrzegalny znak od Sparksa, lady Nicholson przekazała mu kolejną garść informacji.

– Wehikuł fizyczny nie był dość silny – powiedziała kobieta bez cienia smutku. – Chłopiec nie był w stanie... znieść tego ciężaru.

Fizyczny wehikuł – dobry Boże, przecież ona mówi o swoim dziecku, własnym ciele i

krwi, jak o nieudanej partii gry w rzutki.

– To wina ojca – dodał z namaszczeniem biskup. – Słaby człowiek. Słaby i zupełnie nieprzydatny.

– Wygląda na to, że pewne... słabości zostały przekazane dalej – powiedziała lady Nicholson.

– Spotkałem się z lordem Nicholsonem. Powiedziałbym, że wcale mnie to nie zdziwiło. Ani trochę – stwierdził Doyle. – Można mieć tylko nadzieję, że wasz następny nosiciel okaże się równie potężny jak jego pozycja w świecie.

– Kto miałby to być? – spytał łagodnie Chandros.

– Jak to kto, księżę Eddy, rzecz jasna – odparł Doyle, strzelając w ciemno. Jak się okazało, celnie.

Kolejna wymiana spojrzeń pomiędzy lady Nicholson i Aleksandrem. Kolejne dotknięcie czułego miejsca.

A więc dlatego znajdował się wśród nich Nigel Gull – aby trzymać Księcia Korony na krótkiej smyczy. Doyle z trudem zdołał się opanować. Szok, jaki obecnie przeżył, był wręcz przytłaczający. Ci ludzie wierzyli, że sprowadzą owo mroczne widmo – Czarnego Władcę, Mieszkającego w Progu, czy diabła – nazwa nie miała większego znaczenia – do świata fizycznego w ciele następcy tronu Anglii.

– Jesteśmy zdumieni pańską... siłą perswazji... i pomysłowością argumentów, doktorze – stwierdziła lady Nicholson.

– Podobnie jak pańską niezmordowaną wytrwałością – dodał Sparks. – Seans rzeczywiście miał na celu sprawdzenie pana. Chcieliśmy określić, z jakiej gliny jest pan ulepiony. I co pan wie.

– Muszę stwierdzić, że cieszymy się, iż podziela pan nasze pragnienia i chętnie przyjmujemy pana do naszego grona. Niemniej z uwagi na ryzyko, jakie podejmujemy, zmuszeni jesteśmy otrzymać jeszcze jakiś dowód pańskiej... przydatności – oznajmiła lady Nicholson.

Doyle skinął głową. Połknęli przynętę, teraz połkną haczyk.

– Jak najszuszej, lady Ni...

Doyle oderwał wzrok, gdy jakiś przedmiot z brzękiem pojawił się tuż przed nim na blacie stołu. Choć nie zauważył ruchu, wiedział, że to Sparks rzucił ów przedmiot w jego stronę.

Była to ostra brzytwa – jej ostrze połyskiwało w blasku świec.

– Chcielibyśmy, aby zabił pan pannę Tempie – rzekł Sparks. – Tu i teraz.

W umyśle Doyle'a czas się zatrzymał.

– Zabić pannę Tempie – powtórzył.

– Proszę – rzekł Sparks.

Nie wolno ci się zawahać, Doyle. Nie możesz nawet mrugnąć. Jeśli Eileen miała jakąś szansę...

Gdzie jest Jack?

Doyle rozejrzał się wokoło. Aleksander uśmiechnął się. Pillphrock zachichotał nerwowo. Oddech lady Nicholson stał się nagle przyspieszony i płytki; ta kobieta podniecała się tym, co za chwilę spodziewała się zobaczyć.

Chcę, abym powtórzył zabójstwo z seansu – tylko że tym razem śmierć nie miała być udawana.

Doyle nie odważył się spojrzeć na Eileen.

– Dobrze. Zrobię to – rzekł spokojnie.

Wziął do ręki brzytwę, podniósł się z krzesła i ujął za szczyt oparcia, aby je przesunąć. Postępując krok w stronę Eileen ujrzał, że pięciu służących zbliżyło się do stołu.

Eileen odwróciła się, by na niego spojrzeć. Doyle dał jej znak oczami.

TERAZ.

Doyle okręcił się na palcach stopy i wykorzystał impet obrotu, by ciąć Vamberga brzytwą. Oczy Vamberga rozjarzyły się za szklami okularów. Wrzasnął, wyrzucając do góry rękę, aby się osłonić; ostrze rozplątało mu marynarkę, przedramię i dłoń. Szkarłatna struga z rozciętych tętnic buchnęła na stół, zachlapując również manuskrypt.

Sięgając do kieszeni, Doyle jednym ruchem wyszarpnął strzykawkę i obrócił się w przeciwną stronę. Pierwszego zobaczył Chandrosa, nachylającego się, by przycisnąć lewą dłoń Eileen do oparcia krzesła; biskup sięgał po jej prawą rękę. Eileen uniosła się z siedzenia, uwolniła rękę przytrzymywaną przez biskupa i pięścią zdzieliła Chandrosa prosto w twarz.

– Dranie! – krzyknęła.

Gdy jej pięść zagłębiła się w jego ciele, mężczyzna ryknął na całe gardło, sięgnął obiema dłońmi do twarzy, ku prawemu oku, a gdy Eileen cofnęła rękę, Doyle spostrzegł, że pomiędzy palcami mocno dzierżyła czterocalową szpilkę do włosów, którą wbiła głęboko w oczodół Chandrosa. Spomiędzy zaciśniętych kurczowo palców mężczyzny bryznęła krew.

Zanim biskup zdążył go pochwycić, Doyle chwycił strzykawkę, wbił ją w miękką, tłustą gardziel Pillphrocka, upuścił brzytwę i obiema dłońmi napał na tłoczek, wpuszczając narkotyk do tętnicy szyjnej mężczyzny. Biskup krzyknął, ale dźwięk urwał się jak ucięty nożem, a w tym przypadku zdławiony przez paraliż. Oczy wyszły mu z orbit, a sklerotyczne

oblicze nabiegło purpurą, gdy narkotyk – końska dawka naparstnicy – wpłynął do jego krwiobiegu, by w przeciągu kilku sekund zatrzymać pracę serca.

– W nogi! – krzyknął Doyle.

Oszołomieni nagłością tego ataku służący dopiero teraz zaczęli sunąć w ich stronę po obu stronach stołu. Drummond wstał, a lady Nicholson odsunęła swoje krzesło od stołu.

Obok niej nie było już Aleksandra Sparksa; Doyle stracił go z oczu. Eileen pobiegła ku schodom. Krzyki Chandrosa ucichły, jego dłonie osunęły się, ochraniając oko, a z uszkodzonego oczodołu wypływała posoka; ostrze szpilki dosięgło jego mózgu. Chociaż informacja ta nie dotarła jeszcze do wszystkich zakątków jego ciała, sir John Chandros był już martwy. Pillphrock siedział sztywno jakby kij połknął, z dłońmi przy szyi, poczerwieniałą twarzą i ustami otwartymi w bezgłośnym wrzasku protestu. Jego chwile były policzone.

Jęk Vamberga – w szoku kurczowo ściskającego rozplataną rękę – sprawił, że Doyle odwrócił się w lewo. Pochylił się, by podnieść brzytwę; spódnica Eileen nieomal musnęła jego dłoń, gdy aktorka biegła od stołu.

Dotykając palcami chłodnej stali, Doyle poczuł na palcach krople ciepłego płynu – krwi, niewypływającej jednak z jego żył – a zaraz potem coś z siłą imadła ścisnęło go za szyję. Vamberg wrzasnął ochryple i zaczął szarpać go, zakrwawionymi jak szpony palcami zranionej ręki. Jego paznokcie do krwi rozorały skórę Doyle'a. Nie mogąc wzniesć głowy ze względu na zdumiewającą siłę chwytu Vamberga, Doyle odwrócił w dłoni drugą strzykawkę, wbił ją głęboko w górną część lewego uda Vamberga i docisnął tłok – połowa zawartości trafiła do tętnicy udowej, zanim mężczyzna nie targnął silnie całym ciałem i nie złamał tkwiącej w jego ciele igły.

Doyle pospieszył ku schodom. Jeden ze służących rzucił się na niego. Doyle ciął brzytwą na odlew, raniąc mężczyznę i odrzucając go w tył.

– Eileen!

Grupka służących wyłoniła się zza zakrętu galeryjki na piętrze i wyległa na schody, sunąc w stronę aktorki.

– Tam! – krzyknął, wskazując drzwi przy podeście piętra. W tej samej chwili rozległ się huk wystrzałów i z jednego z marmurowych stopni, obok stóp Eileen, wzbil się w górę obłoczek kurzu. Odwracając się, Doyle ujrzał Drummonda, który na czele oddziału służących z rewolwerem w dłoni zbliżał się ku schodom. Doyle cisnął w niego brzytwę, ale Drummond zręcznie odbił ją przedramieniem.

– Wyślę cię do piekła! – ryknął Drummond, ponownie wznosząc rewolwer.

Rzucona z góry zbroja spadła z hukiem na stłoczonych obok Doyle'a służących. Drugi

strzał Drummonda chybił.

– Arthurze! – zawołała Eileen.

Odwrócił się – tuż za nim stał wysoki, barczysty służący z uniesioną pałką. Doyle usłyszał ostry świst i w czoło mężczyzny wbiła się srebrzysta gwiazda. Mężczyzna upadł.

Doyle uniósł wzrok. Ciemny kształt przeskoczył nad balustradą i runął na schodzących po schodach służących. Zaskoczeni gwałtownym atakiem lokaje nie mieli szans utrzymać się na nogach. Potoczyli się bezwładnie w dół, podczas gdy Doyle zdążył dogonić Eileen na podeście. Odziana w strój lokaja postać, która ułatwiła im ucieczkę, poderwała się na nogi i straciła ze schodów pozostałych służących.

– Dalej! – rzucił Jack Sparks, wskazując na drzwi na podeście.

Sparks wyrwał ze stosu średniowiecznego żelastwa długi, obosieczny miecz i uśmierciwszy nim jednego z lokajów, zamasztyłymi cięciami zatrzymał w odpowiedniej odległości pozostałych.

– Teraz, Doyle!

Kolejna kula świsnęła mu koło uszu. Drummond ponownie uniósł broń, usiłując wymierzyć ponad cizbą mężczyzn omijających na schodach fragmenty zbroi i uzbrojeń.

Eileen szarpnęła drzwi. – Zamknięte!

Doyle i Jack napaarli ramionami na drewno – zamki puściły przy drugiej próbie. Doyle wyrwał pochodnię z obsady w ścianie, ujął Eileen za rękę i pobiegli co sił w nogach wąskim przejściem dla służby. Sparks cisnął na podest przezroczystą ampułkę, z której wydostały się gęste kłęby gryzącego dymu.

– Naprzód, biegnijcie tak szybko, jak tylko możecie.

Biegli. Sparks przez cały czas był tuż za nimi. Pokonali zakręt, a w korytarzu za nimi rozległy się głośnie krzyki i tupot wielu stóp – to służący pod wojowniczymi rozkazami Drummonda przedarli się przez zaporę dymu.

– Nic ci nie jest? – spytał Doyle, zwracając się do Eileen.

– Chciałabym ich wszystkich pozabijać – rzuciła gniewnie.

– Widziałem, jak wyslizgnąłeś się spod tego wozu – mruknął Doyle do Sparksa.

– Przebicie się tutaj zajęło mi aż godzinę – muszą mieć w tym domu co najmniej stu ludzi.

– Widziałeś...

– Tak. Zanim zaatakowałeś, zdołałem dotrzeć do schodów. Potrzebowałem czegoś, co odwróciłoby ich uwagę...

– Rozumiemy, Jack. Gdzie my jesteśmy? – spytała Eileen. Dobry Boże, ona jest

bardziej spokojna ode mnie – pomyślał ze zdumieniem Doyle.

Zatrzymali się przy rozgałęzieniu korytarzy. Jeden prowadził w głąb domu, drugi opadał w dół i odchodził w lewo.

– Tędy – rzucił Sparks, prowadząc ich w lewo.

– Jak się stąd wydostaniemy? – zapytał Doyle.

– Znajdziemy drogę.

W miarę jak schodzili niżej, ściany stawały się coraz bardziej szorstkie i surowe. Na niższych poziomach nie kładziono już boazerii, a nawet tynku – kamienne ściany były nagie i wilgotne. Odgłosy pogoni za nimi stały się uspokajająco odległe.

– Zabili Barry'ego – rzekł Doyle.

– Gorzej – dodała Eileen.

– Wiem.

– Muszą mieć też Larry'ego – stwierdził Doyle.

– Nie. On żyje.

– Gdzie jest?

– Bezpieczny.

Przeszli pochyłym korytarzem prawie pół mili. Temperatura wzrosła. Ściany były zawilgocone. Gdy pokonali kolejny zakręt, drogę zastąpiły im ciężkie, dębowe drzwi. Sparks wyteżył słuch, po czym nacisnął klamkę. Otwarte. Wykuta w ziemi jaskinia, w której się znaleźli, zdawała się ciągnąć w nieskończoność – była równie długa jak szeroka. Podłogę zaścielała gruba warstwa słomy. Wiejący skądś wiatr zatrzepotał płomieniem łuczywa, pochodnia poczerniła sklepienie nad ich głowami smugami sadzy. W pieczarze było niesamowicie ciepło, powietrze przesycił osobliwy fetor, przywodzący na myśl gnijące owoce. Doyle wiedział, że już kiedyś napotkał ten smród, ale nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy to było i gdzie.

Idąc dalej, stwierdzili, że część korytarza zalana była wodą. Poziom wody w najgłębszym miejscu wynosił całą stopę. Gdy ostrożnie podążyli naprzód, drzwi za ich plecami, pod wpływem silniejszego podmuchu wiatru, zatrzęsły się z hukiem. Ten niespodziewany dźwięk mimowolnie zmroził im krew w żyłach.

– Larry dostał się tutaj z tobą? – zapytał Doyle.

– Nie. Znalazłem go przy pociągu. Barry został schwytyany przy opactwie.

A więc to krzyki Barry'ego słyszeli wtedy u podnóża stoku. Doyle miał nadzieję, że nie cierpiał długo. Choć kto wie, może cierpiał aż do teraz.

Znaleźli się w połowie długiego pomieszczenia – ich marsz utrudniało osobliwe

połączenie siana i wody.

– Gdzie byłeś wczorajszej nocy, Jack? – zapytał Doyle.

– Kompania żołnierzy królewskiej piechoty morskiej i dwa szwadrony kawalerii zmierzają w tę stronę z Middlesbrough. Dotrą tu przed świtem.

Doyle nigdy dotąd nie chciał równie mocno wierzyć w prawdziwość jego słów.

– Czemu na nich nie zaczekałeś?

– Była z tobą Eileen – powiedział, nie patrząc na nich. Doyle nadepnął na coś miękkiego i elastycznego. Obsunęła mu się noga, ale zdołał – dosłownie w ostatniej chwili – utrzymać równowagę. Powstał z mglistym, nieprzyjemnym odczuciem, że coś, na co nastąpił, poruszyło się, kiedy tego dotknął.

– Jack, oni mają księcia...

– Rozumiem...

Coś strzeliło pod nogą Eileen.

– Co to było? – zapytał Doyle.

Pokręciła głową. Doyle uniósł pochodnię, podczas gdy Sparks rozrzucił słomę pod jej stopami.

– O Boże – powiedziała.

Stąpając, zgruchotała klatkę piersiową kościotrupa na wpół pogrążonego pod wodą; kości były mlecznobiałe, lśniące, ogryzione do czysta. Na słomie błyszczała śluzowata substancja, a srebrzyste smugi okręzały szczątki, oddalając się w różnych kierunkach.

– Widzieliśmy to już wcześniej – w stajniach w Topping – rzekł Doyle.

– Nie ruszaj się – rzucił ostro Sparks. Spoglądał do tyłu ponad ramieniem Doyle'a.

Jakiś mroczny kształt wyłonił się spod słomy. Poczuli coraz silniejszy zapach, łzawiły im oczy.

– Amoniak – oznajmił Doyle.

Doktor spojrział w lewo – z tamtej strony zmierzał ku nim jeszcze jeden mroczny kształt.

– Tam – powiedziała Eileen, wskazując ręką przed siebie, gdzie wśród słomy również coś się poruszało.

– Co to jest? – spytał Sparks.

– Jeżeli mogą powiększyć kapustę do wielkości globusa i pstrąga do rozmiarów delfina... – rzekł Doyle.

– Nie jestem pewna, czy chcemy znać odpowiedź na to pytanie – mruknęła Eileen.

Słoma wokół nich zdawała się tętnić życiem, woda pienila się jak morze podczas

sztormu. Kształty zbliżały się, ale na wprost nich widniała wyraźna luka.

– Naprzód. Szybko – rzekł Sparks, unosząc miecz.

Doyle pospieszył naprzód, wymachując na prawo i lewo pochodnią. Poczuł, jak coś musnęło jego but i błyskawicznie odsunął nogę.

Po prawej stronie z wody na wysokość pięciu stóp wychylił się czarny, smukły kształt. Jego pozbawione kończyn wrzecionowate cielsko wieńczyła poruszająca się nieprzerwanie jama gębowa, okolona pulsującymi ssawkami, otaczającymi trzy pary zgrzytających wściekle szczęk, z których każda wyposażona była w symetryczne rzędy białych, ostrych zębów.

Identyczny kształt pojawił się z lewej strony, przyciągnięty szczątkowym zmysłem węchu. Z tyłu za nim pojawił się kolejny. Wszystkie te stworzenia węszyły krew.

Były to pijawki.

Jack zanurkował pod łukowato wygiętą szyją pijawki z prawej strony i ciął z całej siły mieczem. Ostrze rozpruło cielsko potwora, wypuszczając zeń czarny, cuchnący płyn, i w chwilę później istota zanurzyła się na powrót w bagnistej wodzie.

Doyle machnął pochodnią, trzymając na dystans stworzenia znajdujące się przed nimi. Ich czarne, pomarszczone cielska instynktownie cofnęły się przed ogniem, wilgoć pokrywająca ich błyszczącą skórę zaczęła parować z sykiem.

– Podpal słomę! – rzucił Sparks.

Z tyłu za Jackiem pojawił się jeszcze jeden potwór i zaatakował. Jego zęby wgryzły się w ramię Sparksa, zanim agent zdążył okręcić się na pięcie i jednym cięciem rozplatać stwora na dwoje. Obie ocalałe połówki stworzenia oddaliły się w popłochu.

Doyle pochodnią podpalił słomę wokół nich. Sucha trawa z wierzchu zajęła się w mgnieniu oka. Ogień rozprzestrzenił się z szybkością błyskawicy. Pijawki znajdujące się najbliżej nie zdążyły uciec. Ich ciała ogarnięte płomieniami pokrywały się bąblami i pękały jak przebite balony.

– Tędy! – krzyknął Doyle.

Ścigali płomienie pożerające pokłady słomy. Słysząc było plusk wody, gdy stworzenia uciekały przed żarem, i głośnie jak wybuchy trzaski, oznaczające śmierć kolejnych, odrażających pijawek. Sparks gładko uporał się z kilkoma stworzeniami, które zostały przy życiu i nieopatrznie weszły mu w drogę.

Ogień w tej części pomieszczenia począł wygasać, gdy wierzchnia warstwa suchych traw wypaliła się i płomienie natrafiły na mokrą słomę pod spodem. Trzymając pochodnię wysoko, Doyle dostrzegł drzwi znajdujące się w ścianie przed nimi. Sparks uniósł ciężką zasuwę i po chwili wyszli z mrocznej pieczary.

Znaleźli się na zewnątrz, w pobliżu zakładu bednarskiego – otaczające ich beczki zawężyły im pole widzenia. W pobliżu słychać było tupot końskich kopyt, turkot kół powozu i rozgniewane głosy. Na nocnym niebie wisiał księżyc w pełni. Doyle zgasił pochodnię.

– Chyba zwymiotuję – powiedziała półgłosem Eileen. Odeszła na stronę. Doyle podszedł do niej i przytrzymał delikatnie, gdy wyrzucała z siebie zjedzony niedawno parszywy posiłek. Sparks czekał na nich w dyskretnej odległości. Kiedy spazmy ustały, Eileen przytuliła się do Doyle'a i zamknawszy oczy, drząc na chłdzie, potakiwała głową w odpowiedzi na jego pytanie, czy na pewno już dobrze się czuje. Niechęć do rozmów na temat koszmaru, jakiego doświadczyli, była – jak przypuszczał Doyle – sposobem na zanegowanie jego realności. Zastanawiał się, ile innych szkieletów pogrzebano w tej piekielnej wylegarni. Wygodny sposób na pozbycie się problemów bądź doprowadzenie kogoś, przez strach, do obłędu – pomyślał o soli rozsypanej w poprzek korytarzy w Topping – z całą pewnością w przypadku lorda Nicholsona ta taktyka okazała się skuteczna. Czy właśnie te potwory były powodem obłąkańczych bredzeń Vamberga o mrocznych duchach i paktach z istotami żywiołów? Czy rzeczywiście wyjawiono im fundamentalne tajemnice ducha i materii?

Jego rozmyślenia przerwało pojawienie się Sparksa.

– Ilu zabiłeś? – zapytał półgłosem.

– Chandrosa. Biskupa. Prawdopodobnie Vamberga.

– Aleksandra?

Doyle pokręcił głową.

– Zaczekaj tutaj – powiedział Sparks, poklepując Doyle'a po ramieniu, i zniknął mu z oczu.

– Zabiłam go. Tego okropnego człowieka – rzuciła Eileen, w dalszym ciągu nie otwierając oczu.

– Tak. Zabiłaś go.

– To dobrze. – Znieruchomiała w jego ramionach. Sparks wrócił w kilka minut później z dwoma kompletami liberii służących i – co przyjęli z o wiele większą radością – ciepłymi, wełnianymi płaszczami. Przebierali się za beczkami, podczas gdy Sparks czuwał nad ich bezpieczeństwem. Eileen upięła włosy pod czapką.

Przez szczelinę między beczkami wyjrzeli na dziedziniec – ten sam, na którym Jack wymknął się wcześniej spod wozu, i który obserwował z balkonu Doyle. Służba i skazańcy biegali we wszystkie strony. Konie ciągnące wozy i zaprzęgnięte do powozów, spłoszone stawały dęba. Plutony strażników grupowały się i odmaszerowywały pod dowództwem oficerów.

- Ewakuacja – rzekł półgłosem Sparks. – Wojsko zjawi się, by ich wygarnąć.
- Nie będą walczyć? – zapytał Doyle.
- Bez rozkazu nie. A my przerwaliśmy łańcuch dowodzenia.
- Co z Drummondem?
- Nie zostanie tu, aby walczyć, chyba że jest z nim Aleksander.
- Może jest.
- Nie ma takiego powodu, dla którego miałby dobrowolnie poświęcić swoje życie.

Dam głowę, że jest teraz o wiele mil stąd.

- Dokąd ucieka? – spytała Eileen. Sparks pokręcił głową.
- A co z księciem Eddym? – rzucił Doyle.
- Przypuszczam, że Gull już go stąd zabrał.
- Dokąd?
- Z powrotem do pociągu. A potem do Balmoral. Nie jest im już potrzebny.
- Prawdopodobnie i tak wszystko prześpi – wtrąciła Eileen.
- Nie zatrzymają go w charakterze zakładnika? – zapytał Doyle.
- Niby po co? Ścigaliby ich jak psy. Jako świadek nie może im zaszkodzić. Co

mieliby ryzykować. Wszak księżę był jedynie gościem kilku szacownych obywateli, spędzającym weekend w ich wiejskiej rezydencji.

- Jeżeli tak, to znaczy, że ich pokonaliśmy, Jack. Dadzą sobie spokój.
- Być może.

Nagle Doyle'owi przyszła do głowy pewna niepokojąca myśl.

- Dlaczego nas nie ścigają?
- Mają co innego do roboty, nie uważasz? – rzekła Eileen.
- Ale będą – dodał półgłosem Sparks. – Nie dziś i nie jutro. Ale będą nas ścigać.

Nastąpiła długa cisza.

- Jak się stąd wydostaniemy? – zapytał Doyle.
- Przez bramę – odrzekł Sparks, wskazując wyjście prowadzące do fabryki.
- W jaki sposób?
- Najprostszy, mój drogi Doyle. Na piechotę.

Sparks wstał i wyszedł zza stosu beczek. Doyle i Eileen podążyli za nim, wtapiając się w tłum na placu. Nikt ich nie zatrzymał ani o nic nie wypytywał. Niedługo potem wyszli przez bramę i zostawili za sobą mury Ravenscar.

Ścieżka wiodła do wytwórni biszkoptów. Wejście oświetlone było żółtawym blaskiem lamp, a przez otwarte drzwi wciąż wchodzili i wychodzili ludzie. Od zachodu za potężną

budowlą rozciągały się bagna przypominające płaty śniegu, połyskujące słabo w księżycowej poświacie.

Sparks stanął w miejscu, gdzie tory skręcały ku rampie załadunkowej.

– Zajrzyjmy tam – powiedział.

Idąc wzdłuż torów, dotarli do ogromnych, podwójnych wrót, przez które wagony wjeżdżały do wnętrza budynku. Na bocznicach wokół głównego toru stały zamknięte wagony towarowe.

Fabryka wewnątrz nie przypominała wytwórni biszkoptów. Powietrze przesycone było wonią siarki, dymem, pyłem węglowym i drobinkami sadzy. Pasy transmisyjne dostarczały bryły rudy do tygli zawieszonych nad buchającymi ogniem piecami hutniczymi. Masywne kotły wisiały nad żelaznymi formami wielkości domów. Plątanina kabli, pasów, haków, kół zamachowych i tłoków trwała w nieustającym obłąkańczym tańcu, sięgając niewiarygodnie wysoko, bo aż pod sam dach tej przemysłowej wieży Babel. Z poskręcanych, zdeformowanych zaworów tryskały regularnie strugi złocistego ognia. Z rur i otworów oscylacyjnych buchały kłęby różnobarwnego dymu. W pomieszczeniu krzątała się armia półnagich robotników, czarnych od kurzu i pyłu, którzy w porównaniu z maszynami wyglądali niczym karły. Ich obecność w fabryce wydawała się zbędna – wszystko wskazywało na to, iż specjalistyczna aparatura, służąca jednemu tylko celowi, mogła bez ich pomocy pracować w nieskończoność.

Nie sposób było stwierdzić, jaki produkt końcowy powstawał w tym przemysłowym piekle. Potężne kształty na wózkach, czekające na wywiezienie na zewnątrz, przypominały armaty, ale nigdy dotąd nie zbudowano dział równie gigantycznych, jak te. Były to maszyny przygotowywane na wojnę, która nie tylko jeszcze się nie rozpoczęła, ale której wszczęcia nikt nie śmiał nawet podejrzewać. Patrzyli, jak w despotycznej fabryce przeprowadzano ostatnie czynności – załadunek, szykowano transport, surówka płynęła nieprzerwanie, a robotnicy pod nadzorem uzbrojonych strażników pospiesznie wnosili ładunek do wagonów towarowych.

Wszyscy milczeli, ale w panującym wokoło piekielnym hałasie nie można było usłyszeć nawet własnych myśli.

Sparks dał im znak ręką. Oddalili się od drzwi, podchodząc do jednego z wagonów towarowych. Tu byli względnie bezpieczni.

– Co to jest? I po co? – spytał Doyle, niejako zwracając się do samego siebie.

– Przyszłość – odparł Sparks.

– Spójrzcie tam – rzuciła Eileen.

Wskazała na ścieżkę wydeptaną w śniegu, równoległe do torów od Ravenscar, gdzie dwóch uzbrojonych strażników z latarniami eskortowało kolumnę ludzi. Zmierzała ku moczarom. Ci, których prowadzono, byli skuci długim, rozgałęziającym się łańcuchem. Sądząc po ich chodzie, a raczej po tym, jak powłóczyli nogami, kostki również musieli mieć spętane okowami. Jedni mieli na sobie brudne, szare pasiaki więźniów, inni znajome liberie służących.

Czy to możliwe, że w jednej z tych żalosnych postaci dostrzegł coś znajomego, zastanawiał się Doyle.

– Dokąd oni idą? – zapytał.

– Pójdziemy za nimi i zobaczymy – odparł Sparks. Ruszyli wzdłuż torów. Podkłady ciągnęły się nad powierzchnią bagnistego gruntu na ziemisto-żuźlowej grobli. Idąc w równym tempie z kolumną więźniów wzdłuż nasypu po drugiej stronie, starali się nie tracić z oczu świateł latarni niesionych przez strażników. Niebawem ujrzeli jasną poświatę, wypływającą z wnętrza cienistego budynku znajdującego się na niewielkim wzniesieniu o pół mili dalej na południe. Doyle rozpoznał jeden z niskich budynków, które dostrzegł z okna wieży w Ravenscar. Z wnętrza dobiegały dźwięki przypominające huk wystrzałów – pojedyncze, suche trzaski i ostre karabinowe salwy. Dotarłszy do zakrętu torów, strażnicy skierowali kolumnę na zbocze wzgórza, ku znajdującemu się na szczycie mrocznemu budynkowi.

– Co jest w środku? – zapytał Doyle.

Jack spojrział wzdłuż torów ku zachodowi, najwyraźniej czegoś szukając.

– Dowiedzmy się – odrzekł Sparks.

Księżycowe cienie towarzyszyły im, gdy schodzili z nasypu na ścieżkę. Ziemia pod stopami była dziwnie miękka, porośnięta niskimi krzewami i porostami, pokryta brejowatą warstwą topniejącego śniegu. Sto jardów przed nimi kolumna mężczyzn dotarła właśnie do budynku.

Przykurczeni, ukryci za zasłoną krzewów, wspięli się na zbocze i ujrzeli rozległy plac, na którym stały dwa ceglane budynki, połączone wąskim przejściem. Z dachu drugiego budynku sterczało sześć krótkich, pękatych kominów. Buchał z nich dym i żar – to one były źródłem czerwonej poświaty, którą widzieli z oddali.

Zmieniający się wiatr skierował dym w ich stronę i potworny, duszący odór powalił ich na kolana. Doyle z trudem powstrzymywał mdłości. Sparks podał Eileen chustkę; przyjęła ją z wdzięcznością i przyłożyła do nosa i ust. Doyle i Jack wymienili posępne spojrzenia. Sparks skinął na Eileen, aby została na miejscu, podczas gdy dwaj mężczyźni wolno i ostrożnie podkradli się na odległość dwudziestu jardów od placu przy budynkach.

Kolumna mężczyzn, za którą podążali, stała leniwie przed pierwszym budynkiem, za drugą grupą skazańców stłoczoną przy pojedynczych drzwiach. Ubrojeni strażnicy, pilnujący kolumny, stanęli z boku. Dwaj inni ustawili się z obu stron przy drzwiach.

Doyle wskazał postać, którą rozpoznał, a która znajdowała się w samym środku drugiej kolumny. Sparks pokiwał głową.

Z wnętrza pomieszczenia dochodził huk karabinowej palby. Stłumione echa przetaczały się po moczarach. Dwaj strażnicy przy drzwiach błyskawicznie zareagowali na strzały – jeden z nich wymierzył strzelbę w mężczyzn stojących najbliżej, drugi zaś odpiął od pasa klucz i zdjął im okowy. Na uwolnienie z łańcuchów więźniowie w ogóle nie zareagowali. Stali w martwym bezruchu, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Stalowe drzwi do budynku otworzyły się od wewnątrz i do środka wprowadzono pierwszą grupę ludzi. Stojący pod ścianą uzbrojeni w karabiny strażnicy przeładowywali broń. Nieco dalej szaro odziani mężczyźni przez wąski, otoczony murami pasaż przetaczali wózki, załadowane stertami trupów, do budynku naprzeciwko.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Druga grupa strażników zamieniła kilka słów z tymi dwoma, którzy pilnowali tego miejsca – przekazanie służby. Strażnicy z latarniami zawrócili i zeszli ścieżką do torów.

Sparks odczekał, aż strażnicy znajdą się w odpowiedniej odległości od budynku. Kręgosłup tego, co szedł z tyłu, trzasnął, nim mężczyzna zdążył wydać choćby najcichszy okrzyk. Kiedy pierwszy strażnik odwrócił się, cios kolbą karabinu uciszył go na dobre. Sparks i Doyle ruszyli w górę zbocza ku krematorium.

Nie próbowali się podkładać, zrezygnowali z jakichkolwiek forteli. Sparks zbliżył się do strażników przy drzwiach i zlikwidował ich, zanim choć jeden z nich zdążył unieść strzelbę.

Dole odpiął od pasa strażnika klucze i zdjął kajdany z rąk i nóg mężczyzn ustawionych w kolumnę przed drzwiami. Żaden się nie poruszył. Wszyscy nosili bolesne piętno plugawego zabiegu Vamberga. Te przypadki uznano jednak za nieudane i bezużyteczne. Właśnie w tym miejscu pozbywano się „odpadów”.

Z wnętrza budowli dobiegły strzały. Doyle podszedł do mężczyzny, po którego tu przyszli, ujął Barry'ego za rękę i odprowadził go na bok. Tamten nie stawiał oporu ani nie rozpoznawał doktora, podążając za nim posłusznie jak dziecko. Sparks ruchem ręki nakazał Doyle'owi, aby szybko odprowadził go ścieżką w dół zbocza, sam natomiast zajął pozycję przy drzwiach plugawej rzeźni.

Doyle i Barry znaleźli się w miejscu, skąd nie było już widać drzwi, kiedy doktor

usłyszał skrzypnięcie zawiasów, a zaraz potem dobiegającą z wnętrza budynku kanonadę wystrzałów i ochryple, przeraźliwe wrzaski.

Doyle zatrzymał się. Barry osowiale patrzył się w ziemię. Eileen wyszła im na spotkanie – oboje odwrócili się w stronę budowli i czekali.

Strzały ucichły. Nic się nie poruszyło. Nagła cisza, jaka zapadła na moczarach, wydawała się równie bezkresna jak rozgwieżdżone niebo nad ich głowami.

Na szczycie zbocza pojawił się Sparks. Podchodząc do nich, odrzucił od siebie karabin. Jego twarz i odzienie były zbryzgane krwią, która w świetle księżyca wydawała się czarna. Doyle nigdy nie widział podobnego wyrazu ludzkiej twarzy – żalu i litości, zgrozy i gniewu. Sparks wyglądał jak bóg tuż po zniszczeniu stworzonego przez siebie świata, który ogarnięty szaleństwem, wydostał się spod kontroli. Z tyłu za nimi w niebo wystrzelił słup ognia; Jack podłożył ogień pod budynki.

Sparks minął ich, delikatnie ujął Barry'ego za rękę i poniosł go w kierunku torów kolei żelaznej. Eileen chlipnęła. Doyle objął ją ramieniem i ruszyli wolno za Jackiem.

Gdy zbliżyli się do torów, ich oczom ukazał się osobliwy widok – lokomotywa z dwoma wagonami tyłem podjeżdżała w ich stronę po zachodniej odnodze torów.

– To nasz pociąg – rzekł Doyle. – Nasz pociąg.

Przyspieszając kroku, by zrównać się z Jackiem, który wspinał się właśnie na nasyp, ujrzeni, jak Larry wybiegł z kabiny lokomotywy i podbiegł do Sparksa. Agent wolno, z namaszczeniem ułożył bezwładne ciało Barry'ego na ziemi.

Larry upadł na kolana. Pojedynczy, przeciągły krzyk, jaki dobył się z ust Larry'ego na widok brata, przeciął ciszę nocy niczym ostrze noża.

Doyle i Eileen weszli na nasyp. Larry klęczał na żużlu, trzymając Barry'ego w ramionach – jedną ręką odgarnął z czoła brata niesforny kosmyk włosów.

– O Boże, nie, Boże, nie, Barry, braciszku, spójrz tylko, co oni ci zrobili, co oni ci zrobili... Spójrz, co oni mu zrobili, Jack. Och, ty biedaku, mój biedny braciszku...

Sparks stał nad nimi ze spuszczonego wzrokiem; jego oblicze tonęło w pomroce cieni. Eileen obróciła się i zapłakała, kryjąc twarz na ramieniu Doyle'a.

Larry nieznacznie zmienił pozycję i blask księżyca padł na twarz Barry'ego. Doyle zauważył, że spojrzenia braci spotkały się i nagle w oku Barry'ego pojawiła się iskierka świadomości. Na krótką chwilę znów zatliło się w nim życie.

Barry poruszył wargami. Spomiędzy nich dobył się dźwięk. Powtórzył go.

– S... s... kończ... to... – powiedział Barry.

To rzekłszy, Barry ponownie zapadł się w otchłań pustki, która go pochłonęła.

Ze strużkami łez spływającymi po policzkach, Larry spojrzął na Jacka. Sparks wskazał palcem na siebie. Larry wolno pokręcił głową. Sparks potaknął na znak, że zrozumiał, zerknął na Doyle'a i oddalił się. Doyle objął Eileen i ruszył z nią wolno wzdłuż torów.

Doktor obejrzał się przez ramię. Larry pochylił się, by pocałować Barry'ego w policzek. Wyszeptał coś do niego, po czym wolno, delikatnie przesunął obie dłonie w górę, by zacisnąć je na szyi brata. Doyle odwrócił głowę. Eileen zadrżała w jego ramionach.

Minęło parę chwil. Doyle i Eileen spojrzeli na siebie, ale nawet więź, jaka ich połączyła, nie była w stanie przemóc koszmaru. Eileen odwróciła wzrok. Doyle zdał sobie sprawę, że z konieczności wycofała się na wyższy poziom świadomości wewnętrznej. Zastanawiał się, czy szczelina, jaka powstała między nimi, ma szansę kiedykolwiek zniknąć.

Larry zamknął Barry'emu oczy. Wziął jego ciało w ramiona, kołysząc je wolno, jakby próbował utulić dziecko do snu. Sparks stał nad nimi, spoglądając w kierunku Ravenscar. Wzdłuż torów w ich stronę zmierzały tańczące światła – światła latarni – było ich całe mnóstwo.

Doyle pomógł Eileen wsiąść do pociągu. Usiadła ciężko na jednym z siedzeń. Doyle, wyglądając przez okno, widział, jak Sparks ukucnął obok Larry'ego i coś mu powiedział. Larry pokiwał głową, podniósł z ziemi ciało brata i przeniósł je do lokomotywy. W chwilę później doktor stracił go z oczu.

Doyle usłyszał strzały, przeszedł na tył wagonu i wyszedł na platformę. Latarnie znajdowały się dobre ćwierć mili za nimi. Kule świstały w powietrzu, rykoszety odbijały się od stali. Doyle oparł karabin o poręcz i strzelał w kierunku światła, aż do opróżnienia magazynka.

Koła lokomotywy zaczęły się obracać i pociąg przyspieszył, unosząc ich z dala od prześladowców. Wkrótce światła latarni zmieniły się w drobniutkie, żółte iskierki, a po chwili znikły zupełnie, rozplywając się w ciemności.

19. V. R.

Doyle poczęstował Eileen brandy, ale odmówiła. Podeszła jak somnambuliczka do koi z tyłu, odwróciła się twarzą do ściany i leżała w milczeniu, bez jednego ruchu – nie sposób było stwierdzić, czy spała.

Doyle opróżnił szklaneczkę dwoma łykami. W lustrze nad barkiem dostrzegł swoje odbicie. Wychudła, ubłocona i okrwawiona twarz nie przypominała ludzkiej istoty, jaką pamiętał. Szok, wyczerpanie i smutek mogą, jak się okazuje, mieć swoje dobre strony – pomyślał Doyle. Osiąga się stan, w którym nie odczuwa się kompletnie niczego.

Otwierając drzwi łącznika, Doyle przeszedł po tendrze do lokomotywy. Ciało Barry'ego leżało na podłodze kabiny. Za całun służył płaszcz Jacka; jeden but wystawał spod nakrycia i kołysał się miarowo w rytm jazdy pociągu. Larry obsługiwał przepustnicę, lustrując pas toru przed nimi.

– Znajdujemy się o dziesięć mil od głównego toru – rzekł Sparks, przekrzykując łoskot maszyny.

– Londyn? – spytał Doyle. Sparks pokiwał głową.

Doyle spojrzał na nagie, skąpane w księżycowym blasku moczary, obce i bezlitosne niczym powierzchnia Księżyca i równie martwe, jak ciało przykryte całunem. Chłodny wiatr omiatający wnętrze kabiny przynosił oczyszczenie.

– Będę w środku – rzekł Sparks.

Sparks powrócił do wagonu pasażerskiego. Doyle dorzucił węgla do pieca i napełnił pojemnik z tendra, po czym wstał, w milczeniu gotowy udzielić pocieszenia strapionemu. Czekał tylko na pierwszy znak z jego strony.

– Nigdy nie słyszał pan, jak on śpiewał – rzekł w chwilę później Larry, nie patrząc na niego.

– Nie.

– Ten chłopak śpiewał jak anioł. Miał głos jak...

Doyle pokiwał głową, czekając cierpliwie.

– Powiedział, żebym uciekał. Kazał mi.

– O czym ty mówisz, Larry?

– Mieliśmy zatrzymać ich z dala od ruin. Połowa tych łajdaków padła, nim zdołali się do nas zbliżyć. Ale paru zaszło nas od tyłu. Wzięli nas w kleszcze i już. I wtedy on mi mówi – uciekaj. Ja na to – nic z tego, nie ma mowy. A on, że Jack potrzebuje przynajmniej jednego z nas do prowadzenia lokomotywy. Ja mówię, że to powinien być on. A wtedy Barry mówi, że jest starszy i że muszę robić, co mi każe.

– A był starszy?

– O całe trzy minuty. Zatrzymał rewolwer. Zbiegłem z tego wzgórza... – Larry otarł oczy rękawem. – Zabrał ze sobą sporo tych łajdaków, nie?

– Tak.

– Wie pan, bywało, że o tym rozmawialiśmy. O tym, który z nas umrze pierwszy. Zawsze twierdził, że to powinien być on; bo, widzi pan, Barry lubił ryzyko. I ani trochę nie bał się śmierci. Pan Sparks mówił, że śmierć może być początkiem czegoś nowego. Barry też tak uważał. Co pan na to, szefie?

Larry po raz pierwszy spojrział na niego.

– Bardzo możliwe, że śmierć jest początkiem czegoś – rzekł Doyle.

Larry pokiwał głową, po czym spojrział na swego brata, zakrytego łopoczącym na wietrze płaszczem Jacka.

– Pan Sparks mówi, że zabił pan człowieka, który to zrobił.

Doyle pokiwał głową.

– W takim razie... mam wobec pana dozwonny dług – mruknął Larry łamiącym się głosem.

Doyle nie odezwał się. Nie był pewien, czy jest w stanie wydobyć z siebie głos. Mijały minuty. Larry ponownie otarł oczy.

– Jeśli nie miałby pan nic przeciwko – rzekł przepaszająco Larry – chciałbym teraz zostać z nim sam.

– Oczywiście.

Doyle wyciągnął rękę. Larry uściśnął ją krótko, nie patrząc na doktora, po czym odwrócił się w stronę przepustnicy. Doyle wrócił do wagonu pasażerskiego.

Sparks siedział przy stoliku. Na blacie stała otwarta karafka i dwie szklaneczki. Doyle usiadł naprzeciw niego. Sparks napełnił szklaneczki. Wypili. Ciepło alkoholu rozeszło się po ciele Doyle'a, pozwalając mu oderwać się od przerażającego koszmaru.

Doyle powiedział Sparksowi, jak Aleksander pojawił się na dziedzińcu oberży, jak

dotarli do Ravenscar, gdzie w wielkiej sali doszło do konfrontacji. Sparks przysłuchiwał się z uwagą, pytając wyłącznie o Aleksandra i o odczucia Doyle'a wobec niego. Kiedy doktor skończył, obaj przez pewien czas siedzieli w milczeniu.

– Czy oni wszyscy są zwyczajnie obłąkani? – spytał w końcu Doyle półgłosem. – Wierzą, że mogą sprowadzić tę istotę z Drugiej Strony... dać jej nowe życie.

Sparks zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

– A te istoty w podziemiach muzeum? Masz jakieś wytłumaczenie?

– Czy możesz wytłumaczyć, czym jest siła życiowa?

– Można mieć na ten temat swoje zdanie.

– Ale wyjaśnienie może stanowić niedostępną dla nas tajemnicę.

Sparks pokiwał głową. Wypili.

– A ta historia, którą stary rybak opowiedział Stokerowi, kiedy ujrzeli ich schodzących na brzeg z pokładu szkunera – rzekł Sparks.

– Sprowadzili trumnę. Szczątki twojego ojca.

– Powiedział, że były dwie trumny. Co znajdowało się w drugiej?

– Nie znaleźliśmy jej.

– Jeżeli Istota, o której mówili, rzeczywiście żyła dawno temu, przyjmijmy, że udało im się w jakiś sposób odkryć jej tożsamość. Czy uważasz, że Aleksander i pozostali wierzyli, iż zdobywszy te szczątki, są w stanie przywrócić Istotę do życia?

– Przypuszczam, że tak.

– Zatem pobyt Aleksandra na Wschodzie miał na celu odkrycie tożsamości tej osoby i zdobycie jej zwłok.

– To oczywiste.

Sparks pokiwał głową.

– A więc kluczem do całego przedsięwzięcia staje się druga trumna. Wydaje mi się, że musi znajdować się w rękach Aleksandra, gdziekolwiek jest teraz.

Doyle ujrzawszy srebrny przedmiot w dłoni Sparksa – agent obracał go i oglądał, jak gdyby zagadka jego brata była ukryta wewnątrz, niczym skarabeusz w kropli bursztynu.

– Ale co oni właściwie zamierzali? Czy ich plan mógł się powieść? – zapytał Doyle.

– Aby pojąć ich poczynania, trzeba by podążać tokiem rozumowania szaleńca – rzekł Sparks z lekkim uśmiechem.

Doyle poczuł, że jego policzki zalewa rumieniec wstydu.

– Diukowi Clarence urodziło się dziecko, ale przypomnijmy, że kobietę, która została jego żoną, wybrali zawczasu oni.

– Nie lada zadanie.

– Owszem, ale przypuśćmy, że tak było. Dziecko, chłopiec, w wyniku odprawionego przez Siedmioro rytuału staje się nie więcej niż powłoką zawierającą w sobie ucieleśnioną duszę bestii. Co dzieje się później? Zastanów się logicznie.

– Usuwają przeszkody na drodze do osiągnięcia przez niego sukcesji – rzekł Doyle.

– Właśnie. Jako że chłopiec potrzebuje paru lat, by osiągnąć dojrzałość, TAMTYM nie będzie się specjalnie spieszyło, a co za tym idzie, kolejne zgony nie wzbudzą niczyich podejrzeń. Królowa zasiada na tronie od prawie pięćdziesięciu lat, a oni wiedzą, że nie będzie żyła wiecznie.

– A zatem księżę Walii.

– Dziadek chłopca i następcą tronu. Jest nader prawdopodobne, że przez pewien czas zostawia go w spokoju, bo po co usuwać dziedzica zbyt wcześnie i powodować niepotrzebny chaos? Nie, oni są cierpliwi. Koniec końców Wiktorja umiera (być może do tego czasu nasz jasnowłosy chłopiec staje się nastolatkiem) i tron po niej przejmuje dość podstarzały już Edward. Kto wówczas stoi pomiędzy chłopcem a koroną?

– Tylko jego ojciec.

– A nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby, aby ten pijaczyna przejął po nim władzę. Księżę Eddy musi odejść, jak sądzę, w niedługim czasie po przyjściu na świat jego syna. Jego śmierć będzie wyglądała na naturalną. Nietrudno to zaaranżować. Zwłaszcza przy jego słabowitym zdrowiu.

Doyle potaknął.

– Pozostawiając swemu synowi, księciu koronnemu i hołubionemu przez wszystkich półsierocie, spuściznę po jego dziadku-królu. Potem sprawa jest już prosta – należy tylko usunąć z tego świata króla Bertiego oraz wszystkich niewygodnych pretendentów, a nasze księżątka może już wsiadać do powozu koronacyjnego i udać się w drogę do Windsoru.

– Ale to może potrwać ze dwadzieścia lat.

– Tyle trwa proces dorastania przeciętnego dziecka. W tym czasie Siedmioro umocni swoją pozycję wpływowych doradców królewskiej rodziny. Przed objęciem tronu młody król pozna całą prawdę o Ścieżce Lewej Ręki prowadzącej do władzy – którą ma w sobie zakodowaną – i rozpocznie tysiącletnie rządy na czele najpotężniejszego narodu na ziemi.

Sparks odchylił się do tyłu. Doyle zdumiał się, bo zaprezentowany scenariusz brzmiał logicznie i szaleńczo zarazem.

– Dlaczego mieliby to zrobić, Jack?

– Król może wypowiadać wojny. A oni zajmują się produkcją broni. Powód jest zgoła

pragmatyczny i być może właśnie nim powinniśmy przejmować się najbardziej.

Doyle pokiwał głową. To chłodne, racjonalne rozumowanie podziałało nań równie orzeźwiająco jak woda ze strumienia.

– I ta ziemia. Skazańcy. Narkotyk Vamberga.

– Człowiek jak niekształtna glina. Odgrywający Boga – rzekł Sparks, wzruszając ramionami. – Musi istnieć jakiś bardziej praktyczny powód. – Sparks przerwał. – Tworzenie prywatnej milicji.

– Dla obrony?

– Albo czegoś gorszego.

– Ale kuracja nie poskutkowała. Okazała się niepewna – rzekł Doyle, myśląc o nieszczęsnych ludziach, których zmuszono do wyruszenia na pewną śmierć.

– Człowiek to istota, którą trudno zniewolić. Sam widziałeś rezultaty.

Doyle dopił brandy. Po chwili milczenia nieco cichszym głosem powiedział:

– Jack, kiedy ostatnio byliśmy w Londynie... policja poinformowała mnie, że uciekłeś z Bedlam.

– Podałeś im moje nazwisko?

Doyle pokiwał głową.

– Powiedzieli, że jesteś obłąkany.

Sparks przekrzywił głowę i spojrzał na niego z ukosa. Czy na jego ustach wykwitł uśmiezek?

– Co im powiedziałaś, Doyle?

– Nic więcej. Ale muszę przyznać, że bywały momenty, w których uważałem to za całkiem prawdopodobne.

Sparks spokojnie pokiwał głową i nalał sobie jeszcze jedną brandy.

– Zamknięto mnie w Bedlam. Spędziłem tam kilka tygodni. Pół roku temu.

Doyle poczuł, że jego oczy stają się wielkie jak spodki.

– Wbrew mojej woli. Na polecenie pewnego znanego lekarza, człowieka, którego wówczas inwigilowałem. Doktora Nigela Gulla. W trakcie śledztwa, aby się do niego zbliżyć, zostałem jego pacjentem. Zaprzyjaźniliśmy się. Któregoś wieczora zaprosił mnie do siebie na kolację. Przyjąłem zaproszenie, chcąc na podstawie domu, w którym mieszkał, dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Popelnilem błąd. Chwila dekoncentracji. Gdy wszedłem do środka, rzuciła się na mnie zgraja ludzi, w tym paru gliniarzy. Zostałem obezwładniony, zapięty w kaftan bezpieczeństwa i przewieziony do Bedlam.

– O Boże.

– Chyba w obecnej sytuacji nietrudno stwierdzić, kto kierował poczynaniami doktora?

– Nie.

– Zamknięto mnie w izolatce, trzymano w ciemnościach i ani na chwilę nie zdjęto mi kaftana. Zdarzało się, iż czułem, że ktoś mnie obserwuje, ktoś kogo znałem. I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że człowiek, którego tak długo ścigałem, to Aleksander.

Jeszcze jedna rzecz od dawna nie dawała Doyle'owi spokoju.

– Jack, wybacz, ale muszę zapytać. Tamtej nocy, gdy jechaliśmy do Whitby. W pociągu. Widziałem, że robiłeś sobie zastrzyk.

Sparks nie poruszył się, ale wyraźnie się zawstydził. Jego policzki zapadły się i pociągłe oblicze nabrało jeszcze bardziej wychudłego i znużonego wyrazu.

– Już pierwszej nocy w Bedlam założono mi na głowę kaptur, a pasy kaftana bezpieczeństwa przymocowano do ściany. Potem zaczęło się robienie zastrzyków. Robili je na okrągło, zanim jeden przestał działać, już otrzymywałem następny.

– Narkotyk Vamberga?

Sparks pokręcił przecząco głową.

– Kokaina. W niecały tydzień wywołali u mnie... fizyczne uzależnienie.

– Jak zdołałeś uciec?

– Bardzo szybko straciłem poczucie czasu. Minął miesiąc, zanim nastąpiła jakaś zmiana w moim, że tak powiem, grafiku. Moi oprawcy sądzili, że wraz z poczuciem czasu straciłem również świadomość i siłę fizyczną. Pomylili się. Stawiałem sile narkotyku większy opór, niż się im zdawało. Udawałem. Pewnego dnia, zaraz po porannym zastrzyku, zostałem wyprowadzony z celi i wsadzony do powozu. Gdy zbliżaliśmy się do celu, zdjęto mi kaftan bezpieczeństwa. Trzej ludzie, którzy mnie eskortowali, nie pożyli dość długo, by móc pożałować, że to uczynili. Wyskoczyłem z jadącego powozu. Pomimo iż byłem prawie kompletnie oślepiiony słonecznym światłem, udało mi się uciec.

– Co zamierzali z tobą zrobić?

– Powóz jechał przez Kensington. W kierunku pałacu. Wydaje mi się, że uzależniwszy mnie od narkotyku, chcieli mnie zmusić do popełnienia jakiejś zbrodni.

Sparks opróżnił szklaneczkę i wbił wzrok w odległy kąt.

– Więc to widziałeś, gdy jechaliśmy do Whitby... Mimo iż bardzo się starałem, przez kilka miesięcy nie zdołałem w pełni uwolnić się od... uzależnienia.

– Czy jest coś, co...

– Skoro już o tym mowa... Zmuszony jestem prosić ciebie jako przyjaciela i dżentelmena, abys nigdy więcej nie podejmował tego tematu.

Mięśnie szczęk Sparksa naprężyły się. Jego oczy stały się zimne, a głos szorstki i jakby nieco zduszony.

– Oczywiście, Jack.

Sparks pokiwał głową, wstał od stolika i wyszedł, zanim Doyle zdążył zareagować. To, co przed chwilą usłyszał, było jak jeszcze jeden gład dołożony do brzemienia spoczywającego na jego barkach. Przeszedł chwiejnie do końca wagonu i rozchylając zasłonę, spojrzał na leżącą na niższej pryczy Eileen. Nie zmieniła pozycji, oddech miała powolny i regularny. Najciszej jak tylko mógł – tłumiąc w sobie świadomość, że ta decyzja mogła okazać się ważniejsza niż przypuszczał – Doyle wspiał się na górne łóżko. A potem ogarnął go sen – zimna czarna otchłań bez dna.

Doyle otworzył oczy. Nie odbierał wrażenia ruchu. Pociąg stał. Łóżko spowite było łagodnym, przesączającym się przez zasłony światłem. Doktor spojrzał na zegarek – kwadrans po drugiej. Rozchylił zasłony i zmrużył oczy przed jasnym blaskiem; bocznica, ta sama, z której korzystali wcześniej w Battersea. Zwiesił nogi z pryczy i zsunął się w dół. Dolne łóżko było puste, podobnie jak reszta wagonu. Wyszedł na zewnątrz.

Lokomotywy i tendra nie było – zostały odcepione. Na torze stał pojedynczy wagon. Doyle rozejrzał się, ale nigdzie w zasięgu wzroku nie spostrzegł lokomotywy. Podbiegł do budki zawiadowcy. W oknie stał stary, wąsaty mężczyzna.

– Lokomotywa, która ciągnęła ten wagon – rzucił Doyle, wyciągając rękę w jego stronę. – Dokąd odjechała?

– Odjechała wcześniej rano – odrzekł mężczyzna.

– Była tam kobieta...

– Nie widziałem, aby ktokolwiek wysiadał, sir.

– Ale ktoś musiał.

– Nie mówię, że nie, ale ja tego nie widziałem.

– Kogo mógłbym spytać?

Staruszek powiedział mu. Doyle przepytął kilku robotników, którzy widzieli przyjazd pociągu. Przypomnieli sobie jego przybycie, ale nie pamiętali, by ktokolwiek zeń wysiadł. A już na pewno nie kobieta – zapamiętaliby ją z pewnością.

– Tak, na pewno byście ją zapamiętali – mruknął Doyle.

Doktor chciał zostawić im swoją wizytówkę, ale ostatnie jego rzeczy przepadły bezpowrotnie w Ravenscar. Okazało się jednak, iż wcale nie ma pustych kieszeni. Wraz ze srebrnym sygnetem Sparksa, znalazł gruby zwitek pięciofuntowych banknotów, który najwyraźniej podrzucono mu, gdy spał. Przeliczył banknoty – zebrała się całkiem niezła

sumka. Nigdy dotąd nie widział naraz tylu pieniędzy.

Doyle wrócił do wagonu i metodycznie zaczął poszukiwać jakiegoś znaku lub listu, który gdzieś mógłby na niego czekać, ale niczego nie znalazł. Dokładnie tak, jak się tego spodziewał. Zabrał swój płaszcz, wyszedł z wagonu i opuścił bocznice.

Dzień był pochmurny, ale niespecjalnie chłodny, prawie bezwietrzny. Doyle zaszedł do pubu, by zaspokoić trawiący go głód. Pomyślał o Barrym. Po posiłku przy barze kupił cygaro i wyszedł z lokalu. Zapalił je dopiero, przechodząc przez Lambeth Bridge. Zatrzymawszy się w połowie mostu, spojrzał w dół na spienione, szare wody Tamizy, usiłując zdecydować, co powinien obecnie uczynić.

Powrócić do poprzedniego trybu życia? Jeśli tylko zechcą go jego nieliczni pacjenci. Hojna zapłata, jaką otrzymał, powinna wystarczyć, by mógł zadomowić się w nowym mieszkaniu i kupić wszelkie potrzebne rzeczy.

Nie. Jeszcze nie teraz.

Policja? Nie wchodzi w rachubę. Tylko jedno wyjście wydawało mu się sensowne. Dotarł do końca mostu, skręcił w prawo i minawszy Tower Gardens oraz Izbę Gmin, pomaszerował na północ wzdłuż Victoria Embankment. Ruch uliczny i otaczający go ludzie wydawali się bezcieleśni, niczym eteryczne widma. W końcu dotarł do Igły Kleopatry. Ile minęło czasu, odkąd stał tu z Jackiem i słuchał opowieści o jego bracie? Niecałe dwa tygodnie. Miał wrażenie, jakby minęło dobre dziesięć lat.

Skręcił w lewo, oddalając się od rzeki, i podążył w stronę Strandu. W pierwszym napotkanym sklepie z odzieżą męską kupił skórzaną walizkę, mocne buty, skarpetki, koszule, szelki, spodnie, bieliznę i przybory do golenia. U krawca na końcu ulicy zamówił garnitur. Powiedziano mu: „Poprawki zajmą dzień lub dwa, jeśli szanowny pan nie ma nic przeciw temu”. Odrzekł, że szanownemu panu bynajmniej się nie spieszy.

Zapakował rzeczy do walizki i wynajął pokój w hotelu „Melwyn”. Zapłacił z góry za pięć dni za pokój na drugim piętrze przy schodach. Do rejestru gości wpisał się jako Milo Smalley, Esquire. Recepcjonista, który nie rozpoznał go, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Doyle, wykąpany i ogolony, wrócił do swego pokoju i przebrał się w nowe rzeczy. Policja nadal się nim będzie interesowała, pomimo iż z pewnością nie ściagała go już tak zajadle jak dotychczas, ale ani trochę się tym nie przejmował. Wybrał się na wieczorny spacer.

W pobliżu hotelu był kiosk. Doyle kupił dwie książki – *Przygody Hucka* i angielski przekład *Bhagawadgity*. Zjadł samotnie kolację w restauracji „Gaiety”, z nikim nie

rozmawiał, po czym wrócił do hotelu i tak długo czytał Twaina, aż w końcu zmorzył go sen. Następnego dnia wybrał się wzdłuż Drury Lane na ulicę Montague. Mieszkanie Sparksa zamknięto na głucho, nie było słycać nawet psa. Nie zauważył również sąsiadów, którym mógłby zadać kilka pytań. W drodze powrotnej Doyle kupił w sklepie przy Jermyn Street melonik i parasol. Po południu odebrał od krawca swój nowy garnitur.

Ledwie zdążył się przebrać (szary garnitur leżał jak ulał i był naprawdę wspaniały), gdy rozległo się pukanie do drzwi. Boy hotelowy przekazał mu wiadomość: Na szanownego pana czeka przed hotelem powóz.

Doyle dał chłopakowi napiwek i poprosił, by przekazał woźnicy, że szanowny pan zaraz zejdzie na dół.

Nałożył melonik i płaszcz, zabrał parasol (zanosiło się na deszcz) i wyszedł z budynku. Wsiadł do powozu. Nie znał woźnicy, ale w kebie czekał na niego inspektor Claude Leboux.

– Claude.

– Arthurze – rzekł Leboux z lekkim skinieniem głowy.

Doyle usiadł naprzeciw niego. Leboux dał znak woźnicy i ruszyli. Leboux szukał wzroku doktora – wyglądał na zagniewanego i skruszonego zarazem. I na pewno nie miał nastroju do poważniejszej dyskusji.

– Jak tam? – zwrócił się do Doyle'a.

– Bywało lepiej.

Jazda trwała dwadzieścia minut, podczas których Leboux dwukrotnie spoglądał na zegarek. Zwolnili, Doyle usłyszał najpierw zgrzyt otwieranej bramy, a potem zwielokrotnione echo końskich kopyt, gdy przejeżdżali przez sklepioną bramę. Powóz stanął. Leboux wyszedł pierwszy i poprowadził Doyle'a przez otwarte drzwi, gdzie czekał na nich krępy, dystyngowany mężczyzna w średnim wieku – czujny, inteligentny, ale niewątpliwie przytłoczony brzemieniem dźwiganej na swych barkach osobistej odpowiedzialności. Mężczyzna wydał się doktorowi znajomy, ale Doyle nie był w stanie skojarzyć, skąd zna jego twarz. Mężczyzna podziękował i jednocześnie pożegnał Leboux krótkim skinieniem głowy, po czym poprowadził Doyle'a dalej.

Przeszli przez słabo oświetloną sień i wąski korytarz do wygodnego salonu. Na podstawie wyglądu tego pomieszczenia nie sposób było powiedzieć czegokolwiek o jego użytkowniku – meble były wytworne, ale w gruncie rzeczy bezosobowe. Mężczyzna wskazał ręką chesterfieldzki fotel, zapraszając doktora, by usiadł.

– Proszę tu zaczekać – powiedział. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział do

Doyle'a.

Doktor pokiwał głową, zdjął kapelusz i usiadł. Mężczyzna wyszedł.

Najpierw usłyszał jej kroki, powolny, stateczny stukot obcasów na parkiecie, a zaraz potem jej głos, władczy i donośny, gdy zwróciła się z jakimś pytaniem do mężczyzny, który wprowadził Doyle'a do saloniku.

Wymieniono jego nazwisko.

Drzwi otworzyły się. Doyle wstał, gdy weszła. Doznał szoku, gdy ujrzał ją z bliska. Była niższa, niż mu się wydawało, mierzyła nie więcej niż pięć stóp, ale zdawała się emanować osobliwą aurą, która wypełniała wnętrze całego pomieszczenia i niebywale skracała dzielący ich dystans. Znajoma twarz, prosta i dzielna, znana każdemu angielskiemu chłopcu niczym oblicze własnej matki, nie wydawała się surowa ani beznamiętna, jak ją częstokroć przedstawiano. Szare, spięte w kok włosy, prosta, czarna wełniana suknia, biały płócienny kołnierzyk i mantylka były elementami, które znał równie dobrze jak wierzch własnej dłoni. Uśmiechnęła się na jego widok – czego również nigdy nie przedstawiano na obrazach – a jej uśmiech był zaiste olśniewający i urzekający.

– Doktorze Doyle, mam nadzieję, iż nie sprawiłam panu kłopotu – powiedziała królowa Wiktoria.

– Nie, Wasza Wysokość – powiedział, zdumiony brzmieniem własnego głosu. Pochylił głowę w ukłonie, licząc na to, iż przynajmniej w pewnym stopniu gest ów spełnił niezbędne w tej sytuacji wymogi etykiety.

– To dobrze, że pan przybył – powiedziała i usiadła całkiem zwyczajnie. – Proszę.

Wyciągnęła rękę, wskazując krzesło po prawej, a Doyle natychmiast na nim przycupnął. Przypomniał sobie, że czytał gdzieś, iż królowa prawie zupełnie straciła słuch w lewym uchu.

Odwróciła się do mężczyzny, który pełnił rolę przewodnika Doyle'a:

– Dziękuję, Ponsonby.

Henry Ponsonby, osobisty sekretarz królowej (teraz już wiem, skąd go znam, z gazet – pomyślał Doyle), skinął głową i wyszedł z pokoju.

Królowa odwróciła się do Doyle'a. Doktor poczuł na sobie moc przenikliwego spojrzenia jej bladoszarych oczu. Obecnie bije z nich ciepło, ale biada temu, kto stałby się obiektem gniewu monarchini – pomyślał.

– Wygląda na to, że mamy wspólnego przyjaciela – powiedziała królowa.

– Czyżby?

– Ściślej mówiąc, bardzo dobrego przyjaciela.

Mówi o Jacku – skonstatował.

– Tak. Owszem. To prawda.

Pokiwała, potakując głową.

– Ostatnio nasz przyjaciel złożył nam wizytę. Powiedział mi o pańskiej wybitnej pomocy w rozwiązaniu pewnej sprawy, szczególnie ważnej tak dla mnie, jak i dla całej mojej rodziny.

– Mam nadzieję, że nie wyolbrzymił...

– Nasz przyjaciel jest człowiekiem nader rzeczowym. Powiedziałabym, że we wszystkim co robi, cechuje go wyjątkowa precyzja i skrupulatność. Zgodzi się pan ze mną?

– O tak. Jak najbardziej.

– A zatem nie ma powodu, by wątpić w prawdziwość jego słów, nieprawdaż?

– Nie, Wasza Wysokość.

– Nie ma również powodu, bym nie mogła osobiście wyrazić panu swej prosto z serca płynącej wdzięczności.

– Ależ absolutnie, Wasza Wysokość. Dziękuję. Dziękuję bardzo.

– To ja dziękuję panu, doktorze Doyle.

Skinęła głową. Doyle odpowiedział ukłonem.

– Jak rozumiem, w wyniku współpracy z naszym przyjacielem naraził się pan na pewne kłopoty ze strony londyńskiej policji.

– To smutne, ale tak...

– Pozwolę sobie zapewnić pana, iż odtąd może pan uważać ten problem za niebyły.

– Jestem... doprawdy wielce zobowiązany.

Ponownie skinęła głową i milczała przez chwilę, przyglądając mu się z łagodną życzliwością, graniczącą nieomal z kokieterią.

– Czy jest pan żonaty, doktorze Doyle?

– Nie, Wasza Wysokość.

– Naprawdę? Taki przystojny, energiczny młody człowiek jak pan? I do tego lekarz?

Doprawdy, nie wyobrażam sobie, jak to możliwe.

– Powiedziałbym... że nie zdarzyła mi się dotąd stosowna okazja.

– Niech pan dobrze zapamięta, co powiem – to rzekłszy, królowa nachyliła się do przodu i uniosła wskazujący palec prawej ręki. – Przyjdzie dzień, że spotka pan tę jedyną. Małżeństwo rzadko spełnia nasze wyobrażenia, ale jak zapewne pan wkrótce się przekona, wszyscy nieodparcie do niego dążymy.

Doyle potaknął ruchem głowy, usiłując wziąć sobie jej słowa do serca. Odchyliła się

do tyłu, przechodząc niezwłocznie do kolejnej sprawy przewidzianej na to krótkie, niespodziewane spotkanie.

– Co pan myśli o stanie zdrowia mego wnuka? Mam na myśli diuka Clarence.

To pytanie było tak bezpośrednie, że zupełnie zbiło Doyle'a z tropu.

– Jako że nie miałem możliwości dokonać gruntowniejszych badań, mogę jedynie...

– Proszę, doktorze, chodzi mi tylko o pańską opinię.

Doyle zawahał się, starannie dobierając słowa:

– Radziłbym Waszej Wysokości, aby od tej pory diuk pozostawał pod wzmożoną, a może nawet stałą opieką.

Królowa skinęła głową, zastanawiając się nad głębszą treścią usłyszaną przed chwilą informacji, po czym oznajmiła:

– A teraz jeszcze jedno, doktorze. Żądamy, aby przysiągł pan, że nigdy, do końca swoich dni, nie zdradzi nikomu nawet słowem tego, co pan tu usłyszał, ani nie opowie o wydarzeniach, których był pan uczestnikiem.

– Przysięgam, z całego serca.

– Musi pan także zachować w sekrecie prawdę o naszym wspólnym przyjacielu i łączącej nas z nim przyjaźni. Obawiam się, że muszę nalegać na zachowanie ścisłej tajemnicy w obu tych kwestiach.

– Przysięgam. Do końca moich dni.

Spojrzała na niego zadowolona ze szczerości jego odpowiedzi i nieznacznie się rozluźniła. Odwróciła wzrok. Doyle wyczuł, że audiencja dobiegła końca.

– Jak na swój wiek, jest pan doprawdy niezwykłym dżentelmenem, doktorze Doyle.

– Wasza Wysokość jest zbyt łaskawa.

Wstała. Doyle wyprzedził ją, wyciągając rękę, a królowa ujęła ją łagodnym gestem. W pierwszej chwili obawiał się, że popełnił jakieś straszliwe *faux pas*, ale jeżeli nawet tak było, uspokajający uścisk dłoni, jakim obdarzyła go na odchodne, rozwiął rodzące się w głębi jego serca obawy.

– Znajdzie się pan pod obserwacją. Będziemy mieli pana na oku. I gdyby któregoś dnia pańska pomoc ponownie okazała się konieczna, proszę być pewnym, że nie zawahamy się pana wezwać.

– Mam jedynie nadzieję, że nie zawiodę pokładanego we mnie zaufania.

– Jeżeli o to chodzi, młody człowieku, nie mam najmniejszych wątpliwości.

Królowa Wiktoria znowu się uśmiechnęła (doktor ponownie poczuł promieniujące z niej ciepło) i odwróciła, by odejść. Przez moment wydawało się, że na jej wątych barkach

faktycznie spoczywa ciężar świata. Zrobiła zaledwie dwa kroki, gdy w progu, jakby przywołany telepatycznie pojawił się Ponsonby.

– Gdybym jeszcze mógł o coś spytać... – powiedział Doyle. Królowa zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Czy nasz wspólny przyjaciel wspomniał Waszej Wysokości, dokąd zamierza się udać?

Nie był w pierwszej chwili pewien, czy jego pytanie, czy sam fakt, iż ośmielił się je zadać, królowa odebrała jako niefortunną gafę.

– Jeżeli chodzi o poczynania naszego wspólnego przyjaciela – powiedziała stanowczym głosem królowa – nauczyliśmy się, że lepiej jest... żeby go o to nie pytać. – Wiktoria lekko poruszyła brwiami; za sprawą Jacka między tym dwojgiem nastąpiła trwająca ułamek sekundy wymiana bezprecedensowych, intymnych odczuć.

Doyle uśmiechnął się i uklonił lekko, podczas gdy królowa opuściła pokój. Ponsonby podążył za nią jak holownik eskortujący kliper.

Jestem człowiekiem, który odbył przejażdżkę na komecie – pomyślał Doyle. Wiem, że teraz znów stoję twardo na ziemi, ale niezależnie od tego, jak będzie, dobrze czy źle, już nigdy nic nie będzie takie samo jak kiedyś.

Ponsonby wrócił w chwilę później i mrocznymi korytarzami Pałacu Buckingham odprowadził doktora do oczekującego nań powozu. Sekretarz otworzył Doyle'owi drzwiczki, zaczekał, aż doktor usadowi się na siedzeniu, po czym wręczył mu małą, prostokątną paczuszkę.

– Z najlepszymi życzeniami od Jej Wysokości – rzekł Ponsonby.

Doyle podziękował mu. Ponsonby skinął głową, zamknął drzwiczki, po czym Doyle został odwieziony z powrotem do hotelu. Zaczekał z otwarciem prezentu, aż znajdzie się ponownie w swoim pokoju.

To było wieczne pióro. Smukłe, wąskie i czarne. Idealnie wyważone, spoczywało w jego dłoni leciutko, niczym piórko.

20. BRACIA

Spędził w hotelu „Melwyn” jeszcze trzy doby. Rano krążył po sklepach, odkupując najbardziej potrzebne z utraconych rzeczy. To zmusiło go do postawienia sobie konkretnego pytania – czego właściwie potrzebuje?

Zjadłszy samotnie obfity lunch, Doyle wracał każdego dnia do swego pokoju i popołudniami pisał listy do Eileen. Wyrażał w nich wszystko, co chciał jej powiedzieć, i miał nadzieję, że nadejdzie dzień, w którym jego sekretne pragnienia staną się rzeczywistością.

Po powrocie z lunchu ostatniego dnia swego pobytu w Londynie, znalazł czekający na niego na biurku list. Kremowa, welinowa koperta wydała mu się przeraźliwie znajoma, identyczna jak ta, którą otrzymał nie tak dawno, a zarazem całe wieki temu. Słowa na kartce nakreślone zostały tą samą, kobiecą ręką, i choć już nie drukowanymi literami, miękkimi, płynnym charakterem pisma nie pozostawiał wątpliwości: autorką obu listów była jedna osoba.

Najdroższy Arthurze!

Zanim otrzymasz ten list, opuścę już Anglię. Mam nadzieję, że kiedyś znajdziesz w swoim sercu siłę, by wybaczyć mi, że zostawiłam Ciebie bez pożegnania i że wyjeżdżam, nawet się z Tobą nie spotkawszy. Kiedy Ciebie poznałam, zarówno moje serce, jak i dusza były boleśnie rozdarte, okoliczności zaś, jak sam wiesz, tak niezwykle, że nie miałam czasu ani możliwości, by pozwolić sobie na luksus odczuwania smutku czy żalu.

Ta pora właśnie nadeszła.

Nigdy Ci o nim nie wspominałam i nie uczynię tego teraz, powiem tylko, że bardzo go kochałam. Wiosną mieliśmy się pobrać.

Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie kogokolwiek pokochać. Być może nadejdzie kiedyś taki dzień, ale jest jeszcze za wcześnie, by cokolwiek w tej sprawie wyrokować.

Wiem, że nikt z nas, którzy przeżyliśmy wspólnie te noce i dni, już nigdy nie będzie patrzył na świat z takim zaślepieniem, jak większość ludzi.

Być może widzieliśmy zbyt dużo. Wiem tylko, że Twoja dobroć, prawda i czułość, a

także męstwo pomogą mi uporać się z najgorszymi wspomnieniami tych okropnych, mrocznych przeżyć.

Wiedz, mój drogi, że na zawsze pozostaniesz w moich myślach i niezależnie, gdzie poniosą Ciebie losy, nigdy, przenigdy nie przestanę Cię kochać.

Bądź dzielny, mój drogi Arthurze. W głębi serca wiem, czuję i wierzę, że światło, które masz w sobie, będzie rozjaśniać ten świat jeszcze długo po tym, jak fale morza zmyją z piasku ślady naszych stóp.

Kocham Cię. Twoja Eileen

Przeczytał list trzykrotnie. Usiłował znaleźć w jego treści choć odrobinę pocieszenia. Wiedział, że ono tam jest. Może odnajdzie je któregoś słonecznego poranka. Kiedyś. Ale jeszcze nie dziś. Włożył list na powrót do koperty i wsunął ją delikatnie między stronicę książki.

Znajdę go tam – pomyślał z zadziwiającym wewnętrznym przekonaniem. Znajdę zupełnie przypadkiem, za kilka lat. A nieubłagany upływ czasu sprawi, że nie będę w stanie przypomnieć sobie tego dojmującego, rozdzierającego serce bólu, który teraz odczuwam. Preraźliwe cierpienie i smutek znikną w otchłani niepamięci.

Doyle spakował swoje rzeczy (miał teraz dwie walizki i ponownie zaczynał od zera) i popołudniowym pociągiem pojechał do Bristolu.

W ten sposób minęły dwa długie miesiące, dwa miesiące w podróżach z jednego miasta do drugiego, anonimowe wynajmowanie pokoi, zdobywanie informacji na temat nowej okolicy i jej historii, dzięki częstym wizytom w bibliotece i ostrożnym rozmowom w gospodach, dopóki jego ciekawość nie została w pełni zaspokojona. A potem wyjazd w dalszą drogę, na oślep, bez wcześniejszego planu, przy czym punkt docelowy obierany był zawsze rankiem w dniu podróży.

Wiedział, że nie był już poszukiwany przez policję – jego poczynania dyktowało pragnienie uniknięcia bliższego spotkania z pewnymi osobami, których zamiary względem niego były, najkrócej mówiąc, nieczne.

W podróży, gdy tylko mógł, czytał gazety i szukał konkretnych informacji. Któregoś dnia w północnej Szkocji natknął się na gazetę sprzed dwóch dni, w której znalazł nekrolog Sir Nigela Gulla, ongi lekarza rodziny królewskiej. Ciało znaleziono w gabinecie w jego domu. Przypuszczalnie samobójstwo.

Nadszedł czas.

Kiedy w końcu marca Doyle ponownie zjawił się w Londynie, natychmiast wynajął pokój w hotelu „Melwyn” i powrócił do poprzedniego trybu życia, nie zamierzając niczego w

nim zmieniać, dopóki nie otrzyma wiadomości od Jacka, a nie miał wątpliwości, iż stanie się to niebawem.

Którejś nocy, bardzo późno, gdy szalała burza, a Doyle patrzył przez okno na niktące w oddali zygzaki błyskawic, do drzwi jego pokoju ktoś zapukał.

Na zewnątrz stał Larry. Był z nim Zeus. Człowiek i pies byli kompletnie przemoczeni. Doyle wpuścił ich do środka i podał Larry'emu ręcznik. Mężczyzna zdjął płaszcz i usiadł przy kominku, racząc się brandy, którą poczęstował go Doyle. Zeus ułożył się u jego stóp. Larry wpatrywał się w ogień i dopił drinka kilkoma łykami. Wydawał się doktorowi mniejszy, a jego oblicze bardziej posępne i zatroskane. Doyle czekał, aż tamten zacznie mówić.

– Zostawiliśmy pana na stacji, bez pożegnania. To mi się nie podobało. Szef powiedział, że miał pan dość. Zrobił pan więcej niż dosyć. Nie było potrzeby więcej zwracać panu głowy. Zrobiliśmy, co szef kazał i tyle.

– Nie winię cię za to, Larry.

Larry pokiwał głową, zadowolony z przebaczenia.

– Najpierw musieliśmy wyprawić memu bratu należyty pogrzeb. Zabrać go do domu. Złożyć go w ziemi obok naszej mamy. Tak było trzeba.

– Tak.

– A potem okazuje się, że pan Sparks ma jakieś sprawy w Londynie. Jadę do Brighton, tak jak mi każe, i czekam. Mijają tygodnie. Miesiące. Nie ma już kogo ogrywać na nabrzeżu. Jestem najlepszy. I nagle on pojawia się któregoś wieczoru z nowymi informacjami. Chodzi o pewien szkuner. Ten, który odpłynął z portu Whitby w pierwszym tygodniu nowego roku. Wypłynął w rejs do Bremy – to był jego punkt docelowy. I pan Sparks mówi, że tam się właśnie wybierzemy.

Łapiemy pocztową łajbę przepływającą przez Kanał. Zawijamy do Bremy. Tam zaczyna się wypytywanie – Jack zna niemiecki, więc to nic trudnego.

– Nie.

– Szukamy mężczyzny i kobiety, którzy weszli w Whitby na pokład szkunera i zeszli na ląd w Bremie. Wygląda na to, że przywieźli ze sobą trumnę. Zwłoki krewnego, jak powiedzieli kapitanowi, które sprowadzili do Niemiec, by spoczął w ojczyściej ziemi. Poszukiwana dwójka wyjechała z Bremy pociągiem, zmierzając na południe. I tu ślad się urywa. Odwiedzamy każdą stację, każdą Pipidowę między Bremą a Monachium. Zobaczyliśmy więcej Niemiec niż sam kajzer. Serio. Już mam zamiar wracać do kraju, gdy szef mówi, żebyśmy pojechali w jeszcze jedno miejsce.

– Do Salzburga...

– Właśnie tam, gdzie bracia studiowali, jak panu naturalnie wiadomo. Jedziemy tam i przeczesujemy starannie to stare miasteczko. Aż tu nagle spotykamy woźnicę, który mówi, że podwoził dwie osoby odpowiadające naszemu rysopisowi i że dobrze je pamięta. Zawiózł nas do miasteczka odległego o dwie godziny drogi na północ. Nazywa się Braunau. Braunau am Inn.

Wygląda na to, że nasza parka kupiła tam dom, płacąc za chałupę żywą gotówką. Mamy fart, bo akurat obok mieszka wścibska sąsiadka, staruszka, która nie ma nic lepszego do roboty tylko dzień i noc kikować zza firanek na ulicę.

Tak, widziała, jak przyjechali. I wynieśli z powozu wielką, drewnianą skrzynię. To był ich jedyny bagaż oprócz dwóch niewielkich walizek, i ten fakt dał jej do myślenia. Prowadzili dziwny tryb życia, światło w ich domu paliło się przez całą noc. Mieszkali tu dwa miesiące i nawet nie zamienili z nią słowa – niezbyt towarzyscy, prawda?

– Byli tam jeszcze, gdy przyjechaliście do Braunau?

Barry pokręcił głową.

– Wyjechali tydzień temu, mówi ta kobieta. Wchodzimy do domu. Ruina to za mało powiedziane, żeby opisać to, co po sobie zostawili. Zupełnie jakby ktoś wsadził chałupę do pieca, na wpół stopił, a potem schłodził. Wszystko było miękkie, ściany jakby z galarety. Nie mam pojęcia, jakim cudem się nie zawaliły.

Doyle aż za dobrze znał te symptomy – Bławacka wyjaśniła, iż to jest efekt gwałtownego przejścia jakiejś potężnej istoty z płaszczyzny eterycznej do materialnej.

– Zostawili coś?

– Tę trumnę. To, co z niej zostało. Była zwęglona i roztrzaskana w drobiazgi. Pusta. Leżała na pryzmie ziemi, tak jak w Whitby.

– Wewnątrz nie było szczątków?

– Nie, sir.

Doyle'owi nie spodobał się wyraz twarzy Larry'ego, który miał mu do przekazania coś o wiele gorszego.

– I co się stało potem, Larry?

– Staraliśmy się podjąć trop, bo wiedzieliśmy, że ślad sprzed tygodnia był stosunkowo świeży. Zaprowadził nas na południowy zachód do małej miejsciny w Szwajcarii, między Zurychem a Bazyleą. To taki kurort, gdzie ludzie przyjeżdżają do wód i żeby popatrzeć sobie na wodospad. Reichenbach. Pięć kaskad. Ponad dwieście stóp wysokości.

Larry poprosił o dolewkę brandy. Zeus przyglądał się uważnie, jak Doyle napełnia szklaneczkę i czeka, aż gość łąpczywie ją opróżni.

– Przyjechaliśmy. Odwiedziliśmy hotel przy wodospadzie. Tak, poszukiwana przez nas para mieszka tu od dwóch dni. Sprawdzamy ich pokój. Widać, że ktoś tam mieszka, ale nie zastajemy nikogo. Jack każe mi poczekać przy drzwiach, a sam zachodzi z drugiej strony. Mija parę chwil. Mam złe przeczucie i wybiegam za nim. W górę zbocza prowadzi ścieżka, którą chodzą ludzie, żeby popatrzeć na wodospad. Na niej dostrzegam Jacka, pędzącego w stronę szczytu.

Co sił w nogach biegnę za nim. Nagle tracę go z oczu, a potem słyszę huk rewolwerowych strzałów, przyspieszam, pokonuję zakręt i widzę, że wyżej, mniej więcej pięćdziesiąt stóp ode mnie Jack szamocze się z mężczyzną w czerni.

Z miejsca domyśliłem się, że ten drugi to Aleksander. Nie mam pewności, kto strzelał, ale żaden z walczących nie wyglądał na rannego. Nigdy nie widziałem równie bezlitosnej i zażartej walki. Obaj byli silni i twardzi, oddawali cios za cios, i pomimo że byli posiniaczeni i pokrwawieni, żaden nie próbował się poddać ani choćby o krok ustąpić przeciwnikowi pola.

Wstyd się przyznać, ale ten widok zupełnie mnie sparaliżował. Stałem jak wryty i po prostu patrzyłem. I nagle widzę, że Jack uzyskuje lekką przewagę, niewielką co prawda, ale wynik pojedynku wydaje się przesądzony.

Aleksander cofa się o krok, usiłuje odwrócić się na pięcie, tuż przy krawędzi zbocza, gdy wtem grunt usuwa mu się spod nóg. Fontanna kamieni i żwiru osypuje się w dół, a mężczyzna traci równowagę i na trwającą niby wieczność chwilę zastyga nad przepaścią.

A potem spada.

Już, już ma zniknąć w czarnej otchłani, gdy gwałtownym ruchem wyrzuca w górę obie ręce i chwytając Jacka za but. Jack chwiejąc się, zapiera się mocno obcasami i odchyła w tył, ale olbrzymi ciężar tamtego ściąga go bezlitośnie ku krawędzi przepaści. W chwilę potem widzę, jak osuwa się i spada w czeluść. Spadają obaj i w mgnieniu oka pochłaniają ich unoszące się nad wodospadem opary mgieł.

Łzy popłynęły mu po twarzy. Doyle nie mógł się nawet poruszyć.

– Czy... znaleziono ciała?

– Nie wiem, sir, bo w chwilę później kula rozrywa ziemię u moich stóp, a gdy unoszę wzrok, widzę na ścieżce powyżej tę diabolicę, jak celuje we mnie z pistoletu...

– Lady Nicholson?

– Tak, sir. Rzucam się do ucieczki i zatrzymuję się dopiero na stacji, gdzie wsiadam do pierwszego pociągu. Tak więc, sam pan rozumie, że nie wiem, czy znaleziono ciała. Ale ten wodospad jest naprawdę olbrzymi, to strasznie duża wysokość, a ponieważ widziałem wielkie głązy dwieście stóp niżej, obawiam się, że pan Jack Sparks odszedł od nas

przedwcześnie, zbyt szybko, jak na tak prawego mężczyznę, który mógł jeszcze zdziałać tyle dobrego.

Larry ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Doyle wziął głęboki oddech. Jego pierś poruszała się spazmatycznie, a oczy przestały widzieć cokolwiek, gdy położył dłoń na ramionach nieszczęsnego mężczyzny. Łzy napłynęły mu do oczu, ponieważ Jack odszedł i, jak wszystko na to wskazywało, obaj w krótkim czasie stracili swych jedynych braci. Stali długo przed rozpalonym kominkiem, pogrążeni w czerni pęsej londyńskiej nocy i jeszcze czarniejszej, rozdzierającej serce rozpacz.

Minęło kilka tygodni od pamiętnego wieczora, gdy Doyle dowiedział się o wydarzeniach nad wodospadem Reichenbach. Doktor z wolna zaczął powracać do przynoszącego względny spokój dotychczasowego trybu życia. Zaczął szukać pracy. Zatrudnił się jako lekarz w małym, prowincjonalnym nadmorskim miasteczku Portsmouth.

Rozpoczął życie na nowo, grzebiąc smutek, żal i zakłopotanie pod nawałem pracy, pozwalającej na utrzymanie w możliwie najlepszym zdrowiu członków tej niewielkiej, beztrudnej społeczności. Uderzająca pospolitość dolegliwości jego pacjentów podziałała nań niczym balsam. Stopniowo, tak wolno, że jego umysł nie zdołał tego nawet zarejestrować, wszechogarniające wrażenie grozy i zdumienia, które o mały włos nie przyprawiło go o utratę zmysłów, zaczęło odchodzić w niepamięć.

Któregoś dnia, stojąc przed małym, pokrytym strzechą domkiem (gdzie wezwano go do dziecka z atakiem kolki), wodząc wzrokiem po żyznych, zielonych polach i kryształowej toni morza skąpanej w promieniach słońca – które akurat wyszło zza wyjątkowo mrocznej chmury – zdał sobie nagle sprawę, że przez cały dzień ani razu nie pomyślał o Jacku, Eileen ani owej przerażającej, niesamowitej nocy na moczarach.

Zaczynasz dochodzić do siebie, Doyle – skonstatował.

Pod koniec lata Tom Hawkins, parobek mieszkający w okolicy, młody, energiczny i powszechnie lubiany, zapadł na zapalenie opon mózgowych. Stawiając czoło najpoważniejszemu w swej karierze zawodowej wyzwaniu, Doyle sprowadził młodzika do swego domu, aby móc lepiej się nim zająć.

Siostra parobka, Louise, urodziwa dziewczyna o łagodnym głosie, również zamieszkała u niego. Ich oddanie dla Toma i niezwykła godność, z jaką doktor usiłował walczyć ze śmiercią, która – o czym oboje wiedzieli – była nieuchronna, w błyskawicznym tempie zbliżyła tych dwoje.

Kiedy Tom umierał w ich ramionach, trzy tygodnie później, ostatnią rzeczą, jaką uczynił, było dyskretne złączenie dłoni Louise i Doyle'a. Jeszcze tego lata Louise i Doyle

pobrali się. Wiosną następnego roku przyszło na świat ich pierwsze dziecko – córka, Mary Louise.

Ułożywszy szczęśliwie życie prywatne i odczuwając po raz pierwszy wewnętrzny spokój oraz zadowolenie, Doyle stwierdził, iż jest wreszcie w stanie spojrzeć z perspektywy na dni spędzone w towarzystwie Jacka. Wiedział, że nikt z rodziny królewskiej ani agentów rządowych, dla których służył Jack, nie potwierdziłby publicznie jego współpracy przy tajnej operacji, ale doktor nie pragnął i nie oczekiwał z ich strony wynagrodzenia czy uznania.

Uświadomiwszy to sobie po wielu długich rozmowach z ukochaną Louise, Doyle zrozumiał, że nie dawała mu spokoju myśl, iż ten energiczny, dzielny i niezwykły człowiek, który bohatercko oddał życie za królową i ojczyznę, mógł zostać bezpowrotnie zapomniany. Była to jawna niesprawiedliwość. Pomimo iż osobiście poprzysiągł królowej zachowanie w tajemnicy swojej służby dla kraju i niebezpiecznego zadania, w którym uczestniczył (monarchini miała jeszcze niejednokrotnie w przyszłości zwrócić się do niego o pomoc), Doyle wymyślił znakomity sposób, by dotrzymać złożonej jej obietnicy, a jednocześnie oddać hołd pamięci Jonathana Sparksa.

Tej nocy, gdy jego żona i córka spały smacznie w swoich łóżkach, sięgnął po pióro ofiarowane mu przez królową i zaczął pisać opowiadanie o ich wspólnym, tajemniczym przyjacielu.

EPILOG

– Tam, u podnóża skał rzeka jest głęboka. Prąd poniżej jest silny. Nie zawsze znajdują ciała.

Doyle stoi na ścieżce nad krawędzią wodospadu Reichenbach, a jego wynajęty szwajcarski przewodnik, genialny młodzieniec o szerokiej twarzy, wskazuje na widoczną poniżej kaskadę.

– Widzi pan, ludzie stąd skaczą – wyjaśnia przewodnik. – Najczęściej kobiety. Złamane serca. Tyle ich było przez te wszystkie lata. – Mężczyzna kręci głową z udawanym przygnębieniem.

– Rozumiem – mówi Doyle.

– Bardzo smutne miejsce.

– Tak, bardzo smutne.

Jasny, kwietniowy poranek 1890 roku. Kiedy sukces wydawniczy odmienił jego życie, Doyle, Louise i ich trzyletnia córka Mary Louise cieszą się pierwszą zagraniczną wycieczką.

– Czy ktokolwiek przeżył? – pyta Doyle.

Przewodnik marszczy brwi.

– Jedna kobieta. Tak. Wyszła siedem kilometrów stąd na południe na brzeg rzeki. Nie pamiętam, jak się nazywała.

Doyle kiwa głową, wodząc wzrokiem po spienionej kipieli.

Nieco dalej idąca ścieżką, obok swojej matki Mary Louise zauważa nagle dziecko w wózekku.

– Mamusiu, zobacz to dziecko – mówi, wychylając się nad krawędź, by lepiej mu się przyjrzeć.

Rodzice, pospolita para wywodząca się z klasy średniej, po raz pierwszy od roku, kiedy przyszedł na świat ich syn, wybrała się na wakacje. Ojciec, Alois, jest celnikiem, a matka, Klara, prostą, wiejską dziewczyną z Bawarii.

– Spójrz na te oczy, mamusiu – mówi Mary. – Czyż nie ma pięknych oczu?

Oczy dziecka są faktycznie piękne. Zapraszające. Urzekające.

– Rzeczywiście, kochanie. *Die Augen sind... sehr schön* – mówi Louise do młodych rodziców typowo szkolnym niemieckim.

– *Vielen Dank* – mówi uprzejmie Klara.

– Wo kommen Sie her? – pyta Louise.

– *Wir kommen aus Österreich* – odpowiada Alois, który nie czuje się swobodnie w towarzystwie cudzoziemców, a co dopiero angielskiej młodej damy.

Doyle, stojąc przy barierce, czterdzieści stóp dalej, nie słyszy ich rozmowy.

– *Braunau* – dodaje Klara. – *Braunau am Inn*.

– Musimy już iść – mówi Alois i skinąwszy lekko głową, bierze Klarę za rękę, odciągając ją w przeciwną stronę.

– *Auf Wiedersehen* – mówi Louise.

– *Auf Wiedersehen* – mówi Klara, uśmiechając się słodko do Mary.

– Pożegnaj się, Mary – mówi Louise.

– Pa, pa.

Mary rozgląda się za ojcem i podbiega, by opowiedzieć mu o dziecku z niesamowitymi, niezwykłymi oczyma, ale zanim do niego dociera, myśl rozwiewa się jak mgła unosząca się nad wodospadem.

Klara odwraca wózek i nachyla się, by poprawić dziecku kołderkę. Uśmiecha się do niego i mówi miękko:

– *Komm mit, Adolf*.